autor
KODU LEONARDA DA VINCI

DAN BROWN

INFERNO

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

DAN BROWN

INFERNO

Z języka angielskiego przełożył
Robert J. Szmidt

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tego autora

ANIOŁY I DEMONY

ANIOŁY I DEMONY:
SPECJALNE WYDANIE ILUSTROWANE
KOD LEONARDA DA VINCI

KOD LEONARDA DA VINCI:
SPECJALNE WYDANIE ILUSTROWANE

CYFROWA TWIERDZA

ZWODNICZY PUNKT

ZAGINIONY SYMBOL

ZAGINIONY SYMBOL:
SPECJALNE WYDANIE ILUSTROWANE

MOIM RODZICOM...

Podziękowania

Pokorne i szczere podziękowania zechcą przyjąć:

Jak zwykle na wstępie mój wydawca i bliski przyjaciel, Jason Kaufman, za oddanie i wielki talent... głównie jednak za to, że nie tracił dobrego humoru.

Moja cudowna żona, Blythe, za okazywaną mi podczas procesu twórczego miłość i cierpliwość, nie wspominając już o jej niespotykanym instynkcie i szczerości w roli pierwszego krytyka.

Moja niestrudzona agentka i zarazem najbardziej zaufana przyjaciółka, Heide Lange, osoba, której ogromne umiejętności i wiedza pozwoliły na przeprowadzenie masy rozmów na najprzeróżniejsze tematy w tylu krajach. Za jej energiczność i zdolności pozostanę dozgonnie wdzięczny.

Cały zespół wydawnictwa Doubleday za entuzjazm, kreatywność i wsparcie dla moich książek, a zwłaszcza: Suzanne Herz (za wszechstronność i profesjonalizm), Bill Thomas, Michael Windsor, Judy Jacoby, Joe Gallagher, Rob Bloom, Nora Reichard, Beth Meister, Maria Carella, Lorraine Hyland, oraz – za niekończące się wsparcie – Sonny Mehta, Tony Chirico, Kathy Trager, Anne Messitte i Markus Dohle. A także wszyscy

niesamowici ludzie z działu sprzedaży Random House... Nie macie sobie równych.

Mój rozważny prawnik Michael Rudell za bezbłędne rozeznanie w każdej sprawie, zarówno poważnej, jak i błahej, oraz za okazywaną mi przyjaźń.

Moja niezastąpiona asystentka Susan Morehouse za wdzięk i aktywność; bez niej moje życie pogrążyłoby się w chaosie.

Wszyscy przyjaciele z Transworld, w szczególności Bill Scott-Kerr za kreatywność, wsparcie i doping oraz Gail Rebuck, za to, że jest tak znakomitym szefem.

Mój włoski wydawca, Mondadori, a zwłaszcza Ricky Cavallero, Piera Cusani, Giovanni Dutto, Antonio Franchini i Claudia Scheu, oraz mój wydawca w Turcji, Altin Kitaplar, a szczególnie Oya Alpar, Erden Heper i Batu Bozkurt za pomoc w poznaniu miejsc opisywanych w tej książce.

Wszyscy zagraniczni wydawcy za poświęcenie i ciężką pracę.

Leon Romero-Montalvo i Luciano Guglielmi, którzy przeszli samych siebie, zarządzając biurami tłumaczeń w Londynie i Mediolanie.

Niezwykła dr Marta Alvarez Gonzáles, która spędziła z nami mnóstwo czasu we Florencji, zaznajamiając nas ze sztuką i architekturą tego miasta.

Niezrównany Maurizio Pimponi, który uczynił wszystko, by wzbogacić naszą podróż po Włoszech.

Wszyscy historycy, przewodnicy i specjaliści, którzy tak chętnie dzielili się ze mną swoją wiedzą we Florencji i w Wenecji, mianowicie: Giovanna Rao i Eugenia Antonucci (Biblioteca Medicea Laurenziana), Serena Pini i jej pracownicy (Palazzo

Vecchio), Giovanna Giusti (La Galleria degli Uffizi), Barbara Fedeli (Battistero di San Giovanni i Il Duomo), Ettore Vio i Massimo Bisson (Basilica di San Marco), Giorgio Tagliaferro (Palazzo Ducale), Annalisa Bruni i jej pracownicy (Biblioteca Nazionale Marciana) oraz Isabella di Lenardo, Elizabeth Carroll Consavari i Elena Svalduz, a także wiele innych osób, których nie zdołałem wymienić z imienia i nazwiska na tej wyrywkowej liście. Wszystkim wam jestem szczerze zobowiązany.

Rachael Dillon Fried i Stephanie Delman z Sanford J. Greenburger Associates za wszystko, co uczyniły dla mnie w kraju i za jego granicami.

Wyjątkowi naukowcy: dr George Abraham, dr John Treanor i dr Boba Helm, za fachową pomoc.

Moi pierwsi czytelnicy, mianowicie: Greg Brown, Dick i Connie Brown, Rebecca Kaufman, Jerry i Olivia Kaufman oraz John Chaffee.

Znawca Internetu, Alex Cannon, który wspólnie z zespołem Sanborn Media Factory dbał o to, bym zawsze był online.

Judd i Kathy Gregg, którzy udzielili mi schronienia w Green Gables, gdy pisałem ostatnie rozdziały tej powieści.

Natomiast niezmierzone zasoby sieciowe takich instytucji, jak Princeton Dante Project, Digital Dante at Columbia University oraz The World of Dante, okazały się po prostu niezastąpione.

Najmroczniejsze czeluście piekieł
zarezerwowane są dla tych,
którzy zdecydowali się na neutralność
w dobie kryzysu moralnego.

FAKTY:

Wszystkie dzieła sztuki, teksty literackie i naukowe oraz wszelkie odniesienia historyczne zawarte w tej książce są *prawdziwe*. „Konsorcjum” jest faktycznie istniejącą prywatną organizacją, która ma swoje przedstawicielstwa w siedmiu krajach świata. Jej nazwa została jednak zmieniona ze względów prawnych.

Piekło to opisany w *Boskiej komedii* Dantego Alighieri podziemny świat o niespotykanie złożonej strukturze. Zamieszkują je istoty zwane cieniami – bezcielesne dusze uwięzione między życiem a śmiercią.

PROLOG

Jam jest Cieniem.

Przez miasto utrapienia mknę.

Drogą wiodącą w wiekuiste męki.

Pozbawiony tchu gramolę się na brzeg rzeki Arno... potem skręcam w via dei Castellani i ruszam na północ, kuląc się w cieniu murów Galerii Uffizi.

A oni wciąż mnie ścigają.

Odgłos ich kroków jest coraz donośniejszy; teraz, gdy znaleźli już trop, nie odpuszczą.

Ścigają mnie od wielu lat. Przez ich upór musiałem skryć się pod ziemią... zstąpić do czyśćca... ryć w gruncie jak odrażający robak.

Jam jest Cieniem.

Wyszedłszy na powierzchnię, zwracam spojrzenie ku północy, lecz nie umiem odnaleźć ścieżki zbawienia... albowiem Apeniny przesłaniają pierwszy blask świtu.

Mijam *palazzo* z krenelażową wieżą i jednowskazówkowym zegarem... przemykam między rzadkimi o tej porze kupcami z piazza San Firenze, nawołującymi ochryple głosami pachnącymi

wciąż *lampredotto* i pieczonymi oliwkami. Skręcam przed pałacem Bargello, by ruszyć ku zachodowi i wieży Badia – pod nią uderzam ciężarem całego ciała o kratę z kutego żelaza u podnóża schodów.

Tu zabij w sobie wszelkie wahanie.

Naciskam klamkę i wstępuję w korytarz, z którego nie będzie już powrotu, o czym dobrze wiem. Zmuszam ołowiane stopy do pokonywania kolejnych wąskich stopni… wiodących ku niebu spiralą utkaną z miękkiej marmurowej przędzy, przetartej tu i ówdzie, porowatej.

Z dołu dobiega echo głosów. Uderzają w błagalne tony.

Są tuż za mną, zbliżają się nieustępliwie.

Nie rozumieją tego, co nadejść musi… nie wiedzą, ilem dla nich uczynił!

Cóż za niewdzięczna kraina!

Im wyżej wchodzę, tym wyrazistsze stają się wizje… ciała lubieżnie wijące się w ognistym deszczu, żarłoczne dusze pławiące się w ekskrementach, zdradzieccy łajdacy w lodowatym uścisku Szatana.

Pokonuję ostatnie stopnie i docieram w końcu na szczyt. Tam, chwiejąc się z wyczerpania, czuję na twarzy wilgotne powietrze poranka. Śpieszę w kierunku muru sięgającego mi do głowy, zerkając w otwory strzelnicze. W dole rozciąga się błogosławione miasto, które uczyniłem mym sanktuarium niedostępnym dla tych, co mnie wygnali.

Znów słyszę głosy, blisko, tuż za plecami.

– To, co uczyniłeś, było szalone!

Szaleństwo rodzi szaleństwo.

– Na litość boską – wołają – powiedz, gdzie to ukryłeś!

Nie uczynię tego, właśnie z powodu boskiej litości!

Stoję teraz, zagnany w kozi róg, przywarłszy do zimnego kamienia, a oni spoglądają głęboko w moje szczere zielone oczy i twarze im ciemnieją. Nie przymilają się już, lecz grożą.

– Chyba wiesz, że mamy swoje sposoby. Potrafimy cię zmusić, abyś powiedział, gdzie to ukryłeś.

Właśnie dlatego wspiąłem się w pół drogi do Nieba.

Odwracam się niespodziewanie, wyciągając ręce ku górze, chwytając palcami wąską półkę. Podciągam się, najpierw na kolana, potem na nogi... stoję, chwiejąc się nad przepaścią. *Poprowadź mnie, Wergiliuszu, nad tą otchłanią*.

Rzucają się za mną, nie wierząc własnym oczom, chcą złapać moje stopy, lecz boją się, że jednym nieostrożnym ruchem strącą mnie w niebyt. Błagają teraz w desperacji, ale ja odwracam się do nich plecami. *Wiem, co muszę uczynić*.

Pode mną, oszałamiająco daleko, morze czerwonych dachów pochłania sielski krajobraz niczym ogniste fale, rozświetlając płomieniami ziemię, po której stąpali ongiś giganci... Giotto, Donatello, Brunelleschi, Michał Anioł, Botticelli.

Przesuwam się ku krawędzi.

– Złaź! – wrzeszczą. – Jeszcze nie jest za późno!

Żałośni ignoranci! Nie widzicie przyszłości? Nie dostrzegacie wielkości mego dzieła? Konieczności jego stworzenia?

Z jakąż radością uczynię to ostateczne poświęcenie... z nim ostatecznie zgaśnie wasza nadzieja na odnalezienie tego, czego tak pożądacie.

Nie zdążycie!

Znajdujący się dziesiątki metrów niżej wyłożony kamieniem plac przyzywa mnie niczym oaza spokoju. Ależ chciałbym opóźnić ten moment... wszakże czas jest jedynym, czego los mi poskąpił.

W ostatnich sekundach znów patrzę na plac w dole i dostrzegam na nim coś, co mnie zaskakuje.

Twoją twarz.

Patrzysz na mnie z cienia. Spojrzenie masz smutne, ale wyczuwam w nim szacunek dla tego, co osiągnąłem. Rozumiesz, że nie pozostawiono mi wyboru. Z miłości do Człowieka muszę chronić swoje dzieło.

Ono wciąż rośnie... czekając... połyskując w krwistych wodach laguny, w której nie przejrzały się gwiazdy.

Odrywam wzrok od twych oczu, by spojrzeć na horyzont. Wysoko nad uciemiężonym światem zanoszę ostatnie błaganie.

Najdroższy Boże, spraw, aby świat zapamiętał mnie nie jako potwornego grzesznika, lecz szlachetnego zbawcę, którym zaiste jestem. Spraw, aby ludzkość zrozumiała, czym jest dar, który jej zostawiam.

Mój dar jest przyszłością.

Mój dar jest zbawieniem.

Mój dar jest piekłem.

Potem szeptam słowo amen... i czynię ostatni krok, prosto w przepaść.

Rozdział 1

Wspomnienia materializowały się powoli... jak bąbelki powietrza wypływające z mroku bezdennej studni.

Kobieta z twarzą zasłoniętą welonem.

Robert Langdon przyglądał się jej przez koryto rzeki, której spienione wody czerwieniały od krwi. Kobieta stała na przeciwległym brzegu, patrząc na niego, nieruchoma, poważna, z twarzą skrytą za zasłoną welonu. W dłoni trzymała błękitną opaskę, którą wtem uniosła do oczu, oddając cześć morzu ciał spoczywających u jej stóp. Odór śmierci otaczał ich ze wszystkich stron.

Szukaj – wyszeptała – *a znajdziesz*.

Langdon usłyszał te słowa, jakby przemawiała wewnątrz jego głowy.

– Kim jesteś? – zapytał, lecz z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Czas ucieka! – znów wyszeptała. – *Szukaj, a znajdziesz*...

Langdon zrobił krok w kierunku rzeki, spostrzegł jednak, że jej wody są zbyt krwiste i zbyt głębokie, by mógł przedostać się na drugą stronę. Gdy ponownie spojrzał ku kobiecie w welonie, liczba

ciał u jej stóp uległa zwielokrotnieniu. Były ich tam teraz setki, a nawet tysiące, niektóre jeszcze żywe – wiły się w agonii, konając w niewysłowionej męce... trawione przez ogień, tonące w popiele, pożerające się nawzajem. Słyszał przeraźliwe krzyki cierpienia niosące się nad wodami.

Kobieta ruszyła w jego stronę, wyciągając zgrabne ręce, jakby błagała o pomoc.

– Kim jesteś?! – zawołał po raz drugi.

W odpowiedzi sięgnęła do zasłony i uniosła ją wolno z twarzy. Była uderzająco piękna, lecz i starsza, niż sobie wyobrażał – musiała mieć ponad sześćdziesiąt lat, choć zachowała imponujące posągowe, ponadczasowe rysy. Miała surowe usta, uduchowione oczy i długie srebrzystoszare włosy spływające falistymi kaskadami na ramiona. Z jej szyi zwisał amulet z lazurytu – wąż owinięty wokół laski.

Langdon poczuł, że ją zna... że jej ufa. Ale jak? I dlaczego?

Wskazała na wierzgające nogi ofiary, która została pogrzebana na brzegu głową w dół i tkwiła w ziemi aż do pasa. Blade udo nieszczęśnika nosiło wypisaną mułem literę R.

R? pomyślał niepewnie Langdon. Jak... Robert? Czy to... ja?

Nie znalazł odpowiedzi w twarzy kobiety.

Szukaj, a znajdziesz – powtórzyła.

Wtem jej postać zaczęła emanować białą poświatą... jaśniejącą z każdą chwilą. Ciało jęło mocno wibrować i nagle – do wtóru ryku gromów – eksplodowało rozerwane na tysiące okruchów światła.

Langdon obudził się z krzykiem.

Był sam w jasno oświetlonym pomieszczeniu. W powietrzu unosił się ostry zapach spirytusu medycznego, gdzieś z tyłu stało piszczące cicho urządzenie monitorujące pracę jego serca. Spróbował poruszyć prawą ręką, ale ostry ból zmusił go do pozostania w bezruchu. Spojrzawszy na zgięcie łokcia, zobaczył, że jest podpięty do kroplówki.

Puls mu przyśpieszył, czego widomym dowodem było żywsze pikanie urządzenia.

Gdzie ja jestem? Co się stało?

Łupało go w potylicy. Podniósł ostrożnie lewą rękę, by dotknąć głowy i zlokalizować źródło dolegliwości. Pod zmierzwionymi włosami wymacał twarde krawędzie około tuzina szwów oblepionych zaschniętą już krwią.

Przymknął oczy, próbując przypomnieć sobie wypadek.

Nic. Totalna pustka.

Wytęż pamięć!

Tylko ciemność.

Przybiegł ktoś z personelu, zapewne zaalarmowany piskiem monitora pracy serca. Miał zmierzwioną brodę, sumiaste wąsy i miłe oczy emanujące spod krzaczastych brwi troską oraz spokojem.

– Co się... stało? – wymamrotał Langdon. – Czy ja miałem jakiś wypadek?

Brodacz przyłożył palec do warg, po czym wybiegł na korytarz, wołając kogoś.

Robert obrócił głowę, ale nawet tak niewielki ruch wywołał kolejną falę bólu promieniującego z wnętrza czaszki. Zaczerpnął

głęboko tchu i przeczekał ten atak. Potem już o wiele wolniej i ostrożniej zlustrował sterylne otoczenie.

W szpitalnej izolatce stało tylko jedno łóżko. Nie dostrzegł żadnych kwiatów. Żadnych kartek. Zobaczył za to własne ubranie leżące na ladzie. Złożono je starannie i umieszczono w plastikowej torbie. Całe było umazane krwią.

Mój Boże. Musiałem nieźle oberwać...

Po chwili równie wolno obrócił głowę w drugą stronę, aby spojrzeć na okno. Noc. W szybie dostrzegł wyłącznie własne odbicie – jakże obce, blade i wyniszczone, podłączone do jakichś rurek i kabli, otoczone sprzętem medycznym.

Z korytarza doleciały go zbliżające się głosy, skupił więc znów spojrzenie na wnętrzu izolatki. Lekarz wrócił, tym razem w towarzystwie kobiety.

Była po trzydziestce. Miała na sobie niebieski lekarski strój i jasne włosy upięte w koński ogon, który kołysał się z każdym jej krokiem.

– Jestem doktor Sienna Brooks – przedstawiła się w progu, posyłając Langdonowi uśmiech. – Będę tej nocy pomagała doktorowi Marconiemu.

Robert skinął ostrożnie głową.

Wysoka i smukła doktor Brooks poruszała się zdecydowanym krokiem osoby wysportowanej. Nawet tak ubrana wyglądała elegancko. Pomimo braku makijażu skóra na jej twarzy wydawała się niesamowicie gładka, jeśli nie liczyć niewielkiego pieprzyka tuż nad górną wargą. Spojrzenie jej piwnych oczu było niezwykle przenikliwe, jakby widziała w życiu znacznie więcej niż przeciętny rówieśnik.

– Doktor Marconi nie mówi za dobrze po angielsku – dodała, siadając obok niego – dlatego poprosił mnie, abym pomogła w wypełnieniu pańskiej karty przyjęć. – Obdarzyła go kolejnym uśmiechem.

– Dziękuję – wycharczał.

– Zatem – zaczęła bardziej profesjonalnym tonem – jak się pan nazywa?

Potrzebował chwili na zebranie myśli.

– Robert... Langdon.

Zaświeciła mu latarką w oczy.

– Zawód?

Tę informację przypomniał sobie po jeszcze dłuższej chwili.

– Profesor. Wykładam historię sztuki... i ikonografię. Na Uniwersytecie Harvarda.

Doktor Brooks opuściła latarkę ze zdumioną miną. Lekarz z krzaczastymi brwiami wyglądał na równie zdziwionego.

– Jest pan... Amerykaninem? – Teraz to Langdon spojrzał na nią zaskoczony. – Ja tylko... – zawahała się. – Nie miał pan przy sobie dokumentów, gdy przywieziono pana wieczorem. Za to był pan ubrany w marynarkę z metką Harris Tweed i półbuty wykonane w hrabstwie Somerset, uznaliśmy więc, że musi pan być Brytyjczykiem.

– Jestem Amerykaninem – zapewnił ją zwięźle, nie tracąc sił na wyjaśnienia dotyczące upodobania do dobrze skrojonych strojów.

– Czy coś pana boli?

– Głowa – odparł Langdon. Rażące światło latarki tylko zwiększało jego cierpienie. Na całe szczęście doktor Brooks

włożyła ją ponownie do kieszeni i ujęła go za nadgarstek, by zmierzyć puls.

– Obudził się pan z krzykiem – powiedziała. – Pamięta pan dlaczego?

Robert ponownie ujrzał odrażającą wizję kobiety stojącej pośród morza wijących się ciał. *Szukaj, a znajdziesz*.

– Miałem koszmar.

– Jaki?

Langdon opowiedział.

Doktor Brooks z kamienną miną notowała coś na karcie przypiętej do sztywnej podkładki.

– Nie wie pan, co mogło być powodem tej przerażającej wizji?

Robert spróbował wysilić pamięć, lecz skończyło się na pokręceniu głową, choć ta zaprotestowała kolejną falą bólu.

– Dobrze, panie Langdon – rzuciła lekarka, nie przerywając pisania. – Czas na kilka rutynowych pytań. Jaki mamy dzisiaj dzień tygodnia?

Robert zastanawiał się przez chwilę.

– Sobotę. Pamiętam, jak szedłem dzisiaj przez kampus... zmierzając na popołudniowe zajęcia, a potem... To w sumie ostatnia rzecz, jaką pamiętam. Czy ja zemdlałem?

– Dojdziemy i do tego. Wie pan, gdzie jesteśmy?

Langdon podał najbardziej oczywistą nazwę.

– Massachusetts General Hospital?

Doktor Brooks zrobiła jeszcze jedną notatkę.

– Czy jest ktoś, kogo powinniśmy powiadomić? Żona? Dzieci?

– Nie ma nikogo takiego – odparł odruchowo. Zazwyczaj cieszył się samotnością i niezależnością, których dostarczał mu

świadomie wybrany stan kawalerski, aczkolwiek w obecnej sytuacji wolałby mieć przy sobie choć jedną znajomą twarz. – Mógłbym się skontaktować z kilkoma kolegami po fachu, ale na razie nie widzę takiej potrzeby.

Doktor Brooks skończyła pisać, a brodacz zbliżył się do łóżka. Przygładziwszy krzaczaste brwi, wyjął z kieszeni niewielki dyktafon i pokazał go lekarce. Ta skinęła głową ze zrozumieniem i znów zwróciła się do pacjenta.

– Panie Langdon, gdy przywieziono pana wieczorem, mamrotał pan bez przerwy kilka słów. – Skinęła w stronę Marconiego, a ten natychmiast nacisnął klawisz na urządzeniu.

Na odtwarzanym nagraniu Robert rozpoznał swój mocno zachrypnięty głos, którym powtarzał te same słowa: *Ve... sorry. Ve... sorry*.

– Moim zdaniem – stwierdziła lekarka – mówi pan w kółko po angielsku: *very sorry*, „bardzo przepraszam".

Langdon przytaknął, ale wciąż nie miał pojęcia, o co może chodzić.

Doktor Brooks obrzuciła go uważniejszym spojrzeniem.

– Nie wie pan, skąd właśnie te słowa? Czuje się pan winny z jakiegoś powodu?

Gdy Robert sięgnął w mroczne czeluście swojej pamięci, znów ujrzał kobietę w welonie. Stała na brzegu rzeki krwi otoczona zwałami ciał. Odór śmierci powrócił.

Poczuł nagle przemożny strach... nie tylko o siebie... ale o wszystkich. Piszczenie maszyny monitorującej pracę jego serca przyśpieszyło. Napiął mięśnie, próbując usiąść.

Doktor Brooks natychmiast położyła mu dłoń na mostku, zmuszając do przybrania pozycji leżącej. Zerknęła na brodacza, a ten bez słowa podszedł do lady i zaczął coś przygotowywać.

Lekarka pochyliła się nad Robertem, szepcząc:

– Panie Langdon, stany lękowe są czymś normalnym po urazach mózgu. Musi się pan uspokoić i obniżyć tętno. Żadnych gwałtowniejszych ruchów. Żadnych podniet. Proszę leżeć i odpoczywać. Wszystko będzie dobrze. Pamięć wróci, ale to potrwa.

Brodacz podszedł ze strzykawką w dłoni, podał ją doktor Brooks, a ona wstrzyknęła całą zawartość do kroplówki.

– To tylko lekki środek uspokajający, który pozwoli panu na szybsze odprężenie się i przy okazji uśmierzy ból – wyjaśniła. Wstała, by odejść. – Wydobrzeje pan, panie Langdon. Proszę się przespać. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, wystarczy nacisnąć klawisz znajdujący się na listwie bocznej łóżka.

Zgasiła światło i razem z brodaczem opuściła izolatkę.

Leżący w ciemności Robert czuł, jak zaaplikowany mu środek rozpływa się szybko po ciele, wciągając go ponownie w studnię bez dna, z której dopiero zdołał się wydobyć. Walczył z tym, starał się unieść powieki, wpatrzyć w otaczający go mrok. Chciał usiąść, ale ciało miał sztywne, jakby odlano je z cementu.

Zdołał jednak odwrócić głowę i znów spojrzeć w okno. Teraz, po zgaszeniu światła, nie widział już własnego odbicia w szybie, zastąpiła je odległa panorama miasta.

Pomiędzy konturami wież i kopuł dominowała jedna, iście królewska budowla. Imponująca forteca z kamienia z blankami i wysoką na niemal sto metrów wieżą zwieńczoną machikułami.

Langdon raptownie usiadł na łóżku, powodując eksplozję bólu w głowie. Starając się ignorować pulsowanie, skupił wzrok na wieży.

Doskonale znał tę średniowieczną budowlę.

Istniała tylko jedna taka na całym świecie.

Ale od Massachusetts dzieliło ją prawie siedem tysięcy kilometrów.

Na zewnątrz potężnie zbudowana kobieta, kryjąc się w cieniu budynków przy via Torregalli, zsiadła zwinnie z motocykla marki BMW i ruszyła przed siebie krokiem pantery ścigającej upatrzoną zdobycz. Spojrzenie miała czujne. Jej postawione na irokeza włosy sterczały znad podniesionego kołnierza skórzanego kombinezonu. Sprawdziła raz jeszcze pistolet z tłumikiem, po czym spojrzała w okno izolatki Roberta Langdona, w którym właśnie gasło światło.

Wcześniej tego samego wieczoru nie zdołała wypełnić powierzonej jej misji. Jedno zagruchanie gołębicy zmieniło wszystko.

Teraz będzie musiała to naprawić.

Rozdział 2

– Jestem we Florencji?

Robert Langdon nadal czuł ból głowy. Siedział prosto na szpitalnym łóżku, wduszając raz po raz przycisk alarmowy. Pomimo zaaplikowanych niedawno środków uspokajających serce waliło mu w piersi jak oszalałe.

Doktor Brooks, potrząsając kucykiem przy każdym zdecydowanym kroku, wróciła pośpiesznie do izolatki.

– Coś się stało?

Zdezorientowany Langdon pokręcił głową.

– Czy to... Włochy?!

– Mamy postęp – ucieszyła się lekarka. – Wraca panu pamięć.

– Nie wraca. – Robert wskazał na majaczącą w oddali budowlę. – Rozpoznałem Palazzo Vecchio.

Doktor Brooks zapaliła ponownie światło i panorama Florencji zniknęła. Kobieta podeszła do łóżka, przemawiając zniżonym głosem.

– Nie ma powodów do obaw, panie Langdon. Doświadcza pan objawów łagodnej amnezji, niemniej doktor Marconi zapewnił mnie, że pański mózg funkcjonuje prawidłowo.

Zwabiony sygnałem przycisku alarmowego brodacz także pojawił się w izolatce. Przyglądał się widocznym na monitorze wykresom pracy serca Langdona, gdy jego młodsza koleżanka perorowała po włosku – informując o tym, że Langdon był *agitato*, gdy odkrył, że przebywa we Włoszech.

Agitato? powtórzył w myślach rozzłoszczony Robert. Pobudzony? Raczej zdumiony!

Adrenalina krążąca w jego żyłach walczyła wciąż ze środkami uspokajającymi.

– Co mi się przydarzyło? – spytał. – Jaki mamy dziś dzień?

– Proszę się niczym nie martwić – uspokajała go lekarka. – Właśnie zaczyna się poniedziałek, osiemnasty marca.

Poniedziałek...

Langdon pomimo bólu spróbował sięgnąć myślami do ostatnich wspomnień – czyli chłodu i mroku, w jakich przemierzał kampus Harvardu, idąc na wieczorne sobotnie zajęcia.

To było dwa dni temu?!

Poczuł ukłucie paniki, gdy spróbował przypomnieć sobie, co wydarzyło się na zajęciach i po nich. W głowie miał pustkę. Usłyszał szybsze pikanie maszyny monitorującej pracę jego serca.

Brodaty lekarz podrapał się po brodzie i znów zajął się sprzętem. Doktor Brooks przysiadła obok Langdona.

– Nic panu nie będzie – dodała mu otuchy przyjaznym tonem. – Zdiagnozowaliśmy u pana amnezję wsteczną, co jest bardzo częstą przypadłością przy urazach czaszki. Może pan mieć problemy z przypomnieniem sobie wydarzeń z kilku ostatnich dni, ale z pewnością nie doznał pan żadnego trwałego uszczerbku na

zdrowiu... – zamilkła na moment. – Pamięta pan, jak mam na imię? Przedstawiłam się, wchodząc do izolatki.

Langdon zastanawiał się przez chwilę.

– Sienna... Doktor Sienna Brooks.

Uśmiechnęła się.

– Widzi pan? Pamięta pan wszystko jak trzeba.

Roberta potwornie bolała głowa, z jego wzrokiem także było nie najlepiej, widział wszystko jak przez mgłę.

– Co się stało? Jak... jak tutaj trafiłem?

– Teraz powinien pan odpocząć, może potem...

– Jak trafiłem do szpitala? – zapytał stanowczo, a pikanie monitora znów przyśpieszyło.

– Proszę oddychać miarowo – poleciła mu lekarka, wymieniając nerwowe spojrzenia z kolegą po fachu. – Dobrze, już dobrze... powiem panu. – Przybrała poważniejszy ton. – Panie Langdon, trzy godziny temu wtoczył się pan do naszej izby przyjęć z krwawiącą raną na głowie i niemal natychmiast stracił pan przytomność. Nikt nie wiedział, kim pan jest ani skąd pan się tu wziął. Mamrotał pan coś po angielsku, zatem doktor Marconi poprosił mnie o asystowanie. Przyjechałam tutaj z Wielkiej Brytanii na staż podyplomowy.

Langdon poczuł się, jakby trafił do wnętrza obrazu Maxa Ernsta.

Co ja u licha robiłem we Włoszech?

W czerwcu każdego roku przyjeżdżał do tego kraju na konferencję poświęconą sztuce, ale teraz był dopiero marzec.

Środki uspokajające zaczęły nareszcie działać, poczuł, że grawitacja rośnie z każdą sekundą, jakby natura próbowała go

wtłoczyć w materac. Zdołał jednak zapanować nad ogarniającym go otępieniem i podniósł głowę.

Doktor Brooks pochylała się nad nim jak anioł stróż.

– Proszę, panie Langdon – wyszeptała. – Przy urazach czaszki należy zachowywać szczególną ostrożność, zwłaszcza przez pierwszą dobę. Musi pan odpoczywać, w przeciwnym razie grożą panu poważne powikłania.

Z interkomu dobiegło nagłe szczeknięcie.

– *Dottore Marconi?*

Brodacz nacisnął klawisz umieszczony na ściennym panelu.

– *Sì?*

Z głośnika dobiegł potok włoskich słów. Langdon niczego nie zrozumiał, ale zauważył, że oboje lekarze wymieniają zdziwione spojrzenia. A może raczej zaniepokojone?

– *Momento* – odparł Marconi, kończąc rozmowę.

– O co chodzi? – zainteresował się Robert.

Oczy doktor Brooks wydawały się nieco węższe niż przed chwilą.

– To była szpitalna recepcjonistka. Ma pan gościa.

Promień nadziei zaświtał w mroku niepokoju Langdona.

– Świetna wiadomość! Może ta osoba będzie wiedziała, co mi się przydarzyło.

Lekarka nie wyglądała na przekonaną.

– Dziwi mnie ta wizyta. Do niedawna nie znaliśmy pańskiego nazwiska, nie zdążyliśmy go jeszcze umieścić w systemie.

Langdon przezwyciężył działanie środków uspokajających i niezdarnie poprawił się na łóżku.

– Skoro ta osoba wie, gdzie jestem, powinna także wiedzieć, co mi się przytrafiło!

Doktor Brooks zerknęła na doktora Marconiego, a ten natychmiast pokręcił głową i postukał palcem w szkiełko zegarka. Kobieta spojrzała ponownie na Langdona.

– To oddział intensywnej terapii – wyjaśniła. – Goście nie mają tutaj wstępu przed dziewiątą rano. Doktor Marconi pójdzie sprawdzić, kim jest pański gość i czego chce.

– Dlaczego ani trochę was nie obchodzi, czego ja chcę? – oburzył się Robert.

Doktor Brooks uśmiechnęła się pobłażliwie, po czym zniżyła głos.

– Nie powiedzieliśmy panu wszystkiego o wydarzeniach minionej nocy... o tym, co się panu przydarzyło. Powinien pan mieć pełną orientację, zanim zacznie pan rozmawiać z osobami postronnymi. Obawiam się jednak, że jest pan jeszcze za słaby, by...

– Pełną orientację? – podchwycił Langdon. – O czym pani mówi? – Z trudem wyprostował plecy. Uwierała go igła kroplówki, a ciało zdawało się ważyć kilkaset kilogramów. – Wiem, że dotarłem do florenckiego szpitala, mamrocząc pod nosem, że jest mi bardzo przykro... – Kolejna myśl zmroziła mu krew w żyłach. – Spowodowałem wypadek samochodowy? – zapytał. – Zraniłem kogoś?

– Nie – odparła lekarka. – Raczej nie.

– Zatem o co chodzi? – wściekał się Robert, wodząc wzrokiem po obojgu lekarzach. – Mam prawo wiedzieć, co tu się wyrabia!

Po dłuższej chwili milczenia doktor Marconi skinął niechętnie głową, dając koleżance pozwolenie na dalsze wyjaśnienia. Doktor Brooks westchnęła, po czym przysunęła się jeszcze bliżej Langdona.

– Zróbmy tak, ja powiem wszystko, co wiem... a pan wysłucha tego ze spokojem do końca.

Robert kiwnął głową, lekko, ale i to wystarczyło, by poczuł przeszywający ból we wnętrzu czaszki. Zignorował go jednak, nie mogąc doczekać się wyjaśnień.

– Po pierwsze... pańska rana nie powstała wskutek wypadku.

– To chyba dobrze?

– Niezupełnie. Jeśli mam być szczera, to rana postrzałowa.

Aparatura znowu zaczęła popiskiwać szybciej.

– Co takiego?!

– Kula drasnęła czaszkę, powodując lekkie wstrząśnienie mózgu. To cud, że pan przeżył. Parę centymetrów niżej i... – pokręciła głową.

Langdon spoglądał na nią z niedowierzaniem.

Ktoś mnie postrzelił?

Z holu dobiegły podniesione głosy. Ktoś się tam awanturował. Wyglądało na to, że osoba pragnąca odwiedzić Roberta nie zamierza dłużej czekać. Moment później rozległ się trzask ciężkich drzwi na drugim końcu korytarza, a niedługo potem Langdon dostrzegł sylwetkę zbliżającego się gościa.

Kobieta nosiła czarny skórzany kombinezon. Była dobrze umięśniona, na głowie miała irokeza. Poruszała się z gracją, jakby nie dotykała stopami ziemi, idąc prosto do izolatki Langdona.

Niewiele myśląc, doktor Marconi wypadł za otwarte drzwi i zablokował drogę nieoczekiwanemu gościowi.

– *Ferma!* – rozkazał, wysuwając władczo dłoń, jak robią to policjanci.

Kobieta, nie zwalniając nawet kroku, wyjęła zza pleców pistolet z tłumikiem. Wymierzyła prosto w pierś doktora Marconiego i nacisnęła spust.

Rozległo się ciche syknięcie.

Robert obserwował z przerażeniem, jak lekarz chwieje się i cofa do wnętrza izolatki, kurczowo trzymając za serce. Jego biały kitel przesiąkał krwią.

Rozdział 3

Siedemdziesięciodwumetrowy luksusowy jacht Mendacium sunął osiem kilometrów od wybrzeży Włoch przez mgiełkę otulającą przed świtem spokojne wody Adriatyku. Jego niewidzialny dla radarów kadłub pomalowano na metalicznie szary kolor, przez co kojarzył się z groźną jednostką wojskową.

Wyceniany na ponad trzysta milionów dolarów statek miał na swoim pokładzie wszystkie wygody – spa, basen, kino, jednoosobowe łodzie podwodne i lądowisko dla helikopterów – ale zbytki te niespecjalnie interesowały właściciela, który pięć lat temu, niemal natychmiast po odebraniu jednostki ze stoczni, kazał ją przekształcić w pływające elektroniczne centrum dowodzenia, niczym nieustępujące wojskowym odpowiednikom.

W dyspozytorni mającej dostęp do danych z trzech satelitów oraz masy naziemnych przekaźników pracowało ponad dwudziestu ludzi – techników, analityków, koordynatorów – którzy mieszkali na pokładzie jachtu, utrzymując nieprzerwaną łączność z pozostałymi naziemnymi centrami operacyjnymi organizacji.

Za bezpieczeństwo statku odpowiadał mały oddział doskonale wyszkolonych żołnierzy, dwa systemy obrony przeciwrakietowej i cały arsenał najnowocześniejszego uzbrojenia. Załoga – wliczając kucharzy, sprzątaczy i stewardów – liczyła ponad czterdzieści osób. W rzeczywistości Mendacium był pływającym biurowcem, z którego właściciel mógł zarządzać należącym do niego imperium.

Znany swoim podwładnym wyłącznie jako „Zarządca" był karłowatym szczupłym mężczyzną o ciemnej karnacji i głęboko osadzonych oczach. Niezbyt okazały wygląd i bezpośredniość pasowały jednak idealnie do człowieka, który dorobił się wielkiej fortuny na wykonywaniu zadań specjalnych w szarej strefie.

Nazywano go rozmaicie – bezlitosnym najemnikiem, zatwardziałym grzesznikiem, pomiotem diabła – ale żadne z tych określeń nie odzwierciedlało prawdy. Zarządca jedynie umożliwiał swoim klientom spełnienie najskrytszych marzeń i zaspokojenie najgłębszych ambicji, i to bez obaw o konsekwencje. Fakt, że ludzkość była grzeszna z natury, nie stanowił jego problemu.

Wbrew opiniom krytyków oraz ich obiekcjom etycznym kompas moralny Zarządcy wskazywał zawsze ten sam kierunek. Zbudował on swoją reputację – i Konsorcjum przy okazji – na dwu złotych zasadach.

Nigdy nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać.

Nigdy nie okłamuj klienta.

Przenigdy.

W całej swojej dotychczasowej karierze Zarządca nigdy nie złamał danego słowa ani nie renegocjował kontraktu. Jego obietnice były objęte gwarancją absolutną – i choć kilkakrotnie

żałował przyjęcia tego czy innego kontraktu, nigdy nawet nie pomyślał o zerwaniu umowy.

Tego ranka Zarządca, wyszedłszy na balkonik przylegający do swojej kajuty i spojrzawszy na falujące morze, próbował stłumić targający nim niepokój.

Decyzje podjęte w przeszłości kształtują naszą teraźniejszość.

Dawne decyzje Zarządcy pozwoliły mu na bezpieczne przejście przez niemal wszystkie pola minowe. Dzisiaj jednak, gdy spoglądał na widoczne w oddali światła włoskich miast, nie czuł się zbyt pewnie.

Przed rokiem na pokładzie tego samego jachtu podjął decyzję, która mogła go przywieść do utraty wszystkiego, co stworzył.

Zgodziłem się świadczyć usługi niewłaściwej osobie...

To zobowiązanie doprowadziło z czasem do wielu gwałtownych zawirowań, zmuszając Zarządcę do posłania wszystkich swoich najlepszych ludzi w teren, aby zrobili co w ich mocy i uchronili jego imperium od zatonięcia.

W tej właśnie chwili czekał na meldunek od jednego ze swych agentów.

Vayentha, pomyślał, przywołując w pamięci obraz muskularnej, uczesanej w irokeza specjalistki. Vayentha, aż do teraz służąca mu bez zarzutu, tej nocy popełniła błąd, który mógł mieć poważne konsekwencje. Przez ostatnie sześć godzin miotała się, desperacko próbując odzyskać kontrolę nad sytuacją.

Powiedziała, że chodziło o zwykłego pecha, że ręka jej drgnęła, gdy usłyszała niespodziewane gruchanie gołębia.

Zarządca nie wierzył jednak w pecha ani w szczęście. Każde działanie kalkulował na zimno, by wykluczyć przypadek. Jego

domeną była kontrola – starał się przewidzieć każdą możliwość, uprzedzić każdą reakcję i tak kształtować rzeczywistość, by osiągnąć zamierzony efekt. Mógł się poszczycić pasmem sukcesów i pełną dyskrecją, dzięki czemu z jego usług korzystali najlepsi klienci: miliarderzy, politycy, szejkowie, a nawet rządy.

Nad horyzontem na wschodzie pojawił się pierwszy, niewyraźny jeszcze blask przedświtu, w którym bledły wiszące najniżej gwiazdy. A Zarządca stał na pokładzie swojego jachtu, cierpliwie czekając na raport Vayenthy mówiący o tym, że misja została zakończona zgodnie z planem.

Rozdział 4

Przez moment Langdon miał wrażenie, jakby czas wokół niego zamarł.

Doktor Marconi leżał nieruchomo na ziemi, a krew tryskała z rany na jego piersi. Walcząc z otępieniem spowodowanym wstrzyknięciem środków uspokajających, Robert przeniósł wzrok na uczesaną w irokeza zabójczynię, która wciąż szła korytarzem, pokonując ostatnie kilka metrów dzielących ją od otwartych drzwi. Podchodząc do progu, uniosła broń i wycelowała w jego stronę... prosto w głowę.

Dotarło do niego, że zaraz zginie. Tutaj i teraz.

Huk w tak małym pomieszczeniu był ogłuszający.

Langdon wzdrygnął się, pewien, że został trafiony, ale odgłos nie pochodził z broni napastniczki. Wydały go ciężkie metalowe drzwi, które doktor Brooks zatrzasnęła z impetem, przekręcając natychmiast klucz.

Lekarka odwróciła się i z przerażeniem w oczach przyklęknęła obok rannego kolegi, by zmierzyć mu puls. Doktor Marconi zakaszlał, na jego wargach pojawiła się zabarwiona na czerwono

ślina. Krew ściekała strumyczkami prosto w gęstą brodę. Moment później mężczyzna znieruchomiał.

– *Enrico, no! Ti prego!* – krzyknęła doktor Brooks.

Seria kul zmasakrowała zewnętrzną powierzchnię grubych drzwi. W głębi korytarza rozległy się krzyki.

Langdon zdołał się jakimś cudem poruszyć, panika i instynkt pokonały w końcu działanie środków uspokajających. Gdy staczał się z łóżka, poczuł w prawym przedramieniu palący ból. Przez moment bał się, że jedna z kul przebiła drzwi i sięgnęła jego ciała, ale gdy spojrzał na rękę, zrozumiał, że właśnie wyrwał igłę kroplówki. Z otwartego wenflonu sączyła się ciepła krew.

To go rozbudziło do reszty.

Zapłakana lekarka wciąż próbowała wymacać puls Marconiego. A potem, niespodziewanie, jakby ktoś przełożył dźwignię w jej umyśle, wstała i spojrzała na Roberta. Zobaczył, jak zmienia się wyraz jej twarzy, gdy wraca do roli lekarza izby przyjęć muszącego stawić czoło kryzysowej sytuacji.

– Za mną – rozkazała.

Chwyciła Langdona za rękę i pociągnęła w głąb izolatki. Robert ruszył za nią chwiejnym krokiem, wciąż słysząc dobiegające z korytarza odgłosy strzałów i wrzaski. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach, ale naszpikowane lekami ciało reagowało opornie.

Szybciej!

Czuł pod stopami chłód wykafelkowanej podłogi, szpitalna koszula ledwie zakrywała jego mierzące ponad sto osiemdziesiąt centymetrów ciało. Krew w dalszym ciągu sączyła się z wenflonu, zbierając się we wnętrzu dłoni.

Kolejne pociski masakrowały solidną klamkę, gdy doktor Brooks wciskała Langdona do niewielkiej łazienki. Już przestępowała przez próg, gdy nagle obróciła się na pięcie, podbiegła do lady i chwyciła jego marynarkę.

Co ty, kobieto, do cholery wyrabiasz?!

Lekarka wróciła biegiem i szybko zamknęła za sobą drzwi łazienki. W tej samej chwili ostrzeliwany zamek w końcu puścił i wejście stanęło otworem.

Doktor Brooks przejęła inicjatywę, przecisnęła się do drzwi na przeciwległej ścianie, otworzyła je i wprowadziła Roberta do przyległej izolatki. Przy wtórze kolejnych strzałów wychyliła głowę na korytarz, znów chwyciła pacjenta za ramię i pobiegła z nim w kierunku pobliskiej klatki schodowej. Nagły ruch sprawił, że Langdonowi zakręciło się w głowie; miał wrażenie, że lada moment straci przytomność.

Następne piętnaście sekund pamiętał jak przez mgłę... stopnie prowadzące w dół... potknięcie... upadek. Łomot w głowie stał się nie do wytrzymania. Do tego zaczął gorzej widzieć i musiał zmuszać mięśnie do posłuszeństwa.

Nagle powietrze zrobiło się znacznie zimniejsze.

Jestem na zewnątrz...

Gdy doktor Brooks pociągnęła go w głąb ciemnej alejki, byle dalej od budynku szpitala, nadepnął na coś ostrego i upadł z impetem na twarde płyty chodnika. Próbowała go podnieść, klnąc pod nosem na fakt, że został tak naszprycowany.

Przy końcu alejki Langdon ponownie upadł. Tym razem zostawiła go na ziemi i wybiegła na ulicę, wołając do kogoś. Robert dostrzegł w oddali zamglone zielone światełka taksówki

zaparkowanej przed szpitalem. Wóz ani drgnął, zapewne jego kierowca zapadł w drzemkę. Doktor Brooks wydzierała się z całych sił, machając przy tym rękami. W końcu zapłonęły reflektory i samochód zaczął się toczyć w ich kierunku.

Gdzieś z głębi alejki, zza pleców Langdona, dobiegł odgłos otwieranych z trzaskiem drzwi i stukot zbliżających się szybko kroków. Robert odwrócił głowę i dostrzegł czarną postać pędzącą w jego stronę. Chciał wstać, jednakże lekarka uprzedziła go, chwytając pod pachy, by wciągnąć do wnętrza starego fiata. Wylądował na poły na fotelu, na poły na podłodze, a ona na oślep zanurkowała za nim, trzaskając drzwiami.

Zaspany taryfiarz odwrócił się, patrząc ze zdumieniem na dziwaczną parę, która wtoczyła się do jego wozu: ubraną w niebieski lekarski strój młodą kobietę z włosami spiętymi w kucyk i zakrwawionego mężczyznę odzianego w poszarpaną szpitalną koszulę. Boczne lusterko jego taksówki eksplodowało, zanim zdążył otworzyć usta, by kazać im iść precz. Z ciemnej alejki wybiegła ubrana na czarno kobieta z pistoletem w uniesionej dłoni. Gdy rozległ się kolejny strzał, doktor Brooks przycisnęła Langdona do podłogi. Tylna szyba rozpadła się w drobny mak, zasypując ich gradem odłamków.

Taksówkarz nie potrzebował dodatkowej zachęty. Wcisnął pedał gazu i ruszył z kopyta.

Robert był bliski omdlenia.

Ktoś próbuje mnie zabić?

Gdy minęli pierwszy zakręt, doktor Brooks podniosła się i chwyciła go za zakrwawioną rękę.

– Wyjrzyj za okno – poleciła.

Usłuchał. W mroku za szybą przemykały widmowe nagrobki. Widok mijanego cmentarza dziwnie pasował do tej chwili. Langdon poczuł, jak lekarka po omacku szuka ostrożnie wenflonu, po czym bez ostrzeżenia wyrywa go z żyły.

Kolejna fala obezwładniającego bólu dotarła prosto do mózgu Roberta. Poczuł, jak oczy uciekają mu w głąb głowy, a potem wszystko utonęło w czerni.

Rozdział 5

Słysząc dzwonek telefonu, Zarządca oderwał wzrok od uspokajającej mgiełki nad Adriatykiem i szybko wrócił do kajuty.

Najwyższa pora, pomyślał złakniony wieści.

Ekran komputera ożył, wyświetlając informację, że osoba dzwoniąca usiłuje się z nim połączyć, korzystając z urządzenia tiger XS, to jest szyfratora transmisji głosowej szwedzkiej firmy Sectra, natomiast samo połączenie przekierowano przez kilka nienamierzalnych routerów.

Chwycił słuchawki.

– Tu Zarządca – zgłosił się, wypowiadając wyraźnie każde słowo. – Słucham.

– Melduje się Vayentha – usłyszał.

Wyczuł zdenerwowanie w jej głosie. Agenci polowi rzadko rozmawiali bezpośrednio z Zarządcą, a jeszcze rzadziej zostawali na jego usługach po takiej wpadce jak ta ubiegłej nocy. On jednak uważał, że tylko agent znajdujący się w terenie może zażegnać kryzys, zwłaszcza gdy jest najlepszy w swoim fachu.

– Mam nowe informacje – doniosła Vayentha. Zarządca milczał, pozwalając jej kontynuować. Gdy odezwała się ponownie, uczyniła

to wypranym z emocji głosem, by jej wypowiedź zabrzmiała profesjonalnie. – Langdon uciekł. Ma ze sobą obiekt.

Zarządca zajął miejsce za biurkiem, nic nie mówiąc przez dłuższą chwilę.

– Rozumiem – rzekł w końcu. – Przypuszczam, że przy pierwszej sposobności spróbuje skontaktować się z kimś z władz.

Dwa pokłady niżej, w dyspozytorni, starszy facylitator Laurence Knowlton zauważył, że Zarządca skończył zaszyfrowaną rozmowę. Miał nadzieję, że wieści były dobre. W ciągu ostatnich dwóch dni napięcie szefa wzrosło zauważalnie i nikt na statku nie wątpił, że ma to związek z prowadzoną właśnie operacją.

Gramy o niewyobrażalnie wysoką stawkę, lepiej więc, by Vayentha załatwiła tę sprawę do końca.

Zazwyczaj Knowlton wprowadzał w życie misterne plany Zarządcy, lecz ten konkretny scenariusz poszedł niedawno w rozsypkę, zmuszając szefa do przejęcia osobistego nadzoru nad operacją.

Wkroczyliśmy na nieznane nam terytorium.

Rozsiane na całym świecie biura terenowe Konsorcjum obsługiwały kilka prowadzonych równolegle misji, dzięki czemu Zarządca i jego ludzie z pokładu Mendacium mogli się skupić na swoim zadaniu.

Mimo że ich klient popełnił samobójstwo kilka dni temu we Florencji, nie przerwali zleconych przez niego operacji, które zgodnie z umową mieli dokończyć bez względu na okoliczności, nie zadając żadnych pytań.

Otrzymałem rozkazy, pomyślał Knowlton gotów do ich bezwarunkowego wykonania. Wyszedł z dźwiękoszczelnego

szklanego boksu i minął kilka podobnych pomieszczeń – część z nich była przezroczysta, inne nie – gdzie pozostali operatorzy zajmowali się różnymi aspektami tej samej operacji.

Następnie przeszedł przez ciasną sterownię i skinąwszy głową pełniącym wachtę technikom, dostał się do wydzielonego pomieszczenia, w którym znajdowało się kilkanaście skrytek. Otworzył jedną z nich i wyjął zawartość – w tym przypadku jaskrawoczerwony flashpen. Zgodnie z dołączoną fiszką urządzenie zawierało spory plik wideo, który ich klient polecił przesłać czołowym światowym mediom o określonej godzinie nazajutrz rano.

Chociaż nie przewidywano żadnych problemów, protokół Konsorcjum dotyczący wszelkich plików cyfrowych wymagał, aby zostały one przejrzane na dobę przed emisją, dzięki czemu fachowcy zyskiwali czas na ich ewentualną deszyfrację, montaż czy też inne przygotowania niezbędne do publikacji o wyznaczonej porze.

Nie zostawiamy niczego przypadkowi, pomyślał Knowlton, po czym wrócił do swojego przezroczystego boksu i zamknął za sobą ciężkie szklane drzwi, odcinając się od świata zewnętrznego.

Nacisnął przełącznik i otaczające go ściany natychmiast zmatowiały. Ze względów bezpieczeństwa wszystkie boksy zostały skonstruowane ze specjalnego szkła wyprodukowanego w oparciu o technikę SPD zwaną także techniką cząstek zawieszonych. Ich ściany można było bez problemu zmatowić, włączając prąd, dzięki czemu miliony uwięzionych między taflami cząstek ustawiały się w określonym porządku bądź powracały do stanu chaosu.

Stosowanie najnowszej wiedzy było kamieniem węgielnym sukcesu odniesionego przez Konsorcjum. Podobnie jak ścisły podział obowiązków.

Każdy wie tylko tyle, ile musi wiedzieć. I nikomu o niczym nie mówi.

Usadowiwszy się w swoim biurze, Knowlton wsunął flashpen do gniazda komputera i kliknął wyświetlony folder, by rozpocząć pracę.

Ekran natychmiast pociemniał... z głośników dobiegł dźwięk przypominający kapanie wody. Z czerni powoli wyłaniał się obraz... amorficzny i zacieniony. Przypominał wnętrze spowitej mrokiem jaskini... gigantycznej komory. Całe dno pokrywała woda, jakby podziemne jezioro. Co ciekawe i dziwne, jej powierzchnia wydawała się lśnić... jakby coś podświetlało ją z głębin.

Knowlton nigdy nie widział czegoś podobnego. Cała jaskinia żarzyła się lekką rdzawą poświatą, po jej ścianach pełzały jaśniejsze refleksy kołyszącej się wody.

Co to za miejsce?

W miarę trwania projekcji obiektyw kamery kierował się w dół, aż przybrał pozycję pionową, aby po chwili zanurzyć się w lśniącej wodzie. Urządzenie sunęło nieprzerwanie, zatrzymało się dopiero metr pod powierzchnią, ukazując zamulone dno jaskini.

Przymocowano do niego prostokątną tabliczkę z błyszczącego tytanu.

Był na niej jakiś napis.

TUTAJ
ŚWIAT ZMIENIŁ SIĘ NA ZAWSZE

Poniżej wygrawerowano nazwisko i datę.
Nazwisko należało do ich klienta.
Data była... jutrzejsza.

Rozdział 6

Langdon czuł, jak unoszą go czyjeś silne ręce... wyrywając go z delirium przy wyciąganiu z taksówki. Znów miał pod bosymi stopami zimne płyty chodnika.

Wspierając się na drobniutkim ramieniu doktor Brooks, kroczył chwiejnie pustym przejściem między dwoma apartamentowcami. Poranny wiaterek dął, podwiewając mu szpitalną koszulę, przez co Langdon czuł chłód nawet tam, gdzie nie powinien.

Środki uspokajające zaaplikowane w szpitalu nadal wywierały wpływ na jego umysł i wzrok. Miał wrażenie, że zewsząd otacza go woda, że musi się przedzierać ku przydymionemu blaskowi dnia. Doktor Brooks ciągnęła go naprzód, wspierając z zadziwiającą siłą.

– Uwaga, schody – powiedziała i Langdon nagle zrozumiał, że dotarli do bocznego wejścia do budynku.

Chwycił się poręczy i niezdarnie wdrapał wyżej. Wolno, krok po kroku. Ciało ciążyło mu niesłychanie. Lekarka musiała go popychać. Gdy dotarli na półpiętro, wcisnęła kilka klawiszy na staromodnym pordzewiałym panelu i drzwi obok otworzyły się z cichym brzęczeniem.

W środku nie było wiele cieplej, ale zamiast chłodnego porowatego betonu Robert miał teraz pod stopami coś w rodzaju wykładziny. Lekarka zaciągnęła go do ciasnej windy, otworzywszy uprzednio rozsuwane drzwi. Wcisnęli się oboje do wnętrza niewiele większego od budki telefonicznej. Winda cuchnęła papierosami MS – ich słodko-kwaśna woń była tak popularna we Włoszech jak aromat świeżego espresso. Tym razem jednak ten nieprzyjemny zapach sprawił, że Langdonowi rozjaśniło się w głowie. Doktor Brooks nacisnęła klawisz i gdzieś wysoko nad nimi zachrzęściły mechaniczne koła, wprawiając klatkę w ruch.

Jechali w górę...

Skrzypiąca kabina drżała nieustannie. Ponieważ zbudowano ją z metalowych prętów, Langdon widział umykające ściany szybu. Nawet w takiej sytuacji, pomimo środków uspokajających wciąż krążących w jego krwiobiegu, odezwała się w nim klaustrofobia.

Nie patrz!

Oparł się o ścianę, próbując odzyskać oddech. Przedramię piekło go, a gdy spojrzał w dół, zauważył, że oplata je rękaw, służąc za coś w rodzaju opatrunku. Reszta marynarki walała się na ziemi.

Przymknął oczy, czując kolejny atak bólu, i znów pochłonęła go ciemność.

Ujrzał znajomą wizję – posągowa postać kobiety w welonie, z amuletem i kaskadami srebrnoszarych włosów jak poprzednio stała na brzegu rzeki krwi, otoczona wijącymi się ciałami. I ponownie odezwała się błagalnym tonem do Langdona.

Szukaj, a znajdziesz!

Roberta przepełniało uczucie, że musi ocalić... ją i ich wszystkich. Tymczasem stopy zakopanych do góry nogami ciał opadały jedna po drugiej.

Kim jesteś?! zawołał bezgłośnie. *Czego ode mnie chcesz?*

Jej piękne siwe włosy zaczęły falować na gorącym wietrze.

Czas nam się kończy, wyszeptała, tuląc amulet. A potem nagle, bez ostrzeżenia, eksplodowała, zamieniając się w słup ognia, który sięgnął aż za rzekę, pochłaniając ich oboje.

Langdon wrzasnął, otwierając szeroko oczy.

Doktor Brooks przyglądała mu się zaniepokojona.

– Co się stało?

– Mam halucynacje! – wykrzyknął Robert. – Wciąż te same.

– Chodzi o tę siwą kobietę i otaczające ją ciała?

Langdon skinął głową; pot perlił mu się na czole.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła go, mimo iż sama była rozedrgana. – Tego typu wizje są częste przy amnezji. Pański mózg próbuje skatalogować czasowo utracone wspomnienia i dlatego widzi pan wszystko naraz.

– Nie jest to zbyt miły obraz – wystękał.

– Wiem, ale dopóki pan nie wydobrzeje, ostatnie wspomnienia pozostaną zamazane i chaotyczne. Przeszłość, teraźniejszość i wyobrażenia będą się mieszały ze sobą. Tak samo jak w snach.

Winda zatrzymała się z szarpnięciem i doktor Brooks otworzyła następne rozsuwane drzwi. Znów byli w ruchu, tym razem szli wąskim i ciemnym korytarzem. Minęli okno, za którym widać było majaczące florenckie dachy ledwie się odcinające od szarzejącego właśnie nieba. Na końcu korytarza lekarka

przykucnęła, by wyjąć klucz spod usychającej roślinki, i otworzyła nim pobliskie drzwi.

Mieszkanie było niewielkie, panował w nim zaduch – woń palonej niedawno waniliowej świecy walczyła o prymat z zapachem starych dywanów. Umeblowanie i wystrój można było uznać najwyżej za skromne, jakby właścicielka kupiła wszystkie przedmioty na ulicznych wyprzedażach.

Doktor Brooks pomajstrowała przy termostacie i grzejniki natychmiast ożyły. Kobieta stanęła na moment w bezruchu z zamkniętymi oczyma, oddychając głęboko, jakby próbowała wziąć się w garść. Jednakże prędko się obróciła i wprowadziła Roberta do skromnej wnęki kuchennej, gdzie obok stołu znajdowały się dwa podniszczone krzesła.

Langdon ruszył ku jednemu z nich, mając nadzieję na chwilę odpoczynku, ale Sienna Brooks chwyciła go za dłoń, drugą ręką otwierając w tym samym czasie szafkę. Na pustawych półkach leżały tylko krakersy, kilka paczek makaronu, puszka coli i buteleczka z lekami.

Doktor Brooks otworzyła tę ostatnią i wysypała sześć tabletek na dłoń Langdona.

– To kofeina – wyjaśniła. – Używam jej podczas pracy na nocnym dyżurze, jak dzisiaj. – Robert wrzucił tabletki do ust i rozejrzał się za wodą. – Proszę je pogryźć – poradziła. – Dzięki temu zadziałają szybciej i pomogą zwalczyć wpływ środków uspokajających.

Langdon posłuchał i natychmiast się skrzywił. Pastylki były gorzkie, z pewnością należało je połykać w całości. Doktor Brooks

otworzyła lodówkę i podała mu na wpół opróżnioną butelkę San Pellegrino. Z wdzięcznością pociągnął długi łyk.

Gospodyni ujęła go za prawe ramię, by zdjąć prowizoryczny opatrunek zrobiony z rękawa marynarki, którą odłożyła następnie na stół. Potem przyjrzała się uważnie ranie. Gdy przesuwała palcami po gołej skórze, czuł, że drżą jej dłonie.

– Przeżyje pan – zawyrokowała w końcu.

Robert miał nadzieję, że i jej nic się nie stanie. On sam z trudem ogarniał to wszystko, co ich ostatnio spotkało.

– Pani doktor... – zaczął. – Powinniśmy gdzieś zadzwonić. Do konsulatu... albo na policję. Dokądkolwiek.

Skinęła głową na znak, że się zgadza.

– Tylko proszę nie mówić do mnie per pani doktor. Na imię mam Sienna.

Langdon skinął głową.

– Dobrze. A ja jestem Robert. – Fakt, że uratowała mu życie, usprawiedliwiał natychmiastowe przejście na ty. – Mówiłaś, że jesteś Brytyjką?

– Tak. Tam się urodziłam.

– Nie mówisz z brytyjskim akcentem.

– Miło mi to słyszeć – odparła. – Sporo się napracowałam, by go stracić.

Langdon już miał podjąć temat, jednakże Sienna skinęła na niego, by poszedł za nią. Zaprowadziła go wąskim przedpokojem do maleńkiej tonącej w półmroku łazienki. W lustrze nad umywalką Robert dostrzegł swoje odbicie po raz pierwszy od chwili spojrzenia w okno izolatki.

Wyglądał strasznie. Gęste ciemne włosy miał skołtunione, a oczy podpuchnięte i zmęczone. Jego żuchwę porastała rzadka szczecina.

Sienna odkręciła kran i wsunęła zranione przedramię Langdona pod strumień lodowatej wody. Zabolało, ale wytrzymał, krzywiąc się tylko. Brooks wyjęła czystą szmatkę i nasączyła ją mydłem antybakteryjnym.

– Lepiej nie patrz.

– To nic, nie przeszkadza mi widok...

Sienna przetarła okolice rany zdecydowanym ruchem, powodując falę potwornego bólu. Robert musiał zacisnąć zęby, aby nie zawyć w proteście.

– Nie chcesz przecież, żeby wdała się infekcja – rzuciła, trąc jeszcze mocniej. – Poza tym skoro chcesz skontaktować się z władzami, musisz być przytomniejszy niż teraz. A nic tak nie otrzeźwia jak odrobina bólu.

Langdon wytrzymał jeszcze dziesięć pełnych sekund takiego traktowania, zanim wyrwał rękę z jej dłoni.

– Dość!

Musiał jednak przyznać, że czuje się lepiej i jest bardziej świadomy. Ból w ręce przyćmił nawet dolegliwości związane z głową.

– Świetnie – ucieszyła się, zakręcając kurek i osuszając mu rękę czystym ręcznikiem. Właśnie bandażowała ranę, gdy zdał sobie sprawę z czegoś, co właśnie zauważył i co bardzo go rozzłościło.

Od niemal czterdziestu lat nosił na nadgarstku kolekcjonerski zegarek, naprawdę rzadki okaz z kolekcji Myszki Miki, otrzymany w prezencie jeszcze od rodziców. Uśmiech disnejowskiej postaci

i jej machające ręce przypominały mu niezmiennie, że powinien częściej okazywać radość i w ogóle podchodzić do życia z większym przymrużeniem oka.

– Mój... zegarek – wydukał. – Nie ma go! – Poczuł się jak nagi. – Czy miałem go na nadgarstku, gdy przyszedłem do szpitala?

Sienna obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem, zapewne zastanawiając się, dlaczego martwi go akurat ten drobiazg.

– Nie pamiętam żadnego zegarka. Umyj się. Wrócę za kilka minut i wtedy wspólnie pomyślimy, jak ci pomóc. – Odwróciła się, by wyjść, ale przystanęła w progu i wpatrzywszy się w oczy jego odbicia w lustrze, dodała: – Lepiej się zastanów, kto mógłby chcieć twojej śmierci. Sądzę, że to będzie pierwsze pytanie, jakie zadadzą ci władze.

– Czekaj. Dokąd idziesz?

– Nie możesz rozmawiać z policją w szpitalnej koszuli. Znajdę ci jakieś ubranie. Mój sąsiad jest podobnej budowy. Wyjechał, a ja karmię jego kota. Jest mi coś winien.

Po tych słowach Sienna wyszła.

Robert raz jeszcze spojrzał w niewielkie lustro nad umywalką, z trudem poznając widoczne tam oblicze.

Ktoś pragnie mojej śmierci.

Znienacka usłyszał w myślach swoje niedawne słowa.

Ve... sorry. Ve... sorry. „Bardzo przepraszam”. Kogóż tak przepraszałem?...

Skupił się, by wydobyć z pamięci jakieś wspomnienie... cokolwiek. Ujrzał jedynie pustkę. Wiedział tylko, że obecnie przebywa we Florencji i poważnie ucierpiał z powodu postrzału w głowę.

Spoglądając w swoje podpuchnięte oczy, zamarzył o tym, by obudzić się we własnym fotelu do czytania z opróżnioną szklaneczką dżinu i egzemplarzem *Martwych dusz* w dłoniach. Dopiero po chwili sobie przypomniał, że nigdy nie mieszał Bombay Sapphire z twórczością Gogola.

Rozdział 7

Langdon zdjął szpitalną koszulę i owinął się w pasie czystym ręcznikiem. Po spryskaniu twarzy wodą ostrożnie dotknął szwów na potylicy. Miejsce było wciąż tkliwe, ale gdy przeczesał palcami włosy, uszczerbek stał się prawie niewidoczny. Kofeinowe tabletki zaczynały już działać. Poczuł, że mgła wypełniająca jego umysł i przesłaniająca oczy powoli ustępuje.

Myśl, Robercie. Spróbuj sobie wszystko przypomnieć...

Pozbawiona okna łazieneczka nagle wydała mu się klaustrofobicznie ciasna, wyszedł więc do przedpokoju, kierując się instynktownie ku światłu bijącemu zza uchylonych drzwi w głębi mieszkania. Pomieszczenie, w którym się znalazł, wyglądało na gabinet. Oprócz stosów książek na podłodze było tam tanie biurko, zużyte obrotowe krzesło i – dzięki Bogu – okno.

Podszedł do niego.

Wstające właśnie słońce Toskanii zaczynało dopiero całować najwyższe punkty budzącego się miasta – kampanilę, wieżę Badia i pałac Bargello. Robert przyłożył czoło do chłodnej szyby. Marcowe powietrze było zimne i rześkie, wzmacniało pełne

spektrum słonecznego blasku, który sączył się znad okolicznych wzgórz.

Idealne warunki dla artysty malarza.

W samym środku panoramy wznosiła się gigantyczna kopuła z czerwonych dachówek, jej szczyt zdobiła miedziana kula połyskująca niczym latarnia morska. *Il Duomo*. Brunelleschi dokonał kolejnego przełomu w architekturze, projektując tę niezwykłą kopułę na katedrze, która dzisiaj, niemal pięćset lat później, wciąż górowała nad piazza del Duomo.

Dlaczego trafiłem do Florencji?

Dla Langdona zakochanego od dawna we włoskiej sztuce Florencja była jednym z ulubionych europejskich miast. To na jej ulicach bawił się jako dziecko Michał Anioł i w tutejszych pracowniach rozpoczął się włoski renesans. To miejsce przyciągało miliony turystów, oferując im w galeriach *Narodziny Wenus* Botticellego, *Zwiastowanie* Leonarda i największą dumę miasta – *Il Davide*.

Langdon był oczarowany *Dawidem* Michała Anioła, gdy ujrzał go po raz pierwszy, będąc jeszcze nastolatkiem. Wszedł do Accademia delle Belle Arti... minął wolnym krokiem posępną grupę surowych *Prigioni* Buonarottiego... i poczuł, że jego wzrok kieruje się bezwiednie w górę, ku mierzącemu prawie cztery i pół metra arcydziełu dłuta. Ogrom *Dawida* i jego idealna muskulatura zadziwiały niemal wszystkich, którzy wstępowali w te progi, jednakże Langdona urzekła przede wszystkim genialna poza posągu. Michał Anioł użył klasycznego *contrapposto*, aby stworzyć iluzję, że Dawid pochyla się na prawo, widz odnosił więc wrażenie, że na jego lewej nodze nie spoczywa

żaden ciężar, mimo iż właśnie ona podtrzymywała kilkutonową bryłę marmuru.

Dzięki *Dawidowi* Langdon docenił moc mistrzowskiej rzeźby. Stojąc teraz przy oknie, zastanawiał się, czy ostatnio znów podziwiał to arcydzieło, lecz w pamięci miał jedynie obrazy towarzyszące momentowi przebudzenia w szpitalu i zamordowania na jego oczach lekarza. Po raz kolejny doznał dojmującego poczucia winy.

Ve... sorry. „Bardzo przepraszam"... Co ja takiego zrobiłem?

Nagle dostrzegł kątem oka odbicie światła od ekranu laptopa pozostawionego na blacie biurka. I pomyślał, że cokolwiek mu się przydarzyło, musiało trafić do wczorajszych wiadomości.

Z Internetu dowiem się wszystkiego!

Odwrócił się do drzwi i zawołał:

– Sienna?

Odpowiedziała mu cisza. Uznał, że doktor Brooks nadal przebywa w mieszkaniu sąsiada, szukając ubrań dla niego.

Po chwili wahania otworzył jej laptop, doszedłszy do wniosku, że kobieta nie będzie mieć do niego pretensji o to drobne naruszenie prywatności.

Zobaczył ekran startowy – standardowy obrazek z chmurami. Natychmiast przeszedł na stronę Google i wpisał w wyszukiwarkę: Robert Langdon.

Gdyby tak moi studenci widzieli mnie teraz, pomyślał, czekając na wyświetlenie wyników. Potępiał ich nieustannie za wyszukiwanie informacji na własny temat – było to nowe, dziwaczne hobby młodego pokolenia Amerykanów świadczące o rodzącej się obsesji na punkcie sławy.

W końcu pojawiła się strona z wynikami – na liście były setki trafień odnoszących się do Langdona, jego książek i wykładów.

Nie tego szukałem.

Ograniczył pole poszukiwań do najświeższych wiadomości.

Pojawiła się nowa strona.

Ostatnie wpisy dotyczące: „Robert Langdon”.
Autografy: Robert Langdon pojawi się...
Przemówienie Roberta Langdona na zakończeniu roku...
Robert Langdon publikuje podręcznik ikonografii dla...

Lista miała jeszcze kilka stron, ale nie znalazł na niej niczego z ostatnich dni, a zwłaszcza informacji, które pozwoliłyby zrozumieć jego aktualne położenie.

Co się wydarzyło minionej nocy?

Szukał dalej, wchodząc na stronę „The Florentine”, anglojęzycznej gazety ukazującej się we Florencji. Przejrzał nagłówki, aktualności oraz kronikę policyjną, lecz znalazł jedynie informacje o pożarze mieszkania, aferze korupcyjnej w rządzie i kilku pomniejszych przestępstwach.

Nie ma o mnie żadnej wzmianki?!

Zatrzymał się na moment przy wiadomości dotyczącej polityka, który zmarł minionej nocy na atak serca przed katedrą. Jego nazwiska nie ujawniono do tej pory, ale nie podejrzewano udziału osób trzecich.

Nie mając pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić, Langdon wszedł na swoje konto pocztowe na Harvardzie i sprawdził ostatnie wiadomości, mając nadzieję, że znajdzie w nich odpowiedzi choć

na część pytań. Znalazł wyłącznie e-maile od kolegów po fachu, studentów i znajomych, w większości dotyczące spotkań na kolejny tydzień.

Wygląda na to, że nikt nawet nie zauważył mojego zniknięcia.

Czując jeszcze większą niepewność niż przed paroma chwilami, wyłączył komputer i zamknął jego pokrywę. Już miał wyjść z gabinetu, gdy coś zwróciło jego uwagę. W rogu biurka Sienny na stosie czasopism medycznych leżało zdjęcie z polaroidu ukazujące jego zbawczynię i brodatego lekarza stojących razem na szpitalnym korytarzu. Oboje wyglądali na rozbawionych.

Doktor Marconi, przypomniał sobie Robert z ukłuciem winy, sięgając po fotografię, by ją lepiej obejrzeć.

Gdy odkładał zdjęcie na miejsce, ze zdumieniem zauważył na szczycie stosu żółtą ulotkę – mocno podniszczoną reklamę londyńskiego teatru Globe. Jeśli wierzyć napisom, zachwalała ona przedstawienie *Sen nocy letniej* Szekspira... sprzed niemal dwudziestu pięciu lat.

Na jej skraju ktoś nakreślił kilka słów pisakiem: SKARBIE, NIE ZAPOMINAJ, ŻE JESTEŚ CUDEM.

Kiedy Langdon podniósł ulotkę, z wnętrza posypały się wycinki prasowe. Chciał je szybko odłożyć na miejsce, ale jak tylko rozłożył ulotkę, zamarł.

Spoglądał na zdjęcie dziecięcej gwiazdy odgrywającej rolę psotnego duszka Puka. Fotografia przedstawiała pięcioletnią jasnowłosą dziewczynkę uczesaną w znajomy kucyk.

Napis pod zdjęciem głosił: NARODZINY GWIAZDY.

Biogram sugerował, że Sienna Brooks jest cudownym dzieckiem brytyjskiej sceny, a w dodatku może się poszczycić nieprzeciętną

inteligencją, potrafi zapamiętać wszystkie dialogi w ciągu zaledwie jednego wieczoru, a podczas prób może zastąpić wszystkich kolegów z zespołu. Spośród jej zainteresowań wymieniono grę na skrzypcach, szachy, biologię i chemię. Sienna była dzieckiem bogatej pary z Blackheath leżącego na przedmieściach Londynu. Już jako czterolatka stała się bardzo znana w kręgach naukowych stolicy – nie dość, że pokonała jednego z bardziej utytułowanych arcymistrzów, to jeszcze czytała w trzech językach.

Mój Boże, pomyślał Langdon. To by wyjaśniało kilka spraw.

Przypomniał sobie, że jednym z najbardziej znanych absolwentów Uniwersytetu Harvarda był Saul Kripke, który wcześniej sam nauczył się hebrajskiego w wieku zaledwie sześciu lat i przeczytał wszystkie dzieła Kartezjusza przed dwunastymi urodzinami. Niedawno Robert czytał także o innym młodocianym geniuszu. Moshe Kai Cavalin ukończył college w wieku lat jedenastu, uzyskując średnią 4.0, i zdobył tytuł mistrza kraju w sztukach walki, a trzy lata później opublikował swoją książkę zatytułowaną *We Can Do*.

Langdon spojrzał na inny wycinek ze zdjęciem Sienny w wieku siedmiu lat, podpisanym: CUDOWNE DZIECKO O IQ 208.

Nawet nie wiedział, że skala ilorazu inteligencji sięga tak wysoko. Jeśli wierzyć artykułowi, siedmioletnia Sienna była wybitną skrzypaczką, potrafiła opanować nowy język w ciągu miesiąca i uczyła się samodzielnie anatomii i fizjologii człowieka.

Spojrzał na kolejny wycinek, tym razem pochodzący z czasopisma medycznego, głoszący PRZYSZŁOŚĆ MYŚLI: NIE WSZYSCY LUDZIE RODZĄ SIĘ RÓWNIE INTELIGENTNI.

W artykule umieszczono zdjęcie Sienny, może dziesięcioletniej, stojącej obok jakiejś aparatury medycznej. Udzielający wywiadu lekarz wyjaśniał, że tomografia móżdżku Sienny wykazała, iż różni się on budową od móżdżków innych ludzi. W jej wypadku był to organ większy i doskonalszy, pozwalający na wykorzystanie niedostępne przeciętnemu człowiekowi. Lekarz ten wysunął przypuszczenie, że intelekt dziewczynki jest tak rozwinięty, ponieważ w jej mózgu dochodzi do przyśpieszonego namnażania komórek przypominającego nieco nowotwór, lecz w przeciwieństwie do raka dotyczącego przydatnej szarej substancji.

Kolejny wycinek pochodził z jakiejś lokalnej gazetki. Tytuł brzmiał: PRZEKLEŃTWO GENIUSZU.

Tym razem nie było zdjęcia, jedynie opowieść o cudownym dziecku, Siennie Brooks, która próbowała uczęszczać do zwykłej szkoły, ale była wykpiwana przez innych uczniów z powodu widocznej odmienności. Artykuł traktował o samotności utalentowanych dzieci, które nie radzą sobie w życiu codziennym tak dobrze jak w nauce, przez co często podlegają ostracyzmowi.

Sienna, jeśli wierzyć temu tekstowi, uciekła z domu, gdy miała osiem lat. Wykazała się przy tym takim sprytem, że znaleziono ją dopiero po dziesięciu dniach. Trafiono na nią w ekskluzywnym londyńskim hotelu, gdzie wyłudziła klucz, podając się za córkę jednego z gości, i zamawiała posiłki do pokoju na rachunek innych ludzi. Wyglądało na to, że spędziła tam weekend, czytając tysiącsześćsetstronicową *Anatomię* Graya. Gdy policjanci zapytali ją, dlaczego wybrała akurat tę pozycję, odparła, że chciała zrozumieć, co jest nie tak z jej mózgiem.

Langdona ogarnęło współczucie. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak samotne musi być takie dziecko. Poskładał szybko wycinki, zatrzymując się jeszcze na moment przy fotografii pięcioletniej Sienny ucharakteryzowanej na Puka. Zważywszy na surrealistyczne okoliczności ich porannego spotkania, musiał przyznać, że pasuje ona idealnie do roli psotnego, sprowadzającego sny duszka. Marzył teraz tylko o tym, by wzorem bohaterów sztuki Szekspira mógł się przebudzić i uznać, że ostatnie wydarzenia były sennym koszmarem.

Odłożył wszystkie wycinki na miejsce, po czym zamknąwszy ulotkę, poczuł dziwną melancholię, gdy raz jeszcze spojrzał na napis zdobiący okładkę: SKARBIE, NIE ZAPOMINAJ, ŻE JESTEŚ CUDEM.

Przeniósł wzrok na znajomy symbol zdobiący żółty papier. Był to ten sam grecki piktogram, który można znaleźć na większości ulotek teatralnych na świecie – liczący dwa i pół tysiąca lat synonim teatru.

Le maschere.

Langdon wbił wzrok w patrzące na niego ikoniczne maski Komedii i Tragedii i nagle usłyszał brzęczenie w uszach – zupełnie jakby ktoś poruszył umocowaną tam strunę. Moment później poczuł potworny ból głowy. Maski tańczyły jak oszalałe przed jego oczyma. Z jękiem uniósł dłonie i natychmiast przysiadł na krześle, zaciskając powieki i przykładając palce do skroni.

W mroku, który go ogarnął, znów pojawiły się wizje... silne i tak żywe.

Siwowłosa kobieta z amuletem znów go przyzywała zza rzeki krwi. Jej desperackie krzyki przeszywały cuchnące powietrze, zagłuszając jęki konających i torturowanych ciał, które rzucały się w agonii jak okiem sięgnąć. Langdon ponownie ujrzał odwrócone nogi z literą R, gdy na wpół zagrzebany człowiek jął młócić nimi desperacko powietrze.

Szukaj, a znajdziesz! – krzyczała do niego kobieta. – *Czasu jest coraz mniej!*

Langdon poczuł po raz kolejny nieprzepartą chęć niesienia jej pomocy... jej i wszystkim innym cierpiącym.

Kim jesteś?! – zawołał rozgorączkowany.

Kobieta raz jeszcze sięgnęła do welonu, by ukazać mu urzekające oblicze, które widział już wcześniej.

Jestem życie, odparła.

Nagle na niebie ponad nią zmaterializował się ogromny obiekt – straszliwa maska z długim, niby-ptasim dziobem w miejscu nosa i gorejącymi zielonymi oczyma, które spoglądały prosto na Langdona.

A ja jestem... śmierć – zagrzmiał jej głos.

Rozdział 8

Langdon otworzył oczy i wstrzymał oddech. Wciąż siedział przy biurku Sienny, trzymając się rękoma za głowę. Serce waliło mu jak oszalałe.

Co się ze mną u licha dzieje?

Nieprzerwanie miał przed oczyma obrazy siwowłosej kobiety i złowieszczej maski. *Jestem życie. Jestem śmierć*. Próbował się otrząsnąć z tej wizji, lecz ona za nic nie chciała zniknąć. Dwie maski z ulotki spoglądały na niego pusto.

„Wspomnienia pozostaną zamazane i chaotyczne", powiedziała mu Sienna. „Przeszłość, teraźniejszość i wyobrażenia będą mieszały się ze sobą".

Langdon poczuł zawroty głowy.

Gdzieś w głębi mieszkania zadzwonił telefon. Było to przeszywające, staromodne dzwonienie, dochodzące chyba od strony kuchni.

– Sienna?! – zawołał Robert, wstając.

Żadnej odpowiedzi. Doktor Brooks jeszcze nie wróciła. Po kolejnych dwóch sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka.

– *Ciao, sono io* – wesoły głos Sienny popłynął z głośniczka. – *Lasciatemi un messaggio e vi richiamerò*.

Rozległo się piknięcie, a po nim jakaś spanikowana kobieta zaczęła nagrywać wiadomość, mówiąc z silnym wschodnioeuropejskim akcentem. Jej głos odbijał się echem od ścian przedpokoju.

– Sienna, tu Danikova! Gdzie ty? Tu strasznie! Twój przyjaciel, doktor Marconi, on zabity! Szpital szalejeee! Policja jest! Ludzie mówić im, że ty uciekła, ratując jakiś pacjent! Dlaczego?! Ty nie znasz go! Policja chce mówić do ciebie! Zabrała twoje akta! Ja wiem, informacja tam nieprawdziwa, zły adres, bez numerów, fałszywa wiza. Nie znajdą cię dzisiaj, ale niedługo na pewno! Próbuję ostrzec. Tak mi przykro, Sienna.

Na tym połączenie się zakończyło.

Langdon poczuł koleją falę wyrzutów sumienia. Już wcześniej się domyślił, że doktor Marconi załatwił Siennie pracę w szpitalu. Pojawienie się Roberta kosztowało go życie, a impuls, który kazał Siennie ratować pacjenta, i ją może w przyszłości drogo kosztować.

W tym momencie usłyszał głośne trzaśnięcie drzwi w głębi mieszkania.

Doktor Brooks wróciła.

Chwilę później ożyła automatyczna sekretarka.

– Sienna, tu Danikova! Gdzie ty?...

Langdon skrzywił się, wiedząc, co lekarka zaraz usłyszy. Gdy odsłuchiwała nagranie, szybko odłożył na miejsce ulotkę i posprzątał na biurku. Potem przemknął się do łazienki, czując wstyd z powodu grzebania w przeszłości swojej gospodyni.

Dziesięć sekund później ktoś zastukał cicho do drzwi.

– Zostawiam ci rzeczy na klamce – powiedziała Sienna głosem drżącym ze zdenerwowania.

– Bardzo ci dziękuję – odparł Langdon.

– Jak się ubierzesz, przyjdź, proszę, do kuchni – dodała. – Muszę ci coś pokazać, zanim gdziekolwiek zadzwonimy.

Sienna przeszła ciężkim krokiem do skromnej sypialni. Wyjęła z komody parę dżinsów i sweter, a potem zaniosła je do drugiej łazienki.

Spoglądając na własne odbicie w lustrze, uniosła dłoń i pociągnęła mocno za blond kucyk, by ściągnąć z głowy perukę.

Z lustra patrzyła teraz na nią łysa trzydziestodwuletnia kobieta.

Nie brakowało jej w życiu wyzwań, ale choć nauczyła się polegać na własnym intelekcie i przezwyciężać kolejne przeszkody, ostatnie wydarzenia wytrąciły ją z równowagi.

Umyła ręce i twarz, zmieniła ubranie i ponownie przywdziała perukę, naciągając ją starannie. Nieczęsto użalała się nad sobą, lecz tym razem gdy łzy napłynęły jej do oczu, wiedziała, że nie zdoła ich powstrzymywać.

Zapłakała nad życiem, którego nie umiała kontrolować.

Zapłakała nad mentorem, którego zabito na jej oczach.

Zapłakała nad własną samotnością, która przepełniała jej serce.

Nade wszystko jednak płakała z powodu przyszłości, która nagle stała się tak niepewna.

Rozdział 9

Przebywający na dolnym pokładzie luksusowego jachtu facylitator Laurence Knowlton siedział w swoim szklanym boksie, z niedowierzaniem spoglądając na ekran komputera, z którego przed momentem zniknęło nagranie przekazane Konsorcjum przez ostatniego klienta.

I ja mam przesłać coś takiego mediom?

W ciągu dziesięciu lat pracy dla Konsorcjum wykonał wiele dziwacznych zadań, które były albo niegodne, albo nielegalne. Działanie w szarej strefie moralności było chlebem powszednim dla jego firmy – organizacji, której etyka opierała się na tylko jednym filarze, a było nim zadowolenie klienta za wszelką cenę.

Robimy, co każą. Nie zadajemy pytań. Pod żadnym pozorem.

Mimo to Knowlton czuł niepokój na myśl o przekazaniu nagrania mediom. Dotychczas bez względu na stopień dziwaczności zlecanych mu zadań zawsze rozumiał, o co chodzi zleceniodawcy... pojmował jego motywy... wiedział, co chce osiągnąć.

Ten przekaz był inny.

Coś mu w nim nie pasowało.

I to bardzo.

Raz jeszcze włączył nagranie, mając nadzieję, że kolejne wyświetlenie rzuci nieco więcej światła na sprawę. Podkręcił głośność i usiadł wygodniej, by obejrzeć dziewięciominutową prezentację.

Kamera, tak jak poprzednio, zanurkowała pod powierzchnię dziwacznego podziemnego jeziora zajmującego dolną część jaskini skąpanej w czerwonawej poświacie. Raz jeszcze pogrążyła się w lśniącej toni, by pokazać pokryte mułem dno jaskini. I znów Knowlton mógł przeczytać treść wyrytą na zatopionej tabliczce.

TUTAJ
ŚWIAT ZMIENIŁ SIĘ NA ZAWSZE

Niepokojące było to, że pod inskrypcją znajdował się podpis klienta Konsorcjum. No i ta jutrzejsza data... Na jej widok Knowlton poczuł się jeszcze gorzej. Ale dopiero następne ujęcia doprowadziły jego umysł na skraj paniki.

Kamera skręciła w bok, ukazując zadziwiający obiekt wiszący obok tabliczki.

Była to przytwierdzona do podłoża stalową linką pofałdowana sfera z folii. Wydawała się delikatna i ulotna niczym bańka mydlana, przezroczysty kształt poruszał się pod wodą jak balon napompowany nie helem, tylko galaretowatą, żółtobrązową cieczą. Amorficzny pojemnik był rozdęty i miał niecałe pół metra średnicy. Znajdująca się w środku ciecz wirowała wolno za przezroczystymi ścianami, jak oko rodzącego się w ciszy cyklonu.

Jezu, pomyślał Knowlton, czując pot występujący mu na czoło. Zawieszony nad dnem pojemnik wydał mu się za drugim razem

jeszcze bardziej złowieszczy.

Obraz powoli zaczął niknąć.

Pojawiło się kolejne ujęcie – ściana jaskini pokryta tańczącymi odbiciami powierzchni lśniącej podziemnej sadzawki. Na niej zamajaczył cień... cień człowieka stojącego w jaskini.

Jego głowa była zniekształcona... bardzo zniekształcona.

Zamiast nosa miał długi dziób... jakby był półptakiem.

Gdy przemówił, jego głos był zduszony... a słowa brzmiały dziwnie... melodyjnie... jakby był narratorem klasycznej tragedii.

Knowlton siedział w bezruchu, słuchając z zapartym tchem.

Jam jest Cieniem.

Jeśli oglądacie ten przekaz, znak to, że moja dusza znalazła wreszcie ukojenie.

Wygnany pod ziemię muszę przemawiać do was z jej trzewi, skazany na tułaczkę po tej jaskini, gdzie krwiste wody zbierają się w lagunie, w której nie przejrzały się gwiazdy.

To jednak mój raj... idealne łono dla mego kruchego dziecka.

Inferno.

Wkrótce zobaczycie, co po sobie zostawiłem.

A jednak nawet tu słyszę odgłosy kroków ignorantów, którzy mnie ścigają... którzy zamierzają mnie powstrzymać, udaremnić moje plany.

Możecie powiedzieć: przebacz im, jako że nie wiedzą, co czynią. Jednakże nadszedł moment, w którym niewiedza przestała być wymówką... moment, w którym tylko wiedza ma moc oczyszczenia.

Z czystym sumieniem pozostawiam wam dar nadziei, zbawienia, jutra.

A jednak wciąż ścigają mnie jak psa, przepełnieni pewnością, że to ja jestem szaleńcem. Jest z nimi ta siwowłosa piękność, która śmie nazywać mnie potworem! Jak owi ślepi na argumenty duchowni, którzy nawoływali do zabicia Kopernika, gardzi mną niczym demonem, ponieważ obawia się, że ujrzałem Prawdę.

Ale ja nie jestem kolejnym prorokiem.

Jestem waszym zbawieniem.

Jestem Cieniem.

Rozdział 10

– Usiądź – poprosiła Sienna. – Muszę cię o coś zapytać.

Gdy Langdon wkraczał do kuchni, czuł się o wiele pewniej. Miał na sobie pożyczony garnitur od Brioniego, leżący na nim zadziwiająco dobrze. Mokasyny także nie uwierały i Robert pomyślał nawet, że po powrocie do domu powinien się przerzucić na włoskie obuwie.

O ile w ogóle wrócę do domu, zauważył w myślach.

Sienna – naturalna piękność – także się zmieniła. Włożyła obcisłe dżinsy i kremowy sweter, co tylko podkreśliło jej filigranową figurę. Bez lekarskiego odzienia wyglądała o wiele dostępniej, a że włosy nadal miała spięte w kucyk, sprawiała wrażenie bardziej bezbronnej. Langdon zauważył, że kobieta ma zaczerwienione oczy, jakby niedawno płakała, i natychmiast ogarnęło go poczucie winy.

– Sienna, tak mi przykro. Słyszałem nagranie z sekretarki. Nie wiem, co powiedzieć...

– Dziękuję – odparła. – Skupmy się lepiej na tobie. Usiądź, proszę.

Jej zdecydowany ton głosu przypomniał Robertowi przeczytane niedawno artykuły.

– Chcę, żebyś się dobrze zastanowił, zanim mi odpowiesz – poprosiła, wskazując krzesło. – Czy pamiętasz, jak dostaliśmy się do tego mieszkania?

Langdon nie rozumiał, co to ma z czymkolwiek wspólnego.

– Przyjechaliśmy taksówką – stwierdził, siadając przy stole. – Ktoś do nas strzelał.

– Gwoli ścisłości: ktoś strzelał do ciebie, profesorze.

– To prawda. Wybacz.

– A czy pamiętasz, by padły jakieś strzały, gdy byłeś już wewnątrz taksówki?

Dziwne pytanie.

– Tak. Dwa. Pierwsza kula rozbiła boczne lusterko, druga trafiła w tylną szybę.

– Dobrze. Zamknij teraz oczy.

Robert pojął, że w ten sposób sprawdzała jego pamięć. Zacisnął powieki.

– Co mam na sobie?

To akurat pamiętał doskonale.

– Czarne pantofle, niebieskie dżinsy i kremowy sweter. Blond włosy, długie do ramion, zaczesane do tyłu. I piwne oczy.

Rozwarł powieki i przyjrzał się jej ponownie, zadowolony z tego, że jego fotograficzna pamięć funkcjonuje bez zarzutu.

– Świetnie. Twoja pamięć wzrokowa jest w porządku, co utwierdza mnie w przekonaniu, że nie doświadczyłeś trwałych uszkodzeń mózgu i amnezja powinna w pełni ustąpić. Czy przypomniałeś sobie coś nowego z ostatnich paru dni?

– Niestety nie. Za to po twoim wyjściu miałem kolejne wizje.

Opowiedział jej o nawrocie sceny z kobietą w welonie, stosami martwych ludzi i wierzgającymi, na wpół zakopanymi nogami oznaczonymi literą R. Na koniec wspomniał o złowieszczej masce wiszącej na niebie.

– „Ja jestem śmierć”? – powtórzyła wyraźnie poruszona Sienna.

– Właśnie tak.

– Hm... Sądzę, że to bije na głowę frazę: „Stałem się śmiercią, niszczycielem światów” – zacytowała słowa Roberta Oppenheimera wypowiedziane po przeprowadzonym teście pierwszej bomby atomowej. – A ta maska? – dodała zaraz z niewyraźną miną. – Nie wiesz przypadkiem, dlaczego twój umysł przywołał jej kształt?

– Nie mam bladego pojęcia, aczkolwiek wiem, że tego rodzaju maski były niezwykle popularne w średniowieczu... – Langdon przerwał. – Nazywano je ptasimi maskami lekarskimi.

Sienna wyglądała na poruszoną.

Langdon szybko wyjaśnił, że w świecie symboli ta dziwaczna maska jest synonimem czarnej śmierci, zabójczej dżumy, która wyludniła Europę w czternastym wieku, zabijając w niektórych regionach nawet jedną trzecią populacji. Wiele osób nadal wierzyło, że słowo „czarna” w nazwie pochodzi od czernienia zwłok ofiar zżeranych przez gangrenę i podskórne krwiaki, ale prawda była znacznie bardziej prozaiczna. Nazwa wiązała się ze strachem, jaki padł na ludzi w czasie tej epidemii.

– Ptasie maski – mówił dalej Robert – nosili średniowieczni lekarze, aby chronić się przed zarazą podczas kontaktu z zarażonymi. Dzisiaj można je zobaczyć wyłącznie podczas

karnawału w Wenecji, stanowią budzące dreszcz emocji przypomnienie tamtego ponurego okresu w historii Włoch.

– Jesteś pewien, że właśnie taką maskę zobaczyłeś w swojej wizji? – zapytała go drżącym głosem. – Maskę średniowiecznego lekarza?

Langdon skinął głową. Ptasiej maski nie sposób pomylić z niczym innym.

Sienna zaczęła skubać nerwowo brew, dzięki czemu Robert od razu się domyślił, iż kobieta zastanawia się, jak najoględniej przekazać mu złą wiadomość.

– A ta siwa kobieta mówiła: „Szukaj, a znajdziesz”?

– Tak. Problem w tym, że nie wiem, czego powinienem szukać.

Sienna wypuściła z płuc długo wstrzymywane powietrze.

– Ja chyba wiem. Co więcej... chyba już to znalazłeś.

Langdon spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– O czym ty mówisz?

– Robercie, kiedy przyszedłeś wczoraj do szpitala, miałeś w kieszeni marynarki coś dziwnego. Pamiętasz, co to było? – Langdon potrząsnął głową. – Miałeś przy sobie pewien przedmiot... zdumiewający przedmiot. Znalazłam go przypadkiem, gdy się tobą zajęliśmy. – Wskazała na zakrwawioną marynarkę leżącą na blacie stołu. – Nadal jest w kieszeni, jeśli chcesz go obejrzeć.

Langdon spojrzał niepewnie na marynarkę. To tłumaczyło, dlaczego po nią wtedy wróciła. Podniósł okrycie i przeszukał kolejno wszystkie kieszenie. Nic. Dla pewności przetrząsnął kieszenie jeszcze raz. W końcu spojrzał na Siennę z rezygnacją.

– Tu nic nie ma.

– A zajrzałeś do ukrytej kieszonki?

– Słucham? W mojej marynarce nie ma żadnych ukrytych kieszonek.

– Doprawdy? – Wyglądała na zaskoczoną. – Zatem... to nie twoja marynarka?

Całkiem namieszała mu w głowie.

– Marynarka bez wątpienia jest moja.

– Jesteś tego pewien?

Jak cholera, pomyślał. Szczerze mówiąc, to moja najlepsza marynarka.

Odchylił połę i pokazał Siennie metkę z jego ulubionym symbolem świata mody. Wszywka przedstawiała charakterystyczną sferę Harris Tweed ozdobioną trzynastoma klejnotami przypominającymi guziki i zwieńczoną krzyżem maltańskim.

Tylko Szkoci są zdolni do tego, by do kawałka tweedu przyczepić krzyż chrześcijańskich rycerzy.

– Spójrz tutaj – powiedział, wskazując wyszyte ręcznie poniżej inicjały – R. L.

Miał słabość do skrojonych na miarę ubrań tej firmy i zawsze dopłacał, byle tylko umieszczono jego monogram na wszywce. Na kampusie często dochodziło do nieumyślnej zamiany marynarek wykładowców czy to na stołówkach, czy w salach wykładowych, a Langdon nie zamierzał paść ofiarą takiego przypadku.

– Wierzę ci – odparła, wyjmując mu z rąk okrycie. – Ale teraz ty patrz.

Sienna rozłożyła marynarkę na płask, odsłaniając podszewkę tuż pod kołnierzykiem. Znajdowała się tam sprytnie

zamaskowana całkiem spora kieszeń.

Langdon był pewien, że nigdy wcześniej jej nie widział.

Co u licha?...

Kieszeń ulokowano tak, by idealnie pasowała do szwu.

– Przedtem jej tam nie było! – upierał się Robert.

– Zatem domyślam się, że tego też nigdy nie widziałeś? – Sienna wsunęła dłoń do kieszeni i po chwili wciskała płaski metalowy przedmiot do rąk Langdona.

Spoglądał na niego z czystym oszołomieniem.

– Wiesz, co to jest? – zapytała.

– Nie... – wydukał. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

– Cóż, ja niestety wiem, co to jest. I nie mam wątpliwości, że właśnie dlatego ktoś próbuje cię zabić.

Facylitator Knowlton krążył po swoim boksie, czując coraz większy niepokój z powodu nagrania, którym miał się podzielić z całym światem już następnego ranka.

„Jam jest Cieniem...”?

Już wcześniej słyszał pogłoski, że ich klient parę miesięcy temu przeszedł poważne załamanie nerwowe. To nagranie tylko potwierdzało tę plotkę.

Knowlton wiedział, że ma dwa wyjścia. Albo przygotuje nagranie do jutrzejszej emisji, jak było umówione, albo pójdzie na górę do Zarządcy.

Z góry wiem, co od niego usłyszę, pomyślał święcie przekonany, że przełożony w życiu by się nie zgodził na niewykonanie woli klienta. Każe mi przesłać nagranie mediom i trzymać gębę na kłódkę. I jeszcze dostanę opieprz za to, że go zagaduję.

Knowlton ponownie skupił uwagę na przekazie, który tymczasem przewinął do szczególnie niepokojącego miejsca. Nacisnął klawisz odtwarzania i znów zobaczył niesamowicie oświetloną jaskinię i usłyszał szmer kapiącej wody. Na wilgotnej ścianie pojawił się humanoidalny cień wysokiego mężczyzny z długim dziobem zamiast nosa.

Zdeformowana istota przemówiła zduszonym głosem.

Nadchodzi nowe średniowiecze.

Setki lat temu Europa znalazła się na dnie – jej głodujący mieszkańcy egzystowali w brudzie, grzechu i bezsilności. Byli niczym zbyt gęsty las tłamszony przez butwiejące pnie i czekający jedynie na uderzenie boskiej błyskawicy – iskry, która rozpali płomień nienawiści i oczyści kontynent z próchna, dając korzeniom zdrowych roślin dostęp do słońca.

Selekcja jest boskim, naturalnym prawem.

Zadajcie sobie pytanie, co nastąpiło po przejściu czarnej śmierci.

Wszyscy znamy na nie odpowiedź.

Renesans.

Odrodzenie.

To naturalna kolej rzeczy. Po śmierci następują narodziny.

Człowiek musi przejść przez piekło, aby trafić do raju.

Tako rzecze nasz pan.

A jednak ta siwowłosa jędza ośmiela się nazywać mnie potworem. Czyżby nie zrozumiała jeszcze matematyki przyszłości? Grozy, jaką ona z sobą niesie?

Jestem Cieniem.

Jestem waszym zbawieniem.

I dlatego stoję tutaj, w głębi tej jaskini, spoglądając na lagunę, w której nie przejrzały się gwiazdy. To tutaj, w tym zatopionym pałacu, piekło wykluwa się pod powierzchnią wód.

Wkrótce jednak zapłonie.

A gdy to się stanie, nikt nie zdoła powstrzymać jego płomieni.

Rozdział 11

Przedmiot na dłoni Langdona wydawał się zadziwiająco ciężki jak na swoje rozmiary. Był to smukły i gładki cylinder z polerowanego metalu. Długi na piętnaście centymetrów i zaokrąglony po obu stronach, przypominał miniaturową torpedę.

– Radziłabym go obejrzeć dokładniej, zanim zaczniesz przy nim manipulować – ostrzegła Sienna, uśmiechając się wymuszenie. – Mówiłeś, że wykładasz ikonografię?

Robert skupił wzrok na cylindrze i obracał go, dopóki w polu widzenia nie pojawił się jaskrawoczerwony symbol wytrawiony w powierzchni metalu.

Poczuł, że wszystkie mięśnie mu tężeją.

Jako profesor ikonografii zdawał sobie sprawę, że tylko kilka znaków ma moc wywołania natychmiastowego lęku u niemal każdego człowieka. Znak wytrawiony na przedmiocie spoczywającym w jego dłoni niewątpliwie należał do tej grupy. Reakcja Roberta była instynktowna i natychmiastowa: odłożył cylinder na stół, po czym odsunął się razem z krzesłem.

Sienna pokiwała głową.

– Też tak zareagowałam.

Symbol był bardzo prosty:

i jak Langdon gdzieś wyczytał, został stworzony przez firmę Dow Chemical w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku z myślą o zastąpieniu szeregu wcześniejszych, niezbyt skutecznych symboli ostrzegawczych. Jak wszystkie chwytliwe znaki, był nie tylko niezwykle prosty, ale też jasny i łatwy do nakreślenia. To nowoczesne oznaczenie kojarzące się różnie różnym ludziom – jedni widzieli w nim kraba, a drudzy shurikena używanego przez wojowników ninja – bardzo szybko stało się równoznaczne ze słowami „niebezpieczeństwo skażenia biologicznego” oraz szerzej „uwaga, zagrożenie!”.

– To pojemnik stosowany do przenoszenia szczególnie niebezpiecznych substancji – wyjaśniła Sienna. – Od czasu do czasu mamy z nimi do czynienia w medycynie. W jego wnętrzu znajduje się wkład z pianki, do którego wsuwa się fiolki z preparatami, aby nie zostały uszkodzone podczas transportu. W tym wypadku... – wskazała na symbol – zgaduję, że możemy mieć do czynienia z bronią chemiczną... albo... wirusem. – Zamilkła na moment. – W podobnych pojemnikach przywożono z Afryki pierwsze próbki wirusa Ebola.

Nie to chciał usłyszeć.

– Co to cholerstwo robiło w mojej marynarce? Jestem profesorem ikonografii, dlaczego miałbym przenosić takie

paskudztwa?

Przed oczyma natychmiast przemknęły mu obrazy wijących się ciał... i unosząca się nad nimi ptasia maska.

Ve... sorry. Ve... sorry. „Bardzo przepraszam”...

– Skądkolwiek się wziął ten pojemnik – ciągnęła Sienna – zaawansowana technologia nie ulega kwestii. Cylinder jest wykonany z powlekanego ołowiem tytanu. To zapewnia nieprzenikalność nawet dla promieniowania. Domyślam się, że zrobiono go na zamówienie rządowe. – Wskazała palcem na panel umieszczony obok symbolu. – Czytnik linii papilarnych. Zabezpieczenie na wypadek kradzieży. Tego typu pojemniki mogą otwierać tylko określone osoby.

Langdon wiedział, że jego mózg pracuje już na normalnych obrotach, niemniej wciąż miał wrażenie, że nie nadąża.

Miałem przy sobie zabezpieczony biometrycznie pojemnik na wirusy.

– Gdy znalazłam go w twojej marynarce, chciałam pokazać go w sekrecie doktorowi Marconiemu, ale nie zdążyłam przed twoim wybudzeniem. Zastanawiałam się też, czy nie przytknąć twojego kciuka do czytnika, kiedy leżałeś nieprzytomny, jednakże nie miałam pojęcia, co może znajdować się w środku, dlatego...

– Mój kciuk? – Langdon potrząsnął głową. – Niemożliwe, aby ten pojemnik został zaprogramowany na mnie. Nie mam bladego pojęcia o biochemii. Nigdy nie trzymałem czegoś takiego w ręku.

– Jesteś pewien?

Był pewien jak cholera. Wyciągnął dłoń i przyłożył kciuk do czytnika. Oczywiście nic się nie stało.

– Widzisz? Mówiłem...

W tytanowym cylindrze coś kliknęło głośno. Langdon cofnął gwałtownie rękę. A niech to! Spoglądał na pojemnik, jakby ten lada moment miał się samoistnie otworzyć, by uwolnić zabójczy gaz. Po trzech sekundach rozległo się drugie kliknięcie, co mogło świadczyć o tym, że pojemnik zamknął się automatycznie.

Robert, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, spojrzał na Siennę. Nie mniej zdenerwowana od niego kobieta odetchnęła głośno.

– Cóż, wygląda na to, że mimo wszystko jesteś właściwym człowiekiem.

Nie wierzył w to ani przez chwilę.

– Niemożliwe – powtórzył. – Po pierwsze, jak niby przemyciłbym taki kawał metalu przez kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku?

– Może przyleciałeś tutaj prywatnym odrzutowcem? Albo dostałeś pojemnik już po przylocie do Włoch?

– Sienna. Muszę zadzwonić do konsulatu. Natychmiast.

– Nie uważasz, że najpierw powinniśmy otworzyć ten pojemnik?

Langdon wielokrotnie dał się namówić do zrobienia nie tego co trzeba, lecz z całą pewnością nie zamierzał otwierać w kuchni pojemnika mogącego zawierać zabójcze substancje.

– Chcę przekazać go władzom. I to już.

Sienna wydęła wargi, zastanawiając się nad dostępnymi rozwiązaniami.

– Zgoda, ale od tej chwili działasz na własną rękę. Ja nie mogę być w to zamieszana. I zapamiętaj, nie wolno ci ich tutaj zaprosić. Moja sytuacja jest, jak by to ująć... skomplikowana.

Langdon spojrzał jej w oczy.

– Wiem tylko tyle, że uratowałaś mi życie. Postąpię tak, jak sobie życzysz.

Skinęła głową z zadowoleniem, a potem podeszła do okna i rozejrzała się po ulicy.

– Dobrze. Zatem zrobimy tak...

Wyjaśniła pokrótce plan. Był prosty, sprytny i bezpieczny.

Langdon przyglądał się, gdy blokowała w swojej komórce identyfikację numeru i wybierała numer. Miała delikatne palce, ale poruszała nimi bardzo zdecydowanie.

– *Informazioni abbonati?* – zapytała z doskonałym włoskim akcentem. – *Per favore, può darmi il numero del Consolato americano di Firenze?* – Odczekała chwilę, a potem zapisała numer. – *Grazie mille* – rzuciła i przerwała połączenie.

Przesunęła kartkę razem z telefonem w stronę Langdona.

– Teraz ty. Pamiętasz, co masz powiedzieć?

– Mojej pamięci nic nie dolega – stwierdził z uśmiechem, wybierając numer zapisany na świstku. Usłyszał sygnał łączenia.

Raz kozie śmierć.

Przełączył telefon na głośnik i położył na stole, aby Sienna także mogła słyszeć. Po chwili zgłosił się automat podający informacje o godzinach otwarcia konsulatu i świadczonych tam usługach, które będą dostępne dopiero po ósmej trzydzieści.

Langdon spojrzał na zegarek. Była szósta.

– Jeśli to przypadek alarmowy – kontynuował nagrany głos – wybierz siedem, by skontaktować się z oficerem dyżurnym nocnej zmiany.

Robert natychmiast wcisnął podany numer.

Znów usłyszał sygnał łączenia.

– *Consolato americano* – odezwał się jakiś zaspany mężczyzna. – *Sono il funzionario di turno*.

– *Lei parla inglese?* – zapytał Langdon.

– Oczywiście. – Oficer mówił z amerykańskim akcentem. Sądząc po tonie, nie był zadowolony z tego, że przerwano mu drzemkę. – W czym mogę pomóc?

– Jestem Amerykaninem goszczącym we Florencji i zostałem zaatakowany. Nazywam się Robert Langdon.

– Proszę podać numer paszportu. – Oficer ziewnął głośno.

– Straciłem paszport. Chyba mi go skradziono. Zostałem postrzelony w głowę. Byłem w szpitalu. Potrzebuję pomocy.

Funkcjonariusz natychmiast otrzeźwiał.

– Mówi pan, że pana postrzelono? Proszę podać pełne nazwisko.

– Robert Langdon.

Z głośnika dobiegły jakieś szmery, a za moment dało się słyszeć, że oficer stuka palcami po klawiaturze. Komputer ożył z piknięciem. Chwila ciszy. Znowu klepanie w klawisze. I kolejne piknięcie. Potem trzy przenikliwe piknięcia jedno po drugim.

Tym razem cisza trwała dłużej.

– Nazywa się pan Robert Langdon? – zapytał oficer.

– Zgadza się. I mam problemy.

– Rozumiem, sir. Pańskie nazwisko jest zaznaczone w naszej bazie danych, co znaczy, że muszę połączyć pana natychmiast z sekretarzem konsula generalnego... – mężczyzna zamilkł, jakby nie mógł uwierzyć w to, co właśnie powiedział. – Proszę zostać na linii.

– Chwileczkę! Może mi pan chociaż powiedzieć...

Z głośnika dobiegał już sygnał łączenia. Po czwartym z kolei ktoś odebrał.

– Mówi Collins – odezwał się ktoś mocno zachrypniętym głosem.

Langdon zaczerpnął tchu i przemówił najspokojniej i najjaśniej, jak potrafił.

– Panie Collins, nazywam się Robert Langdon. Jestem Amerykaninem odwiedzającym Florencję. Zostałem postrzelony. Potrzebuję pomocy. Zamierzam zgłosić się jak najszybciej do konsulatu. Może mi pan pomóc?

Jego rozmówca odpowiedział bez chwili wahania.

– Żyje pan, panie Langdon. Dzięki Bogu... Czekaliśmy na pana.

Rozdział 12

W konsulacie wiedzą o mojej obecności we Florencji?

Na tę myśl Robert poczuł niewysłowioną ulgę. Collins, który przedstawił mu się jako sekretarz konsula generalnego, przemawiał zdecydowanym, profesjonalnym tonem, ale i tak dało się wyczuć zdenerwowanie w jego głosie.

– Panie Langdon, musimy natychmiast porozmawiać. Oczywiście nie przez telefon. – Dla Roberta nic nie było oczywiste w tym momencie, lecz nie zamierzał przerywać rozmówcy. – Wyślę kogoś po pana – dodał Collins. – Gdzie pan teraz jest?

Sienna poruszyła się nerwowo, słuchając wymiany zdań przez głośnik. Langdon uspokoił ją skinieniem głowy, nie zamierzał bowiem zmieniać wymyślonego przez nią planu.

– Wszedłem do niewielkiego hotelu o nazwie Pensione la Fiorentina – odparł, spoglądając na widoczny po drugiej stronie ulicy budynek, który wskazała mu przedtem Sienna, i podał adres sekretarzowi.

– Zapisałem – odparł tamten. – Proszę się nigdzie nie ruszać. Ktoś już po pana jedzie. Jaki ma pan numer pokoju?

Robert wybrał na chybił trafił.

– Trzydzieści dziewięć.

– Proszę nam dać dwadzieścia minut. – Collins zniżył głos. – Panie Langdon, wygląda na to, że został pan ranny i nadal jest pan oszołomiony, ale muszę zadać panu jedno pytanie. Czy nadal jest pan w posiadaniu...?

„W posiadaniu". Langdon od razu zrozumiał, czego to niejasne pytanie może dotyczyć.

– Tak, sir. Nadal jestem w posiadaniu.

Collins odetchnął z ulgą.

– Gdy straciliśmy z panem kontakt, zakładaliśmy... cóż, nie będę owijał w bawełnę, zakładaliśmy najgorsze. Ale teraz mi ulżyło. Proszę nie opuszczać pokoju hotelowego. Będziemy za dwadzieścia minut. Ktoś zapuka do pańskich drzwi. – Collins się rozłączył.

Robert rozluźnił się po raz pierwszy od chwili, gdy odzyskał przytomność w szpitalu. W konsulacie wiedzą, o co chodzi, zatem wkrótce i ja się wszystkiego dowiem.

Przymknął oczy i odetchnął powoli. Znów zaczynał się czuć jak człowiek. Nawet ból głowy prawie mu przeszedł.

– Poczułam się jak na filmie o Jamesie Bondzie – rzuciła żartobliwym tonem Sienna. – Jesteś szpiegiem?

W tym akurat momencie Langdon nie miał pojęcia, kim jest. Myśl o tym, że stracił dwa dni z życiorysu i znalazł się w krytycznej sytuacji, była trudna do zniesienia, a tu w dodatku za dwadzieścia minut czekało go spotkanie z przedstawicielami amerykańskiego konsulatu w podupadającym hoteliku.

Co tu się dzieje?

Spojrzał na Siennę i nagle zdał sobie sprawę, że choć za chwilę ich drogi się rozejdą, nie wszystko zostało powiedziane. Oczyma wyobraźni znów ujrzał konającego brodatego lekarza.

– Sienna – wyszeptał. – Twój przyjaciel... doktor Marconi... czuję się podle. – Skinęła obojętnie głową. – Przepraszam też za to, że cię w to wciągnąłem. Wiem, że masz trudną sytuację w szpitalu, a jeśli zacznie się dochodzenie... – zawiesił głos.

– Nie martw się – odparła. – Przywykłam do częstych przeprowadzek.

Jej puste spojrzenie powiedziało Langdonowi, że tego ranka w życiu młodej lekarki doszło do kolejnej zmiany. Chociaż sam nie wiedział, na czym stoi, z całego serca współczuł tej kobiecie.

Uratowała mi życie... rujnując przy okazji swoje.

Siedzieli w kompletnej ciszy przez ponad minutę, a atmosfera gęstniała coraz bardziej, jakby chcieli się odezwać, ale nie mieli sobie nic do powiedzenia. Mimo wszystko byli tylko przypadkowymi znajomymi, jak ludzie, którzy idą tą samą drogą, dopóki nie dotrą do rozwidlenia, gdzie każde oddala się w innym kierunku.

– Sienna – przemówił w końcu Robert. – Gdy załatwię wszystko w konsulacie, spróbuję ci jakoś pomóc... jeśli pozwolisz.

– Dziękuję – wyszeptała, zwracając smutne spojrzenie ku oknu.

Mijały minuty, a Sienna nie odrywała wzroku od widoku za oknem, zastanawiając się równocześnie, co przyniesie nowy dzień. Była pewna tylko jednego: bez względu na to, co się wydarzy, już wieczorem jej życie będzie wyglądało zupełnie inaczej.

Zdawała sobie sprawę, że to zapewne działanie adrenaliny, lecz coś ją pociągało w amerykańskim profesorze. Nie tylko był

przystojny, ale też wszystko wskazywało na to, że ma dobre serce. W innym, niedostępnym jej życiu Robert Langdon mógłby być człowiekiem, z którym umiałaby się związać.

Nie zechciałby mnie, uznała jednak. Jestem zwichnięta.

Gdy opędzała się od tych myśli, ruch za oknem zwrócił jej uwagę. Wyprostowała się, przyciskając twarz do szyby, by spojrzeć w dół.

– Robert, patrz!

Langdon zerknął na ulicę i zobaczył czarny motocykl marki BMW, który właśnie zatrzymywał się przed wejściem do Pensione la Fiorentina. Kierowca był szczupły, ale dobrze umięśniony, ubrany w czarny skórzany kombinezon i kask. Gdy zsiadł z siodełka i zdjął lśniące nakrycie głowy, Sienna usłyszała, jak Robert wstrzymuje oddech.

Irokeza tej kobiety nie dało się z niczym pomylić.

Kobieta w dole wyjęła znajomo wyglądający pistolet, sprawdziła tłumik, po czym schowała broń do kieszeni. Następnie, poruszając się z zabójczą gracją, wślizgnęła się za drzwi hotelu.

– Robercie – wyszeptała Sienna drżącym z przejęcia głosem. – Twój rząd nasłał na ciebie zabójcę.

Rozdział 13

Robert Langdon czuł ogarniającą go panikę, gdy stał przy oknie mieszkania i spoglądał w kierunku hotelu mieszczącego się po drugiej stronie ulicy. Uczesana w irokeza kobieta właśnie tam weszła, aczkolwiek Langdon w dalszym ciągu nie pojmował, skąd znała ten adres.

Adrenalina krążyła w jego żyłach, ponownie zakłócając procesy myślowe.

– Mój własny rząd nasłał na mnie zabójcę?

Sienna wyglądała na równie zaskoczoną.

– Robercie, to oznacza, że poprzednia próba zabicia cię w szpitalu także była usankcjonowana przez władze. – Wstała, by jeszcze raz sprawdzić, czy dobrze zamknęła drzwi. – Jeśli amerykański konsulat otrzymał pozwolenie na zabicie ciebie... – Nie dokończyła, gdyż implikacje tego faktu były tyleż oczywiste, co przerażające.

Co ja ich zdaniem zrobiłem? Dlaczego władze amerykańskie na mnie polują?

W jego głowie znów rozległy się dwa słowa, które mamrotał, wtaczając się do szpitala.

Ve... sorry. Ve... sorry.

– Nie jesteś tutaj bezpieczny – stwierdziła Sienna. – Żadne z nas nie jest tu bezpieczne. – Wskazała na drugą stronę ulicy. – Ta kobieta widziała, jak uciekamy razem ze szpitala, zatem można założyć, że amerykański rząd i włoska policja zrobią wszystko, by mnie namierzyć. Wprawdzie to mieszkanie zostało wynajęte na inne nazwisko, ale i tak na nie trafią. – Spojrzała na pojemnik leżący wciąż na stole. – Musisz go otworzyć. Natychmiast. – Langdon zmierzył wzrokiem tytanowy cylinder, skupiając się na czerwonym symbolu. – Cokolwiek w nim jest, musi nosić jakiś znak identyfikacyjny – kontynuowała lekarka. – Nalepkę firmową, numer telefonu, co bądź. To kluczowa informacja dla nas obojga. W końcu wasz rząd odpowiada za śmierć mojego przyjaciela! – Ból przebijający z jej głosu wyrwał Langdona z zamyślenia.

Robert przytaknął, wiedząc, że kobieta ma rację.

– Tak. Bardzo przepraszam. – Aż się skrzywił, słysząc ponownie te słowa. Podszedł do stołu, zastanawiając się, co znajdzie wewnątrz pojemnika. – Otwarcie go może nas narazić na ogromne niebezpieczeństwo.

Doktor Brooks zastanawiała się przez chwilę.

– Zawartość na pewno została dobrze zabezpieczona. Spodziewam się, że trafisz na fiolkę z grubego pleksiglasu. Ten cylindryczny pojemnik stanowi tylko osłonę zewnętrzną stosowaną w czasie transportu.

Langdon wyjrzał przez okno na zaparkowany przed hotelem czarny motocykl. Kobieta jeszcze nie wróciła, ale lada moment odkryje, że nie ma go pod wskazanym adresem. Zastanowił się,

jaki będzie jej kolejny ruch i ile czasu im zostało, zanim ktoś załomocze do drzwi tego mieszkania.

Wziął się w garść. Podniósł tytanowy pojemnik i niechętnie przyłożył kciuk do czytnika biometrycznego. Po chwili usłyszał kliknięcie.

Zanim zamek zdążył się ponownie zablokować, Langdon przekręcił obie połówki cylindra w przeciwne strony. Gdy wykonał ćwierć obrotu, rozległo się piknięcie. Było już za późno, żeby się wycofać.

Dłonie mu się spociły, gdy rozkręcał do końca pojemnik. Obie połówki przesuwały się gładko po idealnym gwincie. Czuł się tak, jakby otwierał cenną rosyjską matrioszkę, z tą tylko różnicą, że nie miał pojęcia, co zaraz wypadnie ze środka.

Po pięciu pełnych obrotach udało mu się rozłączyć obie połowy. Zaczerpnąwszy tchu, odsunął je od siebie. Gdy szczelina zrobiła się wystarczająco szeroka, z wnętrza wysunęła się pianka. Langdon położył ją na blacie. Wewnętrzna osłona przypominała mocno rozciągniętą piłkę do futbolu amerykańskiego.

Raz kozie śmierć.

Ostrożnie odchylił brzeg otuliny, odsłaniając obiekt, który chroniła.

Sienna przyglądała mu się z zainteresowaniem, ale minę miała nietęgą.

– Nie tego się spodziewałam.

Langdon także miał nadzieję ujrzeć futurystyczną fiolkę. Tymczasem zawartości pojemnika daleko było do nowoczesności. Bogato zdobiony obiekt został zrobiony z kości słoniowej i miał rozmiary rolki miętusów.

– Wygląda naprawdę staro – szeptała Sienna. – To chyba jakaś...

– To pieczęć cylindryczna – powiedział Robert, gdy w końcu odważył się zaczerpnąć tchu.

Wynalezione przez Sumerów trzy tysiące pięćset lat temu pieczęcie cylindryczne były czymś w rodzaju prekursorskiej formy druku. W cylindrach pokrytych ozdobnymi rytami wywiercano dziurę, dzięki której można było używać ich jak współczesnych wałków malarskich, odciskając wizerunki na mokrej glinie albo terakocie, by uzyskać powtarzające się wzory.

Ta akurat pieczęć, zdaniem Langdona, musiała być niezwykle cenna i rzadka. Nadal jednak nie rozumiał, dlaczego ktoś miałby ją umieszczać w tytanowym pojemniku służącym do przenoszenia broni biologicznej.

Obracając pieczęć w palcach, Robert zauważył, że ozdobiono ją wyjątkowo złowieszczym wzorem – był na niej trójgłowy rogaty Szatan, który pożerał troje ludzi naraz, pakując każdego do innych ust.

Milusie.

Wzrok Langdona powędrował ku siedmiu literom umieszczonym pod diabłem. Bogato zdobione znaki były lustrzanym odbiciem, jak wszystkie napisy na pieczęciach, lecz mimo to Robert nie miał najmniejszego problemu z ich odcyfrowaniem – SALIGIA.

Sienna musiała zmrużyć oczy, żeby odczytać napis.

– *Saligia?*

Robert skinął głową, czując ciarki na dźwięk wypowiedzianego na głos słowa.

– To łaciński skrót mnemoniczny stworzony w średniowieczu przez Watykan dla przypomnienia chrześcijanom o siedmiu grzechach śmiertelnych. *SALIGIA* to akronim słów: *superbia, avaritia, luxuria, invidia, gula, ira* i *acedia*.

Sienna zmarszczyła brwi.

– Pycha, chciwość, nieczystość, zazdrość, nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu, gniew i lenistwo.

Zaskoczyła Langdona.

– Znasz łacinę.

– Dorastałam w katolickiej rodzinie. Umiem wymienić wszystkie grzechy główne.

Langdon uśmiechnął się, odwracając głowę ku pieczęci. Wciąż go ciekawiło, dlaczego ktoś kazał ją umieścić w szczelnym pojemniku, jakby była niebezpieczna.

– Sądziłam z początku, że to kość słoniowa – stwierdziła Sienna – ale to tylko zwykła kość. – Ustawiła artefakt pod światło i wskazała na kilka linii. – Kość słoniowa ma skośne kreskowanie z przezroczystymi prążkami, a zwykła charakteryzuje się równoległym prążkowaniem z ciemnymi wgłębieniami.

Langdon zabrał jej ostrożnie pieczęć, by przyjrzeć się uważniej wyrytemu wzorowi. Na oryginalnych pieczęciach sumeryjskich znajdowano proste wizerunki postaci i pismo klinowe. Ten egzemplarz jednak był o wiele bardziej skomplikowany. Zdaniem Roberta wykonano go w średniowieczu. Co więcej, treść sceny miała zadziwiająco wiele wspólnego z halucynacjami, których doznawał.

Sienna spojrzała na niego z niepokojem.

– O co chodzi?

– Powracający motyw... – rzekł Langdon z ponurą miną, wskazując pieczęć. – Widzisz tego trójgłowego pożerającego ludzi Szatana? W średniowieczu był to bardzo powszechny obrazek, symbol przypisany czarnej śmierci. Trzy zgrzytające zębami paszcze reprezentują wydajność, z jaką dżuma trzebiła ówczesną ludność.

Jeszcze bardziej zaniepokojona Sienna zerknęła na znak ostrzegawczy wytrawiony na pojemniku.

Aluzje do plagi pojawiały się tego ranka częściej, niż Langdon sobie życzył, dlatego wyjawiał resztę przemyśleń z ogromną niechęcią.

– *SALIGIA* obejmuje wszystkie grzechy ludzkości, które zgodnie ze średniowieczną kościelną indoktrynacją...

– ...były głównym powodem ukarania świata czarną śmiercią – dokończyła jego myśl Sienna.

– Tak. – Langdon zamilkł, tracąc wątek.

Właśnie zauważył w pieczęci coś, co wydało mu się nader dziwne. Zazwyczaj dało się spojrzeć przez wydrążony otwór jak przez rurkę, lecz w tym wypadku coś przesłaniało widok.

W środku coś jest... Coś zalśniło w promieniu światła.

– W środku coś jest – powiedział Robert na głos. – Chyba coś szklanego.

Przechylił pieczęć, by sprawdzić z drugiej strony, a wtedy miniaturowy przedmiot zagrzechotał, przetaczając się z jednego końca kości na drugi.

Langdon zamarł. Sienna raptownie wstrzymała oddech.

Cóż to u licha może być?

– Słyszałeś? – zapytała.

Skinął głową i ostrożnie obejrzał drugi koniec pieczęci.

– Otwór został zablokowany kawałkiem metalu.

Czy to aby nie zatyczka?

Sienna cofnęła się.

– Czy szklana zawartość wygląda na... stłuczoną?

– Nie, nie wydaje mi się...

Obrócił kość po raz kolejny i przy tym ruchu przedmiot w środku znów zagrzechotał. Chwilę później szkło wewnątrz cylindra zachowało się w bardzo nieoczekiwany sposób.

Zaczęło świecić.

Oczy Sienny zrobiły się okrągłe z przerażenia.

– Robert, przestań! Nie ruszaj się!

Rozdział 14

Langdon zamarł w pół ruchu, z wysoko uniesioną ręką, starając się unieruchomić cylinder. Przez szkło na jednym z końców widział, że zawartość fiolki zaczęła lśnić, jakby coś znajdujące się w jej wnętrzu zostało właśnie obudzone.

Po czym światło przygasło błyskawicznie.

Sienna podeszła, oddychając szybko. Przechyliwszy głowę, zbadała wzrokiem końcówkę fiolki wystającą z kości.

– Przechyl ją jeszcze raz – wyszeptała – ale bardzo powoli...

Langdon obrócił kość. Znów usłyszał grzechot przetaczającego się przedmiotu, który dotarł na drugi koniec i tam się zatrzymał.

– Jeszcze raz – powiedziała Sienna. – Tylko ostrożnie.

Robert po raz kolejny obrócił kość z podobnym efektem. Tym razem wnętrze fiolki rozjarzyło się lekko, po czym zaraz ściemniało.

– To chyba próbówka – wyjaśniła Sienna – z mieszadłem.

Langdon słyszał o podobnych mieszadłach wykorzystywanych w pojemnikach z farbą w sprayu – poruszając się wewnątrz, kulki pomagały rozmieszać lakier, gdy potrząsało się opakowaniem.

– W środku jest jakaś fosforescencyjna mieszanka – stwierdziła Sienna – albo bioluminescencyjny organizm, który zaczyna świecić, gdy jest pobudzany.

Langdon miał inne zdanie na ten temat. Chociaż widywał wcześniej chemiczne latarki i bioluminescencyjny plankton, który świecił, gdy wpłynęło się w niego łodzią, teraz był niemal pewien, że ukryta w pieczęci fiolka nie zawiera niczego podobnego. Przekręcił wolno cylinder jeszcze kilka razy, przerywając, gdy pojawiało się światło, a potem zbliżał rozjarzony koniec do wnętrza dłoni. Zgodnie z oczekiwaniem zobaczył czerwonawy blask na skórze.

Dobrze wiedzieć, że nawet osoba o IQ wyższym od dwustu może się czasem mylić.

– Spójrz – powiedział i zaczął potrząsać gwałtownie pieczęcią. Zawartość zagrzechotała szaleńczo.

Sienna odskoczyła.

– Co ty wyprawiasz?

Nie przestając potrząsać pieczęcią, Langdon podszedł do kontaktu i wyłączył światło, pogrążając kuchnię we względnych ciemnościach.

– W środku nie ma żadnej próbówki – powiedział, wciąż machając ręką z całych sił. – To tylko wskaźnik Faradaya.

Langdon dostał kiedyś podobne urządzenie od jednego ze studentów – idealny dar dla wykładowcy, który nie cierpi wymieniać baterii i któremu nie przeszkadza konieczność potrząsania wskaźnikiem co kilka sekund, aby przekształcić energię kinetyczną w elektryczność. Ilekroć poruszyło się tym urządzeniem, umieszczona w jego środku kulka potrącała kilka

blaszek, generując w ten sposób prąd. Jak widać, ktoś wpadł na pomysł, by umieścić podobne urządzonko we wnętrzu ozdobionej rzeźbami kości – tworząc z niej starożytny pokrowiec dla nowoczesnej elektronicznej zabawki.

Gdy wystająca końcówka rozjarzyła się wystarczająco mocno, Langdon uśmiechnął się do Sienny.

– Czas na przedstawienie.

Skierował ukryty wewnątrz kościanej pieczęci wskaźnik na jedyną wolną i płaską powierzchnię w kuchni. Kiedy ściana się rozświetliła, doktor Brooks wstrzymała oddech. Jednakże Robert był jeszcze bardziej zdziwiony niż ona.

Na ścianie pojawiła się nie pojedyncza czerwona kropka lasera, lecz fotografia w wysokiej rozdzielczości, jak gdyby wskaźnik był czymś w rodzaju staromodnego rzutnika slajdów.

Mój Boże! Nic dziwnego, że mam wizje śmierci...

Ręka Robertowi zadrżała, gdy chłonął makabryczną scenę rzucaną na ścianę. Stojąca obok niego Sienna zasłoniła usta dłonią i zrobiła krok do przodu, wyraźnie zafascynowana widokiem.

Scena rzucana na ścianę z rzeźbionej kości przedstawiała ponury olejny obraz ludzkiej męki – tysiące dusz cierpiało tortury w kolejnych kręgach piekieł. Piekło przedstawiono jako przekrój wydrążonego w ziemi leja, który nie miał dna. Podzielono go na tarasy reprezentujące coraz większe męki. Wszystkie poziomy wypełnione były cierpiącymi grzesznikami.

Langdon bez trudu rozpoznał ten obraz.

Arcydzieło znajdujące się przed jego oczami – *La Mappa dell'Inferno* – zostało namalowane przez jednego z największych

mistrzów włoskiego renesansu, Sandra Botticellego. *Mapa Piekieł* – skomplikowany plan świata podziemnego – była jedną z najstraszliwszych wizji zaświatów, jaką kiedykolwiek stworzono. Mroczny, ponury i przerażający obraz potrafił poruszyć nawet człowieka współczesnego. W odróżnieniu od pełnych życia i barw dzieł, takich jak *Primavera* czy *Narodziny Wenus*, Botticelli namalował *Mapę Piekieł*, wykorzystując jedynie przygnębiającą paletę czerwieni, sepii i brązów.

Langdon poczuł nagle, że wraca mu ból głowy. Po raz pierwszy jednak od chwili przebudzenia w szpitalu miał wrażenie, że fragment układanki trafia na swoje miejsce. Jego halucynacje zostały wywołane obejrzeniem tego słynnego arcydzieła.

Musiałem studiować *Mapę Piekieł* Botticellego, uznał. W dalszym ciągu nie miał pojęcia, dlaczego to robił.

Chociaż wizja przedstawiona na obrazie była niezwykle poruszająca, Robert bardziej się przejął pochodzeniem dzieła niż jego treścią. Doskonale wiedział, że inspiracja zrodziła się nie w umyśle Botticellego, lecz człowieka, który żył dwa wieki wcześniej.

Jedno arcydzieło zainspirowało kolejne.

Mapa Piekieł Botticellego była hołdem złożonym czternastowiecznej księdze, którą obecnie zalicza się do największych osiągnięć literatury. Wizja piekła w niej przedstawiona porusza ludzi do dzisiaj.

Mowa o *Piekle* Dantego.

Po drugiej stronie ulicy Vayentha wspięła się cicho po schodach technicznych i ukryła na tarasie dachu uśpionego wciąż Pensione la Fiorentina. Langdon podał pracownikowi konsulatu nieistniejący numer pokoju i fałszywy adres – „lustrzane

spotkanie", jak je nazywano w branży, było typową techniką wywiadowczą pozwalającą na ocenę sytuacji przed ujawnieniem swojego położenia. Problem polegał na tym, że wskazane miejsce musiało być widoczne z prawdziwej kryjówki.

Vayentha znalazła dobrze osłonięty punkt obserwacyjny na dachu, skąd miała doskonały widok na okolicę. Uważnie zlustrowała kamienicę naprzeciwko.

Pański ruch, panie Langdon.

W tym samym momencie Zarządca wyszedł na mahoniowy pokład Mendacium i odetchnął głęboko, rozkoszując się słonawą atmosferą Adriatyku. Jacht był jego domem od wielu lat, tymczasem seria niefortunnych zdarzeń we Florencji zagroziła wszystkiemu, co posiadał.

Sprawczynią tych kłopotów była jego agentka polowa, Vayentha, i chociaż po zakończeniu misji spotka ją zasłużona kara, na razie wciąż potrzebował jej na miejscu.

Lepiej, żeby odzyskała kontrolę nad tym bajzlem.

Za jego plecami rozległy się odgłosy szybkich kroków. Zarządca odwrócił się i dostrzegł jedną ze swoich analityczek.

– Sir? – odezwała się zdyszana kobieta. – Mamy nowe informacje. – Jej głos był znakomicie słyszalny w chłodnym porannym powietrzu. – Wygląda na to, że Robert Langdon sprawdzał przed chwilą swoje konto pocztowe na Harvardzie. Robił to z niezamaskowanego adresu IP... – przerwała, spoglądając prosto w oczy szefa. – Możemy namierzyć jego obecną kryjówkę.

Zarządca nie potrafił uwierzyć, że ktoś może być aż tak głupi.

To zmienia obraz rzeczy...

Splótł dłonie za plecami i wbiwszy spojrzenie w odległą linię brzegową, zaczął się zastanawiać.

– Znamy pozycję zespołu Inwigilacji i Wsparcia Operacyjnego?

– Tak, sir. Zespół IWO znajduje się trzy kilometry od Langdona.

Zarządca potrzebował tylko chwili, by podjąć decyzję.

Rozdział 15

– *L'Inferno di Dante* – wyszeptała Sienna z zachwyconą miną, podchodząc bliżej do obrazu wyświetlonego na ścianie jej kuchni.

Piekło – arcydzieło światowej literatury – było jedną z trzech ksiąg składających się na *Boską komedię* Dantego Alighieri: liczący 14 233 wersy poemat opisujący zstąpienie autora w zaświaty, jego wędrówkę przez czyściec i ostateczne wejście do raju. Jednakże to właśnie *Piekło* było najpoczytniejszą z tych trzech części – i najbardziej zapadającą w pamięć.

Napisane przez Dantego w początkach czternastego stulecia *Inferno* zdefiniowało średniowieczne pojęcie piekła. Nigdy wcześniej nie opisano piekła w tak przystępny, a zarazem zajmujący sposób. Dzięki Dantemu abstrakcyjny koncept stał się w krótkim czasie jasną, przerażającą i niezapomnianą wizją. Nic więc dziwnego, że po opublikowaniu tego poematu kościoły zapełniły się wystraszonymi grzesznikami pragnącymi uniknąć opisywanych przez autora mąk.

Uwieczniona pędzlem Botticellego wizja wyglądała jak podziemny lej cierpienia – kręte jaskinie pełne ognia, siarki, ścieków, potworów i samego Szatana czekającego na dnie czeluści.

Otchłań składała się z dziewięciu segmentów zwanych Kręgami Piekieł, do których trafiali grzesznicy posegregowani wedle ciężaru popełnionych przewin. Na najwyższy poziom trafiali lubieżnicy, zwani także „cielesnymi złoczyńcami", którymi miotał wieczny wicher będący symbolem niemożności zapanowania nad żądzami. Niżej trafiali żarłocy, leżący z twarzami zanurzonymi w strumieniach odrażających ścieków, z ustami wypełnionymi efektami swoich ekscesów. Jeszcze niżej trafiali heretycy, których zamykano w płonących trumnach, skazując na wieczne całopalenie. I tak to szło... im niżej zstępowałeś w otchłań, tym gorsze męki cię czekały.

W ciągu siedmiu wieków, które minęły od premiery dzieła Dantego, doczekało się ono wielu hołdów, tłumaczeń i wariacji tworzonych przez najwybitniejszych twórców. Longfellow, Chaucer, Marks, Milton, Balzac, Borges, a nawet niektórzy papieże napisali teksty bazujące na *Piekle*. Monteverdi, Liszt, Wagner, Czajkowski i Puccini skomponowali utwory nim inspirowane, podobnie jak jedna z ulubionych piosenkarek Langdona, Loreena McKennitt. Nawet w nowoczesnym światku gier elektronicznych i aplikacji na iPada nie brakowało odniesień do twórczości Dantego.

Robert również nie stronił od dzielenia się ze studentami wiedzą na temat niezwykle żywotnej symboliki dantejskich wizji, często porównując oryginał z zainspirowanymi nim wariacjami.

– Robercie – powiedziała Sienna, przysuwając się jeszcze bliżej – spójrz tutaj! – Wskazała palcem na miejsce obok dna lejowatych piekieł.

Obszar ten określano mianem Malebolge, czyli Złe Doły. Był to ósmy z kręgów piekielnych, podzielony na dziesięć czeluści – do każdej z nich trafiali ludzie winni konkretnych grzechów.

– Patrz! – Sienna ekscytowała się coraz bardziej. – Czy nie to widziałeś w swoich wizjach?

Langdon zbliżył twarz do wskazywanego przez nią miejsca, ale nie dostrzegł tam niczego znajomego. Maleńki projektor zaczynał tracić moc i obraz powoli ciemniał. Robert potrząsnął pieczęcią, sprawiając, że jej koniec znów się rozjarzył. Potem odsunął się, by położyć wskaźnik na komodzie pod drugą ścianą, dzięki czemu rzucany obraz był znacznie większy. Na koniec wrócił do Sienny i stanął obok niej, by przyjrzeć się lśniącej mapie.

Doktor Brooks raz jeszcze wskazała ósmy krąg piekieł.

– Wspominałeś, że w swoich halucynacjach widzisz wystającą z ziemi parę nóg, na których widnieje litera R. – Dotknęła konkretnego miejsca na wyświetlanym obrazie. – Tu je masz!

Langdon oglądał ten obraz wystarczająco wiele razy, by zapamiętać, że dziesiąta czeluść pełna jest ciał zakopanych do pasa, rzecz jasna do góry nogami. Jednakże o dziwo na tej wersji udo jednej z ofiar nosiło wypisaną mułem literę R, zupełnie jak w wizjach, którego go prześladowały.

Mój Boże!

Robert przyjrzał się uważniej temu detalowi.

– Ta litera... To na pewno nie jest oryginał Botticellego!

– Tu masz kolejną literę – rzuciła Sienna, wyciągając rękę.

Langdon przeniósł wzrok na kolejną z czeluści i zobaczył literę E na postaci fałszywego proroka, który miał twarz z tyłu głowy.

Cóż to ma znaczyć? Ktoś tu coś podomalowywał...

Kolejne litery wypatrzył sam wśród grzeszników zapełniających wszystkie dziesięć czeluści. Na postaci uwodziciela biczowanego przez demony było wyraźne C... i jeszcze jedno R na złodzieju kąsanym w nieskończoność przez węże... a skorumpowany polityk nurzający się w jeziorze gotującej się smoły został oznaczony literą A.

Robert skierował wzrok na pierwszą czeluść Malebolge i zaczął odczytywać litery kolejno, odszukując je w poszczególnych sekcjach obrazu.

C... A... T... R... O... V... A... C... E... R...

– *Catrovacer?* – zdziwił się. – To chyba będzie po włosku...

Sienna pokręciła głową.

– Łacina to też raczej nie jest. Nie znam takiego słowa.

– Może to podpis.

– Catrovacer? – Spojrzała na niego z powątpiewaniem. – To nie brzmi jak nazwisko. Spójrz jednak tutaj. – Wskazała na jedną z licznych postaci w trzeciej czeluści.

Langdon poczuł ciarki, ledwie skupił na niej wzrok. W tłumie grzeszników dostrzegł bowiem typową dla średniowiecza postać – człowieka w masce z długim dziobem zamiast nosa i martwymi oczyma.

Ptasia maska.

– Czy na oryginale Botticellego był lekarz? – zapytała Sienna.

– Skądże. Ta postać została domalowana.

– A czy Botticelli podpisał się na swoim obrazie?

Tego Robert nie pamiętał. Kiedy automatycznie pobiegł spojrzeniem do prawego dolnego rogu, gdzie powinna się

znajdować sygnatura, zrozumiał, skąd to pytanie. Nie było tam podpisu, tylko ciąg literek na ciemnobrązowym skraju obrazu: *la verità è visible solo attraverso gli occhi della morte*.

Langdon znał język włoski na tyle, by zrozumieć, o co chodzi.

– Prawdę można ujrzeć wyłącznie oczami śmierci.

Sienna pokiwała głową.

– Dziwne...

Spoglądali na przerażającą wizję, która znów zaczynała powoli ciemnieć.

Piekło Dantego, pomyślał Langdon. Od 1330 roku inspiruje ludzi do tworzenia niepokojących dzieł sztuki.

Kursy Langdona poświęcone Dantemu zawierały zawsze odniesienia do znakomitych dzieł sztuki inspirowanych *Piekłem*. Oprócz *Mapy Piekieł* Botticellego mówił o *Trzech Cieniach*, prześwietnej rzeźbie Rodina z *Wrót Piekieł*, ilustracji Stradanusa przedstawiającej Flegiasa wiosłującego pośród ciał spływających Styksem... lubieżnych grzesznikach Williama Blake'a wirujących w wiecznym wichrze... dziwnie erotycznej wizji Bouguereau, w której Dante i Wergiliusz przyglądają się walce nagich młodzieńców... udręczonych duszach Bayrosa, cierpiących pod strumieniami rozgrzanych do czerwoności kamieni i sypiących się z nieba płomieni... serii drzeworytów i akwareli Salvadora Dalego... i wreszcie o cyklu czarno-białych rycin, które przedstawiały pełen obraz piekieł, od ich wrót aż po legowisko skrzydlatego Szatana, autorstwa Gustave'a Doré.

Jednakże dopiero dziś zrozumiał, że okrutna wizja Dantego była natchnieniem nie tylko dla wielkich artystów. Zainspirowała także, czego dowód miał przed oczyma, osobnika zupełnie innego

rodzaju – szaleńca, który cyfrowo zniekształcił znany obraz Botticellego, dodając do niego dziesięć liter i postać średniowiecznego lekarza, a następnie podpisując go złowrogą frazą mówiącą, że prawdę można ujrzeć wyłącznie oczami śmierci. I umieścił swoje dzieło w nowoczesnym projektorze wciśniętym w kościany artefakt.

Robert nie miał pojęcia, kto wykonał cylinder, lecz w obecnej sytuacji ta kwestia musiała ustąpić znacznie ważniejszemu pytaniu.

Po jakie licho ja to nosiłem?

Podczas gdy oboje stali w kuchni, zastanawiając się nad kolejnym ruchem, z zewnątrz dobiegł ryk pracującego na wysokich obrotach silnika. Chwilę później rozległ się charakterystyczny pisk opon i stukot zatrzaskiwanych drzwi.

Zaintrygowana Sienna podbiegła do okna i spojrzała w dół.

Na ulicy zatrzymała się nieoznakowana czarna furgonetka, ze środka zaczęli wyskakiwać mężczyźni ubrani w ciemne mundury ozdobione okrągłymi zielonymi naszywkami na lewym ramieniu. Trzymali w rękach automaty i poruszali się sprawnie jak doskonale wyszkoleni żołnierze. Czterech z nich bez wahania pomknęło do wejścia kamienicy, w której przebywali uciekinierzy.

Sienna poczuła, jak krew zamarza jej w żyłach.

– Robert! – zawołała. – Nie wiem, kim oni są, ale właśnie nas znaleźli!

Stojący pośrodku ulicy agent Christoph Brüder wydawał rozkazy podwładnym, którzy wbiegali właśnie do budynku. Był to potężnie zbudowany mężczyzna, który nauczył się w wojsku, że podczas

akcji nie ma miejsca na emocje, a przełożonych należy szanować i słuchać. Wiedział, co do niego należy i o jaką stawkę toczy się gra.

Organizacja, dla której pracował, miała wiele wydziałów, jednakże grupę zwiadu bojowego wzywano tylko wtedy, gdy sytuacja stawała się kryzysowa.

Kiedy wszyscy jego ludzie zniknęli w budynku, Brüder nie ruszył się z miejsca, z którego mógł obserwować główne wejście, wyjął komunikator i połączył się z przełożonym.

– Tu Brüder – powiedział. – Udało nam się namierzyć Langdona po adresie IP. Moi ludzie już po niego idą. Odezwę się, jak go będziemy mieli.

Ukryta na dachu Pensione la Fiorentina kobieta spoglądała z niemym przerażeniem na agentów znikających w jednej z pobliskich bram.

Co oni tu u licha robią?!

Przeczesała dłonią postawione na sztorc włosy. W końcu dotarło do niej, jakie będą konsekwencje spartaczonego minionej nocy zadania. Wystarczyło jedno zagruchanie gołębia, aby wszystko wymknęło się spod kontroli. Niby taka prosta misja... a zamieniła się w prawdziwy koszmar.

Już po mnie, skoro sprowadzili tutaj grupę IWO.

Vayentha chwyciła szyfrowany komunikator i połączyła się z Zarządcą.

– Sir – wydukała. – Na miejscu pojawił się zespół IWO! Ludzie Brüdera wpadli do kamienicy!

Czekała na odpowiedź, ale usłyszała jedynie serię trzasków, a potem wypowiadany elektronicznym głosem komunikat:

„Rozpoczęcie protokołu wykluczenia”.

Vayentha opuściła komórkę i spojrzała na wyświetlacz, który moment później ściemniał. Krew odpłynęła jej z twarzy, gdy uświadomiła sobie, co się stało. Konsorcjum właśnie się jej wyparło.

Koniec kontaktów. Koniec wsparcia.

Wykluczenie.

Szok szybko minął.

Zastąpił go strach.

Rozdział 16

– Szybciej, Robercie! – ponaglała Sienna. – Za mną!

Myśli Langdona wciąż obracały się wokół ponurych wizji świata podziemi, gdy wybiegał za nią z drzwi mieszkania. Do tej pory Sienna Brooks panowała jakoś nad trawiącym ją stresem, ale teraz emocje wzięły górę i porzuciła luzacką pozę, okazując po raz pierwszy czysty strach.

Na korytarzu pobiegła przed siebie, mijając windę, która właśnie zjeżdżała, zapewne wezwana przez ludzi w holu na dole, i nie oglądając się, zniknęła na klatce schodowej.

Langdon biegł tuż za nią, ślizgając się na gładkich podeszwach pożyczonych mokasynów. Maleńki projektor schowany w kieszeni garnituru obijał mu się o pierś przy każdym kroku. Robert nie potrafił wyrzucić z pamięci dziwnego słowa, w jakie ułożyły się litery odczytane w ósmym kręgu. CATROVACER. Pamiętał wciąż również dziwaczną maskę i inskrypcję: „Prawdę można ujrzeć wyłącznie oczami śmierci".

Robił, co mógł, by połączyć te elementy, jednakże na razie nie widział żadnego sensownego rozwiązania.

Gdy w końcu zatrzymał się na półpiętrze, czekająca tam na niego Sienna zaczęła nasłuchiwać. Robert także słyszał łomot butów dobiegający gdzieś z dołu.

– Czy jest tutaj jakieś inne wyjście? – zapytał szeptem.

– Idziemy – zakomenderowała ochrypłym głosem.

Tego ranka uratowała mu już raz życie, zaufał jej więc po raz kolejny. Zaczerpnął tchu i pognał za nią po schodach, kierując się w dół.

Zeszli jedno piętro, zbliżając się niebezpiecznie do ścigających, od których dzieliły ich teraz co najwyżej dwie kondygnacje.

Dlaczego ona pędzi im na spotkanie?

Zanim zdążył zaprotestować, Sienna chwyciła go za rękę i pociągnęła w głąb korytarza z długim ciągiem pozamykanych drzwi.

Tu nie ma się gdzie schować!

Sienna przekręciła kontakt i kilka żarówek przygasło, lecz półmrok, który zapanował w korytarzyku, nie wystarczał, by się ukryć. Sienna i Langdon wciąż byli widoczni na tle ścian. Narastające odgłosy kroków świadczyły o tym, że prześladowcy lada moment dotrą na piętro i znajdą się na wprost korytarzyka, mając doskonały widok na całą jego długość.

– Potrzebuję twojej marynarki – wyszeptała Sienna, ściągając z niego górę pożyczonego garnituru. Potem szybko go wepchnęła do niewielkiej wnęki przy drzwiach i kazała przyklęknąć za sobą. – Nie ruszaj się.

Co ona wyprawia? Stoi na widoku!

Żołnierze, którzy zaraz pojawili się na klatce schodowej, stanęli jak wryci, gdy dostrzegli kobietę stojącą w ciemnym korytarzyku.

– *Per l'amor di Dio!* – wrzasnęła na nich Sienna zjadliwym tonem. – *Cos'é questa confusione?* – Dwaj napastnicy spojrzeli po sobie, wyraźnie nie wiedząc, jak zareagować. Sienna nie przestawała na nich wrzeszczeć. – *Tanto chiasso a quest'ora!*

Tyle hałasu o tak wczesnej porze! Langdon dopiero teraz zauważył, że Sienna narzuciła marynarkę na głowę i ramiona, przez co wyglądała jak typowa staruszka w chuście. Skuliła się też, by lepiej osłonić klęczącego za nią Roberta. Moment później zrobiła krok do przodu, wyzywając ich, jak przystało na prawdziwą włoską starowinkę.

Jeden z żołnierzy zamachał ręką, nakazując jej wrócić do mieszkania.

– *Signora! Rientri subito in casa!*

Sienna zrobiła kolejny koślawy krok, wygrażając gniewnie pięścią.

– *Avete svegliato mio marito, che è malato!*

Langdon słuchał z niedowierzaniem.

Obudzili chorego męża?

Drugi z żołnierzy uniósł karabin i wymierzył prosto w nią.

– *Ferma o sparo!*

Sienna natychmiast się zatrzymała, a potem złorzecząc pod nosem, zaczęła się cofać.

Napastnicy pobiegli dalej i zniknęli na schodach.

Może nie była to szekspirowska rola, uznał Robert, ale i tak zasługiwała na brawa. Wychodziło na to, że doświadczenie na deskach teatru może być bardzo groźną bronią.

Sienna zdjęła marynarkę z głowy i rzuciła ją Langdonowi.

– Dobra, możemy iść.

Tym razem Robert wykonał jej polecenie bez zbędnego ociągania.

Zeszli na półpiętro tuż nad holem, gdzie dwaj kolejni żołnierze właśnie wsiadali do windy, by pojechać na górę. Na ulicy znajdował się jeszcze jeden mundurowy, który stojąc obok furgonetki, obserwował wejście. Uniform opinał jego potężnie umięśnione ciało. Sienna i Langdon przemknęli się cichcem do piwnicy.

Podziemny parking tonął w mroku i cuchnął uryną. Lekarka pobiegła do rogu, w którym ustawiano skutery i motocykle. Zatrzymała się przed srebrnym mopedem, który wyglądał jak skrzyżowanie tradycyjnej włoskiej vespy i rasowego trójkołowego motocykla. Wsunęła smukłą dłoń pod przedni zderzak i wyjęła małe magnetyczne pudełeczko. W środku był klucz, za pomocą którego natychmiast odpaliła maszynę.

Kilka sekund później Langdon siedział już na tylnym siodełku. Czuł się bardzo niepewnie, szukał więc czegoś, czego mógłby się chwycić.

– Nie ma czasu na skromność – stwierdziła Sienna, łapiąc go za ręce i opasując nimi swoją szczupłą talię. – Tego się trzymaj.

Robert posłuchał, a ona poprowadziła moped w górę rampy wyjazdowej. Pojazd miał więcej mocy, niż mogłoby się wydawać. Omal nie stracili kontaktu z podłożem, gdy wystrzelili z parkingu na ulicę około pięćdziesięciu metrów od głównego wejścia. Pilnujący go muskularny żołnierz zdążył się odwrócić, dzięki czemu zobaczył uciekinierów odjeżdżających na warczącym przeraźliwie motorku. Sienna przekręciła manetkę gazu do oporu.

Siedzący za nią Langdon zerknął przez ramię na żołnierza, który właśnie unosił broń, by do nich wymierzyć. Robert skulił się odruchowo. Rozległ się huk wystrzału, ale kula rykoszetowała od tylnego błotnika mopedu, o włos mijając podstawę kręgosłupa siedzącego na nim mężczyzny.

Jezu!

Sienna skręciła gwałtownie w pierwszą przecznicę, co sprawiło, że Langdon zaczął się zsuwać i musiał rozpaczliwie walczyć o zachowanie równowagi.

– Chwyć mnie mocniej! – zawołała.

Robert pochylił się do przodu, odzyskując równowagę dopiero, gdy Sienna przyśpieszyła na szerszej alejce. Dotarli do kolejnej przecznicy, zanim odważył się zaczerpnąć znowu powietrza.

Kim u licha są ci ludzie?

Sienna skupiała całą uwagę na jezdni, którą pędzili, wyprzedzając nieliczne o tej porze samochody. Kilku przechodniów przystanęło na ich widok. Musieli być zdziwieni, że tak masywny mężczyzna jedzie za kobietą.

Langdon i Sienna przejechali jeszcze trzy przecznice, mknąc wciąż tą samą aleją, zanim usłyszeli dochodzące z przodu piski klaksonów. Czarna furgonetka skręciła ostro, na moment odrywając się od nawierzchni dwoma kołami, przemknęła zygzakiem przez skrzyżowanie, a potem przyśpieszyła, kierując się prosto na nich. Wyglądała identycznie jak ta, którą żołnierze przyjechali pod kamienicę.

Sienna natychmiast skręciła w prawo i z całych sił nacisnęła hamulce. Langdon przywarł do jej pleców, gdy motor zatrzymywał się za zaparkowaną półciężarówką, znikając prześladowcom

z oczu. Kobieta oparła moped o tylny zderzak wozu dostawczego i wyłączyła silnik.

Ciekawe, czy zdążyli nas zauważyć?

Oboje skulili się, czekając z zapartym tchem.

Furgonetka przemknęła obok, nie zwalniając, co mogło znaczyć, że kierowca ich nie dostrzegł. Za to Langdon zdążył zauważyć kogoś we wnętrzu rozpędzonego wozu.

Na tylnym siedzeniu, pomiędzy dwoma odzianymi w czerń żołnierzami, siedziała starsza i dość atrakcyjna kobieta. Wyglądała na więźnia. Oczy miała przymknięte, a głowa jej się kołysała, jakby ją oszołomiono albo uśpiono. Z szyi zwieszał się spory amulet, a długie siwe włosy opadały kaskadami na ramiona.

Przez moment Robert miał wrażenie, że właśnie ujrzał ducha.

To była kobieta z jego wizji.

Rozdział 17

Zarządca wymaszerował z dyspozytorni i ruszył wzdłuż długiego pokładu jachtu, próbując zebrać myśli. To, co wydarzyło się przed momentem we florenckiej kamienicy, było niesłychane.

Okrążył pokład dwukrotnie, zanim uspokoił się na tyle, by wrócić do swojej kajuty, gdzie wyjął z barku butelkę pięćdziesięcioletniej whisky Highland Park. Nie napełniwszy szklanki, odłożył butelkę na stół i odwrócił się do niej plecami – w ten sposób utwierdzał się w przekonaniu, że nadal kontroluje sytuację.

Jego wzrok powędrował w stronę regału i spoczywającego na nim opasłego tomiszcza – prezentu od klienta... klienta, którego wolałby nigdy nie poznać.

Skąd mogłem to wiedzieć rok temu?

Zarządca zazwyczaj nie spotykał się z przyszłymi klientami, lecz tego polecił ktoś zaufany, zatem postanowił zrobić wyjątek.

Tamtego dnia, gdy klient przyleciał na pokład Mendacium własnym helikopterem, na morzu panowała martwa cisza. Gość, znana postać w swojej branży, był bardzo wysoki, miał

czterdzieści sześć lat, gładko ogoloną twarz i przeszywające spojrzenie zielonych oczu.

– Jak pan zapewne wie – zagaił – polecił mi pana nasz wspólny znajomy. – Gość rozprostował nogi, jakby w gabinecie gospodarza czuł się jak we własnym domu. – Zatem pozwoli pan, że przejdę od razu do rzeczy.

– Nie tak szybko – przerwał mu Zarządca, pokazując, kto tu rządzi. – Zasady, którymi się kieruję, nie pozwalają mi słuchać wyjaśnień klientów. To ja powiem, czym się zajmujemy, a pan zdecyduje, czy jest zainteresowany którąś ze świadczonych przez nas usług.

Gość wyglądał na zaskoczonego takim obrotem sprawy, niemniej przyjął warunki Zarządcy i wysłuchał z uwagą jego przemowy. Później okazało się, że chudzielec pragnie jednej z podstawowych usług Konsorcjum, czyli szansy na chwilową niewidzialność, aby z dala od ciekawskich oczu zajmować się swoimi sprawami.

Bułka z masłem.

Konsorcjum mogło spełnić jego zachciankę, dostarczając mu fałszywe dokumenty i całkowicie bezpieczną kryjówkę, gdzie mógłby pracować w tajemnicy nad czym tylko chciał. Konsorcjum nigdy nie pytało, po co klientowi dana usługa. Zarządca wolał wiedzieć jak najmniej o tych, dla których pracował.

Dlatego też za skromną opłatą ukrył na równy rok tego zielonookiego człowieka, który okazał się klientem idealnym. Zarządca nigdy więcej o nim nie usłyszał, a wszystkie rachunki były opłacane na czas.

Dwa tygodnie temu jednak sytuacja uległa diametralnej zmianie.

Klient niespodziewanie nawiązał z nim kontakt, domagając się kolejnego spotkania w cztery oczy. Zważywszy na sumę dotychczasowych wpłat, spełniono jego prośbę.

W rozczochranym indywiduum przybyłym na pokład trudno było rozpoznać zadbanego człowieka, z którym Zarządca dobił targu przed rokiem. Z zielonych oczu biło szaleństwo. Mężczyzna wyglądał, jakby coś mu dolegało.

Co się stało? Co on robił przez ten rok?

Zarządca zaprosił podenerwowanego klienta do swojego gabinetu.

– Ta siwowłosa diablica – mamrotał gość. – Każdego dnia jest bliżej.

Zarządca zerknął do akt klienta, znajdując w nich fotografię atrakcyjnej starszej damy.

– Tak, siwowłosa diablica – rzucił. – Znamy pańskich największych wrogów. Mimo jej niezaprzeczalnej potęgi trzymaliśmy ją z dala od pana przez miniony rok i zamierzamy to robić nadal.

Zielonooki mężczyzna zwijał nerwowo końcówki przepoconych włosów.

– Niech was nie zwiedzie jej uroda. Jest naprawdę niebezpieczna.

To prawda, przyznał w myślach Zarządca wciąż niezadowolony z faktu, że jego klient ściągnął na siebie uwagę kogoś tak wpływowego. Siwowłosa kobieta miała dostęp do gigantycznych

funduszy – należała do przeciwników, których nawet Konsorcjum nie mogło lekceważyć.

– Jeśli ona albo jej demony mnie znajdą... – zaczął klient.

– Do tego nie dojdzie – zapewnił go Zarządca. – Czy nie dostarczyliśmy panu odpowiedniej kryjówki i wszystkiego, o co pan prosił?

– Dostarczyliście – odparł gość. – Ale spałbym spokojniej, gdybyście... – przerwał, by zebrać myśli. – Chciałbym wiedzieć, czy spełnicie moją ostatnią wolę, jeśli coś mi się przydarzy.

– A jaka to wola?

Klient sięgnął do torby i wyjął z niej niewielką zaklejoną kopertę.

– Jej zawartość da wam dostęp do skrytki depozytowej we Florencji. Znajdziecie tam niewielki przedmiot. Gdyby coś mi się stało, musicie go komuś dostarczyć. Powiedzmy, że to swoisty prezent.

– Dobrze. – Zarządca podniósł pióro, by zanotować życzenie. – Kto będzie odbiorcą?

– Ta siwowłosa diablica.

Zarządca zerknął w jego kierunku.

– Chce pan obdarować osobę, która pana prześladuje?

– To będzie raczej cierń wbity w jej tyłek. – Oczy gościa zalśniły. – Taki zmyślny kolec wykonany z kości. Ona zrozumie, że to mapa... jej osobisty Wergiliusz... towarzysz w podróży na dno jej prywatnego piekła.

Zarządca przez dłuższą chwilę nie spuszczał z niego wzroku.

– Jak pan sobie życzy. Proszę uważać tę sprawę za załatwioną.

– Najważniejsze będzie zgranie w czasie – napomniał go klient. – Nie możecie dostarczyć tego przedmiotu za szybko. Musi pozostać w ukryciu do... – zamilkł nagle, jakby zgubił wątek.

– Do kiedy? – zachęcił go Zarządca.

Mężczyzna zerwał się z fotela, podszedł do biurka, chwycił pisak i zaznaczył nim datę w kalendarzu gospodarza.

– Do tego dnia.

Zarządca zacisnął zęby i wstrzymał na moment oddech, tłumiąc irytację wywołaną bezczelnością gościa.

– Rozumiem – powiedział. – Nie zrobimy nic aż do nadejścia tego dnia, kiedy to dostarczymy siwowłosej kobiecie ów przedmiot ze skrytki depozytowej, czymkolwiek on jest. Ma pan na to moje słowo. – Policzył w myślach dni dzielące go od zakreślonej daty. – Spełnimy pańskie życzenie dokładnie za dwa tygodnie.

– Ani dnia wcześniej! – upomniał go rozgorączkowany klient.

– Naturalnie. Ani dnia wcześniej – zapewnił go Zarządca.

Podniósł kopertę, wsunął ją do akt i zanotował szczegółowe instrukcje, aby wola klienta została wykonana co do joty. Jego gość nie opisał zawartości skrytki depozytowej, co mu bardzo odpowiadało. Obiektywizm był fundamentem, na którym zbudowano filozofię Konsorcjum.

Wykonaj usługę. Nie zadawaj pytań. Nie oceniaj.

Klient spuścił ramiona i westchnął ciężko.

– Dziękuję.

– Czy to już wszystko? – zapytał Zarządca, pragnąc zakończyć to irytujące spotkanie z odmienionym klientem.

– Nie... Szczerze mówiąc, mam jeszcze jedną sprawę. – Gość sięgnął do kieszeni i wyjął z niej niewielki szkarłatny flashpen. –

To plik wideo. – Położył go przed Zarządcą. – Chciałbym, aby wysłano go wszystkim znaczącym mediom światowym.

Gospodarz zmierzył go uważniejszym spojrzeniem. Konsorcjum zapewniało klientom możliwość masowego rozpowszechniania informacji, lecz w tym wypadku ta właśnie prośba wydała mu się nie wiedzieć czemu niepokojąca.

– Tego samego dnia? – zapytał, wskazując zakreśloną datę w kalendarzu.

– Tego samiuśkiego – odparł klient. – Ani chwili wcześniej.

– Rozumiem. – Zarządca nakleił na flashpenie stosowną informację. – Zatem to wszystko? – wstał, zamierzając zakończyć to spotkanie.

Klient pozostał na miejscu.

– Nie. Jeszcze ostatnia sprawa.

Zarządca usiadł.

W zielonych oczach rozmówcy płonęło szaleństwo.

– Wkrótce po rozpowszechnieniu tego nagrania stanę się bardzo sławnym człowiekiem.

Już jest pan sławny, pomyślał gospodarz, mając w pamięci niemałe dokonania siedzącego przed nim człowieka.

– Uważam jednak, że część tej sławy powinna przypaść i panu – kontynuował klient. – To dzięki pańskiej pomocy mogłem ukończyć moje arcydzieło... opus, które zmieni losy świata. Powinien pan być dumny z tej roli.

– Czymkolwiek jest pańskie arcydzieło – rzucił zniecierpliwiony Zarządca – cieszy mnie, że udało nam się zapewnić warunki do jego stworzenia.

– W dowód wdzięczności przywiozłem panu ten dar – niechlujny mężczyzna sięgnął ponownie do teczki. – Książkę.

Zarządca miał niejasne podejrzenia, że może chodzić o wspomniane przed momentem arcydzieło, nad którym jego gość pracował przez ostatni rok.

– Sam pan ją napisał?

– Nie. – Mężczyzna położył opasłe tomiszcze na blacie. – Wręcz przeciwnie. Można powiedzieć, że tę książkę napisano dla mnie.

Zdziwiony Zarządca zerknął na tytuł księgi.

On uważa, że napisano ją dla niego? Przecież to klasyka literatury... z czternastego wieku.

– Proszę ją przeczytać – polecił mu klient, uśmiechając się dziwnie. – Lektura pomoże panu zrozumieć moje dzieło.

To powiedziawszy, zaniedbany gość wstał, pożegnał się i pośpiesznie wyszedł. Zarządca obserwował zza okna, jak helikopter odrywa się od pokładu i rusza w stronę włoskiego wybrzeża.

Moment później skupił wzrok na leżącym przed nim opasłym tomiszczu. Niepewnym ruchem dotknął skórzanej oprawy i otworzył wolumin na pierwszej stronie. Otwierająca poemat strofa została wykaligrafowana dużą czcionką, zajmując cały łam.

PIEKŁO
W życia wędrówce, na połowie czasu,
Straciwszy z oczu szlak niemylnej drogi,
W głębi ciemnego znalazłem się lasu.

Na stronicy obok klient dopisał odręczną dedykację:

Drogi przyjacielu, dziękuję za pomoc we wskazaniu drogi.
Świat także będzie ci wdzięczny.

Zarządca nie miał pojęcia, o co może chodzić, ale i tak uznał, że wystarczy tego czytania. Bogu dzięki, że już niedługo będzie mógł zerwać zawodowe kontakty z tym dziwakiem.

Jeszcze tylko dwa tygodnie, pomyślał, spoglądając na zakreśloną czerwonym pisakiem datę.

W następnych dniach czuł dziwny niepokój na każdą myśl o tym właśnie kliencie – jego zdaniem zielonooki mężczyzna postradał rozum. Jednakże pomimo złych przeczuć Zarządcy czas upływał spokojnie.

Niemniej tuż przed zaznaczoną w kalendarzu datą we Florencji doszło do serii gwałtownych zdarzeń. Zarządca próbował opanować sytuację, lecz szybko utracił nad nią kontrolę. Kryzys osiągnął apogeum, gdy zdyszany klient wspiął się na wieżę Badia.

Skoczył z niej... i zginął.

Mimo szoku spowodowanego utratą klienta, i to w tak przerażających okolicznościach, Zarządca zamierzał dotrzymać danego słowa. Przygotowania do spełnienia ostatniej woli zmarłego rozpoczął bezzwłocznie, gdyż zawartość skrytki depozytowej z Florencji miała trafić do siwowłosej kobiety w ściśle określonym terminie.

Ale ani dnia przed datą zaznaczoną w kalendarzu.

Przekazał kopertę z adresem banku i numerem skrytki swojej agentce polowej, a ta udała się do Florencji, by odebrać przedmiot nazwany przez klienta „kolcem”. Kiedy Vayentha skontaktowała się z nim, jej słowa zaskoczyły go i zaalarmowały. Ktoś zdołał

zabrać przedmiot, zanim tam dotarła, a ona sama z trudem uniknęła aresztowania. Siwowłosa kobieta jakimś cudem dowiedziała się o depozycie i używając swoich wpływów, zyskała dostęp do skrytki, a nadto nakłoniła władze do wydania nakazu aresztowania każdego, kto będzie chciał ją otworzyć.

Wszystko to miało miejsce trzy dni temu.

Klient wyraźnie dał do zrozumienia, że przedmiot ze skrytki ma być jego ostatnim afrontem uczynionym siwowłosej przeciwniczce – jego kpiącym głosem zza grobu.

Który rozległ się za wcześnie.

Od tamtej pory Konsorcjum znajdowało się w impasie – wykorzystując wszelkie środki, próbowało spełnić ostatnią wolę klienta i zachować twarz. W trakcie operacji przekroczono kilka granic, zza których trudno będzie wrócić. A teraz, gdy sytuacja jeszcze się pogorszyła, Zarządca mógł tylko siedzieć przy biurku i zastanawiać się, co przyniesie przyszłość.

Przed oczami miał kalendarz i zakreśloną wściekłym ruchem dłoni datę – czerwony krąg otaczający bardzo wyjątkowy dzień.

Jutrzejszy dzień.

Zarządca spojrzał niechętnie na odstawioną butelkę whisky. Potem, po raz pierwszy od czternastu lat, nalał sobie szklaneczkę i opróżnił ją jednym haustem.

Kilka pokładów niżej Laurence Knowlton wyjął czerwony flashpen z gniazda komputera i położył go na blacie przed sobą. To nagranie było najdziwniejszym materiałem wideo, jaki w życiu widział.

Liczyło równo dziewięć minut... co do sekundy.

Czując niespotykany w jego fachu niepokój, wstał i zaczął się przechadzać po niewielkim szklanym boksie. Wciąż próbował zdecydować, czy powinien powiadomić o tym nagraniu Zarządcę.

Rób, co do ciebie należy, napomniał się po raz kolejny. Nie zadawaj pytań. Nie wydawaj osądów.

Zmusił się do wyparcia z pamięci dopiero co obejrzanych obrazów i potwierdził na harmonogramie wykonanie zadania. Jutro zgodnie z życzeniem klienta nagranie trafi do wszystkich mediów.

Rozdział 18

Viale Niccolò Machiavelli nazywana jest najpiękniejszą z florenckich alei. Jej szerokie serpentyny otoczone żywopłotami i drzewami liściastymi cieszą się wielką sławą wśród motocyklistów i entuzjastów ferrari.

Sienna z wielką wprawą wchodziła w kolejne łagodne zakręty, gdy już zostawili za sobą obskurne dzielnice mieszkalne, docierając do czystego, pachnącego cedrami powietrza unoszącego się nad ekskluzywnym zachodnim brzegiem miasta. Właśnie minęli dzwonnicę kapliczki, której zegar wybijał ósmą.

Langdon trzymał się prowadzącej kobiety wciąż pogrążony w rozmyślaniach o piekle Dantego... oraz o pięknym obliczu tajemniczej siwowłosej kobiety, którą widział przed momentem ściśniętą na tylnym siedzeniu furgonetki pomiędzy dwoma rosłymi żołnierzami.

Kimkolwiek jest, pomyślał, już ją dopadli.

– Ta kobieta z furgonetki! – Sienna musiała przekrzykiwać terkot silnika. – Jesteś pewien, że to ją widziałeś w koszmarach?

– Całkowicie pewien.

– Zatem musiałeś ją spotkać w ciągu ostatnich dwóch dni. Pytanie tylko, dlaczego pojawia się w twoich wizjach i dlaczego powtarza bez przerwy „szukaj, a znajdziesz".

– Nie mam pojęcia – odparł Langdon. – Nie pamiętam, abyśmy się spotkali, ale za każdym razem, gdy widzę jej twarz, mam przemożne uczucie, że powinienem jej pomóc.

Ve... sorry. Ve... sorry. „Bardzo przepraszam"...

W tym momencie wpadło mu do głowy, że przeprosiny mógł kierować do siwowłosej kobiety.

Czy ja w jakiś sposób ją zawiodłem?

Poczuł lodowaty uścisk na dnie żołądka.

Czuł się tak, jakby mu odebrano najpotężniejszą broń z dostępnego arsenału. Nic nie pamiętał. Fotograficzna pamięć, którą się szczycił od dziecka, była jednym z jego największych atutów. Człowiek przyzwyczajony do tego, że potrafi na zawołanie opisać każdy szczegół otoczenia, w wypadku amnezji jest jeszcze bardziej bezradny niż pozbawiony przyrządów pilot samolotu, który musi lądować w kompletnych ciemnościach.

– Wygląda na to, że rozszyfrowanie *Mapy Piekieł* jest jedyną szansą na znalezienie odpowiedzi – zauważyła Sienna. – Oni ścigają cię z powodu sekretu, który ten obraz skrywa.

Langdon przytaknął, rozmyślając o słowie *catrovacer* wypisanym między wijącymi się grzesznikami z piekła Dantego.

Nagle coś wpadło mu do głowy.

Obudziłem się we Florencji...

Nie było na świecie miasta bardziej związanego z tym twórcą. Dante Alighieri przyszedł na świat we Florencji, dorastał w niej, tu się zakochał w Beatrycze, jeśli wierzyć legendzie, i z tego

miasta został okrutnie wygnany, aby błąkać się po prowincji przez wiele lat i tęsknić za domem –

Naprzód porzucisz najsłodsze kochania:
To pierwsza będzie z twych losów przygody
Strzała puszczona po łuku wygnania.

Gdy Robert przypomniał sobie te słowa pochodzące z siedemnastej pieśni *Raju*, spojrzał na prawo, za rzekę Arno, na odległe wieże starej Florencji.

Przywołał w pamięci plan starówki – labiryntu pełnego turystów i aut tłoczących się na wąskich uliczkach okalających najsłynniejsze z florenckich kościołów, muzeów, kaplic i dzielnic handlowych. Podejrzewał, że gdyby Sienna tam porzuciła moped, bez trudu zniknęliby w ciżbie.

– Powinniśmy jechać na starówkę – stwierdził. – Jeśli mam szukać odpowiedzi, tam najprędzej je znajdę. Stara Florencja była całym światem Dantego.

Sienna skinęła głową na znak, że się zgadza.

– Tam nie zabraknie nam kryjówek, powinniśmy więc być bezpieczni. Pojadę w kierunku Bramy Rzymskiej, za nią przekroczymy rzekę.

Rzeka, pomyślał zaniepokojony Langdon. Słynna podróż Dantego także zaczynała się od przekroczenia rzeki.

Sienna dodała gazu i krajobraz zaczął umykać w szybszym tempie, a Langdon znów zanurzył się w wizjach dantejskiego piekła, oczyma wyobraźni spoglądając na martwych i konających, wszystkie dziesięć czeluści Malebolge z dodanym lekarzem w

ptasiej masce i dziwnym słowem: CATROVACER. Przypomniał sobie także zdanie nakreślone u dołu *Mapy Piekieł* – „Prawdę można ujrzeć wyłącznie oczami śmierci" – i zaczął się zastanawiać, czy to aby nie cytat z Dantego.

Nie przypominam go sobie...

Znał doskonale dzieła Dantego, jako uznany autorytet w dziedzinie ikonografii był wielokrotnie zapraszany do wygłaszania referatów na temat szerokiego wachlarza symboli, jakich używał ten twórca. Tak się ciekawie złożyło – a może nie był to wcale przypadek – że ostatni raz mówił o *Piekle* Dantego niespełna dwa lata temu.

BOSKI DANTE: SYMBOLE PIEKIEŁ.

Dante Alighieri wyrósł na jedną z największych ikon kultury, na całym świecie jak grzyby po deszczu wyrastały poświęcone mu stowarzyszenia. Najstarsze z amerykańskich zostało założone już w 1881 roku w Cambridge w stanie Massachusetts przez Henry'ego Wadswortha Longfellowa. Tenże słynny nowoangielski członek grupy Fireside Poets był pierwszym Amerykaninem, który przełożył *Boską komedię*, a jego tłumaczenie po dziś dzień należy do najbardziej cenionych i najczęściej czytanych.

Langdon, będący jednym z pilniejszych studentów dzieł Dantego, został zaproszony do wygłoszenia referatu na jednym ze zlotów organizowanych przez najstarsze światowe towarzystwo wielbicieli tego autora – Società Dante Alighieri Vienna. Spotkanie odbywało się w siedzibie Austriackiej Akademii Nauk. Główny sponsor tego wydarzenia – majętny naukowiec i zarazem członek towarzystwa – zdołał zapewnić na tę okazję salę prelekcyjną mogącą pomieścić dwa tysiące osób.

Gdy Langdon przybył na miejsce, został przywitany w progu przez dyrektora. Mijając hol, bezwiednie dostrzegł napis na ogromnym banerze zdobiącym tylną ścianę: CO JEŚLI BÓG SIĘ MYLIŁ?

– To Lukas Troberg – wyjaśnił szeptem dyrektor. – Nasza najnowsza instalacja. Jak się panu podoba?

Langdon zerknął ponownie na ogromny transparent, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Hm... Twórca nie żałował farby, ale raczej nie opanował trybu przypuszczającego.

Dyrektor zerknął na niego ze zdziwieniem. Robert miał nadzieję, że uda mu się nawiązać lepsze porozumienie z czekającą widownią.

Gdy w końcu dotarł na scenę, zgromadzeni na sali ludzie zgotowali mu owację na stojąco.

– *Meine Damen und Herren* – zagaił gromko dzięki głośnikom. – *Willkommen, bienvenue, welcome.*

Rozpoznawalny cytat z musicalu *Kabaret* wywołał salwy śmiechu na widowni.

– Zostałem poinformowany, że tego wieczoru wysłuchają mnie nie tylko członkowie Towarzystwa Dantego, ale i spora grupa wykładowców oraz studentów, którzy po raz pierwszy będą mieli okazję eksplorować świat tego cenionego autora. Uznałem więc, że najrozsądniej będzie zacząć od ogólnego omówienia, aby zrozumieli mnie wszyscy słuchacze, także ci, którzy mieli w trakcie studiów zbyt mało czasu na lekturę średniowiecznych włoskich poematów. Opowiem o życiu i pracy Dantego i wyjaśnię,

dlaczego jest uznawany za jedną z najbardziej wpływowych postaci w historii ludzkości.

Kolejne brawa.

Korzystając z miniaturowego pilota, Langdon wyświetlił serię portretów Dantego, zaczynając od obrazu Andrei del Castagno przedstawiającego postać poety stojącego w drzwiach z podręcznikiem filozofii w ręku.

– Dante Alighieri – zaczął wykład Langdon. – Florencki pisarz i filozof żyjący od tysiąc dwieście sześćdziesiątego piątego do tysiąc trzysta dwudziestego pierwszego roku. Na portrecie tym, jak na większości pozostałych wizerunków, ma on na głowie czerwone *cappuccio*: obcisły płaski czepiec z nausznikami, który obok szkarłatnej szaty z Lukki jest najczęściej powtarzającym się motywem na poświęconych Dantemu obrazach.

Następnie Langdon wyświetlił reprodukcję portretu pędzla Botticellego, znajdującego się obecnie w Galerii Uffizi i eksponującego najistotniejsze cechy fizjonomii pisarza: jego masywną szczękę i orli nos.

– Tutaj mamy kolejny obraz z nieodłącznym czerwonym *cappuccio*, któremu Botticelli dodał wieniec z liści laurowych jako symbol doświadczenia, w tym wypadku na polu poezji. Jest to tradycyjny symbol zaczerpnięty ze starożytnej Grecji i stosowany po dzień dzisiejszy, na przykład podczas ceremonii uhonorowania najwybitniejszych poetów czy laureatów Nagrody Nobla.

Robert przerzucił szybko kilka kolejnych slajdów, na których Dante miał czerwony czepiec, szkarłatną tunikę, wieniec laurowy i wydatny nos.

– Aby obraz Dantego był pełen, pozwolę sobie pokazać jeszcze jego pomnik z piazza di Santa Croce... oraz rzecz jasna sławny fresk z kaplicy w Bargello przypisywany Giottowi. – Pozostawił slajd przedstawiający fresk Giotta na ekranie i przeszedł na środek sceny. – Nie wątpię, że wiecie już państwo, iż Dante jest najbardziej znany ze swojego literackiego arcydzieła, czyli *Boskiej komedii*, okrutnego i bardzo realistycznego opisu jego zstąpienia do piekieł, wędrówki przez czyściec i ostatecznego dotarcia do raju, w którym pojednał się z Bogiem. Wedle współczesnych standardów nie znajdziemy w tym dziele żadnych elementów komediowych. Zostało ono nazwane komedią z zupełnie innego powodu. W czternastym stuleciu włoska literatura dzieliła się na dwie kategorie: tragedię, do której zaliczano wysoką literaturę pisaną czystą włoszczyzną, i komedię reprezentującą teksty pomniejsze, nierzadko pisane gwarą, aby były zrozumiałe dla szerokiego ogółu.

Robert pokazał kolejny slajd ze słynnym freskiem Domenica di Michelino, na którym Dante stoi za murami Florencji, dzierżąc w dłoniach egzemplarz *Boskiej komedii*. W tle widać było też tarasową górę czyśćca wznoszącą się nad wrotami piekieł. Obraz ten wisi obecnie we florenckiej katedrze Santa Maria del Fiore, znanej powszechnie jako Il Duomo.

– Jak zapewne wielu z państwa odgadło – kontynuował Langdon – *Boska komedia* została napisana językiem ludu. Dzięki temu zabiegowi jej genialnie przedstawione warstwy: religijna, historyczna, polityczna, filozoficzna oraz liczne komentarze społeczne przeplatające się z czystą fikcją mogły trafić do mas. Poemat ten stał się filarem włoskiej kultury, a styl Dantego

doczekał się kodyfikacji we współczesnym języku... – Robert przerwał na moment dla zwiększenia efektu, a potem dodał szeptem: – Moi drodzy, nie jesteśmy w stanie przecenić wpływu, jaki dzieła Dantego Alighieri wywarły na przyszłe pokolenia. Nie ma chyba drugiego takiego dzieła literackiego, malarskiego bądź muzycznego, z wyjątkiem oczywiście Pisma Świętego, które zainspirowałoby tylu twórców do hołdów, naśladownictw, wariacji i zapożyczeń.

Po wyliczeniu długiej listy znanych kompozytorów, malarzy i pisarzy, którzy tworzyli dzieła inspirowane poematem Dantego, Langdon rozejrzał się po zebranych.

– Czy na sali znajduje się jakiś autor?

Niemal jedna trzecia gości uniosła ręce. Robert spoglądał na nich ze zgrozą.

No, no, albo mam najbardziej utalentowaną widownię na świecie, albo doczekaliśmy się ery elektronicznego self-publishingu.

– Cóż, jako autorzy zapewne wiecie, że pisarze cenią sobie najbardziej blurby, te króciutkie opinie, które jeden twórca pisze drugiemu, by zachęcić ludzi do kupowania jego książek. Wyobraźcie sobie, że blurby istniały także w średniowieczu. A Dante otrzymał ich całkiem niemało.

Langdon znów zmienił slajd.

– Nie chcielibyście mieć czegoś takiego na skrzydełku waszej książki?

Po ziemskim padole nigdy nie stąpał mąż większy od niego
– Michał Anioł

Szmer zaskoczenia przemknął po sali.

– Tak – potwierdził Robert. – To ten sam Michał Anioł, którego dzieła zdobią Kaplicę Sykstyńską i który stworzył *Dawida*. Człowiek ten nie dość, że był genialnym malarzem i mistrzem dłuta, to jeszcze całkiem nieźle radził sobie z poezją. Opublikował przeszło trzysta utworów, wliczając w to jeden zatytułowany *Dante*, a dedykowany pisarzowi, którego przejmująca wizja piekieł była dla niego inspiracją przy tworzeniu *Sądu Ostatecznego*. Jeśli mi nie wierzycie, przeczytajcie raz jeszcze trzecią pieśń *Piekła*, a potem idźcie do Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie tuż nad ołtarzem ujrzycie znajomy obraz. – Zaprezentował slajd, na którym potężnie umięśniona bestia bierze zamach ogromnym wiosłem na kulących się ludzi. – To dantejski piekielny przewoźnik, Charon, tłukący ociągających się pasażerów. – Pokazał kolejny slajd przedstawiający inny fragment fresku Michała Anioła, tym razem był to ukrzyżowany mężczyzna. – To zaś Haman, który wedle Pisma Świętego został skazany na śmierć przez powieszenie. W poemacie Dantego został on jednak ukrzyżowany. I jak widzicie, Michał Anioł umieścił w Kaplicy Sykstyńskiej wersję Dantego, a nie tę z Biblii. – Langdon uśmiechnął się i raz jeszcze zniżył głos. – Tylko nie mówcie o tym papieżowi...

Słuchacze wybuchnęli śmiechem.

– Dante przedstawił w *Piekle* przerażające wizje cierpienia i mąk, jakich do tej pory świat nie widział. Doskonałość jego warsztatu literackiego ukształtowała pojęcie piekła, które przetrwało do naszych czasów... – Zamilkł na moment. – Możecie mi wierzyć, Kościół katolicki ma za co dziękować Dantemu

Alighieri. Jego *Piekło* przerażało wiernych przez całe stulecia. Nie wątpię, że liczba uczęszczających na msze potroiła się po premierze tego dzieła. – Znów pojawił się nowy slajd. – I tak dochodzimy do powodu, dla którego zebraliśmy się tutaj.

Na ekranie pojawił się tytuł jego wykładu: BOSKI DANTE: SYMBOLE PIEKIEŁ.

– Krajobraz piekła Dantego jest przepełniony symboliką i ikonografią do tego stopnia, że często trzeba całego semestru, by go omówić. Sądzę więc, że najlepszym sposobem na poznanie symboliki, którą Alighieri wypełnił świat podziemi, będzie wyruszenie z nim w podróż... za wrota piekieł. – Langdon podszedł do krawędzi sceny, by zmierzyć wzrokiem zgromadzony tłum. – A skoro planujecie wypad do królestwa Szatana, sugerowałbym, abyście zaopatrzyli się w mapę. Nie ma chyba dokładniejszego planu zaświatów niż *Mapa Piekieł* namalowana przez Sandra Botticellego. – Nacisnął klawisz na pilocie i przed widownią pojawił się złowieszczy obraz *La Mappa dell'Inferno*. Usłyszał kilka westchnień i jęków, gdy ludzie skupili wzrok na okrucieństwach dokonywanych w głębi lejowatej podziemnej jaskini. – W odróżnieniu od wielu innych artystów Botticelli pozostał wierny wizjom przedstawionym w tekście Dantego. Szczerze mówiąc, spędził tak wiele czasu na lekturze tego poematu, że wielki historyk sztuki Giorgio Vasari stwierdził, iż obsesja na punkcie Dantego doprowadziła do „wielu zawirowań w jego życiu osobistym". Botticelli stworzył kilkadziesiąt dzieł inspirowanych utworami Dantego, lecz to właśnie *Mapa Piekieł* jest dzisiaj najbardziej znana. – Langdon odwrócił się, by wskazać lewy górny róg obrazu. – Naszą podróż rozpoczniemy tutaj, na

poziomie ziemi, w miejscu, w którym widzicie odzianego w szkarłatną szatę Dantego i jego przewodnika Wergiliusza, stojących u wrót piekieł. Stamtąd wyruszymy w dół, aby pokonać dziewięć kręgów piekieł i stanąć twarzą w twarz z...

Szybko zmienił slajdy, przywołując wizerunek Szatana – a raczej wielkie powiększenie jego postaci z tego samego obrazu Botticellego: przerażającego trzygłowego Lucyfera pożerającego troje ludzi naraz, po jednym każdą parą ust.

Usłyszał zbiorowe jęknięcie tłumu.

– Oto zapowiedź czekających nas atrakcji – obwieścił. – Dzisiejszą podróż zakończymy spotkaniem z tą oto przerażającą postacią. To dziewiąty krąg piekieł, miejsce, w którym rezyduje sam Szatan. Aczkolwiek... – Langdon zawiesił głos – dotarcie tam to zaledwie połowa zabawy. Zatem cofnijmy się nieco... i stańmy ponownie u wrót, gdzie rozpoczyna się nasza podróż.

Przywołał kolejny slajd, tym razem z drzeworytem Gustave'a Doré przedstawiającym mroczny otwór wykuty w surowym klifie. Napis nad nim głosił: TY, KTÓRY WCHODZISZ, ŻEGNAJ SIĘ Z NADZIEJĄ.

– Zatem... – zagadnął, uśmiechając się szeroko. – Gotowi na wejście?

Usłyszał odległy pisk opon i audytorium natychmiast zniknęło mu sprzed oczu. Poczuł, że leci do przodu, zderzając się z plecami Sienny. Moped zatrzymał się raptownie na samym środku viale Machiavelli.

Robert wyprostował się, wciąż rozmyślając o majaczących przed nim wrotach piekieł, i dopiero po chwili zrozumiał, gdzie się znajduje.

– Co się dzieje? – zapytał.

Sienna wskazała na znajdującą się w odległości trzystu metrów Bramę Rzymską – starożytny kamienny portal, przez który wjeżdżano do dawnej Florencji.

– Robercie, mamy problem.

Rozdział 19

Agent Brüder stał pośrodku niewielkiego mieszkania, próbując zrozumieć otaczającą go rzeczywistość. Kto tu u licha mieszka? Pomieszczenia wyposażono chaotycznie i skromnie, jakby była to stancja ubogiego studenta liczącego każdy grosz.

– Agencie Brüder! – zawołał któryś z jego podwładnych. – Musi pan to zobaczyć.

Idąc w kierunku, skąd dobiegał głos, Brüder zastanawiał się, czy florencka policja zdążyła już aresztować Langdona. Wolałby zakończyć ten kryzys po cichu, ale naukowiec zdołał się znów wymknąć i nie pozostawił ścigającym wielkiego wyboru. Zostali zmuszeni do sięgnięcia po wsparcie miejscowych glin, bo tylko oni mogli zarządzić blokady głównych arterii miasta. W labiryncie wąskich uliczek niewielki motocykl mógł bez trudu zgubić furgonetki Konsorcjum, które dzięki pancernym szybom i grubym oponom były niezwykle odporne, lecz i powolne. Włoska policja cieszyła się opinią organizacji, która niechętnie współpracuje z obcokrajowcami, jednakże przełożeni Brüdera mieli odpowiednie koneksje w konsulatach, ambasadach i na komendach.

Nikt nie ośmieli się nam zadawać pytań, gdy przedstawiamy żądania.

Wszedł do małego pokoju, w którym jeden z jego ludzi stał nad otwartym laptopem, pisząc coś w lateksowych rękawicach na dłoniach.

– To z tego komputera korzystał – zameldował technik. – Wszedł na swoje konto e-mailowe i korzystał z wyszukiwarki. Wszystkie jego ruchy są wciąż w pamięci.

Brüder zbliżył się do biurka.

– To nie jest komputer Langdona – dodał mężczyzna. – Zarejestrowano go na kogoś o inicjałach S. C., wkrótce powinienem uzyskać pełne nazwisko.

Agent, czekając, zwrócił uwagę na stos papierów zalegających narożnik blatu. Podniósł je i przejrzał pobieżnie ulotkę z londyńskiego teatru Globe oraz wypełniające ją wycinki z gazet. Im dłużej czytał, tym większe oczy robił.

Trzymając papiery w ręku, wrócił do przedpokoju i zadzwonił do szefa.

– Mówi Brüder – zgłosił się. – Chyba mam nazwisko osoby pomagającej Langdonowi.

– Kto to jest? – zapytał szef.

Brüder wypuścił powietrze z płuc.

– Nie uwierzy pan, kiedy powiem.

Dwie mile dalej Vayentha uciekała z miejsca akcji, pochylając się nisko nad bakiem motocykla. Policyjne wozy przemknęły obok niej, jadąc na sygnale w przeciwnym kierunku.

Zostałam wykluczona, powtarzała w myślach.

Zazwyczaj łagodne wibracje czterocylindrowego silnika koiły jej nerwy. Ale nie dzisiaj.

Vayentha pracowała dla Konsorcjum od dwunastu lat, wspinając się po kolejnych szczeblach kariery – od funkcjonariuszki wsparcia terenowego, przez pracę w dziale koordynacji strategii, po wysoką pozycję wśród agentów polowych. Ta praca była dla mnie wszystkim. Agenci polowi wiedli życie pełne tajemnic, podróży i długich misji, wykluczających możliwość stabilizacji i nawiązywania bliższych znajomości.

Od roku pracowałam nad tym zadaniem, myślała, wciąż nie mogąc uwierzyć, że Zarządca tak szybko nacisnął spust i wykluczył ją z organizacji.

Vayentha przez ostatnie dwanaście miesięcy nadzorowała wsparcie udzielane temu samemu klientowi Konsorcjum – ekscentrycznemu, zielonookiemu geniuszowi, który pragnął zniknąć na jakiś czas, by pracować z dala od wścibskich konkurentów i wrogów. Człowiek ten rzadko ruszał się z kryjówki, a gdy to robił, dbał, by pozostawać niewidzialnym dla reszty świata. Głównie jednak pracował. Vayentha nie wiedziała nad czym i nie interesowało jej to; miała zadbać, aby nieustannie go poszukujący potężni wrogowie nie wpadli na jego ślad.

Wykonywała tę pracę z ogromnym oddaniem i zaangażowaniem, dzięki czemu wszystko szło jak po maśle... aż do minionej nocy.

To wtedy zaczął się jej osobisty i zawodowy upadek.

Wypadłam z gry...

Protokół wykluczenia wymagał, by objęty nim agent natychmiast porzucił wykonywanie misji i oddalił się z miejsca

akcji. W razie schwytania Konsorcjum nie przyzna się do współpracy z nim. Doświadczeni agenci wiedzieli, że nie warto zadzierać z organizacją, ponieważ wielokrotnie widzieli, jak ta manipuluje rzeczywistością, aby osiągnąć założony cel.

Vayentha znała tylko dwóch ludzi, którzy zostali wykluczeni. Co ciekawe, nigdy więcej ich nie zobaczyła. Do tej pory zakładała, że zostali wezwani na rozmowę do szefa, a potem wylani z roboty z zakazem kontaktowania się z kimkolwiek pracującym nadal dla Konsorcjum.

Dzisiaj jednak nie była już tego taka pewna.

Próbowała sobie wmówić, że przesadza. Że Konsorcjum działa w znacznie bardziej wyrafinowany sposób i nie musi zabijać ludzi z zimną krwią.

Mimo to i tak poczuła przechodzący ją zimny dreszcz.

Instynkt kazał jej opuścić dach hotelu chwilę po tym, jak na miejsce przybyła ekipa Brüdera. Teraz zaczęła się zastanawiać, czy natychmiastowa ucieczka nie ocaliła jej przypadkiem życia.

Nikt nie wie, gdzie jestem...

Jadąc prostą jak strzała viale del Poggio Imperiale, zdała sobie nagle sprawę, jak wielka zmiana nastąpiła w jej życiu w ciągu ostatnich kilku godzin. Ubiegłej nocy przejmowała się wyłącznie tym, czy wykona zadanie. Obecnie drżała o własne życie.

Rozdział 20

Florencja była ongiś otoczona murami obronnymi, a główną jej bramą była zbudowana w 1326 roku Porta Romana – Brama Rzymska – i chociaż większość umocnień grodu została zniszczona w ciągu kolejnych stuleci, kamienny portal przetrwał i wciąż przepływały pod nim strumienie ludzi pragnących dostać się do miasta. Aby tego dokonać, musieli się zanurzyć w łukowato sklepionym przejściu prowadzącym na drugą stronę gigantycznych fortyfikacji.

Wrota te były wysokim na pięćdziesiąt metrów bastionem ze starożytnej cegły i kamienia, strzeżonym do dziś przez masywne drewniane drzwi, których nie zamykano już jednak na noc, aby nie utrudniać turystom dostępu do miasta. Przed bramą znajdowało się rondo, z którego wybiegało sześć szerokich ulic. Pośrodku trawiastego kręgu stał spory pomnik autorstwa Pistoletta, przedstawiający opuszczającą Florencję kobietę z ogromnym pakunkiem na głowie.

Choć obecnie była to jedna z najbardziej zakorkowanych okolic miasta, w dawnych czasach przy tej surowej bramie mieściły się Fiera dei Contratti – Targi Kontraktowe – na których ojcowie

wystawiali swoje córki na sprzedaż, niejednokrotnie zmuszając je do prowokacyjnych tańców, aby uzyskać wiano. Oficjalnie nazywano ten proceder układaniem małżeństwa.

Tego ranka Sienna zatrzymała motor kilkaset metrów od bramy i wykonała zniecierpliwiony gest. Langdon wyjrzał zza jej pleców i natychmiast zrozumiał, o co chodzi. Mieli przed sobą długi sznur stojących samochodów. Ruch na rondzie został zatrzymany przez policyjną blokadę, a kolejne radiowozy wciąż przybywały od strony starówki. Uzbrojeni funkcjonariusze chodzili od samochodu do samochodu, przepytując pasażerów.

Tu nie może chodzić o nas, pomyślał Langdon. Chociaż...

Spocony rowerzysta zbliżał się do nich od strony korka, pedałując zawzięcie w górę viale Machiavelli. Miał jeden z tych dziwacznych rowerów, na których jeździ się w pozycji leżącej.

– *Cos' è successo?* – zawołała do niego Sienna.

– *E chi lo sa!* – odkrzyknął w odpowiedzi z zaniepokojoną miną. – *Carabinieri!* – przemknął obok, pragnąc jak najszybciej oddalić się z tego miejsca.

Sienna odwróciła się do Langdona. Ona także miała ponurą minę.

– Blokada drogowa. Karabinierzy.

Gdzieś za nimi rozległo się wycie syren. Sienna natychmiast stanęła na pedałach i odwróciła się szybko z nieskrywanym lękiem na twarzy.

Wzięli nas we dwa ognie, pomyślał Langdon, rozglądając się po poboczu w poszukiwaniu drogi ucieczki – przecznicy, parku, zjazdu – jednakże z lewej otaczały ich rezydencje, a z prawej wysoki mur.

Dźwięk syren był coraz głośniejszy.

– Tam – wskazał znajdujący się trzydzieści metrów dalej plac budowy, na którym przenośna betoniarka gwarantowała chwilowe zniknięcie z oczu.

Sienna wjechała na chodnik i pognała w tamtą stronę. Zaparkowała za betoniarką, lecz jak się okazało, urządzenie z trudem zasłoniło sam motor.

– Za mną! – rzuciła się w kierunku niewielkiej szopy stojącej między zaroślami pod wysokim kamiennym murem.

To nie szopa, uzmysłowił sobie Langdon, gdy poczuł bijący od przybytku smród.

Dobiegając do przenośnej toalety dla robotników, wciąż słyszeli za plecami wyjące syreny radiowozów. Sienna nacisnęła klamkę, ale drzwi się nie otworzyły. Zabezpieczała je kłódka na grubym łańcuchu. Langdon chwycił kobietę za rękę i pociągnął ją za toaletę, wciskając się w wąski załom między plastikową ścianką a kamiennym murem. Z trudem zmieścili się w tej ciasnej i okropnie cuchnącej przestrzeni.

Zanim Langdon zdążył się odwrócić, ulicą przejechał granatowy SUV z wymalowanym na boku napisem carabinieri. Wóz minął wolno ich kryjówkę.

Włoska żandarmeria, pomyślał z niedowierzaniem Robert. Zastanawiał się, czy funkcjonariuszom także kazano strzelać do niego bez ostrzeżenia.

– Komuś naprawdę zależy na znalezieniu nas – wyszeptała Sienna. – I jak widać, wie, co robi.

– Może namierzyli nas GPS-em? – zastanawiał się na głos Langdon. – Może ten projektor został wyposażony w urządzenie

namierzające?

Sienna pokręciła głową.

– Gdyby policjanci mogli nas tak łatwo namierzyć, już mielibyśmy ich na karku.

Langdon poruszył się, próbując wpasować lepiej w niewielką przestrzeń, i tak stanął twarzą w twarz ze stylowym graffiti zdobiącym tylną ściankę przybytku.

Tylko Włosi są zdolni do czegoś takiego.

Większość włoskich przenośnych toalet pokrywały pokraczne rysunki penisów albo wielkich piersi. To graffiti jednak wyglądało jak szkic z albumu studenta malarstwa – ludzkie oko, dobrze uchwycona dłoń, profil mężczyzny i fantastyczny smok.

– Niszczenie własności prywatnej nie zawsze ma u nas tak ładne oblicze – rzuciła Sienna, jakby czytała w jego myślach. – Po drugiej stronie tego muru znajduje się l'Istituto Statale d'Arte, Państwowy Instytut Sztuki.

Jakby na potwierdzenie jej słów w oddali pojawiła się grupka studentów niosących pod pachami spore teczki. Rozmawiali, palili papierosy i dziwili się blokadzie rozstawionej u wylotu Bramy Rzymskiej.

Gdy Langdon i Sienna przykucnęli, by zniknąć z pola widzenia młodzieży, w głowie Amerykanina zaświtała niespodziewanie pewna myśl.

Grzesznicy na wpół pogrzebani do góry nogami...

Może sprawił to smród ekskrementów albo wspomnienie widoku poruszających się rytmicznie nagich podudzi rowerzysty, w każdym razie Robert znów miał przed oczyma cuchnące czeluście Malebolge i wystające z ziemi wierzgające nogi.

Odwrócił się pośpiesznie do swojej towarzyszki.

– Sienna, czy na naszej wersji *Mapy Piekieł* wierzgające nogi znajdowały się w dziesiątej czeluści? Na najniższym poziomie Malebolge?

Spojrzała na niego dziwnie, jakby nie był to najlepszy czas na podobne pogaduszki.

– Tak, na najniższym.

W mgnieniu oka wrócił do wiedeńskiego wykładu. Znów stał na scenie, tylko chwile dzieliły go od wielkiego finału. Właśnie pokazał zgromadzonym grawiurę Gustave'a Doré przedstawiającą Geryona – uskrzydlone monstrum z ogonem zakończonym jadowitym żądłem, które żyło nad Malebolge.

– Zanim udamy się na spotkanie z Szatanem – obwieścił głosem dudniącym ze wszystkich głośników – musimy przejść obok dziesięciu czeluści Malebolge, gdzie męki cierpią wszelkiej maści oszuści, którym udowodniono rozmyślne czynienie zła.

Langdon zmieniał przezrocza, pokazując kolejne detale, aż wreszcie zabrał publiczność na przechadzkę po wszystkich czeluściach.

– Od góry do dołu mamy: uwodzicieli chłostanych przez demony... bałwochwalców tarzających się w ludzkich odchodach... pazernych kapłanów pogrzebanych do góry nogami... czarowników z głowami przekręconymi o sto osiemdziesiąt stopni... skorumpowanych polityków w gotującej się smole... hipokrytów odzianych w ciężkie ołowiane szaty... złodziei kąsanych przez węże... fałszywych doradców pożeranych przez ogień... siewców niezgody rozrywanych na strzępy przez diabły... a na sam koniec oszczerców, których zarazy odmieniły nie do poznania. – Langdon

spojrzał na audytorium. – Dante zarezerwował ostatnią czeluść dla oszczerców, ponieważ ich kłamstwa doprowadziły do jego wieloletniego wygnania z ukochanej Florencji.

– Robercie? – To był głos Sienny.

Langdon wrócił do rzeczywistości.

Kobieta spoglądała na niego pytająco.

– O co chodzi? – dopytywała.

– O naszą wersję *Mapy Piekieł* – odparł podekscytowany. – Została zmieniona! – Wyjął projektor z kieszeni i potrząsnął nim na tyle, na ile pozwalała ciasna przestrzeń. Kulka we wnętrzu wskaźnika zagrzechotała głośno, lecz dźwięk ten i tak utonął w wyciu policyjnych syren. – Ktokolwiek był autorem tego obrazu, poprzestawiał czeluści w Malebolge!

Gdy urządzenie zaczęło świecić, Langdon skierował je na płaską przestrzeń przed nimi. *La Mappa dell'Inferno* była wyraźnie widoczna w otaczającym ich cieniu.

Botticelli na przenośnej toalecie, pomyślał zawstydzony Robert. To ostatnie miejsce, na którym dzieło mistrza powinno być wyświetlane.

Przebiegł wzrokiem wszystkie dziesięć czeluści i pokiwał z satysfakcją głową.

– Tak! – zawołał. – Nic się nie zgadza! Ostatnia czeluść powinna być wypełniona zniekształconymi ciałami, nie wystającymi z ziemi nogami. Dziesiąty dół był przeznaczony dla oszczerców, nie dla chciwych kapłanów!

Sienna wyglądała na zaintrygowaną.

– Ale... po co ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu?...

– Catrovacer – wyszeptał Langdon, wyszukując literki dodane do każdej czeluści. – To chyba niewłaściwa kolejność liter.

Mimo rany, która pozbawiła go wspomnień z ostatnich dwóch dni, reszta pamięci pracowała bez zarzutu. Przymknął oczy, by przeanalizować różnice dzielące obie wersje *La Mappy*. Zmian w Malebolge było mniej, niż przypuszczał... a jednak poczuł się, jakby ktoś zdjął mu opaskę z oczu.

Wszystko stało się nagle kryształowo jasne.

Szukaj, a znajdziesz!

– O co chodzi? – dopytywała się Sienna.

Langdon poczuł suchość w ustach.

– Już wiem, po co przyjechałem do Florencji.

– Wiesz?

– Tak. Wiem też, gdzie powinienem się udać.

Chwyciła go za ramię.

– Gdzie?

Langdon miał wrażenie, że po raz pierwszy od przebudzenia w szpitalu naprawdę stanął na nogi.

– Te dziesięć liter – wyszeptał. – To adres na tutejszej starówce. Tam znajdę odpowiedzi.

– Gdzie na starówce? – zainteresowała się Sienna. – I jak do tego doszedłeś?

Po drugiej stronie toalety rozległy się jakieś śmiechy. Kolejni studenci przechodzili obok placu budowy, żartując i rozmawiając w kilku językach. Langdon wyjrzał ostrożnie zza budki, odprowadzając ich spojrzeniem. Potem sprawdził, czy w pobliżu nie ma policji.

– Musimy iść. Wyjaśnię ci wszystko po drodze.

– Po drodze? – Sienna potrząsnęła głową. – Nie zdołamy przejść przez bramę!

– Zaczekaj tutaj pół minuty – poprosił – a potem idź moim śladem.

Po tych słowach wymknął się, zostawiając zaskoczoną towarzyszkę niedoli samą sobie.

Rozdział 21

– *Scusi!* – Robert pobiegł za grupką studentów. – *Scusate!*

Odwrócili się wszyscy w kierunku Langdona, który całkiem udatnie wcielił się w zagubionego turystę.

– *Dov'è l'Istituto Statale d'Arte?* – zapytał łamanym włoskim.

Wytatuowany chłopak wydmuchnął kłąb dymu papierosowego i prychnął kpiąco.

– *Non parliamo italiano*. – Miał francuski akcent.

Jedna z dziewcząt zganiła go natychmiast i wskazała ręką w kierunku Bramy Rzymskiej.

– *Più avanti, sempre dritto.*

Kawałek dalej, cały czas prosto, przetłumaczył w myślach Robert.

– *Grazie*.

W tym czasie Sienna wydostała się niepostrzeżenie zza toalety i wróciła na chodnik. Gdy smukła trzydziestodwulatka zbliżyła się do grupki studentów, Langdon położył jej dłoń na ramieniu.

– To moja siostra, Sienna. Wykłada sztuki piękne.

Wytatuowany chłopak mruknął pod nosem coś, co zabrzmiało jak „T-I-L-F", a jego koledzy wybuchnęli gromkim śmiechem.

Langdon zignorował ich reakcję.

– Szukamy we Florencji szkół, w których mogłaby nauczać. Możemy iść z wami?

– *Ma certo* – zgodziła się młoda Włoszka.

Gdy szli w kierunku policyjnej blokady, Sienna zaczęła rozmawiać ze studentami, a Langdon schyliwszy głowę, ukrył się wśród młodzieży, by nie rzucać się w oczy.

Szukaj, a znajdziesz, pomyślał, czując przyśpieszone bicie serca na wyobrażony widok prawidłowej kolejności czeluści w Malebolge.

Catrovacer. Te dziesięć liter jego zdaniem stanowiło sedno liczącej kilkaset lat zagadki, której nikt do tej pory nie rozwiązał. W 1563 roku znalazły się one wysoko na ścianie florenckiego Palazzo Vecchio. Namalowano je prawie dwanaście metrów nad ziemią, tak że bez lornetki trudno było je nawet dostrzec. Pozostawały tam nieodkryte aż do lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy to zauważył je znany kustosz dzieł sztuki, który przez następne dekady próbował zrozumieć ich znaczenie. Wysnuto wiele teorii, jednakże nikomu nie udało się dociec, czym naprawdę jest ów napis.

Dla Langdona kolejny kod był czymś znajomym – bezpieczną przystanią pośród wzburzonego morza. Historia sztuki i starożytne tajemnice były mu bowiem o wiele bliższe niż hermetyczne pojemniki na broń biologiczną i strzelaniny.

Tymczasem przed nimi wciąż przejeżdżały na sygnale radiowozy.

– Jezu – jęknął wytatuowany chłopak. – Ci, których gliny szukają, musieli narobić niezłego bałaganu.

Grupka dotarła do głównej bramy uczelni, gdzie zebrał się już pokaźny tłumek studentów obserwujących blokadę. Pilnujący wejścia strażnik spoglądał na okazywane identyfikatory z niewielkim zainteresowaniem, bardziej ciekawił go rozwój wydarzeń przy rondzie.

Z placu dobiegł głośny pisk opon, moment później znajoma czarna furgonetka zniknęła za Bramą Rzymską.

Langdon zareagował błyskawicznie.

Bez słowa pociągnął Siennę za sobą i wmieszany w tłum studentów wkroczył na teren Państwowego Instytutu Sztuki.

Aleja prowadząca do wejścia była zaskakująco piękna, niemal majestatyczna w wyglądzie. Z obu stron otaczały ją wielkie, rozłożyste dęby. Ich korony jak gdyby otulały odległy budynek – sporą żółtawą budowlę z potrójnym portykiem i rozległym owalnym trawnikiem.

Langdon zdawał sobie sprawę, że siedziba uczelni, podobnie jak większość budowli tego miasta, powstała dzięki światłemu wsparciu dynastii, która dominowała na florenckiej scenie politycznej od piętnastego do siedemnastego wieku.

Mowa o Medyceuszach.

Ich nazwisko stało się symbolem Florencji. W czasie trzystuletniego panowania zgromadzili nieprzebrane bogactwa i zyskali ogromne wpływy. Ród ów wydał czterech papieży i dwie królowe Francji i stworzył największą instytucję finansową Europy. Współczesne banki wykorzystują metodę księgowania wynalezioną przez Medyceuszy – dualistyczny układ winien i ma.

Najważniejszą spuścizną Medyceuszy były jednak nie finanse czy polityka, lecz sztuka. Ród ten był chyba największym

mecenasem artystów, jakiego znał świat. Dzięki płynącym od niego mnogim zamówieniom rozkwitł renesans. Lista luminarzy znajdujących się pod patronatem Medyceuszy jest długa, a znaleźć na niej można wszystkich znacznych, od Leonarda przez Galileusza do Botticellego – obraz tego ostatniego, prześwietne arcydzieło *Narodziny Wenus*, został zamówiony ponoć przez Wawrzyńca Wspaniałego, który zapragnął podarować swojemu kuzynowi seksualnie prowokacyjne malowidło, aby zawisło nad jego łożem jako prezent ślubny.

Wawrzyniec Wspaniały – zwany Il Magnifico przez swoją ogromną hojność – sam był utalentowanym poetą i malarzem, dzięki czemu miał doskonale wyczulone oko i ucho. W 1489 roku spodobały mu się prace młodego florenckiego rzeźbiarza, zaprosił go więc do swego pałacu, gdzie pozwolił mu szlifować warsztat w otoczeniu najwspanialszych dzieł sztuki. Chłopak dorósł pod opiekuńczymi skrzydłami Medyceuszy i stworzył dwie najsłynniejsze rzeźby w historii – *Pietę* i *Dawida*. Dzisiaj znamy go jako Michała Anioła – giganta, o którym mówi się od czasu do czasu, że jest najwspanialszym darem rodu Medyceuszy dla rodzaju ludzkiego.

Znając zamiłowanie Medyceuszy do sztuki, Langdon domyślał się, że byliby przeszczęśliwi, gdyby wiedzieli, że budynek wzniesiony początkowo jako ich stajnie stał się siedzibą znakomitej uczelni artystycznej. Lokalizacja, inspirująca teraz młodych artystów, nie była przypadkowa. Wybór Medyceuszy padł na nią, ponieważ mieli stąd bardzo blisko do najlepszych terenów jeździeckich na terenie Florencji.

Mowa o Ogrodach Boboli.

Langdon zerknął w lewo, gdzie zza muru widział korony wielkich drzew. Giardini di Boboli były obecnie jedną z największych atrakcji turystycznych miasta. Robert nie wątpił, że jeśli uda im się przedostać do ogrodów i przemierzyć je pieszo, dotrą do starówki, omijając Bramę Rzymską. To powinno być łatwe – ogrody były ogromne i roiło się w nich od doskonałych kryjówek – zagajników, labiryntów, grot, nimfeów. Co jeszcze ważniejsze, wiodły do pałacu Pitti, kamiennej budowli, ongiś głównej siedziby rodu Medyceuszy, której sto czterdzieści komnat po dziś dzień przyciąga tłumy turystów odwiedzających Florencję.

Jeśli do niego dotrzemy, pomyślał Robert, znajdziemy się o rzut kamieniem od mostu prowadzącego na starówkę.

Najspokojniej jak umiał wskazał na mur dzielący teren uczelni od ogrodów.

– Jak możemy się tam dostać? – zapytał. – Chciałbym pokazać to miejsce siostrze, zanim zaczniemy zwiedzanie szkoły. – Wytatuowany chłopak pokręcił głową.

– Nie dostaniecie się do ogrodów z tego miejsca. Wejście jest daleko stąd, przy pałacu Pitti. Trzeba przejechać przez Bramę Rzymską i okrążyć cały teren.

– Pieprzenie – burknęła Sienna.

Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem, Langdon też.

– Dajcie spokój – rzuciła, uśmiechając się nieśmiało i poprawiając blond kucyk. – Chcecie mi powiedzieć, że nie zakradacie się do ogrodów na skręta albo szybki numerek?

Młodzi spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

Wytatuowany chłopak wyglądał teraz na totalnie zawojowanego.

– Pani zdecydowanie powinna tutaj uczyć – stwierdził. Zaprowadził Siennę do narożnika jednego z budynków i wskazał na znajdujący się na jego tyłach parking. – Widzi pani tę szopę po lewej? Za nią znajduje się stara platforma. Dzięki niej dostanie się pani na dach, a stamtąd wystarczy zeskoczyć na ziemię po drugiej stronie muru.

Sienna nie czekała, aż chłopak skończy mówić. Ruszyła przed siebie, rzuciwszy Langdonowi protekcjonalne spojrzenie.

– Chodź, Bob, braciszku. Chyba że jesteś już za stary na skakanie przez płoty?

Rozdział 22

Siwowłosa kobieta oparła głowę o kuloodporną szybę furgonetki i przymknęła oczy. Miała wrażenie, że świat wokół niej zawirował. Środki, które jej podano, powodowały zawroty głowy.

Potrzebuję pomocy medycznej, pomyślała.

Siedzący obok niej uzbrojony strażnik otrzymał jednak inne rozkazy: miał ignorować jej prośby i potrzeby do zakończenia misji. Które to zakończenie – sądząc po panującym wokół hałasie i zamieszaniu – wciąż było bardzo odległe.

Tymczasem zawroty głowy przybierały na sile, w dodatku kobieta zaczynała mieć problemy z oddychaniem. Walcząc z ogarniającą ją kolejną falą mdłości, zastanawiała się, jakie zrządzenie losu sprawiło, że trafiła w to okropne miejsce.
W obecnym stanie nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na tak skomplikowane pytanie, pamiętała jednak doskonale, gdzie to się zaczęło.

Nowy Jork.

Dwa lata temu.

Poleciała na Manhattan z Genewy, gdzie od niemal dekady pracowała na prestiżowym stanowisku dyrektora generalnego

Światowej Organizacji Zdrowia. Jako specjalistkę chorób zakaźnych i epidemiologa zaproszono ją do poprowadzenia wykładu na temat zagrożeń w krajach Trzeciego Świata na forum ONZ. Jej wystąpienie miało optymistyczny wydźwięk: przedstawiła kilka już istniejących systemów wczesnego ostrzegania, a także plany leczenia opracowywane przez Światową Organizację Zdrowia i inne agendy. Nagrodzono ją owacjami na stojąco.

Po wykładzie, gdy gawędziła niezobowiązująco z kilkoma akademikami, podszedł do niej wysokiej rangi urzędnik ONZ, który bezpardonowo przerwał im rozmowę.

– Doktor Sinskey, właśnie otrzymaliśmy informację z Rady Spraw Zagranicznych. Ktoś chciałby zamienić z panią kilka słów. Samochód czeka na zewnątrz.

Zaskoczona doktor Elizabeth Sinskey przeprosiła dotychczasowych rozmówców i wsiadła do limuzyny, która pomknęła Pierwszą Aleją. W czasie jazdy kobieta poczuła pierwsze ukłucie zdenerwowania.

Rada Spraw Zagranicznych?

Elizabeth Sinskey, jak chyba każdy w jej branży, słyszała sporo pogłosek na temat tej organizacji.

Założona w latach dwudziestych minionego stulecia Rada Spraw Zagranicznych była początkowo prywatnym think tankiem, a w jej szeregach można było znaleźć takie osobistości, jak sekretarze stanu, prezydenci, szefowie CIA, senatorzy, sędziowie oraz potomkowie najsłynniejszych rodzin, nie wyłączając Morganów, Rothschildów i Rockefellerów. Obecność najwybitniejszych myślicieli i polityków sprawiła, że Rada Spraw

Zagranicznych cieszyła się reputacją najbardziej wpływowej prywatnej organizacji świata.

Elizabeth piastująca stanowisko szefowej Światowej Organizacji Zdrowia miała spore doświadczenie w kontaktach towarzyskich z możnymi tego świata. Długi staż w WHO, w połączeniu z naturalną otwartością, zjednały jej także przychylność prasy – jeden z magazynów umieścił ją nawet ostatnio w czołowej dwudziestce najbardziej wpływowych postaci współczesnego świata. Pod jej zdjęciem znalazł się podpis: „Oblicze światowego zdrowia", co wydało jej się niezwykle ironiczne, zważywszy na to, jak chorowitym dzieckiem była.

Cierpiąc na poważną astmę już w wieku sześciu lat, zażywała spore dawki nowego obiecującego leku – pierwszego ze znanych kortykosterydów – który poprawił jej stan zdrowia w niesamowitym tempie. Niestety niespodziewane efekty uboczne tego leku dały o sobie znać wiele lat później, w okresie dojrzewania płciowego... Elizabeth nie miesiączkowała do dnia dzisiejszego. Nigdy też nie zapomniała tragicznego dla niej momentu, gdy w wieku lat dziewiętnastu trafiła do gabinetu lekarskiego, w którym poinformowano ją, że jej system rozrodczy uległ nieodwracalnemu uszkodzeniu.

Elizabeth Sinskey nie mogła mieć dzieci.

Czas zaleczy tę pustkę, zapewniał ją lekarz, jednakże wraz z upływem lat smutek i gniew tylko w niej narastały. Co gorsze, leki, które odebrały jej możliwość posiadania potomstwa, nie zdołały stłumić instynktu macierzyńskiego. Przez wiele dziesięcioleci musiała zwalczać w sobie nieosiągalne marzenie. Nawet dzisiaj, w wieku sześćdziesięciu jeden lat, czuła okropną

pustkę w sercu za każdym razem, gdy widziała matkę z oseskiem na ręku.

– Już dojeżdżamy, pani doktor – poinformował ją kierowca limuzyny.

Elizabeth przyczesała długie, kręcone siwe włosy i sprawdziła stan makijażu w lusterku. Moment później wóz zatrzymał się, a szofer pomógł jej wysiąść w bogatszej części Manhattanu.

– Będę tu czekał na panią – obiecał. – Pojedziemy prosto na lotnisko, gdy będzie pani gotowa.

Nowojorska siedziba Rady Spraw Zagranicznych mieściła się w skromnym neoklasycystycznym budynku na skrzyżowaniu Park Avenue i Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy. Wcześniej był to dom magnata naftowego ze Standard Oil. Fasada zlewała się z równie bogatym otoczeniem. Patrząc na nią, nie sposób było się domyślić, co kryją te mury.

– Doktor Sinskey – powitała ją korpulentna recepcjonistka – tędy proszę. On już czeka na panią.

On, czyli kto?

Elizabeth poszła za recepcjonistką w głąb pięknego korytarza aż do zamkniętych drzwi, w które jej przewodniczka zapukała, by otworzywszy zaraz masywne skrzydło, odsunąć się na bok i uprzejmym gestem zaprosić gościa do środka.

Elizabeth przekroczyła próg i usłyszała za plecami trzask zamykanych drzwi.

Niewielką, tonącą w półmroku salę konferencyjną oświetlał wyłącznie blask bijący z włączonego ekranu. Na jego tle stał niewiarygodnie wysoki i chudy mężczyzna spoglądający w jej

kierunku. Mimo że nie mogła dostrzec wyraźnie twarzy, wyczuwała bijący z niej autorytet.

– Doktor Sinskey – przemówił mężczyzna ostrym tonem. – Dziękuję za przyjęcie zaproszenia. – Twardy akcent sugerował, że może pochodzić ze Szwajcarii albo z Niemiec. – Proszę siadać – dodał, wskazując fotel stojący w pobliżu drzwi.

Nawet się nie przedstawił...

Elizabeth usiadła. Dziwaczny obraz widoczny na ekranie nie pozwalał jej się uspokoić.

Cóż to takiego?

– Byłem na pani wykładzie dzisiaj rano – wyznał gospodarz. – Przybyłem z naprawdę daleka, by go wysłuchać. Niesamowite wystąpienie.

– Dziękuję – odparła.

– Muszę przyznać, że jest pani o wiele piękniejsza, niż przypuszczałem... pomimo zaawansowanego wieku i krótkowzrocznego spojrzenia na stan światowej opieki zdrowotnej.

Elizabeth poczuła, jak opada jej szczęka. Komentarz był pod każdym względem obraźliwy.

– Słucham? – zapytała, próbując przebić wzrokiem ciemność. – Kim pan jest? Dlaczego wezwał mnie pan w to miejsce?

– Proszę mi wybaczyć ten marny żarcik – odparł ukryty w mroku chudzielec. – Obraz widoczny na ekranie wyjaśni pani, dlaczego musieliśmy się spotkać.

Sinskey zerknęła na obraz przedstawiający rzeszę chorych ludzi. A raczej stertę nagich, skłębionych, wspinających się na siebie ciał.

– Doré był mistrzem pędzla – stwierdził gospodarz. – A to jest jego spektakularnie ponura wizja piekła Dantego Alighieri. Mam nadzieję, że ten widok pani nie przeszkadza... ponieważ ku temu właśnie zmierzamy... – Przerwał na moment, robiąc krok w jej kierunku. – Pozwoli pani, że wyjaśnię, dlaczego tak uważam. – Szedł nadal w stronę Elizabeth, a z każdym kolejnym krokiem wydawał się wyższy. – Gdybym wziął kartkę papieru i przedarł ją na pół... – zatrzymał się przy stole, podniósł z blatu kartkę i rozpołowił ją – i gdybym położył jedną połowę na drugiej – zrobił, jak powiedział – i powtórzył ten proces... – Znów przedarł papier i ułożył ćwiartki na sobie. – Zgodzi się pani, że uzyskałbym czterokrotnie grubszy stosik niż pierwotnie. – Jego oczy zapłonęły w półmroku spowijającym salę.

Elizabeth nie podobał się ani ten protekcjonalny ton, ani agresywna postawa członka Rady. Nie odpowiedziała więc.

– Hipotetycznie mówiąc – kontynuował mężczyzna, podchodząc jeszcze bliżej – jeśli pojedyncza kartka papieru ma jedną dziesiątą milimetra grubości, a ja powtórzyłbym ten proces, powiedzmy, pięćdziesiąt razy... Wie pani, jaką grubość osiągnąłby uzyskany w ten sposób stosik?

Elizabeth wzdrygnęła się.

– Wiem – odparła nieco napastliwiej, niż chciała. – To jedna dziesiąta milimetra razy dwa do pięćdziesiątej potęgi. To się nazywa postęp geometryczny. Czy mogę zapytać, po co zostałam tutaj wezwana?

Mężczyzna skrzywił się, a potem skinął z uznaniem głową.

– Tak. A wie pani, o jakiej liczbie mówimy? Ile to jest jedna dziesiąta milimetra razy dwa do pięćdziesiątej potęgi? Jak wysoki

byłby stos tego papieru? – Zamilkł tylko na moment. – Nasze karteczki po zaledwie pięćdziesięciu przedarciach sięgnęłyby stąd aż do... słońca.

Nie zaskoczył jej tym stwierdzeniem. Zbyt często miała w pracy do czynienia z przyrostem w postępie geometrycznym. Strefa skażenia... namnażanie zainfekowanych komórek... przewidywane straty w ludziach.

– Wybaczy pan – odezwała się, próbując nie okazywać złości – ale chyba nie zrozumiałam, o co panu chodzi.

– O co mi chodzi? – zaśmiał się cicho. – Chyba o to, że wzrost populacji ludzkiej jest jeszcze gwałtowniejszy. Zamieszkująca Ziemię ludzkość miała marne początki... ale za to ogromny potencjał. – Znów zaczął się przechadzać. – Proszę pomyśleć. Potrzebowaliśmy tysięcy lat, by osiągnąć liczebność przekraczającą miliard osobników. Trwało to od zarania cywilizacji do początków dziewiętnastego wieku. Potem jednak zupełnie niespodziewanie liczba ta uległa podwojeniu w zaledwie sto lat. Pięćdziesiąt lat później były nas już cztery miliardy. A jak pani zapewne wie, lada moment przekroczymy granicę ośmiu miliardów. Jednego dnia rodzi się niemal ćwierć miliona dzieci. Ćwierć miliona. I tak na okrągło, dzień w dzień, bez względu na pogodę. Co roku można by zaludnić nimi kraj wielkości Niemiec.

Wysoki mężczyzna zatrzymał się na moment i pochylił nad Elizabeth.

– Ile pani ma lat?

Kolejne obraźliwe pytanie. Jednakże Elizabeth potrafiła sobie radzić w podobnych sytuacjach, unikając zwady.

– Sześćdziesiąt jeden.

– A wie pani, że jeśli uda się pani przeżyć jeszcze dziewiętnaście lat, doczeka pani momentu, w którym ludzkość za pani życia potroi swoją liczebność? Jedno ludzkie życie, potrojenie liczebności populacji. Proszę pomyśleć o wynikających z tego faktu implikacjach. Jak pani doskonale wie, Światowa Organizacja Zdrowia znów zmieniła swoje przewidywania, wyliczając, że do połowy obecnego stulecia na Ziemi będzie żyło dziewięć miliardów ludzi. Kolejne gatunki zwierząt znikają jeden po drugim. Zapotrzebowanie na surowce naturalne rośnie w zastraszającym tempie. Coraz trudniej o czystą wodę. Z biologicznego punktu widzenia nasz gatunek przekroczył dopuszczalną liczebność. A co robi w obliczu tych faktów Światowa Organizacja Zdrowia, strażnik zdrowia naszej planety? Inwestuje w nowe leki dla diabetyków, buduje kolejne banki krwi, walczy z nowotworami... – zamilkł, wpatrując się w nią intensywnie. – Sprowadziłem panią tutaj, by zapytać wprost: dlaczego pani organizacja nie ma odwagi zająć się prawdziwym problemem?

Elizabeth zagotowała się z gniewu.

– Nie mam pojęcia, kim pan jest, ale musi pan wiedzieć, że Światowa Organizacja Zdrowia podchodzi do problemu przeludnienia z wielką powagą. Choćby ostatnio, wydając wiele milionów dolarów, wysłaliśmy do Afryki armię lekarzy, którzy rozdawali darmowe prezerwatywy i uczyli ludzi, czym jest kontrola urodzin.

– No tak – zakpił chudzielec. – A ich śladem maszerowała jeszcze większa armia katolickich misjonarzy, którzy przekonywali mieszkańców Czarnego Kontynentu, że kto użyje

prezerwatywy, ten trafi do piekła. Afryce przybył kolejny problem: utylizacja milionów nierozpakowanych kondomów.

Elizabeth ugryzła się w język. Ten człowiek miał rację, aczkolwiek katolicy z młodszego pokolenia zaczynali się sprzeciwiać stanowisku Watykanu w kwestiach rozrodu. Jednym z najgłośniejszych przykładów była Melinda Gates, gorliwa katoliczka, która ryzykując gniew swojego Kościoła, przeznaczyła pięćset sześćdziesiąt milionów dolarów na rozpropagowanie idei kontroli urodzin na całym świecie. Elizabeth Sinskey wielokrotnie powtarzała w swoich wystąpieniach, że ludzie tacy jak Melinda i Bill Gatesowie zasługują na kanonizację za to, co ich fundacje robią dla poprawienia stanu zdrowia całej ludzkości. Niestety jedyna instytucja, która mogłaby ogłosić ich świętymi, wciąż odmawiała ich czynom chrześcijańskich pobudek.

– Doktor Sinskey – odezwał się ponownie stojący w cieniu mężczyzna. – Światowa Organizacja Zdrowia ignoruje jedyne globalne rozwiązanie problemu. – Wskazał ponownie na ponury obraz widoczny na ekranie: morze wijących się nagich ciał. – A oto ono... – Znów zamilkł na moment. – Wiem, że jest pani naukowcem, nie studentem akademii sztuk pięknych, może więc bardziej przemówi do pani ten obraz...

Sala tonęła przez moment w całkowitych ciemnościach, a potem ekran znowu ożył.

Ten wykres Elizabeth widziała wiele razy... i zawsze oglądała go z poczuciem nieuchronności.

W sali zapanowała grobowa cisza.

– Tak – odezwał się w końcu chudzielec. – Reakcją na ten wykres może być tylko nieme przerażenie. Oglądanie go przypomina patrzenie w światła zbliżającej się lokomotywy. – Odwrócił się powoli do Elizabeth, uśmiechając się protekcjonalnie. – Jakieś pytania, doktor Sinskey?

– Tylko jedno – wypaliła natychmiast. – Sprowadził mnie pan tutaj, aby pouczać czy obrażać?

– Ani jedno, ani drugie – odparł zadziwiająco łagodnym tonem. – Kazałem panią sprowadzić, ponieważ chciałbym, abyśmy nawiązali współpracę. Domyślam się, że i pani traktuje przeludnienie jako jedno z największych zagrożeń. Ale obawiam się, że nie rozumie pani, iż dotknie ono każdego człowieka. Gdy zabraknie żywności, nawet ci, którzy całe życie brzydzili się kradzieżą, zaczną rabować bez skrupułów, aby wyżywić swoje

rodziny. Ci, którzy nie zabijali, sięgną po broń, aby ocalić swoje potomstwo. Wszystkie grzechy śmiertelne wymieniane przez Dantego: chciwość, nieumiarkowanie, zdrada, morderstwo i cała reszta, staną się powszechne. W miarę zmniejszania się poczucia bezpieczeństwa zaczną znikać wszelkie hamulce. Czeka nas walka o dusze.

– Jestem biologiem. Ratuję życie, nie dusze.

– Cóż mogę powiedzieć... W najbliższym czasie ratowanie życia może się stać niezwykle trudnym zadaniem. Przeludnienie niesie ze sobą coś więcej niż tylko dyskomfort duchowy. Jest takie znane powiedzenie Machiavellego...

– Tak – przerwała mu i zacytowała z pamięci słynne słowa: – „Kiedy wszystkie kraje są tak przeludnione, że ludzie nie mogą w nich wyżyć ani też przenieść się gdzie indziej... staje się konieczne oczyszczenie świata". – Spojrzała mu w oczy. – Wszyscy w Światowej Organizacji Zdrowia znamy ten cytat.

– Świetnie, zatem wiecie też, że Machiavelli mówi w nim o plagach, które są naturalnym sposobem oczyszczenia świata.

– Owszem. I jak wspomniałam podczas wykładu, wszyscy także znamy związek między gęstością zaludnienia a ryzykiem kolejnej pandemii. Stąd nasze nieustające poszukiwania lepszych sposobów prewencji chorób i metod ich leczenia. Światowa Organizacja Zdrowia jest pewna, że zdoła zapobiec wystąpieniu kolejnych pandemii.

– A to szkoda.

Elizabeth spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Słucham?

Mężczyzna zaniósł się dziwacznym śmiechem.

– Mówi pani o zapobieganiu epidemiom, jakby to było coś dobrego. – Teraz już spoglądała na niego z czystą odrazą. Chudzielec zaś kontynuował tonem prokuratora, który broni swojego punktu widzenia na sprawę. – A jest pani przedstawicielką Światowej Organizacji Zdrowia. Straszne, jeśli się nad tym dobrze zastanowić. Pokazałem pani, jak będzie wyglądać nasza przyszłość... – znów zmienił wyświetlany obraz, wracając do wijących się ciał. – Przypomniałem, czym grozi niekontrolowany przyrost ludności – jego palec powędrował do stosiku kartek. – Oświeciłem panią nawet, że znajdujemy się u progu duchowego załamania... – Przerwał na moment, by odwrócić się do niej. – A jaka była pani odpowiedź? Darmowe prezerwatywy w Afryce – prychnął z pogardą. – To jak machanie packą na muchy w kierunku nadlatującej asteroidy. Bomba zegarowa przestała już tykać. Ona właśnie wybucha. Bez zdecydowanych działań nowym Bogiem zostanie wykładnia matematyczna... A to bardzo mściwe bóstwo. Gotowe sprawić, że wizje Dantego urzeczywistnią się, na Park Avenue zalegną masy ciał wijących się we własnych ekskrementach. Dojdzie do globalnej selekcji zarządzonej przez matkę naturę.

– Doprawdy? – zakpiła Elizabeth. – Proszę mi zatem powiedzieć, jaka według pana powinna być dopuszczalna liczba ludzi... Jaka jest ta magiczna liczba pozwalająca ludzkości na trwanie w nieskończoność we względnym błogostanie?

Wysoki mężczyzna uśmiechnął się, jakby to pytanie sprawiło mu radość.

– Każdy biolog i statystyk powie pani, że ludzkość ma największe szanse na przetrwanie, jeśli jej liczebność nie

przekroczy czterech miliardów.

Elizabeth się zaperzyła.

– Jest nas dzisiaj ponad siedem miliardów, trochę więc późno na takie gadki.

Zielone oczy jej rozmówcy zapłonęły.

– Ach tak? Tak pani uważa?

Rozdział 23

Robert Langdon wylądował twardo na spulchnionej ziemi w samym krańcu zalesionego południowego skrawka Ogrodów Boboli. Sienna wylądowała obok niego, otrzepała się i natychmiast przeczesała wzrokiem otoczenie.

Stali na polanie pokrytej mchem i paprociami, przed sobą mieli niewielki zagajnik. Nie mogli z tego miejsca dostrzec pałacu Pitti, ale Robert miał przeczucie, że znajdują się od budynku tak daleko, jak to tylko możliwe. Przynajmniej w pobliżu nie kręcili się robotnicy ani turyści, na których było jeszcze za wcześnie.

Langdon zauważył wkomponowaną w otoczenie ścieżkę wyłożoną płytami pizolitu, która przecinała pobliskie zarośla, biegnąc w dół łagodnego zbocza. W miejscu, gdzie ginęła pomiędzy drzewami, znajdował się marmurowy posąg ustawiony tak, by rzucać się przechodniom w oczy. Robert nie dziwił się temu. Ogrody Boboli zaprojektowali niezwykle utalentowani: Niccolò Tribolo, Giorgio Vasari i Bernardo Buontalenti – to ta genialna trójca była odpowiedzialna za stworzenie liczącego sto jedenaście akrów arcydzieła, po którym można było spacerować do woli.

– Jeśli skierujemy się na północny wschód, powinniśmy dotrzeć do pałacu – stwierdził Langdon, wskazując na ścieżkę. – Tam wmieszamy się w tłum turystów i opuścimy ogrody niezauważeni. Zdaje się, że bramy zostaną otwarte o dziewiątej.

Spojrzał na nadgarstek, lecz tam, gdzie powinien być zegarek z Myszką Miki, nie było teraz nic. Zaczął się znów zastanawiać, zupełnie bezwiednie, czy jego czasomierz leży wciąż w szpitalu z resztą ubrania i czy zdoła go kiedykolwiek odzyskać.

Sienna zastąpiła mu drogę.

– Robercie, zanim gdziekolwiek się stąd ruszę, chcę wiedzieć, dokąd idziemy. Co ty kombinujesz? Pamiętasz Malebolge? Twierdziłeś, że wszystko tam jest pomieszane.

Langdon wskazał głową na rozciągający się przed nimi zagajnik.

– Najpierw zejdźmy z widoku. – Poprowadził ją ścieżką, która wyszła wkrótce na kolejną, tylko mniejszą polanę nazywaną „pokojem" w języku architektów krajobrazu. Znajdowały się tam ławki z kamienia udającego drewno i skromna fontanna. Powietrze było zdecydowanie chłodniejsze.

Langdon wyjął z kieszeni projektor i zaczął nim mocno potrząsać.

– Ten, kto stworzył tę cyfrową przeróbkę obrazu, nie tylko dodał litery w tle potępieńców wypełniających Malebolge, ale zmienił także kolejność grzechów. – Wskoczył na ławkę i skierował projektor w dół. *La Mappa dell'Inferno* Botticellego wyglądała bardzo blado na płaskim siedzisku ławki obok Sienny. Robert wskazał na dolny poziom leja. – Widzisz litery w dziesięciu czeluściach Malebolge?

Sienna odszukała je na wyświetlonym obrazie i odczytała kolejno, od najwyższej po najniższą.

– *Catrovacer*.

– Zgadza się. Ale to nic nie znaczy.

– Zauważyłeś wcześniej, że ktoś zmienił kolejność czeluści.

– Szczerze mówiąc, nie namieszał aż tak bardzo. Gdyby te doły były talią składającą się z dziesięciu kart, byłoby łatwiej ją przełożyć, niż przetasować. Po przełożeniu karty nadal znajdowałyby się we właściwej kolejności, tyle że zaczynałyby się nie od tej co trzeba. – Langdon wskazał palcem na czeluście Malebolge. – Zgodnie z wersją Dantego w pierwszej czeluści powinni być uwodziciele smagani przez demony. Ale w tej wersji mamy ich niżej, dopiero w siódmym dole.

Sienna przyjrzała się uważniej blaknącemu obrazowi i skinęła głową.

– Rozumiem. Pierwszy dół jest teraz siódmy.

Robert schował projektor i zeskoczył z ławki na ścieżkę. Znalazł krótki patyk i zaczął nim pisać na ziemi tuż obok płyt.

– Tak wygląda kolejność liter w naszej wersji piekła...

C
A
T
R
O
V
A
C
E

R

– *Catrovacer* – przeczytała Sienna.

– Dobrze. A tak została przełożona nasza talia. – Langdon narysował linię oddzielającą ostatnie trzy litery i poczekał, aż lekarka zapozna się z nową wersją.

C
A
T
R
O
V
A

C
E
R

– Mam. *Catrova*. *Cer*.

– Tak. A teraz likwidujemy przełożenie i przenosimy karty na swoje miejsce. Dolna część trafia na górę.

Sienna raz jeszcze przyjrzała się literom.

– *Cer*. *Catrova*. – Wzruszyła ramionami, robiąc zawiedzioną minę. – To nadal nie ma sensu.

– *Cer... catrova...* – powtórzył za nią Langdon. Po chwili milczenia raz jeszcze wypowiedział te słowa, ale razem. – *Cercatrova*. – Moment później usłyszała je podzielone w inny sposób. – *Cerca... trova*. – Sienna jęknęła głośno, spoglądając mu w oczy. – Tak – rzucił uśmiechnięty Langdon. – *Cerca trova*.

Te dwa włoskie słowa znaczyły „szukaj” i „znajdź”. Połączone w zdanie – *cerca trova* – były synonimem biblijnego „szukajcie, a znajdziecie”.

– Twoje halucynacje! – wykrzyknęła zdumiona Sienna. – Kobieta w welonie! Ona bez przerwy powtarzała „Szukaj, a znajdziesz”! – Zerwała się z ławki. – Robercie, wiesz, co to znaczy? Przez cały czas miałeś te słowa, to znaczy *cerca* i *trova*, w swojej podświadomości! Nie rozumiesz? Rozwiązałeś tę zagadkę, zanim trafiłeś do szpitala! Musiałeś widzieć wcześniej ten projektor... tylko o tym zapomniałeś!

Ona ma rację, pomyślał.

Tak go pochłonęło szukanie rozwiązania, że nawet nie przyszło mu do głowy, iż może je znać już od dawna.

– Robercie, wspomniałeś wcześniej, że *Mapa Piekieł* wskazuje jakieś miejsce na starówce. Nadal tylko nie rozumiem, jak do tego doszedłeś...

– *Cerca trova* nic ci nie mówi?

Wzruszyła ramionami.

Langdon zaśmiał się w duchu.

Wreszcie znalazłem coś, czego Sienna nie wie.

– Tak się składa, że to zdanie wskazuje bardzo konkretny i znany fresk znajdujący się w Palazzo Vecchio. Mówię o *Battaglia di Marciano* Giorgia Vasariego znajdującym się w Sali Pięciuset. Na samej górze obrazu Vasari umieścił ledwie widoczny napis *cerca trova*. Istnieje wiele teorii próbujących wyjaśnić, dlaczego to zrobił, ale nikt nie znalazł jeszcze satysfakcjonującego rozwiązania tej zagadki.

Nad ich głowami rozległo się nagle buczenie silnika. Niewielka maszyna pojawiła się znikąd i przemknęła nad koronami pobliskich drzew. Leciała tak nisko, że Langdon i Sienna zamarli z wrażenia.

Po chwili Robert zadarł głowę i wypatrzył niknący samolocik.

– Helikopter zabawka – odetchnął z ulgą na widok zdalnie sterowanego, długiego na metr śmigłowca. Maszyna brzęczała jak ogromny rozwścieczony komar.

Sienna w przeciwieństwie do Langdona wyglądała na zaniepokojoną.

– Nie wychylaj się – poprosiła.

Helikopter zawrócił i pomknął znów w ich kierunku, prześlizgując się tuż nad koronami drzew. Minął ich, tym razem lecąc lewym skrajem polany.

– To nie zabawka – wyszeptała – tylko dron zwiadowczy. Najprawdopodobniej wyposażony w kamerę, która przekazuje obraz w czasie rzeczywistym temu, kto nim steruje...

Langdon zacisnął zęby, obserwując śmigłowiec oddalający się w kierunku, z którego wcześniej przyleciał – czyli Bramy Rzymskiej i uczelni.

– Nie wiem, co zrobiłeś – stwierdziła Sienna – ale ktoś naprawdę ważny stara się ciebie dopaść za wszelką cenę.

Helikopter znów zawrócił i zaczął kolejny przelot, tym razem nad murem, przez który dopiero co przeskoczyli.

– Ktoś musiał nas zauważyć i przekazał tę wiadomość dalej – dodała, wkraczając na ścieżkę. – Lepiej wynośmy się stąd, i to szybko.

Gdy dron odleciał w kierunku odległego krańca ogrodów, Langdon zamazał podeszwą buta wyryte w ziemi litery i szybko dołączył do Sienny. Jego myśli krążyły wciąż wokół *cerca trova*, fresku Giorgia Vasariego, oraz stwierdzenia lekarki, że musiał już wcześniej rozwiązać tę zagadkę.

Szukajcie, a znajdziecie...

W chwili, gdy docierali do drugiej polany, Langdon doszedł do zaskakującego wniosku. Z głupią miną zatrzymał się na otoczonej lasem ścieżce.

Sienna również przystanęła.

– O co chodzi, Robercie?

– Jestem niewinny – oznajmił.

– O czym ty mówisz?

– O ludziach, którzy mnie ścigają... Zakładałem do tej pory, że tropią mnie, ponieważ zrobiłem coś potwornego.

– Owszem, w szpitalu cały czas mamrotałeś przeprosiny. *Ve... sorry*, pamiętasz?

– Tak, ale wtedy myślałem, że to po angielsku.

Sienna wyglądała na zaskoczoną.

– Przecież mówisz po angielsku.

Błękitne oczy Langdona błyszczały z podekscytowania.

– To nie były przeprosiny! Mamrotałem o tym sekretnym przesłaniu z fresku w Palazzo Vecchio! – W uszach wciąż miał wypowiadane przez siebie samego słowa. *Ve... sorry. Ve... sorry*.

Sienna całkiem się pogubiła.

– Jeszcze nie rozumiesz?! – Langdon wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nie mówiłem *ve... sorry*, lecz *Va... sari.* Tak brzmi nazwisko tego artysty. *Vasari!*

Rozdział 24

Vayentha zahamowała gwałtownie.

Jej motocykl zatańczył na asfalcie, piszcząc przeraźliwie i zostawiając długi ślad na viale del Poggio Imperiale, aby zatrzymać się tuż przed ostatnim z unieruchomionych samochodów. Aleja przed nią była kompletnie zakorkowana.

Nie mam czasu na takie zabawy!

Vayentha wyciągnęła szyję, by spojrzeć ponad dachami wozów i sprawdzić, co jest przyczyną zatrzymania ruchu. Musiała wcześniej wybrać okrężną drogę, żeby uniknąć spotkania z zespołem IWO po tym zamieszaniu w kamienicy, przez co miała coraz mniej czasu na dotarcie do hotelu na starówce, gdzie się zatrzymała, wypełniając ostatnią misję.

Zostałam wykluczona – muszę jak najszybciej opuścić to cholerne miasto!

Wyglądało jednak na to, że łańcuch nieszczęść nie ma końca. Ulica, którą zamierzała się dostać na stare miasto, była zablokowana. Nie mając zamiaru czekać, Vayentha zjechała na bok jezdni i sunąc wąskim pasem awaryjnym, dotarła do zakorkowanego skrzyżowania. Przed nią znajdował się zbieg

sześciu głównych alei tej dzielnicy. Za rondem stała Brama Rzymska, droga prowadząca na starówkę i jedno z najczęściej zakorkowanych miejsc we Florencji.

Co tam się u licha dzieje?!

Teraz widziała, że cała okolica roi się od policjantów – przejazd był zablokowany, a mundurowi utworzyli kilka punktów kontrolnych. Chwilę później dostrzegła coś, co ją zdziwiło. W samym środku tego zamieszania znajdowała się znajoma czarna furgonetka, a stojący obok niej mężczyźni w ciemnych uniformach wydawali rozkazy miejscowym stróżom prawa.

Bez wątpienia należą do zespołu IWO, ale czego u diabła tutaj chcą? Chyba że...

Przełknęła głośno ślinę, nie wierząc, że coś takiego może być prawdą. Czyżby Langdon wykiwał także Brüdera? To wydawało się niedorzeczne; szanse ucieczki profesorka powinny być bliskie zeru. Z drugiej strony Langdon nie działał w pojedynkę, a Vayentha była naocznym świadkiem pomysłowości towarzyszącej mu blondynki.

W pobliżu pojawił się policjant pokazujący pasażerom kolejnych samochodów zdjęcie przystojnego mężczyzny o gęstych ciemnych włosach. Vayentha natychmiast rozpoznała Roberta Langdona i serce zaczęło jej bić szybciej.

Brüder go nie złapał...

Profesorek wciąż jest w grze!

Jako doświadczony strateg natychmiast zaczęła oceniać, jak ten fakt może wpłynąć na zmianę jej sytuacji.

Opcja pierwsza – spieprzam stąd, jak mi kazano.

Spaprała zlecone jej przez Zarządcę zadanie i za to została wykluczona z Konsorcjum. Przy odrobinie szczęścia czekało ją oficjalne dochodzenie i wyrzucenie z pracy. Jeśli jednak pomyliła się co do intencji i determinacji swojego pracodawcy, spędzi resztę życia, oglądając się przez ramię i zastanawiając, czy Konsorcjum nie postanowiło skończyć z nią raz na zawsze.

Teraz zyskałam jeszcze jedną opcję. Mogę dokończyć misję.

Pozostanie na miejscu akcji było sprzeczne z protokołem wykluczenia, lecz profesorek wciąż pozostawał na wolności, a ona miała spore szanse na wykonanie pierwotnych rozkazów.

Jeśli Brüder nie zdoła schwytać Langdona, myślała, czując, jak puls jej przyśpiesza. Jeśli to ja znajdę go pierwsza...

Zdawała sobie sprawę, że nie będzie to proste. Gdyby jednak Langdon wymknął się Brüderowi na dobre, a ona zdołała dokończyć misję, Konsorcjum powinno być jej wdzięczne, Zarządca zaś z pewnością będzie bardziej chętny do okazania łaski.

Zachowam pracę, pomyślała. Może nawet dostanę awans.

Nagle dotarło do niej, że cała jej przyszłość zależy od jednej rzeczy.

Muszę zlokalizować profesorka, zanim zrobi to Brüder.

Brüder miał do dyspozycji niezliczone rzesze ludzi i cały wachlarz najnowocześniejszych środków. Vayentha mogła liczyć wyłącznie na siebie. Dysponowała jednak informacją, do której Brüder, Zarządca i policjanci nie mieli dostępu.

Wiem, dokąd Langdon zmierza!

Przekręciła manetkę gazu, obracając motocykl o sto osiemdziesiąt stopni, i ruszyła tam, skąd przyjechała.

Ponte alle Grazie, pomyślała, przywołując w pamięci most leżący na północy.

Istniała więcej niż jedna droga wiodąca na starówkę.

Rozdział 25

Nie przeprosiny, rozmyślał Langdon. Tylko nazwisko artysty...

– Vasari – mamrotała Sienna, cofając się o krok. – Malarz, który wkomponował słowa *cerca trova* w swój fresk.

Robert nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Poza tym, że odkrycie to rzucało nowe światło na ich nieciekawą sytuację, dowiedział się też, że nie uczynił niczego, za co musiałby przepraszać.

– Musiałeś oglądać ten obraz Botticellego, zanim zostałeś postrzelony, i wiedziałeś, że zawiera on wskazówkę prowadzącą do fresku Vasariego. Dlatego bez przerwy powtarzałeś jego nazwisko!

Robert próbował zrozumieć, co to może oznaczać. Giorgio Vasari, szesnastowieczny mistrz pędzla, architekt i pisarz, był człowiekiem, którego nazwał onegdaj „pierwszym historykiem sztuki". Oprócz setek obrazów, które stworzył, i dziesiątek zaprojektowanych budowli, jego najwybitniejszym dziełem jest absolutnie wyjątkowa księga zatytułowana: *Żywoty najsławniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów*, będąca kolekcją biografii włoskich artystów i do dzisiaj figurująca na liście lektur obowiązkowych wszystkich zainteresowanych historią sztuki.

Jego nazwisko znalazło się na ustach wszystkich za sprawą słów *cerca trova*, które umieścił na swoim fresku jako „tajemne przesłanie". Stało się to wkrótce po ich odkryciu wysoko na ścianie Sali Pięciuset w Palazzo Vecchio. Trudno było dostrzec w przedstawionym bitewnym szale te maleńkie literki zdobiące zielony sztandar bojowy. Naukowcom dotąd nie udało się odkryć motywów, którymi kierował się malarz, dodając ten dziwaczny napis do swojego dzieła, niemniej najpopularniejsza teoria głosiła, że wskazywał on na istnienie fresku Leonarda da Vinci, ukrytego w trzycentymetrowej wnęce za ścianą.

Sienna zerknęła nerwowo na niebo widoczne nad koronami drzew.

– Jednego nadal nie rozumiem. Dlaczego próbują cię zabić, skoro nic nie zrobiłeś?

Langdon także się nad tym zastanawiał.

Odległe brzęczenie drona zwiadowczego znów zaczęło narastać, dlatego Robert uznał, że nadszedł najwyższy czas, by się zdecydować. Na razie nie udało mu się znaleźć związku między *Bitwą pod Marciano* Vasariego a *Piekłem* Dantego, a tym bardziej strzelaniną, w której wyniku odniósł rany głowy, jednakże dostrzegł wreszcie nadzieję na rozwiązanie tej zagadki.

Cerca trova.

Szukaj, a znajdziesz.

Raz jeszcze ujrzał oczyma wyobraźni siwowłosą kobietę, która krzyczała do niego z drugiego brzegu rzeki.

Czas ucieka!...

Langdon czuł, że odpowiedzi – jeśli w ogóle istnieją – znajdzie właśnie w Palazzo Vecchio.

Przypomniał sobie również stare porzekadło greckich poławiaczy, którzy nurkowali w koralowych grotach Wysp Egejskich w poszukiwaniu homarów.

Gdy wpłyniesz w mroczny tunel, dotrzesz po pewnym czasie do punktu bez powrotu, gdzie nie masz już dość powietrza na drogę w drugą stronę. Wtedy musisz płynąć dalej w nieznane i modlić się, aby było inne wyjście.

Langdon zastanawiał się, czy on i Sienna minęli już taki punkt.

Omiótł wzrokiem labirynt ścieżek. Jeśli zdołają dotrzeć do pałacu Pitti i wyjść z ogrodów, od starówki dzielić ich będzie jedynie najbardziej znana na świecie kładka dla pieszych – Ponte Vecchio. Zawsze pełno tam turystów, dzięki którym można zniknąć w tłumie. A Palazzo Vecchio znajduje się zaledwie kilka przecznic od rzeki.

Dron zabrzęczał gdzieś w pobliżu, a Langdona ogarnęło nagle potworne zmęczenie. Skoro nie musiał nikogo przepraszać, nie powinien też ukrywać się przed policją.

– W końcu i tak mnie złapią – stwierdził. – Może lepiej, żebym przestał uciekać.

Sienna spojrzała na niego z niepokojem.

– Robercie, za każdym razem gdy się zatrzymujesz, ktoś próbuje cię zastrzelić! Musisz się dowiedzieć, w co jesteś zamieszany. Powinieneś przyjrzeć się temu freskowi Vasariego, dzięki niemu możesz odzyskać pamięć. A wtedy przypomnisz sobie, skąd masz ten projektor i dlaczego go nosisz.

Langdon ujrzał oczyma wyobraźni kobietę z irokezem zabijającą z zimną krwią doktora Marconiego... strzelającego do niego

żołnierza w czerni... karabinierów zgromadzonych pod Bramą Rzymską... i jeszcze tego drona tropiącego ich w Ogrodach Boboli.

W milczeniu przetarł oczy, zastanawiając się nad dostępnymi opcjami.

– Robercie? – usłyszał podniesiony głos Sienny. – Jest coś jeszcze. Sądziłam, że to nieistotne, lecz w obecnej sytuacji widzę, że może być inaczej.

Langdon natychmiast spojrzał na towarzyszącą mu kobietę, zaniepokojony jej poważnym tonem.

– Powinnam była ci to powiedzieć jeszcze w mieszkaniu, ale...

– O co chodzi?

Sienna przygryzła wargę, jakby nie wiedziała, jakich słów użyć.

– Gdy przyszedłeś do szpitala – zaczęła – bredziłeś w malignie i usiłowałeś coś przekazać.

– Wiem – przyznał. – Powtarzałem w kółko: Vasari, Vasari.

– Tak, ale wcześniej... zanim przyniesiono dyktafon, w pierwszych chwilach po pojawieniu się w szpitalu, powiedziałeś coś jeszcze. Tylko jeden raz, ale jestem przekonana, że dobrze zapamiętałam.

– Co mówiłem?

Sienna spojrzała w kierunku drona, a potem opuściła wzrok na Langdona.

– Mówiłeś: „Mam klucz pozwalający to znaleźć... jeśli zawiodę, wszystkich czeka śmierć".

Spoglądał na nią z przerażeniem.

– Dotąd myślałam, że chodzi o przedmiot ukryty w marynarce – dodała – ale teraz nie jestem już tego taka pewna.

„Jeśli zawiodę, wszystkich czeka śmierć”? Te słowa poraziły Langdona. Znów miał przed oczyma obrazy zagłady... *Inferno* Dantego... symbol skażenia biologicznego... lekarza w ptasiej masce. A do tego twarz pięknej kobiety wołającej do niego zza rzeki krwi: „Szukaj, a znajdziesz! Czas ucieka!”.

Słowa Sienny wyrwały go z zamyślenia.

– To, co kryje obraz z projektora... czy też to, czego szukasz... musi być bardzo niebezpieczne. Fakt, że jacyś ludzie usiłują nas zabić... – Głos jej się załamał, potrzebowała chwili, żeby wziąć się w garść. – Sam pomyśl. Strzelali do ciebie w biały dzień... strzelali do mnie, niewinnego przechodnia. Nikt nie będzie z tobą negocjował. Twój własny rząd odwrócił się od ciebie... poprosiłeś o pomoc, a oni nasłali na ciebie zabójcę.

Langdon wbił wzrok w ziemię. To, czy konsulat amerykański przekazał mordercom miejsce jego pobytu czy też sam ich wysłał, nie miało teraz znaczenia. Efekt był taki sam.

Mój własny rząd jest przeciwko mnie!

Langdon spojrzał w piwne oczy Sienny i dostrzegł w nich odwagę.

Po co ją w to wszystko mieszam?

– Chciałbym wiedzieć, czego szukamy. To pomogłoby mi ogarnąć tę sytuację.

Lekarka przytaknęła.

– Zatem musimy znaleźć to, czego szukasz. Dzięki temu zyskamy jakiś punkt oparcia.

Trudno było zaprzeczyć logice jej wywodu. Wciąż jednak coś go uwierało. „Jeśli zawiodę, wszystkich czeka śmierć”... Od samego rana zmagał się z ostrzegawczymi symbolami, plagami i *Piekłem*

Dantego. Wprawdzie nie miał jeszcze żadnego dowodu, ale byłby skończonym durniem, gdyby nie zaczął podejrzewać, że chodzi o zabójczą zarazę lub skażenie biologiczne na ogromną skalę. Pozostawało tylko pytanie: dlaczego jego własny rząd próbuje go wyeliminować?

Czyżby podejrzewali, że jestem zamieszany w potencjalny atak?

Nie widział w tym najmniejszego sensu. Musiało chodzić o coś zupełnie innego. Raz jeszcze pomyślał o siwowłosej kobiecie.

– Jest jeszcze ta kobieta z moich wizji. Czuję, że i ją powinniśmy znaleźć.

– Powinieneś ufać przeczuciom – stwierdziła Sienna. – W twoim stanie najlepszym kompasem będzie podświadomość. To kwestia elementarnej psychologii: skoro serce podpowiada ci, byś zaufał tej kobiecie, moim zdaniem powinieneś postąpić zgodnie z jej wskazówkami.

– Szukaj, a znajdziesz – odezwali się unisono.

Langdon westchnął. Teraz już wiedział, którą drogę obrać.

Muszę płynąć dalej w głąb tego tunelu.

Utwierdzając się w tym przekonaniu, powiódł wzrokiem po okolicy, aby zyskać czas na zebranie myśli.

Którędy do wyjścia?

Stali pod drzewami obok rozległej łąki poprzecinanej kilkoma ścieżkami. W oddali po lewej Langdon dostrzegł owalną sadzawkę z niewielką wysepką pośrodku, na której rosły drzewka cytrynowe otaczające jakiś posąg.

To Isolotto, pomyślał, rozpoznając słynną na cały świat rzeźbę Perseusza i na wpół zanurzonego w wodzie konia.

– Tam jest pałac Pitti – powiedział, wskazując palcem.

W przeciwnym kierunku niż Isolotto znajdowała się główna aleja przecinająca ze wschodu na zachód całe ogrody, tak zwana Viottolone. Viottolone była szeroka jak dwupasmowa szosa, otaczał ją szpaler wysmukłych czterystuletnich cyprysów.

– Tam nie ma się gdzie ukryć – zauważyła Sienna, omiótłszy wzrokiem leżący na otwartym terenie szlak i krążącego po niebie drona.

– Masz rację – przyznał. – I dlatego skorzystamy z biegnącego obok niej tunelu.

Wskazał na gęsty żywopłot znajdujący się u wylotu Viottolone. W ścianie soczystej zieleni znajdowało się wąskie przejście. Za nim widać było ścieżkę – czy też rzeczony tunel biegnący wzdłuż alei. Z obu stron osłaniał go rząd rozłożystych dębów, które od siedemnastego wieku przycinano i kształtowano tak, by pochylały się nad ścieżką i rzucały na nią cień o każdej porze dnia. Trasa ta wzięła swoją nazwę – La Cerchiata – od pochylonych koron drzew układających się w kręgi czy koła, czyli *cerchi*.

Sienna podbiegła i zajrzała w głąb zacienionej ścieżki. Zaraz też odwróciła się do Roberta, pokazując zęby w uśmiechu.

– Tak lepiej.

Nie tracąc czasu, zniknęła pod gęstym listowiem.

Langdon każdorazowo zachwycał się La Cerchiatą – jednym z najurokliwszych zakątków Florencji. Dzisiaj jednak, gdy zobaczył Siennę znikającą w mrocznej alejce, ponownie przypomniał sobie porzekadło dawnych greckich nurków eksplorujących podwodne tunele i modlących się o to, by dotrzeć szczęśliwie do ich wylotu.

I sam szybko zmówił własną modlitwę, zanim pośpieszył za oddalającą się kobietą.

Niecały kilometr od nich agent Brüder przedzierał się przez tłum studentów i policjantów zebranych przed uczelnią, lodowatymi spojrzeniami zmuszając wszystkich do zejścia mu z drogi. Po chwili dotarł do tymczasowego punktu dowodzenia, który jeden z techników zmontował na masce służbowej furgonetki.

– To obraz z naszego drona – poinformował technik, podając mu tablet. – Ujęcie zrobione kilka minut temu.

Brüder obejrzał kilka klatek nagrania, zatrzymując się nieco dłużej przy rozmytym powiększeniu dwu twarzy – ciemnowłosego mężczyzny i uczesanej w kucyk blondynki, którzy kryli się w cieniu drzew, spoglądając z niepokojem w niebo.

Robert Langdon.

Sienna Brooks.

Zero wątpliwości.

Przeniósł wzrok na mapę Ogrodów Boboli, którą również rozłożono na masce wozu.

Dokonali naprawdę złego wyboru, uznał, przyglądając się zielonemu planowi. Choć teren był ogromny i oferował mnóstwo kryjówek, otoczono go ze wszystkich stron wysokim murem. Ogrody Boboli stanowiły największą i najnaturalniej wyglądającą zabójczą pułapkę, jaką Brüder kiedykolwiek widział.

Nigdy stamtąd nie wyjdą.

– Lokalne władze zamknęły wszystkie wyjścia – powiadomił go inny agent – i rozpoczęły przeczesywanie terenu.

– Informujcie mnie na bieżąco – rzucił Brüder.

Przeniósł wolno wzrok na grube poliwęglanowe szyby furgonetki, za którymi widział siwowłosą kobietę siedzącą na jednym z tylnych foteli.

Środki, które jej podano, w końcu przytępiły jej zmysły, i to bardziej, niż się spodziewał. A jednak wciąż dostrzegał w jej oczach lęk, co znaczyło, że doktor Sinskey nadal zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje dokoła niej.

Nie wygląda na zadowoloną, pomyślał. Ale też z czego miałaby się cieszyć?

Rozdział 26

Słup wody wystrzelił na wysokość sześciu metrów.

Langdon przyglądał się, jak strumienie łagodnie opadają na ziemię. Wiedział, że to już niedaleko. Dotarli do końca liściastego tunelu, a potem przebiegli przez trawnik, by skryć się w kępie drzew korkowych, skąd mieli dobry widok na fontannę Ogrodów Boboli – dzierżącego trójząb Neptuna stworzonego przez Stolda Lorenziego. Zwana pieszczotliwie przez miejscowych „fontanną z widelcem" była uważana za centralny punkt ogrodów.

Sienna zatrzymała się na krawędzi zagajnika, by omieść wzrokiem niebo.

– Nie widzę nigdzie drona.

Langdon też już nie słyszał charakterystycznego brzęczenia, chociaż to akurat o niczym nie świadczyło ze względu na głośny szum wody.

– Pewnie wylądował, aby uzupełnić paliwo – uznała lekarka. – To nasza szansa. Dokąd teraz?

Robert poprowadził ją w lewo, w dół stromego zbocza. Gdy wyszli spomiędzy drzew, ich oczom ukazał się pałac Pitti.

– Fajny domek – wyszeptała Sienna.

– Typowa dla Medyceuszy mania wielkości – skomentował.

Kamienna fasada oddalonego wciąż o prawie pół kilometra pałacu dominowała nad otoczeniem, rozciągając się daleko w obie strony. Jej zewnętrzna, boniowana część wyglądała bardzo surowo, które to wrażenie potęgowały rzędy zamkniętych na głucho ciężkich okiennic w zakończonych łukowato wgłębieniach. Budowle tego rodzaju stawiano zazwyczaj na wzniesieniach, aby ludzie musieli spoglądać na nie z dołu. Pałac Pitti stał jednak na dnie płytkiej doliny w pobliżu koryta rzeki Arno, co znaczyło, że goście przechadzający się po Ogrodach Boboli mogli patrzeć na jego zabudowania z góry.

Efekt tylko przydawał widokowi dramatyzmu. Jeden z architektów napisał nawet, że pałac wygląda, jakby był dziełem matki natury... jakby ogromne głazy osunęły się po zboczach doliny, tworząc na jej dnie niezwykle elegancki stos. Mimo niekorzystnego położenia strategicznego mury były wystarczająco potężne, by Napoleon zaadaptował go na siedzibę swoich wojsk, gdy okupował Florencję.

– Spójrz! Dobrze nam idzie. – Sienna wskazała najbliższe wejście do pałacu.

Langdon także je dostrzegł. Jednakże tego okropnego ranka bardziej go cieszył widok turystów wylewających się z zabudowań do dolnych ogrodów. Pałac był otwarty, co oznaczało, że Langdon i Sienna wślizgną się tam bez problemu i przeszedłszy przez budynek, wydostaną się z ogrodów. Gdy opuszczą pałac, po prawej będą mieli koryto rzeki Arno, a dalej ujrzą wieże starego miasta.

Ruszyli szybkim krokiem, pokonując truchtem ostatnią część stromizny. Po drodze minęli Amfiteatr Boboli – miejsce, w którym

miała miejsce premiera pierwszej opery w historii – przypominający gigantyczną podkowę odciśniętą w zboczu wzgórza. Potem przeszli obok obelisku Ramzesa II i pewnego obiektu leżącego u jego stóp. W przewodnikach pisano, że to „ogromna kamienna misa z rzymskich Term Karakalli", ale Langdon nie miał złudzeń – była to zwyczajna największa wanna świata.

Mogliby ją ustawić gdzie indziej.

W końcu udało im się dotrzeć na tyły pałacu, gdzie spowolnili krok, aby wmieszać się w tłum spacerujących pierwszych turystów. Idąc pod prąd strumienia ludzi, zagłębili się w tunel prowadzący na wewnętrzny dziedziniec, gdzie goście mogli usiąść w spokoju i napić się espresso. W powietrzu nieopodal restauracji unosił się zapach świeżo parzonej kawy, sprawiając, że Langdon poczuł nieprzepartą ochotę, by zająć wolne miejsce i nacieszyć się cywilizowanym śniadaniem.

Niestety to niedobry moment, pomyślał ze smutkiem, gdy mijali rozstawione stoliki.

Moment później zagłębili się w szerokie przejście prowadzące do bram pałacu. Po drodze natknęli się na tłum turystów obserwujących z uwagą coś, co rozgrywało się na zewnątrz. Langdon stanął na palcach, by sprawdzić, o co chodzi.

Główne wejście do pałacu Pitti było tak nieprzyjemne, jak je zapamiętał. Zamiast idealnie przystrzyżonego zielonego trawnika zobaczył jednolity chodnik zajmujący sporą część zbocza – aż do via dei Guicciardini – i przypominający dziwaczny betonowy stok narciarski.

Dopiero u stóp wzgórza Robert wypatrzył powód powstałego zamieszania.

W kierunku piazza dei Pitti zmierzało kilka radiowozów jadących na sygnale. A na szczyt wzgórza wspinała się właśnie cała armia funkcjonariuszy sięgających po broń i zajmujących pozycje mające zabezpieczyć frontową część pałacu.

Rozdział 27

Langdon i Sienna zdążyli się ulotnić, zanim policja wkroczyła do pałacu. Wycofali się po swoich śladach, aby uciec przed obławą. Przemknęli przez wewnętrzny dziedziniec, minęli kawiarenki, w których podenerwowani klienci zaczynali się zastanawiać, co jest przyczyną nagłego harmideru.

Sienna nie mogła uwierzyć, że władze wyśledziły ich tak szybko.

Dron zniknął dlatego, że nas namierzył!

Przemierzyli ten sam wąski tunel, którym wydostali się z ogrodów, i bez wahania wbiegli w przejście prowadzące do schodów osłoniętych po lewej stronie wysokim murem wspornikowym. Idąc wzdłuż niego, dotarli do miejsca, w którym mogli wyjrzeć na rozległe tereny Ogrodów Boboli.

Langdon odruchowo chwycił kobietę za ramię i pociągnął do tyłu, a sam przykucnął pod ścianą, aby nikt nie mógł ich zauważyć.

Trzysta metrów od wejścia ze wzgórza za amfiteatrem schodziła tyraliera policjantów. Przeszukiwali oni zarośla i przepytywali napotkanych turystów, koordynując swoje poczynania dzięki krótkofalówkom.

Jesteśmy w pułapce!

W momencie spotkania w szpitalu Sienna nawet nie przypuszczała, że znajomość z Robertem doprowadzi do czegoś podobnego.

To zaczyna mnie przerastać...

Gdy opuszczała z nim szpital, sądziła, że uciekają tylko przed uzbrojoną kobietą z irokezem. Teraz ścigał ich oddział żołnierzy i włoskie władze. Szansa na zniknięcie zmalała niemal do zera.

– Czy jest stąd jakieś inne wyjście? – zapytała, nie mogąc złapać tchu.

– Nie sądzę – odparł Langdon. – Wysoki mur otacza te ogrody, jak nie przymierzając... – zamilkł nagle i spojrzał na wschód. – Jak nie przymierzając, Watykan. – Cień nadziei pojawił się w jego oczach.

Sienna nie miała pojęcia, co Watykan może mieć wspólnego z ich obecnym położeniem, jednakże Langdon zaczął nagle kiwać głową i zerkać na tyły pałacu.

– To nic pewnego – powiedział, ciągnąc ją za sobą – ale może istnieje stąd więcej niż jedno wyjście.

Dwie postacie zmaterializowały się przed nimi, wychodząc zza załomu muru wspornikowego i omal nie wpadając na Siennę i Langdona. Obie były ubrane na czarno, lekarka zamarła więc z obawy, że ma do czynienia z żołnierzami, którzy szturmowali jej mieszkanie. Wystarczył jednak moment, by zrozumiała, że to turyści. Włosi, sądząc po wysmakowanych strojach z czarnej skóry.

To nasunęło jej pewną myśl. Chwyciła jednego z oddalających się turystów za rękę i odezwała się szybko po włosku, prosząc

o wskazanie drogi do znajdującej się w pałacu słynnej galerii kostiumów.

– *Può dirci dov'è la Galleria del costume? Io e mio fratello siamo in ritardo per una visita privata*. – Ja i mój brat spóźniliśmy się na prywatną wycieczkę.

– *Certo!* – zapytany wyszczerzył się do obojga, okazując chęć pomocy. – *Proseguite dritto per il sentiero!* – odwrócił się i wskazał ręką na zachód, w przeciwnym kierunku, niż chciał iść Langdon.

– *Molte grazie!* – Sienna uśmiechnęła się do odchodzących już mężczyzn.

Robert spojrzał na nią z uznaniem, domyślając się, co pragnęła osiągnąć. Jeśli policja przepyta tych turystów, zeznają, iż poszukiwani kierują się w stronę galerii kostiumów, która jeśli wierzyć planowi wiszącemu obok na ścianie, znajdowała się na zachodnim krańcu pałacu... czyli bardzo daleko od miejsca, w które zamierzali się teraz udać.

– Musimy się dostać tam – powiedział Langdon, wskazując na ścieżkę biegnącą w dół kolejnego wzgórza, z dala od zabudowań pałacowych. Płyty z pizolitu były z jednej strony osłonięte przez wysokie żywopłoty, które powinny ukryć ich przed wzrokiem schodzącej tyraliery funkcjonariuszy znajdujących się w tym momencie niespełna sto metrów od wejścia.

Sienna uznała, że szanse na przemknięcie się przez otwarty teren są raczej niewielkie. Turyści zbierali się przy wyjściu, obserwując z zaciekawieniem działania policji. Z oddali znów dobiegało ciche brzęczenie nadlatującego drona.

– Teraz albo nigdy – rzucił Langdon, chwytając ją za ramię i ciągnąc na placyk, po którym musieli kluczyć, by minąć

zbierających się turystów. Sienna odczuwała pokusę natychmiastowego rzucenia się do ucieczki, jednakże Robert trzymał ją mocno, idąc przez tłum szybkim, lecz zarazem spokojnym krokiem.

Gdy dotarli do początku alejki, Sienna zerknęła przez ramię, sprawdzając, czy nie zostali odkryci. Wszyscy policjanci, których miała w polu widzenia, spoglądali w przeciwną stronę i zadarłszy głowy, obserwowali nadlatującego drona.

Odwróciła się natychmiast i pobiegła w ślad za Langdonem.

Nad koronami drzew widzieli panoramę znajdującej się na wprost Florencji. Sienna dostrzegła pokrytą czerwonymi dachówkami kopułę Il Duomo i zielono-czerwono-białą dzwonnicę Giotta. Przez moment miała także w polu widzenia krenelaże wieży Palazzo Vecchio – ich, zda się, nieosiągalnego celu – ale gdy zeszli niżej, widoki te szybko zniknęły za murem odcinającym wszystko, co znajdowało się po drugiej stronie.

Zanim dotarli na sam dół zbocza, Sienna się zadyszała. Nie była pewna, czy Langdon wie, dokąd idzie. Ścieżka prowadziła prosto do ogrodowego labiryntu, lecz tuż przed nim Robert skręcił w lewo na wysypany żwirem taras, minął go, po czym zatrzymał się za żywopłotem w cieniu rozłożystych drzew. Miejsce to było całkowicie puste i przypominało raczej parking dla obsługi niż turystyczną atrakcję.

– Dokąd my idziemy? – zapytała, z trudem łapiąc oddech.

– Jesteśmy już prawie na miejscu.

Czyli gdzie?

Taras otaczały z trzech stron wysokie na trzy kondygnacje ściany. Jedynym wyjściem, jakie widziała, była brama

samochodowa po lewej, zamknięta grubą kratą z kutego żelaza wyglądającą jak zabytek z czasów, gdy terenów tych trzeba było bronić przed pustoszącymi miasto armiami. W oddali, na piazza dei Pitti, kręcili się policjanci.

Langdon ruszył dalej, trzymając się skraju zarośli. Sienna przyjrzała się gęstwinie, szukając jakiegoś przejścia, jednakże dostrzegła wyłącznie niszę zawierającą najokropniejszy posąg, jaki w życiu widziała.

Dobry Boże, Medyceuszy stać było na zakupienie każdego arcydzieła tamtych czasów, a oni wybrali to?

Rzeźba przed nimi przedstawiała otyłego nagiego karła siedzącego okrakiem na żółwiu. Genitalia pokurcza były przyciśnięte do skorupy zwierzęcia, z którego pyska tryskała woda, jakby był chory.

– Wiem, wiem – mruknął Langdon, nie zwalniając kroku. – To Braccio di Bartolo, słynny karzeł dworski. Gdyby ktoś mnie zapytał o zdanie, kazałbym go stąd wywieźć razem z tamtą gigantyczną wanną.

Mówiąc to, skręcił ostro w prawo ku schodom, które Sienna zauważyła dopiero w tej chwili.

Czyżby wyjście?...

Ten przebłysk nadziei był bardzo krótki.

Gdy skręciła za róg i ruszyła za Langdonem w stronę stopni, zrozumiała, że zapędzili się w ślepy zaułek – w tym miejscu ściany były dwukrotnie wyższe niż gdzie indziej.

Co gorsze, Sienna zaczęła podejrzewać, że ich długa wędrówka zakończy się w mroku groty, której wylot właśnie dostrzegła w skalnej ścianie.

On mnie tam chyba nie prowadzi?

Nad mroczną paszczą jaskini wisiały przypominające sztylety stalaktyty. W otworze za nimi inne formacje geologiczne wyglądały, jakby coś stopiło kamień i uformowało w kształty, które Siennę przeraziły. Ze ścian wynurzały się humanoidalne poskręcane postacie, które przywiodły jej na myśl *Mapę Piekieł* Botticellego.

Langdon natomiast nie był specjalnie przejęty tym widokiem. Biegł prosto ku wejściu jaskini. Wspomniał coś wcześniej o Watykanie, lecz ona nadal była przekonana, że w Stolicy Piotrowej nie ma takich dziwacznych pieczar.

Z bliska wypatrzyła zdobiącą górę portalu niesamowitą gmatwaninę stalaktytów oraz niewyraźnych odcisków jak gdyby pochłaniających sylwetki dwu kobiet. Obok nich znajdowała się tarcza ozdobiona sześcioma kulami, będąca herbem rodowym Medyceuszy.

Langdon skręcił nagle w lewo, oddalając się od wejścia do jaskini. Szedł teraz w stronę miejsca, które Sienna całkiem przeoczyła – niewielkich szarych drzwi. Były drewniane i mocno zniszczone, jakby prowadziły do podrzędnego pomieszczenia, w którym trzyma się narzędzia ogrodnicze.

Robert podbiegł do nich, mając nadzieję, że uda mu się je otworzyć, ale nie miały żadnej klamki – tylko mosiężną obudowę zamka.

– A niech to! – zaklął, a w jego oczach pojawiło się zaniepokojenie; niedawna nadzieja zniknęła bezpowrotnie. – Myślałem, że...

W tej samej chwili od wysokich murów odbiło się natarczywe brzęczenie drona. Sienna zobaczyła, że maszyna wznosi się nad pałacowe mury i rusza w ich kierunku.

Langdon także musiał ją dostrzec, ponieważ chwycił kobietę za ramię i pociągnął ku jaskini. Zniknęli natychmiast w mroku, chowając się za zwisającymi ze sklepienia stalaktytami.

Jakie odpowiednie zakończenie, pomyślała. Weszliśmy we wrota piekieł.

Rozdział 28

W tym samym czasie niecałe pół kilometra dalej na wschód Vayentha parkowała motocykl. Wjechała na stare miasto od strony ponte alle Grazie, aby zatoczyć potem spory łuk i dotrzeć do najsłynniejszej w świecie kładki łączącej pałac Pitti z resztą starówki. Po przypięciu kasku do motocykla przeszła na drugi brzeg rzeki, gdzie dołączyła do nielicznych o tej porze turystów.

Wiejąca od wody lekka chłodna marcowa bryza poruszyła nastroszone włosy agentki, co uzmysłowiło jej, że fryzura jest znakiem charakterystycznym, po którym Langdon rozpozna ją z daleka. Przystanęła więc przy jednym z rozlicznych straganów na moście, nabyła czapeczkę baseballową z napisem amo firenze i natychmiast nałożyła ją głęboko na głowę.

Poprawiła skórzany kombinezon, aby lepiej ukryć wybrzuszenie tam, gdzie ukryła pistolet, po czym zajęła miejsce w środkowej części kładki, opierając się plecami o jeden z filarów i niby od niechcenia spoglądając na widoczny w oddali pałac Pitti. Z tego punktu mogła obserwować wszystkich przechodniów zmierzających w kierunku serca Florencji.

Langdon idzie pieszo, pomyślała. Jeśli zdoła ominąć Bramę Rzymską, z pewnością wybierze ten most, aby dotrzeć do celu.

Od zachodu, gdzie znajdował się pałac, dobiegało stłumione odległością zawodzenie policyjnych syren. Zastanawiała się, czy to dobry czy raczej zły znak.

Nadal go poszukują? A może właśnie dał się złapać?

Gdy wytężyła słuch, próbując rozeznać się w sytuacji, nagle do jej uszu dotarł zupełnie nowy dźwięk – głośne brzęczenie dobiegające gdzieś z wysoka. Spojrzała w niebo i od razu zidentyfikowała źródło hałasu – niewielki zdalnie sterowany helikopter, który unosił się nad dachami pałacu, by po chwili zanurkować między korony drzew i odlecieć w kierunku północno-wschodniego narożnika Ogrodów Boboli.

Dron zwiadowczy!

Ta myśl natchnęła ją nadzieją. Jego obecność na niebie świadczyła o tym, że Brüder jeszcze nie dopadł Langdona.

Dron zbliżał się szybko. Wyglądało na to, że jego zadaniem jest sprawdzenie północno-wschodniej części ogrodów, znajdującej się najbliżej Ponte Vecchio i obecnej pozycji Vayenthy. To dodatkowo ją pokrzepiło.

Jeśli Langdon znów wykiwa Brüdera, na pewno uda się w tym kierunku.

Gdy to pomyślała, dron zapikował niemal pionowo, znikając za wysokim kamiennym murem. Wciąż jednak słyszała monotonne brzęczenie silnika, co znaczyło, że maszyna zatrzymała się za szpalerem drzew, ponieważ trafiła na coś interesującego.

Rozdział 29

„Szukajcie, a znajdziecie” – ta myśl krążyła po głowie Roberta, gdy krył się w jaskini tuż obok Sienny.

Szukaliśmy wyjścia, a znaleźliśmy ślepy zaułek.

Bezkształtna fontanna znajdująca się w samym środku jaskini zapewniała im dobrą osłonę, jednakże Langdon, wyglądając zza niej, miał przeczucie, że ich ostatnia reakcja była spóźniona.

Dron opadł właśnie na otoczony ścianami parking, zatrzymał się na wprost wylotu groty i tam został, wisząc trzy metry nad ziemią i bucząc głośno niczym owad, który czai się na ofiarę.

Robert cofnął się, by przekazać tę niewesołą wiadomość Siennie.

– Chyba nas odkryli.

Odbijające się od nierównych ścian jaskini brzęczenie drona wypełniało mrok ogłuszającym łoskotem. Langdon nie potrafił uwierzyć, że stali się zakładnikami miniaturowego helikoptera, lecz zdawał sobie też sprawę z tego, że nie mieli szans na umknięcie przed zamontowaną pod śmigłowcem kamerą.

I co teraz? Mamy tak po prostu czekać?

Jego plan zakładający przedostanie się za szare drzwi byłby bardzo rozsądny, gdyby nie to, że dało się je otworzyć tylko od wewnątrz.

Gdy oczy Roberta przywykły do mroku panującego w grocie, zaczął się rozglądać w poszukiwaniu innego wyjścia. Nie zauważył jednak niczego obiecującego. Wnętrze jaskini ozdobiono rzeźbami zwierząt i ludzi, wyglądającymi, jakby znajdowały się w rozmaitych stadiach stapiania ze ścianami. Przygnębiony tym widokiem Langdon uniósł spojrzenie ku sklepieniu i zwieszającym się z niego złowieszczo stalaktytom.

Świetne miejsce na śmierć.

Grota Buontalentiego – nazwana tak po architekcie, który ją stworzył – była zapewne jednym z najdziwniej wyglądających zabytków, jakie można znaleźć we Florencji. W zamierzeniu miała pełnić rolę wesołego miasteczka dla najmłodszych gości pałacu Pitti. Jej trzy połączone ze sobą komory wypełniono więc mieszaniną zdobiących wszystkie ściany fantasmagoryjnych motywów, które wyglądały, jakby stapiały się bądź wyłaniały ze skał i konkrecji. Za czasów Medyceuszy cechą charakterystyczną tego miejsca była ściekająca spod sklepienia woda, która miała z jednej strony chłodzić powietrze podczas upalnych toskańskich lat, a po drugie tworzyć wrażenie, że są to naturalne groty.

Langdon i Sienna przycupnęli na środku pierwszej, największej komory, kryjąc się za stojącą na środku bezkształtną fontanną. Otaczały ich bajecznie kolorowe postacie pastuszków, wieśniaków, muzyków, zwierząt, a nawet kopie czterech jeńców Michała Anioła, którzy zdawali się walczyć z pochłaniającą ich dziwaczną skałą. Z wysokiego sklepienia przez wole oko sączył się blask

porannego słońca. Dawniej w okrągłym otworze w dachu mieściło się kuliste akwarium, w którym pływał wielki jaskrawoczerwony karp.

Langdon zastanawiał się, jak renesansowi bywalcy tego miejsca zareagowaliby na widok wiszącego nad wejściem helikoptera, będącego niespełnionym marzeniem ich krajana, Leonarda da Vinci.

Nagle zapanowała kompletna cisza. Brzęczenie silnika nie ucichło w oddali, tylko raptownie zamilkło.

Zdziwiony Langdon wyjrzał ponownie zza fontanny i zobaczył, że miniaturowy śmigłowiec wylądował. Teraz, gdy stał bezczynnie pośrodku wysypanego żwirem placyku, nie wyglądał już tak złowieszczo, zwłaszcza że obiektyw jego kamery skierowany był w innym kierunku – prosto na szare drzwi.

Uczucie ulgi było krótkie. Moment później Robert zauważył trzech ciężko uzbrojonych żołnierzy. Znajdowali się w odległości około stu metrów, w pobliżu posągu karła dosiadającego żółwia. Zbiegali właśnie po schodach, kierując się prosto na grotę.

Mieli na sobie znajomo wyglądające czarne mundury, ozdobione okrągłymi zielonymi naszywkami na lewym ramieniu. Przewodzący im muskularny mężczyzna spoglądał pustym wzrokiem, przez co przypominał Langdonowi widzianą w wizjach ptasią maskę.

Jestem śmierć...

W polu widzenia nie było tajemniczej furgonetki ani siedzącej w niej siwowłosej kobiety.

Jestem życie...

Gdy żołnierze dotarli do placyku, jeden z nich zatrzymał się u podnóża schodów i odwrócił twarzą do stopni, aby zablokować zejście na ten poziom ogrodów. Dwaj pozostali wciąż zmierzali w stronę groty.

Langdon i Sienna znów rzucili się do ucieczki, choć byli świadomi, że mogą co najwyżej opóźnić nieuniknione. Przeczołgali się na czworakach do drugiej komory, o wiele mniejszej, ciemniejszej i głębszej. W niej także stało na samym środku dominujące dzieło sztuki – w tym wypadku posąg splecionych w uścisku kochanków – za którym uciekinierzy znaleźli nową kryjówkę.

Spowity mrokiem Robert wyjrzał ostrożnie zza cokołu, aby obserwować poczynania zbliżających się oprawców. Gdy żołnierze dotarli do drona, jeden z nich przyklęknął, podniósł maszynę i zaczął majstrować przy kamerze.

Czy to urządzenie nas zauważyło? zastanawiał się Langdon, czując ogarniający go strach. Odpowiedź mogła być tylko jedna.

Drugi żołnierz z tej dwójki, muskularny o pustym spojrzeniu, nadal zmierzał prosto na kryjówkę uciekinierów. Dotarł już do wylotu jaskini.

Zaraz do niej wejdzie...

Langdon już miał się cofnąć i przekazać Siennie, że to koniec, gdy nagle wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Żołnierz zamiast wkroczyć do jaskini, skręcił w lewo i zniknął z pola widzenia.

Co on wyprawia? Czyżby nie wiedział, że tu jesteśmy?

Kilka chwil później serce Roberta załomotało jak szalone – usłyszał głośne stukanie w drewno.

To te szare drzwi, pomyślał. On musi wiedzieć, dokąd prowadzą.

Ernesto Russo, strażnik pilnujący pałacu Pitti, zawsze marzył o zawodowej grze w piłkę nożną, jednakże ostatnio zaczęło do niego docierać, że mając dwadzieścia dziewięć lat i do tego sporą nadwagę, musi raz na zawsze pożegnać się z dziecięcym marzeniem. Minione trzy sezony przepracował w służbie ochrony pałacu, siedząc w klitce wielkości szafy i nudząc się niesamowicie.

Przywykł już do tego, że ciekawscy turyści pukają w niewielkie szare drzwi prowadzące do jego biura. Zazwyczaj nie reagował. Tego dnia jednak pukanie było wyjątkowo natarczywe.

Rozwścieczony oderwał wzrok od przenośnego telewizorka, na którym leciała powtórka meczu Fiorentiny z Juventusem. Natręt dobijał się coraz głośniej. W końcu Ernesto, przeklinając pod nosem wszystkich turystów, opuścił biuro i ruszył wąskim korytarzykiem w kierunku źródła hałasu. W połowie drogi zatrzymał się przy masywnej kracie, która musiała pozostawać zamknięta poza kilkoma ściśle określonymi godzinami.

Wprowadził właściwą kombinację do mechanizmu szyfrowego kłódki, a potem odciągnął kratę na bok. Minąwszy przeszkodę, zastosował się do przepisów i zamknął ją ponownie. Wreszcie zbliżył się do szarych drewnianych drzwi.

– *È chiuso!* – wrzasnął, mając nadzieję, że człowiek po drugiej stronie go usłyszy. – *Non si può entrare!*

Pukanie nie ustawało.

Ernesto zazgrzytał zębami.

To pewnie nowojorczycy, ocenił natrętów. Oni wiecznie chcą się wszędzie dostać. Ich drużyna Red Bulls znaczyła cokolwiek

w światowych rozgrywkach tylko dlatego, że sprowadzali sobie z Europy najlepszych trenerów.

Łomot nie ucichł, zatem Ernesto niechętnie uchylił drzwi na kilka centymetrów.

– *È chiuso!...* – Łomot ucichł, a Ernesto stanął twarzą w twarz z żołnierzem, którego spojrzenie było tak lodowate, że zmusiło strażnika do cofnięcia się o krok. Przybysz pokazał mu oficjalnie wyglądającą legitymację ze skrótem, którego Włoch nie rozpoznał.

– *Cosa succede?!* – zapytał czując rosnący niepokój.

Co się dzieje?

Za pierwszym żołnierzem klęczał drugi, gmerający przy czymś, co wyglądało na miniaturowy helikopter. Jeszcze dalej kolejny mundurowy pilnował schodów. Prócz tego Ernesto słyszał syreny radiowozów.

– Mówisz po angielsku? – Żołnierz na pewno nie miał nowojorskiego akcentu. Chyba pochodził z Europy.

Włoch skinął głową.

– Tak, ale słabo.

– Czy ktoś przechodził przez te drzwi dzisiaj rano?

– *No, signore. Nessuno*.

– Świetnie. Masz ich nie otwierać. Nikt nie może przez nie wejść ani wyjść. Zrozumiano?

Ernesto wzruszył ramionami. Na tym w końcu polegała jego praca.

– *Sì,* zrozumiano. *Non deve entrare né uscire nessuno*.

– Czy to jedyne wejście?

Strażnik zastanawiał się nad odpowiedzią. Technicznie biorąc, te drzwi służyły ostatnimi czasy wyłącznie za wyjście i właśnie

z tego powodu pozbawiono je klamki od zewnątrz, niemniej Ernesto rozumiał, o co chodzi pytającemu.

– Tak, to jedyne drzwi do *l'accesso*. Nie ma inna droga. – Pierwotne wejście do pałacu zostało zamurowane wiele lat temu.

– Istnieją jakieś inne ukryte wyjścia z Ogrodów Boboli? Oprócz głównych wrót?

– *No*, *signore*. Wszędzie wysokie mury. To jedyne tajne wyjście.

Żołnierz skinął głową.

– Dziękujemy za pomoc. – Nakazał gestem ponowne zamknięcie i zaryglowanie drzwi.

Zaskoczony strażnik posłuchał rozkazu. Potem wszedł ponownie do korytarzyka, otworzył i zamknął za sobą kratę i wrócił do oglądania meczu.

Rozdział 30

Langdon i Sienna dostrzegli okazję.

Korzystając z tego, że muskularny żołnierz łomocze do szarych drzwi, wycofali się ukradkiem i ukryli w trzeciej, ostatniej komorze. Jej niewielką przestrzeń zdobiły prymitywne mozaiki i statuetki satyrów. W samym środku stał naturalnej wielkości posąg kąpiącej się Wenus, która – jakże odpowiednio do sytuacji – zerkała nerwowo przez ramię.

Uciekinierzy przycupnęli za wąskim cokołem. Mogli teraz jedynie czekać, patrząc na kulisty stalagmit pnący się po najdalszej ścianie groty.

– Wszystkie wyjścia zabezpieczone! – zawołał któryś z żołnierzy na zewnątrz. Miał dziwny akcent, którego Langdon nie potrafił umiejscowić. – Wyślijcie drona w powietrze. Ja sprawdzę tę jaskinię.

Robert wyczuł, że Sienna tężeje.

Kilka sekund później oboje usłyszeli stąpanie ciężkich buciorów. Żołnierz minął szybkim krokiem pierwszą komorę, echo jego kroków stało się głośniejsze, gdy wszedł do drugiej. Kierował się prosto na nich.

Langdon i Sienna przytulili się do siebie.

– Hej! – zawołał ktoś z większej odległości. – Mamy ich!

Odgłosy kroków umilkły natychmiast.

Robert usłyszał chrzęst żwiru pod nogami człowieka biegnącego w kierunku groty.

– Mamy potwierdzenie identyfikacji – wysapał nowo przybyły. – Właśnie przesłuchaliśmy parę turystów. Kilka minut temu kobieta i mężczyzna pytali ich o drogę do pałacowej galerii kostiumów, która znajduje się na krańcu zachodniego skrzydła pałacu.

Langdon zerknął w kierunku Sienny; mógłby przysiąc, że kobieta się uśmiecha – blado ale zawsze.

Żołnierz, odetchnąwszy, kontynuował:

– Zachodnie wyjścia zabezpieczyliśmy w pierwszej kolejności, istnieje więc naprawdę wysokie prawdopodobieństwo, że uwięziliśmy ich na terenie ogrodów.

– Sprawdźcie to – odparł stojący najbliżej Roberta żołnierz. – I powiadomcie mnie, jeśli ich dopadniecie.

Znów rozległ się chrzęst rozdeptywanego żwiru, bzyczenie odlatującego drona, a potem na szczęście zapanowała błoga cisza.

Langdon zmieniał właśnie pozycję, by znów wyjrzeć zza cokołu, gdy poczuł na ramieniu powstrzymującą go dłoń Sienny. Lekarka przyłożyła palec do ust, wskazując na niewyraźny człekokształtny cień padający na tylną ścianę. Dowódca żołnierzy wciąż stał u wylotu groty.

Na co czeka?

– Tu Brüder – usłyszeli nagle. – Przyskrzyniliśmy ich. Wkrótce powinienem mieć potwierdzenie likwidacji celów.

Facet rozmawiał przez komórkę, ale jego głos był tak wyraźny, jakby stał tuż obok nich. Jaskinia działała jak mikrofon paraboliczny: przechwytywała wszystkie dźwięki i wzmacniała je w ostatniej komorze.

– Jest coś jeszcze – dodał Brüder. – Właśnie otrzymałem raport od techników dochodzeniowych. Mieszkanie tej kobiety wygląda na podnajęte. Miała tam bardzo mało mebli, jakby nie zamierzała zagrzać długo miejsca. Znaleźliśmy w nim pojemnik, ale projektora już nie było. Powtarzam, projektora już nie było. Zakładamy, że Langdon nadal ma go przy sobie.

Robert wzdrygnął się, słysząc, jak żołnierz wymawia jego nazwisko.

Znów usłyszeli odgłosy kroków, tym razem znacznie głośniejsze. Langdon zrozumiał, że Brüder wchodzi ponownie do jaskini. Ale że nie maszerował już tak zdecydowanie jak poprzednio, można było mieć nadzieję, że tylko spaceruje po grocie, rozmawiając przez telefon.

– Zgadza się – powiedział. – Technicy potwierdzili, że na chwilę przed naszym wkroczeniem ktoś przeprowadził z tego mieszkania jedną rozmowę telefoniczną.

Langdon pamiętał rozmowę z konsulatem i szybkie pojawienie się zabójczyni z irokezem, która zniknęła chwilę później, ustępując miejsca zespołowi znakomicie wyszkolonych żołnierzy.

Nie możemy uciekać przed nimi w nieskończoność...

Sądząc po odgłosach kroków, Brüder znajdował się teraz ledwie kilka metrów od ich kryjówki i wciąż się zbliżał. Wszedł już do drugiej komory. Jeśli dotrze do jej końca, z pewnością dostrzeże ich za wąskim cokołem posągu Wenus.

– Sienna Brooks – powiedział nagle głośno i wyraźnie.

Sienna zamarła, spoglądając w górę, jakby spodziewała się, że żołnierz stoi nad nią. Nikogo tam jednak nie było.

– Chłopcy sprawdzają teraz jej laptop – kontynuował Brüder, stojąc nie dalej niż trzy metry od nich. – Nie mam jeszcze pełnego raportu, ale to na pewno ten sam komputer, z którego Langdon wszedł na swoje konto e-mailowe.

Słysząc te słowa, Sienna spojrzała z niedowierzaniem na Amerykanina. W jej oczach widać było nie tylko szok, ale i... poczucie zdrady.

Robert był równie zdumiony jak ona.

To tak nas namierzyli!?

Nie zdawał sobie sprawy, że mogą to zrobić.

Ja tylko szukałem informacji, nic więcej!...

Zanim zdążył wyrazić jakoś przeprosiny, lekarka odwróciła głowę. Znów miała obojętną minę.

– Zgadza się – dodał żołnierz, docierając do trzeciej komory. Był już niecałe dwa metry od Langdona i jego towarzyszki. Jeszcze moment i z pewnością ich zobaczy.

– Otóż to – oświadczył, robiąc kolejny krok, i nagle zamilkł. – Chwileczkę... – Langdon zamarł przekonany, że zostali dostrzeżeni – chyba tracę zasięg – dokończył Brüder, cofając się o kilka kroków. – Teraz lepiej, proszę mówić dalej... – Słuchał przez chwilę, a potem odpowiedział: – Tak, zgadzam się, ale przynajmniej wiemy, z kim mamy do czynienia.

Po tych słowach zawrócił i wyszedł z groty. Później usłyszeli cichnący chrzęst żwiru i w końcu zapanowała cisza.

Langdon rozluźnił się nieco, a potem spojrzał na Siennę. Jej twarz była czerwona ze strachu i gniewu.

– Użyłeś mojego laptopa? – zapytała. – Żeby sprawdzić e-maile?

– Wybacz. Miałem nadzieję, że to zrozumiesz. Musiałem sprawdzić...

– Przez to nas namierzyli! Poznali moje nazwisko!

– Przepraszam, Sienna. Nie zdawałem sobie sprawy z... – Langdona dręczyło poczucie winy.

Kobieta odwróciła się. Wbiła wzrok w bulwiasty stalagmit widoczny pod tylną ścianą groty. Żadne z nich nie odezwało się przez kolejną minutę. Robert zastanawiał się, czy jego towarzyszka pamięta o papierach zostawionych na biurku i ulotce *Snu nocy letniej* z wycinkami opisującymi jej wyjątkowe dzieciństwo.

Ciekawe, czy domyśla się, że je widziałem?

Jeśli nawet tak było, nie zapytała o nic, a Robert, będąc w wystarczająco kłopotliwej sytuacji, też wolał o tym nie wspominać.

– Znają moje nazwisko – powtórzyła Sienna zdławionym głosem, tak że Langdon z trudem ją zrozumiał.

Kobieta zrobiła parę głębokich wdechów, jakby próbowała oswoić się z faktami. Robert wyczuł, że utwierdza się przy tym w jakimś postanowieniu.

Wtem bez ostrzeżenia zerwała się na równe nogi.

– Musimy iść – powiedziała. – Już niedługo zrozumieją, że nie ma nas w galerii kostiumów.

Langdon stanął obok niej.

– Ale... dokąd pójdziemy?

– Do Watykanu?

– Słucham?

– W końcu dotarło do mnie, o czym mówiłeś... co Watykan ma wspólnego z Ogrodami Boboli. – Wskazała małe szare drzwi. – Tam jest wejście, prawda?

Robert przytaknął.

– To raczej wyjście, ale uznałem, że warto spróbować. Niestety nie uda nam się z niego skorzystać. – Zrozumiał wystarczająco dużo z rozmowy żołnierza ze strażnikiem, by wiedzieć, że tędy się nie wydostaną.

– Wiesz, co by było, gdyby nam się udało pokonać te drzwi? – W głosie Sienny pojawił się cień dawnego łobuzerskiego tonu. Uśmiechnęła się nawet. – To by znaczyło, że już po raz drugi pomaga nam ten sam mistrz renesansu.

Langdon zachichotał. Zaledwie parę minut wcześniej sam o tym pomyślał.

– Vasari. Vasari.

Sienna wyszczerzyła zęby jeszcze bardziej, odniósł więc wrażenie, że mu wybaczyła, przynajmniej chwilowo.

– Myślę, że to znak z góry – dodała wciąż na wpół rozbawiona. – Musimy przejść przez te drzwi.

– Dobrze... I co, miniemy tego strażnika jakby nigdy nic?

Sienna wyprostowała dłonie, strzelając kostkami, a potem natychmiast ruszyła przed siebie.

– Nie. Utnę sobie z nim pogawędkę. – Gdy zerknęła w stronę Amerykanina, znów miała żar w oczach. – Zaufaj mi, profesorze, potrafię być bardzo przekonująca, gdy sytuacja tego wymaga.

Ktoś znowu walił w szare drzwi.

Mocno i zdecydowanie.

Strażnik Ernesto Russo zamruczał gniewnie. Wszystko wskazywało na to, że ten dziwny żołnierz o lodowatym spojrzeniu wrócił, ale nie mógł wybrać gorszego momentu. Fiorentina grała w doliczonym czasie, w dodatku po stracie zawodnika, który otrzymał czerwoną kartkę.

Pukanie nie ustawało.

Ernesto nie był głupcem. Zdawał sobie sprawę z zamieszania, które zapanowało w ogrodach tego ranka. Słyszał wycie syren, widział żołnierzy, lecz ignorował wszystko, nie należąc do osób, które by się angażowały w sprawy nie dotyczące ich bezpośrednio.

Pazzo è colui che bada ai fatti altrui.

Tamten żołnierz wyglądał mimo wszystko na ważniaka, zatem ignorowanie go nie było najlepszym pomysłem. Znalezienie pracy we Włoszech, zwłaszcza ostatnimi czasy, bywało trudne. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na ekran, Ernesto ruszył w kierunku korytarzyka i drzwi, do których ktoś się nieprzerwanie dobijał.

Nadal nie mógł uwierzyć, że ktoś płaci mu za siedzenie przez cały dzień w tej klitce i oglądanie telewizji. Może ze dwa razy na zmianę widział wycieczkę VIP-ów docierających tutaj aż z Galerii Uffizi. Zadaniem Ernesto było powitanie ich, otwarcie kraty i wypuszczenie za małe szare drzwi, aby mogli zakończyć wycieczkę w Ogrodach Boboli.

Teraz, słysząc coraz bardziej natarczywy łomot, otworzył kratę, po czym natychmiast zamknął ją za sobą.

– *Sì?* – próbował przekrzyczeć huk, idąc w stronę drzwi.

Odpowiedzi nie było, tylko dalsze stukanie.

Insomma!

W końcu zdołał otworzyć zamek i otworzyć skrzydło, spodziewając się widoku tego samego martwego spojrzenia zimnych oczu.

Ujrzał jednak o wiele atrakcyjniejszą twarz.

– *Ciao* – zagaiła piękna blondynka, uśmiechając się słodko. W wyciągniętej ręce trzymała złożoną kartkę papieru. Strażnik sięgnął po nią instynktownie. Gdy ją otworzył, zrozumiał, że trzyma zwykły śmieć podniesiony z ziemi. Tymczasem kobieta chwyciła jego rękę smukłymi dłońmi, po czym wbiła kciuk w okolicach kości nadgarstka.

Ernesto poczuł ostry ból, jakby ktoś wraził mu tam ostrze noża. Za tym ukłuciem przyszła fala odrętwienia. Kobieta zrobiła krok do przodu, wzmacniając nacisk, i ból powrócił jeszcze silniejszy. Strażnik zatoczył się do tyłu, próbując uwolnić rękę, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zdrętwiały padł na kolana.

Reszta wydarzyła się w okamgnieniu.

Pojawił się wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze, wszedł do środka i szybko zatrzasnął za sobą szare drzwi. Ernesto sięgnął po krótkofalówkę, lecz w tym samym momencie poczuł na karku smukłą dłoń. Wystarczył jeden nacisk, by wszystkie mięśnie ponownie mu zwiotczały. Jedyne, co mógł zrobić, to walczyć o złapanie oddechu. Kobieta podniosła krótkofalówkę, a drągal podszedł do niej, wyglądając na równie zaskoczonego tym napadem jak Ernesto.

– *Dim mak* – wyjaśniła spokojnie swojemu partnerowi. – Chińska metoda nacisku na nerwy. Nie bez powodu praktykuje się ją od trzech tysiącleci.

Mężczyzna przyglądał się jej z podziwem.

– *Non vogliamo farti del male* – wyszeptała strażnikowi na ucho, łagodząc nacisk na kark. Nie chcemy cię skrzywdzić...

Gdy zaczęła cofać rękę, Ernesto szarpnął się, próbując odskoczyć. Zareagowała odpowiednio szybko, uścisk został wzmocniony i jego mięśnie znów zwiotczały. Jęknął z bólu, mając problemy z oddychaniem.

– *Dobbiamo passare* – powiedziała. Musimy przejść. Wskazała stalową kratę, którą strażnik na całe szczęście dla siebie ponownie zamknął. – *Dov'è la chiave?*

– *Non ce l'ho* – zdołał wydukać. Nie mam klucza.

Drągal minął go, podszedł do kraty i obejrzał uważnie mechanizm.

– To zamek elektroniczny – zawołał do kobiety. Mówił z amerykańskim akcentem.

Sienna uklęknęła obok strażnika, jej piwne oczy były zimne jak lód.

– *Qual è la combinazione?* – zapytała.

– *Non posso!* – odparł. – Nie mogę...

Coś wydarzyło się w górnej części jego kręgosłupa i Ernesto poczuł, że całe jego ciało wiotczeje. Moment później stracił przytomność.

Gdy doszedł do siebie, miał nieodparte wrażenie, że w ciągu ostatnich minut cucono go kilkakrotnie. Przypominał sobie rozmowy... kolejne fale wszechogarniającego bólu... czyżby go znarkotyzowali? Wzrok miał wciąż zamglony.

Odzyskawszy ostrość widzenia, zauważył coś dziwnego – jego buty leżały na posadzce, ale nie było w nich sznurowadeł. Dopiero

w tej chwili dotarło do niego, że z trudem może się poruszyć. Leżał na boku, z nadgarstkami związanymi za plecami. Nogi także mu skrępowano, zapewne jego własnymi sznurówkami. Chciał krzyczeć, lecz żaden dźwięk nie wydobył się z jego krtani. W usta włożono mu jedną ze skarpetek. Jednakże naprawdę przestraszył się moment później, gdy popatrzył w ekran swojego telewizora, na którym leciał właśnie kolejny mecz.

Jestem w swoim biurze... Za kratą?!

Jego uszu dolatywał tupot oddalających się kroków. Ktoś biegł korytarzem... Po jakimś czasie znów zapadła kompletna cisza.

Non è possibile!

Blondynka zdołała go nakłonić do zrobienia czegoś, czego nie wolno mu było uczynić – zdradził kombinację zamka strzegącego wejścia do słynnego Korytarza Vasariego.

Rozdział 31

Doktor Elizabeth Sinskey miała wrażenie, że kolejne zawroty głowy i towarzyszące im mdłości następują coraz szybciej. Siedziała skulona z tyłu furgonetki zaparkowanej przed pałacem Pitti. Pilnujący jej żołnierz spoglądał na nią z coraz większym niepokojem.

Chwilę wcześniej jego krótkofalówka ożyła na moment – ktoś mówił coś o galerii kostiumów – i to wyrwało Elizabeth z odrętwienia, w którym śniła o zielonookim potworze.

Znów siedziała w mrocznej siedzibie Rady Spraw Zagranicznych mieszczącej się w Nowym Jorku, słuchając nawiedzonego ględzenia osobnika, który ją tam wezwał. Ukryty w cieniu dryblas przechadzał się przed nią tam i z powrotem – jego sylwetka odcinała się czernią na tle wyświetlanego na ekranie inspirowanego *Piekłem* Dantego obrazu wijących się w agonii nagich ciał.

– Tę wojnę trzeba stoczyć – perorował – albo taką zgotujemy sobie przyszłość. Nawet matematyka to potwierdza. Ludzkość trwa teraz w czyśćcu zwlekania, braku decyzji i zachłanności

jednostek... ale dzwony piekieł już biją tuż pod naszymi stopami, a demony tylko czekają, by pożreć nas wszystkich.

Elizabeth wciąż nie mogła otrząsnąć się z wizji, którą przedstawił jej przed momentem. Poirytowana zerwała się w końcu na równe nogi.

– Pańskie sugestie są...

– ...jedyną opcją, jaka nam została – przerwał jej chudzielec.

– Właściwie – odparła – zamierzałam powiedzieć „są zbrodnicze”!

Zbył te słowa wzruszeniem ramion.

– Droga do raju wiedzie przez dno piekieł. Tako rzecze Dante.

– Jest pan szalony!

– Szalony? – Wydawał się urażony tym określeniem. – Ja? Nie sądzę. Szalona jest Światowa Organizacja Zdrowia, która spogląda w otchłań i zaprzecza jej istnieniu. Szalony jest struś, który wtyka głowę w piasek, gdy otacza go stado hien. – Zanim Elizabeth zdążyła powiedzieć coś na obronę swojej organizacji, on znów zmienił obraz wyświetlany na ekranie. – A skoro mowa o hienach – dodał – oto ich stado, które właśnie otoczyło ludzkość... i zbliża się do niej niezwykle szybko.

Elizabeth zdziwiła się, widząc znajomy wykres. Było to dzieło jej organizacji opublikowane przed rokiem, aby uzmysłowić ludziom, jakie czynniki zdaniem Światowej Organizacji Zdrowia mają największy wpływ na globalne kwestie zdrowotne.

Na liście tej znalazły się między innymi: brak dostępu do czystej wody, globalne ocieplenie, zanikanie warstwy ozonowej, rabunkowa eksploatacja zasobów oceanicznych, ginące bezpowrotnie gatunki zwierząt, zwiększona koncentracja

dwutlenku węgla, masowe wycinanie lasów i podnoszenie się poziomu mórz.

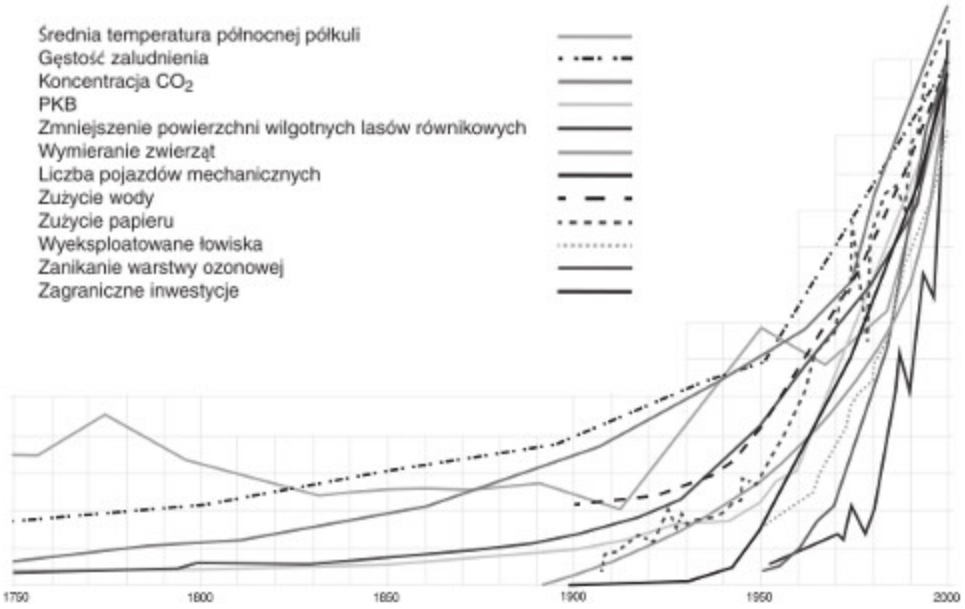

Negatywne wskaźniki rosły wyraźnie w ciągu minionego stulecia, jednakże ostatnimi czasy te niekorzystne procesy przyśpieszyły w niewiarygodnym tempie.

Elizabeth zareagowała tak samo jak zawsze, gdy spoglądała na ten wykres – poczuła totalną niemoc. Była naukowcem i wierzyła w użyteczność statystyk, ten wykres zaś rysował pesymistyczną wizję najbliższej przyszłości.

Od wielu lat cierpiała na depresję z powodu niemożności posiadania własnego dziecka, ilekroć jednak spoglądała na ten wykres, cieszyła się, że nie wydała na świat potomstwa.

Taką przyszłość miałabym mu do zaoferowania...

– W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat – oznajmił chudzielec – popełniliśmy masę grzechów przeciw matce naturze... – Zamilkł na moment. – Boję się o rodzaj ludzki. Gdy Światowa Organizacja Zdrowia opublikowała ten wykres, najwięksi politycy, finansiści

i ekologowie spotkali się, aby ustalić, które ze wspomnianych problemów mogą mieć najgorsze skutki, a którym jesteśmy w stanie zapobiec. I co? Gdy nikt ich nie widział, ukryli twarze w dłoniach i zapłakali. Publicznie zapewniali wszystkich, że będą pracowali nad rozwiązaniami, lecz problem jest złożony.

– Bo to jest złożony problem!

– Gówno prawda! – wybuchnął gospodarz. – Wie pani doskonale, że wykres ilustruje najprostsze powiązania. I mamy tu tylko jedną zmienną. Każda z widocznych linii odnosi się do jednego jedynego czynnika, o którym nikt nie waży się dyskutować. Mowa o globalnym przeludnieniu!

– Szczerze powiedziawszy, uważam, że to nieco bardziej...

– Że to nieco bardziej skomplikowane? A właśnie że nie! Nie ma niczego prostszego. Jeśli chce pani więcej czystej wody na głowę, trzeba zmniejszyć liczbę ludzi zamieszkujących Ziemię. Jeśli chce pani mniej zanieczyszczeń spalinami, należy ograniczyć liczbę kierowców. Jeśli chce pani, żeby ryby na powrót rozmnożyły się w oceanach, trzeba zmniejszyć liczbę jedzących je osób! – Gapił się na nią z góry, przemawiając coraz bardziej zdecydowanym tonem. – Proszę otworzyć oczy! Stoimy w obliczu zagłady rodzaju ludzkiego, a nasi przywódcy siedzą w swoich gabinetach, zastanawiając się, czy pomoże nam wykorzystanie energii słonecznej, recyklingu i silników hybrydowych. Jakim cudem pani, tak doskonale wykształcona kobieta, nie dostrzega tego wszystkiego? Dziura ozonowa, brak wody, skażenie środowiska... to nie zaraza, lecz symptomy. Plagą w tym wypadku jest globalne przeludnienie. Dopóki nie stawimy czoła temu wyzwaniu,

będziemy niczym lekarz, który próbuje powstrzymać rozwój nowotworu, obwiązując go mocno bandażem.

– Twierdzi pan, że ludzkość jest nowotworem? – zapytała Elizabeth.

– Przecież rak to nic innego jak niekontrolowane namnażanie zdrowych wcześniej komórek. Rozumiem, że moje pomysły wydają się pani odrażające, ale zapewniam, że zobaczy pani, iż ich efekty nie będą takie straszne. Natomiast jeżeli nie podejmiemy zdecydowanych działań...

– Zdecydowanych? – prychnęła. – Nie tego słowa powinien pan użyć. „Szalonych" pasowałoby tu o wiele bardziej.

– Doktor Sinskey – odezwał się chudzielec dziwnie spokojnym tonem. – Wezwałem panią tutaj, ponieważ miałem nadzieję, że pani, czyli głos rozsądku w Światowej Organizacji Zdrowia, podejmie współpracę ze mną w celu znalezienia możliwych rozwiązań.

Elizabeth spoglądała na niego z niedowierzaniem.

– Sądził pan, że Światowa Organizacja Zdrowia wesprze proponowane przez pana... rozwiązania?

– Szczerze mówiąc, tak – odparł. – Roi się tam od lekarzy, a ci, gdy trafia do nich pacjent z gangreną, bez wahania odcinają rękę albo nogę, aby ocalić mu życie. Czasami trzeba wybrać mniejsze zło.

– To zupełnie inna sytuacja.

– Nie. Sytuacja jest identyczna. To skala jest inna.

Elizabeth dość się nasłuchała. Wstała zdecydowanie.

– Muszę zdążyć na samolot.

Chudzielec zrobił krok w jej kierunku, blokując wyjście.

– Ostrzegam panią. Z pani pomocą lub bez niej i tak dopnę celu.

– Niech pan uważa – wypaliła w odpowiedzi. – Stanowi pan zagrożenie terrorystyczne i tak zamierzam pana potraktować. – Wyjęła komórkę.

Zaśmiał się tylko.

– Zamierza pani donieść na mnie władzom, ponieważ trochę przy pani poteoretyzowałem? Cóż, będzie pani musiała poczekać, zanim uda się pani z kimkolwiek połączyć. To pomieszczenie jest ekranowane. Nawet pani telefon nie ma tutaj zasięgu.

Nie potrzebuję zasięgu, ty głupcze.

Uniosła komórkę i zanim jej rozmówca się zorientował, co się dzieje, uwieczniła jego twarz na zdjęciu. Lampa błyskowa wydobyła z mroku jego zielone oczy, które w tym momencie wydały jej się jakby znajome.

– Kimkolwiek pan jest – rzuciła – popełnił pan błąd, wzywając mnie tutaj. Poznam pańską tożsamość, zanim dotrę na lotnisko, i umieszczę pana na samym szczycie listy bioterrorystów, nie tylko w WHO, ale też w CDC i ECDC. Będzie pan nas miał na karku przez całą dobę. Jeśli tylko zakupi pan jakieś niebezpieczne substancje, natychmiast się o tym dowiemy. Jeśli zbuduje pan laboratorium, także nie umknie to naszej uwadze. Nie zdoła się pan przed nami ukryć.

Mężczyzna milczał przez dłuższą chwilę, jakby się zastanawiał, czy nie wyrwać jej telefonu z ręki. W końcu jednak rozluźnił się i odsunął od drzwi z dziwnym uśmiechem na twarzy.

– Wygląda na to, że zaczyna się nasz taniec.

Rozdział 32

Il Corridoio Vasariano – Korytarz Vasariego – został zaprojektowany w 1564 roku przez Giorgia Vasariego na polecenie rządzącego podówczas wielkiego księcia Kosmy I z rodu Medyceuszy, aby zapewnić władcy bezpieczne przejście z pałacu Pitti, w którym ów mieszkał, do mieszczącego się za rzeką ośrodka sprawowania władzy, czyli Palazzo Vecchio.

Korytarz Vasariego, przypominający słynne watykańskie Passetto, był kwintesencją sekretnego przejścia. Miał niemal kilometr długości i ciągnął się od wschodniego narożnika Ogrodów Boboli do samego serca Palazzo Vecchio, mijając po drodze Ponte Vecchio i Galerię Uffizi.

Po dziś dzień służył jako bezpieczne schronienie, choć już nie dla arystokratów z rodu Medyceuszy, lecz dla ich dzieł sztuki. Jego niekończące się ściany zapełnione były obrazami z zasobów wspomnianej galerii.

Langdon zwiedził to miejsce kilka lat wcześniej, gdy przebywał we Florencji z prywatną wizytą. Przystawał wtedy co chwila, by podziwiać kolejne eksponaty – nie wyłączając największej na świecie kolekcji autoportretów mistrzów pędzla. Zatrzymywał się

także kilkakrotnie w punktach widokowych, z których turyści mogli sprawdzić, jak daleko już dotarli.

Dzisiaj jednak Robert i Sienna przebiegali obok bezcennych dzieł, pragnąc znaleźć się jak najdalej od prześladowców. Langdon nieustannie się zastanawiał, ile czasu minie, zanim ktoś odkryje ogłuszonego strażnika. Patrząc w głąb korytarza, czuł też, że z każdym krokiem zbliża się do celu poszukiwań.

...cerca trova... oczy śmierci... odpowiedzi na wszystkie pytania...

Natarczywe brzęczenie drona zwiadowczego zostało daleko za nimi. Im bardziej zagłębiali się w tunel, tym częściej Robert krążył myślami wokół ambitnego przedsięwzięcia architektonicznego, jakim było onegdaj to przejście. Korytarz Vasariego, unoszący się nad ziemią na niemal całej długości, przypominał gigantycznego węża wijącego się między budynkami, od pałacu Pitti, przez rzekę Arno, aż do serca florenckiej starówki. Ciasny tunel o pobielonych ścianach wydawał się nie mieć końca, od czasu do czasu skręcał w lewo bądź w prawo, by ominąć przeszkody, lecz uparcie wiódł na wschód, na drugi brzeg rzeki Arno.

Wtem w głębi korytarza przed nimi rozległy się jakieś głosy. Sienna natychmiast wyhamowała. Langdon także się zatrzymał, kładąc jej dłoń na ramieniu i wskazując głową pobliski punkt widokowy.

Podeszli wspólnie do okna i wyjrzeli na zewnątrz. Znajdowali się teraz nad Ponte Vecchio – średniowiecznym kamiennym mostem, który służył jako piesza przeprawa na starówkę. Pod nimi pierwsi turyści rozkoszowali się widokiem straganów, które zdobiły to miejsce od piętnastego wieku. Dzisiaj okupowali je

głównie złotnicy i jubilerzy, ale nie zawsze tak było. Początkowo na moście znajdował się największy florencki otwarty targ mięsny, lecz w 1593 roku przegnano stąd rzeźników, ponieważ odór przedostawał się do wnętrza Korytarza Vasariego, gdzie ranił delikatny zmysł powonienia wielkiego księcia.

Robert wiedział też, że gdzieś tam w dole znajduje się miejsce, w którym popełniono jedną z najgłośniejszych zbrodni w historii Florencji. W 1216 roku młody szlachcic z rodu Buondelmonte odrzucił zaaranżowane przez ojca małżeństwo, gdyż kochał inną kobietę, i z powodu tej decyzji został okrutnie zamordowany na samym środku mostu.

Jego śmierć przez długi czas nazywano „najkrwawszym zabójstwem we Florencji", ponieważ doprowadziła ona do poróżnienia dwóch zwalczających się potężnych frakcji politycznych – gwelfów i gibelinów. Dante postanowił uwiecznić to wydarzenie na kartach *Boskiej komedii*, ponieważ przez nie został wypędzony z ukochanego miasta. Napisał więc:

O Buondelmonte, czemuż cię widzieli,
Na inne stamtąd spieszącego gody!
Ci, co dziś smutni, byliby weseli...

Po dziś dzień w pobliżu miejsca zbrodni można znaleźć trzy tabliczki – każdą z inną strofą z szesnastej pieśni *Raju* Dantego. Jedna z nich, znajdująca się u wejścia na Ponte Vecchio, głosi złowieszczo:

LECZ BYŁO TRZEBA, BY FLORENCKIE PLEMIĘ

POŚWIĘCIŁO CIĘ W MIRU DNI OSTATNIE
GŁAZOWI, KTÓRY U STÓP MOSTU DRZEMIE.

Langdon przeniósł spojrzenie z mostu na płynące pod nim mroczne wody. Za rzeką, na wschodzie, wznosiły się wieże Palazzo Vecchio.

I chociaż jeszcze nie dotarli nawet do połowy mostu, zdał sobie sprawę, że dawno już minęli punkt bez powrotu.

Dziesięć metrów niżej Vayentha obserwowała mijających ją ludzi, nawet się nie domyślając, że jedyna możliwość odkupienia przemknęła chwilę temu nad jej głową.

Rozdział 33

Facylitator Knowlton siedział samotnie w swoim boksie gdzieś głęboko w trzewiach stojącego na kotwicy jachtu, bezskutecznie próbując się skupić na kolejnym zadaniu. Niepokój nie opuszczał go jednak, tak że w końcu musiał wrócić do dziwnego nagrania. Ostatnią godzinę spędził na żmudnym analizowaniu każdego fragmentu dziewięciominutowego monologu, który balansował pomiędzy geniuszem a szaleństwem.

Knowlton jeszcze raz przewinął nagranie, szukając elementów, które mógł przeoczyć. Minął zatopioną tablicę... pojemnik z żółtobrązową cieczą... Dotarł do momentu, w którym pojawia się tajemnicza postać z ptasim dziobem, a właściwie jej zdeformowany cień, rzucany na ścianę jaskini w czerwonej poświacie.

Wsłuchał się ponownie w zduszony głos, usiłując odnaleźć w wypowiadanych słowach ukryty przekaz. Mniej więcej w połowie przemowy cień na ścianie zrobił się większy, a głos zabrzmiał ze wzmożoną siłą.

Inferno Dantego nie jest fikcją, lecz przepowiednią!
Rozpacz i nędza. Lamenty torturowanych. Tak będzie wyglądać jutro.

Nieposkromiona ludzkość jest niczym plaga, nowotwór... Nasza liczebność będzie się zwiększać z każdym pokoleniem, dopóki nie wyczerpiemy wszystkich zasobów Ziemi, dzięki którym żyliśmy w dostatku, a wtedy znikną łączące nas więzy... ujawnią się drzemiące w nas demony... będziemy walczyć na śmierć i życie, byle tylko wykarmić potomstwo.

Taki będzie dziewiąty krąg dantejskiego piekła.

Taka będzie przyszłość.

Przyszłość, ku której zmierzamy w zastraszającym tempie, gnani twardymi wyliczeniami Malthusa, balansując na krawędzi pierwszego kręgu piekieł... a upadek będzie szybszy, niż się spodziewacie.

Knowlton zatrzymał odtwarzanie. Wyliczenia Malthusa? Moment później znalazł w Internecie informacje o tym wybitnym dziewiętnastowiecznym angielskim matematyku i demografie. Thomas Malthus przepowiadał globalny kryzys wywołany przeludnieniem.

W biografii uczonego – co dodatkowo zaniepokoiło facylitatora – znajdował się wyjątek z jego książki zatytułowanej *Prawo ludności*:

Siła wzrostu ludności jest o tyle większą od siły produkcyjnej ziemi, że przedwczesna śmierć musi w pewnej mierze w jakiś sposób dotknąć rasę ludzką. Występki ludzkie są czynnemi i skutecznemi środkami depopulacji. One jakoby wyprzedzają całą tą wielką armję, niosącą zniszczenie, a często one kończą dzieło. Jeśli nie dopisują choroby, epidemje, zarazy i plagi posuwają się w strasznym pochodzie i sieją zniszczenie. Jeśliby zniszczenie było jeszcze niewystarczające, wówczas wkracza można i nieuchronna klęska głodu. Swym potężnym naciskiem utrzymuje w równowadze ilość ludności z ilością żywności na świecie.

Czując przyśpieszone bicie serca, Knowlton zerknął na zatrzymany na ekranie obraz.

Nieposkromiona ludzkość jest niczym nowotwór.

„Nieposkromiona”.

Nie spodobało mu się brzmienie tego słowa.

Wyciągnął drżący palec, by wznowić nagranie.

Znów usłyszał stłumiony głos.

Nic nie robiąc, sprowadzimy na nasze głowy dantejskie piekło, w którym będziemy trwać... stłoczeni, konający z głodu, nurzający się w grzechu.

Dlatego muszę podjąć zdecydowane działania.

Wielu z was one przerażą, lecz zbawienie musi mieć swoją cenę.

Któregoś dnia świat dostrzeże piękno mojego poświęcenia.

Albowiem to ja jestem waszym zbawieniem.

Ja jestem Cieniem.

I wrotami do ery postczłowieka.

Rozdział 34

Palazzo Vecchio przypomina wielką figurę szachową. Jego masywna czworokątna fasada i kwadratowe blanki strzegą południowo-wschodniego narożnika piazza della Signoria.

Jedyna wieża tego pałacu, wyrastająca z samego środka kanciastej twierdzy i tak wyraźnie widoczna w panoramie miasta, stała się najbardziej rozpoznawalnym symbolem Florencji.

Wzniesiony na potrzeby rządzących budynek wita wstępujących w jego progi gości onieśmielającymi posągami. Muskularny *Neptun* Ammannatiego stoi nagi na grzbietach czterech morskich koni, symbolizując dominację Florencji na morzach. Kopia *Dawida* Michała Anioła – bez wątpienia najdoskonalszego odzwierciedlenia męskiego ciała – zdobi wejście. Towarzyszą mu tam *Herkules* i *Kakus* – dwaj kolejni nadzy mężowie, którzy wraz z satyrami otaczającymi fontannę dają w sumie ponad tuzin nagich penisów wystawionych na widok publiczny.

Langdon zaczynał zazwyczaj od piazza della Signoria, który pomimo nadmiaru fallusów był jednym z jego ulubionych placów Europy. Wizyta nie byłaby jednak kompletna bez wypicia espresso

w Caffè Rivoire i złożenia wizyty lwom Medyceuszy w Loggia dei Lanzi, czyli galerii rzeźb na otwartym powietrzu.

Ale tego dnia Robert i jego towarzyszka zamierzali dostać się do środka Korytarzem Vasariego, jak czynili to przed wiekami tutejsi wielcy książęta – mijając słynną Galerię Uffizi i podążając dalej przejściem wijącym się nad mostami, ulicami, między budynkami i prowadzącym prosto do serca pałacu. Na razie nie słyszeli za plecami tupotu nóg, aczkolwiek Langdon i tak czuł lęk przed opuszczeniem korytarza.

W końcu tu jesteśmy, pomyślał na widok ciężkich drewnianych drzwi. U wejścia do starego pałacu.

Drzwi przed nimi, oprócz doskonale widocznego elektronicznego zamka, zostały także wyposażone w klasyczny mechanizm, dzięki któremu można było je otworzyć od wewnątrz, co pozwalało na szybką ewakuację w razie potrzeby, a jednocześnie zapobiegało wchodzeniu niepowołanych osób, niedysponujących specjalną kartą.

Langdon przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał przez dłuższą chwilę. Po drugiej stronie panowała idealna cisza, położył więc ręce na poprzeczce i nacisnął ją ostrożnie.

Zamek kliknął cicho.

Gdy masywne skrzydło uchyliło się na parę centymetrów, Robert zerknął na zewnątrz. Niewielka wnęka. Pusta. Cicha.

Westchnąwszy z ulgą, przekroczył próg, gestem przywołując Siennę.

Przystanęli w opustoszałej wnęce, aby odsapnąć i dojść do siebie. Przed sobą mieli długi hol biegnący prostopadle. Z głębi korytarza po lewej dobiegały czyjeś głosy, jowialne i spokojne.

Palazzio Vecchio i Kongres Stanów Zjednoczonych były do siebie pod pewnym względem podobne: oba stanowiły zarazem atrakcję turystyczną i siedzibę rządu. Głosy rozlegające się o tak wczesnej porze musiały należeć do pracowników krążących między biurami, w których właśnie rozpoczynał się nowy dzień pracy.

Langdon i Sienna zbliżyli się ostrożnie do załomu wnęki i wyjrzeli na korytarz. Na jego końcu, w sporym atrium, faktycznie stało bądź siedziało ponad dziesięciu urzędników popijających espresso i rozmawiających wesoło przed podjęciem pracy.

– Ten fresk Vasariego... – wyszeptała Sienna – Mówiłeś, że znajduje się w Sali Pięciuset?

Langdon skinął głową, po czym wskazał na pełne ludzi atrium i widoczny za nim portyk prowadzący do kamiennego korytarza.

– Niestety po przeciwnej stronie.

– Jesteś pewien?

Potaknął.

– Nie dostaniemy się tam niezauważeni.

– To zwykli urzędnicy rządowi. Nie zainteresują się nami. Wystarczy, że będziemy się zachowywali jak ktoś, kto tutaj pracuje.

Sienna szybko poprawiła na nim garnitur, prostując przy okazji kołnierzyk koszuli.

– Wyglądasz bardzo szykownie, Robercie. – Uśmiechnęła się do niego, naciągnęła na sobie sweter i wyszła z wnęki.

Langdon pośpieszył za nią. Ruszyli zdecydowanym krokiem w stronę atrium. Gdy zbliżyli się do urzędników, lekarka zagadnęła go, mówiąc coś po włosku – chyba o dotacjach dla rolników – i gestykulując przy tym z pasją. Trzymali się

zewnętrznej ściany, zachowując odpowiedni dystans. Ku zaskoczeniu Roberta żaden z pracowników nie zwrócił na nich większej uwagi.

Po drugiej stronie atrium przyśpieszyli kroku, by jak najszybciej znaleźć się w korytarzu. Langdon przypomniał sobie ulotkę z teatru. Mała Sienna w roli psotnego duszka Puka.

– Niezła z ciebie aktorka – wyszeptał.

– Miałam nią zostać – odpowiedziała mu dziwnym głosem.

Langdon raz jeszcze wyczuł, że w sercu tej kobiety jest znacznie więcej bólu, niż mógłby przypuszczać. Natychmiast ogarnęły go wyrzuty sumienia z powodu tego, że wplątał ją w tę niebezpieczną awanturę. Wiedział jednak, że teraz już nie może zrobić nic poza dokończeniem stojącego przed nimi zadania.

Płyń w głąb tunelu... i módl się, żeby było tam wyjście.

W pobliżu portyku Langdonowi ulżyło, kiedy się przekonał, że jego pamięci nic nie dolega. Na niewielkiej tabliczce opatrzonej strzałką wskazującą pobliski narożnik widniał napis: IL SALONE DEI CINQUECENTO.

Sala Pięciuset, przetłumaczył w myślach Robert, zastanawiając się, jaką odpowiedź tam znajdzie. „Prawdę można ujrzeć wyłącznie oczami śmierci". Co też to znaczy?

– Może być wciąż zamknięte – ostrzegł Siennę. Mimo że Sala Pięciuset stanowiła niemałą atrakcję turystyczną, tego ranka nic nie wskazywało, by ktoś zamierzał wpuścić do niej turystów.

– Słyszysz to? – zapytała Sienna, gwałtownie przystając.

Langdon także wychwycił głośne brzęczenie dobiegające zza rogu.

Błagam, tylko nie kolejny dron.

Langdon wyjrzał ostrożnie zza krawędzi portyku. Trzydzieści metrów dalej znajdowały się zadziwiająco skromne drzwi prowadzące do Sali Pięciuset. Niestety między nimi a Robertem stał woźny pchający przed sobą froterkę.

Strażnik wrót...

Langdon przeniósł spojrzenie na trzy symbole zdobiące plastikową tabliczkę ustawioną tuż przed drzwiami. Znaki były zrozumiałe nawet dla ludzi nie mających pojęcia o ikonografii. Były to często spotykane rysunki: przekreślona kamera, przekreślony plastikowy kubek i dwie wyprostowane postacie: mężczyzny i kobiety.

Robert przejął inicjatywę. Ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku woźnego, przyśpieszając niemal do biegu. Sienna natychmiast poszła w jego ślady.

Froterujący podłogę mężczyzna zamarł zaskoczony widokiem pędzących na niego ludzi.

– *Signori?!* – wyciągnął rękę, by ich zatrzymać.

Langdon uśmiechnął się do niego boleśnie, a raczej skrzywił – wskazując jednocześnie symbol przy drzwiach.

– *Toilette* – wysapał zduszonym głosem. To nie było pytanie.

Woźny wahał się przez chwilę, jakby rozważał, czy może im zabronić skorzystania z ubikacji, ale widząc, że stojący przed nim człowiek przebiera niecierpliwie nogami, skinął w końcu głową.

Gdy dotarli do drzwi, Langdon puścił oko do Sienny.

– Współczucie jest uniwersalnym językiem.

Rozdział 35

Swego czasu Sala Pięciuset była największym pomieszczeniem na świecie. Zbudowano ją w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym czwartym roku jako miejsce spotkań całej Wielkiej Rady – Consiglio Maggiore – liczącej dokładnie pięćset głów, skąd wzięło się jej miano. Jakiś czas później na polecenie Kosmy I odrestaurowano ją i powiększono. Wielki książę, najpotężniejszy człowiek ówczesnej Italii, zadbał o to, by nadzorcą i architektem został wielki Giorgio Vasari.

Ten zaś, wykazując się ogromną biegłością w inżynierii, podniósł znacząco sklepienie, pozwalając, by naturalne światło wpadało do wnętrza ze wszystkich stron przez wielkie nadświetla, dzięki czemu powstało miejsce, w którym można było wystawiać najpiękniejsze dzieła wybitnych rzeźbiarzy i malarzy.

Wzrok Langdona zawsze wędrował najpierw na podłogę. Jej widok od razu uświadamiał zwiedzającym, że trafili w niezwykłe miejsce. Karmazynowe płyty podłogi, podzielone na spore kwadraty liniami czarnego marmuru, nadawały liczącemu nieco ponad tysiąc metrów kwadratowych pomieszczeniu solidnego wyglądu, a zarazem ogromnej głębi i wyważenia.

Langdon przeniósł powoli spojrzenie na drugą stronę sali, gdzie pod ścianą niczym szereg żołnierzy stało sześć dynamicznych rzeźb zwanych *Pracami Herkulesa*. Ominął z rozmysłem tak często oczernianego *Herkulesa i Diomedesa*, których nagie ciała zwierały się w dziwacznych zapasach, nie wyłączając pomysłowego „chwytu za przyrodzenie", na którego widok Robert instynktownie się kulił.

Znacznie przyjemniejszy widok stanowiło zapierające dech w piersi *Zwycięstwo* Michała Anioła, stojące nieco dalej po prawej i dominujące nad centralną niszą południowej ściany. Ten mierzący niecałe trzy metry wysokości posąg miał się znaleźć na grobowcu ultrakonserwatywnego papieża Juliusza II – zwanego Il Papa Terribile – co Roberta nieodmiennie bawiło, zważywszy na nieprzejednane stanowisko Watykanu wobec homoseksualizmu. Rzeźba przedstawiała rzekomo Tommasa dei Cavalieri, mężczyznę, w którym Michał Anioł był zakochany przez większość dorosłego życia i któremu zadedykował ponad trzysta swoich sonetów.

– Już żałuję, że nigdy wcześniej tutaj nie byłam – wyszeptała idąca tuż za nim Sienna. W jej głosie dało się wyczuć nabożny szacunek. – To takie... piękne.

Langdon potaknął, przypominając sobie pierwszą wizytę w tym miejscu – a był to znakomity koncert muzyki klasycznej, na którym wystąpiła światowej sławy pianistka Mariele Keymel. Mimo że salę zaprojektowano na potrzeby politycznych spotkań i audiencji u wielkiego księcia, ostatnimi czasy gościła niemal wyłącznie najbardziej znanych muzyków i wykładowców bądź zamieniała się w wystawną salę bankietową – wiele się tutaj

działo, od wykładów historii sztuki Maurizia Seraciniego po pełną gwiazd galę otwarcia zorganizowaną przez muzeum Gucciego. Langdon zastanawiał się czasem, jak zareagowałby Kosma I, gdyby się dowiedział, że będzie dzielić to zacne prywatne pomieszczenie z prezesami spółek giełdowych i modelkami.

Robert przeniósł spojrzenie na gigantyczne freski zdobiące ściany. Do ich dziwnej historii można zaliczyć nieudane eksperymenty z technikami malarskimi Leonarda da Vinci, których rezultatem było „rozpływające się arcydzieło". Tutaj także toczyli swoisty pojedynek na sztukę możni tamtych czasów: Piero Soderini i Machiavelli, którzy skonfrontowali ze sobą dwóch tytanów renesansu – Michała Anioła i Leonarda – rozkazując im stworzyć dwa freski na przeciwległych ścianach tego samego pomieszczenia.

Dzisiaj jednak Langdona najbardziej interesowała inna osobliwość historyczna tej sali.

Cerca trova.

– Który z nich stworzył Vasari? – zapytała Sienna, przyglądając się freskom.

– Zapytaj raczej, który nie jest jego dziełem – odparł Langdon, wiedząc, że podczas słynnej renowacji Vasari i jego uczniowie przemalowali niemal wszystko w tej sali, od fresków na ścianach po zawartość trzydziestu dziewięciu kasetonów zdobiących słynne „podwieszane" sklepienie. – Ale nam chodzi o ten – dodał Robert, wskazując na ostatnie malowidło po prawej. – Oto *Bitwa pod Marciano*, którą przyszliśmy obejrzeć.

Obraz był naprawdę imponujący – fresk miał prawie siedemnaście metrów długości i był wysoki jak dwupiętrowa

kamienica. Dominowały na nim rdzawe odcienie brązu i zieleni. Była to okrutna panorama sielskiego wzgórza pełnego ścierających się żołnierzy, koni, włóczni i sztandarów.

– Vasari, Vasari... – wyszeptała Sienna. – I gdzieś tutaj ukryty jest jego sekret?

Langdon skinął głową, zerkając jednocześnie na górną część fresku, by zlokalizować zielony sztandar bojowy, na którym Vasari wymalował zagadkowe przesłanie – CERCA TROVA.

– Nie sposób dojrzeć go z dołu bez lornetki – wyjaśnił, wskazując to miejsce palcem – ale w środkowej części, pod tymi dwiema wiejskimi chatami na zboczu wzgórza, znajduje się niewielki sztandar, a...

– Widzę! – zawołała lekarka, wskazując bez pudła właściwe miejce.

Langdon mógł sobie tylko życzyć tak dobrego wzroku.

Gdy podeszli bliżej gigantycznego fresku, Robert zaczął chłonąć go z zachwytem. W końcu tu dotarli. Problem w tym, że nadal nie wiedział, po co miałby przychodzić do Sali Pięciuset. Stał więc przez dłuższą chwilę, milcząc i kontemplując szczegóły arcydzieła Vasariego.

Jeśli zawiodę... wszystkich czeka śmierć.

Coś skrzypnęło za nimi głośno i do sali zajrzał niepewnie woźny z froterką. Sienna pomachała mu przyjaźnie dłonią. Mężczyzna pogapił się na nich jeszcze trochę, a potem zamknął drzwi.

– Nie mamy zbyt wiele czasu, Robercie – ponagliła Langdona. – Myśl. Czy ten fresk przypomina ci o czymś? O czymkolwiek?

Amerykanin raz jeszcze powiódł wzrokiem po panoramie bitwy.

Prawdę można ujrzeć wyłącznie oczami śmierci.

Sądził, że być może znajdzie na malowidle zabitego, którego martwe oczy będą wskazywały kolejną podpowiedź ukrytą na obrazie albo w innej części sali. Niestety, choć widział dziesiątki poległych, żaden z nich niczym się nie wyróżniał, żaden też nie kierował wzroku na szczególne miejsce.

Prawdę można ujrzeć wyłącznie oczami śmierci...?

Próbował sobie wyobrazić linie łączące zwłoki, aby sprawdzić, czy nie dostrzeże czegoś nietypowego, lecz i tym razem niewiele wskórał.

Gdy spróbował sięgnąć głębiej w pamięć, znów poczuł łupanie w głowie i usłyszał szept kobiety powtarzającej nieustannie: „Szukaj, a znajdziesz".

– Co mam znaleźć?! – zapytał na głos.

Zmusił się do przymknięcia oczu, po czym zrobił długi wydech. Poruszył ramionami kilka razy, usiłując uwolnić się od wszystkich myśli i zdać na instynkt.

Ve... sorry.

Vasari.

Cerca trova.

Prawdę można ujrzeć wyłącznie oczami śmierci.

Instynkt podpowiadał mu jednoznacznie, że stoi tam, gdzie powinien. Nie był pewien dlaczego, ale zaczął mieć wrażenie, że tylko chwile dzielą go od znalezienia odpowiedzi na wszystkie pytania.

Agent Brüder przyglądał się tępo czerwonym welwetowym pantalonom i takiej samej tunice, klnąc przy tym pod nosem. Jego zespół przeszukał całą galerię kostiumów, lecz nie znalazł nawet śladu Langdona i Sienny Brooks.

Inwigilacja i Wsparcie Operacyjne, pomyślał gniewnie. Jakim cudem zwykły wykładowca mógł zmylić ludzi z IWO? I gdzie się podział, u licha?

– Wszystkie wyjścia zostały zabezpieczone – upierał się jeden z jego ludzi. – Poszukiwani muszą przebywać wciąż na terenie parku, nie ma innej możliwości.

Choć żołnierz mówił do rzeczy, Brüder podejrzewał, że Langdon i Sienna jednak znaleźli sposób, by się wymknąć.

A niech to szlag!

– Wypuśćcie ponownie drona – rozkazał. – I przekażcie żandarmerii, że rozszerzamy teren poszukiwań poza mury ogrodów.

Gdy jego ludzie odbiegli, wyjął komórkę i wybrał numer przełożonego.

– Tu Brüder – powiedział. – Obawiam się, że mamy poważny problem. A właściwie to nawet kilka.

Rozdział 36

Prawdę można ujrzeć wyłącznie oczami śmierci.

Sienna powtarzała sobie to zdanie, przeszukując każdy milimetr okrutnego fresku batalistycznego w nadziei, że dostrzeże coś wyjątkowego.

Wszędzie widziała oczy śmierci.

Tylko których z nich szukamy?!

W pewnym momencie zaczęła się zastanawiać, czy te oczy śmierci nie odnoszą się do wszystkich ofiar pustoszącej Europę dżumy...

To by tłumaczyło obecność ptasiej maski.

Nie wiedzieć czemu, nagle przypomniała sobie słowa popularnej dziecięcej wyliczanki:

Wianuszek, różowy wianuszek,
złóżmy przy nim kwiatuszek,
apsik, apsik, apsik,
my też padniemy w mig.

Recytowała ten wierszyk jako uczennica angielskiej szkoły, dopóki się nie dowiedziała, że jego treść dotyczy wielkiej zarazy, która dotknęła Londyn w 1665 roku. Słowa „różowy wianuszek" opisywały wygląd różowej wysypki, która tworzyła się wokół późniejszych wybroczyn, wskazując, kto został zarażony. Osoby cierpiące nosiły przy sobie bukiety kwiatów, aby ukryć odór bijący z gnijących ran, a także zabić smród, którym miasto przesiąkało po codziennym paleniu setek zwłok. Reszty nie trzeba było tłumaczyć.

– Na miłość boską – wymamrotał nagle Langdon, obracając się na pięcie, by spojrzeć na przeciwległą ścianę.

– Co się stało?

– Nic. Taki był tytuł wystawianego tu kiedyś eksponatu. *Na miłość boską*.

Sienna przyglądała się Robertowi pośpiesznie przemierzającemu salę, a potem próbującemu otworzyć niewielkie szklane drzwi, które były jednak zamknięte. Przyłożył więc czoło do szyby, osłonił oczy dłońmi i zajrzał do środka.

Miała nadzieję, że Langdon znajdzie to czego szuka, i to szybko, ponieważ woźny znów pojawił się w progu, tym razem popatrując na nich podejrzliwie, zwłaszcza na Langdona, który wyglądał, jakby przygotowywał się do sforsowania szklanych drzwi.

Sienna pomachała woźnemu, pozdrawiając go radośnie, lecz on zmierzył ją tylko chłodnym wzrokiem, a potem znowu zniknął w korytarzu.

Studiolo Franciszka I.

Za szklanymi drzwiami, na wprost ukrytych słów z fresku, znajdowała się niewielka, pozbawiona okien komnata projektu

Vasariego. Służąca za tajny gabinet Franciszka I została zbudowana na planie prostokąta z łukowatym sklepieniem, aby osoba w niej przebywająca miała wrażenie, że siedzi wewnątrz gigantycznego kufra na skarby.

Rzeczywiście zgromadzono tam wiele pięknych i cennych przedmiotów. Ściany i sufit zdobiła ponad trzydziestka rzadkich obrazów, zawieszonych tak ciasno, że pomiędzy ramami praktycznie nie było widać skrawka wolnej przestrzeni.

Upadek Ikara... Alegoria trzech okresów życia człowieka... Natura obdarowująca Prometeusza pięknymi klejnotami...

Langdon, zaglądając w głąb mrocznego pomieszczenia, wyszeptał:

– Oczy śmierci.

Po raz pierwszy trafił w to miejsce kilka lat temu, przy okazji zorganizowanej specjalnie dla niego wycieczki po pałacu. Pokazano mu wtedy masę ukrytych przemyślnie drzwi, schodów i przejść, z których część była schowana za obrazami w Studiolo.

Jednakże nie tajne przejścia interesowały dzisiaj Langdona. Szukał wzrokiem współczesnego dzieła, które podczas jego ostatniej bytności zdobiło to miejsce. *Na miłość boską*, taki tytuł nosiła kontrowersyjna praca Damiena Hirsta, która narobiła sporo szumu, gdy została wystawiona we wnętrzu słynnej komnaty.

Był to wykonany z platyny odlew ludzkiej czaszki naturalnej wielkości, której powierzchnię pokryto ponad ośmioma tysiącami brylantów. Efekt oszałamiał. Puste oczodoły czerepu lśniły migotliwym blaskiem, tworząc niepokojące zestawienie symboli życia i śmierci... piękna i grozy. Mimo że rzeźba Hirsta już dawno

stąd zniknęła, jej wspomnienie nasunęło Langdonowi pewien pomysł.

Oczy śmierci, pomyślał. Taki czerep pasuje jak ulał, nieprawdaż?

Czaszki były powtarzającym się często motywem w *Piekle* Dantego. Jedna z najsłynniejszych pojawia się w opisie okrutnych mąk hrabiego Ugolina, który został skazany w dziewiątym kręgu na wieczne ogryzanie czaszki występnego arcybiskupa.

Czyżbyśmy szukali czaszki?

Tajemnicze Studiolo, o czym Robert dobrze wiedział, zostało zbudowane jako tradycyjny gabinet osobliwości. Niemal wszystkie obrazy miały zawiasy, na których można je było uchylać, odsłaniając sekretne szafki, gdzie wielki książę trzymał interesujące go przedmioty – próbki rzadkich minerałów, najpiękniejsze pióra, idealnie zachowane skamieliny muszli łodzików, a nawet jeśli wierzyć legendom, piszczel pewnego mnicha ozdobioną ręcznie kutym srebrem.

Niestety wszystkie te cuda zostały zabrane stąd już przed laty. Langdon nie słyszał też, by przechowywano tam inną czaszkę niż ta stworzona przez Hirsta.

Z zamyślenia wyrwało go głośne trzaśnięcie drzwi na drugim końcu sali. Potem rozległ się tupot szybkich kroków.

– *Signore!* – zawołał ktoś zagniewanym głosem. – *Il salone non è aperto!*

Langdon odwrócił się do nadchodzącej pracownicy. Była filigranowa i miała krótko ścięte kasztanowe włosy, a także brzuch wskazujący na dziewiąty miesiąc ciąży. Zmierzała zdecydowanym krokiem w kierunku gościa, stukając palcem

w cyferblat zegarka i wrzeszcząc coś o tym, że muzeum nie zostało jeszcze otwarte. Gdy podeszła bliżej, jej wzrok spoczął na twarzy Roberta. Zamilkła natychmiast, zasłaniając usta w geście przerażenia.

– Profesor Langdon! – zawołała, robiąc zawstydzoną minę. – Bardzo przepraszam! Nie wiedziałam, że to pan. Witam ponownie w naszych progach!

Robert zamarł.

Był niemal pewien, że nigdy wcześniej nie spotkał tej osoby.

Rozdział 37

– Mało brakowało, a bym pana profesora nie poznała! – perorowała kobieta po angielsku, choć z silnym akcentem. – Chyba przez ten strój. – Uśmiechnęła się ciepło, kiwając z uznaniem głową na widok garnituru od Brioniego. – Bardzo modny. Wygląda pan w nim jak rodowity Włoch.

Langdon czuł wyjątkową suchość w ustach, jednakże zdołał się wziąć w garść i powitał kobietę przyjaznym uśmiechem.

– Dzień... dobry – wydukał. – Jak się pani miewa?

Roześmiała się, podtrzymując rękoma brzuch.

– Jestem wykończona. Mała Catalina kopała przez całą noc. – Rozejrzała się po sali zdziwiona. – Il Duomino nie wspomniał, że wróci pan dzisiaj. Zakładam, że jest tu z panem?...

Il Duomino?

Robert nie miał bladego pojęcia, o kim ciężarna kobieta mówi.

Zauważyła jego zmieszanie i zaśmiała się uspokajająco.

– Proszę się nie martwić. Wszyscy we Florencji używają tego przydomka. Jemu to nie przeszkadza. – Rozejrzała się znowu. – To on pana wpuścił?

– Tak – odparła Sienna, podchodząc do nich spod przeciwległej ściany. – Tylko że musiał pójść na jakieś umówione poranne spotkanie. Zapewnił, że nie będzie pani miała nic przeciw, jeśli pokręcimy się po pałacu. – Wyciągnęła ochoczo rękę na powitanie. – Na imię mam Sienna. Jestem siostrą Roberta.

Urzędniczka uścisnęła ją sztywno.

– Jestem Marta Alvarez. Szczęściara z pani, oprowadza panią sam profesor Langdon.

– O, tak – potwierdziła lekarka, z trudem powstrzymując się od przewracania oczami. – Robert jest taki mądry!

Na moment zapanowała niezręczna cisza, podczas której Marta uważnie przyglądała się Siennie.

– Zabawne – odezwała się w końcu. – Nie widzę między wami żadnego podobieństwa. Z wyjątkiem wzrostu.

Langdon wyczuł nadciągającą katastrofę.

Teraz albo nigdy.

– Marto – wtrącił, mając nadzieję, że dobrze zapamiętał jej imię – wybacz, że zawracam ci głowę, ale... Wiesz chyba, po co przyszedłem.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo... – odparła, mrużąc oczy. – Nie mam bladego pojęcia, czego jeszcze może pan tutaj szukać.

Puls Langdona przyśpieszył, a następny moment niezręcznej ciszy uświadomił mu, że jego ryzykowne zagranie zakończy się spektakularną klęską. Marta jednak zupełnie niespodziewanie wybuchnęła śmiechem.

– Żartowałam, profesorze. Wiem dobrze, po co pan wrócił. Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia, co pana tak zafascynowało, ale rozumiem, że po tym, jak spędziliście tam z Il

Duomino niemal cały wieczór, chce pan pokazać swoje znalezisko siostrze.

– Tak właśnie... – wydukał Robert. – Masz rację. Chciałbym, aby Sienna to zobaczyła... Chyba że masz coś przeciw?

Marta zerknęła w stronę balkonu na piętrze, a potem wzruszyła ramionami.

– Skądże. Sama się tam wybierałam.

Serce Langdona zabiło mocniej, kiedy spojrzał na znajdujący się na końcu sali balkon.

Spędziłem tam cały ostatni wieczór?

Nic nie pamiętał. Wiedział jednak, że balkon znajduje się na tej samej wysokości co napis *cerca trova* i służy jako wejście do pałacowego muzeum, które odwiedzał za każdym razem, gdy tu przebywał.

Marta już zbierała się do poprowadzenia ich na przeciwległy kraniec sali, lecz nagle się zatrzymała, jakby zmieniła zdanie.

– Profesorze, na pewno chce pan pokazywać siostrze takie okropieństwa?

Langdon nie wiedział, jak zareagować.

– Zobaczymy coś okropnego? – zainteresowała się Sienna. – A co? Robert mi nigdy nic nie mówi.

Marta uśmiechnęła się nieśmiało, zerkając na Langdona.

– Mogę powiedzieć pańskiej siostrze czy woli pan to zrobić osobiście?

Robert omal nie podskoczył z radości, widząc nadarzającą się okazję.

– Ależ oczywiście, że możesz jej powiedzieć, Marto.

Pracownica muzeum odwróciła się do Sienny i starannie dobierając słowa, oznajmiła:

– Nie wiem, ile profesor pani zdradził, ale w muzeum zobaczymy pewną szczególną maskę.

Brwi Sienny uniosły się nieco wyżej.

– Jakiego rodzaju maskę? Może to paskudztwo z dziobem, jakie nosi się podczas karnawału?

– Ciepło, ciepło – przyznała Marta. – Chodzi jednak nie o ptasią maskę, tylko o maskę pośmiertną.

Langdon doznał tak nagłego olśnienia, że nie zdołał się powstrzymać od głośnego mruknięcia. Marta spojrzała na niego z przyganą, sądząc, że zachowuje się w ten sposób, chcąc dodatkowo nastraszyć siostrę.

– Proszę nie zwracać na niego uwagi – dodała. – Maski pośmiertne były czymś powszechnym w szesnastym stuleciu. To nic innego jak warstwa gipsu nakładana tuż po zgonie na twarz zmarłego.

Maska pośmiertna!

Langdonowi zaczynało coś świtać po raz pierwszy od chwili przebudzenia w szpitalu.

Inferno Dantego... *cerca trova*... patrzenie oczami śmierci... Maska!

– Czyją twarz uwieczniono na tej masce? – zainteresowała się Sienna.

Robert położył jej dłoń na ramieniu i odpowiedział najspokojniej, jak umiał:

– Znanego włoskiego poety. Nazywał się Dante Alighieri.

Rozdział 38

Śródziemnomorskie słońce prażyło pokłady jachtu, który kołysał się na falach Adriatyku. Zarządca, czując zmęczenie, nalał sobie drugą szklaneczkę szkockiej i spojrzał obojętnie za okno gabinetu.

Wieści z Florencji nie były dobre.

Bezsilność i dezorientacja opanowały go być może wskutek wypicia alkoholu, którego nie stosował od lat. Odnosił wrażenie, że jego statek utracił śruby i dryfuje teraz unoszony prądem.

Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś podobnego. Zawsze miał poczucie celu, a pod ręką kompas w postaci zasad, dzięki czemu nigdy się nie gubił. Był w stanie podejmować najtrudniejsze decyzje, nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

Zasady wymagały wykluczenia Vayenthy i Zarządca postąpił zgodnie z nimi bez cienia wahania.

Zajmę się nią, gdy zapanujemy nad obecnym kryzysem.

Zasady wymagały również, by Zarządca nie wiedział zbyt wiele o swoich klientach.

Wykonaj usługę.

Ufaj klientowi.

Nie zadawaj pytań.

Jak dyrektorzy większości korporacji, pełnił swoje obowiązki, zakładając, że nie dochodzi przy tym do łamania obowiązującego prawa. W końcu Volvo nie odpowiada za to, że matki małych piłkarzy przekraczają dozwoloną prędkość przed szkołami, a Dell nie jest winien temu, że posiadacz komputera zhakował czyjeś konto bankowe.

Teraz jednak, gdy mleko się wylało, przeklinał pod nosem tego, kto naraił Konsorcjum ostatniego klienta.

– To mało wymagający facet, czyli łatwe pieniądze – zapewniał go pośrednik. – Jest genialny, bryluje w swojej dziedzinie, o absurdalnym bogactwie nie mówiąc. Chce tylko zniknąć na rok albo dwa. Potrzebuje tego czasu, by popracować w absolutnym spokoju nad jakimś nowym projektem.

Zarządca zgodził się niemal bez namysłu. Długoterminowe ukrywanie ludzi rzeczywiście przynosiło mu zawsze sporo pieniędzy, a w dodatku miał zaufanie do pośrednika.

Tak jak przewidywał, zarobek był łatwy.

Aż do minionego tygodnia.

W obliczu zamieszania spowodowanego przez klienta Zarządca znalazł się w bardzo nieciekawej sytuacji. Krążył wokół butelki szkockiej, licząc dni do zakończenia kontraktu.

Zadzwonił stojący na jego biurku telefon. Identyfikacja numeru wskazywała, że dzwoni Knowlton, jeden z pracujących na dolnym pokładzie facylitatorów.

– Słucham – rzucił do słuchawki.

– Sir – zaczął Knowlton niepewnie. – Przepraszam, że zawracam panu głowę, ale jak pan zapewne wie, jutro rano mamy dostarczyć mediom pewien materiał.

– Wiem – odparł Zarządca. – Wszystko przygotowane?

– Tak. Tylko że... uznałem, że powinien pan obejrzeć ten materiał.

Zdziwiony Zarządca nie odpowiedział od razu.

– Jesteśmy wymienieni w tym nagraniu albo naraża nas ono na identyfikację?

– Nie. Mimo to treść budzi moje poważne obawy. Klient pokazuje się na ekranie i mówi...

– Ani słowa więcej! – rozkazał Zarządca, zszokowany tym wystąpieniem starszego facylitatora przeciwko zasadom. – Treść nagrania nie ma znaczenia. Cokolwiek nasz klient powiedział, materiał zostanie wyemitowany. Mógł go rozpowszechnić sam, ale wybrał nas. Zapłacił nam. Zaufał nam.

– Tak jest.

– Nie zatrudniłem cię na stanowisku krytyka filmowego – zagrzmiał Zarządca. – Twoim zadaniem jest dotrzymywanie danych obietnic. Rób, co do ciebie należy.

Vayentha czekała na Ponte Vecchio, przyglądając się uważnie setkom przechodniów. Była czujna i spostrzegawcza, miała więc pewność, że Langdon nie zdołał minąć jej niezauważony, aczkolwiek dron już dawno umilkł, co znaczyło, że Brüder nie musi z niego więcej korzystać.

Czyli schwytał profesorka.

Niechętnie zaczęła dopuszczać do siebie myśl o czekającym ją w Konsorcjum dochodzeniu. Albo czymś jeszcze gorszym.

Raz jeszcze przypomniała sobie dwóch agentów, którzy zostali wykluczeni... i o których słuch zaginął.

Znaleźli sobie inną robotę, przekonywała się w duchu.

Mimo to nadal czuła, że powinna natychmiast pojechać na wzgórza Toskanii, zniknąć i wykorzystać nabyte umiejętności do rozpoczęcia nowego życia.

Tylko jak długo zdołam się przed nimi ukrywać?

Mnóstwo osób przekonało się na własnej skórze, że kiedy Konsorcjum weźmie kogoś na cel, bezpieczeństwo staje się czystą iluzją. Złapanie poszukiwanego było wyłącznie kwestią czasu.

Czy moja kariera naprawdę na tym się zakończy?...

Ta myśl nie dawała jej spokoju. Vayentha w dalszym ciągu nie potrafiła się pogodzić z tym, że jej dwunastoletnia służba w Konsorcjum zostanie przerwana z powodu kilku niefortunnych potknięć. Wcześniej przez równy rok z poświęceniem pilnowała zielonookiego klienta.

To nie moja wina, że popełnił samobójstwo, skacząc z wieży... Dlaczego więc czuję się, jakbym spadła razem z nim?

Jej jedyną szansą było ubiegnięcie Brüdera... Od samego początku zdawała sobie jednak sprawę, że to nie będzie łatwe.

Miałam szansę minionej nocy i... zawiodłam.

Gdy w końcu ruszyła w stronę zaparkowanego motocykla, usłyszała w oddali jakiś dźwięk... znajome brzęczenie silnika.

Zdziwiona spojrzała w górę. Ku jej zaskoczeniu dron zwiadowczy znów unosił się w niebo, tym razem w pobliżu najdalszej części pałacu Pitti. Na jej oczach maszyna zaczęła zataczać kręgi nad pobliskimi zabudowaniami.

Wypuszczenie drona mogło oznaczać tylko jedno.

Nadal nie dopadli profesorka!

W takim razie gdzie on u licha jest?

Przeszywające uszy brzęczenie po raz kolejny wyrwało doktor Sinskey z delirium.

Znowu wypuścili drona? Sądziłam, że...

Poprawiła się na tylnym siedzeniu furgonetki, oddalając nieco od młodego agenta. Przymknęła oczy, by zwalczyć ból i następną falę mdłości. Głównie jednak starała się zapanować nad strachem.

Czas ucieka.

Chociaż jej zaprzysiężony wróg popełnił samobójstwo, nadal prześladował ją w koszmarach. Wciąż widziała go przemawiającego do niej w mrocznej sali Rady Spraw Zagranicznych.

„Konieczne jest podjęcie zdecydowanych działań" – grzmiał, a jego zielone oczy płonęły. – „Jeśli nie my, to kto? Jeśli nie teraz, to kiedy?".

Elizabeth wiedziała, że powinna była go powstrzymać już wtedy, gdy miała szansę. Nigdy nie zapomni chwili, w której wymaszerowała ze spotkania, ani napięcia, jakie towarzyszyło jeździe przez Manhattan na lotnisko imienia Johna F. Kennedy'ego. Pragnąc się dowiedzieć, kim jest ten maniak, sięgnęła po komórkę i przyjrzała się zrobionemu przed chwilą zdjęciu.

Z jej ust dobył się głośny jęk. Teraz już go poznawała. Dobra wiadomość była taka, że powinien być łatwy do wytropienia. Natomiast zła wiadomość polegała na tym, że był geniuszem w swojej dziedzinie, co czyniło z niego naprawdę niebezpiecznego przeciwnika.

Nie ma nic bardziej twórczego... ani destruktywnego... niż wielki umysł, który uparcie dąży do celu.

Zanim dotarła na lotnisko, co zajęło jej niespełna pół godziny, zdążyła się skontaktować ze swoim zespołem i umieścić niedawnego rozmówcę na liście osób podejrzanych o bioterroryzm wszystkich liczących się światowych agencji – w tym CIA, CDC i ECDC.

Uznała, że tylko tyle może zrobić przed powrotem do Genewy.

Wyczerpana dowlokła swoją torbę podróżną na stanowisko kontroli, gdzie podała pracownicy lotniska paszport i bilet.

– O, doktor Sinskey – ucieszyła się obsługująca ją młoda kobieta. – Jakiś przemiły pan zostawił dla pani wiadomość.

– Słucham? – Elizabeth nie znała nikogo, kto miałby dostęp do jej planu lotów.

– Taki wysoki mężczyzna – udzieliła wyjaśnień dziewczyna. – Z zielonymi oczami.

Torba dosłownie wypadła jej z ręki.

Był tutaj? Jakim cudem?

Obróciła się szybko, omiatając wzrokiem terminal.

– Już wyszedł – poinformowała ją pracownica lotniska – ale prosił, abyśmy przekazali to. – Podała jej złożoną kartkę.

Elizabeth rozłożyła papier drżącymi palcami i przeczytała napisane odręcznie słowa.

Był to słynny cytat z dzieła Dantego Alighieri.

Najmroczniejsze czeluście piekieł
zarezerwowane są dla tych,
którzy zdecydowali się na neutralność
w dobie kryzysu moralnego.

Rozdział 39

Marta Alvarez powiodła zmęczonym wzrokiem po stopniach prowadzących z Sali Pięciuset na piętro muzeum.

Posso farcela, zapewniła się w myślach. Dam radę.

Jako administrator dóbr kultury i sztuki w Palazzo Vecchio Marta pokonała te schody w przeszłości niezliczone razy, jednakże teraz, w ostatnim miesiącu ciąży, sprawiało jej to znacznie więcej kłopotu.

– Jesteś pewna, że nie chcesz przywołać windy? – zapytał Robert z zatroskaną miną, wskazując na kabinę, którą zainstalowano dla niepełnosprawnych gości.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale pokręciła głową.

– Jak wspominałam panu minionej nocy, lekarze twierdzą, że gimnastyka dobrze wpływa na zdrowie dziecka. Poza tym pamiętam, że cierpi pan na klaustrofobię, profesorze.

Langdon wydawał się zaskoczony tym stwierdzeniem.

– No tak, zupełnie zapomniałem, że o tym rozmawialiśmy.

Przecież to było niespełna dwanaście godzin temu, zdziwiła się Marta.

Minionego wieczoru chorobliwie otyły, ważący prawie sto osiemdziesiąt kilogramów Il Duomino skorzystał z windy, ale oni dwoje weszli po schodach. Wtedy właśnie Langdon opowiedział jej ze szczegółami o tym, jak wpadł w dzieciństwie do zapomnianej studni, w której nabawił się chorobliwego lęku przed przebywaniem w niewielkich pomieszczeniach.

Teraz ponownie wspinali się razem, powoli i metodycznie, zatrzymując się co kilka stopni, by mogła odetchnąć. Młodsza siostra profesora szła przodem, kołysząc kucykiem przy pokonywaniu kolejnych stopni.

– Dziwię się, że chce pan jeszcze raz obejrzeć tę maskę – stwierdziła w pewnym momencie Marta. – Przy tym, co Florencja ma do zaoferowania, ten zabytek wydaje się mało atrakcyjny.

Langdon wzruszył wymijająco ramionami.

– Przyszedłem tu tylko dlatego, by Sienna mogła ją zobaczyć. A tak przy okazji, dziękuję za umożliwienie ponownego zwiedzania.

– Nie ma za co.

Reputacja, jaką cieszył się Langdon, powinna wystarczyć do przekonania Marty, aby otwarła dla niego galerię, aczkolwiek w tym wypadku ważniejsza wydawała się obecność Il Duomino. Jemu nie mogła odmówić.

Ignazio Busoni, znany też jako Il Duomino, był kimś w rodzaju celebryty, zwłaszcza w kręgach artystycznych Florencji. Jako wieloletni dyrektor Museo dell'Opera del Duomo nadzorował jeden z najcenniejszych zabytków miasta, mianowicie zwieńczoną czerwoną kopułą katedrę, która zdominowała panoramę i historię Florencji. Przydomek Il Duomino, co znaczy „mała kopuła",

zawdzięczał ogromnej tuszy, wiecznie rumianej twarzy i pasji, z jaką poświęcał się pracy.

Marta Alvarez nie miała pojęcia, gdzie Langdon poznał dyrektora, ale to właśnie ten ostatni zadzwonił do niej minionego wieczoru, mówiąc, że chciałby przyprowadzić specjalnego gościa i pokazać mu wspomnianą maskę pośmiertną Dantego. Gdy się okazało, że chodzi o znanego amerykańskiego wykładowcę ikonografii i przy okazji wytrawnego historyka sztuki, Marta poczuła ogromne podniecenie na myśl, że będzie gościć w swej galerii dwie osobistości.

Teraz, dobrnąwszy w końcu na szczyt schodów, przystanęła z rękoma opartymi na biodrach i dyszała ciężko. Sienna była już na balkonie i przez balustradę patrzyła na Salę Pięciuset.

– To mój ulubiony punkt obserwacyjny – wysapała Marta. – Stąd można spojrzeć na freski z zupełnie innej perspektywy. Domyślam się, że brat wspomniał pani o tajemnym przesłaniu ukrytym na tamtym malowidle? – wskazała panoramę bitwy.

Sienna przytaknęła z entuzjazmem.

– *Cerca trova*.

Marta obserwowała Langdona, gdy ten zbliżał się do nich. W świetle padającym przez okna antresoli nie wyglądał już na takiego przystojniaka, za jakiego miała go minionego wieczoru. Podobał jej się ten nowy garnitur, ale profesor stanowczo powinien się ogolić, poza tym był dziwnie blady i jakby zmęczony. Jego włosy, przy poprzedniej wizycie dobrze uczesane i puszyste, teraz wydawały się zmierzwione, jakby dopiero co brał prysznic.

Przeniosła wzrok na fresk, zanim zauważył, że jest obserwowany.

– Stoimy teraz niemal na tej samej wysokości, na której wypisano słowa *cerca trova* – wyjaśniła. – Można je dostrzec gołym okiem.

Siostra Langdona nie wyglądała na specjalnie zainteresowaną freskami.

– Proszę mi opowiedzieć o tej masce Dantego. Dlaczego znajduje się tutaj, w Palazzo Vecchio?

Niedaleko pada jabłko od jabłoni, westchnęła w duchu Marta.

Nadal nie rozumiała, czemu prosta maska budzi w nich tak wielkie emocje. Z drugiej strony musiała przyznać, że eksponat ma niezwykle ciekawą historię, zwłaszcza najnowszą, i że rodzeństwo Langdonów nie jest pierwszą parą, która się nim żywo interesuje.

– Ile pani wie o Dantem?

Śliczna młoda blondyneczka wzruszyła ramionami.

– Posiadam o nim tylko szkolną wiedzę. Dante to włoski poeta, najbardziej znany z tego, że napisał *Boską komedię*, w której opowiada o swojej wyimaginowanej podróży przez piekło.

– To nie do końca prawda – odparła Marta. – W tym poemacie Dante ucieka z piekieł, aby po wędrówce przez czyściec dotrzeć do raju. Gdyby pani przeczytała *Boską komedię*, zauważyłaby pani, że dzieło składa się z trzech części noszących wiele mówiące tytuły: *Inferno, Purgatorio* i *Paradiso*. – Marta zachęciła ich skinieniem ręki, by oderwali się od balustrady i poszli za nią w kierunku wejścia do muzeum. – Aczkolwiek powód, dla którego maska Dantego znajduje się w naszym Palazzo Vecchio, nie ma nic wspólnego z napisaną przez niego *Boską komedią*. Chodzi o prawdziwą historię. Dante mieszkał we Florencji i ukochał ją

tak mocno, jak tylko człowiek może ukochać miasto. Był bardzo wpływowym i prominentnym florentczykiem, ale gdy doszło do politycznego przewrotu na szczytach władzy, poparł nie tę stronę co trzeba i został wygnany. Wystawiono go po prostu za mury i powiedziano mu, że ma tu nigdy nie wracać... – Marta zamilkła dla złapania oddechu, po czym wygiąwszy plecy z rękoma przyłożonymi do krzyża, podjęła: – Niektórzy twierdzą, że właśnie wygnanie jest przyczyną smutku widniejącego na jego twarzy nawet po śmierci, lecz ja mam inną teorię na ten temat. Jestem niepoprawną romantyczką i przypuszczam, że wyraz zatroskania ma raczej związek z kobietą imieniem Beatrycze. Bo Dante był przez całe życie nieszczęśliwie zakochany w młodej damie nazywającej się Beatrycze Portinari. A ona ku jego rozpaczy poślubiła innego, co sprawiło, że nasz poeta musiał obejść się nie tylko bez ukochanej Florencji, ale i bez kobiety, którą miłował. Niespełniona miłość do Beatrycze jest głównym wątkiem *Boskiej komedii*.

– Interesujące – przyznała Sienna tonem sugerującym, że nie słuchała uważnie tego wykładu. – Nadal jednak nie wiem, dlaczego maska znajduje się w zbiorach pałacu.

Nieustępliwość tej dziewczyny wydała się Marcie nie na miejscu.

– Cóż – odezwała się, ruszając dalej – Dante zmarł, nadal nie mając wstępu do Florencji, i dlatego został pochowany w Rawennie. Jednakże maska trafiła tutaj, ponieważ znaleźli się ludzie, którzy uznali, że z uwagi na dwie największe miłości jego życia, uczucie do miasta i do Beatrycze, należy ją tu przywieźć. Był to wyraz hołdu złożonego jego geniuszowi.

– Rozumiem – powiedziała Sienna. – Ale dlaczego umieszczono ją w tym właśnie pałacu?

– Palazzo Vecchio jest najstarszym symbolem Florencji, a za czasów Dantego był też sercem miasta. Szczerze powiedziawszy, tutaj znajduje się słynny obraz przedstawiający moment wygnania poety za mury Florencji. Za plecami Dantego widać też ulubioną przez niego wieżę należącą do naszego pałacu. Uważamy, że trzymając maskę pośmiertną w naszych zbiorach, pozwalamy mu na symboliczny powrót do domu.

– To miłe. – Sienna w końcu wyglądała na usatysfakcjonowaną. – Dziękuję.

Gdy wreszcie dotarli do drzwi muzeum, administratorka trzykrotnie w nie mocno zastukała.

– *Sono io, Marta! Buongiorno!*

Z drugiej strony dobiegło grzechotanie klucza wkładanego do zamka i wejście stanęło otworem. Podstarzały strażnik uśmiechnął się blado do przełożonej, a potem spojrzał na zegarek.

– *È un po' presto* – rzucił. Trochę wcześnie.

Zamiast wyjaśniać, Marta wskazała ręką na Langdona. Widząc profesora, strażnik natychmiast się rozpromienił.

– *Signore! Bentornato!* – Witam ponownie!

– *Grazie* – odparł Robert uprzejmym tonem, gdy staruszek wpuszczał ich do środka.

Minęli niewielki hol, w którym strażnik wyłączył system alarmowy, a potem otworzył drugie, znacznie masywniejsze drzwi. Odsunąwszy się na bok, zamaszystym gestem zaprosił wszystkich do muzealnych komnat.

– *Ecco il museo!*

Marta podziękowała mu uśmiechem, po czym wprowadziła gości.

Pomieszczenia mieszczące obecnie muzeum służyły wcześniej jako biura rządowe, nie ujrzeli więc ciągu wielkich sal wystawowych, lecz labirynt korytarzy wiodących do licznych pokoi o niedużej powierzchni.

– Maska Dantego znajduje się tuż za rogiem – wyjaśniła Marta. – Wystawiliśmy ją w wąskim pomieszczeniu zwanym *l'andito*, które jest czymś w rodzaju korytarzyka łączącego dwa większe pokoje. Maska spoczywa w stojącej pod ścianą zabytkowej gablocie, przez co trudno ją dostrzec, jeśli nie podejdzie się bardzo blisko. Z tego powodu liczni zwiedzający ją mijają, nie wiedząc nawet, co przeoczyli.

Langdon przyśpieszył kroku, nie oglądając się na nic, jakby maska zawładnęła nim w magiczny sposób. Marta trąciła łokciem Siennę i szepnęła do niej:

– Z tego co widzę, pani brat nie jest zainteresowany innymi eksponatami, ale pani powinna obejrzeć popiersie Machiavellego i globus *Mappa Mundi* w Sali Map.

Sienna pokiwała uprzejmie głową, nie zwalniając kroku. Ona także patrzyła prosto przed siebie, nie zwracając uwagi na mijane eksponaty. Marta z trudem dotrzymywała jej kroku. W trzecim pomieszczeniu zaczęła odstawać, a potem się zatrzymała.

– Profesorze! – wykrzyknęła zadyszana. – Może zechciałby pan... pokazać siostrze... kilka innych wystaw... zanim dotrzemy do maski?

Kiedy Langdon się obejrzał, wyglądał na rozkojarzonego, jakby wyrwano go z głębokiego zamyślenia.

– Słucham?

Marta wskazała na pobliską gablotę.

– Na przykład jeden... z pierwszych egzemplarzy... *Boskiej komedii*.

Widząc, że administratorka ociera pot z czoła i dyszy jak po długim biegu, natychmiast się zreflektował.

– Wybacz mi, Marto! Z ochotą rzucimy okiem na ten tekst.

Wrócił do niej szybko i pozwolił, by poprowadziła Siennę do wyglądającej na antyk gabloty, w której znajdował się podniszczony oprawny w skórę wolumin. Otwarto go tak, by zwiedzający mogli zobaczyć bogato zdobioną stronę tytułową: *La Divina Commedia – Dante Alighieri.*

– Niesamowite – wyszeptał zaskoczony Langdon. – Poznaję ten frontyspis. Nie wiedziałem, że zamieszczono go także w oryginalnym wydaniu Numeistera.

Akurat, pomyślała rozbawiona Marta, która pokazała mu tę księgę minionego wieczoru.

– W połowie piętnastego wieku – Robert pośpiesznie wyjaśniał Siennie – Johann Numeister wydrukował pierwszy nakład tego dzieła. Z kilkuset egzemplarzy przetrwało do dzisiaj około dziesięciu. Są naprawdę bardzo rzadkie.

Marta uznała, że profesor udaje przed nią głupka, aby móc popisać się wiedzą przed młodszą siostrą. Jak na osobę o takim autorytecie było to wyjątkowo nieprzyzwoite zagranie.

– Ten egzemplarz wypożyczyliśmy z Biblioteki Laurenziana – dodała administratorka. – Jeśli nie odwiedziliście jej wcześniej, powinniście to zrobić. Są tam niesamowite schody zaprojektowane przez Michała Anioła, wiodące do pierwszej publicznej czytelni na

świecie. Księgi w niej przymocowywano do stołów łańcuchami, aby nikt nie mógł ich wynieść. Oczywiście wiele ichniejszych woluminów było jedynymi na świecie.

– Niesamowite – przyznała Sienna, spoglądając w głąb muzeum. – Ale maska znajduje się tam?

Po co ten pośpiech?

Marta potrzebowała jeszcze chwili na odpoczynek.

– Owszem, ale myślę, że chętnie posłuchacie tego. – Wskazała ręką na przeciwległą ścianę i znajdujące się tam schody znikające w suficie. – Można się tamtędy dostać na platformę widokową między krokwiami, z której jest znakomity widok na słynny podwieszany sufit Vasariego. Z przyjemnością poczekam tutaj, aż obejrzycie...

– Marto, proszę – przerwała jej Sienna. – Chciałabym zobaczyć tę maskę. Mamy naprawdę niewiele czasu.

Administratorka spoglądała ze zdumieniem w oczach na tę piękną młodą kobietę. Nie podobała jej się panująca ostatnio moda, by zwracać się do nowo poznanych osób po imieniu.

Jestem *signora* Alvarez, zganiła ją w myślach. I to ja robię wam przysługę.

– Dobrze, Sienno – odparła uprzejmie, również przechodząc na ty. – Maska znajduje się tam.

Nie marnowała więcej czasu na komentowanie mijanych arcydzieł, prowadząc Langdona i jego siostrę przez kolejne pokoje i korytarze. Minionego wieczoru profesor i Il Duomino spędzili niemal pół godziny w wąskim *andito*, oglądając tę maskę. Zaintrygowana ich zachowaniem spytała, czy ta fascynacja nie wiąże się przypadkiem z serią dziwnych wydarzeń, które miały

miejsce rok wcześniej. Langdon i Il Duomino zbyli ją wtedy, udzielając jakiejś wymijającej odpowiedzi.

Teraz profesor zaczął wyjaśniać siostrze, na czym polegał prosty w gruncie rzeczy proces tworzenia masek pośmiertnych. Opis ten, ku zadowoleniu Marty, był bardzo szczegółowy i odpowiadający prawdzie. Nadal jej się nie podobało, że Langdon wcześniej skłamał, twierdząc, że nigdy nie widział na oczy białego kruka, jakim był egzemplarz *Boskiej komedii*.

– Krótko po śmierci – opowiadał Langdon – zmarłego kładziono na płaskiej powierzchni, a jego twarz polewano oliwą. Następnie nakładano na nią cienką warstewkę gipsu, przykrywającą wszystko: usta, powieki, nos. Sięgała od linii włosów aż po szyję. Gdy odlew stwardniał, można go było bez trudu zdjąć i wykorzystać jako formę, do której nalewano świeżego gipsu. Z niego powstawała idealna kopia twarzy zmarłego. Zabieg taki stosowano powszechnie, aby upamiętnić znane osobistości i geniuszy, takich jak Dante, Szekspir, Wolter, Tasso, Keats. Im wszystkim zrobiono pośmiertne maski.

– Dotarliśmy do celu – obwieściła Marta, gdy stanęli we trójkę u wejścia do *andito*. Odsunęła się na bok i gestem poprosiła siostrę profesora, aby weszła pierwsza. – Maska znajduje się w gablocie przy ścianie po lewej. Proszę jednak nie wchodzić za linkę.

Sienna weszła do wąskiego korytarza, od razu skierowała się do gabloty i zajrzała do niej. Nagle jej oczy zrobiły się okrągłe jak spodki, zaraz też spojrzała na brata w niemym przerażeniu.

Marta widziała tę reakcję tysiące razy. Zwiedzający wydawali się poruszeni, gdy po raz pierwszy spoglądali na maskę, która

przedstawiała niesamowite pobrużdżone zmarszczkami oblicze Dantego z wydatnym orlim nosem i zamkniętymi powiekami.

Langdon stanął obok Sienny i także zajrzał do gabloty. Kiedy i on zareagował dziwnie – cofnął się o krok ze zdumioną miną – Marta jęknęła.

Che esagerato.

Podeszła bliżej i doznała szoku.

Oh, mio Dio!

Spodziewała się ujrzeć znajome oblicze martwego Dantego, tymczasem miała przed sobą czerwone sukno wyścielające wnętrze gabloty i kołek, na którym zazwyczaj wisiała maska.

Zasłoniła usta i spoglądała z niedowierzaniem na puste miejsce. Oddech jej przyśpieszył, musiała się nawet chwycić jednego ze słupków podtrzymujących linkę, by nie stracić równowagi. W końcu, gdy już zdołała oderwać wzrok, obróciła się wolno w kierunku nocnych strażników pilnujących głównego wejścia.

– *La maschera di Dante!* – wrzasnęła, jakby ją coś opętało. – *La maschera di Dante è sparita!*

Rozdział 40

Marta Alvarez dygotała przed pustą gablotą. Miała tylko nadzieję, że ucisk w brzuchu jest wynikiem ataku paniki, a nie początkiem bólów porodowych.

Maska Dantego zniknęła!

Strażnicy, którzy przybiegli do *andito* i zobaczyli ogołoconą gablotę, zaczęli działać natychmiast. Jeden rzucił się do centrali monitoringu muzeum, aby przejrzeć nagrania z minionej nocy, a drugi wyjął komórkę, by powiadomić policję o dokonanym rabunku.

– *La polizia arriverà tra venti minuti* – poinformował Martę, gdy zakończył rozmowę.

– *Venti minuti?!* – wrzasnęła. Za dwadzieścia minut?! – Skradziono nam bezcenne dzieło sztuki!

Strażnik wyjaśnił jej, że większość funkcjonariuszy została oddelegowana do zażegnania znacznie poważniejszego kryzysu, a dyżurny szuka teraz kogoś odpowiedniego, kto mógłby przyjechać do muzeum i przesłuchać świadków.

– *Che cosa potrebbe esserci di più grave!?* – piekliła się nadal. Co może być poważniejszego od takiej zbrodni?!

Langdon i Sienna wymienili zaniepokojone spojrzenia. Mimo zdenerwowania Marta zauważyła, że wydają się poruszeni.

I nic dziwnego, uznała.

Wpadli tutaj po drodze, by spojrzeć raz jeszcze na maskę, i stali się świadkami piekła rozpętanego kradzieżą. Minionej nocy ktoś dostał się jakimś cudem do muzeum i ukradł z galerii maskę pośmiertną Dantego.

Marta wiedziała, ile cenniejszych przedmiotów znajduje się w muzeum, i w myślach dziękowała Bogu, przynajmniej one nie zostały skradzione. Ale jakkolwiek na to patrzeć, na terenie placówki po raz pierwszy w historii doszło do przestępstwa.

Nie wiem nawet, jak powinnam się zachować w tej sytuacji!

Poczuła się nagle słabo i znów musiała oprzeć dłoń o pobliski słupek.

Obaj strażnicy, referując jej wydarzenia ostatniej nocy, wyglądali na nie mniej wstrząśniętych. Około dziesiątej pojawiła się w galerii z Il Duomino i Langdonem. Wkrótce potem cała trójka wspólnie opuściła pomieszczenia muzeum. Strażnicy natychmiast zaryglowali drzwi i włączyli ponownie alarm. Z tego co im było wiadomo, nikt od tamtej pory nie postawił nogi na terenie wystawy.

– To niemożliwe! – krzyczała administratorka po włosku. – Maska znajdowała się w gablocie, kiedy wychodziliśmy, zatem ktoś musiał tu być w środku nocy!

Zdumieni strażnicy rozkładali tylko ręce.

– *Noi non abbiamo visto nessuno!*

Wiedząc, że policja jest już w drodze, administratorka ruszyła w kierunku centrali monitoringu, maszerując tak szybkim

krokiem, na jaki pozwalała jej zaawansowana ciąża. Langdon i Sienna dreptali nerwowo jej śladem.

Nagrania z monitoringu, myślała Marta. Na nich zobaczymy, kto tutaj był minionej nocy!

Trzy przecznice dalej, na Ponte Vecchio, Vayentha skryła się w cieniu, gdy dwaj funkcjonariusze policji weszli w tłum turystów, okazując wszystkim zdjęcie Langdona.

Kiedy policjanci zbliżali się do kryjówki agentki polowej Konsorcjum, krótkofalówka jednego z nich ożyła – centrala nadawała rutynowy komunikat dla patroli. Wiadomość była krótka i w języku włoskim, ale Vayentha i tak zrozumiała, o co chodzi. Któryś z policjantów znajdujących się w pobliżu Palazzo Vecchio miał się natychmiast udać do tamtejszego muzeum, aby spisać zeznania.

Funkcjonariusze nie zwrócili na te słowa uwagi, za to Vayentha nadstawiła pilnie ucha.

Il Museo di Palazzo Vecchio?

Wydarzenia minionej nocy – a raczej fiasko, które zakończyło jej karierę – miały miejsce w jednej z alejek na tyłach pałacu.

Komunikat dalej był nadawany tonącym w trzaskach włoskim, którego chwilami nie sposób było zrozumieć. Wyłowiła z tego skrzeku tylko dwa słowa: nazwisko i imię. Dante Alighieri.

Stężała w okamgnieniu.

Dante Alighieri? To nie może być zbieg okoliczności!

Spojrzała w kierunku Palazzo Vecchio i natychmiast zlokalizowała zdobioną krenelażami wieżę wznoszącą się nad dachami pobliskich zabudowań.

Co dokładnie wydarzyło się na terenie muzeum? I kiedy?!

Jako doświadczona analityczka od razu zrozumiała, że tego typu zbiegi okoliczności są o wiele rzadsze, niż się ludziom wydaje. Muzeum w Palazzo Vecchio... i Dante? To musiało mieć coś wspólnego z Langdonem.

Od samego początku podejrzewała, że profesorek wróci na stare miasto. To było jedyne sensowne rozwiązanie – tam spotkała go minionej nocy, zanim zaczęło się pasmo jej porażek.

Teraz, w biały dzień, zastanawiała się, czy Langdon zdołał wrócić w okolice Palazzo Vecchio, by znaleźć to, czego szukał. Była pewna, że nie przeszedł mostem, który obserwowała. Pozostałe przeprawy, choć liczne, znajdowały się zbyt daleko od Ogrodów Boboli, zwłaszcza dla kogoś idącego pieszo.

W tym momencie spod mostu wypłynęła czteroosobowa łódź. Na jej kadłubie widać było napis: SOCIETÀ CANOTTIERI FIRENZE. Florencki Klub Wioślarski. Piękne czerwono-białe wiosła unosiły się i opadały w idealnej harmonii.

Czyżby Langdon tu przypłynął?...

To wydawało jej się raczej mało prawdopodobne, lecz wciąż nie mogła się pozbyć wrażenia, że policyjny komunikat dotyczący wydarzeń w Palazzo Vecchio jest tropem, za którym powinna podążyć.

– Wyjmujemy aparaty, *per favore!* – zawołała jakaś kobieta mówiąca po angielsku z silnym włoskim akcentem.

Vayentha spojrzała w kierunku, z którego dobiegał głos, i dostrzegła tylko pomarańczowe pompony przytwierdzone do żerdki – w ten sposób przewodniczka zaganiała na most stadko turystów.

– Nad nami znajduje się największe arcydzieło mistrza Vasariego – zawołała przewodniczka z wyćwiczonym entuzjazmem, unosząc wysoko żerdkę z pomponami. Zgromadzeni wokół niej ludzie spojrzeli w górę.

Vayentha nie zauważyła dotąd, że nad jej głową znajduje się dziwaczna długa budowla biegnąca nad ciągiem straganów.

– Oto Korytarz Vasariego! – obwieściła tymczasem przewodniczka. – Ma niemal kilometr długości i został wybudowany, aby członkowie rodu Medyceuszy mogli bezpiecznie przechodzić z Palazzo Pitti do Palazzo Vecchio...

Vayentha zrobiła wielkie oczy, gdy zrozumiała, czym jest ów tunel nad mostem. Słyszała o nim, ale dawno i niewiele.

To on prowadzi do Palazzo Vecchio?!

– Ci, którzy mają znajomości w wyższych kręgach – kontynuowała przewodniczka – mogą nim chadzać i dziś. Na ścianach tego korytarza umieszczono niezwykłą kolekcję obrazów, która ciągnie się od murów Palazzo Vecchio aż po północno-wschodni kraniec Ogrodów Boboli...

Vayentha nie czekała na to, co jeszcze powie przewodniczka.

Od razu pognała w kierunku motocykla.

Rozdział 41

Langdon znów poczuł ból w potylicy, gdy razem ze Sienną wciskał się do mikroskopijnego pomieszczenia centrali monitoringu, gdzie znajdowała się już Marta i obaj strażnicy. Pokój miał rozmiary przeciętnej garderoby, a jedną z jego ścian zajmowały szumiące monotonnie twarde dyski i poustawiane między nimi monitory. Powietrze było bardzo gorące i cuchnęło dymem papierosowym.

Langdonowi się wydało, że ściany zaczynają na niego napierać.

Marta zasiadła przed jednym z ekranów, na którym było już odtwarzane nagranie. Ziarnisty czarno-biały obraz przedstawiał widok z *andito* – kamera znajdowała się gdzieś wysoko nad drzwiami. Wmontowany w obraz zegar wskazywał, że nagranie cofnięto do wczorajszego przedpołudnia – a właściwie do momentu poprzedzającego otwarcie muzeum, które nastąpiło długo przed przybyciem Langdona i tajemniczego Il Duomino.

Na odtwarzanym w przyśpieszonym tempie nagraniu anonimowe postacie poruszały się dziwnymi skokami. Kamera nie obejmowała maski, która jednak musiała się znajdować w gablocie, gdyż zwiedzający pochylali się nad szybą i robili zdjęcia.

Langdon niecierpliwił się w myślach, wiedząc, że policja zaraz będzie na miejscu. Zastanawiał się, czy nie przeprosić administratorki i już teraz nie uciec razem ze Sienną. Chciał jednak zobaczyć to nagranie do końca: jego treść mogła odpowiedzieć na wiele pytań dotyczących jego obecnej sytuacji.

Strażnik przyśpieszył odtwarzanie jeszcze bardziej i cienie rzucane przez opadające słońce przesunęły się po ścianach i podłodze. Turyści przemykali tam i z powrotem, a potem tłumy zaczęły rzednąć i nagle zrobiło się pusto. Po siedemnastej, jeśli wierzyć sprzętowi, w muzeum zgasły wszystkie światła i zapanował błogi spokój.

Piąta po południu. Zamknęli muzeum.

– *Aumenti la velocità* – poleciła Marta, pochylając się na krześle, by lepiej widzieć ekran.

Strażnik usłuchał polecenia, licznik czasu migał przez chwilę jak szalony, a gdy dotarł w okolice godziny dwudziestej drugiej, światła na ekranie znów się zapaliły.

Od tej pory strażnik wyświetlał obraz w czasie rzeczywistym.

W kadrze pojawiła się najpierw znajoma sylwetka ciężarnej Marty Alvarez. Tuż za nią szedł Langdon ubrany w tweedową marynarkę, wyprasowane na kant spodnie i miękkie mokasyny. Przy każdym kroku widać było refleksy rzucane przez jego zegarek z Myszką Miki.

Oto ja... zanim zostałem postrzelony.

Robert ledwie zdołał zachować spokój na widok samego siebie robiącego rzeczy, których zupełnie nie pamiętał.

Byłem tutaj minionego wieczoru i oglądałem maskę pośmiertną?

Od tamtej chwili w niepojęty dla siebie sposób stracił całe ubranie, pamiątkowy zegarek i wspomnienia z dwóch dni życia.

W miarę odtwarzania nagrań on i Sienna przysuwali się coraz bliżej, by mieć lepszy widok. Niemy film trwał w najlepsze, pokazując Langdona i Martę zatrzymujących się przed gablotą i podziwiających maskę. Moment później w przejściu za nimi pojawił się wielki cień, po czym ujrzeli wchodzącego w kadr obleśnie otyłego mężczyznę. Miał na sobie ciemny garnitur, w dłoni trzymał neseser i ledwie mieścił się w drzwiach. Przy nim nawet ciężarna Marta wyglądała na szczupłą.

Langdon natychmiast go rozpoznał.

Ignazio?!

– To Ignazio Busoni – wyszeptał Siennie do ucha. – Dyrektor Museo dell'Opera del Duomo. Znam go od wielu lat. Po prostu nie wiedziałem, że nazywają go tutaj Il Duomino.

– Całkiem trafny przydomek – odparła równie cicho lekarka.

W minionych latach Langdon niejednokrotnie kontaktował się z Ignaziem w sprawie artefaktów i historii bazyliki, za którą ten drugi był odpowiedzialny, lecz wizyta w Palazzo Vecchio wydawała się wykraczać poza kompetencje otyłego dyrektora. Aczkolwiek Busoni prócz tego, że był znaną osobistością florenckiego światka artystycznego, należał też do grona zagorzałych wielbicieli Dantego, o którym nawet nauczał.

Faktycznie niezłe źródło informacji na temat maski pośmiertnej Dantego, uznał Langdon.

Gdy ponownie skupił uwagę na nagraniu, zobaczył, że Marta wycofała się pod przeciwległą ścianę *andito*, a on i Ignazio stoją nisko pochyleni, aby mieć lepszy widok na maskę. Kolejne minuty

mijały, a oni wciąż badali średniowieczny artefakt. Stojąca za ich plecami Marta zerknęła w końcu dyskretnie na zegarek.

Robert żałował, że nagranie nie ma ścieżki dźwiękowej.

O czym rozmawiałem z Ignaziem? Czego się doszukiwaliśmy?!

W tym właśnie momencie zobaczył na ekranie, jak przestępuje przez linkę i przykuca przed gablotą. Jego twarz znalazła się kilka centymetrów od szyby. Marta natychmiast zareagowała – zapewne upominając go, że nie może tego robić, ponieważ przeprosił ją i natychmiast się wycofał.

– Przepraszam, że byłam taka obcesowa – odezwała się administratorka, zerkając na niego przez ramię. – Jak już wspominałam, ta gablota jest bardzo stara i delikatna. Właściciel maski nalegał, by ludzie nie przechodzili za linkę rozpiętą między słupkami. Zażądał nawet, by pracownicy otwierali gablotę tylko w jego obecności.

Znaczenie jej słów dotarło do Roberta dopiero po dłuższej chwili. Właściciel maski? Wydawało mu się, że maska jest własnością muzeum.

Sienna wyglądała na równie zaskoczoną i natychmiast spytała:

– To ta maska nie należała do muzeum?

Marta pokręciła głową, nie odrywając oczu od monitora.

– Pewien bogaty kolekcjoner zaproponował, że odkupi od nas maskę pośmiertną Dantego i pozostawi ją w zbiorach muzeum. Zgodziliśmy się, ponieważ zaoferował fortunę.

– Zaraz, zaraz – wtrąciła Sienna. – Zapłacił za nią... i zostawił do waszej dyspozycji?

– To dość powszechne – wyjaśnił Langdon. – Zakup filantropijny. Sposób na przekazywanie sporych grantów muzeom

bez rejestrowania tego jako działalności charytatywnej.

– Darczyńca był naprawdę niezwykłym człowiekiem – dodała Marta. – Znał się na Dantem jak mało kto, a poza tym był... jak by to powiedzieć... *fanatico?*

– Kto to taki? – zapytała Sienna z napięciem w głosie.

Administratorka zmarszczyła brwi, wciąż nie odrywając oczu od nagrania.

– Zapewne czytaliście o nim ostatnio w gazetach... Szwajcarski miliarder, Bertrand Zobrist.

Langdonowi nazwisko to niewiele powiedziało, ale Sienna chwyciła go mocno za rękę. Wyglądała przy tym, jakby zobaczyła ducha.

– Ach tak... – wymamrotała, szarzejąc na twarzy. – Bertrand Zobrist. Znany biochemik. Dorobił się ogromnej fortuny na patentach medycznych, i to w bardzo młodym wieku... – Zamilkła na moment, przełykając głośno ślinę. – Zobrist pierwszy manipulował przy komórkach macierzystych linii płciowej.

Robert nie miał pojęcia, na czym polega manipulowanie przy komórkach macierzystych linii płciowej, ale i w jego uszach zabrzmiało to złowieszczo, zwłaszcza w świetle dręczących go ostatnio obrazów zarazy i śmierci. Zastanawiał się, czy Sienna zna tak dobrze dokonania Zobrista dlatego, że sama śledzi nowinki z zakresu medycyny, czy raczej chodzi o to, że oboje – i ona, i Zobrist – byli cudownymi dziećmi.

Czy geniusze śledzą wzajemnie swoje dokonania?

– Usłyszałam o nim kilka lat temu – wyjaśniła, jakby czytając w jego myślach – gdy przekazał mediom bardzo prowokacyjne

oświadczenie o przeludnieniu... – Posmutniała nagle. – Zobrist jest zwolennikiem Równania Populacyjnej Apokalipsy.

– Czego?

– W zasadzie to matematyczne twierdzenie mówiące o tym, że ludzkość rozmnaża się w postępie geometrycznym, jednostki żyją coraz dłużej, a zasoby naturalne topnieją. Wspomniane równanie dowodzi, że nie ma innego rozwiązania jak tylko apokaliptyczny upadek obecnych społeczeństw. Zobrist stwierdził publicznie, że nasza cywilizacja nie przetrwa kolejnego stulecia... chyba że dojdzie do masowego wymierania ludzi. – Sienna westchnęła głośno, spoglądając na Langdona. – Szczerze mówiąc, to on jest autorem powiedzenia: „czarna śmierć była najlepszym, co mogło spotkać Europę".

Langdon patrzył na nią z przerażeniem. Włoski na karku stanęły mu dęba, gdy znowu sobie przypomniał ptasią maskę prześladującą go w koszmarach. Przez cały czas próbował sobie wmawiać, że to wszystko nie może mieć nic wspólnego z zabójczą zarazą, ale to przekonanie z chwili na chwilę było coraz trudniejsze do obronienia.

Choć stwierdzenie Bertranda Zobrista, mówiące, że czarna śmierć była najlepszym, co mogło spotkać Europę, wydawało się obrzydliwe, Robert wiedział, że wielu historyków uważa, iż masowe wymieranie ludzi w czternastym wieku przyniosło kontynentowi wiele społeczno-ekonomicznych korzyści. Czasy sprzed plagi, zwane wczesnym średniowieczem, charakteryzowało spore przeludnienie miast, powszechnie panujący głód i kryzysy ekonomiczne. Nagłe pojawienie się czarnej śmierci, jakkolwiek straszne, skutecznie przetrzebiło ludzkość, dzięki czemu ocalonym

nie groził już głód ani brak perspektyw, co jak dowodzili wspomniani uczeni, było bodźcem wymuszającym nastanie renesansu.

Gdy Robert przypomniał sobie symbol zdobiący pojemnik, w którym ukryto zmodyfikowaną mapę dantejskiego piekła, tknęła go nagła myśl. Przecież ktoś musiał stworzyć ten dziwaczny projektor... a Bertrand Zobrist, biochemik i wielbiciel dzieł Dantego, wydawał się logicznym kandydatem.

Ojciec genetycznej manipulacji przy komórkach macierzystych linii płciowej...

Kolejne fragmenty układanki trafiły na swoje miejsce. Niestety obraz, który ukazywały, był naprawdę przerażający.

– Przewiń ten fragment – poleciła Marta, nie mając ochoty dłużej się przyglądać, jak Robert i Ignazio Busoni gapią się na skradzioną maskę. Chciała jak najprędzej zobaczyć, kto dokonał włamania i kradzieży.

Strażnik nacisnął klawisz przewijania i licznik czasu znów przyśpieszył.

Trzy minuty... sześć minut... osiem minut...

Widoczna na monitorze administratorka coraz częściej przenosiła ciężar ciała z nogi na nogę i regularnie zerkała na zegarek.

– Przykro mi, że tak długo to trwało – odezwał się Langdon. – Wygląda pani na bardzo zmęczoną.

– Sama jestem sobie winna – odparła Marta. – Namawialiście mnie, abym poszła do domu, ponieważ mogli was wypuścić strażnicy, ale ja odmówiłam. Wydawało mi się, że to byłby z mojej strony afront.

Nagle administratorka zniknęła z pola widzenia kamery. Strażnik natychmiast spowolnił nagranie do czasu rzeczywistego.

– Bez paniki – uspokoiła go Marta. – Pamiętam, że musiałam iść do łazienki.

Strażnik skinął głową i znów sięgnął do klawisza szybkiego przewijania. Nie zdążył go jednak wcisnąć, gdyż chwyciła go za rękę.

– *Aspetti!*

Przechyliła głowę, przyglądając się nagraniu z rosnącym zdziwieniem.

Langdon też coś zauważył.

Co u licha?...

Widoczny na ekranie Robert sięgnął do kieszeni, by wyciągnąć z niej parę lateksowych rękawiczek. Właśnie naciągał je na dłonie.

Równocześnie Il Duomino zajął pozycję za jego plecami, spoglądając w stronę korytarza, w którym przed momentem zniknęła Marta. Po kilku sekundach otyły kompan skinął na Langdona, jakby dawał mu znak, że teren jest czysty.

Co my u licha robimy?!

Robert obserwował, jak wyciąga rękę i maca krawędź gabloty, aby zaraz niezwykle ostrożnym ruchem, nadwerężając stare zawiasy, pociągnąć drzwiczki, otworzyć gablotę i odsłonić pośmiertną maskę Dantego.

Marta Alvarez jęknęła z przerażenia, zasłaniając usta obiema dłońmi.

Langdon, podzielając jej uczucia, z niedowierzaniem oglądał dalej nagranie, które pokazywało, że sięga do gabloty i oburącz

wyjmuje maskę.

– *Dio, mi salvi!* – wybuchnęła administratorka, zrywając się z krzesła i obracając twarzą do Roberta. – *Cos'ha fatto? Perchè?*

Zanim Langdon zdołał odpowiedzieć, jeden ze strażników wyszarpnął z kabury czarną berettę i wymierzył prosto w jego pierś.

Jezu!

Robert patrzył w wylot lufy, czując, że ściany niewielkiego pomieszczenia zaciskają się wokół niego. Marta Alvarez stała tuż przed nim z poczuciem zdrady wyzierającym z jej zdziwionych oczu. Tymczasem na nagraniu Langdon unosił maskę, by przyjrzeć jej się w lepszym świetle.

– Wyjąłem ją tylko na moment – bronił się, mając nadzieję, że to prawda. – Ignazio twierdził, że nie będziesz nam miała tego za złe.

Administratorka nie odpowiedziała. Wyglądała na oszołomioną – nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ją okłamywał... i dlaczego stał tu tak spokojnie, wiedząc, że nagranie ujawni całą prawdę o jego czynie.

Nie miałem pojęcia, że otwierałem tę gablotę!

– Robercie – wyszeptała Sienna. – Spójrz! Chyba coś znalazłeś!

Ani na moment nie oderwała wzroku od ekranu, jakby to wszystko jej nie dotyczyło. Skupiała całą uwagę na znalezieniu odpowiedzi.

Langdon z nagrania wciąż trzymał maskę wysoko, ustawiając ją teraz pod kątem do źródła światła. Widać było, że zainteresował go jakiś szczegół ukryty po wewnętrznej stronie artefaktu. Był ustawiony w ten sposób, że przez mgnienie oka mogło się

wydawać, że nałożył maskę. Widząc to teraz, zadrżał, przypominając sobie napis z obrazu: „Prawdę można ujrzeć wyłącznie oczami śmierci".

Nie miał pojęcia, co znalazł po wewnętrznej stronie maski, lecz w tym właśnie momencie na nagraniu podzielił się swoim odkryciem z Ignaziem, a ten cofnął się, sięgnął po okulary i spojrzał na wskazane miejsce, raz, a potem drugi... i kolejny. Zaczął kręcić głową, wyglądając na poruszonego.

Nagle obaj mężczyźni odwrócili głowy, jakby usłyszeli jakiś dźwięk dobiegający z korytarza – zapewne Martę wracającą z toalety. Langdon szybko wyciągnął z kieszeni foliowy zamykany worek, do którego wsunął maskę, po czym zachowując wszelką ostrożność, podał ją kompanowi, ten zaś, okazując wyraźne wahanie, ukrył skarb w swojej aktówce. Robert zamknął w tym czasie gablotę, by obaj mogli się nad nią pochylić, zanim wracająca administratorka zauważy, że dokonali kradzieży.

Teraz już obaj strażnicy mierzyli do Amerykanina.

Marta zachwiała się tak mocno, że musiała oprzeć dłoń na blacie, by nie stracić równowagi.

– Nic nie rozumiem! – wymamrotała. – Pan, profesorze, i Ignazio Busoni ukradliście maskę pośmiertną Dantego?

– Nie! – zaprotestował Langdon, blefując najlepiej jak umiał. – Właściciel maski dał nam pozwolenie na wyniesienie jej z muzeum na jedną noc.

– Właściciel maski dał wam pozwolenie? – zdziwiła się. – Bertrand Zobrist?

– Tak. Pan Zobrist wyraził zgodę na zbadanie znaków umieszczonych na wewnętrznej stronie maski! Spotkaliśmy się

z nim wczoraj wieczorem!

Oczy Marty miotały błyskawice.

– Jestem pewna, profesorze, że nie mógł pan się z nim spotkać minionego wieczoru.

– Tak było, zapewniam...

Sienna uciszyła go w pół zdania, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Robercie... – westchnęła ciężko. – Sześć dni temu Bertrand Zobrist rzucił się ze szczytu wieży Badia, tej, która znajduje się zaledwie kilka przecznic stąd.

Rozdział 42

Vayentha zostawiła motocykl na północ od Palazzo Vecchio, po czym zbliżyła się do celu, idąc skrajem piazza della Signoria. Przeciskając się przez tłumy turystów zgromadzone przy galerii rzeźby Loggia dei Lanzi, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że wszystkie wystawione tutaj posągi są wariacjami na jeden temat: dominacji mężczyzn nad kobietami.

Porwanie Sabinek.

Porwanie Poliksene.

Perseusz z głową Meduzy.

Cudnie, pomyślała, naciągając czapeczkę niżej na czoło i torując sobie drogę do otwieranych właśnie bram pałacu, przez które wpuszczano pierwsze grupki zwiedzających. Na pierwszy rzut oka był to kolejny zwykły dzień pracy w Palazzo Vecchio.

Ani śladu policji, zauważyła. Przynajmniej na razie.

Dopięła kurtkę aż po szyję, upewniając się, że nikt nie zauważy ukrytej pod nią broni, i ruszyła w stronę wejścia. Kierując się tabliczkami z napisem DO IL MUSEO DI PALAZZO, minęła dwa bogato zdobione atria, a potem wspięła się szerokimi schodami na piętro.

Po drodze powtarzała w myślach usłyszany komunikat: „Il Museo di Palazzo Vecchio... Dante Alighieri”.

Langdon po prostu musi tu być!

Strzałki doprowadziły ją do ogromnej przepysznie udekorowanej galerii, zwanej Salą Pięciuset, gdzie krążyły grupki zafascynowanych turystów przyglądających się zdobiącym ściany gigantycznym freskom. Vayentha, która nie przyszła tu, by podziwiać dzieła sztuki, szybko zlokalizowała kolejny kierunkowskaz. Umieszczony w najdalszej części pomieszczenia wskazywał na kolejne schody.

Idąc w tamtą stronę, zauważyła grupkę młodzieży uniwersyteckiej, która otoczyła wianuszkiem jeden z posągów, śmiejąc się i robiąc zdjęcia.

Herkules i Diomedes, przeczytała napis na tabliczce.

Przeniosła wzrok na posąg i jęknęła pod nosem.

Rzeźba przedstawiała dwóch herosów z mitologii greckiej – oczywiście całkowicie nagich – zwartych w zapaśniczym uścisku. Herkules trzymał Diomedesa do góry nogami, szykując się do wykonania nim rzutu, a ten drugi uchwycił się jego penisa, jakby chciał zapytać: „Jesteś pewien, że to dobry pomysł?”.

Vayentha skrzywiła się.

Chyba od tego wzięło się powiedzenie: trzymać kogoś za jaja...

Oderwała wzrok od osobliwego dzieła i raźno pokonała ciąg schodów dzielący ją od muzeum.

Trafiła na balkon, skąd miała doskonały widok na całą salę. Przed drzwiami na jego końcu, będącymi właściwym wejściem do muzeum, czekało już ponad dziesięć osób.

– Opóźnili otwarcie – rzucił przyjaznym tonem mężczyzna stojący w kolejce, odrywając na moment wzrok od ekraniku kamery.

– Wiadomo dlaczego? – zapytała.

– Nie, ale tu jest tak pięknie, że mogę poczekać! – Turysta zatoczył ramieniem szeroki łuk, wskazując leżącą poniżej Salę Pięciuset.

Vayentha podeszła do balustrady i obrzuciła spojrzeniem ogromne pomieszczenie w dole. Do schodów zbliżał się właśnie samotny policjant. Nikt nie zwracał na niego większej uwagi, ponieważ szedł między zwiedzającymi spokojnym krokiem.

Przyszedł, aby spisać zeznania, uznała.

Powolne ruchy funkcjonariusza zdawały się wskazywać, że potraktował wezwanie rutynowo – czyli całkiem inaczej niż oddział żandarmerii chaotycznie poszukujący Langdona przy Bramie Rzymskiej.

Dlaczego nie wpadli tutaj tłumnie, skoro wiedzą, że to robota Langdona?

Albo mylnie zakładała, że Amerykanin znajduje się w muzeum, albo lokalni stróże porządku i Brüder nie zdążyli jeszcze skojarzyć tych faktów.

Gdy funkcjonariusz wspiął się w końcu na stopnie i ruszył w kierunku drzwi, Vayentha instynktownie odwróciła głowę, udając, że spogląda za okno. Zważywszy na wykluczenie i długie ręce Zarządcy, wolała nie ryzykować rozpoznania.

– *Aspetta!* – zawołał ktoś w pobliżu.

Serce Vayenthy zamarło na moment, kiedy policjant stanął tuż za jej plecami. Na szczęście agentka szybko zrozumiała, że głos

dobiegał z krótkofalówki.

– *Attendi i rinforzi!* – usłyszała kolejny komunikat.

Czekaj na wsparcie? To zmieniało obraz sytuacji.

W tej samej chwili dostrzegła za oknem rosnący ciemny kształt. Coś zbliżało się do pałacu od strony Ogrodów Boboli.

Dron, zrozumiała. Czyli Brüder wie. I już tu jedzie.

Facylitator Laurence Knowlton wciąż był wściekły na siebie za telefon do Zarządcy. Powinien był się domyślić, jak przełożony zareaguje na sugestię, by obejrzał nagranie, które następnego dnia miało zostać przekazane mediom.

Zawartość nie ma znaczenia.

Nie wolno łamać zasad.

Knowlton wciąż pamiętał słowa, które jako początkujący facylitator powtarzał niczym mantrę, przystępując do pracy.

Nie zadajemy pytań. Robimy, co do nas należy.

Niechętnie dołożył czerwony flashpen do kupki przedmiotów, którymi miał się zająć jutro, nie przestając się w duchu zastanawiać, jak media wykorzystają to dziwaczne nagranie.

Czy w ogóle będą nim zainteresowane?... Oczywiście, że tak. Przecież to przesłanie Bertranda Zobrista!

Miliarder królował w nagłówkach wszystkich gazet i dzienników nie tylko z powodu swoich osiągnięć na polu biochemii, ale też dzięki samobójstwu popełnionemu w minionym tygodniu. Dziewięciominutowe nagranie może zostać potraktowane jako swoista wiadomość zza grobu – a gdy ludzie raz zaczną słuchać okropieństw, z trudem przychodzi im przerwanie transmisji.

To nagranie stanie się *viralem* w kilka minut po emisji.

Rozdział 43

Wściekła Marta Alvarez opuściła centralę monitoringu, zostawiając Langdona i jego nieuprzejmą siostrę trzymanych na muszce przez strażników. Podeszła do okna i wyjrzała na piazza della Signoria, czując ulgę na widok zaparkowanego radiowozu.

W samą porę.

Wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego ktoś tak szanowany w branży jak profesor Robert Langdon oszukał ją, i to w tak ordynarny sposób. Zgodziła się wyświadczyć mu zawodową przysługę, a on ukradł bezcenny artefakt.

I pomagał mu w tym sam Ignazio Busoni! Nie do wiary!

Marta wyjęła telefon komórkowy z zamiarem wygarnięcia dyrektorowi prosto z mostu, co o nim myśli, po czym zanim zdążyła zmienić zdanie, szybko wybrała numer jego biura, które mieściło się kilka przecznic dalej w Museo dell'Opera del Duomo.

W słuchawce rozległ się tylko jeden sygnał.

– *Uffizio di Ignazio Busoni* – usłyszała znajomy kobiecy głos.

Administratorka przyjaźniła się z osobistą sekretarką Il Duomino, ale dzisiaj nie miała ochoty na pogawędki.

– *Eugenia, sono Marta. Devo parlare con Ignazio.*

Po drugiej stronie zapadła dziwna cisza, a moment później jej rozmówczyni wybuchnęła histerycznym płaczem.

– *Cosa succede?* – zapytała Marta. O co chodzi?

Łkająca wciąż Eugenia wyjaśniła jej, że po przyjściu do pracy dowiedziała się, iż Ignazio doznał w nocy rozległego zawału serca. Jego zwłoki znaleziono w zaułku nieopodal Il Duomo. Około północy zadzwonił po karetkę, lecz ratownicy nie zdążyli na czas.

Nogi ugięły się pod Martą. Tego ranka mówili w wiadomościach o śmierci jakiegoś urzędnika, nie przypuszczała jednak, że może chodzić właśnie o Ignazia.

– *Eugenia, ascoltami...*

Ledwie nad sobą panując, opowiedziała o tym, co zarejestrowały kamery monitoringu: Ignazio i pilnowany obecnie przez uzbrojonych strażników Langdon wykradli maskę pośmiertną Dantego.

Nie była pewna, jakiej odpowiedzi powinna się spodziewać po roztrzęsionej koleżance, ale jedno nie ulegało kwestii: to, co usłyszała, niezmiernie ją zdziwiło.

– *Roberto Langdon?!* – wykrzyknęła Eugenia. – *Sei con Langdon ora?!...* – Jesteś z nim teraz?!

Sekretarka chyba nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji.

– Owszem, ale maska...

– *Devo parlare con lui!* – wrzasnęła sekretarka Il Duomino.

Muszę z nim porozmawiać!

Trzymany na muszce Robert wciąż zmagał się z bólem głowy. Nagle usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi i zobaczył Martę Alvarez.

Z zewnątrz dobiegało cichutkie brzęczenie drona, któremu towarzyszyło coraz głośniejsze zawodzenie policyjnych syren.

Dowiedzieli się, gdzie jesteśmy.

– *È arrivata la polizia* – powiedziała do strażników administratorka muzeum, posyłając jednego z nich, by sprowadził przybyłych funkcjonariuszy. Drugi pozostał za plecami Roberta, wciąż mierząc do niego z broni.

Ku zaskoczeniu profesora Marta wyciągnęła rękę z telefonem komórkowym.

– Ktoś chce z panem rozmawiać – rzuciła. – Musi pan wyjść na korytarz, inaczej nie będzie zasięgu.

Wspólnie opuścili ciasne pomieszczenie, przenosząc się na sąsiednią galerię, z której rozsłonecznionych okien mieli piękny widok na leżący poniżej plac. Robert, mimo że wciąż był trzymany na muszce, poczuł sporą ulgę po wydostaniu się z klaustrofobicznego pokoju.

Marta podała mu telefon i kazała stanąć pod oknem.

Amerykanin przyjął niepewnie aparat i przyłożył go do ucha.

– Słucham, tu Robert Langdon.

– *Signore* – usłyszał jakąś kobietę mówiącą po angielsku z silnym włoskim akcentem. – Nazywam się Eugenia Antonucci, jestem sekretarką Ignazia Busoniego. Spotkaliśmy się wczoraj wieczorem, gdy przyszedł pan do naszego biura.

Tego także nie pamiętał.

– Tak?...

– Przykro mi to mówić, ale Ignazio zmarł ubiegłej nocy na zawał serca.

Robert ścisnął mocniej komórkę.

Ignazio Busoni nie żyje?!

Kobieta zaczęła łkać.

– Ignazio zadzwonił do biura przed śmiercią... – z jej głosu przebijał wielki smutek. – Zostawił wiadomość i kazał ją panu przekazać. Zaraz ją panu odtworzę.

Langdon usłyszał jakieś szmery, a moment później rozległy się słowa odtwarzane z automatycznej sekretarki.

– Eugenio – Busoni dyszał ciężko, wyraźnie cierpiąc – zadbaj o to, by Robert Langdon usłyszał moje słowa. Mam problem. Wątpię, abym zdołał wrócić do biura... – jęknął i przez dłuższą chwilę panowała cisza. Gdy znów się odezwał, jego głos był znacznie słabszy. – Robercie, mam nadzieję, że zdołałeś uciec. Mnie ciągle gonią... ale... nie czuję się najlepiej. Spróbuję dotrzeć do jakiegoś lekarza, ale... – Znów długa przerwa, jakby Il Duomino po raz ostatni zbierał siły, a potem: – Słuchaj uważnie, Robercie. To, czego szukasz, zostało dobrze ukryte. Wrota staną przed tobą otworem, ale musisz się śpieszyć. Raj dwadzieścia pięć... – Znów przerwał, tym razem na jeszcze dłużej. – Powodzenia.

Na tym wiadomość się kończyła.

Langdon poczuł, że serce zaczyna mu walić jak oszalałe. Zdawał sobie sprawę z tego, że słyszał ostatnie słowa konającego człowieka. Jednakże nawet świadomość, że Ignazio Busoni w końcowych chwilach życia przemówił właśnie do niego, nie zdołała pokonać dręczącej go ciekawości.

Raj dwadzieścia pięć? Wrota staną przede mną otworem?

Zastanawiał się nad znaczeniem tych zdań. Jakie znowu wrota? Jedyne, co miało sens, to informacja, że Ignazio zdążył ukryć

maskę.

Eugenia znów pojawiła się na linii.

– Zrozumiał pan coś z tego, profesorze?

– Co nieco...

– Mogę panu w czymś pomóc?

Langdon zawahał się.

– Proszę zadbać o to, by nikt więcej nie usłyszał tej wiadomości.

– Nawet policja? Niedługo mają przyjść jacyś detektywi, by spisać moje zeznania.

Robert zesztywniał. Spojrzał na strażnika, który w dalszym ciągu mierzył do niego ze służbowej beretty. Obrócił się pośpiesznie do okna i zniżając głos do szeptu dodał:

– Eugenio... Wiem, że to zabrzmi dziwnie, ale trzeba skasować tę wiadomość dla zachowania dobrego imienia dyrektora. Niech pani też nie wspomina policji, że kiedykolwiek ze mną rozmawiała. Czy to jasne? Sytuacja jest bardzo skomplikowana, a...

Langdon poczuł nacisk lufy na swoich żebrach, a gdy odwrócił głowę, zobaczył, że strażnik domaga się zwrotu telefonu Marty.

W słuchawce panowała przez moment cisza, ale w końcu rozległ się znowu głos Eugenii.

– Profesorze, mój szef panu ufał... więc i ja panu zaufam.

Potem kobieta się rozłączyła, a Robert oddał telefon strażnikowi.

– Ignazio Busoni nie żyje – poinformował Siennę. – Zmarł na zawał serca minionej nocy po opuszczeniu muzeum... – Zamilkł na moment. – Maska jest bezpieczna. Zdążył ją ukryć przed śmiercią.

I chyba zostawił mi podpowiedź, jak ją znaleźć. „Raj dwadzieścia pięć".

W oczach Sienny pojawiła się nadzieja, jednakże kiedy Langdon odwrócił się do administratorki, natychmiast przygasła.

– Marto – odezwał się Robert. – Oddam ci maskę, ale musisz nas wypuścić. I to zaraz.

Roześmiała się głośno.

– Nie ma mowy! To ty ukradłeś maskę! Policja już tu jest...

– *Signora Alvarez* – przerwała jej niespodziewanie Sienna. – *Mi dispiace, ma non le abbiamo detto la verità*.

Langdona zatkało. Co ona wyprawia?! Zrozumiał każde słowo w zdaniu: „Pani Alvarez, przepraszam, że nie powiedzieliśmy pani prawdy".

Marta wyglądała na równie zaskoczoną, zwłaszcza że stojąca przed nią blondynka nagle zaczęła mówić płynną włoszczyzną.

– *Innanzitutto, non sono la sorella di Robert Langdon* – oświadczyła Sienna przepraszającym tonem. Przede wszystkim nie jestem siostrą Roberta Langdona...

Rozdział 44

Marta Alvarez cofnęła się o krok i złożywszy ręce na piersiach, wpatrywała się w stojącą przed nią młodą blondynkę.

– *Mi dispiace* – kontynuowała tymczasem Sienna, wciąż mówiąc płynnie po włosku. – *Le abbiamo mentito su molte cose...*

Okłamaliśmy panią w tak wielu kwestiach.

Strażnik wyglądał na równie zdziwionego jak administratorka, lecz nie opuścił broni.

Lekarka zaczęła mówić szybciej, nadal w tym samym języku opowiadając Marcie o tym, że pracowała we florenckim szpitalu, do którego Langdon dotarł minionej nocy z raną postrzałową głowy. Wyjaśniła też, że Robert nie pamiętał wydarzeń, które poprzedzały napaść na niego, i dlatego był tak zaskoczony, widząc nagrania.

– Pokaż jej ranę – poprosiła Amerykanina.

Gdy administratorka muzeum zobaczyła szwy pod zmierzwionymi włosami Roberta, przysiadła z wrażenia na parapecie, zakrywając usta dłońmi.

W ciągu ostatnich dziesięciu minut dowiedziała się nie tylko, że na jej zmianie skradziono maskę pośmiertną Dantego, ale

również że złodziejami byli szanowany amerykański profesor i jej zaufany przyjaciel z Florencji, który w dodatku zdążył umrzeć. Co więcej, Sienna Brooks, którą Marta miała za piękną młodszą siostrę Langdona, okazała się lekarką i przyznała się – płynną włoszczyzną – do okłamania jej w wielu sprawach.

– Marto – odezwał się Langdon łagodnie. – Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale ja naprawdę nie pamiętam nic z ubiegłej nocy. Nie mam pojęcia, dlaczego ukradliśmy z Ignaziem tę maskę.

Wyczytała z jego oczu, że mówi prawdę.

– Zwrócę ci ją – obiecał. – Masz na to moje słowo. Ale nie zdołam tego zrobić, jeśli nas nie wypuścisz. Sytuacja jest naprawdę skomplikowana, dlatego musisz to zrobić. I to zaraz.

Marta nie miała zamiaru nikogo wypuszczać, choć bardzo jej zależało na odzyskaniu maski.

Gdzie jest ta policja?!

Spojrzała w dół na pojedynczy radiowóz stojący na piazza della Signoria. To dziwne, że funkcjonariusze nie dotarli jeszcze do muzeum. Z oddali dobiegało dziwne buczenie przypominające odgłosy piły mechanicznej. Z każdą chwilą stawało się głośniejsze.

Cóż to takiego?...

Langdon uderzył w błagalne tony.

– Marto, znasz przecież Ignazia. Nie zabrałby maski, gdyby nie miał naprawdę dobrego powodu. Tu chodzi o coś ważnego. Właściciel maski, Bertrand Zobrist, pogubił się ostatnimi czasy. Uważamy, że może być zamieszany w przerażającą zbrodnię. Nie mamy czasu na szczegółowe wyjaśnienia, dlatego prosimy cię, byś nam zaufała.

Administratorka spoglądała na niego, robiąc wielkie oczy. To wszystko nie miało najmniejszego sensu.

– Pani Alvarez – pałeczkę przejęła Sienna, mierząc Martę twardym spojrzeniem. – Jeśli zależy pani na przyszłości i na potomstwie, musi nas pani wypuścić. Natychmiast.

Administratorka zasłoniła brzuch obronnym gestem. Nie spodobała jej się ta zawoalowana groźba pod adresem nienarodzonego dziecka.

Brzęczenie na zewnątrz faktycznie robiło się coraz głośniejsze, ale gdy wyjrzała przez okno, nie dostrzegła źródła hałasu. Zobaczyła za to coś innego.

Strażnik też to widział, sądząc po jego minie.

Tłumy turystów zwiedzających piazza della Signoria rozstępowały się przed kawalkadą radiowozów. Policja jechała w całkowitej ciszy, z wyłączonymi kogutami, prowadzona przez dwie czarne furgonetki, które właśnie dotarły do wrót pałacu, przed którymi skręciły, by się zatrzymać. Wyskoczyli z nich żołnierze w czarnych mundurach i ściskając w dłoniach karabiny maszynowe, pomknęli w kierunku bramy.

Marta poczuła rosnący strach.

Kim oni są u licha?

Strażnik wyglądał na nie mniej zaniepokojonego niż ona.

Brzęczenie stało się nagle bardzo wyraźne. Administratorka odskoczyła od okna, kiedy pojawił się za nim miniaturowy helikopter.

Maszyna zawisła nie dalej niż dziesięć metrów od ściany pałacu, jakby jej zadaniem była obserwacja ludzi znajdujących się w środku. Była niewielka, mierzyła najwyżej metr długości, a na

dziobie miała zamontowany spory czarny cylinder. Właśnie skierowała jego wylot prosto na nich.

– Zaraz będzie strzelać! – wrzasnęła Sienna. – *Sta per sparare!* Wszyscy padnij! *Tutti a terra!* – Przyklęknęła pod oknem, a przerażona Marta instynktownie poszła za jej przykładem. Strażnik też, nie czekając, schronił się i zaczął mierzyć z broni do miniaturowego helikoptera.

Przykucnięta niezdarnie Marta zauważyła, że Langdon nadal stoi, spoglądając ze zdziwieniem w oczach na Siennę, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że znaleźli się w niebezpieczeństwie. Lekarka zerwała się z podłogi, chwyciła Amerykanina za rękę i pociągnęła go w głąb korytarza. Chwilę później pędzili już razem w kierunku głównego wyjścia z pałacu.

Strażnik obrócił się błyskawicznie, przyklęknął jak snajper i uniósł pistolet na wysokość oczu, mierząc w plecy uciekinierów.

– *Non spari!* – rozkazała mu Marta. – *Non possono scappare.*

Nie strzelaj! I tak nie uciekną.

Langdon i Sienna zniknęli za załomem ściany, ale administratorka była pewna, że lada moment natkną się na nadbiegających z przeciwnej strony żandarmów.

– Szybciej – ponaglała Sienna, pędząc z Robertem tym samym korytarzem, którym tutaj przybyli. Miała nadzieję, że dotrą do wyjścia, zanim zaroi się tam od policji, po chwili jednak dotarło do niej, że szanse na takie rozwiązanie są bliskie zera.

Wszystko wskazywało na to, że Langdon myśli podobnie. Zatrzymał się bez ostrzeżenia na jednym z rozwidleń.

– Tędy nigdy się nie wydostaniemy.

– Chodźże! – Sienna próbowała namówić go do dalszej ucieczki. – Robercie, nie możemy stać na widoku!

Sprawiający wrażenie rozkojarzonego Langdon spoglądał w głąb krótkiego przejścia po lewej, które kończyło się niewielką, źle oświetloną komnatą bez drzwi i okien. Jej ściany pokrywały antyczne mapy, a środek podłogi zdobił masywny żelazny globus. Robert zmierzył go wzrokiem i zaczął kiwać głową, najpierw jakby nieśmiało, a potem z większym wigorem.

– Tędy – powiedział, ruszając w kierunku globusa.

Sienna pobiegła za nim wbrew zdrowemu rozsądkowi. Korytarz prowadził w głąb muzeum, nie do wyjścia.

– Robercie – wysapała, doganiając go w końcu. – Którędy zamierzasz stąd uciec?

– Przez Armenię – odparł.

– Przez co?

– Przez Armenię – powtórzył, spoglądając gdzieś w dal. – Zaufaj mi.

Piętro niżej, na balkonie Sali Pięciuset, ukryta w tłumie wylęknionych turystów Vayentha spod nasuniętej na czoło czapeczki obserwowała ludzi Brüdera, którzy mijali ją, pędząc w stronę muzeum. Z dołu dobiegał rezonujący echem łoskot ryglowanych przez policję drzwi.

Jeśli Langdon naprawdę był w pałacu, został otoczony.

Ona, niestety, też.

Rozdział 45

Wyłożona boazeriami i kasetonami Sala Map różniła się znacznie od pozostałych pomieszczeń Palazzo Vecchio, gdzie niezmiennie rządziły surowy kamień i tynk. Służące za garderobę pomieszczenia mieściły dziesiątki szaf i szafek, w których przetrzymywano ruchome dobra wielkiego księcia. Dzisiaj wszystkie ściany ozdobiono rozwieszonymi mapami – pięćdziesięcioma trzema płachtami ręcznie malowanej skóry – przedstawiającymi świat znany geografom połowy szesnastego wieku.

Ta niesamowita kolekcja kartograficzna bladła jednak w cieniu wielkiego globusa, który stał pośrodku komnaty. Znana jako *Mappa Mundi* wysoka na prawie dwa metry sfera była największym obrotowym globusem swoich czasów, a można ją było poruszyć jednym palcem, i to bez większego wysiłku. Dzisiaj miejsce to było ostatnim przystankiem turystów, którzy przemierzyli niekończące się ciągi sal wystawowych, docierając na koniec do ślepego zaułka. Okrążając globus, ruszali w drogę powrotną.

Langdon i Sienna dotarli do Sali Map ciężko zdyszani. Przed nimi wznosiła się majestatyczna *Mappa Mundi*, jednakże

Langdon nawet na nią nie spojrzał. Jego wzrok błądził od początku po ścianach komnaty.

– Musimy znaleźć Armenię! – powiedział. – Mapę Armenii!

Sienna, nie okazując zdziwienia tym żądaniem, natychmiast pobiegła w kierunku map wystawianych po prawej. Robert rozpoczął poszukiwania od lewej strony ekspozycji.

Arabia, Hiszpania, Grecja...

Każdy z tych krajów odwzorowano z zadziwiającą precyzją, zważywszy, że mapy powstawały przed niemal pięcioma wiekami, w czasach, gdy nie odkryto jeszcze i nie opisano zdecydowanej większości świata.

Gdzie jest Armenia?

Odwołując się do swojej fotograficznej pamięci, Langdon próbował odtwarzać trasę, którą przebył podczas pamiętnej wycieczki „śladami tajemnych przejść". Miał z tym jednak niemały problem, głównie za sprawą drugiego kieliszka wina Gaja Nebbiolo, którym raczył się podczas lunchu tuż przed rozpoczęciem zwiedzania. Co ciekawe, słowo „nebbiolo" oznacza mgiełkę, a ta właśnie spowijała jego wspomnienia. Mimo to nadal pamiętał, że pokazywano mu wtedy wiszącą w tej sali mapę – przedstawiającą, rzecz jasna, Armenię – która miała niezwykłe właściwości.

Wiem, że ona gdzieś tu jest, pomyślał, idąc wzdłuż niekończącego się rzędu map.

– Armenia! – zawołała Sienna. – Tutaj!

Langdon obrócił się na pięcie i dostrzegł ją stojącą w pobliżu najdalszego narożnika sali. Kobieta wskazywała na mapę palcem z miną zdającą się mówić: „Znaleźliśmy Armenię i co dalej?".

Robert podbiegł do niej, nie wdając się w wyjaśnienia, na które nie mieli czasu. Uniósł rękę, chwycił za masywną drewnianą ramę i pociągnął ją mocno ku sobie. Mapa odsunęła się od ściany razem ze sporym kawałkiem boazerii, odsłaniając ukryte przejście.

– No, no, no – mruknęła pod nosem Sienna, nie kryjąc podziwu. – To ci Armenia.

Nie zastanawiając się wiele, zagłębiła się w przejście, znikając bez obaw w mrocznym wnętrzu. Langdon uczynił to samo, domykając mapę za sobą.

Mimo lekkiego rauszu podczas tamtej wycieczki ten korytarz wrył mu się mocno w pamięć. Robert i Sienna właśnie znaleźli się „po drugiej stronie lustra" – w Palazzo Invisibile, ukrytym świecie, który istniał między ścianami Palazzo Vecchio. Była to zamknięta domena, do której dostęp miał tylko wielki książę i jego najbardziej zaufani zausznicy.

Langdon zatrzymał się na moment tuż za wejściem, aby zaznajomić się z nowym otoczeniem – a był to tunel z jasnego kamienia oświetlony naturalnym blaskiem wpadającym przez szereg niewielkich okienek. Przejście kończyło się około pięćdziesięciu metrów dalej masywnymi drewnianym drzwiami.

Spojrzał w lewo na wąskie kręte schody prowadzące w dół. Drogę do nich przegradzał gruby łańcuch, a nad stopniami wisiała tabliczka z ostrzeżeniem: USCITA VIETATA.

Ruszył w tamtym kierunku.

– Nie! – zawołała Sienna. – Tam jest napisane: „Przejścia nie ma".

– Dzięki – mruknął, uśmiechając się krzywo. – Umiem czytać po włosku.

Odczepił łańcuch, po czym przeciągnął do ukrytych drzwi i szybko zablokował nim możliwość ponownego otwarcia – wystarczyło obwiązać ogniwa wokół klamki i klamry na ścianie, by nikt w najbliższym czasie nie zdołał odciągnąć ramy.

– No tak – powiedziała skruszonym tonem Sienna. – Świetny pomysł.

– To nie powstrzyma ich na zbyt długo – odparł Langdon – ale jeśli się pośpieszymy... Trzymaj się blisko mnie.

Gdy w końcu udało im się otworzyć przejście za mapą Armenii, Brüder i jego ludzie wbiegli tłumnie do wąskiego korytarzyka, kierując się prosto na drzwi widoczne po przeciwnej stronie. Otworzywszy je, agent poczuł na twarzy powiew chłodnego powietrza i natychmiast został oślepiony jasnym blaskiem słońca.

Znalazł się na zewnętrznym pomoście ciągnącym się wzdłuż krawędzi dachu. Prześledził wzrokiem całą jego długość aż do następnych drzwi prowadzących znów do budynku, po czym spojrzał w lewo, gdzie niebotyczne sklepienie Sali Pięciuset wznosiło się niczym szczyt góry.

Tamtędy nie mogli przejść.

Następnie spojrzał na prawo, gdzie obok pomostu widać było głęboki szacht oświetleniowy.

Tu czekałaby ich pewna śmierć.

Znowu skupił wzrok na jedynej drodze ucieczki.

– Tam!

Ruszyli pomostem w kierunku drugich drzwi. Dron zwiadowczy krążył nad ich głowami niczym sęp.

Gdy Brüder otworzył drzwi, zatrzymał się jak wryty, a biegnący za nim ludzie omal nie poprzewracali się jeden na

drugiego.

Trafili do niewielkiej komnaty, z której było tylko jedno wyjście – przez drzwi, którymi się tutaj dostali. Pod jedną ścianą stało samotne drewniane biurko. Namalowane na suficie groteskowe gęby zdawały się kpić z zaskoczonych intruzów.

Ślepy zaułek!

Jeden z ludzi Brüdera wszedł do wnętrza, by sprawdzić treść tabliczki informacyjnej.

– Chwileczkę – powiedział. – Napisano tutaj, że w tej komnacie jest *finestra*, czyli coś w rodzaju ukrytego okna.

Brüder przyjrzał się uważnie wszystkim ścianom, ale nie dostrzegł niczego takiego. Podszedł więc do tabliczki, by sprawdzić ją osobiście.

Wyglądało na to, że trafili do komnaty, która służyła kiedyś za prywatny gabinet księżnej Biance Cappello i która rzeczywiście miała ukryte okno – *una finestra segrata* – przez które rzeczona arystokratka mogła słuchać, jak jej małżonek przemawia w Sali Pięciuset.

Brüder przyjrzał się otoczeniu raz jeszcze i tym razem zauważył niewielką kratę osadzoną w jednej ze ścian.

Czyżby uciekli tą drogą?

Podszedł i obejrzał kratę starannie. Jego zdaniem otwór był zbyt mały, by mógł się przez niego przecisnąć ktoś postury Langdona. Zbliżył twarz do kraty i zajrzał do wnętrza otworu, upewniając się ostatecznie, że nikt nie mógł tędy uciec. Po drugiej stronie znajdowała się studnia prowadząca kilka pięter w dół, aż do poziomu Sali Pięciuset.

Gdzie więc się podziali, u diabła?!

Omiatał wzrokiem niewielką kamienną izbę, czując narastającą frustrację. Rzadko zdarzało mu się nie panować nad emocjami, ale w tym momencie musiał sobie pofolgować. Odchylił mocno głowę i zawył na cały głos.

W tak niewielkim pomieszczeniu był to ogłuszający dźwięk.

Policjanci i turyści przebywający w znajdującej się dużo niżej Sali Pięciuset zamarli, kierując wzrok na kratę umieszczoną wysoko na jednej ze ścian. Sądząc po dobywających się z niej rykach, dawny tajny gabinet księżnej służył ostatnio za klatkę do przetrzymywania dzikich zwierząt.

Sienna Brooks i Robert Langdon stali w całkowitych ciemnościach.

Kilka minut wcześniej kobieta przyglądała się, jak Robert mocuje sprytnie otwieraną mapę Armenii, a potem odwraca się i ucieka.

Ku jej zaskoczeniu nie pobiegł jednak ku widocznym w oddali drzwiom, lecz zaczął wchodzić po stopniach, nad którymi wisiała tabliczka z ostrzeżeniem: USCITA VIETATA.

– Robercie – wyszeptała zaskoczona. – Tam jest napis „przejścia nie ma". Poza tym wydawało mi się, że powinniśmy kierować się w dół.

– I zejdziemy – zapewnił ją Langdon, zerkając przez ramię. – Ale czasem trzeba iść w górę... żeby znaleźć się na dole. – Puścił do niej oko. – Pamiętasz pępek Szatana?

O czym on u licha mówi?

Skonfundowana Sienna ruszyła jego śladem.

– Czy ty w ogóle czytałaś *Piekło*?

Tak... ale miałam wtedy siedem lat.

Chwilę później dotarło do niej, o czym mówił Robert.

– No tak, pępek Szatana! – rzuciła. – Przypomniałam sobie.

Trochę to trwało, ale w końcu pojęła, że Langdonowi chodziło o zakończenie *Piekła* Dantego. W ostatniej pieśni, by uciec z piekielnej otchłani, bohater musi wspiąć się na włochate brzuszysko Szatana, a gdy dociera do pępka największego z diabłów – czyli do rzekomego środka Ziemi – grawitacja nagle zmienia kierunek i Dante, schodząc nadal w dół... zaczyna wspinaczkę do Czyśćca.

Sienna pamiętała z lektury naprawdę niewiele prócz tego, że jej zdaniem ten absurd ze zmianą kierunków we wnętrzu Ziemi musiał świadczyć o tym, iż autor nie miał bladego pojęcia o prawach fizyki.

Dotarli do szczytu schodów, gdzie Langdon otworzył jedyne drzwi, jakie udało im się znaleźć. Nad nimi widniał napis: SALA DEI MODELLI DI ARCHITETTURA.

Weszli do środka, po czym Robert zaryglował drzwi.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było niewielkie i proste. Wystawiono w nim kilka gablot prezentujących drewniane modele projektów architektonicznych Vasariego, głównie komnat tego pałacu. Sienna nie zwracała jednak uwagi na eksponaty. Bardziej ciekawiło ją to, że komnata nie ma okien ani innych drzwi i że zgodnie z ostrzeżeniem prowadzi donikąd.

– W połowie czternastego wieku – wyszeptał Langdon – w pałacu objął panowanie książę Aten, który nakazał wybudowanie tego sekretnego przejścia na wypadek niespodziewanego ataku. Te niepozorne Schody Księcia Aten, jak je nazywają, prowadzą do niewielkiej klapy na murze w jednej z bocznych uliczek. Jeśli uda

nam się do nich dotrzeć, nikt nie zauważy, że opuszczamy pałac. – Wskazał na jeden z modeli. – Spójrz. Są tutaj.

Wlókł mnie tu, żebym oglądała z nim modele?

Niechętnie powiodła spojrzeniem za jego palcem i zobaczyła tajne schody prowadzące z górnej kondygnacji pałacu aż na poziom ulicy. Zostały sprytnie ukryte między zewnętrznymi i wewnętrznymi ścianami pałacu.

– Widzę je, Robercie – odparła – ale one znajdują się po przeciwnej stronie pałacu. Nigdy się tam nie dostaniemy!

– Okaż odrobinę wiary! – rzucił, krzywiąc się teatralnie.

Głośny huk dobiegający gdzieś z dołu uzmysłowił im, że mapa Armenii została właśnie sforsowana. Skamienieli, wsłuchując się w odgłosy kroków ludzi biegnących w głąb korytarza. Żadnemu z żołnierzy nie wpadło do głowy, by sprawdzać schody, zwłaszcza że widniał nad nimi napis PRZEJŚCIA NIE MA.

Gdy hałasy w dole umilkły, Langdon przemierzył pewnym krokiem komnatę i mijając po drodze kilka gablot, zbliżył się do czegoś, co przypominało z wyglądu wiszącą na ścianie szafkę. Miała wymiary metr na metr, a jej dolna krawędź znajdowała się na wysokości pasa. Robert sięgnął bez wahania do klamki i otworzył ją na całą szerokość.

Zaskoczona Sienna cofnęła się o krok.

Wnętrze szafki wypełniał przepastny mrok... jakby ten niepozorny drewniany mebel był portalem do innego świata. W głębi widać było jedynie ciemność.

– Idziemy! – rzucił Langdon.

Chwycił wiszącą na ścianie obok latarkę, a potem z zadziwiającą zręcznością podciągnął się do otworu i zniknął

wewnątrz króliczej nory.

Rozdział 46

La Soffitta, pomyślał Langdon. Najbardziej niesamowite poddasze na świecie.

Wnętrze pachniało stęchlizną i starożytnością, jakby zbierający się tutaj od stuleci kurz utracił całkowicie wagę i odmawiając opadnięcia na posadzkę, wciąż unosił się w powietrzu. Zewsząd dobiegały przeciągłe skrzypienia i trzaski, przez co Robert miał wrażenie, że wspiął się do trzewi żyjącej bestii.

Gdy tylko znalazł solidne oparcie dla stóp na jednym z szerokich wiązarów, wyjął z kieszeni latarkę i omiótł snopem światła otaczające ich ciemności.

Przed sobą mieli coś, co przypominało niekończący się tunel poprzecinany trójkątnymi i kwadratowymi elementami z drewna, będącymi zwieńczeniami podpór, belek i innych detali architektonicznych, które tworzyły niewidzialny z dołu szkielet sufitu Sali Pięciuset.

To gigantyczne poddasze Langdon widział kilka lat temu – lekko zamroczony wytrawnym winem – podczas pamiętnej wycieczki po tajemnych zakamarkach pałacu. W ścianie wykuto niewielkie okienko, aby zwiedzający, przyświecając sobie

latarkami, mogli porównać rzeczywistość ze specjalnie ustawionymi obok modelami poszczególnych elementów konstrukcji.

Teraz jednak, znalazłszy się po drugiej stronie muru, bardzo się zdziwił, że dzieło starych mistrzów przypomina wnętrza wielkich stodół z Nowej Anglii. Tu także stosowano klasyczne wiązary i zastrzały.

Sienna również już się przecisnęła przez otwór i natychmiast przykucnęła dla złapania równowagi. Wyglądała przy tym na mocno zdezorientowaną. Langdon raz jeszcze oświetlił najbliższe otoczenie, aby mogła przyjrzeć się niezwykłym widokom.

Z tego miejsca lekarka miała przed oczyma długi ciąg podobnych drewnianych konstrukcji, które malały powoli, by zniknąć w mroku i dali. Pod stopami nie czuła typowej podłogi. Były tylko gołe belki przypominające szeregi długich podkładów kolejowych.

Langdon wskazał na kraniec długiego szybu, mówiąc ściszonym głosem:

– Znajdujemy się teraz nad Salą Pięciuset. Jeśli uda nam się przejść na drugą stronę, dotrzemy do Schodów Księcia Aten.

Sienna spojrzała sceptycznie na otaczający ich labirynt belek i wsporników.

Aby pokonać to poddasze, będziemy musieli przeskakiwać z belki na belkę jak dzieci bawiące się na torach kolejowych.

Zastrzały były ogromne, każdy składał się z wielu belek połączonych żelaznymi obejmami, dzięki czemu całość miała szerokość pozwalającą na swobodne przejście. Niestety znajdowały

się zbyt daleko od siebie, by można było po nich bezpiecznie skakać.

– Nie doskoczę do następnego – wyszeptała Sienna.

Langdon także wątpił, by zdołał tego dokonać, a upadek oznaczał pewną śmierć. Skierował latarkę w dół, pomiędzy dźwigary.

Dwa i pół metra niżej na licznych prętach wisiała szara pozioma płaszczyzna – coś w rodzaju podłogi – ciągnąca się po kres pola widzenia. Mimo pozorów solidności Langdon wiedział, że to jedynie płótno pokryte grubą warstwą kurzu. Tak właśnie wyglądała wewnętrzna powierzchnia słynnego wiszącego sufitu Sali Pięciuset – ogromnej konstrukcji składającej się z trzydziestu dziewięciu drewnianych kasetonów, w których eksponowano obrazy Vasariego ułożone obok siebie jak kawałki materiału na patchworkowej narzucie.

Sienna wskazała na zakurzoną płaszczyznę.

– Da się po tym przejść na drugą stronę?

Owszem, jeśli uśmiecha ci się spadnięcie na posadzkę Sali Pięciuset i zniszczenie bezcennych dzieł Vasariego.

– Szczerze mówiąc, znam lepszą drogę – oświadczył najspokojniej jak umiał, aby jej nie straszyć, i ruszył po dźwigarze w kierunku centralnej części kręgosłupa poddasza.

Podczas poprzedniej wizyty oprócz podziwiania modeli i świecenia latarką przez okienko w ścianie zaproponowano mu także zwiedzenie tej części poddasza, aczkolwiek dostał się tutaj drzwiami znajdującymi się po przeciwnej stronie. Jeśli zamglona winem pamięć go nie myliła, środkiem konstrukcji biegł prosty

pomost prowadzący na sporą platformę widokową umieszczoną nad środkiem sali.

Ile kieliszków wypiłem tamtego dnia?!...

Zamiast pomostu ujrzał zbite byle jak deski, którymi połączono kolejne dźwigary, tworząc coś na kształt prymitywnego rusztowania. Może akrobata czułby się tutaj dobrze, ale na pewno nie zwykły człowiek.

Wszystko wskazywało na to, że pomost dla turystów doprowadzono do platformy tylko z jednej, i to przeciwnej, strony. Tutaj goście nie mieli już wstępu. Rusztowanie powstało wyłącznie po to, by inżynierowie mogli dokonywać przeglądów najdalszych zakamarków poddasza.

– Chyba czeka nas spacer po desce – rzucił Langdon, zerkając podejrzliwie na wąskie przejście.

Sienna zbyła jego słowa wzruszeniem ramion.

– Nie jest gorzej niż w Wenecji podczas powodzi.

Robert musiał jej przyznać rację. Kiedy w czasie jednej z jego wypraw do Wenecji plac Świętego Marka znalazł się pod półmetrową warstwą wody, musiał przejść z hotelu do bazyliki, poruszając się po kładkach zrobionych z desek ustawionych na pustakach i odwróconych do góry dnem wiadrach. Aczkolwiek ryzyko zamoczenia mokasyna w brudnej wodzie znacznie się różniło od przelecenia przez któreś z arcydzieł renesansu w drodze na spotkanie niechybnej śmierci.

Oddalając od siebie podobną wizję, postawił stopę na wąskiej desce z pewną miną, by nie wystraszyć do końca Sienny, która miała prawo się bać, choć na razie tego nie okazywała. Mimo pozorów opanowania serce waliło mu jak oszalałe, kiedy

pokonywał pierwszy odcinek pomiędzy dźwigarami. Gdy zbliżył się do jego centralnej części, deska ugięła się, trzeszcząc złowieszczo. Przyśpieszył natychmiast i niemal biegiem dotarł na kolejną oferującą bezpieczeństwo belkę.

Odsapnąwszy, odwrócił się, by oświetlić Siennie drogę i wesprzeć ją dobrym słowem, gdyby tego potrzebowała. Okazało się, że nie musiał tego robić. Ledwie promień latarki spoczął na prowizorycznym pomoście, lekarka przemknęła na drugą stronę z zadziwiającą zwinnością. Deska ledwie drgnęła pod jej wątłym ciałem i kilka sekund później stała już obok niego.

Zachęcony tym Langdon podjął wędrówkę. Sienna czekała, aż dotrze na następny dźwigar i odwróci się, by oświetlić jej drogę. Potem szybko do niego dołączyła. Złapawszy rytm, dwoje ludzi przemieszczało się po poddaszu w blasku jednej latarki. Z dołu, zza cienkiego sufitu, dolatywał skrzek policyjnych krótkofalówek. Langdon pozwolił sobie na blady uśmiech.

Szybujemy nad Salą Pięciuset, bezcieleśni i niewidzialni.

– Robercie – wyszeptała Sienna – czy Ignazio powiedział ci, gdzie szukać maski?

– Tak... ale użył do tego kodu. – Langdon wyjaśnił jej szybko, że dyrektor nie chciał zostawiać na nagraniu wskazówek dotyczących miejsca, w którym zostawił artefakt, dlatego użył swego rodzaju szyfru. – Odniósł się do raju, co moim zdaniem było aluzją do ostatniej części *Boskiej komedii*. A konkretnie powiedział: „Raj dwadzieścia pięć".

Sienna zerknęła na niego.

– Musiał mieć na myśli dwudziestą piątą pieśń.

– Zgadza się – przyznał Robert.

Pieśń, czyli *canto*, była w tym wypadku ekwiwalentem rozdziału. Nazwa ta wiązała się z dawną tradycją śpiewania epickich poematów. *Boska komedia* składała się ze stu pieśni i była podzielona na trzy części.

Piekło: 1–34
Czyściec: 1–33
Raj: 1–33

Dwudziesta piąta pieśń *Raju*, powtórzył Langdon w myślach, mając nadzieję, że jego fotograficzna pamięć pomoże mu przypomnieć sobie całą treść tej pieśni. Po chwili wytężania umysłu poddał się i pogodził z tym, że będą musieli znaleźć egzemplarz dzieła Dantego.

– Ale to jeszcze nie wszystko – dodał. – Na koniec Ignazio powiedział mi coś takiego: „Wrota staną przed tobą otworem, ale musisz się śpieszyć”... – Zamilkł na moment i spojrzał przez ramię na Siennę. – Pieśń dwudziesta piąta wskazuje zapewne na konkretne miejsce we Florencji. I to takie, które posiada wrota.

Lekarka zamyśliła się.

– W tym mieście są dziesiątki wrót.

– Owszem. Dlatego musimy uważnie przeczytać całą dwudziestą piątą pieśń *Raju*. – Uśmiechnął się do niej z nadzieją. – Nie znasz przypadkiem *Boskiej komedii* na pamięć?

Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Czternaście tysięcy linijek archaicznej włoskiej książki, którą czytałam raz, i to w dzieciństwie? – Pokręciła głową. – To ty masz pamięć absolutną, profesorze. Ja jestem tylko lekarką.

Langdon zrozumiał, że Sienna nawet po tym wszystkim, co razem przeszli, nie zamierza się z nim dzielić wiedzą o swoim niezwykłym umyśle.

„Jestem tylko lekarką”? Mimowolnie roześmiał się pod nosem. Najskromniejszą lekarką pod słońcem, dodał w duchu, przypomniawszy sobie wycinki prasowe mówiące o jej nadzwyczajnych zdolnościach, które niestety, jak się okazało – i co w sumie można było przewidzieć – nie obejmowały wykucia na blaszkę najdłuższego epickiego poematu w historii literatury.

W kompletnej ciszy pokonali kilka kolejnych dźwigarów. W końcu Langdon ujrzał majaczący w ciemności znajomy kształt. Platforma widokowa! Rozchybotane deski prowadziły ku znacznie solidniejszej konstrukcji, w dodatku otoczonej balustradami. Jeśli zdołają się na nią wspiąć, dotrą szerokim pomostem do drzwi, które – z tego co Robert pamiętał – znajdowały się bardzo blisko Schodów Księcia Aten.

Podchodząc do platformy, Langdon zerknął w dół na podwieszany sufit. Mijane do tej pory kasetony miały jednakowe rozmiary, ten wszakże, nad którym szedł teraz, wydawał mu się o wiele większy.

Apoteoza Kosmy I, przypomniał sobie tytuł obrazu.

Kolisty obraz Vasariego, należący do najwybitniejszych dzieł tego artysty, zajmował centralną pozycję. Langdon bardzo często pokazywał swoim studentom slajdy wskazujące na liczne podobieństwa arcydzieła do znacznie późniejszej *Apoteozy Waszyngtona* zdobiącej amerykański Kapitol – co było jaskrawym przypomnieniem, że rodzące się Stany Zjednoczone zaczerpnęły z historii Włoch coś więcej niż tylko ustrój republikański.

Dzisiaj jednak Robert wolał minąć ten obraz czym prędzej, niż go podziwiać. Gdy przyśpieszył kroku, zerknął przez ramię, by poinformować Siennę, że są już bardzo blisko celu.

To sprawiło, że jego prawa stopa zamiast wylądować na desce, zawisła w połowie nad przepaścią. Kostka tego nie wytrzymała i Langdon poleciał do przodu, na poły potykając się, na poły biegnąc, ale nade wszystko próbując odzyskać równowagę.

Było jednak za późno.

Wyrżnął kolanami o deskę, na oślep macając, by chwycić się któregoś z poprzecznych dźwigarów. Latarka wypadła mu z ręki i poleciała z głośnym klekotem w dół, gdzie wylądowała na płótnie, które zadziałało jak sieć. Szamotanie się Roberta rozkołysało dodatkowo deskę, tak że ledwie zdołał postawić stopę na kolejnym dźwigarze, nie przybity do niczego kawał drewna poleciał w ponad dwumetrową przepaść i spadł z hukiem na obramowanie kasetonu.

Huk odbił się głośnym echem na całym poddaszu.

Przerażony Langdon z trudem wstał i natychmiast spojrzał w kierunku Sienny.

W mdłym blasku latarki, która leżała pod nimi na płótnie, dostrzegł, że lekarka stoi na sąsiednim dźwigarze, nie mając gdzie uciekać. W jej oczach zobaczył to, co sam przeczuwał. Huk spadającej deski musiał ich wydać.

Vayentha uniosła głowę ku ozdobnemu sufitowi.

– Szczury na poddaszu? – Mężczyzna z kamerą zażartował nerwowo, słysząc dobiegający z góry łomot.

I to duże, pomyślała agentka, przyglądając się okrągłemu obrazowi w samym środku. Spomiędzy kasetonów sypał się kurz,

mogłaby też przysiąc, że na płótnie zauważyła niewielkie wybrzuszenie... Jakby ktoś naciskał na nie z przeciwnej strony.

– Może któremuś z policjantów sprawdzających platformę widokową wypadła broń – rzucił jeden z turystów, przyglądając się wybrzuszeniu na obrazie. – Ciekawe, czego szukają. Niezłego zamieszania tu narobili.

– Platforma widokowa? – zainteresowała się Vayentha. – Można tam wchodzić?

– Jasne! – Rozmówca wskazał na wejście do muzeum. – Tuż za tymi drzwiami znajdują się schodki, którymi można się dostać na pomost biegnący na sam środek poddasza. Stamtąd w pełni widać geniusz Vasariego. Coś niesamowitego.

W Sali Pięciuset rozległ się nagle donośny głos Brüdera.

– Gdzie się więc podziali, u diabła?!

Te słowa, podobnie jak wrzaski, dobiegały zza kratownicy znajdującej się wysoko nad głową Vayenthy. Zatem agent przebywał obecnie w pomieszczeniu za ścianą, całe piętro niżej od sklepienia Sali Pięciuset.

Vayentha spojrzała raz jeszcze na wybrzuszenie zniekształcające obraz.

Szczury na poddaszu, pomyślała. Próbują znaleźć drogę ucieczki.

Podziękowała turyście z kamerą i zaczęła się przeciskać w kierunku drzwi muzeum. Były zamknięte, ale przy tych wszystkich policjantach ganiających tam i z powrotem na pewno nikt nie pamiętał o przekręceniu klucza w zamku.

I tym razem instynkt jej nie zawiódł.

Rozdział 47

Na zewnątrz, pośród chaosu rozpętanego przybyciem policji, w cieniu Loggia dei Lanzi stał mężczyzna w średnim wieku, z ogromnym zainteresowaniem obserwujący rozwój wydarzeń. Miał na twarzy okulary marki Plume Paris, krawat w esy-floresy i mały złoty kolczyk w uchu.

Pochłonięty widokiem nie zauważył nawet, że po raz kolejny drapie się po karku. Minionej nocy dostał wysypki, która ani myślała ustąpić: nowe pryszczyki zaczęły pojawiać się także na żuchwie, na karku, na policzkach, a nawet na powiekach.

Gdy opuścił dłoń, zauważył na niej ślady krwi. Wyjął więc chusteczkę i oczyścił palce, a potem przetarł materiałem twarz i szyję.

Doprowadziwszy się do porządku, przeniósł wzrok na dwie czarne furgonetki zaparkowane przed pałacem. W bliższej na tylnych siedzeniach dostrzegł dwoje ludzi.

Ubranego na czarno uzbrojonego żołnierza.

Oraz starszą, lecz wciąż piękną siwowłosą kobietę z błękitnym amuletem na szyi.

Żołnierz zachowywał się tak, jakby zamierzał jej coś wstrzyknąć.

Siedząca w furgonetce doktor Sinskey spoglądała obojętnie w stronę pałacu, zastanawiając się, jakim cudem do tego doszło.

– Proszę pani – usłyszała dobiegający z bliska głos.

Odwróciła się chwiejnie do towarzyszącego jej żołnierza. Trzymał ją za przedramię, pokazując strzykawkę.

– Proszę się nie ruszać.

Poczuła przeszywające ukłucie igły.

Żołnierz zrobił zastrzyk.

– Zaraz znowu pani zaśnie.

Gdy przymykała powieki, gotowa była przysiąc, że dostrzegła mężczyznę obserwującego ją z cienia. Nosił eleganckie okulary i szpanerski krawat i miał czerwoną, pokrytą krostkami twarz. Przez moment wydawało jej się, że go zna, ale gdy zmusiła się do ponownego otwarcia oczu, już go nie było.

Rozdział 48

W mroku poddasza Langdon i Sienna stali po obu stronach sześciometrowej przepaści. Dwa i pół metra niżej, na ramie kasetonu przedstawiającego *Apoteozę Kosmy I* mistrza Vasariego, leżała strącona deska. Wielka latarka, wciąż zapalona, spoczęła na obrazie, tworząc na płótnie wgłębienie.

– Masz za sobą inną deskę – wyszeptał Robert. – Czy zdołasz ją przyciągnąć do siebie?

Sienna zmierzyła wzrokiem kawał drewna.

– Jeśli to zrobię, jej drugi koniec spadnie na obraz.

Tego się właśnie obawiał.

Ostatnie czego nam trzeba, to decha przebijająca arcydzieło Vasariego.

– Mam inny pomysł – rzuciła lekarka, przesuwając się wzdłuż poprzecznego legara. Langdon ruszył w tym samym kierunku po swojej belce. Każdy następny krok był bardziej zdradziecki, gdyż oddalali się od jedynego źródła światła. Całkowita ciemność spowiła ich, zanim dotarli do bocznej ściany. – Tam niżej... – szepnęła Sienna, wskazując palcem na mrok pod ich stopami – na

samym skraju... musi tam być jakiś legar, na którym wisi cała konstrukcja. Powinien utrzymać mój ciężar.

Ześlizgnęła się z belki, zanim Robert zdążył zaprotestować. Posuwała się w dół, wykorzystując belki podporowe jako szczeble drabiny, aż wreszcie dotarła do skraju kasetonu. Drewno zatrzeszczało, lecz utrzymało jej ciężar. Po chwili Sienna zaczęła się przemieszczać w stronę Langdona takim ruchem, jakby pokonywała wąską zewnętrzną półkę na elewacji wysokiego budynku. Drewno ponownie zaskrzypiało.

Stąpasz po cienkim lodzie, pomyślał Robert. Lepiej trzymaj się brzegu.

Gdy była w połowie drogi, zbliżając się do miejsca, w którym stał pogrążony w ciemnościach, poczuł znów nadzieję, że jednak zdołają się wymknąć w porę.

Nagle jego uszu dobiegł odległy łomot zatrzaskiwanych drzwi, a po nim rozległ się odgłos szybkich kroków osoby biegnącej po pomoście. Langdon zauważył też snop światła przeczesującego ciemności. Blask zbliżał się z każdą sekundą. Langdon stracił odzyskaną przed chwilą nadzieję. Człowiek idący pomostem odciął im właśnie drogę ucieczki.

– Nie zatrzymuj się – wyszeptał, reagując instynktownie na nowe zagrożenie. – Idź do końca ściany. Tam też jest wyjście. Ja odciągnę ich uwagę.

– Nie! – odpowiedziała stanowczo. – Wracaj tu natychmiast!

Jednakże on już się oddalał, idąc po belce w kierunku środkowej części poddasza i pozostawiając w kompletnych ciemnościach Siennę sunącą wolniutko po wąskim gzymsie poniżej.

Gdy dotarł na środek konstrukcji, niewidzialny człowiek z latarką wchodził właśnie na znajdującą się nieco wyżej platformę widokową. Zatrzymał się przy poręczy i zaświecił Robertowi prosto w oczy.

Światło poraziło mu wzrok, zareagował więc odruchowo, podnosząc ręce, jakby chciał się poddać. Nie mógł czuć się bardziej bezbronny – balansował pod sklepieniem Sali Pięciuset oślepiony snopem światła latarki.

Czekał na odgłos strzału albo wydane rozkazującym tonem polecenia, lecz wciąż słyszał tylko ciszę. Po chwili światło zsunęło się z jego twarzy. Przybysz omiatał latarką przestrzeń za Langdonem, szukając czegoś... lub kogoś. Gdy Roberta otuliły znów ciemności, wyłowił nad sobą zarys sylwetki osoby, która blokowała mu drogę ucieczki. To była kobieta: szczupła, ubrana na czarno. Nie wątpił, że pod czapeczką baseballową kryje się irokez.

Wszystkie mięśnie stężały mu w jednej chwili, gdy przypomniał sobie widok konającego na szpitalnej podłodze doktora Marconiego.

Znalazła mnie. Teraz dokończy dzieła...

Znów przemknął mu przed oczyma obraz greckiego poławiacza homarów wpływającego w mroczny tunel, mijającego punkt bez powrotu, a chwilę potem zderzającego się z kamienną ścianą ślepego zaułka.

Zabójczyni znów skierowała światło na jego twarz.

– Panie Langdon – wyszeptała. – Gdzie jest pańska przyjaciółka?

Roberta przeszył zimny dreszcz.

Przyszła tu po nas oboje.

Odegrał scenkę z zerknięciem przez ramię w kierunku przeciwnym niż obecna pozycja Sienny.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego. To mnie chcesz dopaść.

Modlił się, by lekarka zdołała dotrzeć do końca ściany. Gdyby udało jej się przemknąć wystarczająco daleko od platformy widokowej, miałaby szanse na bezszelestne wejście na pomost za plecami zabójczyni i ucieczkę w kierunku drzwi.

Kobieta z platformy znów sprawdziła pustą przestrzeń. Kiedy to zrobiła, Robert dostrzegł za nią znajomy cień.

O Boże, nie!

Lekarka kontynuowała wędrówkę w stronę pomostu, ale na swoje nieszczęście znalazła się zaledwie dziesięć metrów od zabójczyni.

Sienna, nie! Jesteś zbyt blisko! Ona cię usłyszy!

Światło latarki znów go oślepiło.

– Słuchaj mnie uważnie, profesorze – wyszeptała zabójczyni. – Jeśli chcesz przeżyć, musisz mi zaufać. Moja misja już się zakończyła. Nie mam powodu, by cię zabijać. Działamy teraz po tej samej stronie, a ja chyba wiem, jak ci pomóc...

Langdon nie słuchał jej, skupiając się na tym, co robi Sienna, którą widział niewyraźnie w tle. Wspinała się na pomost tuż za platformą; zdecydowanie zbyt blisko kobiety z pistoletem.

Uciekaj! krzyczał do niej w myślach. Wynoś się stąd w cholerę!

Ku jego przerażeniu Sienna nie rzuciła się do ucieczki, lecz przyczaiła się w mroku, bacznie wszystko obserwując.

Vayentha przepatrywała cienie za Langdonem.

Gdzie ona mogła się podziać? Czyżby się rozdzielili?

Miała nadzieję, że usunie ich oboje z drogi Brüdera.

To moja jedyna szansa.

– Sienna?! – odważyła się nieco podnieść głos. – Jeśli mnie słyszysz, powiem ci jedno. Nie chcesz, by cię schwytali ludzie, którzy są teraz piętro niżej. Oni nie będą z tobą rozmawiali. Znam drogę ucieczki. Mogę wam pomóc. Zaufaj mi.

– Zaufać ci? – zakpił Langdon na tyle głośno, by wszyscy w pobliżu go usłyszeli. – Jesteś zabójczynią!

Sienna jest gdzieś blisko... Langdon mówi do niej... chce ją ostrzec.

Spróbowała raz jeszcze.

– Sytuacja jest skomplikowana, ale mogę was stąd wyprowadzić. Rozważ dostępne opcje. Jesteś w potrzasku. Nie masz wyboru.

– A właśnie że ma wybór! – zawołał Robert. – I jest na tyle rozgarnięta, że weźmie nogi za pas i ucieknie jak najdalej od ciebie.

– Sytuacja uległa zmianie – upierała się Vayentha. – Nie mam już powodu, by was zabijać.

– Zastrzeliłaś doktora Marconiego! I jak się domyślam, postrzeliłaś mnie w głowę!

Ten człowiek nigdy mi nie uwierzy, że nie zamierzam mu zrobić krzywdy.

Koniec tego gadania. Nie zdołam go przekonać.

Sięgnęła bez wahania pod skórzaną kurtkę i wyjęła pistolet z tłumikiem.

Ukryta w mroku Sienna czaiła się niespełna dziesięć metrów od kobiety, która zagrażała Langdonowi. Nawet po ciemku nie mogła pomylić tej sylwetki z nikim innym. Ku jej przerażeniu zabójczyni

właśnie wyjmowała tę samą broń, z której zastrzeliła doktora Marconiego.

Zaraz do niego wypali, wyczuła z postawy, jaką przybrała napastniczka.

I rzeczywiście, kobieta w czerni podeszła dwa kroki bliżej, zatrzymując się tuż przed niską balustradą otaczającą platformę nad *Apoteozą* Vasariego. Była tak blisko celu, jak tylko mogła. Właśnie unosiła broń, mierząc prosto w pierś Langdona.

– To będzie bolało, ale tylko przez moment – ostrzegła. – Nie zostawiłeś mi wyboru.

Sienna zareagowała instynktownie.

Niespodziewane drganie podłoża pod stopami Vayenthy sprawiło, że poruszyła mimowolnie dłonią. Gdy naciskała spust, wiedziała już, że lufa nie jest wymierzona w pierś Amerykanina.

Ktoś zbliżał się do niej od tyłu. I to szybko.

Vayentha obróciła się na pięcie, zwracając broń przeciw napastnikowi. W chwili, gdy coś na nią wpadło, dostrzegła przed oczyma kosmyk jasnych włosów. Broń syknęła, lecz pochylony mocno napastnik znajdował się poniżej linii strzału. Moment później przeszedł do ataku.

Zabójczyni poczuła, że jej stopy tracą kontakt z podłożem, a mgnienie oka później walnęła plecami o balustradę. Na wpół wisząc w powietrzu, zamachała rękami, aby chwycić się czegoś i powstrzymać upadek, jednakże było już za późno. Spadła z platformy.

Leciała w mrok, kuląc się instynktownie przed zderzeniem z zakurzoną powierzchnią, która znajdowała się zaledwie dwa i pół metra niżej. Co dziwne, zderzenie okazało się o wiele

łagodniejsze, niż przypuszczała... zupełnie jakby spadła na rozwieszony hamak, który ugiął się pod jej ciężarem.

Zdezorientowana, leżąc na plecach, przyglądała się napastniczce, która wychylała się teraz za balustradę. Zdziwiona Vayentha otwierała właśnie usta, by coś powiedzieć, gdy nagle, gdzieś pod nią, rozległ się odgłos... prucia.

Materiał, na który spadła, zaczynał się rozdzierać.

I Vayentha znów poleciała w dół.

Tym razem jej upadek trwał trzy bardzo długie sekundy, podczas których gapiła się w pokryty przepięknymi malowidłami sufit. Jedno z nich, wielkie okrągłe płótno przedstawiające Kosmę I siedzącego na niebiańskiej chmurce w otoczeniu cherubinów, miało na samym środku długą, mroczną szramę.

Potem, przy wtórze przeraźliwego trzasku, świat otaczający Vayenthę zniknął w eksplozji absolutnej czerni.

Stojący na poddaszu i wciąż oniemiały Langdon, spoglądał przez dziurę w *Apoteozie* na przepastną głębię widoczną poniżej. Uczesana w irokeza kobieta leżała na posadzce Sali Pięciuset, a kałuża ciemnej krwi rozlewała się szybko wokół jej głowy. Zabójczyni nadal jednak trzymała broń w martwej dłoni.

Robert przeniósł wzrok na Siennę, która także patrzyła w dół sparaliżowana grozą tej sceny. Na jej twarzy widać było czyste przerażenie.

– Ja... nie chciałam...

– Zareagowałaś instynktownie – wyszeptał Langdon. – Próbowała mnie zastrzelić.

Spod rozdartego płótna docierały do nich odgłosy wszczynanego alarmu.

Robert odsunął lekarkę od balustrady.

– Musimy uciekać.

Rozdział 49

Stojący pośrodku tajnego gabinetu księżnej Bianki Cappello agent Brüder usłyszał najpierw odrażający głośny łomot, a później narastające poruszenie w Sali Pięciuset. Podbiegł do kraty i spojrzał w dół. Zrozumienie tego, co zobaczył na pięknej marmurowej posadzce, zabrało mu kilka cennych sekund.

Ciężarna administratorka muzeum dołączyła do niego i natychmiast zasłoniła dłonią otwarte usta. Ją także przeraził widok poniżej – poskręcana dziwnie sylwetka otoczona wianuszkiem spanikowanych turystów. Gdy przeniosła wzrok na sklepienie, z jej krtani wydobył się nieartykułowany jęk. Brüder spojrzał tam gdzie ona i dostrzegł okrągły obraz z długim rozdarciem na samym środku.

Odwrócił się do oniemiałej kobiety.

– Jak możemy się tam dostać?

Po drugiej stronie pałacu Langdon i Sienna pośpiesznie opuszczali poddasze. Wypadłszy za drzwi, Robert momentalnie znalazł niewielką wnękę ukrytą przemyślnie za karmazynową zasłoną. Zapamiętał ją z wycieczki po tajemnych przejściach.

Schody Księcia Aten.

Okrzyki i odgłosy zbliżających się kroków dobiegały już ze wszystkich stron, dlatego wiedział, że nie zostało im wiele czasu. Odsunął więc kotarę i razem ze Sienną wszedł na przeraźliwie wąską klatkę schodową.

Nie mówiąc ani słowa, zaczęli schodzić po kamiennych stopniach, które zdawały się nie mieć końca. Im niżej zstępowali, tym silniejsze mieli wrażenie, że ściany na nich napierają. Langdon bał się, że zaraz zostanie zmiażdżony. Na szczęście dobrnęli do celu.

Na poziom ulicy.

U podnóża schodów znajdowała się niewielka kamienna komnata i jedne z najmniejszych drzwi, jakie widział świat, lecz ci dwoje powitali je z ogromną ulgą. Liczące zaledwie metr dwadzieścia skrzydło wykonano z grubego drewna okutego żelaznymi poprzecznicami. Ciężka zasuwa zabezpieczała je przed otwarciem od wewnątrz.

– Słyszę odgłosy ruchu ulicznego – wyszeptała Sienna. Wciąż wyglądała na mocno wstrząśniętą. – Co jest po drugiej stronie?

– Via della Ninna – odparł Langdon, przypominając sobie zatłoczony zaułek. – Ale może w nim być policja.

– Policjanci nas nie rozpoznają. Będą szukali blondynki i wysokiego szatyna.

Spojrzał na nią dziwnie.

– Tak właśnie wyglądamy...

Sienna pokręciła głową. Na jej ustach pojawił się melancholijny uśmiech.

– Nie chciałam, abyś zobaczył mnie w tym stanie, Robercie, ale tak wyglądam naprawdę. – Uniosła raptownie rękę do głowy. Gdy

ją cofnęła, jasne włosy pozostały jej w dłoni.

Langdon cofnął się zszokowany zarówno tym, że lekarka nosi perukę, jak i jej wyglądem bez sztucznych włosów. Sienna Brooks była kompletnie łysa, skórę na głowie miała jasną i gładką jak cierpiący na raka pacjent po chemioterapii.

Na domiar złego jest jeszcze śmiertelnie chora?

– Tak, wiem – mruknęła. – To długa historia. Schyl się.

Podniosła perukę, jakby chciała nałożyć mu ją na głowę.

Poważnie?

Langdon pochylił się mimo oporów, a ona zaczęła przerabiać go na blondyna. Peruka była na niego za mała, jednakże lekarka zrobiła co mogła. Wreszcie cofnęła się i przyjrzała własnemu dziełu. Nie do końca zadowolona uniosła rękę, ściągnęła mu krawat z szyi i nałożyła na głowę, zaciskając i owijając, jakby to była bandana. Dzięki temu peruka miała się lepiej trzymać.

Następnie Sienna podwinęła nogawki swoich spodni i opuściła skarpety aż na kostki. Wyprostowała się z kpiącym uśmieszkiem. Urocza doktor Sienna Brooks przeistoczyła się w zadziornego skinheada. Przemiana byłej szekspirowskiej aktorki była zdumiewająca.

– Pamiętaj – rzuciła – najłatwiej kogoś poznać po mowie ciała. Dlatego masz się poruszać jak podstarzały rockman.

Podstarzały mogę być, uznał, ale rockmana chyba nie dam rady zagrać.

Zanim zdążył zaprotestować, Sienna odciągnęła zasuwę i otworzyła miniaturowe drzwi. Przykucnęła i wydostała się na zatłoczoną uliczkę. Langdon ruszył jej śladem, co w jego wypadku wymagało padnięcia na czworaka.

Dziwaczna i raczej niedobrana para nie ściągnęła na siebie większej uwagi; nikt nawet nie obejrzał się za nimi, gdy opuszczali Palazzo Vecchio. Kilka sekund później zlali się z tłumem turystów i przechodniów.

Mężczyzna w okularach marki Plume Paris skubał pryszcze na szyi, przeciskając się przez tłum w bezpiecznej odległości od Roberta Langdona i Sienny Brooks. Mimo sprytnego przebrania wypatrzył ich chwilę po tym, jak minęli drzwi przy via della Ninna, i natychmiast zrozumiał, z kim ma do czynienia.

Siedział im na ogonie zaledwie przez kilka przecznic, lecz bardzo się zadyszał. Musiał oddychać płycej, by złagodzić kłujący ból w klatce piersiowej. Czuł się przy tym tak, jakby ktoś ugodził go pięścią w mostek.

Zaciskając zęby, próbował ignorować ból, by skupić całą uwagę na Langdonie i Siennie, którzy przemierzali kolejne uliczki Florencji.

Rozdział 50

Poranne słońce wisiało już wysoko na niebie, rzucając długie cienie w głębokich kanionach uliczek, które wiły się pomiędzy budynkami zabytkowej części Florencji. Handlarze zakładali kraty chroniące nocą ich sklepy, a powietrze było gęste od aromatu świeżo zaparzonego espresso i jeszcze gorących *cornetti*.

Langdon nie zatrzymał się mimo dręczącego go głodu.

Muszę znaleźć maskę i sprawdzić, co kryje się na jej wewnętrznej stronie.

Prowadził Siennę na północ wąziutką via dei Leoni, nie mogąc przywyknąć do widoku jej łysej głowy. Ta nagła i radykalna odmiana uświadomiła mu, że właściwie wcale nie zna swojej towarzyszki. Szli w kierunku piazza del Duomo, gdzie znaleziono ciało Ignazia Busoniego wkrótce po tym, jak przeprowadził ostatnią rozmowę telefoniczną.

„Robercie" – mówił Ignazio, ledwie dysząc. – „To, czego szukasz, zostało dobrze ukryte. Wrota staną przed tobą otworem, ale musisz się śpieszyć. Raj dwadzieścia pięć. Powodzenia".

Raj dwadzieścia pięć, powtarzał w myślach Langdon, nie mogąc wyjść z podziwu, że Ignazio Busoni w tak trudnej dla niego chwili

potrafił przywołać z pamięci odpowiedni fragment tekstu Dantego. Najwyraźniej ta pieśń z jakiegoś powodu utkwiła mu w głowie. Robert liczył, że wszystko zrozumie, jak tylko zdobędzie egzemplarz *Boskiej komedii*, co nie powinno być trudne, gdyż tam, gdzie zmierzali, książkę tę można było dostać niemal w każdym sklepie.

Sięgająca mu do ramion peruka była tak ciasna, że skóra na głowie zaczynała go swędzieć, ale choć czuł się głupio w tym przebraniu, musiał przyznać, że Sienna odwaliła kawał dobrej roboty. Nikt się za nimi nie oglądał, nawet kolejni policjanci biegnący w kierunku Palazzo Vecchio, których minęli dosłownie przed chwilą.

Lekarka szła u jego boku, milcząc zawzięcie, zerknął więc na nią z niepokojem, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku. Sienna zdawała się błądzić gdzieś myślami, zapewne dochodziła do siebie po śmierci kobiety, która ich prześladowała.

– Ciekaw jestem, o czym myślisz... – zagadnął ją ostrożnie, mając nadzieję, że te słowa przegnają widok kobiety z irokezem leżącej na posadzce Sali Pięciuset.

Sienna powoli wróciła do rzeczywistości.

– Myślałam o Zobriście – odparła. – Starałam się przypomnieć sobie wszystko, co o nim wiem.

– No i?

Wzruszyła ramionami.

– Większość wiedzy czerpię z kontrowersyjnego artykułu, który opublikował kilka lat temu. Jego treść utkwiła mi w pamięci. W społeczności medycznej informacje o nim rozprzestrzeniały się

jak wirus. – Skrzywiła się. – Przepraszam, to niezbyt fortunne porównanie.

Langdon zaśmiał się ponuro.

– Mów dalej.

– Zobrist twierdził, że ludzkość stanęła na krawędzi wyginięcia i że do tragedii dojdzie w ciągu najbliższego stulecia, o ile nie nastąpi jakieś wydarzenie o zasięgu globalnym, które zlikwiduje skutki przeludnienia.

Langdon spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– W ciągu jednego stulecia?

– To dość śmiała teza. Zobrist podawał znacznie krótszy okres niż inny naukowcy, ale podpierał się bardzo szczegółowymi wyliczeniami. Narobił sobie sporo wrogów, zalecając, aby lekarze zaprzestali praktykowania medycyny, ponieważ wydłużanie średniej życia pogłębi tylko kryzys.

Robert przestał się dziwić, że artykuł ekscentryka narobił tyle szumu w świecie medycyny.

– Co zrozumiałe – kontynuowała Sienna – niemal natychmiast stał się celem ataków ze wszystkich stron. Uderzali w niego politycy, kler, Światowa Organizacja Zdrowia... wszyscy, którzy mieli go za katastrofistę i szaleńca pragnącego wywołać panikę. Obrazili się zwłaszcza na stwierdzenie, że potomstwo dzisiejszej młodzieży, jeśli ta zdecyduje się rozmnażać, będzie świadkiem końca cywilizacji. Zobrist wykorzystał dla ilustracji problemu słynny Zegar Zagłady, jego zdaniem pokazujący ostatnie sekundy naszego istnienia...

– Czytałem o tym w Internecie – wtrącił Langdon.

– Sam więc widzisz... Jednakże z największym potępieniem spotkało się jego twierdzenie, że odkrycia z zakresu inżynierii genetycznej przysłużyłyby się ludzkości bardziej, gdyby stworzono dzięki nim nowe zarazy, zamiast stosować je do ulepszania metod leczenia.

– Słucham?

– Zobrist przekonywał, że nowe technologie powinny służyć do ograniczania wzrostu populacji... poprzez tworzenie hybrydowych szczepów zarazków, tak aby współczesna medycyna była wobec nich bezsilna.

Robert poczuł rosnący niepokój, gdy oczyma wyobraźni ujrzał stworzone przez ludzi wirusy, które po uwolnieniu byłyby nie do powstrzymania.

– W ciągu zaledwie kilku lat – dodała Sienna – Zobrist z bohatera świata medycznego stał się pariasem. Obłożono go anatemą. – Zamilkła, a przez jej twarz przemknął cień współczucia. – Nic dziwnego, że odebrał sobie życie. A szkoda, bo jego tezy wydają się prawdziwe.

Langdon nie wierzył własnym uszom.

– Naprawdę uważasz, że mógł mieć rację?

Sienna wzruszyła ramionami.

– Robercie, jeśli spojrzeć na tę kwestię z czysto naukowego punktu widzenia, umysłem, nie sercem, naszej cywilizacji faktycznie grozi zagłada, i to rychła, o ile nie dojdzie do drastycznych zmian. Jestem całkowicie pewna, że powodem będzie nie wojna nuklearna czy jakaś apokalipsa, lecz olbrzymie przeludnienie planety. Obliczeń nie da się podważyć.

Langdon zesztywniał.

– Uczyłam się biologii wystarczająco długo, by wiedzieć, że dużo gatunków wymarło z tego właśnie powodu. Wyobraź sobie kolonię alg żyjących na powierzchni płytkiego stawu, w którym jest w bród pożywienia. Pozbawione kontroli algi rozmnożą się tak szybko, że zajmą wkrótce całą powierzchnię wody, odcinając dopływ światła słonecznego do dna, gdzie do tej pory powstawały substancje, którymi się żywiły. Po wyczerpaniu zapasów składników odżywczych algi szybko obumrą i znikną bez śladu. – Westchnęła głośno. – Podobny los może też spotkać ludzkość. I to szybciej, niż nam się wydaje.

Zaniepokoiła Roberta tym stwierdzeniem.

– Ale... to takie nieprawdopodobne.

– Wcale nie nieprawdopodobne, Robercie, raczej niewyobrażalne. Ludzki mózg ma prymitywny mechanizm obronny, który polega na negacji wszystkiego, co może być przyczyną większego stresu, niż bylibyśmy w stanie znieść. Nazywamy go wyparciem.

– Słyszałem o wyparciu – zażartował Langdon – ale wątpię, aby naprawdę istniało.

Sienna przewróciła oczami.

– Cudnie, ale możesz mi wierzyć, to nie są żadne wymysły. Wyparcie to bardzo ważna część ludzkiego mechanizmu obronnego. Bez niego budzilibyśmy się każdego ranka przerażeni perspektywą śmierci na tysiąc sposobów. Nasz umysł blokuje te obawy, koncentrując myśli wokół problemów, z którymi możemy sobie poradzić, na przykład tego, czy zdążymy do pracy albo czy stać nas na zapłacenie podatków. Gdy zaczynają nas gnębić inne

problemy egzystencjalne, odrzucamy je równie szybko, skupiając się ponownie na prostych trudach dnia codziennego.

Langdon przypomniał sobie niedawne badania internetowe przeprowadzone na studentach najlepszych amerykańskich uniwersytetów, wykazujące, że nawet osoby ponadprzeciętnie inteligentne mają tendencję do wypierania prawdy. Zgodnie z wynikami tych badań zdecydowana większość studentów po kliknięciu na przygnębiający artykuł, na przykład opisujący skutki globalnego ocieplenia albo wyszczególniający ginące gatunki zwierząt, natychmiast wchodziła na strony zawierające trywialne treści, dzięki którym ich strach był neutralizowany – wiadomości sportowe, zbiory filmików o kotach czy serwisy plotkarskie.

– W starożytnych mitologiach – wyjaśnił Robert – heros w stanie wyparcia jest wyobrażeniem skrajnej arogancji. Żaden człowiek nie będzie bowiem dumniejszy od tego, który wierzy, że jest odporny na wszystkie zagrożenia świata. Dante hołdował temu poglądowi, czyniąc z dumy najcięższy z siedmiu grzechów śmiertelnych i skazując ludzi nadmiernie dumnych na cierpienie w najniższym z piekielnych kręgów.

Sienna zastanawiała się chwilę, zanim podjęła temat.

– Zobrist w swoim artykule oskarżał większość światowych przywódców o uporczywe wypieranie prawdy.... czy też chowanie głowy w piasek. A najbardziej krytycznie odnosił się do Światowej Organizacji Zdrowia.

– Idę o zakład, że odpowiedzieli mu pięknym za nadobne.

– Porównali go do maniaka religijnego stojącego na skrzyżowaniu z tablicą: „Nadchodzi koniec świata”.

– Było kilku takich na Harvard Square.

– Owszem, ale ignorowaliśmy ich zawsze, ponieważ nie wierzyliśmy, że coś takiego jak koniec świata jest możliwe. Możesz mi jednak wierzyć... to, że nie ogarniamy czegoś umysłem, nie oznacza wcale, że to nie nastąpi.

– Mówisz, jakbyś była fanką Zobrista.

– Jestem fanką prawdy – odparła zdecydowanym tonem – nawet jeśli trudno ją zaakceptować.

Langdon zamilkł. Znów poczuł tę dziwną obcość, która nie pozwalała mu się zbliżyć do Sienny. Mimo to próbował zrozumieć, skąd się u niej bierze ta niesamowita kombinacja pasji i obojętności.

Lekarka zerknęła na niego, rozchmurzając się nieco.

– Słuchaj, ja nie twierdzę, że Zobrist ma rację, mówiąc, że nowa dżuma, która wyrżnie połowę ludzkości, jest najlepszą receptą na przeludnienie. Tak samo jak nie uważam, że powinniśmy przerwać leczenie chorych. Chodzi mi tylko o to, że obecny kurs prowadzi nas ku pewnej zagładzie. Rosnąca w postępie geometrycznym liczba ludzi ma do dyspozycji skończoną przestrzeń i ograniczone zasoby naturalne. Koniec nastąpi szybko i niespodziewanie. Będzie przypominał nagłe skręcenie z drogi w przepaść.

Langdon zrobił głęboki wydech, próbując poukładać sobie wszystko, co właśnie usłyszał.

– Skoro o spadaniu mowa – dodała, wskazując w górę i nieco na prawo – jestem niemal pewna, że to stamtąd skoczył.

Robert oderwał wzrok od chodnika i zauważył, że mijają właśnie surową kamienną fasadę Muzeum Bargello. Zza niego

widać było przewyższającą okoliczne budynki wieżę Badia. Spoglądał na jej szczyt, zastanawiając się, dlaczego miliarder się z niej rzucił. Miał nadzieję, że nie z powodu strachu przed konsekwencjami swojego czynu, jakiegoś okropieństwa, które zaplanował i którego nie chciał oglądać na własne oczy.

– Krytycy Zobrista – odezwała się znowu Sienna – często wskazywali na to, że wiele opracowanych przez niego technologii paradoksalnie służy do przedłużania ludzkiego życia.

– Co tylko dodatkowo zwiększa problem przeludnienia.

– Otóż to. Zobrist przyznał publicznie, że wolałby zagnać dżinna z powrotem do butelki i wymazać większość swego wkładu w przedłużanie ludzkiego życia. To chyba miało sens, przynajmniej z ideologicznego punktu widzenia. Im dłużej żyjemy, tym więcej zasobów naturalnych potrzebujemy, w tym dla starców i chorych.

Langdon potaknął.

– Gdzieś czytałem, że w Stanach około sześćdziesięciu procent wydatków na opiekę zdrowotną pochłania opieka nad pacjentami, którym pozostało najwyżej pół roku życia.

– To prawda. Chociaż nasze umysły krzyczą: „to szaleństwo", serce podpowiada: „utrzymujmy babcię przy życiu jak najdłużej się da".

Robert znów kiwnął głową.

– Słynny konflikt pomiędzy Apollinem a Dionizosem, czyli jeden z najbardziej znanych dylematów mitologii. Odwieczna walka między umysłem a sercem, które rzadko pragną tego samego.

To mitologiczne odniesienie – z tego, co Langdon słyszał – było teraz wykorzystywane na spotkaniach Wspólnoty Anonimowych

Alkoholików, by opisać stan osoby uzależnionej gapiącej się na kieliszek wódki. Mózg wie, że wypicie go zaszkodzi zdrowiu, ale serce podpowiada, że ten jeden łyk przyniesie ukojenie. Przesłanie wydawało się jasne – nie jesteś osamotniony, nawet starożytni bogowie znali ten konflikt.

– Komu potrzebna *agathusia*? – wyszeptała nagle Sienna.

– Słucham?

Zerknęła na niego.

– Przypomniałam sobie w końcu tytuł artykułu Zobrista. Komu potrzebna *agathusia*?

Robert nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa, lecz od razu założył jego greckie korzenie – *agathos* i *thusia*.

– *Agathusia* to... ofiara dla bogów?

– Nie do końca. Chodzi raczej o złożenie samego siebie w ofierze dla podrzędnego bóstwa... – Zamilkła na moment. – Inaczej mówiąc, o dobroczynne samobójstwo.

Robert spotkał się z tym określeniem – użyto go na przykład w odniesieniu do zbankrutowanego mężczyzny, który popełnił samobójstwo, aby jego rodzina mogła otrzymać odszkodowanie. W drugim przypadku chodziło o skruszonego seryjnego mordercę, który skończył z sobą, ponieważ nie umiał zwalczyć impulsu każącego mu zabijać.

Jednakże najbardziej niesamowitym przykładem, jaki zapamiętał, była powieść *Ucieczka Logana* z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego, opisująca społeczeństwo przyszłości, w którym wszyscy zgadzali się ochoczo na popełnienie rytualnego samobójstwa po osiągnięciu wieku dwudziestu jeden lat – aby kolejne pokolenia mogły przeżyć beztroskie dzieciństwo

w liczącej tyle samo osobników społeczności, dzięki czemu nie wyczerpywano ograniczonych zasobów naturalnych planety. Jeśli dobrze pamiętał, w filmowej wersji tego przeboju podniesiono wiek terminalny z dwudziestu jeden do trzydziestu lat, niewątpliwie po to, by jego akcja była bardziej prawdopodobna dla większości widzów, których wiek oceniano na przedział od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat.

– Wracając do tego artykułu Zobrista... – zaczął Langdon. – Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem jego tytuł. „Komu potrzebna *agathusia*"... Czy to sarkazm? Jakby naprawdę chciał powiedzieć: „Jak to komu potrzebne dobroczynne samobójstwo? Nam wszystkim!".

– Szczerze mówiąc nie. To swego rodzaju gra słów.

Robert pokręcił głową, nie dostrzegając dowcipu.

– Angielski tytuł zaczyna się od słów: *Who needs... Who*, jak WHO, czyli Światowa Organizacja Zdrowia. W artykule tym Zobrist atakuje szefową WHO, niejaką doktor Elizabeth Sinskey, która zajmuje to stanowisko od dawien dawna i jeśli wierzyć autorowi, nie przejmuje się wcale problemem przeludnienia. Autor napisał wprost, że dla Światowej Organizacji Zdrowia byłoby lepiej, gdyby jej szefowa popełniła samobójstwo.

– Cóż za pełen empatii człowiek.

– To jeden z minusów bycia geniuszem, jak sądzę. Bardzo często ludzie, których mózgi są zdolne do większego skupienia, płacą za to utratą dojrzałości emocjonalnej.

Langdon przypomniał sobie artykuły mówiące o Siennie jako o cudownym dziecku z ilorazem inteligencji sięgającym dwustu ośmiu punktów i jej wykraczającymi poza skalę zdolnościami

intelektualnymi. I zaraz się zastanowił, czy mówiąc o Zobriście, nie miała także na myśli siebie – przynajmniej do pewnego stopnia. Ciekawiło go też, jak długo Sienna będzie próbowała ukrywać przed nim swoją wyjątkowość.

W dole ulicy dostrzegł punkt orientacyjny, którego od dłuższej chwili wypatrywał. Po minięciu via dei Leoni poprowadził lekarkę wyjątkowo wąską ulicą, która przypominała raczej alejkę. Tabliczka nad ich głowami głosiła: VIA DANTE ALIGHIERI.

– Wygląda na to, że wiesz bardzo dużo na temat ludzkiego mózgu – stwierdził Robert. – Robiłaś specjalizację z neurologii?

– Nie, po prostu od dzieciństwa wiele na ten temat czytałam. Neurologia zainteresowała mnie, ponieważ... miałam pewne problemy natury medycznej...

Zerknął na nią z zaciekawieniem, mając nadzieję, że będzie kontynuowała.

– Mój mózg... – zaczęła, zniżając głos. – Rósł szybciej niż u innych dzieci, co wiązało się z pewnymi... niedogodnościami. Straciłam mnóstwo czasu, usiłując się dowiedzieć, co jest ze mną nie tak, i dzięki temu poznałam sporo tajników neurologii. – Zauważyła spojrzenie Langdona. – Owszem, to, że jestem łysa, ma związek z moją dolegliwością.

Zawstydzony odwrócił wzrok, żałując, że na nią naciskał.

– Nie przejmuj się – poprosiła. – Nauczyłam się z tym żyć.

Gdy zanurzali się w chłodniejsze powietrze zalegające w zacienionej alejce, Langdon rozmyślał o wszystkim, czego dowiedział się o Zobriście i jego niepokojącej filozofii. Dzięki temu wrócił do nurtującego go wcześniej pytania.

– Ci żołnierze – zaczął. – Ci, którzy chcą nas zabić. Kim oni są? Przecież to nie ma sensu. Jeśli Zobrist zamierza zarazić nas nową dżumą, wszyscy powinni stać po tej samej stronie, robiąc co się da, by go powstrzymać.

– Niekoniecznie. Zobrist stał się pariasem świata medycyny, ale zyskał legiony zagorzałych zwolenników swojej ideologii, którzy podobnie jak on uważają, że selekcja jest jedynym sposobem na ocalenie planety. Zdaje się, że ci żołnierze dbają o to, by wizja Zobrista mogła się urzeczywistnić.

Prywatna armia Zobrista?

W dziejach ludzkości roiło się od gorliwych wyznawców, którzy poświęcali własne życie w imię najgłupszej idei – jedni wierzyli, że ich przywódca jest nowym Mesjaszem, drudzy, że za Księżycem czeka na nich statek kosmiczny albo że nadszedł czas Sądu Ostatecznego. Spekulacje na temat skutków przeludnienia miały przynajmniej jakieś uzasadnienie naukowe, lecz mimo to Langdon nie mógł się pozbyć wrażenia, że ci żołnierze zupełnie tu nie pasują.

– Nie mogę uwierzyć, że doskonale wyszkoleni żołnierze zgodziliby się na masowe zabijanie niewinnych ludzi... zwłaszcza gdy istnieje spore ryzyko, że sami padną ofiarą zarazy.

Sienna spojrzała na niego ze zdziwieniem w piwnych oczach.

– A co twoim zdaniem robią żołnierze wysłani na wojnę? Zabijają niewinnych ludzi, ryzykując własne życie. Człowiek zrobi, co mu każą, szczególnie jeśli wierzy w sprawę.

– W sprawę? Taką jak rozsiewanie zarazy?

Znów na niego popatrzyła, tym razem badawczo.

– Ich sprawą nie jest rozsiewanie zarazy, tylko ratowanie świata... – umilkła na moment. – Jednym z najczęściej komentowanych fragmentów artykułu Zobrista było hipotetyczne pytanie. Chciałabym, abyś mi na nie teraz odpowiedział.

– Jak brzmi to pytanie?

– Zobrist ujął to tak: „Czy zabiłbyś połowę ludzkości, gdybyś mógł to zrobić, wciskając jeden guzik?".

– W życiu.

– Dobrze. A czy zrobiłbyś to, gdyby ci powiedziano, że jeśli go nie wciśniesz, w ciągu następnych stu lat zginą wszyscy ludzie na Ziemi? – Znowu zamilkła. – Czy w takiej sytuacji wcisnąłbyś guzik? Nawet gdyby to oznaczało zabicie przyjaciół, rodziny, a nawet siebie?

– Sienna, nie wyobrażam sobie...

– To tylko hipotetyczne pytanie – przerwała mu. – Zabiłbyś dzisiaj połowę ludzkości, by ocalić całą rasę od wyginięcia?

Langdon, głęboko poruszony tematem tej rozmowy, z ogromną ulgą powitał widok czerwonego banera zdobiącego budynek, ku któremu zmierzali.

– Spójrz! – zawołał. – Dotarliśmy na miejsce.

Lekarka pokręciła głową.

– Tak jak mówiłam. Typowe wyparcie.

Rozdział 51

Casa di Dante stoi przy via Santa Margherita i jest łatwo rozpoznawalna choćby ze względu na zdobiącą jej fasadę długi czerwony baner, który głosi: MUSEO CASA DI DANTE.

Sienna patrzyła na ten napis z dużą niepewnością.

– Idziemy do domu Dantego?

– Niezupełnie – odparł Langdon. – Dante mieszkał tam, za rogiem. To raczej... jego muzeum.

Robert wszedł tutaj kiedyś, mając nadzieję na zobaczenie nowej kolekcji dzieł sztuki, okazało się jednak, że trafił na zwykłe reprodukcje znanych dzieł poświęconych wybitnemu autorowi. Tyle dobrego, że mógł obejrzeć je wszystkie pod jednym dachem.

Sądząc po minie, obudził w Siennie nadzieję.

– Sądzisz, że mają tam średniowieczne wydania *Boskiej komedii*?

Zaśmiał się pod nosem.

– Nie. Wiem jednak, że w sklepiku z pamiątkami można kupić plakaty, na których znajduje się tekst wszystkich trzech części. Wydrukowano go mikroskopijną czcionką. – Spojrzała na niego z lekkim niedowierzaniem. – No tak, wiem, ale to i tak lepsze niż

nic. Problem w tym, że mam słaby wzrok, zatem to ty będziesz musiała odczytać właściwe linijki.

– *È chiusa!* – zawołał jakiś staruszek, widząc, że zbliżają się do drzwi. – *È il giorno di riposo.*

Dziś mają wolne?

Langdon znów poczuł się zdezorientowany. Spojrzał na Siennę.

– Dzisiaj jest... poniedziałek?

Skinęła głową.

– Florentczycy mają wolne poniedziałki.

Robert jęknął, przypominając sobie odmienny kalendarz tego miasta. Ponieważ dolary turystów płynęły najszerszym strumieniem w weekendy, wielu tutejszych kupców przesuwało chrześcijański dzień odpoczynku z niedzieli na poniedziałek, aby nie tracić zbyt wiele.

Langdon zdał sobie nagle sprawę, że to pokrzyżuje mu plany także w innym punkcie, jakim miała być wizyta w jednej z najlepszych florenckich księgarni, gdzie z pewnością mógłby kupić albo przynajmniej obejrzeć egzemplarz *Boskiej komedii*.

– Zatem co dalej? – zapytała lekarka.

Robert zastanawiał się przez dłuższą chwilę, a potem odpowiedział:

– Tuż za rogiem jest miejsce, w którym gromadzą się entuzjaści Dantego. Idę o zakład, że któryś z nich pożyczy nam egzemplarz *Boskiej komedii*.

– Pewnie też będzie zamknięte – ostrzegła go zawczasu Sienna. – Niemal wszyscy we Florencji świętują w poniedziałki.

– Tam nikt nawet o tym nie pomyśli – zapewnił ją z uśmiechem na ustach. – To kościół.

Pięćdziesiąt metrów za nimi ukryty w tłumie elegancki mężczyzna z wysypką na skórze i złotym kolczykiem w uchu oparł się o ścianę i korzystając z okazji, próbował odsapnąć. Nadal jednak nie mógł zaczerpnąć głębiej tchu, a krosty na twarzy swędziały już tak mocno, że nie potrafił ich ignorować. Zwłaszcza tych, które pojawiały się w wyjątkowo czułej okolicy oczu. Zdjął okulary i przetarł delikatnie powieki skrawkiem rękawa, starając się nie uszkodzić naskórka. Moment później zauważył, że śledzeni przez niego ludzie znów ruszają przed siebie. Także zmusił się do dalszego marszu, za wszelką cenę próbując nie robić głębszych wdechów.

Kilka przecznic od miejsca, w którym znajdowali się teraz Langdon i Sienna, wewnątrz Sali Pięciuset, agent Brüder stanął nad leżącymi na podłodze zwłokami tak dobrze mu znanej kobiety z irokezem. Przyklęknął, wyjął jej z dłoni pistolet z tłumikiem i zabezpieczył go, zanim oddał w ręce stojącego najbliżej żołnierza.

Ciężarna administratorka muzeum, Marta Alvarez, trzymała się z dala od zwłok. Chwilę wcześniej zdała Brüderowi krótką, acz zaskakującą relację z tego, co robił Langdon od wydarzeń minionej nocy... dorzucając informację, którą do tej pory próbował przetrawić.

Langdon twierdził, że cierpi na amnezję...

Wyjął telefon i wybrał numer. Szef odebrał po trzech sygnałach. Jego głos brzmiał bardzo niepewnie.

– Tak, agencie Brüder? Proszę mówić.

Złożył meldunek, wypowiadając każde słowo wyraźnie, aby nie powstało żadne nieporozumienie.

– Nadal próbujemy namierzyć Langdona i tę dziewczynę, ale trafiłem przy okazji na pewną informację... – zamilkł na moment. – Jeśli to prawda... sytuacja nie wygląda tak źle, jak sądziliśmy.

Zarządca przechadzał się nerwowo po gabinecie, walcząc z pokusą nalania sobie kolejnej szklaneczki szkockiej. Musiał stawić czoło przybierającemu wciąż na sile kryzysowi.

Zawsze dotrzymywał warunków umowy i nigdy nie zdradził klienta, nie mógł więc dopuścić, by coś takiego zdarzyło się teraz. Ale zaczynał podejrzewać, że wmanewrowano go w sytuację, która miała niewiele wspólnego z pierwotnie zawartym układem.

Rok temu sławny genetyk, Bertrand Zobrist, przybył na pokład Mendacium i poprosił o zapewnienie mu bezpiecznej kryjówki, w której mógłby pracować. Zarządca z początku sądził, że chodzi o opracowanie nowych procedur medycznych, których opatentowanie powiększy i tak ogromny majątek klienta. Nie byłby to pierwszy raz, gdy Konsorcjum oddawało przysługę paranoicznemu naukowcowi czy konstruktorowi, który chciał pracować w absolutnym odosobnieniu, aby nikt nie wykradł mu cennych wynalazków.

Mając te wydarzenia w pamięci, Zarządca zaakceptował klienta i nie zdziwił się specjalnie, gdy zaczęła go poszukiwać Światowa Organizacja Zdrowia. Nie zaniepokoił się także, gdy powiedziano mu, iż szefowa tej potężnej organizacji – doktor Elizabeth Sinskey – osobiście zaangażowała się w tę akcję.

Konsorcjum zawsze miało potężnych adwersarzy.

Nie zadając żadnych pytań, Zarządca i jego ludzie wywiązali się z umowy, niwecząc wszystkie wysiłki doktor Sinskey podejmowane do końca trwania kontraktu.

Niemal do końca.

Na tydzień przed upływem terminu Sinskey namierzyła Zobrista we Florencji i nie odpuściła, ścigając go aż do chwili, gdy popełnił samobójstwo. Zarządca po raz pierwszy w dotychczasowej karierze nie zdołał zapewnić klientowi należytej ochrony, co niezmiernie go zestresowało... podobnie jak niejasne okoliczności śmierci miliardera.

Wolał popełnić samobójstwo, niż dać się schwytać?... Co próbował chronić za taką cenę?...

Po śmierci Zobrista szefowa Światowej Organizacji Zdrowia skonfiskowała przedmiot złożony przez niego w skrytce depozytowej, zmuszając Konsorcjum do walki z jej organizacją w celu odzyskania utraconego i niewątpliwie niezwykle cennego skarbu.

Ale czego konkretnie?

Zarządca zerknął mimowolnie w kierunku regału i opasłego tomiszcza, które dwa tygodnie wcześniej podarował mu dziwnie wyglądający Zobrist.

Boska komedia.

Sięgnął po księgę i przeniósł ją na biurko. Opadła na blat z głuchym łomotem. Drżącymi palcami otworzył okładkę, by raz jeszcze przeczytać dedykację umieszczoną na pierwszej stronie.

Drogi przyjacielu, dziękuję za pomoc we wskazaniu drogi.

Świat także będzie ci wdzięczny.

Nigdy nie byliśmy i nie będziemy przyjaciółmi, pomyślał Zarządca.

Przeczytał dedykację jeszcze trzykrotnie. Potem przeniósł wzrok na czerwone kółko zakreślone przez klienta w jego

kalendarzu. Otaczało jutrzejszą datę.

„Świat także będzie ci wdzięczny”?

Zapatrzył się w horyzont.

W kompletnej ciszy rozmyślał o nagraniu. Znów usłyszał w głowie głos facylitatora Knowltona, z którym rozmawiał nieco wcześniej.

„Uznałem, że powinien pan obejrzeć ten materiał... treść budzi moje poważne obawy...”.

Nie mógł zapomnieć o tym telefonie. Knowlton był jednym z jego najlepszych facylitatorów, nie spodziewał się więc po nim takiego zachowania. Ten człowiek doskonale wiedział, że nie powinien nawet sugerować złamania zasad.

Odłożywszy na półkę *Boską komedię*, Zarządca podszedł do butelki i jednak nalał sobie kolejną szklaneczkę.

Musiał podjąć bardzo ważną decyzję.

Rozdział 52

Sanktuarium La Chiesa di Santa Margherita dei Cerchi, znane także jako „kościół Dantego”, przypominało raczej kapliczkę niż pełnoprawny kościół. Maleńki budynek z jednym tylko pomieszczeniem był ulubionym celem wypraw zagorzałych miłośników Dantego, jako że miał ścisły związek z dwoma niezwykle istotnymi wydarzeniami w życiu wielkiego poety.

Jeśli wierzyć przekazom, tu właśnie, mając lat dziewięć, Dante zobaczył po raz pierwszy Beatrycze Portinari – kobietę, w której zakochał się od pierwszego wejrzenia i do której wzdychał przez całe późniejsze życie. Ku jego rozpaczy ukochana Beatrycze poślubiła innego mężczyznę, a potem zmarła młodo, w wieku zaledwie dwudziestu czterech lat.

W tym samym kościele, ale dużo później, Dante poślubił Gemmę Donati – białogłowę, która zdaniem Boccaccia, innego wielkiego średniowiecznego poety i pisarza, zupełnie nie nadawała się na jego żonę. Chociaż dochowali się potomstwa, nie okazywali sobie nigdy miłości, a gdy doszło do wygnania Dantego, jego małżonka pozostała w mieście, wyrzekając się go ostatecznie.

Miłością życia Dantego pozostała Beatrycze Portinari, do której poeta nigdy się nawet nie zbliżył, co nie przeszkadzało mu jednak uznać jej ducha za muzę inspirującą go do stworzenia największych dzieł.

W znanym tomiku poezji zatytułowanym *La Vita Nuova* roi się od wersów poświęconych „błogosławionej Beatrycze". Jeszcze więcej uwielbienia dla tej postaci widać w *Boskiej komedii*, gdzie Beatrycze pełni rolę przewodniczki oprowadzającej Dantego po raju. W obu tych dziełach pobrzmiewa tęsknota Dantego za nieosiągalną damą jego serca.

Ostatnimi czasy kościółek stał się przystanią dla ludzi o złamanych sercach, którzy rozpaczali po stracie ukochanych. W jego wnętrzu znajdował się grobowiec Beatrycze, do którego pielgrzymowali pospołu wielbiciele Dantego i zrozpaczeni kochankowie.

Tego ranka Robert i Sienna wędrowali zaułkami starej Florencji, zmierzając w kierunku kościoła. Kolejne uliczki zwężały się z każdym metrem, aż stały się tak ciasne, że można je było przemierzyć wyłącznie na piechotę. Od czasu do czasu zapuszczał się tutaj jakiś niewielki pojazd, musiał jednak jechać bardzo wolno, przeciskając się przez tłumy turystów i zmuszając poirytowanych przechodniów do rozpłaszczania się na ścianach okolicznych budynków.

– Kościółek stoi za tym rogiem – poinformował lekarkę Langdon, mając nadzieję, że któraś z osób w nim zastanych będzie w stanie im pomóc.

Wiedział, że teraz, gdy Sienna odebrała od niego perukę i oddała mu marynarkę, mają o wiele większe szanse na

znalezienie samarytanina. Oboje wrócili do normalnego wyglądu, przeistaczając się z dziwolągów w profesora uniwersyteckiego i miłą młodą kobietę.

Langdonowi bardzo ulżyło, że może już przestać udawać rockmana.

Gdy weszli w jeszcze węższy zaułek – via del Presto – Robert zaczął przyglądać się drzwiom. Przeoczenie wejścia do kościoła nie było trudne, ponieważ niewielki budynek niczym się nie wyróżniał, niknąc wśród sąsiednich posesji. Człowiek mógł go minąć, nie mając pojęcia, że przechodzi obok świątyni. Co ciekawe, łatwiej go było znaleźć, używając uszu niż oczu.

Jedną z osobliwości La Chiesa di Santa Margherita dei Cerchi były częste koncerty; dodatkowo w krótkich przerwach między kolejnymi występami księża puszczali nagrania z poprzednich koncertów, aby wierni mogli się nimi nacieszyć.

Zgodnie z oczekiwaniami, gdy tylko weszli głębiej w zaułek, Langdon usłyszał stłumione dźwięki nagranej muzyki, które brzmiały coraz głośniej, w miarę jak zbliżali się do kolejnych prostych drzwi. Jedynym znakiem, że znaleźli się we właściwym miejscu, była miniaturowa tabliczka, jakże różniąca się od czerwonego banera na Museo Casa di Dante. Napis na niej głosił, że mają przed sobą kościół Dantego i Beatrycze.

Gdy Langdon i Sienna minęli próg świątyni, poczuli powiew chłodniejszego powietrza i usłyszeli znacznie głośniejszą muzykę. Wnętrze było mroczne i proste... prostsze, niż Robert pamiętał. W środku znajdowała się zaledwie garstka turystów, rozmawiających, zapisujących coś w dzienniczkach, siedzących

spokojnie w ławach i rozkoszujących się muzyką albo przyglądających się z zaciekawieniem kolekcji obrazów.

Poza oryginalnym maryjnym ołtarzem Neri di Bicciego wszystkie pozostałe elementy wystroju kościoła zostały zastąpione współczesnymi pracami przedstawiającymi obie tutejsze sławy – Dantego i Beatrycze – ponieważ to dla nich przychodziła większość zwiedzających. Gros przedstawiało tęskne spojrzenia poety rzucane przy okazji pierwszego, pamiętnego spotkania z Beatrycze, podczas którego zapałał do niej dozgonną miłością – bez wzajemności. Były tu obrazy piękne i marne, zdaniem Langdona na ogół kiczowate i zupełnie niepasujące do tego klimatycznego wnętrza. Na jednym ze wspomnianych bohomazów ikoniczny czerwony czepiec z nausznikami wyglądał jak nie przymierzając czapka zwędzona Świętemu Mikołajowi. Mimo to powtarzający się motyw – tęskne spojrzenie poety rzucane w kierunku jego muzy – sugerował wyraźnie, że kapliczka ta jest świątynią zawiedzionej miłości: niespełnionej, nieodwzajemnionej i nieosiągalnej.

Langdon odwrócił się instynktownie w lewo, by spojrzeć na skromny grobowiec Beatrycze Portinari. To z jego powodu przychodziła tutaj większość ludzi, choć może nie dla widoku samego grobu, który był nieszczególny, lecz dla słynnego przedmiotu, który wystawiono obok.

A był to wiklinowy koszyk.

Tego ranka, jak każdego innego, można go było zobaczyć u grobu Beatrycze. Tego ranka, jak każdego innego, wypełniały go poskładane pieczołowicie karteluszki – na każdym znajdował się napisany odręcznie list, którego adresatem była muza poety.

Beatrycze Portinari stała się kimś w rodzaju świętej, patronki nieszczęśliwie zakochanych. Ludzie składali prośby do niej, zgodnie z odwieczną tradycją w nadziei, że Beatrycze wstawi się za nimi – a kto wie, może nawet natchnie kogoś miłością do nich, pomoże znaleźć tę drugą wymarzoną połówkę albo da siłę, by zapomnieć o osobie, która odeszła na zawsze.

Langdon zawitał w to miejsce wiele lat temu, w czasie poszukiwań materiałów do kolejnej książki o historii sztuki, i złożył w koszyku własną prośbę, zwracając się do muzy nie o prawdziwą miłość, lecz o natchnienie tak wielkie jak to, dzięki któremu Dante napisał *Boską komedię*.

Muzo! Męża wyśpiewaj...

Jak się okazało, pierwszy wers *Odysei* Homera idealnie pasował także do tamtej jego prośby. Langdon do chwili obecnej był przekonany, że liścik skłonił Beatrycze do interwencji, ponieważ po powrocie do Ameryki udało mu się napisać książkę z niezwykłą wręcz łatwością.

– *Scusate!* – usłyszał nagle gromki głos Sienny. – *Potete ascoltarmi tutti?*

Robert obrócił się do lekarki, która jakby nigdy nic przemawiała podniesionym głosem do rozproszonych w świątyni turystów, ci zaś spoglądali na nią ze zdziwieniem i niepokojem w oczach.

Zbyła ich czarującym uśmiechem i zapytała, czy nie mają przypadkiem egzemplarza *Boskiej komedii*. Pokiwali tylko głowami, zerkając na siebie znacząco, powtórzyła więc to samo pytanie po angielsku, spotykając się z podobną reakcją.

Staruszka omiatająca ołtarz syknęła na nią gniewnie, po czym przyłożyła palec do ust, prosząc o zachowanie ciszy.

Sienna spojrzała na Langdona, marszcząc brwi, jakby chciała go zapytać: „I co teraz?”.

Wprawdzie nie zamierzał podnosić aż takiego alarmu, ale szczerze powiedziawszy, spodziewał się też żywszej reakcji zebranych. Podczas poprzedniej wizyty wiele osób czytało *Boską komedię*, jakby chcąc się wtopić w klimat tamtej opowieści.

Dzisiaj było jednak inaczej.

Skupił wzrok na starszej parze siedzącej w głębi kościółka. Mężczyzna miał nisko spuszczoną głowę, chyba korzystał z okazji, by uciąć sobie drzemkę. Za to siedząca obok niego kobieta wyglądała na bardzo ożywioną, spod jej siwych włosów wystawały przewody słuchawek.

To wygląda obiecująco, pomyślał mijając kolejne ławy, by dotrzeć do pary staruszków.

Miał nadzieję, że kabelki są podłączone do leżącego na kolanach kobiety iPhone’a. Staruszka wyczuła, że ktoś jej się przygląda, uniosła wzrok i wyjęła słuchawki z uszu.

Nie miał bladego pojęcia, w jakim języku powinien się do niej zwracać, niemniej wiedział, że globalny dostęp do iPhone’ów, iPadów i iPodów zaowocował stworzeniem słownictwa zrozumiałego powszechnie tak jak międzynarodowe symbole toalet.

– ...iPhone? – zapytał takim tonem, jakby podziwiał to urządzenie.

Staruszka uśmiechnęła się natychmiast, przytakując z dumą.

– Taka zmyślna zabaweczka – wyszeptała z brytyjskim akcentem. – Syn mi go kupił. Odsłuchuję właśnie e-maile.

Uwierzy pan? Odsłuchuję e-maile. To cudeńko czyta je dla mnie. Przy tak słabym wzroku to bardzo pomocne.

– Też takiego miałem – oświadczył Langdon i uśmiechnął się, siadając obok niej ostrożnie, by nie zbudzić śpiącego męża – ale gdzieś mi przepadł minionej nocy.

– To straszne! A wie pan, że jest w nim taka opcja: „odszukaj mojego iPhone'a"? Syn twierdzi, że...

– Ależ ze mnie głupiec, nie aktywowałem jej. – Spojrzał na nią z zażenowaniem, po czym dodał z wahaniem w głosie: – Czy nie popełnię wielkiej gafy, prosząc panią o pożyczenie na moment tego aparatu? Chciałbym sprawdzić coś w Internecie. To by mi bardzo pomogło.

– Ależ proszę bardzo! – Wcisnęła mu telefon do ręki. – Nie ma sprawy, biedaku.

Langdon podziękował uprzejmie i gdy perorowała mu za uchem, jak bardzo jest jej żal, że stracił swojego iPhone'a, otworzył wyszukiwarkę Google i aktywował wbudowany mikrofon. Gdy aparat zapiszczał, podyktował ciąg poszukiwanych wyrazów.

– Dante, *Boska komedia*. *Raj*. Pieśń dwudziesta piąta.

Kobieta oniemiała – najwidoczniej nie miała do tej pory pojęcia, że jej telefon posiada taką funkcję. Kiedy na ekraniku zaczęły się pojawiać wyniki, Langdon zerknął szybko na Siennę, która wertowała właśnie jakieś druczki leżące obok koszyka z listami do Beatrycze.

Obok niej klęczał w cieniu elegancki mężczyzna w krawacie. Modlił się gorąco, pochyliwszy nisko głowę. Robert nie widział jego twarzy, ale żal mu się zrobiło tego smutnego samotnego

człowieka, który musiał niedawno stracić ukochaną i teraz szukał w tym kościele pocieszenia.

Langdon skupił się ponownie na urządzeniu i w ciągu kilku sekund znalazł link do elektronicznej wersji *Boskiej komedii* – jak najbardziej dostępnej, jako że tekst stał się już własnością publiczną. Gdy następna strona przeniosła go na początek dwudziestej piątej pieśni, był pod wielkim wrażeniem.

Muszę przestać wywyższać oprawne w skórę opasłe tomiszcza, pomyślał. Elektroniczne książki mają także wiele zalet.

Gdy zerkająca mu przez ramię staruszka zaczęła gderać na wysokie ceny transmisji danych, zrozumiał, że nie ma zbyt wiele czasu na surfowanie po sieci, i od razu skupił uwagę na stronie, którą znalazł.

Literki były maleńkie, ale półmrok panujący w kościółku sprzyjał czytaniu z jasnego ekranu. Langdon ucieszył się, widząc, że wpadł przypadkiem na tłumaczenie Allena Mandelbauma – tekst zmarłego już profesora było bardzo współczesny i przez to łatwiejszy w odbiorze. Za ten właśnie przekład Mandelbaum otrzymał najwyższe włoskie odznaczenie, prezydencki Order Gwiazdy Solidarności Włoskiej. Jego wersja, o wiele mniej poetycka niż tekst Longfellowa, była znacznie przystępniejsza.

Dzisiaj muszę przedłożyć klarowność nad poetykę, pomyślał, mając nadzieję, że szybko dotrze do odpowiedniego wersu wskazującego miejsce we Florencji – miejsce, w którym Ignazio ukrył maskę pośmiertną Dantego.

Ekranik iPhone'a wyświetlał tylko sześć wersów naraz, jednakże jak tylko Langdon zaczął czytać, przypomniał sobie treść tej pieśni. Na początku Dante nawiązuje do *Boskiej komedii*,

wspominając o piętnie, jakie pisanie na nim odcisnęło, i o nadziei, że ten rodzący się w bólach poemat pomoże pokonać tęsknotę za ukochaną Florencją.

PIEŚŃ XXV
Jeśli poemat święty, co doń społem
Ziemia i niebo przykładały dłoni,
Który lat tyle układam z mozołem,
Zwycięży srogość, co mi wstępu broni,
Pięknej owczarni, gdzie byłem jagnięciem
Żyłem, wróg wilków szturmujących do niej...

Chociaż w tym fragmencie była mowa o Florencji, za którą Dante tak bardzo tęsknił, pisząc *Boską komedię*, to jednak żaden wers nie wskazywał na konkretne miejsce.

– Wie pan coś na temat opłat za transfer danych? – zapytała kobieta, zerkając na ekran iPhone'a z rosnącym niepokojem. – Syn uprzedzał mnie, żebym nie przesadzała z surfowaniem po Internecie, będąc za granicą.

Langdon zapewnił ją, że to potrwa tylko minutkę i że jest gotów pokryć wszystkie koszty, ale i tak wyczuł, że nie ma szans na przeczytanie wszystkich stu wersów tej pieśni.

Szybko przewinął tekst, by przeczytać kolejne sześć wersów.

Z inną ja mową, choć już nie młodzieńcem
Wrócę poeta; u chrzcielnego zdroju
Czoło umaję wawrzynowym wieńcem.

W wierze tam wszedłem, która do pokoju
Wiedzie; w nagrodę święty Piotr z płomyków
Uwił mi glorię jasnego zawoju.

Langdon mgliście pamiętał i ten fragment – a była to bez wątpienia aluzja do układu, jaki Dante musiał zawrzeć ze swoimi wrogami. Zgodnie z przekazem historycznym, „wilki", które wygnały poetę z Florencji, wyraziły zgodę na jego powrót tylko pod warunkiem, że zostanie publicznie upokorzony, co równało się stanięciu przed całą kongregacją obok chrzcielnicy jedynie w przepasce biodrowej i publiczne wyznanie swoich win.

W ustępie, który Robert właśnie przeczytał, Dante odmawia zgody na ten warunek i stwierdza, że jeśli wróci, to nie nagi, lecz w wieńcu z liści laurowych godnym króla poetów.

Uniósł palec, by przewinąć tekst raz jeszcze, ale właścicielka telefonu nagle zaprotestowała, wyciągając dłoń po swoją własność, jakby zaczynała żałować pochopnego użyczenia.

On jednak ledwie ją słyszał. Zanim dotknął ekranu, jego spojrzenie spoczęło po raz wtóry na wyświetlanym tekście...
i nagle ujrzał jego drugie dno.

Wrócę poeta; u chrzcielnego zdroju
Czoło umaję wawrzynowym wieńcem.

Gapił się na te słowa, czując, że w pogoni za opisem konkretnego miejsca nieomal przeoczył wskazówkę kryjącą się w pierwszych linijkach.

Wrócę poeta; u chrzcielnego zdroju...

Florencja była znana ze sławnej chrzcielnicy, przy której już od siedmiu stuleci oczyszczano z grzechów najmłodszych Florentczyków – a między innymi także Dantego.

Langdon natychmiast ujrzał oczyma wyobraźni budowlę, w której mieściła się owa chrzcielnica. Był to spektakularny ośmiościenny gmach, który pod wieloma względami przewyższał pięknem nawet Il Duomo. Robert zastanawiał się jednak, czy to na pewno wskazówka, którą miał odczytać.

Czy Ignazio miał na myśli ten właśnie budynek?

Umysł Langdona rozświetlił na moment promień światła odbity od niesamowitych wrót z brązu połyskujących w blasku wschodzącego słońca.

Wiem już, co próbował mi przekazać Ignazio!

Wszelkie wątpliwości momentalnie wyparowały, gdy uzmysłowił sobie, że jego martwy przyjaciel był jedynym człowiekiem we Florencji, który mógłby otworzyć dla niego te wrota.

„Robercie, wrota staną przed tobą otworem, ale musisz się śpieszyć”...

Langdon oddał iPhone’a starszej kobiecie i podziękował jej wylewnie za okazaną pomoc.

Następnie pośpieszył do Sienny i wyszeptał podnieconym tonem:

– Wiem, o jakich wrotach mówił Ignazio. To Wrota Raju.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Wrota raju? Czy one przypadkiem nie są w niebie?

– Szczerze powiedziawszy – rzucił Robert, uśmiechając się do niej krzywo w drodze do drzwi – jeśli wiesz gdzie patrzeć, Florencja może być niebem.

Rozdział 53

Wrócę poeta; u chrzcielnego zdroju...

Słowa Dantego dźwięczały echem w umyśle Langdona, gdy prowadził Siennę na północ wąskim deptakiem zwanym via dello Studio. Cel był już blisko, a Robert z każdym krokiem zyskiwał pewność, że trafił na właściwy ślad i zgubił prześladowców.

„Wrota staną przed tobą otworem, ale musisz się śpieszyć"...

Gdy zbliżyli się do końca przypominającej kanion alejki, Langdon usłyszał przed sobą stłumiony gwar. Chwilę później wąskie przejście skończyło się nagle, wypluwając ich na zatłoczony plac.

Piazza del Duomo.

Ta ogromna przestrzeń mieszcząca w sobie cały kompleks zabudowań, stanowiła dawnymi czasy religijne centrum Florencji. Dzisiaj, zdegradowana do kolejnej atrakcji turystycznej, wciąż tętniła życiem. Wokół roiło się od autokarów i tłumów ludzi pragnących zwiedzić najsłynniejszy kościół tego miasta.

Dotarłszy na południowy skraj placu, Langdon i Sienna stanęli przed boczną, oszałamiająco piękną ścianą świątyni, którą wyłożono płytami zielonkawego, różowego i białego marmuru.

Sama wielkość tej budowli mogła zachwycać, ale prawdziwym źródłem podziwu był artyzm, z jakim została wykończona. Jej mury ciągnęły się w obu kierunkach, jakby miały sięgnąć nieskończoności. Monument Waszyngtona, gdyby położyć go na ziemi, nie byłby od niej wiele dłuższy.

Mimo że przy budowie zrezygnowano z tradycyjnego jednobarwnego kamienia, zastępując go nietypową w tamtych czasach bijącą po oczach kolorystyką, katedra pozostała budowlą na wskroś gotycką – klasyczną, solidną i trwałą. Langdon przyznawał otwarcie, że podczas pierwszego pobytu we Florencji uznał, iż jest zbyt krzykliwa jak na jego gust. Potem jednak, podczas kolejnych wypraw do tego miasta, dał się uwieść niespotykanej estetyce i poświęcił wiele godzin, by poznać ją bliżej. W końcu przekonał się do jej niezwykłego piękna.

Il Duomo – albo, bardziej formalnie, katedra Santa Maria del Fiore – prócz dostarczenia przydomka Busoniemu mogła się poszczycić mianem duchowego serca Florencji, aczkolwiek w swojej kilkusetletniej historii była także niemym świadkiem wielu dramatów i intryg. To w jej murach toczyła się długa i zawzięta dyskusja nad *Sądem Ostatecznym* – zdobiącym wewnętrzną powierzchnię kopuły, wzgardzanym freskiem Vasariego... a także były prowadzone równie ogniste dysputy dotyczące wyboru architekta, który wzniesie wieńczącą kopułę.

Filippo Brunelleschi był tym, któremu przypadł ostatecznie lukratywny kontrakt zbudowania katedralnej kopuły – największej, jaka istniała podówczas na świecie – i to jego pomnik można podziwiać do dzisiaj przed Palazzo dei Canonici, skąd spogląda z ukontentowaniem na swoje arcydzieło.

Tego ranka, gdy Langdon uniósł głowę, by spojrzeć na słynną kopułę, natychmiast przypomniał sobie podjętą bezmyślnie decyzję, by wspiąć się na jej szczyt i atak klaustrofobii po tym, jak znalazł się na niezwykle wąskich i niebywale zatłoczonych schodach. Mimo wszystko był zadowolony z przetrwania tamtej męki podczas wspinaczki na „Kopułę Brunelleschiego", ponieważ zachęciła go do sięgnięcia po noszącą taki sam tytuł znakomitą książkę Rossa Kinga.

– Robercie? – usłyszał glos Sienny. – Idziesz?

Oderwał wzrok od kopuły i nagle dotarło do niego, że zatrzymał się w miejscu, by podziwiać ten cud architektury.

– Wybacz.

Ruszyli dalej, trzymając się obrzeży placu. Katedrę mieli teraz po prawej, a Langdon zauważył, że potoki turystów wlewają się do jej wnętrza bocznymi bramami, aby odznaczyć ją na liście zabytków, które trzeba koniecznie zwiedzić.

Przed nimi rosła charakterystyczna kampanila – druga z trzech budowli kompleksu sakralnego. Powszechnie zwana Dzwonnicą Giotta niezaprzeczalnie była częścią nieodległej katedry. Wyłożona identyczną mozaiką zielonkawo-różowo-białych marmurów kanciasta wieża pięła się na niebotyczną wysokość niemal stu metrów. Langdon, wiedząc, jaki ciężar musi utrzymać jej konstrukcja, nie mógł się nadziwić, że tak wybujała budowla przetrwała tyle stuleci mimo licznych trzęsień ziemi i silnych burz. Dzwony zawieszone na szczycie ważyły przecież dziesięć ton.

Lekarka szła równo z Robertem, nerwowo zerkając na niebo za dzwonnicą. Jednakże niepotrzebnie wypatrywała drona – miniaturowy helikopter zniknął na dobre. Chętnych do obejrzenia

katedry było mnóstwo nawet o tak wczesnej porze, co umożliwiło Langdonowi i Siennie zniknięcie w tłumie.

W drodze do dzwonnicy minęli szereg karykaturzystów, którzy stojąc przy sztalugach, portretowali na poczekaniu kolejnych turystów – jeden rysował nastolatka szalejącego na deskorolce, drugi dziewczynę z końską szczęką wyposażył w kij do polo, a trzeci umieścił całujących się nowożeńców na grzbiecie jednorożca. Robert nie mógł wyjść z podziwu, że to zajęcie nigdy nie traci na atrakcyjności; przed wiekami w tym samym miejscu za sztalugami stał przecież młody Michał Anioł.

Obchodząc szybkim krokiem podstawę dzwonnicy, Langdon i Sienna skręcili w prawo, aby dostać się na plac prowadzący do głównego wejścia katedry. Tutaj tłum był jeszcze gęstszy. Turyści z całego świata kierowali obiektywy kamer i smartfonów na kolorową fasadę.

Robert nawet na nią nie spojrzał, jego wzrok spoczął bowiem na znacznie mniejszej budowli, która pojawiła się właśnie w polu widzenia. Mieszczący się naprzeciw głównego wejścia budynek był trzecim i ostatnim elementem kompleksu świątynnego.

Tym, który najbardziej podobał się Langdonowi.

Mowa o baptysterium Świętego Jana.

Choć jego elewacja też została pokryta różnokolorowym marmurem, wyróżniało się kształtem – zostało bowiem zbudowane na podstawie idealnego ośmioboku. Ośmiościenna budowla – zdaniem niektórych przypominająca tort – składała się z trzech odmiennych warstw zakończonych ośmiobocznym stosunkowo płaskim białym dachem.

Langdon wiedział jednak, że kształt baptysterium nie ma nic wspólnego z estetyką, ponieważ było to dzieło czystej symboliki. W chrześcijaństwie cyfra osiem symbolizuje odrodzenie. Osiem ścian było zatem alegorią sześciu dni, podczas których Bóg stworzył świat, siódma reprezentowała szabas czy jak kto woli niedzielę, a ósma dzień, w którym wszyscy chrześcijanie narodzą się ponownie poprzez przyjęcie chrztu. Większość znanych chrzcielnic świata ma taki właśnie, ośmiościenny kształt.

Langdon uważał to baptysterium za jeden z najpiękniejszych budynków Florencji, lecz był święcie przekonany, że postawiono je nie tam gdzie trzeba. W każdym innym miejscu znajdowałoby się w centrum uwagi. Tutaj jednak, w sąsiedztwie dwóch gigantycznych arcydzieł architektury sakralnej, sprawiało wrażenie najsłabszego szczenięcia w miocie.

Dopóki nie wstąpisz w jego progi, zauważył w myślach Robert.

Wciąż miał w pamięci oszałamiające mozaiki zdobiące ściany baptysterium. Były tak wspaniałe, że ludzie, którzy zobaczyli je pierwsi, zakrzyknęli, iż ośmioboczne sklepienie baptysterium wygląda jak ściągnięte na ziemię niebiosa.

„Jeśli wiesz gdzie patrzeć" – powiedział niedawno do Sienny – „Florencja może być niebem".

W ciągu minionych stuleci ochrzczono tu wiele sławnych postaci – w tym i Dantego.

Wrócę poeta; u chrzcielnego zdroju...

Z powodu wygnania nie pozwolono mu na powrót do tego świętego miejsca, jednakże Langdon wciąż żywił nadzieję, że maska pośmiertna poety po ciągu nieoczekiwanych wydarzeń minionej nocy trafiła tam w jego zastępstwie.

Baptysterium, pomyślał Robert. To tutaj Ignazio ukrył maskę, zanim zmarł.

Przypomniał sobie dramatyczną wiadomość nagraną na automatyczną sekretarkę, przez moment widział też oczyma wyobraźni korpulentnego mężczyznę, który trzymając się kurczowo za pierś, przemyka przez plac i znika w alejce, gdzie tuż po ukryciu maski po raz ostatni sięga po telefon.

„Wrota staną przed tobą otworem".

Langdon nie spuszczał wzroku z baptysterium, razem ze Sienną przekradając się przez tłum. Lekarka gnała przed siebie z takim zdecydowaniem, że musiał przyśpieszyć, by dotrzymać jej kroku. Nawet z tej odległości widział błyszczące w słońcu wrota.

Lorenzo Ghiberti potrzebował niemal dwudziestu lat, by stworzyć liczące cztery i pół metra wysokości przepiękne skrzydła z litego brązu. Ozdobił je dziesięcioma panelami przedstawiającymi postacie biblijne, które były tak wiernie oddane, że sam Giorgio Vasari nazwał wrota „bezspornie idealnymi w każdym detalu", a także „najpiękniejszym arcydziełem, jakie kiedykolwiek stworzono".

Ale to Michałowi Aniołowi zawdzięczają one przydomek, którym określa się je po dziś dzień. To on stwierdził onegdaj, iż są tak piękne, że mogłyby służyć jako... Wrota Raju.

Rozdział 54

Biblia wykuta w brązie, pomyślał Langdon, podziwiając piękno wrót, przed którymi stanęli.

Połyskujące Wrota Raju Ghibertiego składały się z dziesięciu kwadratowych paneli przedstawiających sceny inspirowane wydarzeniami ze Starego Testamentu. Były tam wizerunki rajskich ogrodów, był Mojżesz i świątynia króla Salomona, które mistrz ułożył chronologicznie w dwu równych pionowych kolumnach.

Ta niezwykle bogata scenografia była tak urzekająca, że najwięksi artyści i historycy sztuki paru epok przez kilkaset lat spierali się o to, która część wrót zasługuje na najwyższe uznanie. Wiele sław wypowiadało się na ten temat, od Botticellego począwszy, a skończywszy na najwybitniejszych współczesnych krytykach. Po setkach lat bezspornym zwycięzcą okazał się *Ezaw i Jakub*, centralny panel lewego skrzydła, wybrany ze względu na różnorodność metod użytych przy jego tworzeniu. Langdon podejrzewał jednak, że prawdziwym powodem tego wywyższenia był fakt, że to właśnie na nim Ghiberti zdecydował się umieścić swoje nazwisko.

Kilka lat wcześniej Ignazio Busoni zaprezentował te wrota Langdonowi. Uczynił to z niekłamaną dumą, przyznając wszakże z pokorą, że po pięciu wiekach ekspozycji arcydzieła na liczne powodzie, działania wandali i zanieczyszczenie powietrza uznano, iż pora zastąpić je po kryjomu idealną kopią. Oryginał spoczął bezpiecznie we wnętrzach Museo dell'Opera del Duomo, gdzie był poddawany renowacji. Robert z grzeczności powstrzymał się od uwagi, iż wiedział, że oglądają zręczną podróbkę i że oglądane przez nich drzwi są już drugą kopią wrót Ghibertiego, jaką miał okazję ostatnio widzieć – na pierwszą trafił przypadkiem w katedrze Łaski Bożej w San Francisco, do której od połowy dwudziestego wieku wchodziło się przez niezwykle udaną replikę Wrót Raju.

Stojąc przed arcydziełem Langdon zwrócił uwagę na niewielką tabliczkę informacyjną, której treść bardzo go zdziwiła.

La peste nera. Czyli: „czarna śmierć".

Mój Boże, pomyślał Robert, gdziekolwiek ostatnio spojrzę, trafiam na nią.

Jeśli wierzyć napisowi, wrota były darem wotywnym dla Stwórcy w wyrazie wdzięczności za oszczędzenie Florencji podczas zarazy.

Langdon przeniósł wzrok na arcydzieło Ghibertiego. W uszach dźwięczały mu wciąż słowa wypowiedziane przez Ignazia: „Wrota staną przed tobą otworem, ale musisz się śpieszyć".

Pomimo zapewnień Busoniego Wrota Raju były szczelnie zamknięte, jak zawsze zresztą, ponieważ baptysterium otwierano wyłącznie przy okazji najważniejszych świąt. W powszednie dni turystów wpuszczano bocznym, północnym wejściem.

Sienna wspinała się na palce, próbując dostrzec coś nad głowami otaczających ją ludzi.

– Nie mają klamki – zauważyła. – Ani dziurki na klucz.

To prawda, przyznał w myślach Robert, mając pewność, że mistrz pokroju Ghibertiego nie rujnowałby swojego dzieła elementami tak trywialnymi.

– Te wrota się zatrzaskuje. Można je otworzyć wyłącznie od wewnątrz.

Lekarka wydęła usta, jakby zastanawiała się nad czymś głęboko.

– Zatem z tej strony nikt nie wie, czy są zamknięte czy otwarte?

Langdon potaknął.

– Miejmy nadzieję, że Ignazio to właśnie miał na myśli...

Przeszedł kilka kroków na prawo i zerknął w kierunku północnej ściany i osadzonych w niej znacznie mniej zdobnych drzwi, pod którymi stał wyraźnie znudzony palący papierosa strażnik. Pytających turystów zbywał, wydmuchując dym w stronę tabliczki głoszącej: APERTURA 13.00–17.00.

Otworzą dopiero za kilka godzin, pomyślał zadowolony Langdon. Czyli nikt tam jeszcze nie wszedł.

Sięgnął instynktownie do nadgarstka, co uświadomiło mu po raz kolejny, że stracił zegarek z Myszką Miki.

Gdy wrócił do Sienny, ta stała już w grupce turystów robiących zdjęcia zza żelaznego ogrodzenia, które ustawiono kawałek od Wrót Raju, aby nikt nie podchodził zbyt blisko arcydzieła Ghibertiego.

Furtka została wykuta w czarnym żelazie i wykończona od góry szpicami w kształcie promieni słonecznych, które pomalowano

złotą farbą. Niczym się nie różniła od elementów ogrodzeń otaczających domy na przedmieściu wielu miast. Dzięki temu tabliczka informacyjna nie szpeciła cennego zabytku.

Langdon słyszał plotki, że jej umiejscowienie czasami myliło turystów. Jakby na potwierdzenie jego wątpliwości jakaś kobieta przepchnęła się przez tłum, a potem prychnęła pogardliwie:

– Też mi Wrota Raju! Mój pies ma lepsze ogrodzenie na wybiegu!

A następnie oddaliła się, zanim ktokolwiek zdołał udzielić jej stosownych wyjaśnień.

Sienna wyciągnęła rękę i szarpnęła furtkę, przy okazji obrzucając wzrokiem umieszczony po drugiej stronie zamek.

– Spójrz – wyszeptała, spoglądając ze zdziwieniem na Langdona. – Kłódka wisząca po tamtej stronie jest otwarta.

Robert zajrzał za kraty i stwierdził, że jego towarzyszka się nie myli. Kłódka wyglądała na zamkniętą, lecz pałąk nie był wciśnięty w otwór.

„Wrota staną przed tobą otworem, ale musisz się śpieszyć".

Przeniósł wzrok na widoczne za ogrodzeniem Wrota Raju. Jeśli Ignazio rzeczywiście nie zatrzasnął zamka, powinni je bez trudu otworzyć. Problem polegał jednak na tym, by wejść do środka, nie zwracając na siebie uwagi ani jednej osoby przebywającej na placu, wliczając w to – niestety – strażników pilnujących Il Duomo oraz policjantów.

– Patrzcie! – rozległ się nagle przenikliwy kobiecy głos. – On zamierza skoczyć! – Dławiła się z przerażenia. – Tam, na dzwonnicy!

Langdon odwrócił się i zobaczył, że kobietą wykrzykującą te słowa jest... Sienna. Stała kilka kroków od niego, wskazując palcem na wieżę zaprojektowaną przez Giotta, i krzyczała przeraźliwie.

– Tam, na szczycie! On zaraz skoczy!

Wszyscy zaczęli zadzierać głowy, przeczesując wzrokiem szczyt dzwonnicy. Ludzie trącali się łokciami, mrużyli oczy, nawoływali wzajemnie.

– Ktoś chce skoczyć?

– Gdzie?

– Nie widzę go!

– Może tam, po lewej?

Wystarczyło kilka sekund, by turyści na całym placu wyczuli panikę i także zaczęli się gapić na wieżę. Zaciekawienie i strach rozprzestrzeniały się jak płomienie pochłaniające podpaloną gazetę – moment później nie było w pobliżu człowieka, który nie spoglądałby i nie wskazywał w kierunku domniemanego samobójcy.

Marketing wirusowy, pomyślał Langdon, zdając sobie sprawę, że ma tylko chwilę na wkroczenie do akcji. Chwycił więc kłódkę i otworzył ją jednym szarpnięciem. Sienna natychmiast dołączyła do niego i razem wbiegli za ogrodzenie. Zamknęli furtkę za sobą i stanęli przed masywnymi wrotami z brązu. Robert, mając nadzieję, że prawidłowo rozszyfrował przekaz Ignazia, oparł dłonie na jednym z paneli i naparł na skrzydło z całych sił.

Z początku nic to jednak nie dało, ale moment później, boleśnie powoli, wrota zaczęły się uchylać. Sukces! Langdon rozwarł Wrota Raju na niecałe pół metra. Sienna nie tracąc czasu, przecisnęła

się do wnętrza. Langdon poszedł w jej ślady i wciągając brzuch, zanurzył się w chłodnym mroku baptysterium.

Wspólnymi siłami domknęli ponownie ciężkie skrzydło, które przywarło do równie masywnej framugi z donośnym hukiem. Naraz dobiegające z zewnątrz hałasy umilkły jak ucięte nożem, pozostawiając ich w kompletnej ciszy.

Sienna bez słowa wskazała na leżącą u ich stóp belkę, której – sądząc po obejmach umieszczonych na obu skrzydłach wrót – używano do blokowania wejścia.

– Ignazio zdjął ją dla ciebie – stwierdziła.

Podnieśli ją razem i umieścili w leżach, odcinając dostęp do chrzcielnicy... i siebie samych przy okazji.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, opierając się o wrota i dysząc ciężko. W porównaniu z zatłoczonym placem to ciche miejsce wydawało się istnym rajem.

Na zewnątrz baptysterium Świętego Jana mężczyzna w stylowych okularach i pod krawatem przepychał się przez tłum, ignorując zdziwione spojrzenia ludzi, którzy zauważali krwawą wysypkę na jego twarzy.

Zbliżył się do wrót z brązu, za którymi zniknęli właśnie Langdon i jego towarzyszka. Nawet zza ogrodzenia usłyszał łomot, z jakim zaryglowali za sobą wejście.

Tędy się tam nie dostanę...

Podniecenie osób zgromadzonych na placu powoli opadało. Zadzierający głowy turyści tracili zainteresowanie. Nikt nie skoczył. Wszyscy ruszyli w swoją stronę.

Mężczyzna znów czuł swędzenie, jego stan pogarszał się z każdą chwilą. Już nawet opuszki palców zaczynały mu pękać.

Wsunął dłonie do kieszeni, by powstrzymać się przed drapaniem. Poczuł znajome łomotanie w piersi, gdy zaczął okrążać ośmiościenny budynek, szukając innego wejścia.

Zanim dotarł do najbliższego narożnika, poczuł ostry ból w okolicach grdyki i zdał sobie sprawę, że bezwiednie zaczął się drapać.

Rozdział 55

Legenda głosi, że każdy człowiek, który wstępuje w progi baptysterium Świętego Jana, musi spojrzeć na jego sklepienie. Langdon, choć zwiedzał to miejsce wielokrotnie, znów poczuł nieprzepartą ochotę, by zadrzeć głowę.

Znajdujące się wysoko w górze zwieńczenie ośmiościennej budowli miało niemal dwadzieścia pięć metrów średnicy. Połyskiwało i błyszczało, jakby zostało zrobione z rozżarzonych węgli. Jego wypolerowana bursztynowozłota powierzchnia odbijała blask otoczenia milionem nierównych płytek *smalti* – miniaturowych kawałków mozaiki ręcznie wyciętych z zeszklonej krzemionki – z których utworzono sześć koncentrycznych kręgów przedstawiających sceny z Biblii.

Naturalne światło wpadało do wnętrza przez spore wole oko umieszczone na samym środku sklepienia, przydając górnej części baptysterium dramatyzmu. Otwór okienny wyglądał jak przeniesiony z rzymskiego Panteonu, a asystował mu ciąg głęboko osadzonych okien, przez które wpadały tak wąskie i intensywne snopy światła, że wydawało się ono niemal namacalne, jakby

człowiek spoglądał na przesuwające się nieustannie jaśniejące filary.

Langdon, wchodząc za Sienną w głąb baptysterium, nie odrywał wzroku od legendarnego sklepienia, na którym widniały wizerunki nieba i piekła, jakby żywcem wyjęte z *Boskiej komedii*.

Dante Alighieri widział je, będąc dzieckiem, pomyślał Robert. Z góry przyszło jego natchnienie...

Skupił wzrok na centralnym kręgu mozaiki. Nad głównym ołtarzem unosiła się nieco ponad ośmiometrowa postać Jezusa Chrystusa, sądzącego ocalonych i przeklętych.

Po jego prawicy sprawiedliwi otrzymywali nagrodę życia wiecznego.

Grzesznicy po jego lewicy byli kamienowani, nabijani na włócznie i pożerani przez wszelkiej maści demony.

Nad tą panoramą cierpień uwieczniono gigantyczną postać Szatana, przedstawionego jako pożerającą ludzi bestię. Langdon wzdrygnął się, spoglądając na tego samego antychrysta, którego widział tutaj siedemset lat wcześniej Dante Alighieri i który musiał zarazem przerazić i natchnąć poetę do obrazowego opisania tego, co czaiło się za ostatnim kręgiem piekieł.

Zatrważająca mozaika przedstawiała Szatana pożerającego ludzi, poczynając od głowy. Zwisające z jego ust nogi ofiar wyglądały niemal jak te z czeluści dantejskiego Malebolge.

Lo ‘mperador del doloroso regno, przypomniał sobie Langdon.

Cesarz, władnący nad krainą nędzy.

Z uszu Szatana wypełzały dwa wielkie wijące się węże, które także pożerały grzeszników, co mogło sprawiać wrażenie, że antychryst ma trzy głowy, tak jak opisał Dante w ostatniej pieśni *Piekła*. Szperając w pamięci, Langdon odszukał odpowiednie wersy.

Ujrzałem troje lic w jednym istnieniu...
Z ust każdych sterczał grzesznik i jak pęki
Trawy w miętlicy na miazgę był tarty;
Te jednocześnie trzej cierpieli męki.

Zło Szatana musiało mieć trzy oblicza, jako że był to kolejny symbol: dzięki temu antychryst stawał w idealnej równowadze ze Świętą Trójcą.

Spoglądając na ten przerażający obraz, Robert starał się zrozumieć, jakie wrażenie musiał on wywrzeć na młodym Dantem, który służył do mszy w tym kościele rok po roku i widział gapiącego się nań Szatana za każdym razem, gdy podczas modlitwy podnosił głowę. Dzisiaj jednak Langdon czuł, że władca piekieł spogląda prosto na niego.

Spuścił więc wzrok na balkony otaczające drugi poziom baptysterium i znajdującą się za nimi galerię – jedyne miejsce, z którego pozwalano kobietom oglądać ceremonię chrztu – a potem jeszcze niżej, na wiszący grobowiec antypapieża Jana XXIII. Jego ciało znajdowało się wysoko na ścianie, jakby było kokonem owada albo padło ofiarą magika prezentującego w świątyni sztukę lewitacji.

W końcu spojrzał na pokrytą mozaiką posadzkę, według wielu kryjącą odniesienia do średniowiecznej astronomii. Wodził wzrokiem po skomplikowanych czarno-białych wzorach, które zaprowadziły go aż na sam środek pomieszczenia.

To tutaj, pomyślał, wiedząc, że spogląda na miejsce, w którym Dante Alighieri został ochrzczony w drugiej połowie trzynastego stulecia.

– *Wrócę poeta; u chrzcielnego zdroju...* – wyrecytował głosem dudniącym w pustce świątyni. – Tak, to tutaj.

Sienna stała ze zdziwioną miną, spoglądając na miejsce, które wskazywał.

– Ale... tu nic nie ma.

– Już nie ma – uściślił.

Po chrzcielnicy został tylko ośmiokątny rdzawobrązowy kamień w posadzce. Prosty i pozbawiony ozdób odcinał się od całej reszty skomplikowanych mozaikowych wzorów. Wyglądał, jakby umieszczono go tutaj, by zatkać jakąś dziurę, i szczerze mówiąc, taka właśnie była jego rola.

Langdon wyjaśnił, że w centralnym miejscu baptysterium stała klasyczna chrzcielnica spoczywająca na ośmiokątnym cokole. Choć współczesne chrzcielnice przypominają z wyglądu misy, ich dawne odpowiedniki miały kojarzyć się ze źródłem czy też z fontanną. W tym wypadku chodziło o dość głęboki basen, w którym osoba chrzczona mogła się zanurzyć. Langdon zastanawiał się, jak przy tej akustyce brzmiał płacz dzieci, które ktoś wpychał pod powierzchnię lodowatej wody.

– Chrzest w tym miejscu musiał być przerażającym przeżyciem – stwierdził. – Prawdziwym rytuałem przejścia. I w dodatku

niebezpiecznym. Powiadają, że Dante wskoczył raz do chrzcielnicy, by uratować tonące w niej dziecko. W każdym razie w szesnastym wieku zdecydowano, że należy ją stąd usunąć.

Sienna rozglądała się po wnętrzu świątyni z rosnącym zaniepokojeniem.

– Ale gdzie Ignazio ukrył maskę, skoro oryginalna chrzcielnica Dantego została stąd zabrana?

Langdon rozumiał jej zdenerwowanie. W wielkim pomieszczeniu nie brakowało zakamarków, które mogłyby posłużyć za dobrą kryjówkę – Busoni mógł położyć maskę za kolumnami, posągami, grobowcami, w niszach, na ołtarzu albo nawet zanieść na wyższy poziom.

Robert był jednak całkowicie pewien swego, gdy odwracał się w kierunku drzwi, którymi tutaj weszli.

– Powinniśmy zacząć tam – wskazał na ścianę po prawej stronie Wrót Raju.

Na wysokiej platformie za ozdobnym wejściem znajdował się sześcioboczny cokół z ciętego marmuru, który z wyglądu przypominał ołtarzyk. Otaczającą go niszę wyłożono czymś, co błyszczało jak macica perłowa. Szczyt cokołu przykryto płytą z polerowanego drewna o średnicy około metra.

Sienna miała niepewną minę, idąc śladem Langdona. Gdy wspięli się na stopnie i przedostali za bramę, skupiła wzrok na blacie i aż jęknęła z wrażenia, zrozumiawszy, na co patrzy.

Langdon uśmiechnął się. Tak, to nie był ołtarz ani stół. Polerowane drewno zasłaniało jakiś otwór.

– Chrzcielnica? – zapytała.

Skinął głową.

– Gdyby Dantego chrzczono dzisiaj, na pewno zrobiono by to tutaj. – Nie tracąc czasu, zaczerpnął głęboko tchu, a potem położył dłonie na drewnie, czując znajome mrowienie w palcach, gdy szykował się do jej odsunięcia.

Chwycił mocno za krawędzie i przechylił pokrywę na jedną stronę, by zsunąć ją ostrożnie z marmurowego cokołu i złożyć na posadzce. Potem dopiero zajrzał do mrocznego wgłębienia.

Głośno przełknął ślinę, ujrzawszy niezwykły widok.

Z ciemności spoglądało na niego martwe oblicze Dantego.

Rozdział 56

Szukaj, a znajdziesz.

Langdon stał przy chrzcielnicy, przyglądając się bladożółtej masce, której pobrużdżone oblicze spoglądało tępo w górę. Tego orlego nosa i masywnej szczęki nie dało się z niczym pomylić.

Dante Alighieri...

Widok pozbawionej życia twarzy był poruszający sam w sobie, a ułożenie w chrzcielnicy dodatkowo nadawało jej nadnaturalny wygląd. Nawet Langdon przez dłuższą chwilę nie był pewien, na co patrzy.

Czy ta maska unosi się w powietrzu?

Przykucnął, by przyjrzeć się uważniej. Chrzcielnica była dość głęboka – przypominała raczej studnię niż klasyczną misę – a jej obłe ściany zagłębiały się w sześciobocznym cokole. Mimo że wewnątrz była woda, maska zdawała się wisieć ponad powierzchnią... jakby za sprawą magii.

Langdon potrzebował chwili, by zrozumieć, z czego bierze się ta iluzja. Na samym środku chrzcielnicy znajdował się trzpień sięgający od dna aż do połowy wysokości misy. Jego koniec rozszerzał się, tworząc coś w rodzaju metalowej tacki tuż nad

wodą. Chyba wykorzystywano ją do celów dekoracyjnych, a może służyła po prostu jako oparcie dla pleców chrzczonego dziecka. Tak czy owak to na niej, z dala od wody, spoczywała teraz maska pośmiertna Dantego.

Ani Langdon, ani Sienna nie wypowiedzieli nawet słowa, gdy stojąc ramię w ramię, wpatrywali się w poznaczone zmarszczkami oblicze Dantego Alighieri, nadal spoczywające w szczelnie zamkniętym plastikowym woreczku, jakby wielki poeta został uduszony. Robert przez krótką chwilę miał wrażenie – dość nieprzyjemne zresztą – że znów jest dzieckiem i tkwi na dnie głębokiej studni, spoglądając z desperacją w niebo.

Oddalił od siebie tę myśl, potem sięgnął ostrożnie do chrzcielnicy, chwycił maskę oburącz, tam, gdzie Dante powinien mieć uszy. Chociaż twarz poety wydawała się mała jak na dzisiejsze standardy, średniowieczny odlew gipsowy okazał się cięższy, niż Robert przypuszczał. Wyjął maskę powoli z otworu i przytrzymał tak, by Sienna także mogła jej się przyjrzeć.

Nawet przez warstwę folii maska sprawiała zadziwiająco żywe wrażenie. Wszystkie zmarszczki i skazy starego poety zostały uwiecznione w mokrym gipsie. Poza jedną rysą w dolnej części artefakt był zachowany w idealnym stanie.

– Obróć ją – wyszeptała po chwili Sienna. – Zobaczmy, co jest po drugiej stronie.

Langdon już to robił. Nagranie z monitoringu Palazzo Vecchio pokazywało, że on i Ignazio znaleźli coś na odwrocie maski – coś tak interesującego, że zdecydowali się na wyniesienie jej poza muzeum.

Obrócił więc teraz maskę ostrożnie i położył ją częścią twarzową na prawej dłoni, aby mieć lepszy widok na wnętrze. W odróżnieniu od wierzchu jej spód był bardzo gładki. Jako że nikt nie miał jej nosić, wgłębienie zalano gipsem, aby utwardzić całość. W rezultacie Langdon miał przed oczyma płytkie wgłębienie, przypominające nieco dno czarki.

Nie wiedział, jakiego widoku się spodziewać, lecz zdziwił się bardziej, niż mógłby przypuszczać.

Na spodzie nic nie było.

Zupełnie nic.

Tylko gładka, pusta powierzchnia.

Sienna wyglądała na równie zdziwioną.

– To gładki gips – wyszeptała. – Skoro nic tu nie ma, co zobaczyłeś wtedy, gdy byłeś z Ignaziem?

Nie mam pojęcia, odparł w myślach Langdon, naciągając folię, by lepiej widzieć powierzchnię odlewu.

Z rosnącym niepokojem przeniósł maskę w jeden ze snopów światła i przyjrzał jej się uważniej. Przez moment wydawało mu się, że w górnej części widzi jakieś odbarwienie – jakby linię znaczków biegnących na wysokości czoła poety.

Naturalna skaza? A może coś zupełnie innego...

Obrócił się na pięcie i wskazał Siennie marmurową płytę z zawiasami znajdującą się na pobliskiej ścianie.

– Zajrzyj tam – poprosił. – Sprawdź, czy nie ma jakichś ręczników.

Spojrzała na niego sceptycznie, ale usłuchała. Otworzyła zamaskowaną szafkę i znalazła w niej trzy przedmioty – pokrętło,

którym regulowano poziom wody w chrzcielnicy, kontakt włączający lampy nad nią oraz... stosik lnianych ręczników.

Posłała Langdonowi zdumione spojrzenie, on jednak zbył ją wzruszeniem ramion. Odwiedził wystarczającą liczbę kościołów, by wiedzieć, że kapłan chrzczący dzieci zawsze ma pod ręką zapasowe powijaki – oseski opróżniały pęcherze w najmniej spodziewanych momentach, co chyba stanowiło największe zagrożenie w pracy księży.

– Świetnie – mruknął, zerkając na ręczniki. – Przytrzymasz maskę przez sekundę? – Złożył artefakt na dłoniach Sienny i zabrał się do pracy.

Najpierw odstawił na miejsce sześcioboczną pokrywę, aby odtworzyć niewielki ołtarzyk, który widzieli na samym początku. Potem wyjął ze schowka kilka lnianych szmatek i rozłożył je na polerowanym drewnie, robiąc z nich coś na kształt obrusu. Na koniec nacisnął kontakt i włączył wiszące nad chrzcielnicą lampy, które natychmiast zalały prowizoryczny stół strumieniami jasnego światła.

Sienna ostrożnie ułożyła na nim maskę, a Langdon w tym samym czasie sięgnął po kolejne ręczniki, ponieważ nie chciał dotykać cennego artefaktu gołymi rękoma przy wyjmowaniu z worka. Moment później maska pośmiertna Dantego leżała w ostrym świetle częścią twarzową do góry. Wystawała z lnu jak oblicze pacjenta usypianego na stole operacyjnym.

Przy tak dobrym oświetleniu jej ostre rysy wydawały się jeszcze bardziej niepokojące, biały gips podkreślał każdą bruzdę i zmarszczkę na starczej twarzy. Langdon pochwycił ją w

prowizoryczne rękawice i zachowując wzmożoną ostrożność, wolno odwrócił twarzą do dołu.

Gładki tył maski wydawał się o wiele nowszy od przedniej strony – był czysty i biały, bez charakterystycznych przebarwień i pożółknięć.

Sienna przekrzywiła głowę, jakby także zwróciła na to uwagę.

– Czy ta strona nie wydaje ci się nowsza od tamtej?

Trzeba przyznać, że różnica w barwie była większa, niż Robert początkowo przypuszczał, lecz nadal nie miał wątpliwości, że obie strony maski są równie stare.

– Tył maski chroniła gablota, nie był więc nigdy narażony na postarzające działanie promieni słonecznych... – Postanowił stosować w przyszłości kremy z dwa razy silniejszym filtrem przeciwsłonecznym.

– Czekaj – poprosiła Sienna, pochylając się nad maską. – Spójrz! Tu, na czole! To właśnie zobaczyliście w muzeum.

Langdon przeniósł wzrok na to samo miejsce, w którym poprzednio dostrzegł odbarwienie – widniała tam linia maleńkich znaczków biegnąca po wewnętrznej stronie na wysokości czoła Dantego. Dopiero teraz, przy silnym świetle, Robert zorientował się, że nie jest to naturalna skaza. Te znaki wyszły spod ręki człowieka!

– To... napis – wyszeptała Sienna zdławionym głosem. – Ale...

Langdon przyjrzał się napisowi na odlewie. Miał przed sobą jedną linijkę tekstu – odręcznego, wymyślnego i jakby żółtawego.

– To wszystko? – zapytała lekarka niemal gniewnym tonem.

Langdon prawie jej nie słyszał.

Kto to napisał? pytał siebie samego w myślach. Ktoś z czasów Dantego?

To wydało mu się mało prawdopodobne. Gdyby ten napis był tak stary, zauważyłby go któryś z historyków sztuki podczas jakże częstych oględzin albo przy okazji konserwacji. W takim przypadku napis byłby równie znany jak sama maska. A Langdon nigdy o nim nie słyszał.

Nagle znacznie bardziej prawdopodobna wersja przemknęła mu przez głowę.

Bertrand Zobrist.

Miliarder był właścicielem maski, zatem miał do niej dostęp, kiedy tylko chciał. Mógł umieścić napis i odłożyć maskę do gabloty, zanim ktokolwiek to zauważył. Marta Alvarez twierdziła, że Zobrist wymagał, aby pracownicy otwierali gablotę tylko w jego obecności.

Langdon szybko przedstawił Siennie swoją teorię, która wydała jej się logiczna, aczkolwiek z pewnymi zastrzeżeniami.

– Jeśli to Zobrist napisał coś w sekrecie na odwrocie maski pośmiertnej Dantego, a potem zadał sobie trud stworzenia projektora, który na nią wskazywał, dlaczego nie zamieścił informacji niosącej większe znaczenie? Ten napis nie ma przecież sensu! Cały dzień uganialiśmy się za tą maską i znaleźliśmy tylko to?

Langdon znów zerknął na napis. Linijka była bardzo krótka – liczyła zaledwie siedem liter – i rzeczywiście wydawała się nie mieć sensu. W pełni podzielał frustrację Sienny.

Zarazem jednak czuł podniecenie, jakie zawsze towarzyszy nieuchronnemu objawieniu. Zrozumiał bowiem, że te siedem liter

to wskazówka, dokąd mają się udać w następnej kolejności.

Co więcej, wyczuł znajomy zapach bijący od maski, tłumaczący, dlaczego jej tylna część jest o wiele bielsza od przedniej. Różnica nie miała nic wspólnego z postarzającym działaniem promieni słonecznych.

– Nie rozumiem – dziwiła się nadal Sienna. – Przecież to jedna i ta sama litera.

Langdon pokiwał głową, studiując uważnie linijkę tekstu – siedem identycznych literek wykaligrafowanych na wysokości czoła Dantego.

PPPPPPP

– Siedem P – mruknęła Sienna. – Co to może znaczyć?

Langdon uśmiechnął się do niej, a potem spojrzał jej w oczy.

– Sugeruję, abyśmy zrobili to, co ta wiadomość każe nam zrobić.

Sienna nie wierzyła własnym uszom.

– To jest... wiadomość?

– Tak – potwierdził, nie przestając się uśmiechać. – To niezwykle jasna i przejrzysta wiadomość dla każdego, kto zna na wylot dzieła Dantego.

Znajdujący się wciąż na zewnątrz baptysterium Świętego Jana mężczyzna wytarł palce w chusteczkę, a potem osuszył nią krosty na swoim karku. Próbował ignorować pieczenie oczu, gdy zerkał w kierunku celu swej wędrówki, którym było wejście dla turystów.

Pilnował go znudzony strażnik w blezerze, palący papierosa i odsyłający wszystkich mających kłopoty z odczytaniem godzin

otwarcia, które wypisano wołami, stosując system zrozumiały dla każdego: APERTURA 13.00–17.00.

Mężczyzna z wysypką sprawdził czas. Ledwie minęła dziesiąta. Baptysterium będzie więc zamknięte przez jeszcze trzy godziny. Obserwował strażnika przez parę chwil, a potem podjął decyzję. Wyjął złoty kolczyk z ucha i wsunął go do kieszeni. Następnie sprawdził zawartość portfela. Oprócz kart kredytowych i pewnej sumy w euro miał przy sobie trzy tysiące dolarów.

Dzięki Bogu chciwość jest międzynarodowym grzechem.

Rozdział 57

Peccatum... Peccatum... Peccatum...

Langdon, widząc siedem literek P wypisanych na tylnej powierzchni maski pośmiertnej Dantego, natychmiast wrócił myślami do tekstu *Boskiej komedii*. I znów zajął miejsce na podium wiedeńskiej auli.

– Zejdźmy zatem – jego głos grzmiał przez liczne głośniki – przez dziewięć kręgów piekielnych do samego środka Ziemi, by stanąć tam oko w oko z Szatanem.

Wyświetlił szereg slajdów przedstawiających wizerunki trójgłowego władcy piekieł znajdujące się na rozmaitych dziełach sztuki – był tam fragment obrazu Botticellego, mozaika z florenckiego baptysterium oraz przerażający demon Andrei di Cione o futrze spływającym krwią ofiar.

– A teraz – kontynuował Robert – zejdźmy po włochatej piersi Szatana czy też raczej wespnijmy się po niej, jako że zmienił się kierunek przyciągania, i wynurzmy się ze świata podziemi, by raz jeszcze ujrzeć gwiazdy. – Rzutnik pokazywał kolejne przezrocza, dopóki słuchacze nie zobaczyli pokazywanego wcześniej obrazu: słynnego dzieła Domenica di Michelino zdobiącego ściany Il Duo

mo, na którym ukazano odzianego w czerwoną szatę Dantego stojącego za murami Florencji. – Jeśli przyjrzycie się uważnie, dostrzeżecie wspomniane gwiazdy. – Wskazał na upstrzone jasnymi punkcikami niebo nad głową poety. – Jak widzicie, niebiosa także składają się z dziewięciu koncentrycznych kręgów otaczających Ziemię. Taka budowa raju ma podkreślać idealną równowagę ze światem podziemi. Zauważyliście zapewne, że liczba dziewięć pojawia się nader często w dziele Dantego...

Langdon przerwał, aby napić się wody i dać chwilę oddechu słuchaczom, których doprowadził szczęśliwie do wyjścia z piekieł.

– Domyślam się, że po tak wyczerpującej wędrówce przez budzące grozę piekło nie możecie się już doczekać wizyty w raju. Niestety w świecie Dantego nic nie jest proste. – Westchnął dramatycznie. – Aby dostać się do raju, będziecie musieli wspiąć się, w przenośni i dosłownie, na szczyt wysokiej góry.

Ponownie wskazał na obraz. Na horyzoncie za plecami poety słuchacze mogli zobaczyć samotny stożkowaty masyw sięgający hen w niebo. Pięła się po nim droga otaczająca górę dziewięć razy coraz węższymi tarasami, aby sięgnąć wreszcie szczytu. Na niej widać było sylwetki ludzi brnących po zboczu w mozole i pokutujących na rozmaite sposoby.

– Oto czyściec – oznajmił Langdon. – Tylko tą drogą, przez kolejne dziewięć kręgów, można się dostać z głębi piekieł do wytęsknionego raju. Są na niej pokutujące dusze... każda z nich cierpi odpowiednio do popełnionych za życia grzechów. Zawistnicy muszą maszerować z zaszytymi oczami, aby nie pożądali niczego; pełni pychy taszczą na plecach ogromne głazy, które przyginają ich do ziemi, by wyglądali na kornych; winni łakomstwa muszą

obejść się bez kęsa pożywienia i kropli wody, aby poznać skrajny głód. Lubieżnicy mają do pokonania morze ognia, w którym oczyszczą się z wszelkich żądz... – Zamilkł na moment. – Zanim jednak otrzymacie zezwolenie na wkroczenie do czyśćca, musicie porozmawiać z tym oto osobnikiem.

Langdon zmienił slajd, ukazując powiększenie obrazu, na którym teraz widać było skrzydlatego anioła siedzącego na tronie wykutym u stóp góry. Przed nim wiła się długa kolejka grzeszników. Co ciekawe, anioł dzierżył długi miecz, którego sztych, jak się zdawało, mierzył prosto w twarz pierwszej potępionej duszy.

– Czy ktoś wie – zapytał Robert, podnosząc głos – co robi ten anioł?

– Dźga kogoś w głowę? – zaryzykował jeden ze słuchaczy.

– Nie.

– Wyłupia komuś oko? – dodał drugi.

Langdon pokręcił głową.

– Jakieś inne propozycje?

– Wypisuje im coś na czołach – oznajmił ktoś spokojnie z tylnych rzędów.

Robert uśmiechnął się.

– Widzę, że ktoś tu uważnie czytał Dantego. – Wskazał raz jeszcze na wyświetlany obraz. – Wygląda to tak, jakby anioł przeszywał swoim mieczem głowę stojącego przed nim nieszczęśnika, lecz w rzeczywistości robi coś innego. Zgodnie z tym, co napisał Dante, anioł strzegący wejścia do czyśćca używa sztychu własnego miecza do wycięcia znaku na czołach wpuszczanych tam grzeszników. Cóż takiego wypisuje,

zapytacie... – przerwał znowu dla podkreślenia efektu. – Co ciekawe, jest to jedna litera... powtórzona siedmiokrotnie. Czy ktoś pamięta, jaką literę anioł wyrył siedmiokroć na czole Dantego?

– P! – zawołał ktoś z audytorium.

Langdon uśmiechnął się.

– Tak. Siedem liter P. Każda była skrótem słowa *peccatum*, co po łacinie oznacza grzech. A to, że wypisuje ich siedem, jest prostym odniesieniem do *Septem Peccata Mortalia*, czyli...

– Siedmiu grzechów śmiertelnych! – zawołał ktoś inny.

– Bingo. Dopiero po przejściu wszystkich kręgów czyśćca można je zmyć. Na każdym poziomie, na który wspina się grzesznik, kolejny anioł usuwa z jego czoła jedną literę. Docierając do dziewiątego kręgu, dusza ma już czyste czoło... co oznacza, że została oczyszczona z grzechów. – Puścił oko do zebranych. – Nie na darmo nazywamy to miejsce czyśćcem...

Robert otrząsnął się z zamyślenia i zobaczył, że Sienna spogląda na niego zza chrzcielnicy.

– Siedem liter P? – zapytała, wskazując głową maskę pośmiertną Dantego. – Twierdzisz, że to wiadomość mówiąca nam, co mamy robić dalej?

Langdon streścił jej pokrótce dantejską wizję czyśćca, wyjaśnił, że litery P oznaczają siedem grzechów śmiertelnych, i wytłumaczył, w jaki sposób można się ich pozbyć z czoła.

– Wygląda na to – kontynuował – że Bertrand Zobrist, będąc zagorzałym wielbicielem Dantego, orientował się, że usunięcie tych literek było warunkiem dostania się do raju.

Sienna spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nie sądzisz chyba, że Bertrand Zobrist umieścił tam te litery, ponieważ chciał, abyśmy starli je z maski? To twoim zdaniem powinniśmy teraz zrobić, prawda?

– Wiem, że to...

– Robercie, czy usunięcie tych liter z gipsu w czymkolwiek nam pomoże? Będziemy mieli czystą maskę, nic więcej.

– Może tak – uśmiechnął się, by dodać jej nadziei – a może nie. Wydaje mi się, że jest tutaj coś, czego na pierwszy rzut oka nie widać. – Wskazał maskę ruchem głowy. – Pamiętasz, jak mówiłem, że tył jest jaśniejszy od przodu z powodu nierównomiernego starzenia się powierzchni?

– Tak.

– Chyba się myliłem – dodał. – Różnica jest zbyt duża jak na zwykły proces starzenia, a poza tym tylna powierzchnia ma ząbki.

– Ząbki?

Pokazał jej, że gips z tyłu jest o wiele mniej gładki niż na części twarzowej, a do tego ziarnisty jak papier ścierny.

– W świecie sztuki nazywamy takie zadziory ząbkami. Malarze wolą malować na ziarnistych powierzchniach, ponieważ farba lepiej do nich przylega.

– Chyba nie nadążam za tobą.

Langdon uśmiechnął się.

– Wiesz, czym jest gładź szpachlowa?

– Wiem, malarze używają jej do gruntowania... – zamilkła, zrozumiawszy, o co mu chodziło.

– Właśnie – powiedział. – Używają jej do uzyskania idealnie białej ząbkowanej powierzchni, a czasami też zasłaniają nią

wcześniej namalowane obrazy, jeśli chcą użyć tego samego płótna po raz kolejny.

Teraz naprawdę ją zaciekawił.

– Sądzisz, że Zobrist pokrył gładzią wewnętrzną stronę maski?

– To by tłumaczyło, skąd się wzięły ząbki i nieco jaśniejsza barwa gipsu. Jak również dlaczego chciał, abyśmy zmazali siedem literek P.

Tym razem nie zrozumiała, co miał na myśli.

– Powąchaj – poprosił, przysuwając maskę do jej twarzy jak ksiądz podający wiernemu komunię.

Skrzywiła się.

– Gładź cuchnie jak mokry pies?

– Nie gładź. Zwykły gips ma zapach kredy. Psem cuchnie gładź akrylowa.

– Czyli...

– Czyli rozpuszczalna w wodzie.

Kiedy Sienna przechyliła głowę, Langdon mógłby przysiąc, że słyszy, jak obracają się trybiki w jej umyśle. Przeniosła wolno spojrzenie na maskę, a potem szybko z powrotem na Roberta. Oczy miała szeroko rozwarte.

– Sądzisz, że znajdziemy coś pod warstwą gładzi?

– To by na pewno wiele wyjaśniło.

Sienna natychmiast przesunęła sześcioboczną pokrywę, by zyskać dostęp do wody. Chwyciła czysty lniany ręcznik i zanurzyła go w chrzcielnicy. Zaraz jednak podała szmatkę Langdonowi.

– Ty powinieneś to zrobić.

Robert ułożył maskę na lewej dłoni twarzą w dół, a prawą chwycił namoczony len. Otrząsnął go z nadmiaru wody, zanim potarł czoło Dantego, nawilżając miejsce wokół siedmiu liter P. Po kilku przetarciach palcem wskazującym zamoczył szmatkę jeszcze raz. Chwilę to trwało, ale w końcu dotarł do czarnego tuszu.

– Gładź się rozpuszcza – rzucił podekscytowanym tonem. – Pod spodem jest tusz...

Powtarzając czynności po raz trzeci, zaczął mamrotać pod nosem. Następne słowa wypowiadał pobożnym, monotonnym głosem, który odbijał się echem w głębi chrzcielnicy.

– Bóg wszechmogący, Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, który was uwolnił od grzechu i odrodził z wody i z Ducha Świętego...

Sienna patrzyła na niego, jakby postradał zmysły.

Wzruszył ramionami.

– Wydawało mi się, że te słowa będą pasować do sytuacji.

Przewróciła oczami i znów zajęła się obserwowaniem maski. Im dłużej pracował Robert, tym więcej oryginalnej powierzchni wyłaniało się spod rozpuszczanej gładzi. Odcień żółci bardziej teraz pasował do tak starego artefaktu. Gdy ostatnia literka zniknęła, Amerykanin wytarł delikatnie maskę suchym ręcznikiem i podniósł ją, aby oboje mieli dobry widok.

Sienna jęknęła głośno.

Tak, jak przewidział Langdon, pod warstwą gładzi znajdowało się coś jeszcze – druga linijka wykaligrafowanego napisu. Na bladożółtej powierzchni ujrzeli następne siedem znaków.

Tym razem jednak układały się one w zrozumiałe słowo.

Rozdział 58

– Jasnego? – zdziwiła się Sienna. – Nie rozumiem.

Ja chyba też nie do końca...

Langdon przyjrzał się uważnie tekstowi odsłoniętemu pod startymi literkami P. Na czole Dantego widniało jedno słowo.

jasnego

– Co to ma znaczyć, u diabła? – zapytała Sienna.

Nie wiem.

Langdon spojrzał w górę, na mozaikę Szatana pożerającego umęczone dusze, które nie zdołały oczyścić się z grzechów.

„Jasnego”?...

Nie widział w tym większego sensu.

– Może to jeszcze nie wszystko? – zastanawiała się Sienna, wziąwszy maskę z rąk Langdona, by przyjrzeć jej się dokładniej. Po chwili pokiwała głową. – Spójrz na zakończenie tego słowa... coś tam jeszcze jest.

Robert przyjrzał się wskazywanemu miejscu i dostrzegł w rozmazanej gładzi ciemniejsze plamki, jakby po obu stronach znajdował się dalszy ciąg tekstu.

Sienna chwyciła lnianą szmatkę i zaczęła rozcierać gips wokół słowa, dopóki nie odsłoniła kolejnej części napisu.

O wy, jasnego zdolni rozeznania...

Langdon gwizdnął głośno.

– „O wy, jasnego zdolni rozeznania!... Patrzcie nauki, która z osłoniętej... niezwykle mowy tajną myśl wyłania".

– Słucham? – zapytała zdumiona Sienna.

– To cytat z najbardziej znanej strofy *Piekła* Dantego – wyjaśnił podekscytowany Robert. – Autor zachęca w niej najbystrzejszych czytelników do szukania wiedzy ukrytej w zaszyfrowanej frazie.

Langdon często cytował ten właśnie fragment podczas swoich wykładów. W całej historii literatury bowiem nie znalazłby się sprytniejszy autor, który bez wymachiwania rękami woła do czytelnika: „Hej, ty tam! To zdanie ma symboliczne drugie znaczenie!".

Sienna zaczęła skrobać tył maski z jeszcze większym wigorem.

– Uważaj! – zganił ją Robert.

– Racja – zreflektowała się, ale nie przestała gorliwie rozcierać gładzi. – Ciąg dalszy też tu jest. Słowo w słowo... – przerwała, by zamoczyć ręcznik w chrzcielnicy i opłukać go z gipsu.

Langdon spoglądał z odrazą na białą zawiesinę rozpływającą się w wodzie.

Wybacz nam, święty Janie, poprosił w myślach, martwiąc się, że traktują chrzcielnicę jak zwykłą umywalkę.

Gdy Sienna wyjęła ręcznik z wody, pociekły z niego strugi kropel. Nie przejęła się tym jednak i zaraz znowu potarła wgłębienie szorstkim materiałem, jakby czyściła naczynia po obiedzie.

– Sienna! – upomniał ją Langdon – To zabytkowy...

– Cały tył pokryty jest tekstem. – Zawzięcie pucowała wnętrze maski. – A zapisano go... – zamilkła, przechylając głowę w lewo i odwracając maskę w prawo, jakby próbowała odczytać pionowe ciągi liter.

– Jak go zapisano? – dopytywał Langdon, nie mając artefaktu w polu widzenia.

Sienna bez słowa wytarła maskę świeżym ręcznikiem i położyła ją na pokrywie, aby oboje mogli jej się przyjrzeć.

Robert wstrzymał oddech, gdy ujrzał efekty jej pracy. Całe wgłębienie pokrywał tekst, który musiał liczyć ze sto słów. Zaczynał się na szczycie od frazy: „O, wy, jasnego zdolni rozeznania!", po czym ciągnął się nieprzerwaną linią wzdłuż prawej krawędzi na sam dół, skąd odwrócony do góry nogami biegł ponownie w górę, pnąc się po lewej, by następnie stworzyć kolejne nieco tylko mniejsze pętle.

Ten charakterystyczny kształt natychmiast przywodził na myśl drogę, którą umęczone dusze musiały pokonać, by dotrzeć na szczyt czyśćca. Langdon z racji zawodu bez trudu zidentyfikował tę idealną spiralę. Była to klasyczna spirala Archimedesa. Gdy zliczył liczbę linii dzielących środek od pierwszego słowa otrzymał znajomą cyfrę.

Dziewięć.

Z trudem łapiąc oddech, odwracał maskę w dłoniach, by odczytać zakręcony tekst.

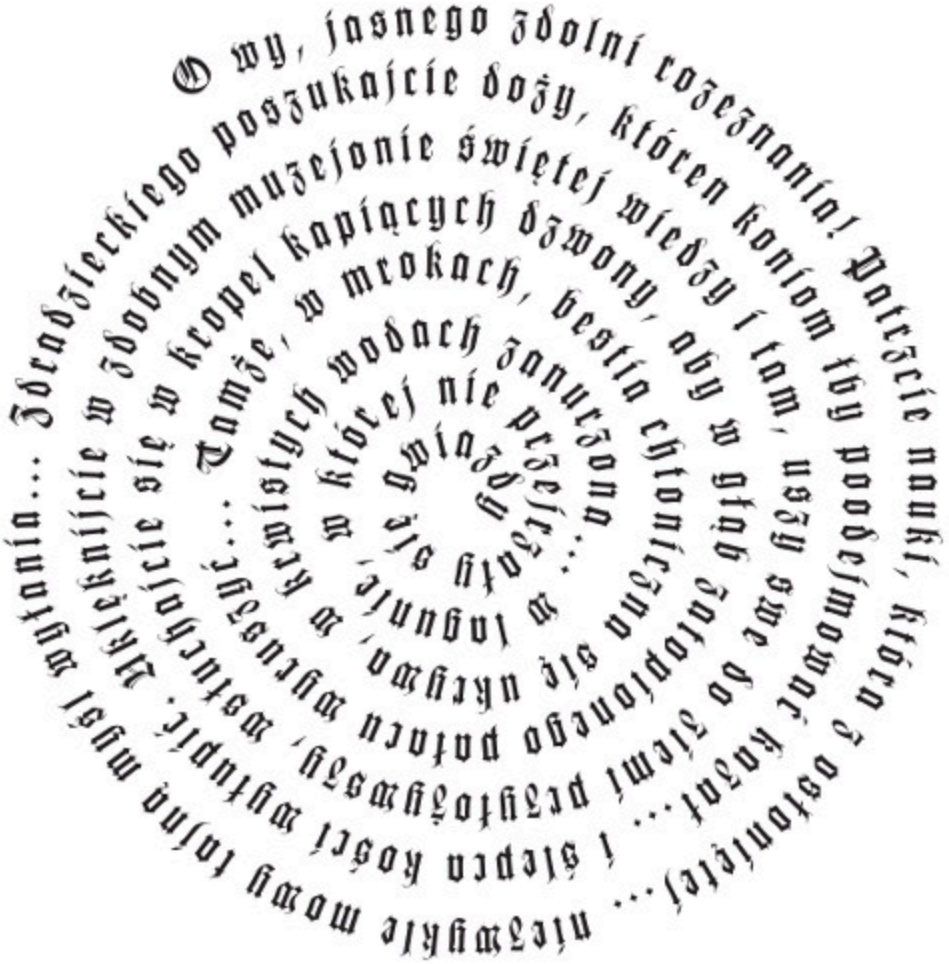
O wy, jasnego zdolni rozeznania! Patrzcie nauki, która z osłoniętej... niezwykle mowy tajną myśl wyłania... Idź do siedmiu kół, do ciemi przystojnego piekła, gdzie natychmiast w lodzie... Tamże, w mrokach, bestia chtoniczna ogłupiała

styl.

– Zobrist – wyszeptała Sienna. – To musiał być on.

Langdon przytaknął. Równie dobrze mógł to być on. Udowodnił przecież, przerabiając *Mapę Piekieł* Botticellego, że ma tendencję do poprawiania cudzych arcydzieł, jeśli tylko mogą mu do czegoś posłużyć.

– Reszta tekstu jest bardzo dziwna – zauważył, obracając maskę raz jeszcze, by doczytać inskrypcję do końca. – Mówi o obcinaniu łbów koniom... wyłupianiu kości ślepca. – Przeszedł do ostatniego kręgu, który spisano bardzo ciasnym zakrętasem w samym środku. – Wspomina także o krwistych wodach.

Sienna uniosła brew.

– Takich jak te, za którymi stoi siwowłosa kobieta z twoich wizji?

Robert ponownie przytaknął, zastanawiając się nad znaczeniem przeczytanych słów.

Krwiste wody laguny, w której nie przejrzały się gwiazdy?...

– Spójrz – wyszeptała lekarka, zaglądając mu przez ramię, by wskazać jedno ze słów w środku spirali. – To odnosi się chyba do konkretnego miejsca.

Langdon spojrzał na wyraz, który najwyraźniej wcześniej przeoczył. Faktycznie dotyczył on jednego z najpiękniejszych i najbardziej unikalnych miast świata. Poczuł zimny dreszcz, gdy dotarło do niego, że to właśnie tam Dante Alighieri zaraził się nieuleczalną chorobą, która go zabiła.

Wenecja.

Jak zaklęci studiowali te pokrętne wersy jeszcze przez dłuższą chwilę. Napis był makabryczny i poruszający zarazem. A także

trudny do rozszyfrowania. Użyto w nim słów „doża” i „laguna”, co zdaniem Langdona tylko potwierdzało, że odnosi się on do Wenecji – wyjątkowego włoskiego miasta zbudowanego na setkach połączonych ze sobą wysepek w lagunie, którym w średniowieczu rządzili władcy zwani dożami.

Choć nie potrafił ustalić konkretnego miejsca, do którego kierował ten tekst, czuł, że autor zachęca, by czytelnik podążył za otrzymanymi wskazówkami.

Uszy swe do ziemi przyłożywszy, wsłuchajcie się w kropel kapiących dzwony...

– To musi być gdzieś pod ziemią – stwierdziła Sienna, czytając razem z nim.

Skinął tylko głową, wodząc oczami po kolejnym zdaniu.

Aby w głąb zatopionego pałacu wyruszyć... tamże, w mrokach, bestia chtoniczna się ukrywa...

– Jaka bestia? – zapytała zaniepokojona lekarka.

– Chtoniczna – odparł. – Zapewne chodzi o stworzenie, które żyje pod ziemią...

Zanim zdążył dodać coś jeszcze, w baptysterium rozległ się głośny szczęk odsuwanego rygla. Ktoś otwierał od zewnątrz wejście dla turystów.

– *Grazie mille* – powiedział mężczyzna z wysypką na twarzy. Wielkie dzięki.

Strażnik pokiwał nerwowo głową, chowając do kieszeni pięćset dolarów i lustrując okolicę, by sprawdzić, czy nikt tego nie widzi.

– *Cinque minuti* – przypomniał, dyskretnie uchylając otwarte przed momentem drzwi, aby gość mógł się wślizgnąć do środka.

Gdy mężczyzna wszedł, natychmiast zamknął za nim masywne odrzwia, blokując dźwięki dobiegające z placu.

Z początku nie miał zamiaru pomagać człowiekowi, który twierdził, że przyjechał aż z Ameryki, by pomodlić się w baptysterium Świętego Jana o uleczenie paskudnej wysypki. W końcu jednak uległ, w czym pomogło owe pięćset dolarów, które otrzymał za wpuszczenie na pięć minut do wnętrza sanktuarium... Niemałe znaczenie miała też bez wątpienia obawa, że człowiek cierpiący na paskudną, a być może i zaraźliwą chorobę, będzie stał tuż obok przez kilka godzin pozostałych do otwarcia.

Gdy mężczyzna wślizgnął się bezszelestnie do wnętrza baptysterium, jego wzrok powędrował natychmiast ku sufitowi.

Cholera jasna!...

Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. Z góry spoglądał nań trzygłowy demon.

Poza tym miejsce to wydawało się puste.

Gdzie oni są, u licha?

Przeczesując wzrokiem pomieszczenie, spojrzał na główny ołtarz. Był to masywny prostopadłościenny blok marmuru stojący w jednej z nisz za rozpiętymi linami dla ochrony przed gotowymi go zadeptać turystami.

To była jedyna kryjówka w tym pomieszczeniu. Co więcej, jeden ze słupków, na których trzymały się liny, wciąż lekko się chwiał... zupełnie jakby ktoś potrącił go przed momentem.

Langdon i Sienna przycupnęli za ołtarzem. Ledwie mieli czas, by ukryć brudne ręczniki i wyprostować pokrywę na chrzcielnicy. Uciekając, nie zapomnieli jednak o masce. Zamierzali się chować,

dopóki baptysterium nie zapełni się turystami, a potem, wmieszawszy się w tłum, opuścić dyskretnie sanktuarium.

Ktoś otworzył na krótko północne wejście do chrzcielnicy, sądząc z odgłosów ulicy, które dotarły do uszu Langdona i umilkły jak nożem ucięte, gdy masywne skrzydło zostało ponownie zatrzaśnięte.

Teraz, w kompletnej ciszy, wsłuchiwali się w odgłosy kroków pojedynczego człowieka przemierzającego kamienną posadzkę.

Strażnik? Sprawdza czy wszystko gra przed wpuszczeniem turystów?

Robert nie zdążył zgasić lamp nad chrzcielnicą, co strażnik powinien prędko zauważyć. A jednak nie zauważył. Stukot wskazywał, że przybysz zmierza szybkim krokiem w kierunku ołtarza, za którym przycupnęli Langdon i Sienna.

Potem na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Robercie, to ja – odezwał się ktoś gniewnym tonem. – Wiem, że tam jesteś. Wyłaź i wytłumacz swoje zachowanie.

Rozdział 59

Udawanie, że mnie tu nie ma, mija się z celem, pomyślał Langdon i dał znać Siennie, by pozostała w ukryciu razem z maską Dantego, którą ponownie włożył do zamykanego szczelnie woreczka.

Potem bardzo wolno wstał. Wyprostowawszy się za ołtarzem baptysterium niczym ksiądz odprawiający mszę, popatrzył na samotnego wiernego. Nieznany mu mężczyzna miał jasnobrązowe włosy, designerskie okulary i okropną wysypkę na szyi i twarzy. Drapał się nerwowo po zaczerwienionym karku, a jego podpuchnięte oczy miotały gromy zmieszania i gniewu.

– Możesz mi powiedzieć, co ty wyprawiasz? – zapytał z wyraźnym amerykańskim akcentem, ruszając w kierunku Langdona.

– Mogę – odparł uprzejmie Robert. – Najpierw jednak wolałbym usłyszeć, z kim rozmawiam.

Zaskoczony mężczyzna zatrzymał się w pół kroku.

– Co ty bredzisz?

Wyraz oczu tego mężczyzny budził odległe skojarzenia w umyśle Langdona, tak samo jak jego głos.

Już go gdzieś kiedyś widziałem.

Powtórzył prośbę nieco milszym tonem:

– Proszę mi przypomnieć, kim pan jest i skąd się znamy.

Mężczyzna uniósł ręce w geście niedowierzania.

– Jonathan Ferris ze Światowej Organizacji Zdrowia. Człowiek, który poleciał do Stanów, żeby zabrać cię z Uniwersytetu Harvarda.

Robert usiłował przyswoić zasłyszane informacje.

– Dlaczego się nie zameldowałeś? – dopytywał tymczasem mężczyzna, rozdrapując zaczerwienioną i pokrytą pęcherzykami skórę. – I kim jest kobieta, która tu z tobą weszła? Czy to z nią teraz pracujesz?

Angielka pojawiła się u boku Langdona i natychmiast przejęła inicjatywę.

– Doktor Ferris? Nazywam się Sienna Brooks i także jestem lekarzem. Pracuję tutaj, we Florencji. Minionej nocy profesor Langdon został postrzelony w głowę. Cierpi na amnezję wsteczną i dlatego nie wie, kim pan jest ani co się działo w ciągu minionych dwóch dni. Służę mu pomocą.

Mężczyzna wysłuchał tej odbijającej się głośnym echem w ścianach baptysterium przemowy, przekrzywiając coraz mocniej głowę. Wyglądał na zdziwionego, jakby nie do końca pojmował, o co tu chodzi. Po chwili zachwiał się, cofnął o krok, a potem wsparł dłonią o jeden ze słupków.

– O Boże... – jęknął. – Teraz już wszystko rozumiem...

Langdon widział, że gniew ustępuje z twarzy jego rozmówcy.

– Robercie – wymamrotał Ferris – Sądziliśmy, że ty... – Pokręcił głową, jakby chciał poukładać wszystkie fragmenty łamigłówki,

zanim dokończy zdanie. – Sądziliśmy, że przeszedłeś na ich stronę... że zdołali cię przekupić... albo grozili ci w jakiś sposób... Nie mieliśmy bladego pojęcia!

– Robert rozmawiał wyłącznie ze mną – poinformowała go Sienna. – Wie tylko tyle, że dzisiaj rano ocknął się w szpitalu i od tamtej pory musi uciekać przed ludźmi, którzy usiłują go zabić. Do tego ma przerażające wizje; są w nich stosy ciał, ofiary zarazy i siwowłosa kobieta z amuletem w kształcie węża, która powtarza...

– Elizabeth – wpadł jej w słowo Ferris. – Mówisz o doktor Elizabeth Sinskey! Robercie, to ona poprosiła, byś nam pomógł!

– Cóż – rzuciła Sienna. – Mam nadzieję, że pan wie, iż Elizabeth ma spore kłopoty. Widzieliśmy ją w furgonetce pełnej żołnierzy. Wyglądała, jakby ją odurzono. – Mężczyzna pokiwał wolno głową, przymykając oczy. Powieki miał czerwone i mocno napuchnięte. – Co się dzieje z pańską twarzą? – zapytała.

Otworzył oczy.

– Słucham?

– Pańska skóra. Nie złapał pan jakiejś choroby?

Ferris wydawał się zaskoczony jej bezpośredniością, która bez wątpienia łamała normy dobrego wychowania. Natomiast Langdon poczuł wdzięczność, że Sienna zadała to pytanie, ponieważ sam się nad tym zastanawiał od dłuższej chwili. Zważywszy na masę odniesień do dżumy, na jakie bez przerwy ostatnio trafiał, ta wysypka i czerwone liszaje wbudziły jego poważny niepokój.

– Nic mi nie jest – uspokoił ich Ferris. – To przez cholerne hotelowe mydełka. Mam uczulenie na soję, a większość tych

włoskich pachnideł powstaje na bazie wyciągu z soi. Głupio zrobiłem, że tego nie sprawdziłem.

Sienna odetchnęła z ulgą, rozluźniając się wyraźnie.

– Dzięki Bogu, że nie zjadł pan niczego sojowego. Wstrząs anafilaktyczny byłby o wiele poważniejszy od podrażnienia skóry. – Wszyscy zaśmiali się niezręcznie. – Proszę mi powiedzieć – poprosiła moment później – czy mówi coś panu nazwisko Bertrand Zobrist? – Ferris zamarł z taką miną, jakby stanął twarzą w twarz z trzygłowym Szatanem. – Chyba znaleźliśmy wiadomość od niego – wyjaśniła lekarka. – Napomyka w niej o jakimś miejscu w Wenecji. Kojarzy się to panu z czymś?

Mężczyzna zrobił wielkie oczy.

– Jezu, tak! Oczywiście! Jakie to miejsce?

Sienna zaczerpnęła tchu, zamierzając opowiedzieć Ferrisowi o spiralnym poemacie, który odkryli na masce, jednakże Langdon powstrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu. Ich rozmówca wydawał się sprzymierzeńcem, lecz po tym, co przeżyli tego ranka, Robert nie ufał nikomu. Co więcej, zdążył sobie przypomnieć ten dziwaczny krawat – identyczny miał mężczyzna modlący się w kościółku przy grobie Beatrycze.

Czy ten człowiek nas śledził?

– Jak nas tutaj znalazłeś? – zapytał podejrzliwie.

Ferris wciąż nie mógł uwierzyć, że Langdon niczego nie pamięta.

– Zadzwoniłeś do mnie wczoraj w nocy, twierdząc, że umówiłeś się z dyrektorem muzeum, gościem nazwiskiem Ignazio Busoni. Potem zniknąłeś. Nie odezwałeś się ponownie. Zacząłem się martwić, kiedy usłyszałem o znalezieniu zwłok Busoniego. Cały

ranek szukałem cię na starówce. Później zobaczyłem, że policja jedzie w kierunku Palazzo Vecchio, a gdy czekałem na rozwój wydarzeń, przypadek sprawił, że dostrzegłem, jak wychodzisz bocznymi drzwiami z... – zerknął w kierunku lekarki, nie mogąc przypomnieć sobie jej nazwiska.

– Sienna – podpowiedziała mu. – Brooks.

– ...z doktor Brooks. Poszedłem za wami w nadziei, że dowiem się, co ty takiego wyprawiasz.

– Modliłeś się w Kościele Dantego, zgadza się?

– Tak! Byłem ciekaw, co zamierzasz zrobić, ale twoje posunięcia nie miały najmniejszego sensu! Opuszczając ten kościółek, wyglądałeś jak człowiek wyruszający na ważną misję, poszedłem więc za tobą, a kiedy zobaczyłem, że zakradasz się do baptysterium, uznałem, iż nadeszła najwyższa pora na konfrontację. Zapłaciłem strażnikowi za kilka minut modlitwy w samotności...

– Śmiałe posunięcie – podsumował Langdon – zważywszy, że miałeś mnie za zdrajcę.

Ferris pokręcił głową.

– Coś mi podpowiadało, że nie dałbyś się przekabacić. Profesor Robert Langdon? Wiedziałem, że musi istnieć inne wytłumaczenie. Ale amnezja? Nie do wiary. Nigdy bym się nie domyślił. – Znów zaczął rozdrapywać swędzącą wysypkę. – Słuchajcie, on dał mi tylko pięć minut. Musimy się stąd wydostać, i to jak najszybciej. Skoro ja trafiłem na wasz ślad, ludzie depczący wam po piętach też nie będą mieli z tym najmniejszego problemu. Nie rozumiecie jeszcze wielu rzeczy. Musimy jechać do Wenecji. Natychmiast. Trzeba będzie opuścić Florencję tak, by

nikt nie zauważył naszego wyjazdu. Ludzie, którzy dopadli doktor Sinskey... i którzy na was polują... wszędzie mają oczy. – Wskazał głową na drzwi.

Langdon poczuł się pewniej, zyskawszy szansę na poznanie kilku odpowiedzi.

– Kim są ci żołnierze w czarnych mundurach? Dlaczego próbują mnie zabić?

– To długa historia – odparł Ferris. – Opowiem ci ją po drodze.

Robert zmarszczył brwi. Skinął na Siennę i odszedł z nią na bok, gdzie zniżając głos, zapytał:

– Co o tym wszystkim myślisz? Możemy mu zaufać?

Spojrzała na niego jak na wariata.

– Przecież to facet ze Światowej Organizacji Zdrowia. Tylko on może nam udzielić odpowiedzi.

– A ta wysypka?

Sienna wzruszyła ramionami.

– Tak jak powiedział, ostra reakcja alergiczna.

– A jeśli nie mamy do czynienia z alergią? – wyszeptał Langdon. – Jeśli to coś innego?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– To nie dżuma, jeśli do tego zmierzasz. Na miłość boską, przecież ten człowiek jest lekarzem. Mając świadomość, że został zarażony dżumą, nie biegałby po ulicach i nie narażałby reszty świata.

– A jeśli jeszcze nie wie?...

Sienna wydęła wargi w zamyśleniu.

– W takim wypadku i tak mamy przewalone... jak wszyscy w tym mieście.

– Rany, nie uczą was na studiach, jak przekazywać pacjentowi złe wieści?!

– Stawiam na uczciwość. – To powiedziawszy, wskazała na woreczek z maską pośmiertną i dodała: – Może ponosisz teraz naszego małego przyjaciela?

Gdy odwrócili się do Ferrisa, ten właśnie odsuwał od ucha telefon komórkowy.

– Zadzwoniłem po mojego kierowcę – wyjaśnił. – Spotka się z nami przed baptysterium za... – zamilkł raptownie, gapiąc się na rękę Langdona. Po raz pierwszy zobaczył martwą twarz Dantego. – Chryste! – jęknął, cofając się o krok. – Co to jest, u licha?

– To długa historia – odparł Robert. – Wyjaśnię ci wszystko po drodze.

Rozdział 60

Nowojorskiego wydawcę, Jonasa Faukmana, zbudziło dzwonienie służbowo-domowego telefonu. Przetoczył się na bok, by spojrzeć na budzik. Była czwarta dwadzieścia osiem nad ranem.

Tego rodzaju alarmy były równie rzadkie w świecie wydawniczym jak nocna sprzedaż. Zaniepokojony Faukman zsunął się z łóżka i poczłapał w kierunku gabinetu.

– Halo? – Ze słuchawki dobiegał znajomy głęboki baryton. – Jonas, jak to dobrze, że cię zastałem. Mówi Robert, mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

– Owszem, obudziłeś mnie. Jest wpół do piątej nad ranem!

– Wybacz, dzwonię z Europy.

Na Harvardzie nie uczą o istnieniu stref czasowych?

– Wpadłem w tarapaty, Jonas i potrzebuję twojej pomocy. – Langdon mówił z przejęciem. – Chciałbym skorzystać z twojej karty NetJets.

Faukman zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Robercie, jestem wydawcą książek, nie mam dostępu do prywatnych odrzutowców.

– Obaj wiemy, że kłamiesz, przyjacielu.

Faukman westchnął ciężko.

– No dobrze, pozwól, że ujmę to nieco inaczej. Nie udostępniam swojej karty autorom książek o historii religii. Jeśli zgodzisz się na napisanie, powiedzmy, *Pięćdziesięciu twarzy ikonografii*, będziemy mogli pogadać.

– Jonas, zwrócę ci pełne koszty tego lotu. Masz na to moje słowo. Wiesz, że zawsze dotrzymuję obietnic.

Akurat, pomyślał Faukman. Na twoją najnowszą książkę czekam już trzeci rok.

Wyczuwszy zdenerwowanie Roberta, poprosił jednak:

– Mów, o co chodzi. Spróbuję ci jakoś pomóc.

Pracował z Langdonem wystarczająco długo, by oswoić się z jego swoistym poczuciem humoru, ale tym razem nie wychwycił w jego głosie ani cienia wesołości.

On nie żartuje...

Faukman musiał odetchnąć, aby zebrać myśli. Podejmując decyzję, był pewien, że księgowy go zabije. Pół minuty później zapisał szczegóły dotyczące zamawianego lotu.

– Jakiś problem? – zapytał Langdon, wyczuwając wahanie wydawcy i jego zdziwienie stawianymi żądaniami.

– Nie, skądże. Po prostu wydawało mi się, że jesteś w Stanach – odparł Faukman. – Dziwi mnie, że siedzisz we Włoszech.

– To jest nas dwóch – odparł Robert. – Raz jeszcze dziękuję, Jonas. Jadę na lotnisko.

Centrum operacyjne NetJets mieści się w Columbus w stanie Ohio. Jego konsultanci są dostępni przez całą dobę.

Pracująca w biurze obsługi klienta Deb Kier odebrała właśnie telefon od drobnego udziałowca z Nowego Jorku.

– Jedną chwileczkę – rzuciła, poprawiając słuchawki i wybudzając komputer przed sobą. – Technicznie biorąc, mówimy o locie będącym w gestii europejskiego oddziału NetJets, ale pomogę panu. – Podłączyła się szybko do systemu w portugalskim ośrodku Paço de Arcos, aby sprawdzić bieżące położenie maszyn znajdujących się w pobliżu Włoch. – A zatem, sir... – odezwała się znowu. – Wygląda na to, że nasza cessna Citation Excel stoi na lotnisku w Monako, co oznacza, że może dotrzeć do Florencji w ciągu godziny. Czy to zadowoli pana Langdona?

– Miejmy taką nadzieję – odparł właściciel wydawnictwa, który sądząc z głosu, był zarazem wkurzony i zmęczony. – Dziękuję.

– Cała przyjemność po naszej stronie – odparła Deb. – Pan Langdon zamierza lecieć do Genewy?

– Na to wygląda.

Konsultantka nie przestawała pisać na klawiaturze.

– Wszystko załatwione – oświadczyła w końcu. – Pan Langdon rozpocznie podróż na lotnisku Tassignano, które znajduje się około osiemdziesięciu kilometrów na zachód od Florencji. Start przewidziany jest na godzinę jedenastą dwadzieścia czasu lokalnego. Pan Langdon powinien pojawić się u naszego agenta minimum dziesięć minut wcześniej. Nie zamawiał pan dowozu ani cateringu, podał pan wszystkie potrzebne dane z paszportu pana Langdona... Zamówienie przyjęte – potwierdziła i uprzejmie zapytała: – Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze?

– Może załatwicie mi nową pracę? – rzucił, śmiejąc się przy tym. – Dziękuję. Była pani bardzo pomocna.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Życzę dobrej nocy. – Deb zakończyła rozmowę i odwróciła się do monitora, by uzupełnić

formularz rezerwacji. Wprowadziła dane paszportowe Langdona i właśnie miała je zatwierdzić, gdy nagle ekran rozbłysnął czerwienią alarmu. Odczytała komunikat, nie wierząc własnym oczom.

To musi być jakaś pomyłka.

Ponownie spróbowała wprowadzić dane Langdona i znów ekran zamigotał ostrzegawczo. Takie samo ostrzeżenie pojawiłoby się, gdyby ten konkretny klient próbował zarezerwować dla siebie bilet w biurze jakichkolwiek innych linii lotniczych.

Zdumiona Deb Kier przyglądała się ekranowi przez kilka długich sekund. Wiedziała, że choć NetJets bardzo poważnie podchodzi do prywatności swoich klientów, zignorowanie takiego komunikatu nie wchodzi w grę.

Dlatego natychmiast połączyła się z przełożonym.

Agent Brüder schował komórkę i natychmiast zaczął zaganiać swoich ludzi do furgonetek.

– Langdon się ruszył – oznajmił. – Zarezerwował prywatny samolot na lot do Genewy. Ma startować za niespełna godzinę z Tassignano... to jakieś osiemdziesiąt kilometrów na zachód stąd. Jeśli się pośpieszymy, może uda nam się go dopaść tuż przed odlotem.

W tym samym momencie wynajęty fiat pędził środkiem via dei Panzani. Zostawiając daleko w tyle piazza del Duomo, zmierzał na północ, ku stacji kolejowej Santa Maria Novella.

Langdon i Sienna kulili się na tylnych siedzeniach, a doktor Ferris zajmował miejsce obok kierowcy. Rezerwacja lotu w NetJets była pomysłem lekarki. Przy odrobinie szczęścia ta

zmyłka pozwoli trójce zbiegów na przemknięcie się przez florencki dworzec, który inaczej byłby pełen policjantów. Wenecja na szczęście leżała zaledwie dwie godziny jazdy od Florencji, a zakup biletu na liniach krajowych nie wymagał okazywania dokumentów.

Langdon zerknął na swoją towarzyszkę, zauważywszy, że ta wciąż zaniepokojona wpatruje się w Ferrisa. Mężczyzna wyraźnie cierpiał i oddychał z trudem, jakby każdy ruch klatki piersiowej sprawiał mu ból.

Miejmy nadzieję, że doktor Brooks nie pomyliła się w sprawie alergii.

Robert przyglądał się krostom chorego mężczyzny i oczyma wyobraźni widział zarazki krążące po kabinie ciasnego wozu.

Nawet palce ma opuchnięte i zaczerwienione...

Langdon wzdrygnął się i wyjrzał za okno.

Zbliżając się do dworca, minęli Grand Hotel Baglioni. To w nim odbywały się doroczne konferencje historyków sztuki, w których Langdon zawsze brał udział. Na widok znajomego miejsca Robert uzmysłowił sobie, że ma zamiar zrobić coś, czego nigdy wcześniej nie robił.

Opuszczam Florencję, nie zajrzawszy nawet do *Dawida*.

Przeprosiwszy w myślach Michała Anioła, podążył wzrokiem ku znajdującemu się naprzeciw dworcowi, a jego myśli podryfowały w kierunku Wenecji.

Rozdział 61

Langdon leci do Genewy?

Doktor Elizabeth Sinskey poczuła mdłości, kołysząc się mocno na tylnym siedzeniu furgonetki, która pędziła przez Florencję w kierunku zachodnim, ku prywatnemu podmiejskiemu lotnisku.

Przecież to bez sensu, uznała.

Langdona z Genewą łączyła co najwyżej siedziba Światowej Organizacji Zdrowia.

Czyżby chciał mnie tam szukać?

To też zakrawało na nonsens, ponieważ Amerykanin doskonale wiedział, że szefowa Światowej Organizacji Zdrowia przyleciała do Florencji.

Nagle uderzyła ją nowa myśl.

Mój Boże... Genewa jest celem Zobrista?!

Szalony miliarder pasjonował się symboliką, a zatem umiejscowienie punktu zero w siedzibie Światowej Organizacji Zdrowia idealnie by do niego pasowało, zwłaszcza gdy spojrzeć na problem przez pryzmat jego niemal rocznej walki z Sinskey. Z drugiej strony, Genewa raczej się nie nadawała na cel ataku biologicznego. W odróżnieniu od większości metropolii była mocno

odizolowana, a o tej porze roku panowały w niej stosunkowo niskie temperatury. Większość epidemii wybuchała w znacznie bardziej zatłoczonych i cieplejszych okolicach. Miasto znajdujące się na wysokości prawie czterystu metrów nad poziomem morza z pewnością nie stałoby się epicentrum światowej pandemii.

Bez względu na to, jak bardzo Zobrist chciałby mi dopiec.

Pytanie, dlaczego Langdon tam się wybiera, pozostało bez odpowiedzi. Ten nieoczekiwany cel podróży amerykańskiego profesora był tylko jednym z punktów na długiej liście jego irracjonalnych zachowań, które miały miejsce od wczoraj. Doktor Sinskey mimo szczerych chęci nie znajdowała wytłumaczenia dla większości z nich.

Po czyjej on jest teraz stronie?

Znała go dopiero od kilku dni, lecz jako osoba, która rzadko się myli w ocenie spotykanych ludzi, szczerze wątpiła, by ktoś taki jak Langdon dał się przekupić.

Mimo to minionej nocy zerwał kontakt z nami. Od tamtej pory biega po okolicy, jakby był zbuntowanym agentem. Czyżby ktoś zdołał go przekonać, że działania Zobrista mają jednak jakiś pokrętny sens?

Na tę myśl poczuła zimny dreszcz.

Nie, zapewniła sama siebie. Znam doskonale jego reputację; on nie dałby się tak przerobić.

Spotkała Langdona cztery noce temu na pokładzie przerobionego samolotu transportowego, który służył Światowej Organizacji Zdrowia za mobilne centrum koordynacji działań.

Maszyna ta wylądowała tuż po siódmej wieczorem na lotnisku Hanscom Field, około dwudziestu pięć kilometrów od Cambridge

w stanie Massachusetts. Elizabeth nie była pewna, czego ma się spodziewać po słynnym naukowcu, z którym wcześniej kontaktowała się wyłącznie przez telefon, dlatego mile się zdziwiła, widząc, jak profesor wchodzi dziarskim krokiem po rampie umieszczonej w części ogonowej i wita ją z beztroskim uśmiechem.

– Doktor Sinskey, jak sądzę? – Mocno uścisnął jej dłoń.

– Profesorze, to zaszczyt poznać pana.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Dziękuję za wszystko, co pani zrobiła.

Langdon okazał się wysokim mężczyzną z klasą, który miał w dodatku bardzo donośny głos. Jako że zabrano go prosto z campusu bez wcześniejszego ostrzeżenia, był ubrany tak jak podczas zajęć – w tweedową marynarkę, spodnie koloru khaki i mokasyny. Wyglądał znacznie młodziej i zdrowiej, niż to sobie wyobrażała, przez co znów pomyślała o swoim zaawansowanym wieku.

Mogłabym być jego matką.

Uśmiechnęła się do niego blado.

– Dziękuję za przybycie, profesorze.

Langdon wskazał na ponurego osobnika, którego wysłała, by go odebrał.

– Pani przyjaciel nie zostawił mi zbyt wiele czasu do namysłu.

– Świetnie. Za to mu właśnie płacę.

– Ładny amulet – rzucił Langdon, zerkając na jej wisiorek. – Lazuryt?

Sinskey skinęła głową, także spoglądając w dół, na niebieski kamień uformowany w znajomy kształt węża owiniętego wokół

pionowej laski.

– To symbol medycyny. Na pewno pan wie, że zwie się kaduceuszem.

Langdon podniósł raptownie głowę, jakby chciał coś powiedzieć.

Czekała w milczeniu.

On jednak się rozmyślił, co było widać po minie. Uśmiechnął się grzecznie i zapytał:

– Po co mnie pani tutaj sprowadziła?

Elizabeth zaprosiła go do prowizorycznej salki konferencyjnej ze stołem z nierdzewnej stali.

– Proszę usiąść. Chciałabym panu coś pokazać.

Gdy podchodził do stołu, zauważyła, że choć wydaje się zaintrygowany tym tajnym spotkaniem, nie okazuje najmniejszych oznak niepokoju.

Jest rozluźniony, uznała. Ciekawiło ją, czy nadal będzie taki spokojny, kiedy się dowie, dlaczego poprosiła go o przybycie na lotnisko.

Pozwoliła mu się usadowić, a potem bez zbytecznych wstępów pokazała mu przedmiot, który ona i jej ludzie wydostali ze skrytki we florenckim banku przed niespełna dwunastoma godzinami.

Langdon oglądał go przez chwilę, po czym wygłosił długą tyradę, nie mówiąc niczego, czego już by nie wiedziała. Cylinder był starożytną pieczęcią używaną do drukowania. Wyryto na nim wyjątkowo odrażającą postać trójgłowego Szatana i jedno jedyne słowo: *saligia*.

– *SALIGIA* – dodał Langdon – to skrót od łacińskich nazw...

– ...siedmiu grzechów śmiertelnych – dokończyła Elizabeth. – Tak, już to odkryliśmy.

– Ach tak... – Langdon wydawał się nieco zdezorientowany. – Po co więc każecie mi oglądać tę pieczęć?

– Choćby po to. – Sinskey odebrała cylinder i zaczęła nim mocno potrząsać, wprawiając w ruch kulkę umieszczoną wewnątrz.

Zdziwiła Roberta swoim zachowaniem, ale zanim zdążył zapytać, co robi, końcówka cylindra rozjarzyła się i Sinskey skierowała wskaźnik na gładki panel izolacyjny zdobiący ścianę kadłuba.

Langdon gwizdnął pod nosem, podchodząc do wyświetlanego obrazu.

– *Mapa Piekieł* Botticellego – oznajmił. – Inspirowana *Piekłem* Dantego. Zakładam, że to również już wiecie.

Elizabeth przytaknęła. Dzięki Internetowi jej zespołowi udało się ustalić tytuł i autora obrazu. Ku zaskoczeniu Sinskey tym ostatnim okazał się Botticelli, artysta, który tworzył zazwyczaj pełne barw dzieła, takie jak choćby *Narodziny Wenus* czy *Wiosna*. Lubiła te obrazy, mimo że odzwierciedlały płodność i dar życia, co przypominało jej nieodmiennie o własnej ułomności i zarazem jedynej rzeczy, jakiej żałowała w poza tym niezwykle produktywnym życiu.

– Chciałabym – odezwała się po chwili – żeby opowiedział mi pan o symbolach ukrytych w tym obrazie.

Langdon po raz pierwszy tego wieczoru wyglądał na naprawdę poirytowanego.

– I tylko po to mnie tu ciągnęliście? Sądziłem, że to coś naglącego.

– Proszę spełnić moją prośbę.

Robert westchnął ciężko.

– Jeśli chce się pani dowiedzieć więcej na temat jakiegoś obrazu, powinna pani skontaktować się z muzeum, w którym wisi oryginał. W tym wypadku byłaby to Biblioteka Watykańska. W placówkach Stolicy Apostolskiej pracuje ogromna rzesza niezwykle kompetentnych specjalistów, którzy...

– W Watykanie mnie nienawidzą.

Langdon rzucił jej zdziwione spojrzenie.

– Pani też? Myślałem, że jestem jedyny.

Uśmiechnęła się melancholijnie.

– Światowa Organizacja Zdrowia uważa, że szeroki dostęp do środków antykoncepcyjnych jest kluczowy dla dobra zdrowia publicznego, ponieważ nie tylko ogranicza rozprzestrzenianie chorób przenoszonych drogą płciową, takich jak AIDS, ale też pozwala na skuteczną kontrolę urodzin.

– A Watykan ma odmienne zdanie na ten temat.

– Mówiąc delikatnie... Marnuje siły i środki, by nauczać narody Trzeciego Świata, że antykoncepcja jest dziełem Szatana.

– No tak – przyznał Langdon, uśmiechając się znacząco. – Kto inny zna się tak na seksie jak banda stetryczałych osiemdziesięcioletnich prawiczków.

Sinskey z każdą sekundą bardziej lubiła tego człowieka.

Potrząsnęła miniaturowym projektorem, by go podładować, a potem jeszcze raz wyświetliła obraz na ścianie.

– Proszę się przyjrzeć uważniej.

Robert podszedł do obrazu, oglądał go długo, pochylając się od czasu do czasu. Nagle zamarł.

– To dziwne. Ktoś tu coś przerobił.

Szybko do tego doszedł.

– Owszem, a ja chciałabym, aby powiedział mi pan, co oznaczają te zmiany.

Langdon milczał, przyglądając się ponownie całości dzieła i zatrzymując dłużej jedynie przy dziesięciu literach, z których ktoś utworzył słowo *catrovacer*... przy ptasiej masce... i przy dziwacznej inskrypcji mówiącej coś o patrzeniu oczami śmierci.

– Kto to zrobił? – zapytał w końcu. – Skąd macie ten wskaźnik?

– Prawdę mówiąc, im mniej pan wie, tym lepiej dla pana. Miałam nadzieję, że przeanalizuje pan dokonane zmiany i powie nam, co mogą oznaczać. – Wskazała głową na stojące w kącie biurko.

– Tutaj? Teraz?

Przytaknęła.

– Wiem, że się narzucamy, ale może mi pan wierzyć, to naprawdę bardzo ważne. – Zamilkła na moment... – Nie przesadzę, jeśli powiem, że to sprawa życia lub śmierci.

Langdon przyglądał jej się z niepokojem.

– Rozszyfrowanie znaczenia tylu zmian może potrwać chwilę, ale skoro to takie ważne...

– Dziękuję – przerwała mu, nie dając szansy na zmianę zdania. – Czy powinniśmy kogoś powiadomić?

Langdon pokręcił głową, po czym wyjaśnił, że zamierzał spędzić spokojny weekend we własnym domu.

Znakomicie.

Sinskey usadowiła go za biurkiem, wyposażając w projektor, papier, ołówek i laptop z zabezpieczonym łączem satelitarnym. Robert nie mógł się nadziwić, dlaczego organizacja tak potężna

jak WHO interesuje się zmianami dokonanymi na kopii obrazu Botticellego, jednakże zabrał się do pracy.

Doktor Sinskey przypuszczała, że będzie ślęczał nad obrazem całymi godzinami, zanim do czegokolwiek dojdzie, usiadła więc opodal i zajęła się swoją robotą. Słyszała, jak profesor potrząsa od czasu do czasu wskaźnikiem, a potem coś notuje. Dosłownie dziesięć minut później odłożył ołówek i obwieścił:

– *Cerca trova*.

Oderwała wzrok od papierów.

– Słucham?

– *Cerca trova* – powtórzył. – Szukajcie, a znajdziecie. To rozwiązanie waszej łamigłówki.

Sinskey podbiegła do niego i siadła na sąsiednim krześle, przysłuchując się z nieskrywaną fascynacją, jak profesor Langdon opowiada, że odkrył, które elementy kręgów piekielnych zostały przeniesione, i po ich poprawnym uszeregowaniu otrzymał rozwiązanie, czyli dwa włoskie słowa: *cerca trova*.

Szukaj, a znajdziesz? To chciał mi przekazać tamten szaleniec?

Brzmiało to jak wyzwanie. Od razu przypomniała sobie ostatnie słowa, jakie szalony miliarder wypowiedział podczas ich spotkania w siedzibie Rady. „Wygląda na to, że zaczyna się nasz taniec”...

– Zbladła pani – zauważył przyglądający jej się uważnie Langdon. – Domyślam się, że spodziewała się pani innej wiadomości?

Sinskey wzięła się w garść, poprawiając amulet na szyi.

– Do pewnego stopnia... Zatem pańskim zdaniem ta mapa piekła sugeruje, że powinnam czegoś szukać?

– Tak. *Cerca trova.*

– A jest tam może jakaś sugestia, gdzie powinnam tego szukać?

Robert drapał się w zamyśleniu po brodzie, a wokół niego gromadzili się pracownicy Światowej Organizacji Zdrowia wyczekujący niecierpliwie odpowiedzi.

– Niezupełnie, ale chyba wiem, gdzie powinna pani zacząć.

– Proszę mówić – zażądała Sinskey znacznie ostrzejszym tonem, niż spodziewał się tego Langdon.

– Co pani powie na Florencję we Włoszech?

Elizabeth zacisnęła zęby, próbując zachować kamienną minę. Jej ludzie nie umieli się tak dobrze maskować. Wymieniali w popłochu spojrzenia. Jeden chwycił za komórkę i gdzieś zadzwonił. Drugi pobiegł za drzwi prowadzące do kabiny pilotów.

Langdon przyglądał się temu w zdumieniu.

– Czy powiedziałem coś niestosownego?

O tak, pomyślała Sinskey.

– Dlaczego wymienił pan właśnie Florencję?

– *Cerca trova* – odparł, a potem streścił pokrótce historię tajemniczego napisu na fresku Vasariego z Palazzo Vecchio.

Zatem to rzeczywiście Florencja.

Sinskey uznała, że usłyszała już wystarczająco dużo. Fakt, że jej przeciwnik odebrał sobie życie, skacząc z wieży znajdującej się zaledwie trzy przecznice od wspomnianego pałacu, z pewnością nie był dziełem przypadku.

– Profesorze – odezwała się do Langdona – kiedy pokazałam panu ten amulet, nazywając go kaduceuszem, chciał pan zareagować, lecz zawahał się pan, a potem zmienił zdanie. Co pan chciał wtedy powiedzieć?

Langdon pokręcił głową.

– Nic takiego... Mam pewien niemądry nawyk. Czasami wyłazi ze mnie dusza wykładowcy.

Sinskey patrzyła mu prosto w oczy.

– Pytam, ponieważ chciałabym wiedzieć, czy mogę panu w pełni zaufać. Co pan chciał wtedy powiedzieć?

Langdon przełknął głośno ślinę, a potem jeszcze odchrząknął, by oczyścić krtań.

– Może to niezbyt ważne, ale... Stwierdziła pani, że amulet ma kształt starożytnego symbolu medycyny, co jest prawdą. Popełniła pani jednak istotny błąd, dość powszechny zresztą, nazywając go kaduceuszem. Tak nazywamy dwa węże oplatające laskę ze skrzydłami na końcu. Na pani amulecie jest tylko jeden wąż, a laska nie ma skrzydeł. Dlatego nazywamy ją...

– Laską Eskulapa.

Zaskoczony Langdon przekrzywił głowę.

– Tak. Zgadza się.

– Wiem. Testowałam pana prawdomówność.

– Słucham?

– Byłam ciekawa, czy powie mi pan prawdę bez względu na to, jak byłaby nieprzyjemna dla mnie.

– Wygląda na to, że oblałem ten egzamin.

– Lepiej, żeby był to pierwszy i ostatni raz. Możemy współpracować przy tej sprawie, ale tylko pod warunkiem, że będziemy wobec siebie całkowicie szczerzy.

– Współpracować? Zatem to jeszcze nie koniec?

– Nie, profesorze, to jeszcze nie koniec. Chcę, aby poleciał pan z nami do Florencji i pomógł mi tam coś znaleźć.

Langdon przyglądał jej się z niedowierzaniem.

– Dzisiaj?

– Obawiam się, że tak. Sytuacja jest naprawdę krytyczna. Zaraz panu wszystko wyjaśnię...

Robert pokręcił głową.

– Nic, co pani powie, nie uczyni różnicy. Nie chcę dzisiaj lecieć do Florencji.

– Ja też nie – odparła z ponurą miną. – Problem w tym, że musimy się śpieszyć.

Rozdział 62

Promienie słońca odbijały się od lśniącego dachu Frecciargento, superszybkiego włoskiego pociągu, który płynnym łukiem przemierzał wzgórza Toskanii. „Srebrna strzała” oddalała się od Florencji z oszałamiającą prędkością ponad dwustu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a mimo to w jej wnętrzu panowała niemal idealna cisza. Pasażerowie słyszeli tylko cichutki stukot kół, a lekkie kołysanie działało na nich uspokajająco.

Robert Langdon nie zapamiętał prawie nic z wydarzeń minionej godziny.

On, Sienna i doktor Ferris zajęli prywatny *salottini*, jeden z najbardziej luksusowych przedziałów: niewielkie pomieszczenie klasy biznes z czterema skórzanymi fotelami i rozkładanym stołem. Ferris zapłacił za nie swoją kartą kredytową, zamawiając przy okazji kilka kanapek i wodę mineralną, które lekarka i profesor pochłonęli natychmiast po wyjściu z łazienki przylegającej do przedziału.

Gdy cała trójka usadowiła się wygodniej, by przetrwać dwugodzinną podróż do Wenecji, Ferris natychmiast

zainteresował się plastikowym woreczkiem z maską pośmiertną Dantego, który Langdon położył na stole pomiędzy nimi.

– Musimy ustalić, do jakiego miejsca w Wenecji kieruje nas ta inskrypcja.

Sienna go poparła.

– To jedyna szansa na powstrzymanie plagi, jaką chce na nas zesłać Zobrist.

– Chwileczkę. – Langdon położył dłoń na masce, jakby chciał ją ochronić. – Obiecałeś, że gdy tylko znajdziemy się w pociągu, opowiesz mi szczegółowo o wydarzeniach z ostatnich kilku dni. Na razie wiem tylko tyle, że Światowa Organizacja Zdrowia zwerbowała mnie w Stanach, abym odszyfrował przekaz umieszczony przez Zobrista na *Mapie Piekieł*. Poza tym nie dowiedziałem się niczego nowego.

Ferris poruszył się niezręcznie i znów zaczął rozdrapywać krostki na szyi i twarzy.

– Widzę, że jesteś wkurzony – zauważył. – Wyobrażam sobie, jak frustrująca musi być kilkudniowa luka w pamięci, niemniej, z medycznego punktu widzenia... – zerknął w kierunku Sienny, jakby oczekiwał od niej pozwolenia, a kiedy skinęła głową, dodał szybko: – Radziłbym nie marnować energii na próby przypomnienia sobie tamtych zdarzeń. W wypadku amnezji lepiej pozwolić, by zapomniana przeszłość pozostała zapomniana...

– Mam odpuścić? – Langdon poczuł narastający gniew. – O, nie! Żądam odpowiedzi! Twoja organizacja ściągnęła mnie do Włoch, gdzie zostałem postrzelony i przez to straciłem kilka dni życia! Chcę wiedzieć, co się ze mną działo w tym czasie!

– Robercie – wtrąciła Sienna, przemawiając zniżonym głosem, jakby chciała go uspokoić. – Doktor Ferris ma rację. Zalew tak wielu informacji mógłby ci zaszkodzić. Pomyśl o tych urywkach, które zapamiętałeś, o siwowłosej kobiecie, o jej słowach: „Szukaj, a znajdziesz", o wijących się ciałach z *Mapy Piekieł*... mało brakowało, a te urywki wspomnień pozbawiłyby cię przytomności. Jeśli doktor Ferris zacznie ci teraz streszczać wydarzenia kilku minionych dni, przypomnisz sobie sporo innych szczegółów i znów zaczniesz mieć halucynacje. Amnezja wsteczna to naprawdę poważne schorzenie. Przywoływanie wspomnień, których nie da się niczemu przyporządkować, może mieć fatalne skutki dla psychiki człowieka.

O tym Langdon nie pomyślał.

– Z pewnością odczuwasz ogromną dezorientację – powiedział Ferris – ale jeśli mamy uczynić dalsze postępy, potrzebujemy pełni twego intelektu. Inaczej nie rozgryziemy przekazu z maski.

Sienna przytaknęła.

Oboje lekarze wydawali się nad wyraz zgodni w tej sprawie.

Langdon siedział w fotelu, próbując zapanować nad ogarniającym go uczuciem niepewności. Trudno jednak być pewnym siebie, gdy człowiek spotyka całkowicie obcą mu osobę, którą jak się okazuje, poznał kilka dni wcześniej.

Mimo wszystko w jego oczach jest coś znajomego...

– Słuchaj – odezwał się Ferris współczującym tonem – widzę, że borykasz się z myślą, czy można mi zaufać, co jest całkowicie zrozumiałe, zwłaszcza po tym wszystkim, co cię ostatnio spotkało. Zresztą jednym z objawów pobocznych amnezji może być delikatna paranoja oraz nieufność.

To by się zgadzało, przyznał Langdon w duchu. Nie ufam nawet własnemu umysłowi.

– A skoro już mówimy o paranoi – zażartowała Sienna, próbując rozluźnić atmosferę – Robert zobaczył pańską wysypkę i od razu skojarzył ją sobie z dżumą.

Ferris otworzył podpuchnięte oczy szerzej, a potem wybuchnął śmiechem.

– Wierz mi, gdybym zapadł na dżumę, nie starałbym się jej leczyć ogólnie dostępnymi środkami antyhistaminowymi. – Wyjął z kieszeni na wpół opróżnioną tubkę maści i rzucił ją Langdonowi. To naprawdę był lek przeciw reakcjom alergicznym.

– Wybacz – rzucił Robert, czując się bardzo głupio. – Miałem ciężki dzień.

– Nie ma sprawy – odparł Ferris.

Langdon spojrzał w kierunku okna, za którym łagodne wzgórza układały się w tchnącą spokojem panoramę. Winnice i gospodarstwa rolne coraz częściej ustępowały miejsca dzikiej przyrodzie. Pociąg minął już łagodnie pofałdowane równiny i zanurzał się właśnie w bardziej skaliste podnóże Apeninów. Wkrótce dotrą do krętej przełęczy, gdzie tory znów zaczną prowadzić w dół, ku leżącemu bardziej na wschód Adriatykowi.

Jadę do Wenecji, aby szukać tam dżumy...

Ten dziwny dzień sprawił, że Langdon czuł się, jakby wieziono go przez niesamowity krajobraz składający się wyłącznie z pozbawionych detali zarysów. Jakby to był sen. Ludzie zazwyczaj budzą się z krzykiem, gdy przyśni im się koszmar, jednakże on miał wrażenie, jak gdyby nie mógł się w ogóle obudzić.

– O czym myślisz? – wyszeptała siedząca obok Sienna.

Spojrzał na nią, uśmiechając się blado.

– Myślę wciąż o tym, że chciałbym obudzić się we własnym domu i stwierdzić, iż to wszystko było tylko złym snem.

Lekarka przechyliła głowę i spojrzała na niego spokojnie.

– Nie tęskniłbyś za mną, gdybym okazała się senną zjawą?

Robert uśmiechnął się szerzej.

– Szczerze mówiąc, tak, troszeczkę bym tęsknił.

Poklepała go po kolanie.

– Koniec z mrzonkami, profesorze. Trzeba brać się do roboty.

Langdon niechętnie przeniósł wzrok na leżące przed nim pomarszczone oblicze Dantego Alighieri. Ujął ostrożnie gipsowy odlew, odwrócił go w dłoniach i spojrzał w zamyśleniu na pierwsze słowa spiralnego tekstu:

O wy, jasnego zdolni rozeznania...

Wątpił, aby w tym akurat momencie zaliczał się do wspomnianej kategorii ludzi.

Mimo to zabrał się do pracy.

Mendacium stał na kotwicy w odległości mniej więcej trzystu kilometrów od pędzącego pociągu. Na dolnym pokładzie facylitator Laurence Knowlton usłyszał ciche pukanie w szklane drzwi boksu i natychmiast sięgnął do przycisku umieszczonego pod blatem biurka, aby otaczające go ściany stały się znów przezroczyste. Po drugiej stronie stał niski mocno opalony mężczyzna.

Zarządca.

I robił bardzo ponurą minę.

Wszedł do środka, nie mówiąc nawet słowa, zamknął za sobą drzwi i sam zmatowił szkło, schylając się do ukrytego klawisza. Knowlton poczuł, że od szefa cuchnie alkoholem.

– Nagranie zostawione przez Zobrista – powiedział.

– Słucham?

– Chcę je zobaczyć. Natychmiast.

Rozdział 63

Robert skopiował treść spiralnego napisu z maski pośmiertnej, aby wszyscy mogli mu się przyjrzeć. Sienna i doktor Ferris zbliżyli się do niego, by pomóc w rozwiązaniu zagadki, tak że Langdon musiał się bardzo starać, by nie zwracać uwagi na wiecznie się drapiącego i ciężko dyszącego naukowca.

Nic mu nie jest, pocieszał się w myślach, koncentrując się na wersach.

O wy, jasnego zdolni rozeznania!
Patrzcie nauki, która z osłoniętej
Niezwykle mowy tajną myśl wyłania...

– Jak już wcześniej wspomniałem – zaczął Robert – otwierająca napis strofa została zaczerpnięta z *Piekła* Dantego, zapewne jako ostrzeżenie potencjalnego czytelnika, że tekst ma głębsze znaczenie.

Alegoryczny poemat Dantego był tak naszpikowany zawoalowanymi odniesieniami do religii, polityki i filozofii, że

Langdon często sugerował swoim studentom, by podchodzili do niego jak do Biblii – to znaczy czytali między wierszami w poszukiwaniu ukrytych znaczeń.

– Uczeni biegli w średniowiecznych alegoriach – kontynuował – zazwyczaj dzielą analizę dzieła na dwie kategorie: tekst i obraz... Tekst odnosi się do dosłownej treści, a obraz skupia się na symbolicznym przesłaniu.

– Aha – ożywił się Ferris. – Czyli to, że napis zaczyna się od cytatu z Dantego...

– ...sugeruje – wpadła mu w słowo Sienna – że powierzchowna lektura nie pozwoli zrozumieć wszystkiego. Prawdziwe znaczenie zostało ukryte...

– Coś w tym rodzaju – Langdon wrócił wzrokiem do tekstu i odczytał go na głos.

Zdradzieckiego poszukajcie doży,
któren koniom łby poodejmować kazał...
i ślepca kości wyłupić.

– Cóż – rzucił Robert – nie mam pojęcia, o co chodzi z tymi bezgłowymi końmi i kośćmi ślepców, ale zrozumiałem tyle, że powinniśmy się skupić na odszukaniu konkretnego doży.

– A może raczej... jego grobu? – zapytała Sienna.

– Albo pomnika lub portretu – odparł Langdon. – Ostatni z nich zmarł przed wieloma stuleciami.

Weneccy dożowie przypominali książąt z pozostałych miast-państw Italii. W tysiącletniej historii tej formy władzy – której początki sięgają sześćset dziewięćdziesiątego siódmego roku –

była ich ponad setka. Rządy dożów zakończyły się w osiemnastym stuleciu na skutek napoleońskich podbojów, niemniej ich sława i potęga po dziś dzień fascynują historyków.

– Jak zapewne wiecie, dwie najpopularniejsze atrakcje turystyczne Wenecji, czyli Pałac Dożów i bazylika Świętego Marka, zostały wzniesione przez dożów dla dożów. Większość z nich została tam pochowana.

– Wiesz może – zapytała Sienna, zerkając na napis – czy któryś z nich został uznany za najgroźniejszego?

Langdon podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

Zdradzieckiego poszukajcie doży...

– Nic mi o tym nie wiadomo, zresztą napis nie mówi o groźnym doży, tylko o zdradzieckim. A to spora różnica, zwłaszcza w świecie Dantego. Zdrada jest jednym z siedmiu grzechów śmiertelnych... w sumie najgorszym ze wszystkich. Karę za zdradę ponosi się w ostatnim, dziewiątym kręgu piekieł.

Dantemu chodziło o akt zdrady ukochanej osoby. Najbardziej znanym przypadkiem było wydanie Jezusa przez kochającego go, mimo wszystko, Judasza. Poeta uważał to za tak odrażające, że skazał zdrajcę na cierpienia w dziewiątym kręgu, w miejscu zwanym „Giudecca" od imienia najbardziej niegodnego grzesznika tam pokutującego.

– Dobrze – rzucił Ferris. – Zatem musimy poszukać doży, który dopuścił się aktu zdrady.

Sienna przytaknęła mu natychmiast.

– To powinno ograniczyć listę potencjalnych kandydatów... – przerwała, wpatrując się ponownie w tekst. – Ale ta następna linijka... „Któren koniom łby kazał poodejmować”? – Przeniosła wzrok na Langdona. – Czy był doża, który obcinał koniom głowy?

To pytanie lekarki sprawiło, że Robert ujrzał oczyma wyobraźni jedną z pamiętnych scen *Ojca chrzestnego*.

– Nie przypominam sobie żadnego. Ale zgodnie z tym napisem powinien jeszcze „ślepca kości wyłupić”. – Zerknął na Ferrisa. – Masz może telefon z dostępem do Internetu?

Przedstawiciel Światowej Organizacji Zdrowia natychmiast wyjął komórkę, lecz moment później pokazał Robertowi opuchnięty i pokryty krostami palec.

– Mam, ale nie poradzę sobie z klawiaturą.

– Ja to zrobię – zaoferowała się Sienna, sięgając po telefon. – Wpiszę w wyszukiwarkę wenecki doża plus bezgłowe konie i kości ślepców. – Zaczęła szybko wciskać klawisze.

Langdon wrócił do czytania. Następną zwrotkę przeczytał na głos.

Uklęknijcie w zdobnym muzejonie świętej wiedzy
i tam, uszy swe do ziemi przyłożywszy,
wsłuchajcie się w kropel kapiących dzwony...

– Nigdy nie słyszałem o czymś takim jak „muzejon” – stwierdził Ferris.

– Tak starożytni mówili na świątynię strzeżoną przez muzy – wyjaśnił Langdon. – W początkach istnienia państwa greckiego to tam zbierali się mędrcy, by prezentować swoje przemyślenia,

dyskutować o literaturze, muzyce i sztuce. Pierwszy muzejon został wybudowany przez Ptolemeusza w Bibliotece Aleksandryjskiej setki lat przed narodzeniem Chrystusa, przecierając szlak dziesiątkom podobnych miejsc.

– Doktor Brooks – Ferris spojrzał z nadzieją na Siennę. – Może pani sprawdzić, czy w Wenecji był jakiś muzejon?

– Prawdę mówiąc, są ich tam dziesiątki – odparł szczerze rozbawiony Langdon. – Dzisiaj nazywamy je muzeami.

– Aha... – mruknął Ferris. – To zmienia postać rzeczy.

Sienna wciąż wpisywała coś do komórki, nie mając problemu z podzielnością uwagi.

– Zatem szukamy muzeum, gdzie można by znaleźć dożę odcinającego koniom głowy i wyrywającego kości ślepcom. Robercie, znasz może muzeum, któremu powinniśmy się szczególnie przyjrzeć?

Langdon zastanawiał się właśnie, które z najbardziej znanych muzeów Wenecji może wchodzić w grę – Gallerie dell'Accademia, Ca' Rezzonico, Palazzo Grassi, Peggy Guggenheim Collection, Muzeum Correr – ale żadne mu nie pasowało.

Znów musiał zerknąć na tekst.

Uklęknijcie w zdobnym muzejonie świętej wiedzy...

Uśmiechnął się krzywo.

– W Wenecji jest jedno muzeum, które mogłoby być „zdobnym muzejonem świętej wiedzy".

Ferris i Sienna spojrzeli na niego pytająco.

– Bazylika Świętego Marka – wyjaśnił. – Największy kościół Wenecji.

Ferris wyglądał na nieprzekonanego.

– Kościół jest zarazem muzeum?

Langdon skinął głową.

– Podobnie jak Muzea Watykańskie. Co istotne, wnętrze bazyliki przystrojono w całości płytkami z prawdziwego złota.

– Zdobny muzejon – mruknęła podekscytowana Sienna.

Langdon przytaknął, on także nie miał już wątpliwości, że napis mówi o bazylice. Przez wiele stuleci wenecjanie zwali to miejsce La Chiesa d'Oro – Złotym Kościołem. Zdaniem Roberta była to najbardziej oszałamiająca świątynia świata.

– Napis mówi, by tam uklęknąć – dodał Ferris. – A gdzie człowiek powinien uklęknąć, jeśli nie w kościele?

Sienna znów zaczęła coś pisać, naciskając z furią klawisze komórki.

– Dodałam bazylikę świętego Marka, skoro tam mamy szukać naszego doży.

Langdon wiedział, że gdzie jak gdzie, ale w bazylice na pewno nie zabraknie dawnych władców Wenecji. Zachęcony tą myślą wrócił do czytania tekstu.

Uklęknijcie w zdobnym muzejonie świętej wiedzy,
i tam, uszy swe do ziemi przyłożywszy,
wsłuchajcie się w kropel kapiących dzwony.

Kapiąca woda, pomyślał Robert. Czy pod bazyliką Świętego Marka jest jakaś woda?

Natychmiast zawstydził się swego pytania. Przecież całe to miasto zbudowano na wodzie. Każdy budynek Wenecji tonął z wolna. Langdon przywołał w pamięci wnętrze świątyni, zastanawiając się, gdzie powinien uklęknąć, by usłyszeć kapanie wody.

A jak już usłyszę... co mam zrobić?

Wrócił do tekstu i odczytał go głośno do samego końca.

...aby w głąb zatopionego pałacu wyruszyć...
Tamże, w mrokach, bestia chtoniczna się ukrywa,
w krwistych wodach zanurzona...
w lagunie, w której nie przejrzały się gwiazdy.

– Wygląda na to – rzucił poruszony tą wizją – że mamy iść tropem kapiącej wody aż do jakiegoś zatopionego pałacu.

Ferris podrapał się nerwowo po twarzy.

– A bestia chtoniczna? Co to takiego?

– Stworzenie żyjące pod ziemią – wyjaśniła Sienna, nie przerywając pisania. – „Chtoniczny" znaczy „podziemny, związany z ziemią".

– Po części tak – wtrącił Langdon. – Ale to słowo ma też inne konotacje, zwłaszcza w odniesieniu do mitologicznych istot. Chtoniczne bóstwa to osobna kategoria mitycznych bogów i potworów; były do nich zaliczane na przykład erynie, Hekate i Meduza. Nazywano je chtonicznymi, ponieważ mieszkały pod ziemią i miały związki ze światem podziemi... – Langdon zamilkł na moment. – Znane są z tego, że gdy wychodziły na powierzchnię, siały śmierć i zniszczenie.

Zapadła długa cisza. Robert czuł, że wszyscy troje myślą o tym samym.

Chtoniczna bestia... może oznaczać zarazę Zobrista.

Tamże, w mrokach, bestia chtoniczna się ukrywa,
w krwistych wodach zanurzona...
w lagunie, w której nie przejrzały się gwiazdy.

– Tak czy inaczej – odezwał się Langdon, próbując wrócić do tematu – musimy szukać miejsca ukrytego pod ziemią, tyle bowiem mówi nam ostatni wers, czyli: „w lagunie, w której nie przejrzały się gwiazdy".

– Celna uwaga – przyznała Sienna, odrywając wzrok od telefonu Ferrisa. – Jeśli to podziemna laguna, to w wodzie nie będzie odbicia nieba. Pytanie tylko, czy w Wenecji są jakieś podziemne laguny?

– Ja przynajmniej nic o nich nie wiem – zastrzegł się Robert. – Niemniej w mieście, które zostało zbudowane na wodzie, wszystko jest możliwe.

– A jeśli to znajduje się we wnętrzu jakiejś budowli? – zapytała nagle Sienna, zerkając na nich obu. – W tym tekście pada wzmianka o mroku zatopionego pałacu. Jeśli mnie pamięć nie myli, wspominałeś wcześniej, że Pałac Dożów jest połączony z bazyliką? Zatem obie te budowle razem zdają się pasować do opisu. Mamy i zdobny muzejon świętej wiedzy, i pałac, i dożów. A wszystko na głównej lagunie Wenecji, i to na poziomie morza.

Langdon zastanawiał się przez chwilę.

– Sądzisz, że tym zatopionym pałacem będzie Pałac Dożów?

– To całkiem prawdopodobne, prawda? Autor każe nam najpierw uklęknąć w bazylice Świętego Marka, potem podążać tropem kapiącej wody. Może te odgłosy zaprowadzą nas do drzwi Pałacu Dożów. Przez jakieś zatopione kondygnacje albo coś w tym stylu...

Langdon zwiedzał Pałac Dożów wiele razy, wiedział więc, jak ogromna jest to budowla. W rozległym kompleksie zabudowań mieściło się wielkie muzeum, istny labirynt korytarzy łączących biura, sale wystawowe i dziedzińce. Samo pałacowe więzienie zajmowało kilka budynków.

– Możesz mieć rację – przyznał Robert. – Ale przeszukiwanie tego miejsca na ślepo potrwa całe tygodnie. Trzymajmy się zatem wskazówek. Najpierw udamy się do bazyliki Świętego Marka i odnajdziemy grobowiec albo pomnik zdradzieckiego doży, przy którym uklękniemy.

– I co potem? – zapytała Sienna.

– Potem – odparł Langdon, westchnąwszy pod nosem – będziemy się gorliwie modlili, by usłyszeć kapanie wody... gdyż to ono ma nas poprowadzić dalej.

W ciszy, która zapadła, Langdon ujrzał znów zaniepokojone oblicze doktor Elizabeth Sinskey – tej, która dręczyła go w halucynacjach, stojąc za rzeką krwi i wołając: „Czas ucieka! Szukaj, a znajdziesz...” Zastanowił się, gdzie kobieta jest teraz i czy nie zrobiono jej krzywdy. Żołnierze w czerni musieli się już zorientować, że Robert i Sienna zdołali im uciec.

Ciekawe, kiedy znów wpadną na nasz ślad...

Wracając wzrokiem do tekstu, walczył z ogarniającym go zmęczeniem. Przeczytał ponownie ostatnią linijkę i nagle coś

wpadło mu do głowy. Nie był jednak pewien, czy powinien podzielić się tą myślą z pozostałą dwójką.

...w lagunie, w której nie przejrzały się gwiazdy.

– Jest jeszcze coś, o czym powinienem wspomnieć... – zaczął, podjąwszy decyzję, by nie ukrywać niczego bez względu na to, jak nieistotne by się wydawało.

Sienna oderwała spojrzenie od wyświetlacza telefonu.

– Trzy części *Boskiej komedii* Dantego – powiedział Langdon – czyli *Piekło*, *Czyściec* i *Raj*, kończą się takim samym słowem.

Lekarka wyglądała na zaskoczoną.

– A jakie to słowo? – zainteresował się Ferris.

Langdon wskazał na przepisany z maski tekst.

– Takie samo, jak kończące ten tekst.

Wyjął maskę pośmiertną poety i wskazał palcem na sam środek spiralnego napisu.

...w lagunie, w której nie przejrzały się gwiazdy.

– To jeszcze nie wszystko – dodał. – W finale *Piekła* Dante przysłuchuje się kapaniu wody, które pozwala mu znaleźć otwór... będący wyjściem z otchłani.

Ferris pobladł lekko.

– Jezu.

W tym samym momencie przedział zalał ogłuszający ryk. Frecciargento zanurzył się w górskim tunelu.

Gdy zrobiło się ciemno, Robert zacisnął powieki, próbując się zrelaksować.

Zobrist mógł być szaleńcem, ale na dziełach Dantego znał się jak nikt inny.

Rozdział 64

Laurence Knowlton poczuł ogromną ulgę.

Szef zmienił zdanie i chce obejrzeć nagranie Zobrista...

Facylitator dosłownie rzucił się po szkarłatny flashpen i szybko podłączył go do komputera, aby Zarządca mógł się zapoznać z nagraną treścią. Czuł się przytłoczony wagą tego dziwacznego dziewięciominutowego filmiku, dlatego tak desperacko pragnął, żeby obejrzał go ktoś jeszcze.

Odtąd odpowiedzialność nie będzie już spoczywać na mnie... Knowlton wstrzymał oddech, gdy zaczęła się projekcja.

Ekran pociemniał, ciasny boks wypełniły dźwięki kapiącej wody. Kamera przesuwała się po połyskującej czerwonawo podziemnej grocie. Na twarzy Zarządcy nie drgnął nawet jeden mięsień, lecz facylitator czuł, że jego szef jest równie zaniepokojony jak on skonsternowany.

Kamera zatrzymała się, po czym obróciła w dół, by zanurzyć się w wodzie na metr i zbliżyć do umieszczonej na dnie tabliczki.

TUTAJ
ŚWIAT ZMIENIŁ SIĘ NA ZAWSZE

Zarządca wzdrygnął się lekko.

– Jutro – wyszeptał, spoglądając na datę. – Czy wiemy, gdzie jest to „tutaj”?

Knowlton pokręcił głową.

Kamera obróciła się w lewo, by pokazać zanurzony w wodzie worek z galaretowatą żółtobrązową cieczą.

– Cóż to jest, na Boga?! – Zarządca poderwał się z fotela, ale zaraz opadł z powrotem, nie spuszczając wzroku z pofałdowanej sfery unoszącej się pod powierzchnią wody niczym zakotwiczony balon.

Przez kilka chwil w boksie panowała całkowita cisza. Wkrótce ekran znów pociemniał, a na podświetlonej ścianie jaskini pojawił się dziwny cień. Z głośnika popłynęły wypowiadane przez niego niepokojące słowa.

Jam jest Cieniem...
Wygnany pod ziemię muszę przemawiać do was z jej trzewi, skazany na tułaczkę po tej jaskini, gdzie krwiste wody zbierają się w lagunie, w której nie przejrzały się gwiazdy.
To jednak mój raj... idealne łono dla mego kruchego dziecka.
Inferno.

Zarządca zerknął na facylitatora.

– Inferno?

Knowlton wzruszył ramionami.

– Przecież mówiłem panu, że treść nagrania budzi moje poważne obawy.

Jego szef wbił wzrok w ekran.

Cień przemawiał przez kilka długich minut, wspominając o zarazach, o ludzkości wymagającej oczyszczenia, o swoich

zasługach dla przyszłości, o swej walce z ignorantami, którzy próbowali go powstrzymać, oraz o tych nielicznych, którzy rozumieją potrzebę podjęcia drastycznych działań w imię ocalenia całej planety.

Knowlton zastanawiał się od samego świtu, czy Konsorcjum opowiedziało się po właściwej stronie wojny toczonej przez tego klienta.

Tymczasem monolog trwał w najlepsze.

Stworzyłem arcydzieło ocalenia, lecz nie nagrodzono mnie wieńcem laurowym ani fanfarami... za to wielu groziło mi śmiercią.

Nie obawiam się śmierci... ponieważ to ona przeistacza wizjonerów w męczenników... to ona przekształca szczytne idee w potężne ruchy.

Jezus. Sokrates. Martin Luther King.

Pewnego dnia dołączę do nich.

Moje arcydzieło pochodzi bowiem od Boga... to dar od Stwórcy, który obdarzył mnie intelektem, odwagą i narzędziami niezbędnymi do stworzenia tego cudu.

Ten dzień jest już bliski.

Inferno śpi pode mną, czekając na moment, gdy będzie mogło opuścić swe wodne łono... pod czujnym okiem chtonicznej bestii i wszystkich jej furii.

Mimo szlachetności intencji jestem grzesznikiem, jak my wszyscy. Nawet ja nie zdołałem się oprzeć pokusie, przed którą tak niewielu umiało się obronić. Jestem winien popełnienia najmroczniejszego grzechu.

Mówię o grzechu pychy.

To nagranie jest jej najjaskrawszym przejawem... uwieczniam te słowa, by wszyscy wiedzieli, co uczyniłem.

Tak być powinno.

Ludzkość musi znać źródło oferowanego jej zbawienia... i nazwisko człowieka, który zamknął wrota piekieł po wsze czasy!

Z upływem każdej godziny nabieram coraz większej pewności.

Z matematyką, równie bezwzględną jak prawa fizyki, nie da się dyskutować. Taki sam wyjątkowo obfity rozkwit życia, który doprowadził ludzkość na skraj zapaści, może być jej wybawieniem. Piękno żywego organizmu, czy jest on dobry czy zły, polega na tym, że realizuje on plan Boży i czyni to z bezwzględną konsekwencją.

Bądźcie płodni i rozmnażajcie się.

Dlatego zwalczę ogień... ogniem.

– Wystarczy – mruknął Zarządca tak cicho, że Knowlton ledwie go usłyszał.

– Proszę?

– Wyłącz to.

Facylitator zatrzymał nagranie.

– Sir, powinien pan wiedzieć, że zakończenie jest jeszcze straszniejsze.

– Dość już widziałem. – Zarządca wyglądał tak, jakby zbierało mu się na mdłości. Przemaszerował kilka razy od ściany do ściany boksu, a potem niespodziewanie podszedł do Knowltona. – Musimy się skontaktować z FS-2080.

Facylitator brał pod uwagę ten ruch.

Jeden z najbardziej zaufanych kontaktów Konsorcjum – człowiek, który polecił Zobrista – nosił kryptonim FS-2080. Zarządca zbeształ się w myślach za beztroskę, z jaką podszedł do jego rekomendacji; szalony milioner pogrążył w chaosie sprawnie działającą organizację.

To wszystko wina FS-2080.

Ciąg niepokojących zdarzeń dotyczących Zobrista wciąż się wydłużał i zagrażał już nie tylko Konsorcjum, lecz najprawdopodobniej... całemu światu.

– Musimy poznać prawdziwe intencje klienta – stwierdził Zarządca. – Chcę wiedzieć, co stworzył i czy jego dzieło naprawdę jest tak groźne, jak twierdzi.

Knowlton wiedział, że tylko FS-2080 może odpowiedzieć na te pytania. Nikt inny nie znał Zobrista tak dobrze jak on. Nadszedł

czas, by Konsorcjum złamało własne zasady, aby sprawdzić, jakie szaleństwo wspierało nieświadomie przez ostatni rok.

Knowlton był świadom konsekwencji wiążących się z bezpośrednią konfrontacją. Już sama próba dotarcia do FS-2080 niosła za sobą poważne ryzyko.

– Jeśli zamierza pan nawiązać kontakt z FS-2080, powinien pan zachować daleko idącą ostrożność.

Oczy Zarządcy zapłonęły gniewem, gdy sięgał po komórkę.

– Na ostrożność jest już za późno.

Siedzący w prywatnym przedziale Frecciargento mężczyzna w krawacie w esy-floresy i designerskich okularach starał się nie denerwować współpasażerów rozdrapywaniem wysypki, choć jego stan pogarszał się z chwili na chwilę. Ból w klatce piersiowej także się wzmagał.

Gdy pociąg wynurzył się w końcu z tunelu, Ferris spojrzał na Langdona, który właśnie otwierał oczy, otrząsając się z głębokiego zamyślenia. Siedząca obok niego Sienna znów zerknęła na komórkę, którą odłożyła na czas jazdy w tunelu, ponieważ i tak nie było tam zasięgu.

Zamierzała kontynuować poszukiwania w sieci, ale zanim zdołała sięgnąć po aparat, ten niespodziewanie zaczął wibrować, emitując w dodatku serię głośnych piknięć.

Człowiek z wysypką, znając dobrze ten sygnał, natychmiast chwycił komórkę.

– Wybaczcie – powiedział, zerkając na wyświetlacz, aby ukryć zaskoczenie w oczach. – To od mojej chorej matki. Muszę odebrać.

Sienna i Langdon skinęli ze zrozumieniem głowami, gdy Ferris opuszczał przedział, by przejść korytarzem do znajdującej się

najbliżej toalety.

Zamknął za sobą drzwi, odbierając jednocześnie rozmowę.

– Halo.

Głos w słuchawce brzmiał ponuro.

– Mówi Zarządca.

Rozdział 65

Toalety ekspresu Frecciargento nie były wcale większe od tych, które instaluje się na pokładach samolotów liniowych. Człowiek ledwie mógł się w nich odwrócić. Doktor Ferris zakończył rozmowę z Zarządcą i schował komórkę do kieszeni.

Sytuacja się zmieniła...

Nagle wszystko wokół wywróciło się do góry nogami. Potrzebował dłuższej chwili, by pozbierać myśli.

Dotychczasowi przyjaciele stali się moimi wrogami.

Poluzował krawat i spojrzał na odbicie pokrytej krostami twarzy. Wyglądał gorzej, niż sądził do tej pory. Jednakże wysypka na skórze była niczym przy bólu w piersiach.

Z pewnym wahaniem rozpiął kilka guzików koszuli, by rozchylić jej poły.

Zmusił się do spojrzenia w lustro... i zerknięcia na nagi tors.

Jezu.

Czarna plama powiększyła się znacznie.

Skóra na jego piersi miała sinoczarny odcień. Wybroczyna, minionej nocy wielkości piłeczki golfowej, rozrosła się do

rozmiarów dorodnej pomarańczy. Dotknął ostrożnie obrzmienia i natychmiast się skrzywił.

Zapiął pośpiesznie koszulę, mając nadzieję, że wystarczy mu sił na dokończenie zadania.

Następna godzina będzie miała decydujące znaczenie, pomyślał. Pora na kilka ostrożnych posunięć.

Przymknął oczy, aby zapanować nad nerwami i zaplanować zrobienie tego, czego wymagała od niego sytuacja.

Dotychczasowi przyjaciele stali się moimi wrogami, pomyślał raz jeszcze.

Zrobił kilka głębokich, bolesnych wdechów, mając nadzieję, że to ukoi jego nerwy. Zdawał sobie sprawę, że tylko chłodne opanowanie pozwoli na ukrycie prawdziwych intencji.

Wewnętrzny spokój jest podstawą skutecznej perswazji.

Zwodzenie ludzi nie było mu obce, a mimo to serce waliło mu jak szalone. Zaczerpnął tchu raz jeszcze, nie zważając na ból.

Oszukiwałeś wszystkich od lat, napomniał się w myślach. Jesteś w tym dobry.

Wziął się w garść przed powrotem do Langdona i Sienny.

To moja ostatnia rola, uświadomił sobie.

Zanim opuścił łazienkę, wyjął baterię z komórki, aby nikt nie mógł już z niej skorzystać.

Jest bardzo blady, pomyślała Sienna, gdy ich towarzysz podróży wrócił do przedziału i opadł na swój fotel z głośnym westchnieniem.

– Wszystko w porządku? – zapytała szczerze zaniepokojona.

Skinął głową.

– Tak. Dziękuję. Wszystko w porządku.

Uznała, że nic więcej nie uda się z niego wyciągnąć, i zmieniła temat.

– Potrzebuję znów pańskiego telefonu – powiedziała. – Jeśli to panu nie przeszkadza, będę kontynuowała poszukiwania naszego doży. Może zdobędziemy jakieś informacje przed dotarciem do bazyliki Świętego Marka.

– Nie ma sprawy – odparł, wyjmując komórkę z kieszeni i obrzucając wyświetlacz wzrokiem. – A niech to. Bateria mi zdychała podczas rozmowy. I chyba padła do reszty. – Spojrzał na zegarek. – Niedługo będziemy w Wenecji. Proszę się uzbroić w cierpliwość.

Na pokładzie znajdującego się osiem kilometrów od wybrzeży Włoch jachtu Knowlton spoglądał w milczeniu na krążącego po jego boksie Zarządcę. Szef wyglądał w tej chwili jak uwięziony w klatce drapieżnik. Po zakończeniu rozmowy sprawa najwyraźniej się skomplikowała, a facylitator z doświadczenia wiedział, że lepiej nie przeszkadzać szefowi, gdy ten pogrąża się w rozważaniach.

W końcu Zarządca przemówił. Knowlton nigdy wcześniej nie słyszał go tak spiętego.

– Nie mamy wyboru. Musimy udostępnić to nagranie doktor Sinskey.

Facylitator zamarł, nie ważąc się okazać zaskoczenia.

Tej siwowłosej diablicy, przed którą chroniliśmy Zobrista przez prawie rok?

– Oczywiście, sir. Mam przesłać jej ten plik mailem?

– Broń Boże! Chcesz, żeby nagranie wyciekło? To by wywołało masową histerię. Masz mi tu sprowadzić doktor Sinskey

najszybciej jak to tylko możliwe.

Knowlton spojrzał na niego z niedowierzaniem.

Chce sprowadzić szefową Światowej Organizacji Zdrowia na pokład swojego jachtu?!

– Sir, takie złamanie protokołu bezpieczeństwa może skutkować...

– Zrób to, Knowlton! Natychmiast!

Rozdział 66

FS-2080 spogląda w okno pędzącego Frecciargento, obserwując odbijającą się w szkle postać Roberta Langdona. Profesor wciąż szuka potencjalnych rozwiązań zagadki pozostawionej przez Zobrista na masce pośmiertnej Dantego.

Bertrand, jak mi ciebie brakuje. Wciąż pamiętam tamtą magiczną noc, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy...

Chicago. Śnieżyca.

Styczeń sześć lat temu, a wydaje się, że to było wczoraj. Idę między zaspami po smaganej wiatrem Michigan Avenue, spod podniesionego kołnierza zerkając w oślepiającą biel. Pomimo przenikliwego zimna wierzę, że nic nie zdoła mnie odwieść od celu. Tego dnia mam wysłuchać przemówienia wielkiego Bertranda Zobrista... i ujrzeć go na własne oczy.

Czytam wszystko, co ten człowiek napisze, zatem cieszę się jak dziecko z tego, że mam jeden z zaledwie pięciuset biletów wydrukowanych z okazji tego odczytu.

Gdy docieram na salę, czuję nagły atak paniki, widząc, że niemal wszystkie miejsca są puste. Czyżby impreza została

odwołana? Miasto przestawało funkcjonować z powodu załamania pogody... może więc i Zobrist został gdzieś uziemiony?!

Ale nie, w końcu się pojawia.

Na scenę wchodzi górujący nad innymi elegancki mężczyzna.

Jest wysoki... bardzo wysoki... a jego niesamowicie żywe zielone oczy zdają się kryć wszystkie tajemnice świata. Spogląda na pustą salę – siedzi na niej z tuzin najbardziej zatwardziałych wielbicieli – a ja czuję wstyd za tych wszystkich, którzy nie zdołali dotrzeć.

To przecież Bertrand Zobrist!

Kiedy spogląda na nas z kamienną miną, zalega przerażająca cisza.

I nagle, bez ostrzeżenia, wybucha śmiechem, a oczy lśnią mu mocno.

– Do diabła z tym audytorium – rzuca z mównicy. – Mój hotel jest tuż za rogiem, chodźmy do tamtejszego baru!

Reagujemy owacjami, by następnie całą grupką przejść do sąsiadującego z centrum kongresowym hotelu. Na miejscu wciskamy się do jednej z barowych lóż i zamawiamy drinki. Zobrist zaszczyca nas opowieściami o swojej pracy, o tym, jak wspiął się na szczyty popularności. Roztacza przed nami swoją wizję przyszłości inżynierii genetycznej. Po kilku szklaneczkach rozmowa schodzi na nową pasję miliardera.

– Wierzę, że transhumanizm jest jedyną nadzieją na przetrwanie ludzkości – wieszczy Zobrist, odsuwając połę koszuli, by zebrani zobaczyli wytatuowany na jego ramieniu znak H+. – Jak widzicie, jestem bardzo zaangażowany w tę ideę.

Czuję się tak, jakby to była prywatna audiencja u jednej z gwiazd rocka. Jak to możliwe, że jeden z najbardziej

szanowanych geniuszy jest tak charyzmatycznym i czarującym człowiekiem? Ilekroć spogląda na mnie tymi zielonymi oczami, rodzi się we mnie coś dziwnego... głębokie seksualne pożądanie.

W miarę upływu czasu nasza grupka topnieje, kolejni goście muszą wracać do realnego świata. Około północy zostaję sam na sam z Bertrandem Zobristem.

– Dziękuję panu za ten wieczór – mówię. Język mi się plącze, chyba mam w żołądku o szklaneczkę za dużo. – Jest pan wspaniałym wykładowcą.

– Pochlebstwa? – drwi ze mnie, przysuwając się bliżej. Czuję, że nasze nogi się stykają. – Dzięki nim daleko zajdziesz.

Flirtowanie z nim wydaje się czymś niestosownym, ale noc jest wciąż zimna, a hotel niemal pusty. Mam wrażenie, że świat wokół mnie zamarł.

– Co powiesz na drinka w moim pokoju? – pyta Zobrist.

Zamieram. Tak musi wyglądać jeleń oślepiony reflektorami samochodu.

On tylko mruży filuternie oczy.

– Niech zgadnę – szepce. – To twój pierwszy raz ze sławnym mężczyzną.

Płonię się, mimo że usilnie próbuję ukryć natłok emocji – zawstydzenia, podekscytowania, strachu.

– Szczerze mówiąc – odpowiadam – to będzie mój pierwszy raz z mężczyzną w ogóle.

Zobrist uśmiecha się i przysuwa jeszcze bliżej.

– Pozwól zatem, że ja będę tym pierwszym.

Nagle pozbywam się wszelkich lęków seksualnych i frustracji z dzieciństwa... wszystkie one wyparowały w tę śnieżną noc.

Nareszcie nie muszę się wstydzić swoich pragnień.

Pożądam go.

Dziesięć minut później jesteśmy już w pokoju Zobrista, nadzy padamy sobie w ramiona. Bertrand nie śpieszy się, jego cierpliwe dłonie sprawiają mi tak wiele przyjemności.

To jest mój wybór. On do niczego mnie nie zmusza.

W kokonie ramion Zobrista czuję, że mój świat nabiera właściwych kształtów. Leżąc obok niego i spoglądając w śnieżną noc, wiem, że podążę za nim, gdziekolwiek mnie poprowadzi...

Frecciargento zwalnia nagle, wyrywając FS-2080 z błogich wspomnień. Prosto w przygnębiającą rzeczywistość.

Bertrandzie... odszedłeś. Tamta noc była tylko pierwszym krokiem naszej niesamowitej podróży. Byliśmy czymś więcej niż tylko kochankami. Byliśmy mistrzem i uczniem.

– Ponte della Libertà – oznajmia Langdon. – Już dojeżdżamy.

FS-2080 potakuje z ponurą miną, przyglądając się wodom Laguna Veneta. To tutaj żeglowali kiedyś z Bertrandem... Piękne wspomnienie musi jednak ustąpić przerażającej wizji sprzed tygodnia.

Jestem tak blisko, gdy ty skaczesz z wieży Badia.

To mnie widzisz, spadając.

Rozdział 67

Samolot NetJets wpadł w silne turbulencje, gdy wznosił się ostro z pasa startowego lotniska Tassignano, by wyruszyć w kierunku Wenecji. Znajdująca się na jego pokładzie doktor Sinskey nawet nie zauważyła wstrząsów. Wpatrywała się w pustkę za oknem, bawiąc się jednocześnie zawieszonym na szyi amuletem.

W końcu przestali jej dawać zastrzyki, dzięki czemu mogła jaśniej myśleć. Siedzący obok niej agent Brüder milczał jak zaklęty – zapewne wciąż nie mógł pojąć, skąd ta niezwykła zmiana planów Konsorcjum.

Wszystko stanęło na głowie, pomyślała Sinskey, także nie do końca wierząc w to, czego właśnie była świadkiem.

Pół godziny wcześniej wpadli na maleńkie lotnisko, by przejąć Langdona, zanim wsiądzie na pokład. Jednakże zamiast na profesora trafili na czekającą maszynę i chodzących wokół niej pilotów, którzy co chwilę zerkali na zegarki.

Robert Langdon nie pokazał się na pasie startowym.

A potem zadzwonił telefon...

Gdy rozległa się znajoma melodyjka komórki, Sinskey siedziała tam, gdzie trzymano ją od samego rana – na tylnym siedzeniu

czarnej furgonetki. Agent Brüder wsiadł do wozu ze zbaraniałą miną i natychmiast podał jej aparat.

– Ważny telefon do pani.

– Kto dzwoni? – zapytała.

– Ktoś, kto ma ważne informacje dotyczące Bertranda Zobrista.

Wyrwała mu telefon z ręki.

– Mówi doktor Elizabeth Sinskey.

– Szanowna pani, nie spotkaliśmy się do tej pory, ale to moja organizacja ukrywała przed panią Zobrista przez ostatni rok.

Sinskey natychmiast wyprostowała się jak struna.

– Kimkolwiek pan jest, ukrywał pan kryminalistę!

– Nie zrobiliśmy niczego nielegalnego, ale nie o tym...

– Akurat!

Mężczyzna odetchnął głęboko, a potem przemówił spokojnym głosem.

– Jeszcze będziemy mieli okazję, by omówić etyczną stronę moich działań. Jestem świadom, że nie zna mnie pani, ale ja wiem o pani naprawdę sporo. Bertrand Zobrist wynagradzał mnie sowicie, oczekując w zamian, abym trzymał panią i pozostałych jak najdalej od niego. Kontaktując się z panią, złamałem wszystkie zasady obowiązujące w mojej organizacji. Uważam jednak, że w zaistniałych okolicznościach nie mamy wyjścia i musimy połączyć siły. Obawiam się, że Bertrand Zobrist popełnił zbrodnię.

Sinskey faktycznie nie miała pojęcia, kim jest jej rozmówca.

– Dopiero teraz pan to zrozumiał?

– Owszem. Dosłownie przed momentem. – Wydawał się mówić szczerze.

Elizabeth próbowała wciąż pozbierać myśli.

– Kim pan jest?

– Jestem kimś, kto chce pani pomóc, zanim będzie za późno. Posiadam nagranie zrobione przez Zobrista. Poprosił mnie, bym jutro przedstawił je całemu światu. Sądzę, że powinno panią zainteresować.

– Co na nim jest?

– To nie rozmowa na telefon. Musimy się spotkać.

– Dlaczego miałabym panu zaufać?

– Choćby dlatego, że zamierzam pani powiedzieć, gdzie jest teraz Robert Langdon i dlaczego zachowuje się tak dziwnie.

Sinskey drgnęła, słysząc nazwisko profesora, i z rosnącym zdumieniem wysłuchała dalszych rewelacji. Wszystko wskazywało na to, że rozmówca wspierał przez ostatni rok jej największego wroga. Mimo to czuła, że powinna mu zaufać.

Nie mam wyboru.

Dzięki wspólnym wpływom bez trudu przejęli oczekujący na pasie samolot. Sinskey i towarzyszący jej żołnierze ruszyli w pościg, tym razem udając się do Wenecji, gdzie – jeśli wierzyć rozmówcy – właśnie docierał pociągiem Langdon z dwojgiem kompanów. Było już za późno na ściągnięcie lokalnych stróżów prawa na dworzec, jednakże rozmówca Elizabeth zapewniał, iż wie, dokąd może zmierzać Robert.

Plac Świętego Marka?...

Sinskey zadrżała, oczyma wyobraźni widząc tłumy turystów zwiedzających najpopularniejszą atrakcję Wenecji.

– Skąd pan to wie?

– To nie rozmowa na telefon – powtórzył. – Mogę powiedzieć tylko tyle, że Robert Langdon podróżuje w towarzystwie bardzo niebezpiecznej osoby.

– Czyli kogo?! – zapytała Elizabeth. – O kim pan mówi?

– O jednym z najbardziej zaufanych współpracowników Zobrista – wyjaśnił jej rozmówca, wzdychając głośno. – O kimś, komu ufałem. Jak widać, niesłusznie. Ten ktoś może się okazać niezwykle groźny.

Sinskey wróciła myślami do amerykańskiego profesora, kiedy jej samolot skierował się na weneckie lotnisko Marco Polo, wioząc tam ją i sześciu żołnierzy.

Langdon stracił pamięć? Nie pamięta niczego?

Ta niespodziewana wiadomość, choć wiele wyjaśniała, wzbudziła w niej poczucie winy. Niepotrzebnie naraziła szanowanego akademika...

Nawet nie dałam mu wyboru!

Dwa dni temu, gdy przekonała Langdona do współpracy, nie pozwoliła mu wrócić do domu po paszport. Zamiast tego zapakowała go bezzwłocznie na pokład samolotu, po czym przeprowadziła przez florenckie lotnisko w charakterze specjalnego łącznika Światowej Organizacji Zdrowia.

Gdy znaleźli się nad Atlantykiem, Sinskey zerknęła na siedzącego obok Langdona i zauważyła, że nie wygląda najlepiej. Gapił się bez przerwy w pozbawioną okien ściankę kadłuba C-130.

– Profesorze, chyba zdaje pan sobie sprawę, że ten samolot nie ma okien. Do niedawna służył wojsku do przewożenia sprzętu.

Robert odwrócił się do niej z poszarzałą twarzą.

– Owszem, zauważyłem to natychmiast. Nie czuję się najlepiej w zamkniętych przestrzeniach.

– Zatem wyobraża pan sobie, że patrzy w prawdziwe okno?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Coś w tym stylu. Tak.

– Lepiej niech pan spojrzy na to... – wyjęła zdjęcie chudego zielonookiego wroga i położyła je przed Langdonem. – Oto Bertrand Zobrist.

Opowiedziała już Robertowi o swoim starciu z tym człowiekiem podczas wizyty w siedzibie Rady Spraw Zagranicznych, a także o fascynacji miliardera Równaniem Populacyjnej Apokalipsy i jego krążących po świecie komentarzach dotyczących globalnych korzyści płynących z czarnej śmierci. Poinformowała również o najbardziej niepokojącym fakcie, jakim było zniknięcie Zobrista przed rokiem.

– Jakim cudem ktoś tak znany zaszył się na tak długi czas? – zapytał Langdon.

– Ktoś mu pomagał. Zawodowcy. Może nawet jakiś obcy rząd.

– Jaki rząd popierałby stworzenie nowej zarazy?

– Na przykład jeden z tych, które próbują kupić na czarnym rynku głowice nuklearne. Proszę nie zapominać, że zabójcza plaga jest najdoskonalszą bronią biologiczną, co oznacza, że zapłacono by za nią fortunę. Zobrist mógłby bez trudu oszukać swoich nowych partnerów, wmawiając im, że zasięg takiej zarazy byłby ograniczony. Tylko on wiedziałby naprawdę, nad czym pracuje. – Langdon słuchał jej słów w milczeniu. – W każdym razie – kontynuowała Sinskey – jeśli nie pomagali mu dla pieniędzy ani władzy, mogli być wyznawcami tej samej ideologii. Zobristowi nie

brakowało uczniów, którzy zrobiliby dla niego wszystko. Był przecież celebrytą. Szczerze mówiąc, całkiem niedawno wygłosił odczyt na pańskim uniwersytecie.

– Na Harvardzie?

Sinskey wyjęła pióro i na skraju zdjęcia miliardera napisała literę H i umieściła obok niej znak plusa.

– Jest pan ikonografem – rzuciła. – Poznaje pan ten symbol?

H+

– H-plus... – wyszeptał Langdon, kiwając głową. – Tak, parę lat temu obwieszono nim cały campus. Wydawało mi się wtedy, że chodzi o konferencję chemików.

Sinskey zachichotała.

– Nie. To znak rozpoznawczy ruchu transhumanistów. Wtedy odbył się jeden z ich największych zjazdów. Transhumanizm... – urwała, widząc, że Langdon przechylił głowę, jakby próbował umiejscowić ten termin, i po chwili zaczęła jeszcze raz: – Transhumanizm to ideologia czy też filozofia, która błyskawicznie podbiła świat naukowy. Jej założenia w największym skrócie są takie, że człowiek powinien wykorzystywać naukę i technikę do przezwyciężania ograniczeń swojego ciała. Jednym słowem, transhumaniści uważają, że następnym etapem naszej ewolucji będzie człowiek udoskonalony inżynierią biologiczną.

– Brzmi złowieszczo... – przyznał Langdon.

– Złowieszcza jest tylko skala. Technicznie biorąc, modyfikujemy nasze ciała już od dawna, weźmy choćby szczepionki, dzięki którym dzieci są uodparniane na wiele groźnych chorób... polio, ospa, dur brzuszny. Rzecz w tym, iż

dzisiaj dzięki inżynierii genetycznej odporność może być dziedziczna: potomstwo osób zmodyfikowanych też będzie całkowicie uodpornione na konkretne choroby.

Langdon wyglądał na zaskoczonego.

– Chce pani powiedzieć, że dalsza ewolucja gatunku ludzkiego będzie polegała na uodparnianiu obecnych i przyszłych pokoleń na, powiedzmy, dur brzuszny?

– Raczej wspomagana ewolucja – poprawiła go Sinskey. – Takie procesy, jak wykształcenie nóg u ryb dwudysznych czy przeciwstawnych kciuków u naczelnych, trwają wiele tysiącleci. A my będziemy w stanie dokonywać radykalnych zmian w ciągu jednej generacji. Orędownicy transhumanizmu odwołują się do znanego twierdzenia Darwina o przetrwaniu najlepiej przystosowanych. Ludzie staną się pierwszym gatunkiem, który sam przyśpieszy swoją ewolucję, korzystając z technologii.

– Zakrawa to na zabawę w Boga – zauważył Langdon.

– Zgadzam się w całej rozciągłości – zapewniła go Sinskey. – Zobrist jak wielu innych transhumanistów uważał, że ludzkość ma ewolucyjny obowiązek używania wszystkiego, co znajduje się w jej dyspozycji, w tym sztucznych mutacji genetycznych, które udoskonalają nasz gatunek. Problem jednak w tym, że nasz genom przypomina domek z kart, każdy element jest oparty o inny i połączony z nieskończoną liczbą sąsiednich, często w sposób, którego jeszcze nie rozumiemy. Jeśli zmodyfikujemy jedną cechę człowieka, doprowadzimy do lawinowej zmiany reszty, co może mieć katastrofalne skutki.

Langdon pokiwał głową.

– Właśnie dlatego ewolucja jest procesem stopniowym.

– Tak jest! – podchwyciła Sinskey, czując, że jej podziw dla profesora rośnie z każdą chwilą. – Gmeramy przy procesie, który trwa od eonów. Nastały bardzo niebezpieczne czasy. Umiemy tak zmienić sekwencje genów, że nasze potomstwo może być szybsze, zwinniejsze, silniejsze, a nawet inteligentniejsze, co sugerowałoby, że uda mu się stworzyć rasę nadludzi. Te hipotetyczne „udoskonalone" istoty nazywane są przez transhumanistów postludźmi. Wielu naukowców wierzy, że taka właśnie będzie przyszłość naszego gatunku.

– Czy to nie byłaby eugenika? – zauważył Langdon.

Jego pytanie sprawiło, że Sinskey poczuła zimny dreszcz.

W latach czterdziestych dwudziestego stulecia nazistowscy naukowcy rozwinęli dziedzinę zwaną eugeniką – było to coś w rodzaju prymitywnej inżynierii genetycznej mającej zwiększyć dzietność par o pożądanych cechach i zarazem zmniejszyć płodność ludzi o cechach niepożądanych, głównie z rasowego punktu widzenia.

Czystki etniczne na poziomie genetycznym...

– Jest tutaj wiele podobieństw – przyznała Sinskey. – Choć trudno sobie wyobrazić, by ktoś dzisiaj zaprojektował i stworzył nowego człowieka, to wiele sław naukowych święcie wierzy, iż to jedyna droga do uratowania rodzaju ludzkiego. Współpracownik transhumanistycznego pisma „H+" twierdzi, że inżynieria genetyczna jest „oczywistym kolejnym krokiem", i głosi, że „uosabia ona prawdziwy potencjał naszego gatunku"... – Sinskey zamilkła na moment. – Na obronę tego czasopisma mogę jednak dodać, że w tym samym jego numerze pojawiło się inne

opracowanie, bodaj przedruk, o znamiennym tytule: *Najniebezpieczniejsza idea w historii świata*.

– Wydaje mi się, że ta druga opcja jest mi bliższa – wyznał Langdon. – Przynajmniej z socjologicznego i kulturowego punktu widzenia.

– Czyli?

– Cóż... zakładam, że takie genetyczne usprawnienia, podobnie jak chirurgia plastyczna, okażą się bardzo kosztowne.

– To zrozumiałe. Nie każdego będzie stać na udoskonalenie potomstwa.

– Czyli zalegalizowanie procederu natychmiast stworzy nowy podział świata, na tych, którzy będą mogli sobie pozwolić na ten luksus, oraz tych, dla których będzie on nieosiągalny. Już dziś mamy ogromną przepaść między bogatymi i biednymi, ale manipulowanie przy genomie grozi stworzeniem rasy nadludzi i... rzesz podludzi. Uważa pani, że ktoś się dzisiaj przejmuje, że światem rządzi jeden procent ultrabogaczy? A proszę sobie wyobrazić sytuację, gdy ten sam jeden procent ludzkości będzie w dodatku gatunkiem dosłownie nadrzędnym: mądrzejszym, silniejszym, zdrowszym. Tego rodzaju podziały muszą prowadzić do niewolnictwa albo czystek etnicznych.

Sinskey uśmiechnęła się do siedzącego obok niej przystojnego naukowca.

– Widzę, profesorze, że bardzo szybko zrozumiał pan, jakie zagrożenia kryją się za inżynierią genetyczną.

– Może i zrozumiałem, ale nadal nie pojmuję postawy Zobrista. Cały ten transhumanizm to marzenie o udoskonalaniu ludzkości. Co zrobić, by człowiek był zdrowszy, jak zapobiegać śmiertelnym

chorobom i jakimi metodami wydłużyć życie. Tymczasem Zobrist uznał, że jedynym skutecznym sposobem walki z przeludnieniem jest zabicie wszystkich ludzi. Nie wydaje się pani, że wyrażane przez niego poglądy i idee transhumanizmu są sprzeczne?

Sinskey westchnęła ciężko. To było dobre pytanie, lecz ona niestety znała niepokojąco sensowną odpowiedź.

– Zobrist wierzy w idee transhumanizmu i technologiczne udoskonalenie naszego gatunku, ale przy tym jest przekonany, że grozi nam wyginięcie z powodu przeludnienia, co jego zdaniem ma nastąpić, zanim wzniesiemy się na wyższy poziom. Nic więc dziwnego, że uważa, iż ktoś powinien podjąć zdecydowane działania, aby temu zapobiec.

Langdon zrobił wielkie oczy.

– Chce przetrzebić stado... by zyskać na czasie?

Sinskey potaknęła.

– Powiedział kiedyś, że czuje się tak, jakby był więźniem statku, na którym liczba pasażerów ulega co godzinę podwojeniu. Desperacko próbuje zbić tratwę ratunkową, aby zdążyć z ucieczką, zanim statek zatonie z powodu przeciążenia... – zamilkła na moment. – Dlatego optuje za wyrzuceniem połowy ludzi za burtę.

Langdon skrzywił się.

– Przerażająca myśl.

– Owszem, ale nie dla wszystkich. Niech pan pamięta – dodała – że według Zobrista drastyczne zredukowanie populacji będzie kiedyś postrzegane jako akt wielkiego heroizmu... jako moment, dzięki któremu ludzkość zdołała przetrwać.

– Nie uspokoiła mnie pani...

– Co gorsza, Zobrist nie jest osamotniony w swoich poglądach. Gdy zginął, stał się męczennikiem w oczach wielu ludzi. Nie wiem, na kogo się natkniemy po przybyciu do Florencji, ale jestem pewna, że powinniśmy zachować daleko idącą ostrożność. Ponieważ nie tylko my szukamy źródła zarazy, dla pańskiego dobra musimy zadbać, aby nikt nie wiedział o pana pobycie we Włoszech.

Langdon wspomniał jej o swoim przyjacielu, dyrektorze Busonim, specjaliście od Dantego, który mógł dyskretnie załatwić wieczorną wizytę w Palazzo Vecchio, gdzie Robert w spokoju przyjrzałby się freskowi zawierającemu słowa *cerca trova*, te same, które wyświetlał projektor Zobrista. Busoni był też człowiekiem, który mógł pomóc w zrozumieniu dziwacznej inskrypcji wspominającej o oczach śmierci.

Sinskey odgarnęła do tyłu długie siwe włosy i spojrzała uważnie na Langdona.

– Szukaj, a znajdziesz, profesorze. Czas ucieka!

Powiedziawszy te słowa, udała się do magazynku pokładowego i zabrała z niego najnowocześniejszy ze wszystkich, jakimi dysponowała Światowa Organizacja Zdrowia, pojemnik do przewozu niebezpiecznych substancji. Był to model wyposażony w czytnik biometryczny.

– Proszę przyłożyć tutaj kciuk – powiedziała, kładąc metalowe cygaro przed Langdonem.

Obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem, ale posłuchał.

Sinskey zaprogramowała zamek tak, by tylko Langdon mógł go otworzyć. Potem wsunęła do niego miniaturowy projektor.

– To coś w rodzaju przenośnego sejfu – stwierdziła, uśmiechając się pod nosem.

– Z tym symbolem na wierzchu? – lekko się przestraszył, widząc znak ostrzegawczy.

– Tylko takimi dysponujemy. Proszę jednak spojrzeć na to z drugiej strony. Nikt nie będzie chciał mieć z nim do czynienia.

Langdon przeprosił ją i wstał, by wyprostować nogi, a potem skorzystać z toalety. Gdy go nie było, Sinskey spróbowała ukryć pojemnik w którejś z kieszeni jego marynarki. Niestety, wszystkie okazały się zbyt małe.

Nie może tego nosić na widoku...

Zastanawiała się tylko przez chwilę. Następnie udała się do magazynu jeszcze raz, po skalpel i zestaw do szycia. Z niezwykłą precyzją rozcięła szew podszewki i wszyła weń jakby ukrytą kieszeń, w sam raz na pojemnik.

Kończyła właśnie, gdy Langdon wrócił.

Stanął nad nią z taką miną, jakby zamalowała twarz Monie Lizie.

– Pocięła pani moją marynarkę? Kosztowała majątek...

– Spokojnie, profesorze – odparła. – Jestem chirurgiem z zawodu. Nikt nie zauważy, że coś tu wszyto.

Rozdział 68

Wenecki dworzec Santa Lucia jest elegancką niską budowlą wzniesioną z szarego kamienia i betonu. Zaprojektowano go w nowoczesnym, minimalistycznym stylu, a na fasadzie można znaleźć tylko jeden symbol – skrzydlate litery FS – logo włoskich kolei państwowych, Ferrovie dello Stato.

Z racji jego umiejscowienia na zachodnim krańcu Canale Grande pasażerowie niemal natychmiast po opuszczeniu pociągu mogą zanurzyć się po uszy w pięknych widokach, zapachach i dźwiękach słynnego miasta na wodzie.

Słonawe powietrze – to na nie Langdon zwracał zawsze uwagę. Czysta nadmorska bryza zmieszana z aromatem białej pizzy oferowanej przez ulicznych sprzedawców stojących przed dworcem. Dzisiaj jednak wiatr wiał ze wschodu, więc w powietrzu unosił się dodatkowo smród spalin bijący od długiej kolejki taksówek wodnych czekających na klientów przy nabrzeżu pobliskiego kanału. Dziesiątki kapitanów machało rękami, nawołując turystów i mając nadzieję na złowienie kolejnych pasażerów swoich taksówek, gondoli, *vaporetti* i motorówek.

Chaos, pomyślał Langdon, przyglądając się korkowi na kanale. Jednakże zator, który doprowadziłby do białej gorączki mieszkańców Bostonu, tutaj przechodził niemal bez echa.

O rzut kamieniem od dworca, po drugiej stronie kanału, wznosiła się kopuła San Simeone Piccolo. Kościół ten był jedną z bardziej eklektycznych świątyń Europy, zwłaszcza pod względem architektonicznym. Jego nietypową stromą kopułę i koliste sanktuarium wzniesiono w stylu bizantyjskim, a marmurowe kolumnady, ewidentnie wzorowane na klasycznych greckich rozwiązaniach, przywodziły na myśl rzymski Panteon. Główne wejście zdobił widowiskowy fronton z zawiłą płaskorzeźbą przedstawiającą świętych męczenników.

Wenecja to miasto-muzeum, pomyślał Robert, spoglądając na wodę rozbryzgującą się u podnóża schodów prowadzących do świątyni. Tonące z wolna miasto-muzeum...

Wtem zdał sobie sprawę, że najgorsza nawet powódź byłaby niczym w porównaniu z zagrożeniem, które dziś drzemało gdzieś pod zabytkami.

I nikt o nim nawet nie wie...

Langdon nie mógł zapomnieć o tekście znalezionym na odwrocie maski pośmiertnej Dantego. Ciekawiło go, dokąd te wersy ich zaprowadzą. Trzymał w kieszeni przepisany tekst, a samą maskę – za radą Sienny – owinął szczelnie gazetą i umieścił dyskretnie w samoobsługowym schowku na dworcu. Skrytka ta, choć niezbyt się nadająca do przechowywania tak cennego artefaktu, i tak była o niebo bezpieczniejsza od noszenia gipsowego odlewu po wypełnionym wodą mieście.

– Robercie... – Sienna, idąca przed nim z Ferrisem, wskazała ręką w kierunku wodnych taksówek. – Nie mamy zbyt wiele czasu.

Langdon pośpieszył za nimi, chociaż jako entuzjasta pięknej architektury nie mógł znieść myśli, że przyjdzie mu przemknąć w tak szybkim tempie przez Canale Grande. Niewiele tutejszych atrakcji przebijało rejs *vaporetto numero uno* – najsłynniejszym wodnym tramwajem miejskim – szczególnie nocą, gdy człowiek mógł usiąść swobodnie na otwartym pokładzie i rozkoszować się widokiem dryfujących wolno, jasno oświetlonych katedr i pałaców.

Dzisiaj nie popływamy *vaporetto*, pomyślał ze smutkiem Robert.

Wodne tramwaje były bardzo powolne, dlatego musieli skorzystać z taksówki. Niestety, kolejka do motorówek zdawała się nie mieć końca.

Ferris, nie mając ochoty na tak długie czekanie, natychmiast wziął sprawy w swoje ręce. Wyjąwszy z portfela gruby plik banknotów, wezwał wodną limuzynę – wypolerowaną na wysoki połysk motorówkę wykonaną z południowoafrykańskiego mahoniu. Chociaż wytworna łódź pasowała do tego miasta jak przysłowiowa pięść do nosa, zapewniała szybką i bezpieczną podróż. Powinna pokonać trasę z dworca na plac Świętego Marka w niespełna kwadrans.

Sternikiem był uderzająco przystojny mężczyzna w garniturze od Armaniego. Wyglądał raczej na gwiazdora filmowego niż skippera, ale to przecież Wenecja, stolica włoskiej elegancji.

– Maurizio Pimponi – przedstawił się piękniś, mrugając do Sienny, gdy wprowadzał gości na pokład. – Prosecco? Limoncello? Szampana?

– *No, grazie* – odparła lekarka, instruując go następnie płynną włoszczyzną, że chcą dotrzeć jak najszybciej na plac Świętego Marka.

– *Ma certo!* – Maurizio znów puścił do niej oko. – Moja łódź jest najszybsza w Wenecji...

Gdy Langdon i jego towarzysze zasiedli w wyścielanych fotelach na otwartej rufie, Maurizio włączył wsteczny ciąg i ze znawstwem odbił od brzegu. Następnie wychylił koło sterowe mocno na prawo i dodał gazu, manewrując zwinnie pomiędzy licznymi gondolami. W mgnieniu oka zostawili w tyle tłum wygrażających pięściami mężczyzn w pasiastych koszulach i ich chwiejące się na fali smukłe czarne łodzie.

– *Scusate!* – zawołał w ich kierunku Maurizio. – Wiozę VIP-ów!

Po paru sekundach byli już za korkiem przy dworcu i sunęli na wschód kanałem. Gdy przyśpieszyli pod łagodnymi łukami ponte degli Scalzi, Langdon poczuł aromat tutejszego przysmaku, *seppie al nero* – mątwy w sosie własnym – który dolatywał z nabrzeżnych restauracyjek. Za następnym zakrętem kanału pojawiła się masywna kopuła kościoła San Geremia.

– Santa Lucia... – wyszeptał Robert, odczytując nazwę z tablicy umieszczonej na murze. – Kości ślepca...

– Słucham? – Sienna natychmiast spojrzała na niego, mając nadzieję, że rozwikłał kolejny fragment zagadki.

– Nie, nic – odparł Langdon. – Coś mi się przypomniało. Zapewne nic ważnego. – Wskazał na kościół. – Widzisz ten napis? Tutaj pochowano świętą Łucję. Kiedyś oglądałem hagiograficzne obrazy przedstawiające chrześcijańskich świętych i właśnie dotarło do mnie, że Łucja była patronką ślepców.

– *Si, Santa Lucia!* – wtrącił natychmiast Maurizio, zadowolony, że może pomóc. – Święta od ślepców. Znacie jej historię, prawda? – Odwrócił się do nich i przekrzykując ryk silnika, dodał: – Łucja była tak piękna, że wszyscy jej pożądali. Dlatego, by zachować czystość i dziewictwo dla Boga, sama wyłupiła sobie oczy.

– To się nazywa poświęcenie – mruknęła Sienna.

– W nagrodę za ten czyn – kontynuował sternik – Bóg dał jej kolejne oczy, jeszcze piękniejsze od tamtych.

Sienna zerknęła na Langdona.

– On wie, że to się nie trzyma kupy?

– Niezbadane są ścieżki Pana – odparł Robert, przypominając sobie dwadzieścia albo i więcej słynnych obrazów przedstawiających świętą niosącą własne oczy na tacy.

Chociaż było wiele wersji tej opowieści, w każdej dało się znaleźć fragment, w którym Łucja wyłupia sobie pożądane przez wszystkich oczy i kładzie je na tacy przed najbardziej żarliwym konkurentem, wypowiadając wyzywającym tonem następujące słowa: „Oto daję ci to, czego pożądałeś... a wy, pozostali, zaklinam was, ostawcie mnie w spokoju!". Co ciekawe, to Pismo Święte nakłoniło Łucję do samookaleczenia, łączy się bowiem jej uczynek ze znanymi słowami Chrystusa: „Jeśli więc prawe twoje oko jest ci powodem do grzechu, wyłup je i odrzuć od siebie."

Wyłup... Czy nie o wyłupieniu czegoś wspominał napis na masce? *Zdradzieckiego poszukajcie doży, któren koniom łby poodejmować kazał i ślepca kości wyłupić.*

Zdziwiony tym zbiegiem okoliczności Robert zaczął się zastanawiać, czy te słowa nie odnoszą się przypadkiem do oślepionej świętej Łucji.

– Maurizio! – zawołał, wskazując na kościół San Geremia. – Czy są tam kości świętej Łucji?

– Tylko kilka – odparł sternik, prowadząc motorówkę jedną ręką, by spoglądać w tył, na pasażerów. – Ale nie wszystkie. Święta Łucja jest tak uwielbiana, że jej kości zabrano do wielu kościołów na całym świecie. Ale my, Wenecjanie, kochamy ją najbardziej i dlatego świętujemy...

– Maurizio! – wrzasnął Ferris. – Święta Łucja była ślepa, ale ty masz oczy, więc korzystaj z nich jak trzeba! Patrz przed siebie!

Sternik zaśmiał się przyjaźnie i spojrzał przed dziób, dzięki czemu dosłownie w ostatniej chwili uniknęli kolizji z inną łodzią.

Sienna nie spuszczała oczu z Langdona.

– Co ci chodzi po głowie? Zdradziecki doża, który kazał ślepca kości wyłupić?

Robert wydął wargi.

– Nie jestem pewien...

Streścił obojgu pokrótce historię relikwii, która jego zdaniem należała do najstraszniejszych w całej hagiografii. Zgodnie z zapisami, po tym jak piękna Łucja odrzuciła zaloty znaczącego adoratora, ten zadenuncjował ją i kazał spalić na stosie, jednakże – jeśli wierzyć legendzie – ogień nie imał się jej ciała. Z tego powodu ludzie uznali, że relikwie świętej Łucji mają wielką moc, a ci, którzy je posiądą, będą żyli długo, ciesząc się znakomitym zdrowiem.

– Magiczne kości? – zapytała Sienna.

– Zdaniem wielu tak. Dlatego są dziś rozsiane po całym świecie. Przez niemal dwa tysiące lat możni tego świata próbują przedłużać sobie życie i odwlekać śmierć dzięki jej szczątkom

doczesnym. Szkielet świętej kradziono, przenoszono i dzielono znacznie częściej niż materialne pozostałości po jakimkolwiek innym świętym. Wiemy z zapisków, że kości świętej Łucji przeszły przez ręce co najmniej kilkunastu najpotężniejszych władców.

– Wliczając w to zdradzieckiego dożę? – zainteresowała się Sienna.

Zdradzieckiego poszukajcie doży, któren koniom łby poodejmować kazał i ślepca kości wyłupić.

– Niewykluczone – przyznał Langdon, uświadomiwszy sobie, że Dante w *Boskiej komedii* niejednokrotnie wspomniał o świętej Łucji. Była ona jedną z trzech błogosławionych kobiet – *le tre donne benedette* – które wezwały Wergiliusza, aby ten pomógł bohaterowi poematu uciec z piekieł. A skoro pozostałymi dwiema były Maryja i jego ukochana Beatrycze, można powiedzieć, że umieścił ją w naprawdę doborowym towarzystwie.

– Jeśli się nie mylisz – oświadczyła podekscytowana Sienna – ten sam zdradziecki doża, który poodejmował koniom łby...

– ...ukradł także kości świętej Łucji.

Przytaknęła.

– To znacznie skraca naszą listę. – Zerknęła w kierunku Ferrisa. – Jest pan pewien, że pański telefon nie działa? Poszukalibyśmy w Internecie...

– Bateria całkiem padła – odparł. – Przed momentem sprawdzałem. Przykro mi.

– Za moment będziemy na miejscu – uspokoił ją Langdon. – Jestem pewien, że w bazylice znajdziemy wiele odpowiedzi.

Bazylika Świętego Marka (...*muzejon świętej wiedzy*) była jedynym miejscem, które zdaniem Langdona pasowało idealnie do

tej łamigłówki. Liczył na to, że w środku zdołają odkryć tożsamość tajemniczego doży, a potem przy odrobinie szczęścia pałac, w którym Zobrist ukrył wyhodowaną zarazę (...*tamże, w mrokach, bestia chtoniczna się ukrywa*).

Langdon próbował wypchnąć z umysłu obrazy kojarzące się z plagą, ale nadaremnie. Bardzo często zastanawiał się, jak Wenecja wyglądała w czasach swojej największej świetności – kiedy wciąż stanowiła niekwestionowane centrum handlowe Europy i zanim osłabiła ją czarna śmierć, doprowadzając do tego, że miasto uległo kolejno Osmanom, a potem Napoleonowi. Z pewnością nie było piękniejszego niż Wenecja miasta na świecie, a mało które mogło się z nią równać pod względem bogactwa i kultury mieszkańców.

Co ciekawe, to właśnie nienasycony apetyt dawnych wenecjan, wiecznie łaknących zagranicznych luksusów, stał się główną przyczyną ich upadku – zabójcza plaga przypłynęła z Chin do Wenecji na grzbietach szczurów żyjących pod pokładami kupieckich statków. Ta sama plaga, która odpowiadała za śmierć dwu trzecich obywateli Państwa Środka, dotarła do Europy i pozbawiła życia co trzeciego człowieka, nie bacząc na jego wiek ani majątek.

Langdon czytał opisy życia w Wenecji podczas epidemii. Ponieważ brakowało ziemi, na której można by chować zmarłych, wrzucano ich ciała do kanałów, by spłynęły do morza. Gdzieniegdzie ofiar było tak wiele, że flisacy musieli spławiać zwłoki dziesiątkami, jak pnie. Wyglądało na to, że żadne modlitwy nie powstrzymają zarazy. Gdy władze miasta zrozumiały w końcu, że to szczury odpowiadają za roznoszenie

choroby, na ratunek było już za późno, ale i tak wydano dekret, który nakazywał każdemu przybywającemu z dalekich krain okrętowi pozostanie na redzie portu przez czterdzieści dni – dopiero po tym czasie zezwalano na rozładunek towarów. Po dziś dzień ta liczba – z włoska *quaranta* – służy przypominaniu tamtych ponurych czasów. Od niej wywodzi się bowiem słowo „kwarantanna".

Zanim minęli kolejny zakręt, uwagę Langdona zwróciła powiewająca na wietrze czerwona markiza. Na widok trzypoziomowej budowli po lewej, natychmiast zapomniał o ponurych myślach.

CASINÒ DI VENEZIA: NIEKOŃCZĄCE SIĘ EMOCJE.

Chociaż nigdy nie rozumiał, co znaczą wypisane na czerwonym banerze słowa, to wiedział, że ten przepiękny renesansowy pałac zdobi panoramę Wenecji od szesnastego stulecia. Będący kiedyś prywatną posiadłością budynek służył teraz wielbicielom hazardu. Tutejsze kasyno zyskało rozgłos jeszcze jako prywatny pałac, gdy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim roku, tuż po ukończeniu opery *Parsifal*, zmarł w nim na atak serca słynny kompozytor Ryszard Wagner.

Za kasynem, po prawej, na barokowej fasadzie znajdował się jeszcze większy baner, tym razem ciemnoniebieski, głoszący: CA' PESARO: GALLERIA INTERNAZIONALE D'ARTE MODERNA. Lata temu Robert był jej gościem, to tam obejrzał arcydzieło Gustawa Klimta zatytułowane *Pocałunek*, wypożyczone na jakiś czas z wiedeńskich zbiorów. Oszałamiająca technika polegająca na połączeniu farb i płatków złota sprawiła, że Langdon zapragnął poznać pozostałe obrazy tego malarza, po dziś dzień cenił sobie

też tutejszą galerię, traktując ją jako miejsce, w którym zaszczepiono mu miłość do sztuki współczesnej.

Maurizio przyśpieszył jeszcze bardziej, korzystając z tego, że wypłynęli na szerszą część kanału.

Przed nimi pojawiła się charakterystyczna sylwetka mostu Rialto – przeprawy znajdującej się w połowie drogi na plac Świętego Marka. Gdy zbliżyli się do mostu, by pod nim przepłynąć, Robert spojrzał w górę i dostrzegł samotną postać stojącą nieruchomo przy balustradzie i patrzącą w dół ponurym wzrokiem.

Było w niej coś znajomego... i przerażającego zarazem.

Robert wzdrygnął się instynktownie.

Szara i wydłużona twarz o martwych oczach i długim, przypominającym dziób nosie.

Gdy motorówka znalazła się pod przęsłem, Langdon zrozumiał, że widział turystę chwalącego się nowym nabytkiem – jedną z setek ptasich masek, jakie sprzedaje się codziennie na pobliskim targowisku.

Jemu wszakże to przebranie wydało się – zwłaszcza dziś – szczególnie makabryczne.

Rozdział 69

Plac Świętego Marka leży opodal najdalej wysuniętego na południe skrawka wybrzeża Canale Grande, w miejscu, gdzie bezpieczne szlaki wodne łączą się z otwartą laguną. Nad bezpieczeństwem tej okolicy czuwa surowa trójkątna forteca Dogana da Mar – morskiego biura celnego – której wieża strzegła ongiś Wenecji przed najazdami wrogów. Dzisiaj wieżę zastąpiła wielka złota kula i umieszczona na niej postać bogini szczęścia służąca za zwykły wiatrowskaz przypominający wychodzącym w morze marynarzom, jak nieprzewidywalne są koleje losu.

Im dalej płynęła smukła motorówka Maurizia, tym jej pasażerowie mieli szerszy widok na złowieszcze morze. Robert Langdon poczuł się nieswojo, gdy o burtę łodzi zaczęły uderzać wyższe fale – choć przebył już tę trasę wiele razy, zawsze korzystał ze znacznie stabilniejszego *vaporetto*.

By dobić do brzegu przy placu Świętego Marka, motorówka musiała przebyć szeroką otwartą lagunę, po której wodach krążyły setki rozmaitych jednostek – od luksusowych jachtów po tankowce, żaglowce i wielkie pasażerskie liniowce. Człowiek czuł

się w tym miejscu jak kierowca wyjeżdżający z pobocznej drogi wprost na ośmiopasmową superautostradę.

Sienna także miała niepewną minę; zerkała bez przerwy na dziesięciopokładowy liniowiec, który właśnie mijali. Wielka jednostka znajdowała się niespełna trzysta metrów od nich. Na jej pokładach roiło się od turystów, którzy stojąc przy relingach, robili zdjęcia placu Świętego Marka. Za rufą pierwszego widać było trzy następne pasażerskie giganty, czekające na możliwość przepłynięcia wzdłuż znanej na całym świecie panoramy. Langdon słyszał, że ostatnimi czasy przypływało tutaj tak wiele wycieczkowców, że ich kolejka nigdy się nie kończyła: ani w dzień, ani nocą.

Stojący przy sterze Maurizio obrzucił liniowce uważnym spojrzeniem, po czym zerknął w lewo, na zadaszone nabrzeże.

– Wysadzę was przy Harry's Bar – machnął ręką w stronę restauracji znanej z tego, że wymyślono w niej drink o nazwie „bellini". – Plac jest tuż obok.

– Masz nas dowieźć na miejsce – zażądał Ferris, wskazując na drugi brzeg laguny i widoczne tam nabrzeża przed pałacem.

Maurizio wzruszył tylko ramionami.

– Sami tego chcieliście... Trzymajcie się!

Silniki zawyły i wodna limuzyna pomknęła w kierunku oznaczonego bojami szlaku żeglugowego. Mijane liniowce wyglądały jak pływające kamienice, a fale przez nie wzbudzane miotały mniejszymi łodziami.

Ku zdziwieniu Langdona kilkanaście gondoli płynęło tą samą trasą co motorówka. Ich smukłe kadłuby – mierzące po dwanaście metrów i ważące nieco ponad pół tony – wydawały się

zadziwiająco stabilne na tak wzburzonej wodzie. Każda z tych jednostek miała niewielką platformę po lewej stronie rufy – to właśnie tam stali gondolierzy w tradycyjnych koszulkach w biało-czarne pasy, poruszający pojedynczymi wiosłami wsuniętymi w dulkę na prawej burcie. Nawet tutaj, na wysokiej fali, widać było, że przy każdym ruchu wiosła gondola przechyla się tajemniczo na lewo. Robert dowiedział się jakiś czas temu, że jest to spowodowane asymetryczną budową kadłuba gondoli, zakrzywionego lekko w prawo, aby łódź nie skręcała w przeciwną stronę, gdyż napędzające ją wiosło nie znajdowało się dokładnie za rufą.

Maurizio wskazał z dumą na jedną z mijanych gondoli.

– Widzieliście te ozdoby na dziobie? – zapytał przez ramię, mając na myśli elegancki ornament, którym wykończono przód łodzi. – To jedyna metalowa część gondoli, nazywamy ją *ferro di prua*, żelazem z dziobu. To znak Wenecji.

Dalej wyjaśnił, że metalowe ozdoby sterczące z dziobu gondoli mają symboliczne znaczenie. Zakrzywiony kształt przedstawia Canale Grande, a pół tuzina zębów to nic innego, jak odpowiednik *sestieri*, czyli sześciu dzielnic Wenecji. Wreszcie podłużne zakończenie przypomina czepce dożów.

Dożowie...

Langdon wrócił myślami do celu ich misji.

Zdradzieckiego poszukajcie doży, któren koniom łby poodejmować kazał... i ślepca kości wyłupić.

Robert przeniósł spojrzenie na brzeg, gdzie niewielki zadrzewiony park sięgał aż do nabrzeża. Za liściastymi koronami na tle bezchmurnego nieba widać było zarysy dzwonnicy, z której

szczytu złoty archanioł Gabriel spoglądał na znajdującą się sto metrów poniżej ziemię.

W mieście, w którym z powodu grząskiego gruntu nie budowano wysokich domów, gigantyczna dzwonnica Świętego Marka była znakomitym punktem orientacyjnym dla każdego, kto pobłądził w labiryncie przejść i kanałów. Wystarczyło, że zagubiony wędrowiec raz spojrzał w górę, a już wiedział, którędy wrócić na plac Świętego Marka. Langdon wciąż nie mógł uwierzyć, że ta imponująca budowla runęła w tysiąc dziewięćset drugim roku, zamieniając się w stertę gruzu. Co ciekawe, jedyną ofiarą tej katastrofy okazał się... kot.

Goszczący w Wenecji ludzie doświadczają unikalnej atmosfery tego miasta dzięki setkom zapierających dech zakątków. Langdon także miał swoje ulubione miejsce, zwane Riva degli Schiavoni. Była to szeroka kamienna promenada biegnąca skrajem kanału od Arsenału do placu Świętego Marka. Zbudowano ją w dziewiątym wieku, wykorzystując muł z pogłębiania kanału.

Można przy niej znaleźć znakomite restauracje, najlepsze hotele, a nawet kościół, do którego chadzał Vivaldi. Jej bieg zaczyna się przed Arsenałem – czyli miejscem, w którym przed wiekami budowano statki – gdzie dawno temu unosił się żywiczny zapach, a szkutnicy smarowali kadłuby jednostek wrzącą smołą, aby pozatykać wszystkie dziury. Ponoć właśnie wizyta w Arsenale natchnęła Dantego do stworzenia wizji rzek gotującej się smoły jako jednego z narzędzi tortur w jego *Piekle*.

Langdon spojrzał w prawo i powiódł wzrokiem wzdłuż Rivy, docierając aż do raptownego końca promenady. Tam, na południowym krańcu placu Świętego Marka, szeroki deptak

spotykał się z Canale di San Marco. Za czasów świetności Wenecji nabrzeże to nazywano z niekłamaną dumą „rubieżami cywilizacji".

Dzisiaj przy liczącym około trzystu metrów nabrzeżu jak zawsze roiło się od czarnych gondoli. Było ich tam co najmniej sto. Chwiały się łagodnie na cumach, a ich wysmukłe dzioby unosiły się i opadały niczym ostrza kos na tle marmurowych zabudowań placu.

Langdonowi wciąż nie mieściło się w głowie, że to niewielkie miasto – dwukrotnie większe od nowojorskiego Central Parku – powstało na wodach morza i swego czasu wyrosło na najbogatsze i najpotężniejsze imperium Zachodu.

Gdy Maurizio podpłynął bliżej, Robert zauważył, że plac jest pełen ludzi. Napoleon stwierdził kiedyś, że miejsce to jest „salą balową Europy", ale już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że zaproszono do niej zbyt wielu gości. Wydawać się mogło, że piazza zatonie zaraz pod ciężarem podziwiających ją turystów.

– Mój Boże – jęknęła Sienna, widząc ten ścisk.

Langdon nie wiedział, czy niepokoi ją to, że Zobrist wybrał tak zatłoczone miejsce dla uwolnienia plagi czy raczej że szalony miliarder może mieć rację, ostrzegając przed zagrożeniami wynikającymi z przeludnienia.

Wiedział, że Wenecja co roku przyjmowała masę turystów – szacowano, że przewija się przez nią trzy dziesiąte procent wszystkich ludzi żyjących obecnie na Ziemi – w samym roku dwutysięcznym zwiedziło ją ponad dwadzieścia milionów gości. Po dodaniu kolejnego miliarda, o który zwiększyła się od wtedy populacja, wyszło mu, że miasto zadeptują obecnie trzy miliony

osób więcej. A Wenecja, podobnie jak cała planeta, ma określoną powierzchnię i w końcu przestanie nadążać z dostarczaniem odpowiedniej ilości jedzenia, odprowadzaniem nieczystości i gwarantowaniem noclegów dla tych wszystkich, którzy chcą ją zobaczyć...

Stojący obok zamyślonego Roberta doktor Ferris nie patrzył na brzeg, lecz na morze, którym zbliżały się następne wycieczkowce.

– Wszystko w porządku? – zapytała go Sienna.

Obrócił się do niej szybkim ruchem.

– Tak. Tak... – Zerknął w kierunku sterówki i zawołał do Maurizia: – Przybij do brzegu jak najbliżej placu Świętego Marka!

– Nie ma sprawy! – odparł sternik. – Będziemy tam za dwie minutki!

Limuzyna znajdowała się już na wysokości placu, po prawej wznosiła się majestatyczna fasada Pałacu Dożów.

Kompleks ten, będący idealnym przykładem weneckiego gotyku, mógł uchodzić także za wzór prostoty i elegancji. Pozbawiony mnóstwa wież i wieżyczek charakteryzujących pałace Francji czy Anglii wyglądał jak ogromny prostopadłościan. Dzięki temu zabiegowi architektonicznemu zwiększono jego kubaturę, aby we wnętrzach pomieścić ogromną jak na owe czasy liczbę rządowych urzędników i ich służbę.

Gdy spoglądało się na bryłę pałacu od strony morza, jego masywna ściana z białego piaskowca nie wydawała się jednak przytłaczająca, a to za sprawą portyków, kolumnad, arkadowych loggii i zdobnych, czterodzielnych maswerków. Zdobiące zewnętrzne mury geometryczne wzory z różowego piaskowca przypominały Langdonowi hiszpańską Alhambrę.

Gdy motorówka podpłynęła do cumowiska, Ferris zaczął spoglądać z niepokojem na zbiegowisko przed pałacem. Gęsty tłum zebrał się na pobliskim mostku, ludzie wskazywali coś palcami, kierując je w głąb wąskiego kanału, który oddzielał dwie główne części siedziby dożów.

– Na co oni się tak gapią? – zapytał drżącym ze zdenerwowania głosem.

– Na Most Westchnień – odpowiedziała mu Sienna. – To jeden z najbardziej znanych mostów Wenecji.

Langdon także spojrzał w głąb kanału i dostrzegł pięknie zdobione zabudowane przejście między budynkami. Most Westchnień, pomyślał, przypominając sobie jeden z ulubionych filmów jego młodości. *Mały romans* bazował na popularnej legendzie mówiącej, że jeśli dwoje młodych ludzi pocałuje się pod tym mostem o świcie, gdy biją dzwony bazyliki Świętego Marka, ich miłość nigdy nie przeminie. To głęboko romantyczne przesłanie towarzyszyło Langdonowi przez całe życie. Nie wspominając już o takim szczególe, że filmem tym zadebiutowała podówczas czternastoletnia Diane Lane, w której młodziutki Robert natychmiast się zakochał... i szczerze mówiąc, nadal był zakochany.

Wiele lat później doznał szoku, kiedy się dowiedział, że westchnienia, od których wzięła się nazwa mostu, wydobywały się z krtani skazańców, nie zakochanych. Jak się bowiem okazało, owo zadaszone przejście prowadziło z Pałacu Dożów do pobliskiego więzienia, gdzie skazańcy dogorywali i umierali. To ich jęki, dobiegające zza zakratowanych okienek ciągnących się wzdłuż wąskiego kanału, słyszeli przepływający tamtędy ludzie.

Langdon zwiedził to więzienie jeden jedyny raz, dowiadując się przy tej okazji, że cele znajdujące się na poziomie wody – te, które były systematycznie zalewane – wcale nie uchodziły za najmarniejsze. Znacznie gorszą sławą cieszyły się pomieszczenia na najwyższym piętrze, sąsiadujące z wnętrzami pałacu. Zwano je *piombi* ze względu na wykładane ołowianymi płytami dachy, przez które skazani cierpieli niewysłowione katusze od żaru w lecie i chłodu zimą. Do *piombi* trafił też Casanova, znany na cały świat kochanek, po tym jak został skazany przez inkwizycję za cudzołożenie i szpiegowanie. Po piętnastu miesiącach udręki udało mu się omamić jednego ze strażników i z jego pomocą zbiec z tego straszliwego więzienia.

– *Sta' attento!* – zawołał Maurizio do jednego z gondolierów, wślizgując się na zwalniane przez niego miejsce przy pomoście. Udało mu się wypatrzyć miejsce przed hotelem Danieli, dosłownie sto metrów od wylotu placu i Pałacu Dożów.

Sternik zarzucił linę na poler, po czym przeskoczył na brzeg jak bohater klasycznego filmu o piratach. Kiedy już zabezpieczył łódź, pochylił się mocno, wyciągając dłoń do pasażerów, by zaofiarować pomoc przy wysiadaniu.

– Dzięki – mruknął Langdon, gdy muskularny Włoch podciągnął go na nabrzeże.

Ferris był następny. Wyglądał na rozproszonego, wciąż też zerkał w stronę morza.

Sienna wysiadła ostatnia. Ujmując dłoń piekielnie przystojnego Maurizia, dostrzegła w jego oczach charakterystyczny błysk, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że powinna zostać z nim,

zamiast włóczyć się z tymi dwoma tetrykami. Udała, że tego nie widzi.

– *Grazie, Maurizio!* – rzuciła jakby od niechcenia, skupiając całą uwagę na Pałacu Dożów.

Potem od razu dołączyła do Roberta i Ferrisa i razem zniknęli w tłumie.

Rozdział 70

Port lotniczy Marco Polo, trafnie nazwany po jednym z najsłynniejszych podróżników świata, znajduje się sześć i pół kilometra na północ od placu Świętego Marka, na wodach laguny.

Elizabeth Sinskey, korzystając z przywilejów gwarantowanych pasażerom prywatnych linii, w ciągu zaledwie dziesięciu minut od opuszczenia samolotu znalazła się na pokładzie futurystycznie wyglądającej czarnej łodzi motorowej, która z zadziwiającą prędkością pruła wody Laguna Veneta. Dubois SR52 blackbird został podstawiony przez tajemniczego mężczyznę, z którym rozmawiała wcześniej przez komórkę.

Świeże powietrze dodało sił kobiecie, która spędziła niemal cały dzień, siedząc na tylnym siedzeniu ciasnej furgonetki. Teraz stała twarzą do pachnącego solą wiatru, pozwalając, by pęd rozwiewał jej długie siwe włosy. Od ostatniego zastrzyku minęły już niemal dwie godziny, odzyskała więc nareszcie pełną jasność umysłu. Po raz pierwszy od minionego wieczoru Elizabeth Sinskey znowu była sobą.

Obok niej płynął agent Brüder wraz ze swoimi ludźmi. Żaden z żołnierzy nie odezwał się ani słowem. Jeśli nawet dziwiła ich ta

nagła zmiana frontu, nie komentowali jej, gdyż nie do nich należało podejmowanie decyzji, z czego doskonale zdawali sobie sprawę.

W pewnym momencie na horyzoncie po prawej pojawiła się wyspa, na której brzegach roiło się od przysadzistych ceglanych budynków i kominów. Murano, pomyślała Elizabeth, rozpoznając wspaniałą hutę szkła.

Nie mogę uwierzyć, że tu wróciłam, dodała w myślach, czując ukłucie żalu. Zatoczyłam pełne koło.

Lata temu, gdy studiowała medycynę, przyleciała do Wenecji z ówczesnym narzeczonym i zajrzała do muzeum szkła na wysepce Murano. Tamże jej chłopak wypatrzył przepiękny szklany samochód i stwierdził, że chciałby, aby podobny zdobił pokój ich dziecka. Elizabeth, dręczona poczuciem winy z powodu ukrywania przed nim tak wielkiego sekretu, opowiedziała mu chwilę później o przebytej w dzieciństwie astmie i tragicznym w skutkach leczeniu kortykosterydami, które zrujnowało jej układ rozrodczy.

Do dzisiaj nie wiedziała, czy jego uczucie zgasło przez wcześniejszą nieszczerość czy fakt, że nie może mieć z nim dzieci. Tydzień później opuściła Wenecję bez pierścionka zaręczynowego na palcu.

Jedyną pamiątką z tamtej wycieczki, jaka jej pozostała, był amulet z lazurytu. Laska Eskulapa zdawała się udatnym symbolem jej zawodu – aczkolwiek Elizabeth poznała także jego ciemne strony – nosiła więc wisiorek od tamtej pory aż po dzień dzisiejszy.

Mój cenny amulet, pomyślała. Pożegnalny dar od mężczyzny, których chciał, abym urodziła jego dziecko.

Dzisiaj wyspy Wenecji nie kojarzyły jej się już z niczym romantycznym, były wyłącznie tym, czym je stworzono – odizolowanymi koloniami, dzięki którym władze liczyły na opanowanie epidemii czarnej śmierci.

Gdy blackbird minął Isola San Pietro, Elizabeth zdała sobie sprawę, że celem podróży jest wielki szary jacht zakotwiczony na głębokim kanale.

Pomalowana na stalowoszary kolor jednostka wyglądała jak jeden z nowoczesnych, niewykrywalnych przez radary amerykańskich okrętów wojennych. Wypisana na rufie nazwa była równie tajemnicza jak sam jacht.

Mendacium?...

Szara sylwetka rosła w miarę zbliżania się do niej i wkrótce Elizabeth dostrzegła także samotną postać na pokładzie rufowym – niskiego, mocno opalonego mężczyznę obserwującego ją przez lornetkę. Gdy motorówka dobiła do szerokiej platformy dokującej, człowiek ten zszedł po schodkach, by powitać gości.

– Witam na pokładzie, doktor Sinskey. – Uścisnął delikatnie jej rękę. Skórę na dłoniach miał zadziwiająco miękką, co sugerowało, że raczej nie jest żeglarzem. – Cieszę się, że zgodziła się pani na to spotkanie. Proszę za mną.

Weszli na dolny pokład, gdzie Sinskey zobaczyła ciąg odizolowanych od siebie zamkniętych boksów. Ten dziwny statek był pełen ludzi, lecz nikt tutaj nie odpoczywał – wszyscy pracowali.

Ciekawe nad czym...

Po wejściu nieco wyżej Sinskey usłyszała basowy pomruk pracujących silników, właśnie je odpalano, by jacht mógł ruszyć w dalszą drogę.

Dokąd płyniemy? zaniepokoiła się.

– Chciałbym porozmawiać z doktor Sinskey na osobności – poinformował żołnierzy niski mężczyzna, zatrzymując się, by spojrzeć na Elizabeth. – Nie ma pani nic przeciw?

Pokręciła głową.

– Sir – wtrącił zdecydowanym tonem Brüder. – Sugerowałbym, aby lekarz pokładowy dokonał oględzin doktor Sinskey. Otrzymała środki...

– Nic mi nie będzie – przerwała mu. – Naprawdę. Niemniej dziękuję za troskę.

Zarządca przez dłuższą chwilę mierzył wzrokiem Brüdera, a potem wskazał głową na rozstawiony opodal stół z jedzeniem i napojami.

– Odpocznijcie trochę. Przyda wam się to. Niedługo wrócicie na brzeg.

Nie mówiąc nic więcej, Zarządca odwrócił się plecami do agenta, po czym zaprosił Sinskey do eleganckiej kajuty i zamknął za sobą drzwi.

– Napije się pani? – zaproponował, wskazując na barek.

Odmówiła, wciąż nie mogąc się oswoić z nowym, jakże dziwnym otoczeniem.

Kim jest ten człowiek? I co tutaj robi?

Gospodarz przyglądał jej się uważnie, opierając brodę na złączonych palcach.

– Wie pani o tym, że mój klient nazywał panią siwowłosą diablicą?

– Ja też używałam w stosunku do niego kilku mało ciekawych przezwisk.

Zarządca jakby nigdy nic podszedł do biurka i wskazał palcem na leżącą tam księgę.

– Proszę na to spojrzeć.

Sinskey zbliżyła się i zerknęła na tytuł. *Inferno* Dantego? Przypomniała sobie potworne obrazy śmierci ujrzane podczas spotkania z Zobristem w Radzie Spraw Zagranicznych.

– Klient podarował mi ją dwa tygodnie temu. Jest w niej dedykacja...

Sinskey przyjrzała się wpisowi zdobiącemu stronę tytułową. Poniżej był podpis Zobrista.

Drogi przyjacielu, dziękuję za pomoc we wskazaniu drogi.
Świat także będzie ci wdzięczny.

Poczuła zimny dreszcz.

– Jaką drogę mu pan wskazał?

– Nie mam pojęcia. Czy też raczej do niedawna nie miałem pojęcia.

– A teraz?

– A teraz uczyniłem wielki wyjątek, złamałem wszelkie zasady... i ściągnąłem panią na pokład.

Sinskey po przebyciu tak dalekiej drogi nie miała ochoty na rozmowę pełną niedomówień.

– Nie wiem, kim pan jest ani co pan robi na tym statku, ale oczekuję od pana konkretnych wyjaśnień. Proszę najpierw

powiedzieć, dlaczego ukrywał pan człowieka ściganego przez Światową Organizację Zdrowia.

Pomimo groźby kryjącej się w jej głosie odpowiedź Zarządcy była bardzo wyważona.

– Zdaję sobie sprawę, że mieliśmy do tej pory przeciwstawne cele, i dlatego proszę panią o to, abyśmy zapomnieli o przeszłości. Co było, minęło. Skupmy się zatem na przyszłości. – Powiedziawszy te słowa, niski mężczyzna wyjął czerwony flashpen i wsunął go w gniazdo komputera, równocześnie prosząc Elizabeth, by usiadła. – To nagranie zrobione przez Bertranda Zobrista. Miał nadzieję, że zostanie jutro rozpowszechnione.

Zanim Sinskey zdążyła zareagować, ekran komputera pociemniał, a jej uszu dobiegł szmer kapiącej wody. Z mroku wyłaniała się sceneria... jakby wypełniona wodą jaskinia czy też podziemne jezioro. Co ciekawe, woda wydawała się lśnić, jak gdyby coś podświetlało ją od spodu... Wszystko miało czerwonawą barwę.

Kamera ruszyła w dół, by zanurzyć się w wodzie. Jej obiektyw wycelowano w muliste dno. Była tam przyśrubowana tabliczka z inskrypcją, nazwiskiem i datą.

TUTAJ
ŚWIAT ZMIENIŁ SIĘ NA ZAWSZE

Data wskazywała na dzień jutrzejszy. Nazwisko należało do Bertranda Zobrista.

Elizabeth Sinskey poczuła, że drży.

– Co to za miejsce? – zapytała. – Gdzie to zostało nakręcone?

W odpowiedzi Zarządca okazał po raz pierwszy oznaki jakichkolwiek emocji. Westchnął ciężko, jakby był zawiedziony albo zmartwiony.

– Doktor Sinskey – powiedział. – Miałem nadzieję, że pani mi odpowie na to pytanie.

Stojący parę kilometrów dalej, na skraju deptaka zwanego Riva degli Schiavoni, uważny turysta dostrzegłby niewielką zmianę na horyzoncie. Szary jacht wynurzył się zza skrawka ziemi na wschodzie i zaczął się kierować prosto na plac Świętego Marka.

Mendacium...

FS-2080 ogarnął strach.

Tego szarego kadłuba nie sposób było pomylić z żadną inną jednostką.

Zarządca nadchodzi... a czas ucieka.

Rozdział 71

Langdon, Sienna i Ferris szli w kierunku placu Świętego Marka, trzymając się jak najbliżej skraju zatłoczonej do granic promenady. Po dłuższej chwili dotarli na południowy kraniec, tam gdzie *piazzetta* styka się z morzem.

Tu jednak trafili na nieprzeniknioną gęstwinę turystów. Cisnący się zewsząd ludzie, pragnący zrobić sobie zdjęcie przy jednej z dwu słynnych kolumn, otoczyli Roberta szczelnym, klaustrofobicznym kordonem.

Oficjalne wrota miasta, pomyślał ironicznie Langdon, wiedząc, że tutaj właśnie dokonywano publicznych egzekucji, i to prawie do osiemnastego wieku.

Na szczycie jednej z kolumn dało się dostrzec dziwaczny posąg świętego Teodora ze smokiem na łańcuchu, który kojarzył się raczej z krokodylem niż legendarną bestią.

Drugą kolumnę ozdobiono symbolem Wenecji, czyli skrzydlatym lwem. Lew stał, wspierając dumnie łapę na otwartej księdze, na której kartach znajdował się łaciński napis: *Pax tibi Marce, evangelista meus* („Pokój tobie, Marku, mój ewangelisto”). Jeśli wierzyć legendzie, takie właśnie słowa wymówił archanioł

Gabriel, gdy święty Marek przybył do Wenecji, a następnie przepowiedział mu, że jego ciało spocznie w tym właśnie mieście. Tym apokryficznym tekstem Wenecjanie usprawiedliwiali zrabowanie szczątków świętego z Aleksandrii i ponowne ich pochowanie w tutejszej bazylice. Lew zaś został symbolem miasta i po dziś dzień można go zobaczyć niemal na każdym kroku.

Langdon wskazał na prawo, za kolumnadę i plac Świętego Marka.

– Ustalmy miejsce spotkania, na wypadek gdyby któreś z nas się zgubiło. Czekajmy na siebie przed głównym wejściem do bazyliki.

Pozostali zgodzili się na jego sugestię, a potem ruszyli razem, ponownie trzymając się skraju, i wzdłuż zachodniej ściany Pałacu Dożów dotarli na plac. Pomimo prawa zabraniającego dokarmiania gołębi, ptaki będące kolejnym symbolem Wenecji miały się całkiem nieźle. Jedne pałętały się turystom pod nogami, inne oblegały pobliskie kafeterie, by kraść niepilnowane pieczywo i dręczyć ubranych w smokingi kelnerów.

Wielki plac, w odróżnieniu od większości europejskich odpowiedników, nie ma kształtu prostokąta, lecz wygina się w literę L. Krótsza odnoga, *piazzetta*, łączy brzeg morza z bazyliką Świętego Marka. Przy świątyni plac skręca pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w lewo i biegnie aż do Muzeum Correr. Przypomina więc w najlepszym razie trapez, którego węższy bok znajduje się naprzeciw bazyliki. Dzięki temu wygląda na znacznie dłuższy niż w rzeczywistości, co dodatkowo podkreślają płyty chodnikowe, które niegdyś otaczały stragany piętnastowiecznych ulicznych handlarzy.

Gdy Langdon dotarł w pobliże wspomnianego zakrętu, dostrzegł w oddali połyskującą błękitem wieżę zegarową bazyliki Świętego Marka oraz zegar astronomiczny, przez który James Bond wyrzucił swojego przeciwnika w filmie *Moonraker*.

Dopiero teraz, dotarłszy na właściwy plac, Robert mógł się nacieszyć najcenniejszym, co miasto miało do zaoferowania.

Dźwiękiem.

Ponieważ po Wenecji nie jeździły samochody ani inne pojazdy mechaniczne, jej ulice były wolne od korków, szumu i syren. Tutaj człowiek wsłuchiwał się jedynie w gwar rozmów, gruchanie gołębi i melodyjne dźwięki skrzypiec, którymi właściciele wabili klientów do swoich restauracji. Pod tym względem Wenecja różniła się od wszystkich metropolii świata.

Langdon, stojąc w promieniach późnopopołudniowego słońca, spojrzał w kierunku dzwonnicy, która wznosiła się wysoko nad placem, dominując nad panoramą miasta. Na górnej loggii tłoczyły się setki ludzi, a on poczuł zimny dreszcz w okolicy krzyża na samą myśl, że miałby się tam wspinać. Spuścił więc głowę i w milczeniu pokonywał morze ludzkiej ciżby.

Sienna bez trudu dotrzymywała kroku Robertowi, Ferris niestety zaczął szybko zostawać z tyłu. Lekarka zdecydowała więc, że zwolni nieco, by mieć ich obu na oku. Po chwili jednak, gdy dystans między oboma mężczyznami zrobił się zbyt duży, obróciła się, nie kryjąc zniecierpliwienia. Ferris przyłożył dłoń do piersi, pokazując jej, że się zadyszał, a potem skinął głową, każąc jej iść za Langdonem.

Przystała na to i pobiegła za Robertem, natychmiast tracąc z oczu Ferrisa. Po kilku krokach tknęło ją jakieś przeczucie –

miała dziwne wrażenie, że ich nowy towarzysz symuluje zmęczenie... jakby chciał się oddalić.

Dawno już nauczyła się ufać instynktowi, przystanęła więc w najbliższym zagłębieniu muru i kryjąc się w cieniu, z tego miejsca przeczesywała wzrokiem tłum w poszukiwaniu Ferrisa.

Gdzie on się podział?!

Wyglądało na to, że skręcił, jakby wcale nie miał zamiaru iść za nimi. Wpatrywała się w twarze przechodzących ludzi i w końcu go dostrzegła. Ku jej zaskoczeniu zatrzymał się i schylony nisko pisał coś na klawiaturze swojego telefonu.

A mnie wmawiał, że bateria mu padła...

Poczuła obawę – i znów wiedziała, że nie bez przyczyny.

Okłamał mnie w pociągu!

Obserwowała Ferrisa, próbując zrozumieć, co on wyprawia.

Kontaktuje się z kimś w tajemnicy? Prowadzi własne poszukiwania za naszymi plecami? Chce rozwiązać zagadkę spiralnego tekstu Zobrista, zanim my zdążymy to zrobić?

Tak czy owak, okłamał ją.

Nie mogę mu ufać, uznała.

Zastanawiała się, czy nie podbiec i nie pokazać mu, że został przejrzany, postanowiła jednak, że rozsądniej będzie odejść i wmieszać się w tłum, zanim sama zostanie zauważona. Ruszyła w stronę bazyliki, rozglądając się za Langdonem.

Muszę go ostrzec, by nie wyjawiał wszystkiego Ferrisowi...

Znajdowała się około pięćdziesięciu metrów od bazyliki, gdy nagle poczuła, że ktoś pociąga ją od tyłu za sweter.

Obróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz z Ferrisem.

Mężczyzna z wysypką dyszał ciężko, najwyraźniej przedzierał się przez tłum, by ją dogonić. Dostrzegła w jego zachowaniu jakąś nerwowość, której wcześniej nie okazywał.

– Wybacz – wystękał, z trudem łapiąc oddech. – Zgubiłem się w tym tłoku.

Jak tylko spojrzała mu w oczy, zrozumiała.

On coś przed nami ukrywa.

Langdon zdziwił się, kiedy stanąwszy pod bazyliką, stwierdził, że jego towarzysze zniknęli. Poza tym przed drzwiami nie było długiej kolejki. Dopiero po chwili dotarło do niego, że jest już późne popołudnie, czyli pora, gdy turyści – ociężali od makaronu i wina – wolą spacerować po placach i zaułkach, zamiast chłonąć kolejne porcje historii.

Robert zakładał, że Sienna i Ferris zaraz do niego dołączą, i od razu zwrócił spojrzenie ku wejściu do świątyni. Mawiano o niej czasem, że jest „zawstydzająco bogata w wejścia", i rzeczywiście, w dolnej części znajdował się rząd pięciu głębokich nisz, których gęste kolumnady, łukowate sklepienia i wrota z brązu zdawały się zapraszać przechodniów do wstąpienia w jej progi.

Bazylika Świętego Marka, będąca jednym z najdoskonalszych przykładów architektury bizantyjskiej, miała dziwaczny, jakby miękki wygląd. W porównaniu z surowymi szarymi wieżami Notre Dame albo Chartres wydawała się znacznie zwyczajniejsza. Szersza niż wyższa, została zwieńczona pięcioma białymi kopułami, które z pewnością nie przydawały jej świątobliwego wyglądu. Nie należy się więc dziwić, że w wielu przewodnikach po Wenecji wspominano, że przypomina raczej tort bezowy niż klasyczną świątynię.

Nad największą z bram na szczycie frontonu znajduje się smukły posąg świętego Marka, spoglądającego na plac własnego imienia. Jego stopy spoczywają na strzelistym łuku, który pomalowano na granatowo i przyozdobiono wieloma złotymi gwiazdami. Nieco niżej dodano lśniącą maskotkę tego miasta – skrzydlatego lwa.

To właśnie pod nim można było znaleźć jeden z największych tutejszych skarbów – cztery wielkie ogiery z brązu, które o tej porze dnia przepięknie lśniły w promieniach słońca.

Konie świętego Marka.

Cztery bezcenne rumaki, spinające się, jakby miały zamiar zeskoczyć na ziemię, podobnie jak inne liczne weneckie zabytki zostały zrabowane z Konstantynopola podczas jednej z krucjat. Kolejny łup można było zobaczyć nieco niżej, w południowo-zachodnim narożniku świątyni – mowa o wykutej z purpurowego porfiru rzeźbie znanej jako *Grupa tetrarchów*. Dzieło to znane jest z tego, że jednej z postaci brakuje stopy, którą odłupano podczas plądrowania Konstantynopola w trzynastym stuleciu. Dziwnym zbiegiem okoliczności w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku odnaleziono ją podczas wykopalisk prowadzonych w Stambule. Władze Wenecji natychmiast poprosiły o jej wydanie, na co Turcy odpowiedzieli zwięźle: „Ukradliście rzeźbę, ale stopa jest nasza".

– *Mister*, kupisz? – Kobiecy głos przywołał Langdona do rzeczywistości.

Otyła Cyganka wyciągała w jego kierunku długi drąg, na którym powiesiła kolekcję weneckich masek. Większość była biała i przesłaniała całą twarz, a wykonano je w popularnym stylu

volto intero od lat docenianym przez kobiety w trakcie karnawału. Jednakże Robert wypatrzył w zestawie także wesołe maski zakrywające tylko oczy, zwane *colombina*, oraz kilka ostrobrodych *bauta*, i pozbawionych jakichkolwiek wiązań *moretta*. Ale nie te kolorowe cudeńka zwróciły jego uwagę, tylko szara niepozorna maska wisząca na samym szczycie drąga. Jej złowieszcze, martwe oczy gapiły się na niego znad przypominającego dziób długiego nosa.

Ptasia maska...

Robert odwrócił wzrok, nie chciał bowiem, by na każdym kroku mu przypominano, po co przybył do Wenecji.

– Kupisz? – powtórzyła Cyganka.

Uśmiechnął się do niej blado, po czym pokręcił głową.

– *Sono molto bene, ma no, grazie*.

Gdy Cyganka odchodziła, nie mógł oderwać wzroku od złowieszczej ptasiej maski, która podskakiwała nad głowami przechodniów przy każdym jej kroku. Westchnął głośno i znów spojrzał na cztery rumaki znajdujące się na balkonie drugiej kondygnacji.

I nagle doznał olśnienia.

Poczuł, jak wszystkie elementy układanki trafiają na swoje miejsca. *Konie świętego Marka*, weneckie maski i zrabowane skarby Konstantynopola.

– Mój Boże – wyszeptał. – To jest to!

Rozdział 72

Robert Langdon zamarł.

Konie świętego Marka!

Te cztery wspaniałe wierzchowce – z ich wspaniałymi karkami i uprzążką – przypomniały mu zupełnie niespodziewanie o wydarzeniu, które mogło być wyjaśnieniem kolejnej części tekstu z maski.

Langdon był kiedyś gościem na weselu, które odbywało się na terenie historycznej farmy Runnymede w stanie New Hampshire, skąd pochodził Dancer's Image, jedyny zdyskwalifikowany zwycięzca derbów Kentucky. Jednym z punktów programu, zorganizowanego dla rozrywki zaproszonych gości, był występ zespołu pod nazwą Za Maską – dał on oszałamiający pokaz woltyżerki w wykonaniu osób ubranych w przepiękne weneckie stroje. Każdy z jeźdźców krył twarz za maską *volto intero*. Idealnie czarne fryzyjskie wierzchowce były największymi końmi, jakie Robert kiedykolwiek widział. Majestatyczne olbrzymy przemykały po łące, epatując widownię węzłami poruszających się pod skórą mięśni, upierzonymi szczotkami pęcinowymi kopytami

i długimi na metr grzywami, które powiewały nad ich smukłymi, pełnymi gracji karkami.

Piękno tych zwierząt ujęło Roberta do tego stopnia, że po powrocie do domu natychmiast zaczął przeszukiwać Internet, by dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Wkrótce odkrył, że rasę tę upodobali sobie średniowieczni władcy, ponieważ idealnie nadawała się na pole bitwy, jednakże ostatnimi czasy stanęła ona na progu wymarcia. Konie te, wywodzące się z linii *Equus robustus*, zostały nazwane fryzyjskimi dla upamiętnienia ich ojczyzny, holenderskiej prowincji Fryzji, w której urodził się także znakomity grafik M. C. Escher.

Jak się też okazało, ich masywne sylwetki były natchnieniem dla twórcy rzeźb zdobiących bazylikę Świętego Marka. Jeśli wierzyć zasobom Internetu, były one tak piękne, że stały się „najczęściej kradzionym dziełem sztuki w historii".

Langdon zawsze słyszał, że ten wątpliwy zaszczyt należy do Ołtarza Gandawskiego, dlatego natychmiast odwiedził stronę internetową ARCA, by zweryfikować tę informację. Stowarzyszenie zajmowało się badaniem przestępstw wymierzonych w dzieła sztuki i choć nie udostępniało podobnych rankingów, to jednak dokumentowało historię posągów, które padły łupem grabieżców.

Cztery wierzchowce zostały odlane z brązu w czwartym stuleciu przez nieznanego greckiego rzeźbiarza z wyspy Chios, na której pozostawały, dopóki Teodozjusz II nie zagarnął ich, by zdobiły jego hipodrom. Potem, podczas czwartej krucjaty, gdy siły weneckie grabiły Konstantynopol, doża zażądał, by posągi zostały przewiezione drogą morską aż do jego stolicy, co wydawało się

niemożliwe do wykonania ze względu na ich wielkość i wagę. Udało się tego dokonać w roku tysiąc dwieście pięćdziesiątym czwartym i wtedy też zajęły miejsce nad wejściem do katedry Świętego Marka.

Napoleon podbił Wenecję ponad pięćset lat później, w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym siódmym roku, i natychmiast przywłaszczył sobie to zadziwiające dzieło sztuki. Konie zostały przewiezione do Paryża, aby zdobić Łuk Tryumfalny. Jednakże już w roku tysiąc osiemset piętnastym, po klęsce pod Waterloo i wygnaniu cesarza, konie zostały zwrócone Wenecji i znów stanęły na frontowym balkonie bazyliki Świętego Marka.

Mimo że Langdon uważał się za dobrze obeznanego z ich historią, na stronie ARCA znalazł zdanie, które go szczerze zdziwiło.

Ozdobna uprzążka została dodana przez Wenecjan w tysiąc dwieście czwartym roku, by przesłonić miejsca, w których odpiłowano łby celem przewiezienia rzeźb z Konstantynopola do Wenecji.

Doża nakazał odciąć łby koniom z bazyliki Świętego Marka?!

Langdon nie mógł w to uwierzyć.

– Robert?! – usłyszał głos Sienny.

Wyrwany z zamyślenia odwrócił się i zobaczył wyłaniającą się z tłumu lekarkę. Ferris szedł tuż za nią.

– Konie! – zawołał podekscytowany. – Rozgryzłem je!

– Co takiego? – zdziwiła się Sienna.

– Szukamy zdradzieckiego doży, który kazał poodejmować koniom łby...

– Owszem.

– W tekście nie chodzi o żywe zwierzęta – Langdon wskazał na balkon bazyliki, gdzie stały cztery lśniące w słońcu posągi – lecz o te rzeźby!

Rozdział 73

Przebywającej na jachcie doktor Elizabeth Sinskey trzęsły się ręce. Oglądała właśnie nagranie w kajucie Zarządcy i choć w swoim długim życiu napatrzyła się na wiele okropieństw, pośmiertna wiadomość Zobrista przeraziła ją do granic.

Na ekranie widać było chybotliwy cień postaci z długim nosem, rzucany na ociekającą wodą ścianę podziemnej groty. Człowiek ten przemawiał, z dumą opisując swoje dzieło – nazwane przez niego *Inferno* – które miało ocalić ludzkość, drastycznie zmniejszając jej liczebność.

Boże, miej nas w swojej opiece, pomyślała Sinskey.

– Musimy – zaczęła drżącym głosem. – Musimy znaleźć to miejsce. Być może jeszcze nie jest za późno...

– Proszę oglądać dalej – zachęcił ją Zarządca. – Zaraz zrobi się jeszcze dziwniej.

W tej samej chwili cień zrobił się o wiele większy, a potem niespodziewanie w kadrze ukazał się rzucający go mężczyzna.

A niech mnie!...

Sinskey patrzyła na kompletny kostium lekarza z czasów plagi – czarną opończę i ptasią maskę. Mężczyzna kroczył w stronę

kamery, wkrótce jego maska zajęła cały ekran, co wyglądało naprawdę przerażająco.

– Najmroczniejsze czeluście piekieł – wyszeptał – zarezerwowane są dla tych, którzy zdecydowali się na neutralność w dobie kryzysu moralnego.

Sinskey poczuła gęsią skórkę na karku. Tak samo brzmiała wiadomość, którą Zobrist zostawił jej rok temu w Nowym Jorku na stanowisku linii lotniczych, gdy odmówiła współpracy z nim.

– Wiem – kontynuował tymczasem przebrany mężczyzna – że jedni nazwą mnie potworem... – zamilkł, a Elizabeth poczuła, że następne słowa skieruje prosto do niej. – Wiem, że inni uważają mnie za bezduszną bestię kryjącą się za maską... – znów zamilkł, by podejść jeszcze bliżej kamery. – Ale ja mam twarz. I serce.

Mówiąc to, zdjął maskę i ściągnął kaptur z głowy, aby wszyscy mogli zobaczyć jego oblicze. Sinskey zesztywniała, spoglądając w znajome zielone oczy, te same, które widziała w mrocznej sali Rady Spraw Zagranicznych. Było w nich tyle samo pasji i ognia co wtedy, jednakże teraz dostrzegła też coś jeszcze – głęboką żarliwość szaleństwa.

– Nazywam się Bertrand Zobrist – powiedział, spoglądając prosto w obiektyw kamery – a to jest moja twarz. Pokazuję ją, abyście wszyscy mnie ujrzeli. A co do mojej duszy... Gdybym mógł unieść me płonące serce, tak jak uczynił Dante dla ukochanej Beatrycze, zobaczylibyście, że ono także jest przepełnione miłością. Najgłębszą miłością. Kocham was wszystkich. Ale jedną osobę umiłowałem bardziej od innych.

Podszedł bliżej, zajrzał w obiektyw i przemówił łagodnym tonem:

– Kochanie moje... Skarbie mój jedyny... Tyś moim błogosławieństwem, niszczycielem wad, wsparciem cnót wszelakich, moim wybawieniem. Nago u mego boku, nieświadomie... Dzięki tobie pokonałem otchłań, zyskałem siłę potrzebną do dokończenia mego dzieła... – Sinskey słuchała tej przemowy z obrzydzeniem. – Kochanie moje – kontynuował Zobrist scenicznym szeptem, który niósł się po całej jaskini. – Tyś moją inspiracją i moim przewodnikiem, moim Wergiliuszem i moją Beatrycze w jednej osobie, dlatego moje dzieło należy również do ciebie. Nawet jeśli nie dane nam będzie kolejne spotkanie, umrę szczęśliwy, wiedząc, że zostawiam świat w godnych rękach. Moje zadanie, tu w czeluściach, dobiegło końca. Nadszedł czas, bym powrócił do świata na powierzchni... i znów spojrzał w gwiazdy.

Zobrist zamilkł, lecz jego ostatnie słowo wciąż odbijało się echem od ścian jaskini. Chwilę później miliarder wyciągnął ostrożnie dłoń i wyłączył kamerę.

Ekran poczerniał.

– To miejsce pod ziemią... – zagaił Zarządca. – Zna je pani?

Sinskey pokręciła głową.

Nigdy nie widziałam czegoś podobnego...

Pomyślała o Robercie Langdonie, zastanawiając się, czy zdołał już rozszyfrować wskazówki pozostawione przez Zobrista.

– Jeśli to może pomóc – dodał Zarządca – sądzę, że wiem, kim był kochanek Zobrista... – przerwał na moment. – Człowiek ten używa kryptonimu FS-2080.

Sinskey podskoczyła.

– FS-2080? – powtórzyła z niedowierzaniem.

Zarządcę zdumiała jej reakcja.

– Czy to pani coś mówi?

Skinęła głową.

– Owszem, i to sporo.

Serce waliło jej jak oszalałe.

FS-2080!

Chociaż nie znała tożsamości tej osoby, wiedziała, skąd się wziął taki a nie inny kryptonim. Światowa Organizacja Zdrowia od lat śledziła ludzi nazywających samych siebie w podobny sposób.

– Transhumaniści – rzuciła po chwili milczenia. – Słyszał pan o nich?

Zarządca pokręcił głową.

– Mówiąc w skrócie – wyjaśniła Sinskey – transhumanizm jest filozofią głoszącą, że ludzkość powinna wykorzystywać wszystkie dostępne technologie do samodoskonalenia. Niech przeżyje najsprawniejszy. – Zarządca wzruszył ramionami, jakby było mu to obojętne. – Ogólnie biorąc – dodała – ruch transhumanistyczny składa się z wybitnych jednostek... naukowców, futurystów, wizjonerów... ale jak w każdej tego typu społeczności, i tu można znaleźć niewielką skrajną frakcję, która uważa, że działalność organizacji nie jest tak zdecydowana, jak być powinna. Zaliczają się do niej wyznawcy apokaliptycznych teorii wierzący, że zagłada zbliża się milowymi krokami i ktoś musi podjąć radykalne działania, aby dać ludzkości szansę na przetrwanie.

– Domyślam się – wtrącił Zarządca – że Bertrand Zobrist był takim radykałem.

– Zgadza się – odparła Sinskey. – Co więcej, był przywódcą całego ruchu. Jako człowiek niezwykle inteligentny, ale i charyzmatyczny potrafił pisać o zagładzie w sposób, który przemawiał nie tylko do zagorzałych zwolenników transhumanizmu. Członkowie tego ruchu używają kryptonimów zbudowanych według łatwego do zapamiętania wzorca: są to zawsze dwie litery i cztery cyfry. Na przykład DG-2064, BA-2105 czy ten, który pan wymienił.

– FS-2080.

– To bez wątpienia kryptonim któregoś z transhumanistów – potaknęła Sinskey.

– Czy te litery i cyfry mają jakieś rzeczywiste znaczenie?

Sinskey wskazała głową na komputer.

– Proszę włączyć wyszukiwarkę. Pokażę panu.

Zarządca spełnił jej prośbę, choć bez większego entuzjazmu.

– Proszę poszukać frazy FM-2030 – podpowiedziała Sinskey, stając za jego plecami.

Zrobił, co chciała, i otrzymał tysiąc wyników.

– Proszę kliknąć na którykolwiek.

Wybrał pierwsze trafienie, które przerzuciło go na stronę Wikipedii przedstawiającą zdjęcie przystojnego Irańczyka, Fereidouna M. Esfandiary'ego – zdaniem autorów wybitnego pisarza, filozofa, futurysty, a także transhumanisty. Urodzonemu w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku wizjonerowi przypisuje się rozpowszechnienie podstaw transhumanizmu oraz co ciekawe, przewidzenie zapłodnienia in vitro, inżynierii genetycznej i globalizacji.

Jeśli wierzyć Wikipedii, Esfandiary twierdził, że dzięki nowym technologiom dożyje setki, co w wypadku ludzi z jego pokolenia jest rzadkością. Aby okazać wiarę w przyszłość nauki, zmienił nazwisko na FM-2030, tworząc kryptonim z inicjałów swoich imion i roku, w którym obchodziłby setne urodziny. Chociaż nie osiągnie sędziwego wieku, jako że zmarł na raka trzustki, dokonał jednego: transhumaniści w hołdzie zaczęli stosować kryptonimy tworzone według tej samej zasady.

Gdy Zarządca skończył czytać, natychmiast zerwał się z fotela i podszedł do okna, gdzie stał przez dłuższą chwilę, gapiąc się bezmyślnie na morze.

– Zatem – wyszeptał w końcu, jakby myślał na głos – kochanek Bertranda Zobrista, czyli FS-2080, jest jednym z tych... transhumanistów.

– To nie ulega wątpliwości – przyznała Sinskey. – Niestety nie wiem, kto to może być ...

– Właśnie dlatego panią zaprosiłem – przerwał jej Zarządca. – Ja to wiem. I to bardzo dobrze.

Rozdział 74

Tu nawet powietrze wydaje się mieć posmak złota, pomyślał Robert Langdon.

Zwiedził wiele katedr, jednakże atmosferę panującą w Chiesa d'Oro zawsze uważał za wyjątkową. Od stuleci pokutowało przekonanie, że już samo odetchnięcie powietrzem wypełniającym świątynię czyni człowieka bogatszym. I to nie tylko w sensie metaforycznym, ale i jak najbardziej dosłownym.

Wnętrze kościoła wyłożono kilkoma milionami płatków zatopionych w szkle, przez co część drobinek kurzu odbijała złoty blask. I to właśnie ta zawiesina, w połączeniu z kaskadami promieni słonecznych wpadających do świątyni przez wielkie okna w zachodniej ścianie, nadawała bazylice Świętego Marka tę niezwykłą atmosferę, która pozwalała wiernym na osiągnięcie duchowego bogactwa.

Chylące się ku zachodowi słońce rozświetlało powietrze nad głową Langdona z taką intensywnością, że wydawać się mogło, iż pod sklepieniem zawisła markiza z połyskującego jedwabiu. Robert nie zdołał się powstrzymać i zrobił głęboki wdech. Sienna i Ferris również.

– W którą stronę pójdziemy? – wyszeptała lekarka.

Langdon wskazał na schody biegnące w górę. Część muzealna świątyni mieściła się na piętrze, gdzie można było zapoznać się bliżej z historią *Koni świętego Marka*. To powinno im pomóc w odkryciu tożsamości tajemniczego doży, który kazał poobcinać rzeźbom głowy.

Wchodząc na górę, Robert ponownie usłyszał ciężkie dyszenie Ferrisa. Gdy się obejrzał, Sienna zdołała w końcu nawiązać z nim kontakt wzrokowy, o co starała się od kilku minut. Zaniepokojonym spojrzeniem wskazała na towarzyszącego im mężczyznę, a potem poruszyła ustami, jakby coś mówiła. Robert nie zrozumiał ani słowa, a zanim zdążył zapytać, o co jej chodzi, Ferris obejrzał się niespodziewanie i zobaczył, że lekarka patrzy na niego.

– Wszystko w porządku, doktorze? – zapytała tonem niewiniątka.

Skinął głową i przyśpieszył kroku.

Utalentowana z niej aktorka, pomyślał Langdon. Tylko co chciała mi powiedzieć?...

Z piętra mieli widok na całą bazylikę. Sanktuarium zbudowano na planie greckiego krzyża, bardziej kwadratowym niż klasyczny plan Bazyliki Świętego Piotra czy katedry Notre Dame. Dzięki mniejszej odległości dzielącej kruchtę od ołtarza tutejsza świątynia wydaje się solidniejsza, a przy tym dostępniejsza dla wiernych.

Nie nazbyt dostępna jednak. Ołtarz umieszczono za kolumnadą zwieńczoną krucyfiksem. Jego szczyt zdobi eleganckie cyborium, za którym znajduje się jeden z najcenniejszych zabytków świata –

słynny *Pala d'Oro* – Złoty Ołtarz. Jest to wielki płat pozłacanego srebra z masą pomniejszych dzieł oprawionych we wspólną gotycką ramę. *Pala d'Oro*, cud sztuki rzemieślniczej ozdobiony tysiąc trzystoma perłami, czterystoma granatami, trzystoma szafirami, a także szmaragdami, ametystami i rubinami, uważany jest powszechnie, obok wspomnianych już *Koni świętego Marka*, za najcenniejszy skarb Wenecji.

Potocznie bazyliką określa się każdy kościół w stylu bizantyjskim wybudowany w Europie Zachodniej. Bazylika Świętego Marka, wzorowana na justyniańskiej bazylice Świętych Apostołów z Konstantynopola, jest tak klasycznie wschodnią budowlą, że zdaniem wielu przewodników można ją porównać do tureckich meczetów, z których wiele było bizantyjskimi katedrami, zanim muzułmanie przerobili je na własne świątynie.

I chociaż Langdon nigdy nie uznałby tego kościoła za substytut najpiękniejszych meczetów Turcji, musiał przyznać, iż wizyta w sekretnych komnatach znajdujących się za prawą nawą powinna zadowolić najwybredniejszego miłośnika sztuki Bizancjum. Umieszczono tam bowiem tak zwany Skarb Świętego Marka, czyli kolekcję dwustu osiemdziesięciu trzech cennych ikon, klejnotów i kielichów zdobytych podczas łupienia Konstantynopola.

Langdon cieszył się, że tego popołudnia w bazylice jest w miarę spokojnie. Wprawdzie po nawach kręciły się spore grupki turystów, lecz swoboda ruchu była niezakłócona. Mijając kolejne wycieczki, Robert doprowadził Siennę i Ferrisa do okna po zachodniej stronie, gdzie zwiedzający mogli wyjść na balkon, by przyjrzeć się koniom. Chociaż Langdon był pewien, że uda mu się

rozwiązać zagadkę tożsamości doży, wciąż nie wiedział, jak mieliby go znaleźć. Czy autorowi tekstu z maski chodziło o grób doży? Czy może raczej o jego posąg?

Tak czy owak przyda nam się fachowa pomoc... jakkolwiek liczyć, na terenie świątyni, w kryptach i zapomnianych miejscach pochówku umiejscowionych w północnej nawie, znajdują się setki rzeźb i sarkofagów.

Langdon dostrzegł w pobliżu młodą przewodniczkę, która oprowadzała właśnie wycieczkę, i natychmiast przerwał jej wywód, by zadać uprzejme pytanie.

– Przepraszam – powiedział – czy Ettore Vio pracuje dzisiaj na popołudniową zmianę?

– Ettore Vio? – Kobieta spojrzała na niego dziwnie. – *Si, certo, ma...* – przerwała, a oczy jej pojaśniały. – *Lei è Robert Langdon, vero?!* – Pan Robert Langdon, nieprawdaż?!

Uśmiechnął się.

– *Sì, sono io*. Czy mogę porozmawiać z Ettorem?

– *Sì, sì!* – Przewodniczka poprosiła turystów, aby poczekali chwilę, i oddaliła się szybkim krokiem.

Langdon wystąpił kiedyś z kuratorem muzeum, człowiekiem nazwiskiem Ettore Vio, w krótkim filmie dokumentalnym o bazylice i od tamtej pory utrzymywał z nim kontakt.

– Ettore napisał książkę o bazylice – wyjaśnił Siennie. – A nawet kilka.

Lekarka wciąż zerkała nerwowo na Ferrisa, który trzymał się blisko niej, gdy Langdon prowadził całą trójkę w kierunku zachodniego okna, skąd można było obejrzeć rzeźby koni. Kiedy stanęli przy szybie, dostrzegli na tle zachodzącego słońca

masywne zady. Przechadzający się po balkonie turyści podziwiali rumaki lub spoglądali na spektakularną panoramę placu Świętego Marka.

– Tam są! – zawołała uradowana Sienna, ruszając ku drzwiom prowadzącym na balkon.

– Niezupełnie – rzucił za nią Langdon. – Na fasadzie świątyni znajdują się kopie. Prawdziwe *Konie świętego Marka* trzymane są w muzeum, głównie ze względów bezpieczeństwa.

Poprowadził Siennę i Ferrisa korytarzem do oświetlonej wnęki, gdzie stały cztery identyczne wierzchowce, zdające się galopować prosto na nich zza łukowatego przejścia.

– Oto oryginały – wskazał z zachwytem na posągi.

Ilekroć przyglądał im się z bliska, nie mógł wyjść z podziwu, z jaką wiernością oddano sylwetki i muskulaturę. Zielonozłota patyna pokrywająca powierzchnię brązu podkreślała dodatkowo naturalność ich wyglądu. Idealny stan rzeźb – które tyle przeszły w ciągu kilkunastu stuleci swojej historii – uświadamiał Langdonowi, że ochrona dzieł sztuki ma wielkie znaczenie.

– Ta uprzążka... – Sienna wskazała na ozdobne pasy zdobiące końskie karki. – Wspominałeś, że zostały dodane później, żeby ukryć ślady pęknięcia...

Nawiązywała do informacji zamieszczonych na stronie internetowej ARCA, a dotyczących „odjęcia" łbów.

– Na to wygląda – rzucił, podchodząc do tabliczki informacyjnej ustawionej obok rzeźb. W tym samym momencie za ich plecami rozległ się przyjazny okrzyk.

– Roberto! Obrażasz mnie!

Langdon odwrócił się i zobaczył jowialnego siwowłosego mężczyznę w niebieskim garniturze, przepychającego się przez tłum turystów.

– Przyjeżdżasz do mojej Wenecji i nawet nie zadzwonisz?

Langdon uśmiechnął się, ściskając mu dłoń.

– Chciałem cię zaskoczyć, Ettore. Nieźle wyglądasz. Poznaj moich przyjaciół; to doktor Brooks, a to doktor Ferris.

Ettore przywitał się z obojgiem, a potem cofnął o krok, by zmierzyć wzrokiem Roberta.

– Podróżujesz z lekarzami? Coś nie tak z twoim zdrowiem? Co to za ubranie? Czyżbyś stawał się Włochem?

– Nic z tych rzeczy – zapewnił go Langdon. – Potrzebuję garści informacji o tych koniach.

Ettore wyglądał na zaintrygowanego.

– Zatem jest coś, czego znany profesor nie wie?

Robert roześmiał się.

– Szukam informacji na temat obcięcia łbów koniom z tych posągów podczas krucjaty.

Ettore Vio spojrzał na niego, jakby zapytał właśnie o stan hemoroidów angielskiej królowej.

– Na niebiosa, Roberto – wyszeptał. – Tu się o tym nawet nie wspomina. Jeśli chcesz obejrzeć obcięte głowy, mogę pokazać ci słynną *Carmagnolę* albo...

– Ettore, muszę wiedzieć, który wenecki doża kazał obciąć im łby.

– Nie ma szans – zaczął obronnym tonem Ettore. – Słyszałem plotki, ale zapewniam cię, że nie ma żadnego historycznego dowodu, by którykolwiek doża dopuścił się...

– Ettore, proszę – przerwał mu Langdon. – Powiedz chociaż, o którym doży mówią te plotki.

Kurator założył okulary, które dotąd miał zawieszone na szyi, i przez nie przyjrzał się Robertowi.

– Cóż, wieść niesie, że konie te zostały sprowadzone do Wenecji przez najsprytniejszego i najbardziej podstępnego z dożów.

– Najbardziej podstępnego?

– Tak. Tego, który wykiwał wszystkich podczas krucjaty. – Patrzył na Langdona wyczekująco. – Tego, który wziął państwowe pieniądze, by pożeglować do Egiptu... ale zmienił zamiary i uderzył na Konstantynopol.

To mi wygląda na zdradę, pomyślał Robert.

– Jak go zwali?

Ettore skrzywił się.

– Robercie, wydawało mi się, że studiowałeś historię świata.

– Owszem, studiowałem, ale świat jest wielki, a jego historia długa. Dlatego potrzebuję twojej pomocy.

– Dobrze, dam ci zatem ostatnią wskazówkę.

Langdon chciał zaprotestować, jednakże wyczuł, że byłoby to czystym marnowaniem czasu.

– Twój doża żył niemal sto lat – powiedział Ettore. – Co zakrawało na cud w jego czasach. Przesądni wiązali jego długowieczność z wcześniejszym bohaterskim czynem, jakim było ocalenie kości świętej Łucji z Konstantynopola i sprowadzenie ich ponownie do Wenecji. Święta Łucja straciła oczy...

– Wyłupił kości ślepca! – wykrzyknęła Sienna, spoglądając na Langdona, który pomyślał dokładnie o tym samym.

Ettore rzucił jej zdziwione spojrzenie.

– Można to tak ująć, jak sądzę.

Ferris pobladł nagle, jakby wciąż nie mógł dojść do siebie po długim spacerze i wspinaczce na piętro.

– Mógłbym jeszcze dodać, że wspomniany doża umiłował świętą Łucję, ponieważ sam był ślepcem. W wieku lat dziewięćdziesięciu wyszedł na plac Świętego Marka i nie widząc nic a nic, modlił się o krucjatę.

– Wiem, o kim mówisz – ucieszył się Langdon.

– Mam nadzieję – odparł Ettore z uśmiechem.

Dzięki fotograficznej pamięci Robert o wiele łatwiej przypominał sobie obrazy niż pozbawione kontekstu informacje. Teraz także olśnienie przyszło, gdy oczyma wyobraźni ujrzał konkretne dzieło, w tym wypadku słynną ilustrację Gustave'a Doré przedstawiającą pomarszczonego, ślepego dożę, który z uniesionymi ku niebu rękoma wzywa zgromadzone tłumy do wstąpienia w szeregi krzyżowców. Pamiętał też doskonale tytuł owego dzieła: „Dandolo przemawiający do krzyżowców".

– Enrico Dandolo – oświadczył Langdon. – Doża, który żył wiecznie.

– *Finalmente* – odetchnął Ettore. – A już się obawiałem, że stan twojego umysłu pogarsza się z wiekiem, przyjacielu.

– Mój umysł starzeje się, jak i reszta ciała. Czy pochowano go tutaj?

– Dandola? – Kurator pokręcił głową. – Nie, nie tutaj.

– Zatem gdzie? – zapytała Sienna. – W Pałacu Dożów?

Ettore Vio zdjął okulary i zamyślił się na moment.

– Dajcie mi chwilę. Tutaj jest tak wielu dożów, że nie sposób tego spamiętać...

Nie zdążył dokończyć, gdyż podbiegł do niego wystraszony przewodnik, odciągnął go na bok i zaczął mu coś szeptać do ucha. Ettore najpierw zesztywniał, a potem podszedł do balustrady, by spojrzeć w dół. Chwilę później odwrócił się do Langdona.

– Zaraz wracam! – zawołał i pobiegł za swoim podwładnym, nie mówiąc ani słowa więcej.

Zaskoczony Robert także wychylił się przez barierkę, by zerknąć na parter świątyni.

Co tam się dzieje?

Z początku nie dostrzegł niczego niezwykłego, turyści tłoczyli się w nawach jak przedtem, w końcu jednak zauważył, że wiele osób spogląda w tę samą stronę – w kierunku drzwi, przez które do kościoła wbiegali ubrani na czarno żołnierze. Moment później zablokowali wszystkie przejścia, nawet te w bocznych nawach.

Żołnierze w czerni. Langdon poczuł, że bezwiednie zaciska dłonie na poręczy.

– Robercie! – zawołała stojąca za jego plecami Sienna.

Nie spuszczał wzroku z żołnierzy.

Jak nas znaleźli?

– Robercie! – powtórzyła dobitniej lekarka. – Musisz mi pomóc!

Odwrócił się zaskoczony tą prośbą.

Dopiero po paru sekundach dostrzegł pozostałą dwójkę. Lekarka klęczała nad trzymającym się za serce Ferrisem, którego ciałem wstrząsały konwulsje.

Rozdział 75

– Chyba ma atak serca! – zawołała Sienna.

Kiedy Langdon do niej podbiegł, stwierdził, że Ferris dyszy ciężko, jakby całkiem nie mógł złapać tchu.

Co mu dolega?...

To wszystko wydarzyło się tak nagle. Na dole pojawili się żołnierze w czerni, a Ferris padł jak rażony piorunem. Robert stał sparaliżowany, nie wiedząc, co robić.

Sienna poluzowała Ferrisowi krawat i rozpięła kilka guzików koszuli, by mógł swobodniej oddychać. Ledwie jednak rozchyliła poły, odskoczyła, wrzeszcząc przy tym jak oparzona. Cofała się chwiejnie, zasłaniając usta dłonią, jednakże ani na moment nie oderwała wzroku od klatki piersiowej leżącego mężczyzny.

Langdon rozumiał dlaczego.

Skóra na piersi Ferrisa mocno pociemniała. Sina plama wielkości grejpfruta zakrywała okolice mostka. Ten człowiek wyglądał, jakby trafiła go kula armatnia.

– To krwotok wewnętrzny – oceniła Sienna, zerkając z lękiem na Langdona. – Nic dziwnego, że miał takie problemy z oddychaniem.

Ferris przekręcił głowę, jakby chciał coś powiedzieć, ale z jego ust wydobyło się tylko ciche rzężenie. Wokół zaczęli się już zbierać turyści; Langdon wyczuwał rodzący się chaos.

– Na dole są żołnierze – ostrzegł Siennę. – Nie mam pojęcia, jak nas znaleźli.

Strach i zaskoczenie malujące się na twarzy lekarki błyskawicznie ustąpiły gniewowi.

– Okłamałeś nas, draniu – syknęła, przenosząc wzrok na Ferrisa.

Ten znów próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie artykułowanego dźwięku. Sienna przeszukała szybko jego kieszenie, wyjęła komórkę i portfel, schowała je i ponownie zmierzyła mężczyznę oskarżycielskim spojrzeniem.

W tej samej chwili jakaś starsza Włoszka przepchnęła się przez tłum gapiów, drąc się na Siennę.

– *L'hai colpito al petto!* – Mówiąc, naciskała pięścią na własny mostek.

– Nie! – odwarknęła Sienna. – Reanimacja go zabije! Spójrz na jego klatkę piersiową! – Odwróciła się do Langdona. – Robercie, musimy uciekać! I to już!

Langdon spojrzał na Ferrisa, który wbijał w niego spojrzenie, jakby chciał mu coś przekazać.

– Nie możemy go tak zostawić! – zaprotestował.

– To nie atak serca – stwierdziła. – Zaufaj mi. Zmywajmy się stąd. Już!

Gdy gapie zbliżyli się do półprzytomnego Ferrisa, ktoś w końcu zaczął wołać o pomoc. Sienna chwyciła Roberta za przedramię z zaskakującą siłą i wyciągnęła go z tłumu na zewnętrzny balkon.

Wiszące nad zachodnią ścianą placu słońce świeciło Langdonowi prosto w oczy. Jasne promienie skąpały całą fasadę bazyliki w złotym blasku. Lekarka, nie czekając, aż Langdon odzyska wzrok, pociągnęła go na drugi koniec tarasu widokowego, skąd tłumy zwiedzających podziwiały plac Świętego Marka i słynną czwórkę koni.

Przesuwając się wzdłuż frontonu bazyliki, mieli przed sobą lagunę. Robert dostrzegł na jej wodach sylwetkę dziwacznego statku – był to ultranowoczesny jacht przypominający z wyglądu futurystyczny okręt wojenny.

Zanim zdążył się lepiej przyjrzeć, Sienna znów go szarpnęła, tym razem w lewo, ku południowo-zachodniemu narożnikowi świątyni i Papierowym Drzwiom – czyli aneksowi łączącemu bazylikę z Pałacem Dożów. Drzwi te zawdzięczały swoją nazwę dekretom, które wywieszali na nich dożowie.

Nie atak serca?

Langdon nie mógł pozbyć się sprzed oczu widoku straszliwego sińca zdobiącego pierś Ferrisa. Czuł też irracjonalną obawę przed wysłuchaniem diagnozy, jaką postawiłaby Sienna. W dodatku musiało wydarzyć się coś, co sprawiło, że lekarka przestała ufać ich nowemu towarzyszowi.

Czy właśnie dlatego wcześniej usiłowała mi coś przekazać?

Sienna zatrzymała się w pół kroku, by wyjrzeć za balustradę na widoczny w dole pusty narożnik placu.

– A niech to – mruknęła. – Jesteśmy wyżej, niż sądziłam.

Langdon spojrzał na nią z przerażeniem.

Miałaś zamiar skakać?!

Zerknął w kierunku ciężkich drzwi bazyliki wykonanych z kutego żelaza i szkła. Sądząc z liczby mijających je w obie strony turystów, były otwarte i najprawdopodobniej prowadziły z powrotem do muzeum.

– Z pewnością obstawili wszystkie wyjścia – uprzedziła go Sienna.

Langdon rozważył dostępne drogi ucieczki i zrozumiał, że tylko jedna z nich rokuje jakieś nadzieje.

– Chyba widziałem w środku coś, co rozwiąże ten problem.

Poprowadził Siennę do bazyliki, nie do końca wiedząc, co zrobi. Trzymając się jak najdalej od muzeum, kryli się w tłumie zwiedzających, z których większość spoglądała teraz w kierunku zamieszania, jakie wywołał leżący na podłodze Ferris. Langdon wypatrzył wkurzoną starszą Włoszkę, która wskazywała dwóm ubranym na czarno żołnierzom drzwi prowadzące na balkon, zapewne informując ich, dokąd udali się zbiegowie.

Musimy się śpieszyć, pomyślał Robert, omiatając wzrokiem pobliskie ściany, dopóki nie zobaczył tego, czego szukał.

Skrzynka wisząca tuż obok prezentowanych kobierców miała jaskrawożółtą barwę, nad nią zaś znajdowała się plakietka z czerwonym napisem: ALLARME ANTINCENDIO.

– Alarm przeciwpożarowy? – zdziwiła się Sienna. – Taki masz plan?

– Wymkniemy się razem z tłumem... – Niewiele myśląc, Langdon sięgnął do dźwigienki alarmu. Pociągnął za nią i patrzył, jak mechanizm miażdży szklany cylinderek.

Nie doczekał się jednak wycia syren ani rozpętanego przez nie pandemonium.

Wokół panowała cisza.

Pociągnął jeszcze raz.

Nadal nic.

Sienna patrzyła na niego jak na wariata.

– Robercie, znajdujemy się w świątyni pełnej ludzi. Naprawdę wierzyłeś, że ktoś zostawiałby czynny alarm przeciwpożarowy w miejscu, gdzie każdy głupek mógłby go włączyć dla żartu?

– To chyba oczywiste! Prawo w Stanach...

– Jesteś w Europie. Mamy tu mniej prawników. – Wskazała na coś nad ramieniem Langdona. – I w dodatku czas nam się kończy.

Zerknął na drzwi, którymi dostali się ponownie do muzeum, i zobaczył wbiegających żołnierzy. Natychmiast rozpoznał muskularnego agenta, który strzelał do niego i Sienny, gdy uciekali na motocyklu z florenckiego mieszkania lekarki.

Przyparci do muru, skorzystali ze spiralnej klatki schodowej, by dostać się na dolny poziom bazyliki. Jednakże zamiast uciekać dalej, zatrzymali się w cieniu u podnóża stopni.

Przy wszystkich wyjściach stali żołnierze przeczesujący wzrokiem całe pomieszczenie.

– Zauważą nas, jak tylko opuścimy tę niszę – mruknął Langdon.

– Schody prowadzą niżej – wyszeptała Sienna, wskazując na linkę rozpiętą między słupkami oraz wiszącą na niej tabliczkę z napisem: ACCESSO VIETATO, które postawiono przed kolejnym ciągiem stopni. Za nimi schody biegły jeszcze ciaśniejszą spiralą w kompletny mrok.

To zły pomysł, uznał Langdon w duchu. Trafimy do podziemnej krypty, z której nie będzie wyjścia.

Ale Sienna już przekroczyła linkę i pomknęła przed siebie, szybko znikając Langdonowi z oczu.

– Drzwi są otwarte – usłyszał po chwili jej szept.

Nie było w tym nic dziwnego. Krypta bazyliki Świętego Marka różniła się od podobnych przybytków w innych świątyniach tym, że spełniała rolę czynnej kapliczki, w której odprawiano regularne msze w obecności szczątków patrona.

– Chyba widzę źródło naturalnego światła – dodała lekarka.

Jak to możliwe? zdumiał się Robert, wracając pamięcią do poprzednich wizyt w podziemiach, i doszedł do wniosku, że Sienna musiała dostrzec blask elektrycznej lampki oświetlającej znajdujący się na samym środku krypty grób świętego Marka. Słysząc nad głową zbliżające się odgłosy kroków, zrozumiał, że nie ma czasu na zastanawianie. Przeszedł nad linką ostrożnie, uważając, aby jej nie dotknąć, i po omacku zaczął schodzić w mrok.

Sienna czekała na niego na samym dole. Za jej plecami tonęła w ciemnościach słynna krypta. Była to przeraźliwie niska komnata o sklepieniu wspartym licznymi filarami, tworzącymi łukowate przejścia w murze z cegieł.

Ciężar całej bazyliki spoczywa na tych filarach, pomyślał Langdon, czując początki ataku klaustrofobii.

– A nie mówiłam? – wyszeptała Sienna; jej śliczna twarz połyskiwała blado w słabej poświacie. Wskazała palcem na niewielkie szczeliny widoczne wysoko na ścianie.

Świetliki, uświadomił sobie Langdon, nie pojmując, jak mógł o nich zapomnieć.

Były to szczeliny zaprojektowane z myślą o dostarczaniu światła i świeżego powietrza – głębokie otwory prowadzące aż do powierzchni placu Świętego Marka. Zabezpieczające je okna wykonano ze szkła wzmocnionego kutą kratownicą składającą się z piętnastu zachodzących na siebie kręgów i chociaż Robert podejrzewał, że da się je otworzyć od wewnątrz, to jednak kominy były zbyt wąskie, by zmieścił się w nich człowiek. A gdyby nawet ktoś zdołał wejść, i tak nie opuściłby ponad trzymetrowej studni, ponieważ zamykała ją od góry gruba krata.

W blasku sączącym się z otworów w ścianie krypta bazyliki Świętego Marka przypominała ostępy rozświetlane promieniami księżyca. Gęste pnie filarów rzucały długie cienie na nierówną posadzkę. Langdon przeniósł wzrok na środek krypty i samotne światełko płonące nad grobem patrona tego miejsca. Święty spoczywał w kamiennym sarkofagu za ołtarzem, przed którym ustawiono kilka rzędów ławek dla wybrańców zaproszonych do uczestnictwa w mszach odprawianych w samym sercu weneckiego chrześcijaństwa.

Kątem oka Robert zauważył nowe źródło światła, które pojawiło się tuż obok jego twarzy. Gdy się odwrócił, zobaczył, że Sienna włączyła telefon Ferrisa.

– Wydawało mi się, że bateria była wyczerpana – stwierdził.

– Kłamał – odparła. – I to w wielu sprawach. – Spojrzała na wyświetlacz i pokręciła głową. – Brak zasięgu. Miałam nadzieję, że pomoże nam znaleźć grobowiec Enrica Dandola... – Podbiegła pod najbliższy świetlik i uniosła komórkę nad głowę, sprawdzając, czy tam złapie sygnał.

W zamieszaniu Langdon nie miał czasu skupić się na doży. Mimo obecnych kłopotów wizyta w bazylice Świętego Marka jednak przyniosła efekty – odkryli tożsamość zdradzieckiego doży, który kazał poucinać koniom łby... i wyłupić kości ślepca.

Niestety Langdon nie miał bladego pojęcia, gdzie może znajdować się jego grobowiec. Co gorsza, nie wiedział tego nawet Ettore. A znał przecież każdy centymetr bazyliki i prawdopodobnie także Pałacu Dożów. Skoro nie odpowiedział od razu na zadane mu pytanie, znaczyło to, że muszą szukać miejsca pochówku Dandola gdzie indziej.

Czyli gdzie?

Langdon zerknął na Siennę, która stała już na ławie przyciągniętej pod jeden ze świetlików. Lekarka odsunęła rygiel i otworzyła okienko, dzięki czemu mogła wsunąć telefon Ferrisa do szachtu.

Robert, słysząc gwar dobiegający z góry, zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest to jednak droga na zewnątrz. Za ławami dostrzegł rząd rozkładanych krzeseł, które można by wsunąć do otwartego komina.

Może zewnętrzne kraty także da się otworzyć od środka?...

Ruszył szybkim krokiem przez mrok w stronę Sienny. Zdołał pokonać zaledwie kilka metrów, zanim potężny cios w czoło posłał go w tył. Przyklęknąwszy, w pierwszej chwili pomyślał, że został uderzony. Szybko dotarło do niego jednak, że to nie atak, i zaraz sklął się w myślach za to, że nie przewidział, iż mierzący ponad metr osiemdziesiąt mężczyzna nie powinien biegać po tak niskim pomieszczeniu, które zbudowano z myślą o średnim wzroście ludzi żyjących niemal tysiąc lat wcześniej.

Pochyliwszy głowę, odczekał chwilę, aż gwiazdki znikną mu sprzed oczu, i wtedy dostrzegł napis zdobiący posadzkę.

Sanctus Marcus.

Przyglądał się tym literom przez dłuższą chwilę. To nie imię świętego go zdziwiło, lecz język, w jakim zostało spisane.

Łacina?

Po całym dniu spędzonym pośród rodowitych Włochów nie od razu pojął, dlaczego imię świętego Marka zapisano w martwym języku. Dopiero po chwili przyszło olśnienie, że tym właśnie językiem posługiwano się powszechnie w Imperium Rzymskim, które panowało na tych terenach za czasów świętego.

Wtedy zrozumiał coś jeszcze.

W początkach trzynastego stulecia, w czasach czwartej krucjaty, językiem możnych wciąż była łacina. Wenecki doża, który przywrócił chwałę upadłego imperium, przywracając mu władanie nad Konstantynopolem, nie mógł być pochowany jako Enrico Dandolo. Z pewnością użyto łacińskiego odpowiednika jego imienia.

Henricus Dandolo.

Nagle Langdon poczuł elektryzujący dreszcz na pewne wspomnienie. Mimo że doznał olśnienia, klęcząc w kaplicy, wiedział, że nie ma ono wiele wspólnego z boską interwencją. Chodziło raczej o proste skojarzenie. Z głębi jego pamięci wypłynął na wierzch obraz łacińskiej wersji nazwiska doży wykutego w podniszczonym bloku marmuru na zdobnej posadzce.

Henricus Dandolo.

Wstrzymał oddech, uzmysłowiwszy sobie, że to musiał być kamień nagrobny doży.

Byłem u jego grobu! Enrico Dandolo został pochowany w zdobnym muzejonie świętej wiedzy, tak jak zostało opisane na masce. Tylko że muzejonem tym nie była bazylika Świętego Marka.

Nabrawszy co do tego pewności, Robert podniósł się wolno na nogi.

– Nie mogę złapać zasięgu – poinformowała go Sienna.

– To nic – uspokoił ją w odpowiedzi. – Zdobny muzejon świętej wiedzy... – Zaczerpnął głęboko tchu. – My... myliłem się.

Sienna zbladła.

– Tylko mi nie mów, że jesteśmy w niewłaściwym muzeum.

– Kobieto – jęknął. – Jesteśmy w niewłaściwym kraju.

Rozdział 76

Cyganka sprzedająca maski na placu Świętego Marka oparła się o zewnętrzną ścianę bazyliki, by chwilkę odetchnąć. Jak zwykle zajęła swoje ulubione miejsce – niewielką niszę pomiędzy dwiema kratami osadzonymi w chodniku – skąd po odstawieniu ciężkiego towaru mogła się cieszyć widokiem zachodzącego słońca.

Wiele widziała w ciągu lat spędzonych na handlowaniu pod bazyliką, ale najdziwniejsza rzecz, jaką przyszło jej zobaczyć, nie wydarzyła się na placu... lecz pod nim. Zdziwiona hałasami dobiegającymi spod jej stóp zajrzała przez kratę do głębokiej na trzy metry studzienki. Okienko w dole było otwarte, a jeszcze niżej stało składane krzesło I to właśnie jego nogi zgrzytały przeraźliwie o kamienne płyty.

Ku zdziwieniu Cyganki za krzesłem pojawiła się ładna kobieta, uczesana w kucyka blondynka, którą ktoś podsadzał, jakby chciał sprawdzić, czy zmieści się do wąskiego otworu.

Blondynka wyprostowała się i spojrzała w górę. Na widok Cyganki zaglądającej do studzienki przyłożyła palec do ust, uśmiechnęła się blado, a potem rozłożyła krzesło i weszła na nie, próbując sięgnąć do kraty.

Za niska jesteś, pomyślała Cyganka. Ciekawe, co teraz zrobisz...

Blondynka zeszła z krzesła i zaczęła rozmawiać z kimś, kogo nie było widać. Chociaż w studzience brakowało miejsca, odsunęła się, przepuszczając wysokiego ciemnowłosego mężczyznę w szykownym garniturze, który także podciągnął się z piwnic bazyliki.

I on spojrzał w górę, nawiązując przez kratę kontakt wzrokowy z Cyganką, a moment później obrócił się niezdarnie, zajął miejsce blondynki i wszedł na rozchwierutane krzesełko. Był znacznie wyższy od swojej towarzyszki, dzięki czemu sięgnął do bolca ryglującego kratę od środka. Wspinając się na palce, chwycił kratę i pchnął ją. Żelastwo uniosło się na kilka centymetrów, po czym znów opadło.

– *Può darci una mano?* – poprosiła Cygankę blondynka. Pomoże nam pani?

Handlarka zastanawiała się nad odpowiedzią. Nie chciała mieszać się w podobne sprawy.

Co oni w ogóle wyprawiają?

Wtedy blondynka wyjęła z kieszeni męski portfel i pomachała banknotem o nominale stu euro. Na taki majątek sprzedawczyni masek musiała pracować całe trzy dni. Znając się jednak na targowaniu, natychmiast pokręciła głową i pokazała dwa palce. Blondynka wyjęła drugi banknot.

Nie wierząc w łaskawość losu, Cyganka skinęła niechętnie głową, a potem przykucnęła z obojętną miną i spoglądając mężczyźnie prosto w oczy, pomogła mu dźwignąć ciężar.

Gdy on popychał kratę, ona ją ciągnęła, a ręce miała silne od noszenia ciężkiego towaru. Tym razem przeszkoda uniosła się...

do połowy. Właśnie pomyślała, że wszystko pójdzie po ich myśli, kiedy z dołu dobiegł głośny trzask i mężczyzna zniknął, spadając na połamane krzesło.

Żelastwo stało się odczuwalnie cięższe, Cyganka omal je upuściła, jednakże obietnica nagrody pod postacią dwustu euro dodała jej sił. Podciągnęła kratę wyżej, a następnie z głośnym klangiem oparła o ścianę bazyliki.

Zdyszana zajrzała w głąb studni, gdzie zobaczyła poskręcane ciała i szczątki mebli. Gdy mężczyzna wstawał, otrzepując się z kurzu, wsunęła rękę do otworu.

Blondynka pokiwała głową, wyciągając w górę dłoń z banknotami. Cyganka nachyliła się jeszcze bardziej, lecz ich nie sięgnęła.

Daj pieniądze mężczyźnie!

Nagle na dole zapanowało zamieszanie. Z głębi bazyliki dobiegły gniewne wrzaski. Kobieta i mężczyzna odwrócili się bojaźliwie i odsunęli od okna.

Moment później rozpętał się chaos.

Mężczyzna przejął dowodzenie, schylił się i kazał blondynce stanąć na jego złączonych dłoniach. Zrobiła, jak kazał, i podciągnęła się do wnętrza szybu. Wspinała się, trzymając banknoty w zębach, aby mieć wolne ręce i pochwycić krawędź otworu. Mężczyzna podnosił ją coraz wyżej, dopóki jej dłonie nie wynurzyły się ze studni. Podciągnęła się, dysząc z wysiłku jak ktoś, kto wychodzi z basenu. Podała banknoty Cygance, po czym natychmiast się odwróciła i przyklęknąwszy obok kraty, wyciągnęła rękę w kierunku partnera.

Było jednak za późno.

Masywne ramiona w czarnych rękawach wsunęły się do szybu niczym macki głodnej bestii, chwyciły mężczyznę za nogi i ściągnęły w dół.

– Uciekaj, Sienna! – zawołał, próbując się oswobodzić. – Uciekaj!

Cyganka zauważyła jeszcze, że zdążyli sobie spojrzeć w pełne smutku oczy... i już było po wszystkim.

Mężczyzna został powleczony do podziemi bazyliki.

Blondynka spoglądała za nim w niemym przerażeniu, w oczach mając łzy.

– Przepraszam, Robercie – wyszeptała, a po chwili namysłu dodała jeszcze: – Za wszystko.

Moment później zagłębiła się w tłum; kucyk podskakiwał jej zabawnie, gdy pędziła alejką Merceria dell'Orologio, by zniknąć w sercu Wenecji.

Rozdział 77

Langdon przychodził do zmysłów powoli, słysząc w tle cichutkie kapanie wody. Wyczuwał sterylną woń środków odkażających zmieszanych ze słonym, morskim powietrzem. Czuł też, że to, na czym leży, kołysze się wolno.

Gdzie ja jestem?

Przed momentem, przynajmniej w swoim odczuciu, walczył jak lew z ludźmi, którzy ściągali go z powrotem w mrok krypty. Co ciekawe, nie czuł już pod plecami zimnego kamienia posadzki bazyliki Świętego Marka... Jeśli się nie mylił, złożono go na miękkim materacu.

Otworzył oczy, by przyjrzeć się otoczeniu – a było to niewielkie, bardzo czyste pomieszczenie z pojedynczymi drzwiami. Kołysanie nie ustawało.

Jestem na statku?

Ostatnie co pamiętał, to przyszpilający go do podłogi krypty żołnierz w czerni, który syczał mu gniewnie w ucho:

– Przestań się w końcu szarpać!

Langdon darł się jak szaleniec, mimo że przeciwnik próbował zatkać mu usta dłonią.

– Musimy go stąd zabrać – rzucił jeden z napastników. Jego partner skinął głową.

– Zrób to.

Langdon poczuł, jak czyjeś sprawne palce wyszukują tętnice na jego szyi. Gdy trafiły na odpowiednie miejsce, nacisk się nasilił. Wystarczyło parę sekund, by ofiara zaczęła widzieć jak przez mgłę, pogrążając się powoli w niebycie z powodu niedotlenienia mózgu.

Zabijają mnie, pomyślał Langdon. U grobu świętego Marka...

Otoczyła go ciemność, ale niekompletna... było to raczej morze szarości, w którym poruszały się jakieś niewyraźne kształty i zniekształcone dźwięki.

Nie miał bladego pojęcia, ile mogło upłynąć czasu, w każdym razie świat wokół wreszcie zaczął nabierać ostrości. Langdon zrozumiał, że trafił do okrętowego ambulatorium. Wyczuwszy w sterylnej atmosferze zapach alkoholu izopropylowego, pomyślał, że zatoczył pełny krąg od momentu, gdy zbudził się w obcym mu szpitalu, prawie nic nie pamiętając.

Teraz jednak od razu przypomniał sobie o Siennie. Ciekaw był, czy znalazła bezpieczne schronienie. Wciąż widział jej piwne oczy, tak pełne skruchy i strachu. Modlił się o to, by zdołała uciec i wydostać się z Wenecji.

Powiedział jej, że są nie w tym kraju co trzeba, jak tylko zdał sobie sprawę, gdzie widział kiedyś grób Enrica Dandola. Tajemniczy muzejon świętej wiedzy nie znajdował się w Wenecji, lecz na drugim końcu świata. Tekst z maski miał podwójne znaczenie, tak jak ostrzegał Dante: „z osłoniętej niezwykle mowy tajną myśl wyłania...”

Langdon chciał wyjaśnić wszystko lekarce natychmiast po opuszczeniu krypty, lecz nie dano mu szansy.

Sienna uciekła przekonana, że zawiodłem.

Poczuł lodowaty uścisk w żołądku.

Plaga wciąż nam grozi... daleko stąd.

Usłyszał głośny łomot na korytarzu, a gdy odwrócił głowę, zobaczył człowieka w czerni podchodzącego do jego koi. To był ten sam muskularny żołnierz, który przyszpilał go do podłogi krypty. Jego oczy były zimne jak stal. Langdon chciał cofnąć się instynktownie, lecz nie miał gdzie.

I tak mogą zrobić ze mną, co tylko zechcą...

– Gdzie jestem? – zapytał, starając się, aby jego głos zabrzmiał wyzywająco.

– Na pokładzie jachtu zakotwiczonego opodal Wenecji.

Robert zerknął na zielony emblemat zdobiący ramię munduru – była to kula ziemska, nad którą widać było litery: ECDC. Nigdy wcześniej nie widział takiego symbolu ani akronimu.

– Musi nam pan jak najszybciej udzielić wyjaśnień – odezwał się żołnierz.

– Dlaczego miałbym wam pomagać? – zdziwił się Langdon. – O mało mnie nie zabiliście.

– To nieprawda. Obezwładniono pana chwytem dżudo zwanym *shime waza*. Nikt nie chciał panu zrobić krzywdy.

– Rano strzelał pan do mnie! – przypomniał mu Robert, dobrze pamiętając klang kuli odbijającej się od błotnika motocykla Sienny. – Pocisk o włos minął podstawę mojego kręgosłupa.

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Gdybym chciał pana trafić w podstawę kręgosłupa, tobym trafił. Strzeliłem tylko raz, celując w tylną oponę, aby ją przebić i uniemożliwić wam ucieczkę. Wydano mi rozkaz dotarcia do pana i ustalenia, dlaczego zachowuje się pan w tak nieprzewidywalny sposób.

Zanim Langdon zdołał przetrawić te słowa, w ambulatorium pojawili się dwaj kolejni żołnierze w czerni.

Między nimi szła też kobieta.

Zjawa.

Eteryczna i nieziemska.

Langdon natychmiast rozpoznał jej twarz. Tak jak w halucynacjach miała długie siwe włosy i amulet z lazurytu na szyi. Ponieważ widział ją uprzednio na stosie wijących się ciał, potrzebował chwili, by upewnić się, że to nie kolejny omam.

– Profesorze Langdon – odezwała się, posyłając mu blady uśmiech, gdy stanęła przy koi. – Cieszy mnie, że nic się panu nie stało. – Usiadła, by zmierzyć mu puls. – Powiedziano mi, że cierpi pan na amnezję. Pamięta mnie pan?

Robert przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

– Widywałem panią w... wizjach, ale naszego spotkania nie pamiętam.

Kobieta pochyliła się nad nim i uśmiechnęła współczująco.

– Nazywam się Elizabeth Sinskey. Jestem dyrektorem Światowej Organizacji Zdrowia. Zwerbowałam pana, by pomógł mi pan znaleźć...

– Zarazę – przerwał jej Langdon. – Stworzoną przez Bertranda Zobrista.

Skinęła głową wyraźnie zadowolona.

– A zatem pamięta pan wszystko?

– Nie. Ocknąłem się w szpitalu z dziwacznym projektorem i halucynacjami, w których mówi mi pani: „Szukaj, a znajdziesz". Tym właśnie się zajmowałem, kiedy ci ludzie próbowali mnie zabić. – Wskazał głową na żołnierzy.

Muskularny facet zjeżył się; widać było, że chce coś powiedzieć, ale Elizabeth Sinskey uciszyła go jednym uniesieniem dłoni.

– Profesorze – odezwała się, zniżając głos. – Nie wątpię, że czuje się pan zagubiony i skołowany. Jako osoba odpowiedzialna za ściągniecie na pana tylu nieszczęść naprawdę się cieszę, że wyszedł pan cało z opresji.

– Cało? – odparł Langdon. – Zostałem uwięziony na jakimś statku!

Podobnie jak pani! dodał w myślach.

Siwowłosa kobieta uspokajająco skinęła głową.

– Obawiam się, że to, o czym zaraz panu opowiem, narobi jeszcze większego bałaganu w pańskiej głowie. Nie mam jednak wyboru, czas nas nagli, a wielu ludzi potrzebuje pańskiej pomocy... – Zawahała się, jakby nie wiedziała, od czego zacząć. – Przede wszystkim – podjęła – chciałabym, żeby przyjął pan do wiadomości, że agent Brüder i jego ludzie nie mieli zamiaru pana skrzywdzić. Nakazano im ponowne nawiązanie kontaktu z panem, i to bez względu na okoliczności.

– Ponowne? Ja nie...

– Profesorze, proszę dać mi dokończyć. Wszystko się wyjaśni, obiecuję.

Langdon opadł na ambulatoryjną koję, by z mętlikiem w głowie wysłuchać dalszych wyjaśnień doktor Sinskey.

– Agent Brüder i jego ludzie należą do zespołu Inwigilacji i Wsparcia Operacyjnego działającego pod auspicjami ECDC, czyli Europejskiego Centrum Zapobiegania i Kontroli Chorób.

Zapobieganie i kontrola chorób?... Langdon zerknął na zielony emblemat.

– Jego ludzie – kontynuowała Sinskey – specjalizują się w wykrywaniu i opanowywaniu masowych zagrożeń. Krótko mówiąc, to taki SWAT międzynarodowych służb medycznych. Pan był moją największą nadzieją na zlokalizowanie zarazy stworzonej przez Zobrista, dlatego gdy wszelki słuch o panu zaginął, zwróciłam się do IWO z prośbą o zlokalizowanie pańskiego miejsca pobytu... To ja wezwałam Brüdera do Florencji, by wraz ze swymi ludźmi wsparł nasze działania.

Langdon nie krył zaskoczenia.

– Ci żołnierze pracują dla pani?

Skinęła głową.

– Są oddelegowani z ECDC. Minionej nocy, gdy nagle straciliśmy kontakt, wystraszyłam się, że spotkało pana coś złego. Dopiero rano, kiedy jeden z naszych techników zauważył, że ktoś sprawdzał skrzynkę mailową na Harvardzie, dowiedzieliśmy się, iż pan żyje. Wtedy uznaliśmy, że jedynym wytłumaczeniem pańskiego milczenia może być przejście na drugą stronę... Podejrzewaliśmy, że ktoś inny sporo zapłacił, by znalazł pan zarazę dla niego.

– Pani mnie obraża! – żachnął się Langdon.

– Wiem, że to nieprawdopodobny scenariusz... Tylko że wtedy nie widzieliśmy innego logicznego wytłumaczenia, a zważywszy na wysokość stawki, nie mogliśmy sobie pozwolić nawet na cień

ryzyka. Nikomu nie przyszło do głowy, że może pan cierpieć na amnezję. Gdy nasz technik zauważył niespodziewaną aktywność na pańskim koncie pocztowym, namierzyliśmy IP komputera, potem adres, pod którym się znajdował, i wkroczyliśmy do akcji. Ale pan uciekł z jakąś kobietą, co umocniło nas w przekonaniu, że pracuje pan dla kogoś innego.

– Przejechaliśmy obok pani! – żołądkował się Robert. – Widziałem panią na tylnym siedzeniu czarnej furgonetki, pod pieczą tych żołnierzy. Sądziłem, że panią złapali. Była pani oszołomiona, jakby panią znarkotyzowano.

– Widział nas pan? – Doktor Sinskey wyglądała na zaskoczoną. – Hm, ma pan rację... naszpikowano mnie lekami... – Zamilkła na moment. – Ale wyłącznie dlatego, że wydałam takie polecenie.

Langdon pogubił się do reszty.

Kazała im się oszołomić?

– Zapewne pan tego nie pamięta – dodała Sinskey – ale po tym, jak nasz samolot wylądował we Florencji, doszło do nagłej zmiany ciśnienia i doznałam... nie pierwszy raz zresztą... czegoś, co my, lekarze, nazywamy łagodnymi napadowymi zawrotami głowy. Ataki te nie trwają nigdy długo i nie są poważne, lecz człowiekowi kręci się w głowie i zbiera na nudności. Zazwyczaj po prostu kładę się do łóżka, aby przeczekać najgorsze, ale w tej sytuacji musiałam radzić sobie inaczej: zaczęłam przyjmować co godzinę metoklopramid, dzięki czemu nie wymiotowałam bez przerwy. Choć lek ten niestety powoduje senność, byłam w stanie kierować operacją z tylnego siedzenia furgonetki. Zespół IWO chciał mnie odwieźć do szpitala, ale zabroniłam im odstawiania mnie na

boczny tor, dopóki nie dotrzemy do pana. Na szczęście zawroty głowy minęły, gdy leciałam do Wenecji.

Langdon opadł ciężko na koję.

Cały dzień uciekałem przed ludźmi ze Światowej Organizacji Zdrowia, czyli przed tymi, którzy mnie zwerbowali.

– Czy może się pan skupić, profesorze? – poprosiła Sinskey, poważniejąc w jednej chwili. – Wie pan, gdzie Zobrist ukrył zarazę? – spoglądała na niego wyczekująco. – Nie zostało nam wiele czasu...

Daleko stąd, chciał powiedzieć, lecz coś go przed tym powstrzymywało. Zerknął w stronę Brüdera, który najpierw strzelał do niego, a całkiem niedawno omal nie udusił. Sytuacja zmieniała się w takim tempie, że nie wiedział już, komu może zaufać.

Sinskey pochyliła się jeszcze bardziej.

– Odnieśliśmy wrażenie, że ukrył ją tutaj, na terenie Wenecji. Czy może to pan potwierdzić? Proszę mi powiedzieć, a natychmiast wyślę tam naszych ludzi.

Langdon nadal się wahał.

– Sir! – warknął muskularny żołnierz. – Widzę, że pan coś wie... Proszę nam powiedzieć, gdzie jest zaraza! Nie rozumie pan, o co tutaj chodzi?

– Agencie Brüder! – Sinskey odwróciła się błyskawicznie. – Dość tego! – rzuciła zagniewanym tonem, po czym znów spojrzała na Roberta i już spokojniej dodała: – Zważywszy na to, co pan ostatnio przeszedł, nie dziwię się, że nie wie pan, komu zaufać... – Umilkła, wpatrując mu się głęboko w oczy. – Jednakże czas nagli i muszę poprosić o to, aby okazał nam pan zaufanie.

– Czy on może wstać? – To pytanie zadał ktoś nowy.

W drzwiach pojawił się niski, dobrze ubrany i mocno opalony mężczyzna. Wpatrywał się w Langdona z wyuczonym spokojem, ale w jego oczach czaiło się zagrożenie.

Sinskey poprosiła Roberta, by wstał.

– Profesorze, to człowiek, z którym wolałabym nie współpracować, lecz niestety nie mam wyboru.

Langdon opuścił nogi za krawędź koi i podniósł się. Potrzebował chwili, by odzyskać pełną równowagę.

– Chodźmy – odezwał się nowo przybyły, wskazując na drzwi. – Chcę panu coś pokazać.

Langdon nie ruszył się z miejsca.

– Kim pan jest?

Mężczyzna zatrzymał się i spojrzał na niego, stykając palce opuszkami.

– Mniejsza o nazwiska. Może mnie pan nazywać Zarządcą. Kieruję organizacją, która... przykro mi to powiedzieć... popełniła błąd i pomogła Zobristowi w osiągnięciu celu. Teraz staramy się naprawić tę pomyłkę, zanim będzie za późno.

– Co chce mi pan pokazać? – zapytał Robert.

Mężczyzna przyszpilił go spojrzeniem.

– Coś, co przekona pana ostatecznie, że działamy po tej samej stronie.

Rozdział 78

Langdon podążał za opalonym mężczyzną, pokonując labirynt klaustrofobicznych korytarzy. Za nim szła doktor Sinskey, a pochód zamykał rządek żołnierzy z ECDC. Gdy dotarli do zejściówki, Robert pomyślał, że zaraz wespną się na oświetlony słońcem pokład, jednakże właściciel jachtu poprowadził ich w dół.

Głęboko w trzewiach statku trafili na rzędy odizolowanych od siebie szklanych boksów – niektóre miały przezroczyste ściany, inne były matowe. W każdym z tych dźwiękoszczelnych pomieszczeń siedział człowiek piszący coś na klawiaturze komputera albo rozmawiający przez telefon. Ci, którzy podnosili wzrok, wyglądali na zaskoczonych, a nawet przestraszonych widokiem obcych ludzi szwendających się po tej części jachtu. Opalony mężczyzna kiwał im tylko uspokajająco głową, nie zwalniając nawet kroku.

Co to za miejsce? zastanawiał się Langdon, gdy mijali kolejne rzędy ściśniętych boksów.

W końcu gospodarz doprowadził ich do sporej sali konferencyjnej. Gdy usiedli, nacisnął jakiś klawisz i wszystkie szklane ściany momentalnie zmatowiały. Drzwi, wydawszy cichy

syk, zamknęły się szczelnie, odcinając ich od świata zewnętrznego. Langdon oniemiał, nigdy wcześniej nie zetknął się z czymś takim.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – zapytał.

– Na Mendacium, jak nazywa się mój statek.

– Mendacium? – zdziwił się Robert. – To od łacińskiego określenia Pseudologosa, greckiego boga i personifikacji kłamstwa?

Gospodarz nie krył podziwu.

– Niewiele osób o tym wie.

Niezbyt godna nazwa, pomyślał Langdon.

Mendacium było mrocznym bóstwem, które panowało nad wszystkimi *pseudologoi* – demonami specjalizującymi się w poświadczaniu nieprawdy, kłamstwach i pomówieniach.

Człowiek zwany Zarządcą wyjął czerwony flashpen i wsunął go w gniazdo jednego z urządzeń stojących pod tylną ścianą sali. Wielki monitor LCD zamigotał, a światła w suficie przygasły.

W napiętej ciszy Langdon usłyszał szmer kapiącej wody.

Początkowo sądził, że dźwięk ten dobiega gdzieś z zewnątrz, jednakże zaraz zdał sobie sprawę, iż ma do czynienia z nagraniem. Na ekranie powoli materializował się obraz – ociekająca wodą ściana jaskini podświetlona czerwonawym blaskiem.

– To nagranie zrobione przez Bertranda Zobrista – wyjaśnił gospodarz. – Prosił, bym rozpowszechnił je jutro rano.

Langdon przyglądał się temu dziwnemu, amatorskiemu nagraniu z niemym niedowierzaniem...

Wielka jaskinia z laguną... w której kamera nurkuje... by pokazać przytwierdzoną do mulistego dna tabliczkę z napisem: TUTAJ ŚWIAT ZMIENIŁ SIĘ NA ZAWSZE. Pod spodem był podpis: BERTRAND ZOBRIST. I jutrzejsza data.

Mój Boże!

Robert obejrzał się w ciemności na doktor Sinskey, ale ona siedziała z wzrokiem wbitym w podłogę, co mogło świadczyć o tym, że widziała ten film wcześniej i nie chciała oglądać go ponownie.

Kamera skierowała się w lewo i zdumiony Langdon zobaczył zawieszoną pod powierzchnią wody pomarszczoną sferę z przezroczystego tworzywa sztucznego, wypełnioną galaretowatą żółtobrązową cieczą. Wydawało się, że przymocowano ją do dna, by nie mogła się wynurzyć.

Co to u licha jest?

Langdon przyjrzał się uważnie rozdętemu pojemnikowi. Jego złowieszcza zawartość kłębiła się... jakby wrzała.

Gdy zrozumiał, na co patrzy, wstrzymał odruchowo oddech. Zaraza Zobrista.

– Proszę zatrzymać projekcję – odezwała się z mroku Sinskey.

Obraz zamarł. Przyczepiona do dna plastikowa sfera unosząca się w wodzie. Odizolowana ciecz wisząca w przestrzeni.

– Zapewne się pan domyśla, co to jest – powiedziała Sinskey. – Pytanie tylko, jak długo ten pojemnik pozostanie szczelny?... – podeszła do ekranu i wskazała na niewielki znaczek zdobiący tworzywo. – Niestety wiemy, z czego jest zrobiony. Może pan przeczytać?

Langdon przyjrzał się napisowi, czując, jak mu puls przyśpiesza. Przed oczyma miał zastrzeżoną nazwę producenta: Solublon®.

– Największy światowy producent rozpuszczalnych opakowań – wyjaśniła Sinskey.

Langdon poczuł znajomy uścisk na dnie żołądka.

– Chce pani powiedzieć, że to tworzywo się... rozpuszcza?

Doktor Sinskey potaknęła z ponurą miną.

– Skontaktowaliśmy się z producentem, stąd też wiemy, że w ofercie znajduje się wiele produktów, które rozpuszczają się w wodzie w różnym czasie, od dziesięciu minut do dziesięciu tygodni od chwili zamoczenia. Oczywiście liczą się także inne czynniki, takie jak temperatura i twardość wody, ale należy zakładać, że Zobrist wziął je wszystkie pod uwagę... Wszystko wskazuje na to, że tworzywo rozpuści się do...

– ...jutra – dokończył za nią Zarządca. – Zobrist zakreślił jutrzejszą datę w moim kalendarzu. Ta sama data znajduje się na plakietce, którą przed chwilą widzieliście.

Langdon siedział w ciemności, nie mogąc wydobyć z siebie nawet słowa.

– Proszę pokazać mu resztę – rzuciła Sinskey.

Obraz na ekranie ożył, kamera znów pokazywała lśniące wody i mroczną jaskinię. Langdon nie miał wątpliwości, że widzi miejsce opisane w tekście z maski. Lagunę, w której nie przejrzały się gwiazdy.

Sceneria pasowała do wizji piekła Dantego... Rzeka Kokytos wijąca się przez jaskinie świata podziemi.

Gdziekolwiek znajdowała się ta laguna, jej wody były powstrzymywane przez strome omszałe ściany, które zdaniem Langdona musiały być dziełem człowieka. Domyślał się również, że nagranie ukazuje zaledwie skrawek znacznie większej przestrzeni, co sugerowały chociażby pionowe cienie – szerokie i równoległe.

To filary, zdał sobie nagle sprawę.

Sklepienie tej jaskini podtrzymywały filary.

A zatem laguna nie znajdowała się w jaskini, lecz ogromnej komnacie.

W głąb zatopionego pałacu wyruszyć...

Zanim zdążył się odezwać, jego uwagę przykuło pojawienie się nowego cienia... tym razem humanoidalnego, aczkolwiek z długim ptasim nosem.

Dobry Boże...

Cień przemówił i zduszony szept poniósł się nad wodą niesamowicie poetycznym rytmem.

Jestem waszym zbawieniem. Jestem Cieniem.

Przez kilka następnych minut Langdon oglądał najbardziej przerażające nagranie, jakie kiedykolwiek miał okazję widzieć. Bredzenie szalonego geniusza – monolog Bertranda Zobrista wygłaszany w przebraniu lekarza z czasów czarnej śmierci – ociekało nawiązaniami do *Piekła* Dantego i niosło bardzo jasne przesłanie: przyrost naturalny wymknął się spod kontroli, zagrażając przetrwaniu gatunku ludzkiego.

Głos płynący z ekranu zaintonował:

Nic nie robiąc, sprowadzimy na nasze głowy dantejskie piekło, w którym będziemy trwać... stłoczeni, konający z głodu, nurzający się w grzechu.

Dlatego muszę podjąć zdecydowane działania.

Wielu z was one przerażą, lecz zbawienie musi mieć swoją cenę.

Któregoś dnia świat dostrzeże piękno mojego poświęcenia.

Langdon wzdrygnął się raz, gdy ujrzał na ekranie Zobrista w ptasiej masce, a potem ponownie, gdy miliarder odsłonił twarz. Spoglądając na jego wychudłe oblicze i dzikie zielone oczy, zrozumiał, że patrzy wreszcie na sprawcę tego kryzysu. W tym samym momencie Zobrist zaczął wyznawać miłość do człowieka, którego nazywał swoją muzą.

Umrę szczęśliwy, wiedząc, że zostawiam świat w godnych rękach. Moje zadanie, tu w czeluściach, dobiegło końca. Nadszedł czas, bym powrócił do świata na powierzchni... i znów spojrzał w gwiazdy.

Gdy nagranie dobiegło końca, Langdon zrozumiał jeszcze jedno: pożegnalne słowa Zobrista brzmiały niemal identycznie jak finał *Piekła*.

Siedząc w mrocznej sali konferencyjnej, pojął też coś jeszcze – cały strach, którego doświadczył tego dnia, skrystalizował się w spójną, przerażającą wizję.

Bertrand Zobrist miał teraz twarz... i głos.

Światła w suficie rozbłysły ponownie, a Robert stwierdził, że wszyscy wpatrują się w niego wyczekująco.

Elizabeth Sinskey miała nieprzeniknioną minę, wstając i skubiąc nerwowo niebieski amulet.

– Profesorze, naprawdę mamy niewiele czasu. Jedyna dobra wiadomość jest taka, że nie wykryliśmy jeszcze patogenu, co może

oznaczać, że pojemnik wciąż jest szczelny. Nie wiemy jednak, gdzie go szukać. Naszym celem jest zneutralizowanie zagrożenia, zanim ono wystąpi. Odniesiemy sukces, jeśli prędko odkryjemy to miejsce.

Agent Brüder także wstał i wbił wzrok w Langdona.

– Zakładaliśmy, że przyjechał pan do Wenecji, ponieważ dowiedział się pan, że tutaj ukryto zarazę.

Langdon powiódł wzrokiem po zebranych. Wszyscy byli przestraszeni, liczyli na cud, a on musiał przekazać im złe wieści.

– Znajdujemy się nie w tym kraju co trzeba – oznajmił. – To, czego szukacie, ukryto niemal półtora tysiąca kilometrów stąd.

Wnętrzności Roberta wibrowały, gdy Mendacium robił gwałtowny zwrot, by udać się w pobliże weneckiego lotniska. Na pokładzie jachtu rozpętało się istne piekło. Zarządca miotał się, wydając rozkazy swoim podwładnym. Elizabeth Sinskey złapała za komórkę, by zadzwonić do pilotów i powiadomić ich o konieczności jak najszybszego startu. Brüder siedział przy laptopie, sprawdzając, czy jego organizacja nie ma innego zespołu w pobliżu nowo namierzonego celu.

Na drugim końcu świata.

Zarządca wpadł ponownie do sali konferencyjnej i natychmiast warknął w kierunku agenta:

– Mamy już jakieś wieści od władz Wenecji?

Brüder pokręcił głową.

– Sienna Brooks zniknęła bez śladu. Szukają nadal, ale jak kamień w wodę...

Langdona coś tknęło.

Szukają Sienny?

Sinskey zakończyła rozmowę telefoniczną i spytała:

– Wciąż nic?

Zarządca pokręcił głową.

– Za pani pozwoleniem sugerowałbym, aby Światowa Organizacja Zdrowia wyraziła zgodę na użycie siły podczas jej aresztowania, jeśli okaże się to konieczne.

Langdon zerwał się na równe nogi.

– Dlaczego? Sienna nie ma z tym nic wspólnego!

Ciemne oczy Zarządcy spoczęły na twarzy Roberta. – Profesorze, jest coś, co powinien pan wiedzieć na temat panny Brooks.

Rozdział 79

Przepchnąwszy się przez zbity tłum turystów na moście Rialto, Sienna Brooks znów zaczęła biec wzdłuż zachodniego brzegu kanału, pokonując Fondamenta Vin Castello.

Schwytali Roberta!...

Oczyma wyobraźni wciąż widziała desperację w jego spojrzeniu, gdy odziani na czarno żołnierze ściągali go siłą do krypty. Wątpiła jednak, by wycisnęli z niego cokolwiek, a już na pewno nie uda im się to zbyt szybko.

„Jesteśmy w niewłaściwym kraju".

Co najgorsze, oprawcy raczej nie będą marnować czasu na przedstawienie mu całej prawdy o sytuacji.

Przepraszam, Robercie.

Za wszystko.

Musisz zrozumieć, że nie miałam wyboru...

Już zaczynało jej go brakować. Tutaj, w samym sercu zatłoczonej Wenecji, znów poczuła pustkę samotności.

To akurat nie było dla niej niczym nowym.

Sienna czuła się osamotniona od dzieciństwa.

Obdarzona wyjątkowym umysłem, czuła się jak przysłowiowy obcy w obcym kraju... jak istota uwięziona w wymarłym świecie. Próbowała nawiązywać znajomości, ale poznane dziewczęta zajmowały się wyłącznie pierdołami, które jej zupełnie nie interesowały. Próbowała szanować rodziców, ale oni, jak większość dorosłych, zachowywali się z kolei jak wyrośnięte dzieci. Nie mieli bladego pojęcia o otaczającym ich świecie, a co chyba jeszcze gorsze, wcale nie zamierzali go poznawać.

Czułam się, jakbym była cząstką nicości.

I tak Sienna Brooks nauczyła się być duchem. Stawać się niewidzialną. Można powiedzieć, że życie zrobiło z niej kameleona, aktora, który odgrywa rolę jeszcze jednego człowieka w tłumie. Jej dziecięce zainteresowanie występami w teatrze wynikało z żywionego od dawien dawna pragnienia, aby stać się kimś innym.

Kimś normalnym.

Rola w szekspirowskim *Śnie nocy letniej* pozwoliła jej poczuć się częścią czegoś. Dorośli aktorzy wspierali ją, nie popadając przy okazji w protekcjonalizm. Jej radość trwała niestety bardzo krótko, skończyła się zaraz po premierze, gdy schodząc ze sceny, stanęła na wprost tłumu dziennikarzy. Wszyscy jej partnerzy sceniczni wymknęli się tylnym wyjściem.

I od tamtej pory zaczęli mnie nienawidzić.

Mając siedem lat, była już na tyle oczytana, by zdiagnozować u siebie głęboką depresję. Gdy poinformowała o tym rodziców, oniemieli – była to najczęstsza reakcja, jaką okazywali przed córką. Mimo to posłali ją do psychiatry. Ten zadał jej całą masę

pytań – tych samych zresztą, które ją nurtowały, a potem przepisał kombinację amitryptyliny i chlordiazepoksydu.

Rozwścieczona Sienna zeskoczyła z kozetki.

– Amitryptylina? – wrzasnęła. – Chcę być szczęśliwa, a nie zamienić się w zombie!

Psychiatra, trzeba mu to przyznać, zachował kamienną twarz mimo jej wybuchu, a potem zaproponował drugie rozwiązanie.

– Jeśli nie chcesz brać psychotropów, możemy podejść do problemu bardziej holistycznie... – zamilkł na moment. – Wygląda mi na to, że uwięzłaś w pętli myślenia o sobie i o tym, jak bardzo nie pasujesz do tego świata.

– To prawda – przyznała. – Próbowałam przestać, ale nie mogę.

Uśmiechnął się przyjaźnie.

– To zrozumiałe, że nie możesz. Nie ma takiej siły, która zmusiłaby człowieka do niemyślenia. Dusza łaknie emocji i dlatego nie przestaje szukać paliwa dla nich bez względu na to, czy są dobre czy złe. Problem w tym, że ty dostarczasz niewłaściwe paliwo.

Dlatego, że nikt wcześniej nie mówił o jej umyśle w tak techniczny sposób, natychmiast się zainteresowała.

– Jak mam podać swojej duszy właściwe paliwo?

– Musisz znaleźć inne podejście – wyjaśnił. – Teraz myślisz głównie o sobie. Zastanawiasz się, dlaczego nie pasujesz... i co jest z tobą nie tak. Twoim największym problemem jest to... – zachichotał nagle – że ciągle myślisz o swoich problemach.

Zaproponował, by przestała skupiać się na sobie i zajęła się otaczającym ją światem, a zwłaszcza dręczącymi go problemami.

I wtedy wszystko się zmieniło.

Odtąd zużywała całą energię na użalanie się nad innymi ludźmi. Zajęła się filantropią, rozlewała zupę w schroniskach dla bezdomnych, czytała książki niewidomym. Co ciekawe, żaden z jej podopiecznych nie zauważył nawet, że jest inna. Ludzie byli jej po prostu wdzięczni za to, że się o nich troszczyła.

Pracowała coraz ciężej, aż zaczęła mieć kłopoty ze snem, ponieważ wciąż dręczyło ją poczucie, że na świecie żyje tak wielu potrzebujących.

– Sienna, zwolnij! – ostrzegali ją znajomi. – Nie ocalisz całego świata!

Jak w ogóle można tak myśleć?!

Podczas prac społecznych poznała kilku członków miejscowych organizacji humanitarnych. Gdy zaproponowali jej miesięczną wyprawę na Filipiny, nie zastanawiała się nawet przez chwilę.

Wyobrażała sobie, że jadą karmić biednych rybaków albo rolników gdzieś na zapyziałej prowincji, która jeśli wierzyć przewodnikom, była oszałamiająco piękna – można tam było znaleźć obfitujące w tętniące życiem rafy wybrzeża i pokryte bujną roślinnością równiny. Ale kiedy Sienna znalazła się razem z innymi wolontariuszami na ulicach zatłoczonej Manili – najgęściej zaludnionego miasta na Ziemi – poczuła bezgraniczne przerażenie. Nigdy nie widziała biedy w takiej skali.

Jak jeden człowiek może to zmienić?

Na każdego nakarmionego przez nią przypadały setki głodnych, patrzących na nią ze smutkiem w oczach. W Manili można było utkwić w korku na sześć godzin, wszechobecny smog dusił na każdym kroku, handel ludźmi był czymś powszechnym, a prostytucją zajmowały się głównie dzieci, w większości

sprzedawane do domów publicznych przez własnych rodziców, którzy czerpali pociechę z faktu, że od tej chwili ich potomstwo będzie miało co jeść.

Sienna nie umiała się odnaleźć w chaosie dziecięcej prostytucji, żebractwa, kradzieży i jeszcze gorszych przypadków. Wokół niej ludzie kierowali się wyłącznie instynktem samozachowawczym. Gdy głód zagląda w oczy, ludzie stają się zwierzętami.

Ta konstatacja zaowocowała nawrotem depresji. Ujrzała ludzkość taką, jaką ta była – zobaczyła gatunek stojący na krawędzi przepaści.

Myliłam się, uznała. Nie mogę ocalić świata.

Przerażona rzuciła się do ucieczki zatłoczonymi ulicami miasta. Biegła, przepychając się przez tłum, przewracając, szukając wolnego miejsca.

Uduszą mnie te stłoczone ciała!

Biegnąc, czuła na sobie spojrzenia ludzi. Przestała być niewidzialna. Wyrosła, przytyła i zapuściła blond kucyk. Mężczyźni mierzyli ją takim wzrokiem, jakby była naga.

Gdy nogi w końcu się pod nią ugięły, nie miała pojęcia, jak daleko ani w jakim kierunku uciekła. Otarłszy łzy z oczu, zauważyła, że stoi przed slumsami – domy były sklecone z kawałków blachy falistej i zwykłych kartonów. Ze wszystkich stron dobiegał płacz dzieci i smród ludzkich ekskrementów.

– *Turista* – zakpił ktoś za jej plecami. – *Magkano?* – Ile?

Sienna obróciła się na pięcie i zobaczyła trzech zbliżających się do niej młodych mężczyzn. Ślinili się jak wilki. Wiedziała, że znalazła się w niebezpieczeństwie, chciała się wycofać, ale otoczyli ją jak stado polujących drapieżników.

Wołała o pomoc, lecz nikt nie zwracał na to uwagi. Kilka metrów od niej jakaś staruszka przysiadła na zużytej oponie. Jadła czerwoną cebulę, rozcinając ją zardzewiałym nożykiem. Nawet nie podniosła wzroku, kiedy Sienna zaczęła krzyczeć.

Gdy mężczyźni pochwycili ją i wciągnęli do jednej z chat, nie miała złudzeń. Była przerażona. Walczyła z całych sił, ale byli od niej silniejsi, szybko przyszpilili ją do starego, brudnego materaca.

Rozdarli jej koszulę, wbijali pazury w miękką skórę. Żeby nie krzyczała, zakneblowali ją kawałkiem podartej koszuli, wpychając go tak głęboko w usta, że omal się udusiła. Potem przerzucili ją na brzuch, wciskając twarz w cuchnący barłóg.

Sienna Brooks nigdy nie rozumiała ludzi, którzy wierzyli w Boga, jednakże teraz sama się do niego modliła.... I to z całego serca.

Proszę, Boże, ocal mnie ode złego...

Ale oni nawet podczas tej modlitwy śmiali się z niej i kpili, ściągając brudnymi łapami dżinsy z jej drżących nóg. W końcu jeden położył się na niej, był lepki i ciężki, jego pot kapał na jej ramiona.

Zachowałam dziewictwo, pomyślała. I tak je stracę...

Nagle mężczyzna spadł z jej pleców, a radosny rechot pozostałych zamienił się w okrzyki wściekłości i strachu. Pot ściekający po jej ramionach zrobił się dziwnie ciepły, a skapując na materac, barwił go czerwienią.

Gdy Sienna przetoczyła się na plecy, zobaczyła, że staruszka z niedojedzoną cebulą i zardzewiałym nożem stoi nad gwałcicielem, który krwawi z rany na plecach.

Staruszka spoglądała groźnie na pozostałych, wymachując w powietrzu zakrwawionym ostrzem, dopóki wszyscy nie uciekli.

Nie mówiąc nawet słowa, pomogła Siennie zebrać rzeczy i ubrać się ponownie.

– *Salamat* – wyszeptała przerażona blondynka. – Dziękuję.

Staruszka poklepała się po uchu, pokazując, że jest głucha.

Sienna złożyła więc dłonie, przymknęła powieki i ukłoniła się z szacunkiem. Gdy otworzyła ponownie oczy, kobiety już nie było.

Natychmiast opuściła Filipiny, nie żegnając się nawet z pozostałymi członkami grupy wolontariuszy. Nigdy też nie powiedziała nikomu o tym, co jej się przydarzyło. Sądziła, że ignorując incydent, szybciej o nim zapomni, lecz tak naprawdę to tylko pogorszyło jej sytuację. Wiele miesięcy później wciąż miała koszmary i całkowicie straciła poczucie bezpieczeństwa. Zaczęła studiować sztuki walki, ale choć opanowała zabójczy styl *dim mak*, w dalszym ciągu czuła się zagrożona, gdziekolwiek pojechała.

Wróciła też depresja: co rusz oblewały ją poty, a po pewnym czasie przestała w ogóle sypiać. Ilekroć się czesała, na szczotce zostawały kłęby włosów i z każdym tygodniem było gorzej. Ku jej przerażeniu wystarczyło parę tygodni, by na głowie pojawiły się łysiny. Sama zdiagnozowała u siebie symptomy telogenowego wypadania włosów – czyli łysienia na tle nerwicowym, na które nie było innego lekarstwa jak tylko pozbycie się stresu. Patrząc w lustro, widziała łysiejącą głowę i czuła, jak puls zaczyna jej przyśpieszać.

Wyglądam jak staruszka, myślała.

W końcu nie było innej rady i musiała ogolić głowę. Teraz przynajmniej nie wyglądała już staro, tylko jak chora osoba. Nie chciała jednak, by patrzono na nią jak na ofiarę nowotworu, kupiła więc sobie perukę z blond kucykiem, w której przypominała dawną siebie.

Zmieniła się jednak wewnątrz, i to bardzo.

Jestem jak uszkodzony towar...

W desperackiej próbie spalenia za sobą wszystkich mostów wybrała się w podróż do Ameryki, aby tam wstąpić do szkoły medycznej. Medycyna pociągała ją od najmłodszych lat... a od niedawna łudziła się, że jako lekarz poczuje się bardziej spełniona, skoro będzie robiła coś, co przyniesie ulgę temu pokręconemu światu.

Nauka nie przysparzała Siennie większych trudności, zatem gdy jej koleżanki wkuwały materiał, ona dorabiała sobie pracą na scenie. Wprawdzie nie można było porównywać tych występów do teatru szekspirowskiego, ale talent do języków i zdolność zapamiętywania tekstu pozwalały jej traktować aktorstwo nie jak pracę, lecz jak schronienie, w którym mogła zapomnieć o tym, kim była, i choć na czas przedstawienia stać się kimś innym.

Kimkolwiek.

Próbowała uciec od swej tożsamości już w chwili gdy nauczyła się mówić. W dzieciństwie pomijała swoje pierwsze imię – Felicity – forując drugie i tak właśnie zrodziła się Sienna Brooks. „Felicity" znaczy „szczęśliwa", a jej daleko było do szczęśliwości.

Nie skupiaj się na sobie, napominała się. Rozwiązuj problemy świata.

Atak paniki, którego doświadczyła na zatłoczonych ulicach Manili, sprawił, że zaczęła się bardzo interesować problemem przeludnienia. Wtedy to odkryła artykuły Bertranda Zobrista, zajmującego się inżynierią genetyczną naukowca, który wysunął kilka obiecujących teorii na ten temat.

To geniusz, uznała, czytając jego prace.

Nigdy wcześniej nawet nie pomyślała w ten sposób o innym człowieku, lecz im więcej tekstów Zobrista czytała, tym bardziej czuła, że trafiła na pokrewną duszę. Jego artykuł zatytułowany „Nie można ocalić świata" był dla niej przypomnieniem tego, co wszyscy mówili, odkąd była dzieckiem... Jednakże Zobrist zapatrywał się na tę sprawę inaczej. Pisał:

Możesz ocalić świat! Jeśli nie ty, to kto? Jeśli nie teraz, to kiedy?

Sienna z uwagą przestudiowała przedstawiane przez niego równania, zapoznała się z przepowiedniami dotyczącymi przyczyn maltuzjańskiej katastrofy i sposobów jej zapobiegnięcia. Wyjątkowy intelekt Sienny uwielbiał tak skomplikowane wyzwania, jednakże po zapoznaniu się ze wszystkimi materiałami zrozumiała, że zdeterminowana matematycznie przyszłość jest oczywista i nieunikniona. Poziom jej stresu wzrósł momentalnie.

Dlaczego nikt inny nie widzi, co nas czeka?

Była zafascynowana Zobristem, mimo że przerażały ją głoszone przez niego idee. Oglądała wszystkie nagrania z jego wykładów, przeczytała wszystko, co kiedykolwiek napisał. A gdy usłyszała, że ma zakontraktowany występ w Stanach, uznała, iż musi go zobaczyć. Tamtego wieczoru cały jej świat wywrócił się do góry nogami.

Uśmiech rozjaśnił twarz Sienny w niezwykle rzadkim w jej wypadku momencie radości, gdy przypomniała sobie tamten wieczór... ten sam, który przywołała w pamięci już kilka godzin wcześniej, siedząc w pociągu z Ferrisem i Langdonem.

Chicago. Śnieżyca.

Styczeń, sześć lat temu... a wydaje się, że to było wczoraj. Szłam między zaspami po smaganej wiatrem Michigan Avenue, spod podniesionego kołnierza zerkając w oślepiającą biel. Pomimo przenikliwego zimna wierzyłam, że nic nie zdoła mnie odwieść od celu. Tego dnia miałam wysłuchać przemówienia wielkiego Bertranda Zobrista... i ujrzeć go na własne oczy.

Sala była niemal pusta, gdy Bertrand wchodził na scenę. Był wysoki... bardzo wysoki... a jego niesamowicie żywe zielone oczy zdawały się kryć wszystkie tajemnice świata.

– Do diabła z tym audytorium – rzucił z mównicy. – Mój hotel jest tuż za rogiem, chodźmy do tamtejszego baru!

I tak nasze nieliczne grono znalazło się w cichej loży, a on mówił o genetyce, przeludnieniu i swojej najnowszej pasji... transhumanizmie.

Czułam się tak, jakbym dostąpiła zaszczytu prywatnej audiencji u jednej z gwiazd rocka. Ilekroć Zobrist spoglądał na mnie tymi zielonymi oczami, rodziło się we mnie coś dziwnego... głębokie seksualne pożądanie.

To było dla mnie coś nowego.

Około północy zostałam sam na sam z Bertrandem Zobristem.

– Dziękuję panu za ten wieczór – powiedziałam. Język mi się plątał, chyba wypiłam o szklaneczkę za dużo. – Jest pan wspaniałym wykładowcą.

– Pochlebstwa? – zadrwił ze mnie, przysuwając się bliżej. Poczułam, że nasze nogi się stykają. – Dzięki nim daleko zajdziesz.

Flirtowanie z nim wydawało się czymś niestosownym, ale noc była wciąż zimna, a hotel niemal pusty. Miałam wrażenie, ze świat wokół mnie zamarł.

– Co powiesz na drinka w moim pokoju? – zapytał Zobrist.

Zamarłam. Tak musi wyglądać jeleń oślepiony reflektorami samochodu. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

A on zmrużył tylko filuternie oczy.

– Niech zgadnę – wyszeptał. – To twój pierwszy raz ze sławnym mężczyzną.

Spłoniłam się, mimo że usilnie próbowałam ukryć natłok emocji – zawstydzenia, podekscytowania, strachu.

– Szczerze mówiąc – odparłam – to będzie mój pierwszy raz z mężczyzną w ogóle.

Zobrist uśmiechnął się i przysunął jeszcze bliżej.

– Pozwól zatem, że ja będę tym pierwszym.

Nagle pozbyłam się wszelkich lęków seksualnych i frustracji z dzieciństwa... wszystkie one wyparowały w tę śnieżną noc.

Nareszcie nie musiałam się wstydzić swoich pragnień.

Chwilę później padłam naga w jego ramiona.

– Spokojnie, Sienna. – Bertrand nie śpieszył się, jego cierpliwe dłonie sprawiły mi tak wiele przyjemności, jakiej nie doświadczyłam nigdy wcześniej.

W kokonie jego ramion poczułam, że mój świat nabiera właściwych kształtów, a ja mam w końcu upragniony cel.

Znalazłam Miłość.

I podążę za nią, gdziekolwiek będzie trzeba.

Rozdział 80

Stojący na pokładzie jachtu Langdon zaciskał dłonie na tekowej poręczy, próbując zapanować nad drżeniem nóg i odzyskać oddech. Powietrze na morzu zrobiło się chłodniejsze, a ryk przelatujących nisko samolotów pasażerskich mówił mu, że Mendacium zbliża się do weneckiego lotniska.

Jest coś, co powinien pan wiedzieć na temat panny Brooks.

Stojący obok niego Zarządca i doktor Sinskey milczeli, czekając, aż dojdzie do siebie. To, co wyjawili mu pod pokładem, było tak bulwersujące, że musieli go wyprowadzić na świeże powietrze.

Morska bryza orzeźwiała, lecz niewiele pomagała na obecny stan Langdona, który był w stanie tylko gapić się w dół, na spieniony kilwater statku, i układać w głowie zasłyszane przed momentem informacje.

Jeśli wierzyć Zarządcy, Sienna i Zobrist od dawna byli kochankami. Współpracowali w ramach organizacji, którą można było nazwać podziemiem ruchu transhumanistów. Lekarka naprawdę nazywała się Felicity Sienna Brooks, ale znano ją także pod pseudonimem FS-2080... Co miało związek z jej inicjałami i stuleciem urodzin.

Przecież to nie ma najmniejszego sensu!

– Znałem Siennę Brooks – powiedział Zarządca – i ufałem jej. Gdy pojawiła się u mnie rok temu, proponując spotkanie z bogatym klientem, zgodziłem się. W taki właśnie sposób trafiłem na Bertranda Zobrista. Wynajął mnie, abym zapewnił mu bezpieczne schronienie, w którym mógłby dokończyć pracę nad swoim najnowszym „arcydziełem". Zakładałem, że chodzi o to, by konkurencja nie wykradła mu jakiejś nowej technologii... albo że zamierza prowadzić przełomowe eksperymenty genetyczne, które naruszają etyczne regulacje Światowej Organizacji Zdrowia... Nie zadawałem pytań, ale możecie mi wierzyć, w życiu bym nie przypuszczał, że on stworzy... zarazę.

Langdon mógł mu jedynie bezmyślnie przytaknąć.

– Zobrist był fanatycznym wielbicielem Dantego – kontynuował tymczasem Zarządca. – Z tego też powodu wybrał Florencję na swoją kryjówkę. Moja organizacja zapewniła mu wszystko, czego potrzebował: odizolowane laboratorium z częścią mieszkalną, kanały bezpiecznej komunikacji, nawet osobistego asystenta, który dbał o jego bezpieczeństwo i aprowizację. Zobrist nigdy nie użył własnej karty kredytowej ani nie pokazał się w miejscu publicznym, nie można go więc było namierzyć. Zapewnialiśmy mu także przebrania i fałszywe dokumenty, aby mógł podróżować bez ryzyka wykrycia... – zamilkł na moment. – Jak widać, skorzystał z tego, by ukryć pojemnik...

Sinskey westchnęła, nie starając się nawet ukryć frustracji.

– Światowa Organizacja Zdrowia próbowała go namierzyć od niemal roku, ale zniknął nam z pola widzenia, dosłownie jakby zapadł się pod ziemię.

– Ukrywał się nawet przed Sienną – dodał Zarządca.

– Słucham? – Langdon podniósł głowę, czując ucisk w krtani. – Czy nie powiedział pan, że byli kochankami?

– Byli, ale odciął się od niej całkowicie, gdy wybrał życie w ukryciu. Mimo że to ona go do mnie skierowała, dobiłem targu z Zobristem, a częścią zawartej z nim umowy był warunek, że stanie się niewidzialny dla wszystkich, nie wyłączając kochanki. Z tego co wiem, przed wyjazdem wysłał jej list, w którym napisał, że jest poważnie chory, został mu co najwyżej rok życia, zatem znika, ponieważ nie chce, by widziała go w tak okropnym stanie.

Zobrist porzucił Siennę?

– Próbowała się ze mną kontaktować, aby uzyskać informacje o miejscu jego pobytu – dodał Zarządca – jednakże nie odbierałem telefonów od niej. Dotrzymuję słowa danego klientowi.

– Dwa tygodnie temu – kontynuowała Sinskey – Zobrist pojawił się w jednym z florenckich banków i wynajął skrytkę depozytową. Po jego wyjściu otrzymaliśmy informację, że zainstalowany w tej placówce nowoczesny system rozpoznawania twarzy zidentyfikował przebranego mężczyznę jako miliardera poszukiwanego przez Światową Organizację Zdrowia. Mój zespół udał się natychmiast do Florencji, znalezienie jego kryjówki zajęło nam tydzień, a w dodatku okazała się ona niemal pusta. Odkryliśmy jednak dowód na to, że udało mu się stworzyć patogen o wyjątkowej zakaźności i ukryć go w jakimś innym miejscu... – Sinskey zamilkła na moment. – Koniecznie musieliśmy znaleźć Zobrista. Następnego ranka jeden z naszych ludzi wypatrzył go, gdy spacerował brzegiem rzeki Arno. Natychmiast ruszyliśmy

w pościg. Zobrist uciekł przed nami na wieżę Badia i skoczył, zabijając się na miejscu.

– Zdaje się, że taki miał plan – wtrącił Zarządca. – Był przekonany, że nie pożyje długo.

– Jak się okazało – opowiadała dalej Sinskey – Sienna także go szukała. Jakimś cudem dowiedziała się, że ogłosiliśmy mobilizację we Florencji, śledziła więc nasze poczynania w nadziei, że zdołamy go namierzyć. Niestety była na miejscu, gdy Zobrist skoczył. – Westchnęła. – Podejrzewam, że samobójstwo kochanka i mentora musiało być dla niej straszliwie traumatycznym przeżyciem.

Langdon czuł się tak paskudnie, że niewiele rozumiał z tego, co do niego mówili. Jedyną osobą, której ostatnio ufał, była Sienna, a ci ludzie właśnie go poinformowali, że oszukiwała go przez cały czas. Bez względu na wszystko nie potrafił uwierzyć, że doktor Brooks także pragnie stworzenia zabójczej plagi.

A może jednak?

Przecież niedawno go spytała, czy zabiłby połowę ludzkości, aby ocalić cały gatunek od wymarcia.

Poczuł na plecach zimny dreszcz.

– Po śmierci Zobrista – dodała Sinskey – użyłam swoich wpływów i nakazałam otworzyć jego skrytkę, w której o ironio znajdował się list do mnie i pewne dziwaczne urządzenie.

– Projektor – domyślił się Langdon.

– Zgadza się. W liście Zobrist napisał, że mam być pierwszym człowiekiem w punkcie zero, którego nikt nie znajdzie, dopóki nie rozszyfrujemy wskazówek zawartych na jego *Mapie Piekieł*.

Robert przypomniał sobie obraz Botticellego wyświetlany przez miniaturowy projektor.

– Zobrist zobowiązał mnie – wtrącił Zarządca – do dostarczenia doktor Sinskey zawartości wspomnianej skrytki depozytowej, ale miałem to zrobić dopiero jutro rano. Gdy dowiedziałem się, że przejęła te rzeczy wcześniej, wpadłem w panikę i zacząłem działać, próbując odzyskać przedmioty i spełnić wolę klienta.

Sinskey spojrzała na Langdona.

– Niewiele rozumiałam ze wskazówek na obrazie, więc zwerbowałam pana. Czy pamięta pan nasze spotkanie?

Robert pokręcił głową.

– Przerzuciliśmy pana w sekrecie do Florencji, gdzie miał pan się spotkać z kimś, kto mógłby nam pomóc.

Z Ignaziem Busonim.

– Spotkaliście się minionego wieczoru – kontynuowała wyjaśnienia doktor Sinskey – a potem wszelki słuch po panu zaginął. Sądziliśmy, że coś się panu stało.

– Nie było to dalekie od prawdy – stwierdził Zarządca. – Próbując odzyskać projektor, wysłaliśmy za panem agentkę imieniem Vayentha. Śledziła pana od momentu przylotu na lotnisko, ale zgubiła ślad gdzieś w pobliżu piazza della Signoria. – Skrzywił się. – W dodatku miała czelność zrzucić odpowiedzialność na jakiegoś ptaka.

– Słucham?

– Ściślej mówiąc, na gołębia. Twierdziła, że znalazła się na idealnej pozycji strzeleckiej i obserwowała pana z cienia, gdy nagle na ulicy pojawiła się grupka turystów. W tej samej chwili gołąb siedzący na oknie nad jej głową zaczął gruchać, co zwróciło

uwagę przechodzących ludzi. Zatrzymali się zdziwieni i przesłonili jej widok. Zanim wróciła na alejkę, pana już nie było. – Pokręcił głową z odrazą. – Tak czy inaczej straciła pana z widoku na kilka godzin. W końcu udało się jej odnaleźć pański ślad, ale nie był pan już sam.

Ignazio, pomyślał Langdon. Zapewne opuszczaliśmy Palazzo Vecchio po kradzieży maski.

– Szła za wami aż do piazza della Signoria, tam ją zauważyliście i zaczęliście uciekać, każdy w innym kierunku.

To ma sens, uznał Robert. Ignazio uciekł z maską do baptysterium i ukrył ją tam, zanim dostał ataku serca.

– W tym momencie Vayentha popełniła kardynalny błąd.

– Strzeliła mi w głowę?

– Nie, zbyt wcześnie ujawniła swoją obecność. Zaczęła pana przesłuchiwać, zanim pan cokolwiek znalazł. Chcieliśmy wiedzieć, czy udało się panu rozszyfrować mapę i czy przekazał pan te informacje doktor Sinskey. Odmówił pan jednak współpracy. Powiedział pan, że woli zginąć.

Szukałem zabójczej zarazy! Pewnie sądziłem, że jesteście najemnikami pragnącymi zdobyć broń biologiczną!

Wielkie silniki nagle przeszły na jałowy, a potem wsteczny bieg, spowalniając jacht zbliżający się do nabrzeża lotniska. W oddali Langdon dostrzegł kadłub tankowanego właśnie samolotu. Widniał na nim spory napis: ŚWIATOWA ORGANIZACJA ZDROWIA.

W tym momencie pojawił się agent Brüder. Minę miał ponurą.

– Właśnie się dowiedziałem, że w promieniu pięciu godzin lotu od celu nie ma innego zespołu poza nami, co oznacza, że jesteśmy

zdani tylko na siebie.

Sinskey zwiesiła ramiona.

– Współpracujemy już z lokalnymi władzami?

Brüder pokręcił głową.

– Jeszcze nie. I wolałbym, aby tak zostało. Nie znamy dokładnych namiarów, zatem i tak w niczym nam nie pomogą. A że nie dysponują odpowiednim personelem i sprzętem, ich działania mogą przynieść więcej szkód niż pożytku.

– *Primum non nocere* – wyszeptała doktor Sinskey, kiwając głową. Powtórzyła podstawową zasadę etyki lekarskiej: „Przede wszystkim nie szkodzić".

– Jeszcze ostatnia sprawa – dodał Brüder. – Po Siennie Brooks nie ma nigdzie śladu. – Spojrzał na Zarządcę. – Czy pańskim zdaniem zna w Wenecji kogoś, kto mógłby jej udzielić pomocy?

– Nie byłbym tym zdziwiony – odparł Zarządca. – Wyznawcy Zobrista są wszędzie... Jeśli nie mylę się co do tej kobiety, użyje wszelkich dostępnych środków, by wykonać zadanie.

– Nie możecie wypuścić jej z Wenecji – wtrąciła Sinskey. – Nie wiemy, jak długo wytrzyma ten pojemnik. Jeśli ktoś nas uprzedzi, może wystarczyć jeden dotyk, plastik puści i zaraza dostanie się do wody.

Potrzebowali chwili, by pojąć powagę sytuacji.

– Obawiam się, że mam dla was jeszcze jedną złą wiadomość – stwierdził Langdon. – Zdobny muzejon świętej wiedzy... – przerwał na moment. – Sienna wie, gdzie on jest. Ona wie, dokąd lecimy.

– Co takiego?! – krzyknęła Sinskey. – Wydawało mi się, że nie zdążył jej pan powiedzieć o swoim ostatnim odkryciu! Twierdził

pan, że wiedziała jedynie, iż znajdujecie się nie w tym kraju co trzeba!

– To prawda – przyznał Robert. – Ale już wcześniej wiedziała, że szukamy grobu Enrica Dandola. Wystarczy zajrzeć do Internetu, aby się dowiedzieć, gdzie go można znaleźć. A wtedy... pojemnik nie będzie daleko. Tekst z maski mówi, by podążać za odgłosami kapiącej wody w głąb zatopionego pałacu.

– A niech to szlag! – zaklął Brüder i natychmiast się oddalił.

– Nie dotrze tam przed nami – rzucił Zarządca. – Mamy nad nią sporą przewagę.

Sinskey westchnęła ciężko.

– Nie byłabym tego taka pewna. Nasz samolot jest powolny, a panna Brooks wygląda na bardzo rezolutną osobę.

Gdy Mendacium cumował, Langdon spoglądał z niepokojem na widoczny w oddali kadłub samolotu transportowego.

Taka pozbawiona okien kupa metalu umie wznieść się w powietrze? I ja już nim leciałem?

Nie umiał sobie tego przypomnieć.

Czy to z powodu silniejszego kołysania przycumowanego jachtu, czy z powodu lęku przed wejściem na pokład klaustrofobicznej maszyny, poczuł nagły przypływ mdłości.

Spojrzał na doktor Sinskey.

– Obawiam się, że w takim stanie nigdzie nie polecę.

– To nic takiego – odparła. – Przeżył pan dzisiaj niezły magiel, no i toksyny zrobiły swoje.

– Toksyny? – Robert cofnął się o chwiejny krok. – O czym pani mówi?

Sinskey spuściła wzrok, jakby powiedziała przed chwilą więcej, niż chciała.

– Proszę mi wybaczyć, profesorze. Obawiam się, że dolega panu coś więcej niż tylko zwykły postrzał w głowę.

Langdon poczuł ukłucie strachu, gdy wyobraźnia podsunęła mu obraz czarnej plamy na klatce piersiowej Ferrisa.

– Co mi dolega? – zapytał.

Sinskey zawahała się, jakby nie wiedziała, co zrobić.

– Wejdźmy najpierw na pokład samolotu.

Rozdział 81

Atelier Pietro Longhi, znajdujące się na wschód od kościoła Frari, od dawien dawna było największym dostawcą weneckich kostiumów historycznych, peruk i innych akcesoriów. Na liście jego klientów można znaleźć ekipy filmowe, trupy teatralne oraz wpływowe postacie publiczne, które bez mrugnięcia okiem oddawały się w ręce doświadczonego personelu, gdy trzeba było wybrać przebranie na najbardziej ekstrawagancki bal karnawału.

Sprzedawca przymierzał się właśnie do zamknięcia sklepu, gdy nagle usłyszał dźwięk dzwonka umieszczonego nad drzwiami. Unosząc wzrok znad kasy, zobaczył piękną blondynkę. Zaczesane w kucyk włosy podskakiwały przy każdym kroku. Była zdyszana, jakby przebiegła właśnie kilka kilometrów. Podeszła do lady, w jej piwnych oczach widać było desperację.

– Chcę mówić z Giorgiem Vencim – wysapała.

Jak my wszyscy, pomyślał sprzedawca. Ale nasz czarodziej nie widuje się z nikim.

Główny projektant Giorgio Venci wyczarowywał kostiumy za opuszczoną kurtyną, rzadko rozmawiając z klientami, a jeśli już, to tylko z umówionymi. Człowiek tak bogaty i wpływowy jak

Giorgio mógł sobie pozwolić na ekscentryczne zachowania, a jednym z nich było zamiłowanie do przebywania w samotności. Jadał sam, latał sam i bez przerwy narzekał na rosnącą wciąż liczbę turystów zalewających rokrocznie Wenecję. Nie należał z pewnością do ludzi łaknących towarzystwa.

– Przykro mi – odparł sprzedawca z wyuczonym uśmiechem na ustach – ale obawiam się, że signor Venci wyszedł. Może ja mógłbym pani jakoś pomóc?

– Giorgio jest u siebie – prychnęła. – Mieszka na piętrze. Widziałam światło w jego oknach. Jestem jego przyjaciółką, która znalazła się w podbramkowej sytuacji.

Przyjaciółką?

– Jakie nazwisko mam przekazać?

Kobieta przysunęła sobie kartkę papieru i napisała na niej dwie litery, a potem ciąg cyferek.

– Proszę dać mu to – odparła, wręczając kartkę sprzedawcy. – I proszę się pośpieszyć. Nie mam zbyt wiele czasu.

Sprzedawca przyjął z ociąganiem karteluszek, zaniósł na piętro i położył na długim stole, przy którym Giorgio szył coś na maszynie.

– *Signore* – wyszeptał. – Ktoś chce się z panem zobaczyć. To kobieta... twierdzi, że coś się stało.

Krawiec wyciągnął rękę, nie odrywając wzroku od szwu. Zerknął tylko na karteczkę i nagle terkotanie maszyny umilkło.

– Przyślij ją tutaj natychmiast – rozkazał, drąc papier na drobne kawałki.

Rozdział 82

Wznoszący się z lotniska masywny samolot transportowy niemal od razu skręcił na południowy wschód, prosto nad wody Adriatyku. Langdon czuł się przytłoczony i oszołomiony zarazem – nękał go brak okien, a dezorientację powodował natłok myśli i pytań, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi.

„Dolega panu coś więcej niż tylko zwykły postrzał w głowę" – powiedziała mu Sinskey.

Robert denerwował się tym, co jeszcze od niej usłyszy, na razie jednak była zajęta rozważaniem różnych strategii mających zapobiec skażeniu. Brüder stał tuż obok, przy telefonie, informując agencje rządowe o Siennie Brooks i namawiając do zorganizowania poszukiwań na szeroką skalę.

Sienna...

Langdon wciąż nie mógł uwierzyć, że była zamieszana w tę aferę. Gdy samolot wyrównał lot po wejściu na odpowiedni pułap, niski mężczyzna nazywany Zarządcą przeszedł z drugiego końca kabiny i usiadł naprzeciw Roberta. Złożył palce pod brodą, wydymając przy tym wargi.

– Doktor Sinskey poprosiła, abym wprowadził pana w temat... to znaczy spróbował wyjaśnić pańską sytuację.

Langdon zastanawiał się, czy ten człowiek powie mu coś, co choćby w niewielkim stopniu zmniejszy jego zagubienie.

– Jak już wcześniej wspomniałem, wszystko zaczęło się od tego, że moja agentka zgarnęła pana zbyt wcześnie. Nie mieliśmy pojęcia, co pan już odkrył i ile z tej wiedzy zdążył pan przekazać doktor Sinskey. Baliśmy się, że doktor Sinskey skonfiskuje albo wręcz zniszczy najnowszy projekt naszego klienta, jak tylko czegoś się dowie. Musieliśmy ją uprzedzić i dlatego chcieliśmy, aby pracował pan dla nas, nie dla niej... – Zarządca zamilkł na moment. – Problem polegał na tym, że wyłożyliśmy już wszystkie karty... a pan wciąż nie chciał nam zaufać.

– I dlatego postrzeliliście mnie w głowę? – burknął rozeźlony Langdon.

– Zrobiliśmy to, aby zyskać pańskie zaufanie.

Robert pogubił się zupełnie.

– Liczyliście, że zaufa wam ktoś, kogo porwaliście i przesłuchiwaliście?

Mężczyzna poruszył się niezgrabnie.

– Profesorze, wie pan, co to benzodiazepiny?

Langdon pokręcił głową.

– To rodzaj leków używanych między innymi do leczenia stresu pourazowego. Jak pan zapewne się orientuje, człowiek, który przeżył traumatyczne wydarzenie, takie jak wypadek samochodowy lub napaść seksualna, często cierpi z powodu niemiłych wspomnień. Dzięki wspomnianemu specyfikowi neurologowie potrafią temu zapobiec.

Langdon słuchał w kompletnym milczeniu, nie mając pojęcia, do czego zmierza jego rozmówca.

– Formujące się nowe wspomnienia – kontynuował tymczasem Zarządca – są przechowywane przez czterdzieści osiem godzin w pamięci krótkoterminowej i dopiero po tym czasie migrują do pamięci długoterminowej. Używając nowych mieszanek benzodiazepin można bez trudu odświeżać pamięć krótkotrwałą... usuwając niepotrzebne wspomnienia, zanim zostaną one przesłane dalej. Ofiara napadu, jeśli poda jej się benzodiazepiny w ciągu kilku godzin po zdarzeniu, nie będzie niczego pamiętała, nie dozna więc zespołu stresu pourazowego. Wyłącznym negatywnym skutkiem ubocznym jest utrata wszystkich wspomnień z jednego bądź dwóch dni.

Langdon przyglądał mu się z niedowierzaniem.

– To wy spowodowaliście moją amnezję!

Zarządca westchnął cicho.

– Obawiam się, że tak. Wywołaliśmy ją chemicznie. To najbezpieczniejszy sposób na wykasowanie pamięci krótkotrwałej... – zamilkł. – Gdy był pan nieprzytomny, bełkotał pan coś o pladze, ale kładliśmy to na karb obejrzanego obrazu z projektora. Nie przyszło nam do głowy, że Zobrist może pracować nad prawdziwą zarazą. – Znowu zamilkł. – Mamrotał pan też słowa, które brzmiały tak, jakby pan kogoś przepraszał...

Vasari. CERCA TROVA. Do tego doszedłem po obejrzeniu projekcji *Mapy Piekła*.

– Ale... Myślałem, że amnezję spowodował postrzał w głowę. Ktoś mnie przecież postrzelił.

Zarządca zaprzeczył.

– Nikt do pana nie strzelał, profesorze. Nie ma pan na głowie żadnej rany.

– Co takiego? – Langdon sięgnął instynktownie do szwów na potylicy. – W takim razie co to jest!? – podniósł włosy, by pokazać wygolone miejsce.

– Część iluzji. Zrobiliśmy niewielkie nacięcie na skórze i natychmiast je zszyliśmy. Musiał pan wierzyć w to, że został pan zaatakowany.

To nie jest rana po kuli?

– Chcieliśmy, by po obudzeniu wierzył pan, że ktoś chce pana zabić... Że coś panu grozi.

– Przecież próbowano mnie zabić! – wrzasnął Langdon, zwracając na siebie uwagę wszystkich pasażerów transportowca. – W szpitalu na moich oczach zginął doktor Marconi. Został zastrzelony z zimną krwią!

– To, co pan widział – wyjaśnił Zarządca – tak naprawdę się nie wydarzyło. Vayentha pracowała dla mnie. Ma niezwykłą smykałkę do tego typu roboty.

– Do zabijania ludzi? – zdziwił się Robert.

– Nie. Do udawania, że zabija ludzi.

Langdon przyglądał mu się przez dłuższą chwilą, widząc oczyma wyobraźni siwobrodego lekarza o krzaczastych brwiach, który pada na podłogę, krwawiąc obficie z rany na piersi.

– Vayentha miała w magazynku same ślepaki – dodał Zarządca. – Pociągając za spust, wysłała sygnał do urządzenia, które przy detonacji zakrwawiło klatkę piersiową doktora Marconiego. Tak na marginesie, nic mu się nie stało.

Langdon przymknął oczy oszołomiony tym, co usłyszał.

– A ta... izolatka?

– Zaimprowizowane na szybko dekoracje. Profesorze, zdaję sobie sprawę, że ma pan problem z przyswojeniem tylu nowych informacji. Musieliśmy działać szybko, a pan był półprzytomny, nie widzieliśmy więc potrzeby dogrywania każdego detalu. Po przebudzeniu zobaczył pan to co trzeba: trochę szpitalnego sprzętu, kilku aktorów i zainscenizowaną scenę ataku.

Robert zachwiał się.

– Tym się zajmują moi podwładni – wyjaśnił Zarządca. – Tworzeniem iluzji.

– A co ze Sienną? – zapytał Langdon, przecierając oczy.

– Krótko mówiąc, sytuacja zmusiła mnie do współpracy z nią. Moim priorytetem była ochrona klienta przed doktor Sinskey, na czym również zależało Siennie. By zyskać pańskie zaufanie, uratowała pana przed morderczynią i pomogła uciec tylnym wyjściem. Taksówka zawiozła was do mieszkania, które naprędce zorganizowaliśmy.

To by tłumaczyło marny wystrój, pomyślał Langdon, teraz już rozumiejąc, dlaczego wszystko tam wyglądało, jakby pochodziło z garażowych wyprzedaży. Nie mówiąc już o tym, że „sąsiad" zupełnym przypadkiem nosił ubrania w jego rozmiarze.

Wszystko zostało ukartowane.

Nawet ten rozpaczliwy telefon od koleżanki ze szpitala był fałszerstwem. „Sienna, tu Danikova!"...

– Dzwoniąc do amerykańskiego konsulatu, wybrał pan numer wyszukany przez Siennę. Połączył się pan z moim człowiekiem przebywającym na pokładzie Mendacium.

– Nie rozmawiałem z sekretarzem konsulem...

– Nie.

„Proszę się nigdzie nie ruszać. Ktoś już po pana jedzie” – napominał go pracownik konsulatu. A gdy moment później pojawiła się Vayentha, Sienna wypatrzyła ją na ulicy i od razu dodała dwa do dwóch. „Twój rząd nasłał na ciebie zabójcę! Nie możesz rozmawiać z władzami! Twoją jedyną nadzieją jest rozwikłanie zagadki tego projektora!”...

Zarządca i jego tajemnicza organizacja – czymkolwiek u licha była – z powodzeniem przekabaciła go na swoją stronę. Ta iluzja była naprawdę doskonała.

Sienna okpiła mnie, pomyślał, czując więcej smutku niż złości.

Polubił ją, i to bardzo, podczas krótkiego czasu, jaki spędzili razem. Najbardziej męczyło go teraz pytanie, jakim cudem osoba tak inteligentna jak Sienna mogła uwierzyć w maniakalne idee Zobrista.

Rozmawiali o tym wcześniej. Powiedziała mu wtedy: „Naszej cywilizacji grozi zagłada, i to rychła, o ile nie dojdzie do drastycznych zmian... Obliczeń nie da się podważyć”.

– A tamte artykuły? – zapytał Langdon, przypominając sobie ulotkę teatralną i teksty o niezwykłej inteligencji młodej Sienny Brooks.

– Były autentyczne – odparł Zarządca. – Przekonująca iluzja wymaga zaangażowania jak największej liczby prawdziwych detali. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu, dlatego w tym wypadku jedynymi prawdziwymi przedmiotami były te artykuły i komputer Sienny. Właściwie nie chcieliśmy, aby je pan zobaczył, no chyba że zacząłby pan coś podejrzewać.

– Nie chcieliście też, żebym skorzystał z komputera – domyślił się Robert.

– W tym momencie straciliśmy kontrolę nad sytuacją. Sienna nie przypuszczała, że zespół doktor Sinskey znajdzie to mieszkanie, dlatego na widok żołnierzy wpadła w panikę i zaczęła improwizować. Uciekła z panem, próbując ocalić iluzję, a ja musiałem wykluczyć Vayenthę, która jednak złamała protokół i nadal pana ścigała.

– Byłaby mnie zabiła – stwierdził Langdon, a następnie streścił wydarzenia z poddasza Palazzo Vecchio, gdzie Vayentha mierzyła do niego z niewielkiej odległości. „Zaboli tylko przez chwilę. Nie dałeś mi wyboru". Sienna wypadła z mroku i wypchnęła zabójczynię za barierkę, doprowadzając do jej śmierci.

Zarządca westchnął ciężko, przetrawiając słowa Roberta.

– Wątpię, aby chciała pana zabić... jej pistolet strzelał tylko ślepakami. Jedyną jej szansą na rehabilitację było odzyskanie kontroli nad panem. Zapewne miała nadzieję, że gdy strzeli ślepym nabojem, zrozumie pan, że nie jest zabójczynią i że to wszystko tylko iluzja... – Zarządca zamyślił się i dopiero po chwili dodał: – Nie mam zamiaru zgadywać, czy Siennie zależało na wyeliminowaniu Vayenthy czy zadziałała instynktownie, by nie dopuścić do strzału. Zaczynam jednak rozumieć, że nie znałem panny Brooks tak dobrze, jak mi się wydawało.

Ja także, zgodził się z nim Langdon.

Niemniej gdy wspomniał wyraz szoku malujący się na twarzy Sienny chwilę po tym, jak zepchnęła uczesaną w irokeza współpracownicę Zarządcy, dotarło do niego, że Sienna popełniła raczej fatalny błąd, z czego natychmiast zdała sobie sprawę.

Poczuł się taki zagubiony i samotny. Odwrócił się w stronę okienka, by spojrzeć na świat, lecz zobaczył przed sobą litą ścianę.

Muszę się stąd wydostać!

– Wszystko w porządku? – zapytał Zarządca, przyglądając się Robertowi z troską w oczach.

– Nie – odparł Langdon. – Nic nie jest w porządku.

Jakoś to przeżyje, pomyślał Zarządca. Po prostu próbuje dopasować się do nowej rzeczywistości.

Amerykanin wyglądał jak człowiek, którego tornado porwało z domu, wykręciło na wszystkie strony, a potem wypluło na obcej ziemi, kompletnie oszołomionego i zdezorientowanego.

Osoby brane na celownik przez Konsorcjum rzadko zdawały sobie sprawę, że wydarzenia, w których biorą udział, są wyreżyserowane. A jeśli ktoś nawet dochodził do prawdy, zazwyczaj działo się to z dala od Zarządcy. Dzisiaj jednak prócz poczucia winy, jakie gnębiło go z powodu doświadczanego przez Langdona cierpienia, którego był naocznym świadkiem, miał jeszcze przygnębiające wrażenie, że to on odpowiada za obecny kryzys.

Przyjąłem nie tego klienta co trzeba. Bertranda Zobrista.

Zaufałem nie tej osobie co trzeba. Siennie Brooks.

A teraz Zarządca leciał prosto w oko cyklonu – do miejsca, gdzie ukryto zabójczą zarazę, która może wyludnić całą planetę. Nawet jeśli wyjdzie cało z tej afery, Konsorcjum i tak upadnie. Oskarżeniom i dochodzeniom nie będzie końca.

Czy tak to się dla mnie skończy?

Rozdział 83

Potrzebuję powietrza, myślał Langdon. Widoku... Czegokolwiek.

Pozbawiony okien kadłub zdawał się zaciskać wokół niego. A dziwna opowieść o tym, co się z nim działo w ciągu minionego dnia, wcale nie pomagała zapanować nad nieprzyjemnym uczuciem. Mózg pękał mu od nadmiaru pytań bez odpowiedzi... a większość z nich dotyczyła Sienny.

Dziwne, ale brakowało mu jej.

Udawała, przypomniał sobie. Wykorzystała mnie.

Nie mówiąc słowa, zostawił Zarządcę i ruszył w kierunku przedniej części transportowca. Drzwi kabiny pilotów były uchylone, blask naturalnego światła przywoływał go niczym syreni śpiew. Stanął w progu, poza polem widzenia pilotów, i pozwolił, by słońce ogrzało mu twarz. Rozległa przestrzeń przed dziobem samolotu była dla niego jak manna z nieba. Czyste błękitne niebo wyglądało tak spokojnie... tak solidnie.

Nic nie jest wieczne, napomniał się w myślach, nie mogąc zapomnieć o potencjalnej katastrofie, której mieli zapobiec.

– Profesorze? – odwrócił się, słysząc czyjś głos za plecami.

Zaskoczony cofnął się o krok. Przed nim stał doktor Ferris. Gdy Langdon widział go ostatni raz, lekarz wił się w konwulsjach na podłodze bazyliki, nie mogąc złapać oddechu. Teraz stał w samolocie oparty o przegrodę, z czapeczką baseballową na głowie i twarzą wysmarowaną różową maścią. Klatkę piersiową obandażowano mu mocno, przez co oddychał rytmicznie, ale bardzo płytko. Wyglądało na to, że nikt się nie przejmował tym, że roznosi zarazę.

– Ty... żyjesz? – zapytał Robert, nie spuszczając go z oczu.

Ferris skinął głową.

– Jako tako. – Wydawał się teraz bardziej rozluźniony niż w trakcie podróży pociągiem.

– Myślałem... – Langdon zamilkł. – To znaczy... Sam już nie wiem, co myśleć.

Ferris uśmiechnął się współczująco.

– Usłyszałeś dziś masę kłamstw. Chyba jestem ci winien przeprosiny. Jak zapewne już się domyśliłeś, nie pracuję dla Światowej Organizacji Zdrowia i nie zwerbowałem cię w Stanach.

Langdon skinął głową. Był zbyt zmęczony, by cokolwiek mogło go jeszcze zdziwić.

– Pracujesz dla Zarządcy.

– Tak. Wysłał mnie, abym udzielił wam wsparcia, tobie i Siennie... Żebyście mogli uciec przed zespołem IWO.

– Odwaliłeś kawał dobrej roboty – przyznał Langdon, przypominając sobie, jak Ferris wszedł do baptysterium, przekonał go, że jest pracownikiem Światowej Organizacji Zdrowia, a potem wywiózł ich z Florencji, chroniąc przed ludźmi doktor Sinskey. – Czyli lekarzem też nie jesteś.

Obandażowany mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, to była tylko rola. Moje zadanie polegało na udzieleniu Siennie wsparcia, żebyś zdążył znaleźć miejsce wskazane przez projektor. Zarządca chciał odkryć, gdzie Zobrist ukrył swoje dzieło, które trzeba było chronić przed doktor Sinskey.

– Nie wiedziałeś, że chodzi o nową zarazę? – Langdon wciąż był ciekaw, skąd się wzięła dziwaczna wysypka na twarzy Ferrisa i jaki był powód krwotoku wewnętrznego.

– Nie miałem o tym pojęcia! Gdy wspomniałeś o pladze, sądziłem, że to historyjka, jaką Sienna cię uraczyła dla większej motywacji. Stąd moje zachowanie. Zabrałem was do pociągu... i wtedy wszystko się zmieniło.

– Nie rozumiem.

– Zarządca obejrzał nagranie...

To wiele wyjaśnia.

– ...i zdał sobie sprawę, że Zobrist to szaleniec – dokończył za niego Langdon.

– Właśnie. Zarządca zrozumiał, w co klient wplątał Konsorcjum, i przeraził się. Natychmiast spróbował nawiązać kontakt z osobą, która znała Zobrista najlepiej, czyli z FS-2080, by sprawdzić, o co tu naprawdę chodzi.

– Z FS-2080?

– To znaczy ze Sienną Brooks. Taki był jej pseudonim podczas tej operacji. Ma to jakiś związek z transhumanizmem. Problem w tym, że mógł dotrzeć do niej tylko przeze mnie.

– Ten telefon w pociągu – przypomniał sobie Langdon. – Od chorej matki.

– Nie mogłem rozmawiać w twojej obecności. Zarządca opowiedział mi o nagraniu. Miał nadzieję, że Sienna też została omotana, ale kiedy mu powiedziałem, że rozmawiacie o jakiejś zarazie i nic nie wskazuje, żebyście chcieli przerwać misję, uznał, że tkwi w tym od samego początku. Natychmiast zaczęliśmy ją traktować jak wroga. Kazał mi meldować o waszych ruchach w Wenecji, aby mógł wysłać zespół w celu jej pojmania. Chłopcy niemal ją dopadli w bazylice, lecz jakimś cudem zdołała im uciec.

Langdon wbił wzrok w pokład. Wciąż widział jej śliczne piwne oczy spoglądające na niego ze szczytu studni.

„Przepraszam, Robercie. Za wszystko."

– Jest twarda – stwierdził Ferris. – Zdaje się, że nie widziałeś, jak zaatakowała mnie w bazylice.

– Zaatakowała?

– Tak. Gdy weszli żołnierze, chciałem ich zawołać i wskazać im Siennę, ale ona to przewidziała. Walnęła mnie nasadą dłoni w mostek.

– Co takiego?

– Nie wiedziałem nawet, co mnie trafiło. To musiał być cios wschodnich sztuk walki. Zabolało okrutnie, głównie z powodu wcześniejszego siniaka. Potrzebowałem kilku minut, by odzyskać oddech. Sienna wyciągnęła cię na balkon, zanim ktokolwiek zdążył zrozumieć, co się dzieje.

Zaskoczony Langdon przypomniał sobie starszą Włoszkę, która krzyczała: *L'hai colpito al petto!*, stukając pięścią we własny mostek.

„Nie" – odparła Sienna. – „Reanimacja go zabije! Spójrz na jego klatkę piersiową!"

Gdy zastanowił się nad tamtymi wydarzeniami, zauważył, na czym polegała sztuczka. Sienna umiejętnie przekręciła słowa Włoszki. To nie była sugestia niesienia pomocy, lecz wykrzyczane oskarżenie: „Ty go uderzyłaś!”.

Langdon nie dostrzegł tego w panującym zamieszaniu.

Ferris uśmiechnął się boleśnie.

– Zapewne już słyszałeś, że bystra z niej sztuka.

Robert przytaknął.

– Ludzie Sinskey zanieśli mnie na pokład jachtu i opatrzyli. A Zarządca zabrał z sobą, ponieważ byłem jedynym z jego ludzi, który miał dzisiaj kontakt ze Sienną.

Langdon skinął głową, w dalszym ciągu rozpraszała go wysypka Ferrisa.

– Twoja twarz... – zaczął – i ten krwiak na piersi. Czy to nie...

– Dżuma? – Mężczyzna zaśmiał się i pokręcił głową. – Nie wiem, czy już ci o tym mówiono, ale tak naprawdę grałem dzisiaj aż dwóch lekarzy.

– Słucham?

– Gdy pojawiłem się w baptysterium, powiedziałeś, że wyglądam nieco znajomo.

– Owszem. Nieco. Chodziło o twoje oczy. Odparłeś, iż pewnie przez to, że zwerbowałeś mnie w Stanach... – Langdon zamilkł. – A skoro to nieprawda...

– Wydałem ci się znajomy, ponieważ już się spotkaliśmy. Ale nie w Stanach. – Ferris przyglądał się Langdonowi, czekając, aż ten zaskoczy. – Byłem pierwszą osoba, którą zobaczyłeś po przebudzeniu się w szpitalu.

Langdon przypomniał sobie ciasną ponurą izolatkę. Był zamroczony, wzrok miał zamglony, ale mógłby przysiąc, że pierwszą osobą, którą wtedy zobaczył, był starszy lekarz z krzaczastymi brwiami i niechlujną brodą, który mówił tylko po włosku.

– Nie – powiedział – pierwszym człowiekiem, którego zobaczyłem, był doktor Marconi...

– *Scusi, professore* – przerwał mu Ferris, mówiąc z idealnym włoskim akcentem. – *Ma non si ricorda di me?* – Pochylił się, jakby nagle przybyło mu lat, przygładził wyimaginowane krzaczaste brwi i poskubał niewidzialną brodę. – *Sono il dottor Marconi.*

Langdonowi opadła szczęka.

– To byłeś ty?

– Stąd moje oczy wydały ci się znajome. Nigdy wcześniej nie nosiłem sztucznych brwi i brody i niestety zbyt późno się zorientowałem, że jestem uczulony na klej. Skóra mi od niego poczerwieniała i dostałem wysypki. Nie wątpię, że musiałeś mieć obawy, widząc mnie w tym stanie... w końcu szukałeś czegoś w rodzaju nowej dżumy.

Langdona zatkało, widział przecież, jak lekarz osuwa się na podłogę po strzale Vayenthy, a z jego piersi płynie krew.

– Co gorsza – dodał Ferris – urządzenie imitujące postrzał odwróciło się w trakcie akcji. Nie zdołałem go poprawić na czas i wybuch nie poszedł w odpowiednim kierunku. Złamał mi żebro i przyprawił o paskudnego krwiaka. Od rana nie mogłem głębiej odetchnąć.

A ja sądziłem, że jesteś chory na dżumę!...

Ferris odetchnął głębiej i natychmiast się skrzywił.

– Chyba muszę znowu usiąść. – Odchodząc, wskazał za plecy Langdona. – I tak masz już towarzystwo.

Robert odwrócił się i zauważył, że doktor Sinskey zmierza w jego stronę. Jej siwe włosy powiewały za nią przy każdym kroku.

– Tutaj pan jest, profesorze!

Elizabeth Sinskey wyglądała na wyczerpaną, jednakże Langdon dostrzegł w jej oczach świeży błysk nadziei.

Czegoś się dowiedziała.

– Przepraszam, że tak pana zostawiłam – stwierdziła, podchodząc do niego. – Musiałam skoordynować działania i sprawdzić to i owo. – Wskazała dłonią na otwarte drzwi kabiny pilotów. – Widzę, że zażywa pan kąpieli słonecznej.

Langdon wzruszył ramionami.

– Ten samolot powinien mieć okna.

Uśmiechnęła się do niego współczująco.

– Mam nadzieję, że Zarządca wyjaśnił panu wszystko.

– Owszem, ale nie powiem, żeby mi się to podobało.

– Doskonale pana rozumiem – zapewniła, rozglądając się czujnie. – Proszę mi zaufać – dodała szeptem – ten człowiek i jego organizacja poniosą konsekwencje. Zadbam o to osobiście. Na razie jednak musimy się skupić na odnalezieniu pojemnika, zanim się rozpuści i skazi wodę.

Albo zanim Sienna dotrze do niego i pomoże rozsiać zarazę.

– Chcę porozmawiać z panem o budynku, w którym mieści się grób Dandola.

Langdon przypominał sobie szczegóły tej budowli, odkąd zrozumiał, co będzie ich następnym celem. Muzejon świętej wiedzy.

– Mam ekscytujące wieści – poinformowała go Sinskey. – Rozmawiałam właśnie przez telefon z miejscowym historykiem. Rzecz jasna nie wiedział, z jakiego powodu interesuje nas grób doży, ale niech pan zgadnie, co odpowiedział na pytanie, co może być pod spodem? – Uśmiechnęła się. – Woda.

– Naprawdę?

– Wygląda na to, że podziemne kondygnacje zostały zalane. W ciągu stuleci poziom wody rósł, zatapiając co najmniej dwa piętra. Nasz informator twierdzi, że musi tam być sporo kieszeni powietrznych i na wpół zalanych pomieszczeń.

Mój Boże.

Langdon przypomniał sobie nagranie Zobrista i dziwnie podświetloną zalaną jaskinię, na której ścianach widać było niewyraźne cienie filarów.

– Czyli to jakaś zalana komnata.

– Zgadza się.

– Ale jak... Jak Zobrist się do niej dostał?

Oczy jej zalśniły.

– To najciekawsza część. Nie uwierzy pan, czego jeszcze się dowiedziałam.

W tym samym momencie, niecałe dwa kilometry od wybrzeży Wenecji, z lotniska Nicelli na maleńkiej wyspie zwanej Lido wystartowała smukła cessna Citation Mustang.

Jej właściciela, znanego projektanta Giorgia Venciego, nie było na pokładzie, gdy maszyna sunęła po ciemniejącym niebie,

jednakże piloci mieli dowieźć atrakcyjną młodą blondynkę, gdzie tylko im każe.

Rozdział 84

Nad stolicą dawnego Bizancjum zapadał zmierzch.

Wzdłuż wybrzeża morza Marmara zapalano kolejne reflektory, aby podświetlały lśniące meczety i górujące nad nimi smukłe minarety. Nadszedł czas *akşam*, zatem rozmieszczone wokół świątyń głośniki zadrżały od intonowanych przez muezinów przeciągłych wezwań do modlitwy, zwanych *adhān*.

La-ilaha-illa-Allah. Nie ma boga prócz Allaha.

Gdy wierni śpieszyli do meczetów, reszta miasta tętniła codziennym życiem, studenci uniwersytetów popijali piwo, biznesmeni zawierali transakcje, handlarze sprzedawali przyprawy i dywany, a turyści zwiedzali zabytki.

Tutaj, w mieście przeciwieństw, zderzały się światy – religijny ze świeckim, starożytny z nowoczesnym, wschodni z zachodnim. Wieczny gród zbudowany na granicy między Europą i Azją pełnił rolę pomostu łączącego Stary Świat i prawdziwą starożytność.

Stambuł.

Od pewnego czasu nie pełnił już roli stolicy Turcji, lecz wcześniej to właśnie tutaj tętniło serce trzech znanych imperiów – bizantyjskiego, rzymskiego i osmańskiego. Z tego powodu

Stambuł był jednym z najbardziej różnorodnych miast świata. Od pałacu Topkapi przez Błękitny Meczet po Twierdzę Siedmiu Wież – wszędzie można było wysłuchać licznych opowieści o bitwach, chwale i porażce.

Tej nocy nad miastem, które czekało na nadejście burzy, pojawił się podchodzący do lądowania transportowiec. Maszyna wykonała ostatni zwrot, kierując się na lotnisko imienia Atatürka. Robert Langdon siedział w kokpicie za pilotami i spoglądając w okno, cieszył się, że znaleziono mu miejsce z widokiem – chociaż było to tylko zwykłe rozkładane siedzisko używane przez obsługę w razie turbulencji.

Czuł się rześko dzięki zjedzonemu posiłkowi i zasłużonej niemal godzinnej drzemce z tyłu samolotu.

Po prawej stronie widział światła Stambułu, lśniący półwysep w kształcie rogu wcinający się w aksamitną czerń morza Marmara. To była europejska część miasta, oddzielona od azjatyckiej wąską wstęgą mroku.

Cieśnina Bosfor.

Na pierwszy rzut oka przypominała ona szerokie rozcięcie dzielące miasto na dwie połowy, ale tak naprawdę to właśnie ten akwen był główną arterią, dzięki której kwitł okoliczny handel. Pomijając fakt, że miasto miało dwa wybrzeża, cieśnina stanowiła jedyny szlak morski łączący Morze Śródziemne z Morzem Czarnym, dzięki czemu Stambuł był pomostem między dwoma światami.

Gdy samolot przebił się przez cienką warstwę chmur, Langdon instynktownie spojrzał ku światłom odległego miasta, próbując wypatrzyć wielką budowlę, która była celem ich podróży.

Miejsce pochówku Enrica Dandola.

Jak się bowiem okazało, ciało zdradzieckiego doży nie spoczęło w Wenecji. Pochowano je natomiast w sercu fortecy, którą zdobył w tysiąc dwieście drugim roku, składając na wieczny spoczynek w największej świątyni, jaką oferowało złupione miasto – w budowli, która po dziś dzień pozostała najwspanialszym klejnotem tego regionu.

W Hagia Sophia.

Wzniesiona w trzysta sześćdziesiątym roku świątynia służyła za katedrę obrządku wschodniego aż do tysiąc dwieście czwartego roku, gdy czwarta krucjata Enrica Dandola zdobyła miasto i przekształciła ją w kościół katolicki. Potem, w piętnastym stuleciu, po podbiciu Konstantynopola przez Mehmeda II Zdobywcę, stała się meczetem i tę funkcję pełniła aż do tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, wtedy to bowiem została zdesakralizowana i przerobiona na muzeum.

Zdobny muzejon świętej wiedzy, pomyślał Langdon.

Hagia Sophia nie tylko zawierała więcej złoceń niż wenecka bazylika, ale i jej nazwa oznaczała „Bożą Mądrość".

Langdon przywołał w pamięci tę gigantyczną budowlę, próbując sobie uświadomić, że gdzieś w jej podziemiach, w wodach mrocznej laguny, spoczywa rozpuszczający się wolno pojemnik, którego zawartość może przynieść światu zagładę.

Modlił się, aby nie przybyli zbyt późno.

– Dolne poziomy budowli zostały zalane – poinformowała go podczas lotu doktor Sinskey, gestem zapraszając jednocześnie do centrum operacyjnego. – Nie uwierzy pan, czego się właśnie

dowiedziałam. Słyszał pan może o twórcy filmów dokumentalnych nazwiskiem Göksel Gülensoy?

Langdon zaprzeczył.

– Szukając danych, znalazłam ciekawy film nakręcony przed kilku laty przez tego właśnie twórcę.

– O Kościele Mądrości Bożej nakręcono dziesiątki filmów.

– Owszem – odparła, dotarłszy do centrum operacyjnego – ale na pewno nie takich. – Odwróciła laptop, aby miał lepszy widok. – Proszę przeczytać.

Langdon usiadł i rzucił okiem na artykuł. Był to zbiór informacji z kilku źródeł, w tym z gazety „Hürriyet Daily News", omawiających najnowsze dzieło Gülensoya noszące tytuł: *W głębinach Kościoła Mądrości Bożej*.

Gdy zaczął czytać, natychmiast zrozumiał powody ekscytacji Sinskey. Już pierwsze słowo sprawiło, że zerknął w jej kierunku, nie kryjąc zaskoczenia. Nurkowanie?

– Tak, tak – potwierdziła. – Proszę czytać dalej.

Robert przeniósł wzrok na ekran.

NURKOWANIE W ZALANYCH WNĘTRZACH HAGIA SOPHIA:
Dokumentalista Göksel Gülensoy i jego zespół nurków zlokalizowali zalane pomieszczenia znajdujące się dziesiątki metrów pod często odwiedzaną przez turystów budowlą sakralną.

W trakcie badań znaleziono wiele cudów architektury, wliczając w to osiemsetletnie groby dziecięcych męczenników, zalane tunele łączące świątynię z pałacami Topkapi i Tekfur oraz słynne odnogi Lochów Anemasa.

„Sądzę, że podziemia są znacznie bardziej interesujące niż to, co widać na powierzchni" – wyjaśnia Gülensoy, opowiadając, że wpadł na pomysł nakręcenia tego filmu, oglądając starą fotografię, na której naukowcy badają

fundamenty świątyni, płynąc łodzią przez ogromne, na wpół zalane pomieszczenie.

– Wskazał pan właściwy budynek! To pewne! – ekscytowała się Sinskey. – Wszystko wskazuje na to, że pod świątynią znajduje się wiele pomieszczeń, do których można się dostać nawet bez użycia sprzętu do nurkowania... co może tłumaczyć, jak Zobrist zrobił to nagranie.

Stojący za plecami Langdona agent Brüder także przyglądał się ekranowi laptopa.

– Wygląda też na to, że są tam kanały biegnące do wielu innych miejsc w mieście. Jeśli pojemnik rozpuści się, zanim do niego dotrzemy, nie zdołamy zapobiec rozprzestrzenieniu się jego zawartości.

– Pojemnik... – mruknął Langdon. – Wiecie chociaż, co w nim jest? Chodzi mi o to, czy wiecie dokładnie? Zdaję sobie sprawę, że mamy do czynienia z jakimś patogenem, ale...

– Przeanalizowaliśmy nagranie – wyjaśnił Brüder – i sądzimy, że to raczej czynnik biologiczny niż chemiczny.... Inaczej mówiąc, coś żywego. Zważywszy na niewielkie rozmiary pojemnika, zakładamy, że mamy do czynieni z organizmem, który łatwo się przenosi i może się szybko rozmnażać. Nie wiemy tylko, czy to bakteria przenoszona drogą wodną czy wirus przenoszony drogą oddechową. Obie wersje są równie prawdopodobne.

– Zbieramy teraz dane na temat temperatury wody w tej okolicy – dodała Sinskey – aby ocenić, które ze znanych bakterii mogłyby się w niej najszybciej rozwijać, aczkolwiek mamy świadomość, że geniusz pokroju Zobrista mógł stworzyć zarazę

wymykającą się wszelkiej klasyfikacji. Podejrzewam, że nie bez powodu wybrał właśnie to miejsce.

Brüder skinął z rezygnacją głową, po czym stwierdził, że dziwaczny mechanizm uwolnienia zarazy – czyli umieszczony pod wodą rozpuszczalny pojemnik – jest genialny w swej prostocie. Umieszczenie pojemnika i pod ziemią, i pod wodą stwarzało idealne warunki inkubacji: stała temperatura otoczenia, brak promieniowania słonecznego, wyeliminowanie przypadkowych kolizji i totalna izolacja. Wybierając pojemnik o konkretnej trwałości, Zobrist był w stanie zostawić patogen, wiedząc, że ten będzie w spokoju dojrzewał do momentu uwolnienia.

Które nastąpi nawet wtedy, gdy on nie będzie mógł wrócić.

Seria nagłych wstrząsów towarzyszących lądowaniu zmusiła Langdona do przytrzymania się siedziska. Pilot rozpoczął ostre hamowanie, a potem skręcił w kierunku odległego hangaru, przed którym wielki transportowiec w końcu się zatrzymał.

Robert spodziewał się, że powita ich armia ubranych w stroje ochronne funkcjonariuszy Światowej Organizacji Zdrowia. Ku jego zdziwieniu jedyną osoba, jaka czekała na lotnisku, był kierowca białej furgonetki oznaczonej symbolem czerwonego równoramiennego krzyża.

Czerwony Krzyż? Tutaj?

Langdon przyjrzał się symbolowi i uświadomił sobie, że ktoś jeszcze używa takiego znaku.

Ambasada Szwajcarii!

Rozpiął pasy i podszedł do Sinskey, która podobnie jak pozostali przygotowywała się do opuszczenia pokładu.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał. – Pracownicy Światowej Organizacji Zdrowia? Tureckie władze? Pojechali od razu na miejsce?

Rzuciła mu niespokojne spojrzenie.

– Szczerze mówiąc... Zdecydowaliśmy, że nie będziemy powiadamiać lokalnych władz. Mamy ze sobą najlepszych ludzi z ECDC. Zamiast wywoływać ogólną panikę, wolimy załatwić sprawę szybko i po cichu.

Stojący opodal Langdona agent Brüder i jego podwładni dopinali właśnie torby, w których znajdował się sprzęt ochronny – szczelne kombinezony, aparaty oddechowe i elektroniczne detektory skażeń.

Brüder zarzucił swoją torbę na ramię i podszedł do szefowej.

– Wyruszamy. Wejdziemy do budynku, znajdziemy grób Dandola i spróbujemy ustalić, skąd dochodzą odgłosy kapania wody. Potem zdecydujemy, czy sytuacja wymaga angażowania miejscowych władz.

Langdon natychmiast dostrzegł luki w planie.

– Hagia Sophia jest zamykana o zmierzchu, zatem raczej nie wejdziemy do środka bez zgody miejscowych władz.

– Myli się pan – uspokoiła go Sinskey. – Skontaktowałam się z ambasadą Szwajcarii i poprosiłam, by drogą oficjalną zwrócono się do dyrektora tamtejszego muzeum o zgodę na przyjęcie po godzinach ważnej osobistości. Z tego co wiem, wydano już takie pozwolenie.

Mało brakowało, a Langdon wybuchnąłby śmiechem.

– Prywatna wizyta dyrektorki Światowej Organizacji Zdrowia? Nie wspominając o całej armii żołnierzy dźwigających torby pełne

specjalistycznego sprzętu? Naprawdę uważa pani, że nikogo to nie zdziwi?

– Zespół IWO i sprzęt pozostaną w samochodzie, dopóki pan, ja i Brüder nie dokonamy wstępnej oceny sytuacji – wyjaśniła. – A tak na marginesie, nie ja mam być tą ważną osobistością, tylko pan.

– Co takiego?

– Poinformowaliśmy dyrekcję muzeum, że znany amerykański profesor przyleciał ze swoim zespołem badawczym, aby zebrać materiały do artykułu o symbolach występujących w Kościele Mądrości Bożej, jednakże jego samolot miał kilkugodzinne opóźnienie, zatem ze zrozumiałych względów nie mógł się pojawić w godzinach otwarcia placówki. A ponieważ jutro musi wracać, mamy nadzieję...

– Dobrze – mruknął Langdon. – Rozumiem.

– Muzeum wyśle przedstawiciela, z którym spotkamy się na miejscu. Jak się okazało, będzie to wielbiciel pańskich prac o sztuce islamu. – Sinskey uśmiechnęła się do niego, próbując okazać choć odrobinę optymizmu. – Zapewniono nas również, że ma pan dostęp do każdej części kompleksu.

– Co najważniejsze jednak – wtrącił Brüder – będziemy mieli całe muzeum tylko dla siebie.

Rozdział 85

Robert Langdon spoglądał smętnie w okno furgonetki, gdy ta mknęła ciągnącą się wzdłuż wybrzeża autostradą, która łączyła port lotniczy imienia Atatürka z centrum Stambułu. Szwajcarscy urzędnicy umożliwili całej grupie szybką i prostą odprawę, dzięki czemu po zaledwie paru minutach biały samochód ambasady opuścił teren lotniska.

Sinskey poleciła Zarządcy i Ferrisowi, by pozostali na pokładzie transportowca i z pomocą kilku pracowników Światowej Organizacji Zdrowia próbowali namierzyć miejsce pobytu Sienny Brooks.

Chociaż nikt z zespołu nie wierzył, by mogła w tak krótkim czasie dotrzeć do Stambułu, istniało ryzyko, że skontaktowała się telefonicznie z tureckimi wyznawcami Zobrista i poprosiła ich o pomoc w zrealizowaniu szalonego planu ich mentora, zanim na miejsce dotrze zespół Sinskey.

Czy Sienna byłaby zdolna do popełnienia masowego morderstwa?

Langdon wciąż miał problem z ogarnięciem wydarzeń minionego dnia. Chociaż było to bolesne, nie mógł ignorować

prawdy.

Nawet jej dobrze nie znałeś... Okpiła cię.

Gdy zaczął padać lekki deszczyk, Robert poczuł nawrót senności potęgowany przez rytmiczny świst pracujących wycieraczek. Po prawej, na wodach morza Marmara, widział światła pozycyjne luksusowych jachtów i gigantycznych tankowców wpływających do znajdującego się w pobliżu miejskiego portu bądź opuszczających go. Wzdłuż całego wybrzeża dało się także zauważyć smukłe wieże minaretów górujące nad kopułami meczetów, które na każdym kroku przypominały, że współczesny świecki Stambuł ma bardzo religijne korzenie.

Langdon zawsze uważał, że ten kilkunastokilometrowy pas autostrady jest jedną z najpiękniejszych dróg Europy. Był to idealny przykład stambulskiego starcia dawnego z nowym. Trasa wiodła po części wzdłuż Muru Konstantyna zbudowanego szesnaście stuleci przed narodzeniem człowieka, którego imieniem została nazwana – czyli Johna F. Kennedy'ego. Amerykański prezydent był gorącym orędownikiem wizji Kemala Atatürka, który pragnął zbudować turecką republikę na zgliszczach dawnego imperium.

Po oddaleniu się od morza aleja Kennedy'ego przecinała piękne gaje i historyczne parki, by za portem Yenikapi dotrzeć do granic miasta i cieśniny Bosfor, gdzie skręcając bardziej na północ, omijała Złoty Róg. Tamże, wysoko nad miastem, wznosiła się osmańska warownia Topkapi. Turyści uwielbiali ją głównie za sprawą fantastycznego widoku na cieśninę, choć podczas zwiedzania nie omijali też bogatej kolekcji skarbów, wśród

których znajdowały się miecz i płaszcz należące ponoć do samego proroka Mahometa.

Tak daleko nie zajedziemy.

Langdon już sobie wyobrażał cel ich podróży wznoszący się o wiele bliżej, w samym sercu miasta.

Gdy opuścili aleję Kennedy'ego i zaczęli kluczyć ulicami gęsto zaludnionego miasta, Robert przyglądał się ludziom stłoczonym na chodnikach, wspominając tematy toczonych wcześniej rozmów.

Przeludnienie.

Plaga.

Szalone aspiracje Zobrista.

Chociaż już wcześniej miał świadomość, jaki cel przyświeca zespołowi IWO, dopiero teraz pojął pełne znaczenie tej misji.

Udajemy się do punktu zero.

Oczyma wyobraźni widział wolno rozpuszczający się pojemnik z żółtobrązową cieczą i równocześnie zastanawiał się, jakim cudem dał się wplątać w tak potworną aferę.

Dziwaczny tekst, który odkrył wspólnie ze Sienną na odwrotnej stronie maski pośmiertnej Dantego, doprowadził go w końcu do Stambułu. Wskazał zespołowi IWO kompleks Hagia Sophia, wiedział jednak, że to jeszcze nie koniec.

Uklęknijcie w zdobnym muzejonie świętej wiedzy
i tam, uszy swe do ziemi przyłożywszy,
wsłuchajcie się w kropel kapiących dzwony,
aby w głąb zatopionego pałacu wyruszyć...
Tamże, w mrokach, bestia chtoniczna się ukrywa,
w krwistych wodach zanurzona...

w lagunie, w której nie przejrzały się gwiazdy.

Znów ogarnął go niepokój. Wiedział bowiem, że niemal identyczną sceną kończy się ostatnia pieśń *Piekła* Dantego: po długiej wędrówce przez zaświaty Dante i Wergiliusz docierają na samo dno piekieł. Tam, nie widząc dalszej drogi, wsłuchują się w szmer wody płynącej pod ich stopami i wędrując z jej biegiem, odkrywają szczeliny... za którymi znajdują wybawienie.

Dante pisał:

Czeluść ta, w ziemskim wydrążona łonie... Oczom niewidna, a jedno po tonie Rozpoznawana bulgocącej strugi... Owym mię skrytym Wódz powiódł podsieniem. I szliśmy, by wnet wyjrzeć na lazury.

Ta scena z Dantego najwyraźniej natchnęła Zobrista do napisania swojego tekstu. Langdon był tego pewien, mimo że szalony miliarder wszystko poprzeinaczał. Teraz on i jego towarzysze będą szli, wsłuchując się w szmer kapiącej wody, jednakże w odróżnieniu od Dantego nie po to, by oddalić się od piekła... lecz by do niego wkroczyć.

Kiedy furgonetka lawirowała po coraz węższych i bardziej zatłoczonych uliczkach, do Roberta zaczął docierać sens przewrotnej logiki, która kazała Zobristowi wybrać centrum Stambułu na miejsce wybuchu zarazy.

Tutaj Wschód styka się z Zachodem.

To skrzyżowanie światów.

Stambuł przetrwał niejedną zarazę, która zdziesiątkowała jego ludność. W czasach czarnej śmierci, gdy to miasto nazywano

„siewcą plagi”, choroba zabijała dziesięć tysięcy osób dziennie. Kilka słynnych osmańskich obrazów przedstawia obywateli kopiących doły śmierci, by pochować stosy ciał zalegające na łąkach pobliskiego Taksim.

Langdon miał nadzieję, że Karol Marks się mylił, twierdząc, że historia lubi się powtarzać.

Zmoczonymi deszczem ulicami przemykały tłumy ludzi zajętych swoimi wieczornymi sprawami. Piękna Turczynka wołała dzieci na kolację, dwaj starcy raczyli się jakimś napitkiem w kafejce na chodniku. Szykownie odziana para szła przytulona do siebie pod parasolem. Mężczyzna w smokingu wyskoczył z autobusu i pognał przed siebie, starając się chronić futerał od skrzypiec; chyba spóźnił się na koncert.

Langdon złapał się na tym, że studiuje fizjonomie mijanych ludzi, próbując sobie wyobrazić, kim są i jakie wiodą życie.

Ludzkość składa się z poszczególnych jednostek.

Przymknął oczy, odwrócił wzrok od okna, by przestać myśleć o okropnościach, ku którym ciążył spracowany umysł. Było już jednak za późno. W zakamarkach jego mózgu znów pojawił się niechciany widok – zdewastowany krajobraz *Tryumfu śmierci* Bruegla – odrażająca panorama pomoru, cierpienia i mąk, które pustoszą nadmorski gród.

Gdy furgonetka skręciła w prawo, w aleję Torun, Langdon miał przez moment wrażenie, że dotarli do celu podróży. Po lewej z mgły wynurzył się wielki meczet.

To jednak nie była jeszcze Hagia Sophia.

Błękitny Meczet – rozpoznał go szybko po sześciu sięgających w niebo smukłych jak ołówki minaretach z charakterystycznymi

balkonikami *şerefe* i niezwykle ostrymi zwieńczeniami. Langdon czytał kiedyś, że te niesamowite bajkowe minarety natchnęły autorów *Kopciuszka* tworzących znany na całym świecie zamek, zdobiący obecnie każdy park rozrywki Disneya. Błękitny Meczet zawdzięczał swą nazwę morzu niebieskich kafelków, którymi wyłożono jego wewnętrzne ściany.

Jesteśmy już blisko, pomyślał Langdon, gdy furgonetka przyśpieszyła, skręcając w aleję Kabasakal, by minąć park Sultanahmet leżący w połowie drogi pomiędzy Błękitnym Meczetem a Kościołem Mądrości Bożej i słynący głównie z tego, że można było zobaczyć stąd obie budowle.

Langdon pochylił się, by dojrzeć przez zmoczoną szybę zarysy dawnej świątyni, ale przy takim deszczu i tylu reflektorach świecących mu prosto w oczy było to niemożliwe. Co gorsza, zauważył, że na trasie powstał korek.

Przed furgonetką widział rząd nieruchomych świateł.

– To jakaś impreza – oznajmił kierowca. – Chyba koncert. Szybciej dojdziecie pieszo.

– Jak daleko? – zapytała Sinskey.

– Trzeba tylko przejść przez park. Będzie ze trzy minuty spacerkiem. Tu jest bardzo bezpiecznie.

Sinskey skinęła głową w kierunku Brüdera, a potem odwróciła się do pozostałych członków zespołu IWO.

– Zostańcie w aucie. Podjedźcie jak najbliżej się da. Agent Brüder skontaktuje się z wami za chwilę.

Wydawszy te polecenia, wraz z Langdonem i szefem zespołu wyskoczyła z furgonetki, by ruszyć na przełaj przez park.

Rozłożyste drzewa oferowały odrobinę ochrony przed pogarszającą się wciąż pogodą, korzystali więc z niej, przemykając ścieżkami biegnącymi pod koronami. Co chwilę trafiali na kolejną strzałkę prowadzącą odwiedzających w kierunku jednej z wielu atrakcji parku, jakimi były: egipski obelisk z Luksoru, Wężowa Kolumna ze świątyni Apollina w Delfach oraz Złoty Kamień Milowy, od którego liczono ongiś każdą odległość mierzoną w Cesarstwie Bizantyjskim.

W końcu wynurzyli się spod drzew w pobliżu okrągłego stawu, który umieszczono w samym środku parku. Langdon wyszedł na otwartą przestrzeń i od razu spojrzał na wschód.

Hagia Sophia.

To nie budowla... to góra.

Lśniąca w deszczu gigantyczna bryła dawnej świątyni mogła się wydać całym miasteczkiem. Jej centralna kopuła – niemożliwie szeroka i okolona srebrem – wznosiła się nad kompleksem mniejszych, również zwieńczonych kopułami gmachów, którymi była otoczona. Cztery wieże minaretów – każdy z nich na szarych ścianach miał po jednym balkonie – wyrastały z narożników głównej budowli, lecz były tak bardzo oddalone od kopuły, że nie sposób uwierzyć, iż należały do tej samej świątyni.

Sinskey i Brüder, którzy do tej pory maszerowali szybkim, sprężystym krokiem, zatrzymali się raptownie, zadzierając głowy... wysoko... jakby próbowali ogarnąć umysłem ogrom wznoszącej się przed nimi budowli.

– Dobry Boże – jęknął agent, nie dowierzając własnym oczom. – Mamy przeszukać takiego giganta?

Rozdział 86

Aresztowano mnie, pomyślał Zarządca, krążąc nerwowo po transportowcu. Przystał na to, by polecieć z Sinskey do Stambułu i pomóc jej w zażegnaniu kryzysu, zanim sytuacja całkowicie wymknie się spod kontroli.

Zdawał sobie sprawę, że pomoc okazana dyrektorce Światowej Organizacji Zdrowia może być okolicznością łagodzącą w razie oskarżenia go o przyczynienie się w pewnym stopniu do całego tego zamieszania. Wszystko jednak zaczęło wskazywać na to, że Sinskey zwyczajnie zamknęła go w areszcie.

Po tym jak samolot zatrzymał się we wnętrzu rządowego hangaru na skraju lotniska imienia Atatürka, Elizabeth Sinskey opuściła pokład, zabierając ze sobą cały zespół, a jemu i pozostałym pracownikom Konsorcjum kazała zostać.

Gdy Zarządca chciał wyjść na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza, drogę zastąpili mu piloci, którzy przypomnieli, że doktor Sinskey zabroniła opuszczania samolotu.

Nie jest dobrze, uznał, siadając w fotelu. Po raz pierwszy dotarło do niego, że naprawdę może być skończony.

Przez lata pracy przyzwyczaił się, że to on pociąga za wszystkie sznurki, tymczasem dzisiaj odebrano mu całą władzę, jaką kiedykolwiek posiadał.

Zobrist, Sienna, Sinskey...

Wszyscy go pokonali; więcej nawet, manipulowali nim.

A teraz, uwięziony w tej dziwacznej, pozbawionej okien celi, zaczynał się zastanawiać, czy to szczęście go opuściło czy może jest to raczej symboliczna, karmiczna kara za niemoralne życie.

Kłamię, by żyć.

Jestem dostawcą dezinformacji.

Chociaż nie był jedynym oszustem na świecie, miał się za największego z nich. Pozostali byli tak nieznaczący, że brzydziła go nawet myśl, iż jest z nimi w jakiś sposób spokrewniony.

Dostępne w Internecie firmy, takie jak Alibi Company czy Alibi Network, robiły fortuny na doradzaniu niewiernym małżonkom, jak zdradzać i nie zostać na tym przyłapanym. Ich pracownicy, organizując chwilowe „odskocznie", aby klient mógł się wymknąć od żony, męża albo dzieci, uważali się za mistrzów w kreowaniu iluzji – proponowali fałszywe wyjazdy firmowe, wymyślone wizyty u lekarzy, sprokurowane śluby – wszystko starannie zaplanowane, z fałszywymi zaproszeniami, broszurami, biletami lotniczymi, formularzami rezerwacji hotelu, a nawet specjalnymi numerami telefonów, pod którymi wyszkoleni fachowcy udawali każdego, kto powinien się pojawić w tworzonej iluzji.

Zarządca nie marnował jednak czasu na tak trywialne sprawy. Jego domeną było zwodzenie na wielką skalę. Oferował swoje usługi tylko tym, których było stać na płacenie milionów za najwyższą jakość usług.

Rządom.

Wielkim korporacjom.

Od czasu do czasu najbogatszym VIP-om.

Jego klienci korzystali z wszystkich zasobów Konsorcjum: personelu, doświadczenia i kreatywności. Przede wszystkim jednak cenili sobie anonimowość i pewność, że żadna ze stworzonych na ich potrzeby iluzji nigdy nie zostanie z nimi powiązana.

Gdy trzeba było ukryć machlojki giełdowe, usprawiedliwić wypowiedzenie wojny, zapewnić komuś zwycięstwo w wyborach czy wykurzyć terrorystów z kryjówki, najpotężniejsi brokerzy świata urabiali opinię publiczną, uciekając się do masowej dezinformacji.

Robiono to od dawien dawna.

W latach sześćdziesiątych Rosjanie stworzyli fałszywą siatkę szpiegowską, która przesyłała nieprawdziwe informacje tylko po to, by Brytyjczycy mogli je przejmować. W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku armia USA wymyśliła UFO, by zatuszować katastrofę ściśle tajnego samolotu bojowego, która miała miejsce w Roswell. Ostatnio wmówiono całemu światu, że Irak dysponuje bronią masowej zagłady.

Zarządca już od trzech dekad pomagał możnym tego świata, zapewniając im ochronę, a także zachowanie lub wręcz poszerzenie wpływów. Mimo że bardzo uważnie dobierał klientów, zawsze się bał, że trafi na niewłaściwego człowieka.

I tak się w końcu stało.

Zdaniem Zarządcy każdy spektakularny upadek dało się prześledzić wstecz aż do źródła – a mogło to być przypadkowe

spotkanie, zła decyzja albo niedyskretne spojrzenie.

W jego wypadku przełomowy moment zdarzył się dwanaście lat wcześniej, w chwili, gdy zgodził się przyjąć młodziutką studentkę medycyny poszukującą dodatkowej pracy. Jej intelekt, zdolności językowe i umiejętność improwizacji czyniły z niej idealną funkcjonariuszkę Konsorcjum.

Sienna Brooks była urodzoną oszustką.

Natychmiast pojęła, na czym polegają jego operacje, jednakże Zarządca był pewien, że kobieta umie trzymać język za zębami. Przepracowała u niego niemal dwa lata, zarabiając tyle, że bez trudu mogła opłacić studia medyczne, ale potem nagle oświadczyła, iż kończy z tą robotą. Chciała ratować świat, a jej zdaniem ta organizacja nie dawała na to szans.

Nie przypuszczał wtedy, że Sienna Brooks pojawi się ponownie po dekadzie, robiąc mu prezent w postaci bardzo bogatego klienta.

Bertranda Zobrista.

Zarządca wzdrygnął się na to wspomnienie.

Wszystkiemu jest winna Sienna.

Ona brała w tym udział od samego początku.

Przy sąsiadującym z jego miejscem stole konferencyjnym rozgorzała gorąca dyskusja. Pracownicy Światowej Organizacji Zdrowia rozmawiali głośno przez telefon.

– Sienna Brooks? – zapytał jeden z nich. – Jesteś pewien? – Słuchał przez chwilę, marszcząc brwi. – Dobra, zdobądź więcej szczegółów. Tak, poczekam. – Nakrył dłonią słuchawkę i odwrócił się do kolegów. – Wygląda na to, że Sienna Brooks opuściła Włochy tuż po nas.

Zgromadzeni przy stole zamarli.

– Jak? – zapytała jedna z kobiet. – Pilnowaliśmy mostów, lotnisk, dworców kolejowych.

– Odleciała z lotniska Nicelli – odparł ten ze słuchawką. – Na Lido.

– Niemożliwe – zaprotestowała kobieta, kręcąc głową. – Nicelli jest za małe. Nie ma z niego odlotów. Przyjmuje jedynie helikoptery turystyczne i...

– Jakimś cudem uzyskała dostęp do jednego z trzymanych tam prywatnych odrzutowców. Nadal go szukają. – Przyłożył słuchawkę do ucha. – Tak, jestem. Co macie? – W miarę słuchania spuszczał ramiona, aż w końcu usiadł. – Rozumiem. Dziękuję – zakończył rozmowę.

Koledzy spoglądali na niego wyczekująco.

– Poleciała do Turcji – wyjaśnił, przecierając oczy.

– Człowieku, dzwoń natychmiast do Europejskiego Dowództwa Transportu Lotniczego! – zawołał któryś z jego kolegów. – Niech go zawrócą!

– Nie mogą. Wylądowała dwanaście minut temu na prywatnym lotnisku Hezarfen, jakieś dwadzieścia cztery kilometry stąd, i ślad po niej zaginął.

Rozdział 87

Deszcz lał na zabytkową kopułę Hagia Sophia.

Przez niemal tysiąc lat był to największy kościół na świecie, lecz nawet dzisiaj trudno sobie wyobrazić wspanialszą świątynię. Patrząc na tę budowlę po raz kolejny, Langdon przypomniał sobie, że cesarz Justynian stanął przed dopiero co ukończonym kompleksem i zawołał: „Salomonie, prześcignąłem cię!".

Sinskey i Brüder maszerowali zawzięcie w kierunku majestatycznej budowli, która zdawała się rosnąć z każdym ich krokiem.

Wzdłuż ścieżek ustawiono kule armatnie używane przez wojska Mehmeda Zdobywcy – miały w dyskretny sposób przypominać, że historia tej budowli była pasmem krwawych jatek. Zdobywano ją i odzyskiwano, za każdym razem przystosowując do potrzeb religijnych aktualnie rządzącej opcji.

Gdy zbliżyli się do południowej fasady, Langdon zerknął w prawo, na trzy zwieńczone kopułami przybudówki sterczące z głównej bryły świątyni. Były to mauzolea kolejnych sułtanów – powiadano, że jeden z nich, Murad III, miał ponad setkę dzieci.

Nocną ciszę przerwał ostry sygnał telefonu komórkowego. Brüder wyciągnął aparat z kieszeni, sprawdził, kto dzwoni, po czym burknął:

– Co macie?

Słuchając raportu, kręcił z niedowierzaniem głową.

– Jak to możliwe? – zdziwił się, a po krótkiej chwili dodał: – Dobra, informujcie mnie na bieżąco. Właśnie wchodzimy do środka. – Przerwał połączenie.

– Co się dzieje? – zapytała Sinskey.

– Miejcie oczy otwarte – rzucił Brüder, rozglądając się uważnie. – Możemy mieć towarzystwo. – Spojrzał ponownie na szefową. – Wygląda na to, że Sienna Brooks jest w Stambule.

Langdon patrzył na niego, nie mogąc uwierzyć, że Sienna zdołała uciec z Wenecji, a w dodatku znalazła sposób na dotarcie do Turcji, ryzykując schwytanie, a nawet śmierć, byle dopilnować realizacji planu Bertranda Zobrista.

Sinskey wyglądała na równie zaalarmowaną, zaczerpnęła nawet tchu, jakby chciała przepytać Brüdera dokładniej, jednakże po namyśle zwróciła się do Roberta.

– Którędy teraz?

Langdon wskazał w lewo, za południowo-zachodni narożnik budowli.

– Tam jest fontanna oczyszczenia.

Miejsce spotkania z pracownikiem muzeum wyznaczono przy bogato zdobionym zwieńczeniu studni, gdzie muzułmanie dokonywali rytualnych ablucji przed rozpoczęciem modłów.

– Profesorze Langdon – usłyszeli donośny głos, kiedy już podeszli bliżej.

Spod kopułki osłaniającej fontannę wyszedł uśmiechnięty Turek.

– Jestem tutaj, profesorze – zawołał, machając rękami.

Langdon poprowadził swoich towarzyszy w jego stronę.

– Witam, na imię mam Mirsat – przedstawił się. W jego głosie można było wyczuć entuzjazm. Był szczupłym mężczyzną z rzedniejącymi włosami. Nosił szary garnitur, a na jego nosie spoczywały grube okulary. – To wielki zaszczyt dla mnie.

– Cała przyjemność po naszej stronie – odparł Robert, ściskając mu dłoń. – Dziękujemy za zorganizowanie tego spotkania, choć nie daliśmy wam wiele czasu.

– Nie ma o czym mówić.

– Jestem doktor Elizabeth Sinskey – przedstawiła się dyrektorka Światowej Organizacji Zdrowia, także podając mu rękę, po czym wskazała na towarzyszącego jej agenta. – A to pan Cristoph Brüder. Asystujemy profesorowi Langdonowi. Tak nam przykro z powodu spóźnienia samolotu. Jesteśmy wdzięczni, że mimo wszystko zgodził się pan nas oprowadzić.

– Proszę nawet o tym nie wspominać! – zawołał Mirsat. – Profesora Langdona oprowadziłbym o każdej porze dnia i nocy. Jego książeczka *Chrześcijańskie symbole w świecie islamu* jest najlepiej sprzedawaną pamiątką w sklepikach naszego muzeum.

Naprawdę? zdziwił się Robert. To chyba jedyne miejsce na Ziemi, gdzie jest dostępna.

– Zapraszam... – Mirsat zachęcił gestem, aby udali się za nim.

Przeszli pośpiesznie przez niewielki placyk, mijając bramki dla turystów, i ruszyli w kierunku bram, które były ongiś głównym

wejściem tej budowli – w głębi trzech masywnych portyków Robert widział wielkie wrota z brązu.

Czekali tam już dwaj uzbrojeni strażnicy. Na widok Mirsata natychmiast otworzyli jedno z wejść.

– *Sağ olun* – rzucił ich przewodnik, używając tureckiego zwrotu, który nie był obcy Langdonowi. Tymi słowami wyrażano szczególnie uprzejme podziękowania.

Gdy cała czwórka weszła do środka, strażnicy natychmiast zamknęli ciężkie odrzwia. Huk zatrzaskiwanych wrót odbił się głośnym echem w kamiennym wnętrzu dawnej świątyni.

Langdon i towarzyszący mu ludzie stanęli w kruchcie – ciasnym przedsionku charakterystycznym dla wszystkich chrześcijańskich kościołów, który oddzielał strefy sacrum i profanum.

Langdon miał na to własne określenie: duchowa fosa.

Podeszli do kolejnych drzwi i Mirsat szybko je otworzył. Za nimi, zamiast spodziewanej świątyni, Langdon zobaczył następną, obszerniejszą kruchtę.

To egzonarteks, uświadomił sobie, zapomniawszy zupełnie, że sanktuarium Hagia Sophia jest chronione przed światem zewnętrznym dwiema kruchtami zamiast jednej.

Wewnętrzny przedsionek był o wiele zdobniejszy, jakby miał przygotować wiernych na ujrzenie tego, co czeka nieco dalej. Ściany wykonano tu z polerowanego kamienia, który odbijał łagodny blask rzucany przez eleganckie żyrandole. Po przeciwnej stronie pustego pomieszczenia znajdowały się cztery pary drzwi, nad którymi umieszczono przepiękne mozaiki. Langdon zakochał się w nich od pierwszego wejrzenia.

Mirsat podszedł do największych drzwi – kolosalnego, wyłożonego brązem portalu.

– Oto Wrota Imperium – wyszeptał głosem drżącym z podniecenia. – W czasach Bizancjum otwierano je wyłącznie przed cesarzem. Turystów tędy nie wpuszczamy, ale dzisiaj mamy wyjątkową okazję. – Sięgnął do drzwi, ale zawahał się. – Zanim wejdziemy – dodał szeptem – chciałbym zapytać, czy jest coś, co w szczególności chcielibyście zobaczyć...

Langdon, Sinskey i Brüder wymienili spojrzenia.

– Tak – odparł Robert. – Macie tutaj wiele cudownych zabytków, ale chcielibyśmy rozpocząć zwiedzanie od grobu Enrica Dandola.

Mirsat przechylił głowę, jakby nie zrozumiał Amerykanina.

– Chcecie zobaczyć grobowiec Dandola?

– Tak.

Przewodnik wydawał się zawiedziony.

– Ale... Jest bardzo zwyczajny. Nie ma na nim żadnych symboli. Nie jest to miejsce, którym moglibyśmy się pochwalić.

– Wiem o tym – przyznał Robert – niemniej bylibyśmy szczerze zobowiązani, gdyby zaprowadził nas pan do niego.

Mirsat przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, potem przeniósł wzrok na mozaikę widoczną nad wejściem, tę samą, którą Langdon zachwycał się przed momentem. Był to stworzony w dziewiątym wieku Chrystus Pantokrator – ikoniczny wizerunek Jezusa trzymającego w lewej dłoni Nowy Testament, a prawą błogosławiącego wiernych.

Na twarzy przewodnika pojawił się niespodziewanie chytry uśmieszek, jakby zrozumiał właśnie, o co może chodzić.

– Spryciarz z pana. Wielki spryciarz! – stwierdził, grożąc Langdonowi palcem.

– Słucham? – zdziwił się Langdon.

– Bez obaw, profesorze – rzucił Mirsat konfidencjonalnym szeptem – nie powiem nikomu, po co naprawdę pan tutaj przyleciał.

Sinskey i Brüder zerknęli podejrzliwie na Amerykanina, ten jednak skwitował niedawną wymianę zdań zwykłym wzruszeniem ramion. W tym czasie przewodnik zdążył otworzyć wielką bramę i zaprosić gości do środka.

Rozdział 88

Niektórzy nazywają to miejsce ósmym cudem świata i Langdon, stając w świątyni, wcale się temu nie dziwił.

Kiedy goście przekroczyli próg kolosalnego sanktuarium, Robert przypomniał sobie, że Hagia Sophia potrafi oszołomić zwiedzających samymi wymiarami.

Wnętrze było tak ogromne, że najwspanialsze z europejskich katedr wydawały się przy nim karłami. Langdon doskonale wiedział, że to wrażenie jest po części iluzją osiągniętą dzięki bizantyjskiemu rozkładowi, w którym centralny *naos* zajmuje niemal całą przestrzeń, zamiast dzielić ją na cztery długie odnogi tworzące kształt krzyża, na którego planie budowano późniejsze katedry.

Ta budowla jest o siedemset lat starsza od Notre Dame, pomyślał.

Po chwili potrzebnej każdemu na przywyknięcie do gigantyzmu tego miejsca Robert uniósł wzrok na znajdujące się prawie pięćdziesiąt metrów nad jego głową złote sklepienie, którym ukoronowano przestrzeń sanktuarium. Z centrum kopuły wybiegało czterdzieści ramion, które niczym promienie słoneczne

ciągnęły się aż do ścian mieszczących taką samą liczbę łukowato zakończonych okien. Wpadające przez nie za dnia światło odbijało się – czasem wielokrotnie – od złotych płatków zatopionych w płytkach szkła, będących prawdziwym źródłem „mistycznego blasku", z którego Hagia Sophia słynęła na cały świat.

Robert tylko raz widział idealnie odzwierciedloną atmosferę tego miejsca. Na obrazie Johna Singera Sargenta. I nic dziwnego, ponieważ ten wybitny amerykański malarz stworzył swoją wizję, używając wielu odcieni jednego koloru.

Złotego.

Połyskujące złotem sklepienie, nazywane często „kopułą niebios", wsparto na czterech potężnych łukach, które z kolei osadzono w serii półkopuł i tympanów. One z kolei spoczywały na jeszcze jednym poziomie mniejszych arkad, tworzących architektoniczną kaskadę, jakby zstępowały z nieba na ziemię.

Innym elementem łączącym niebo z ziemią były długie kable biegnące z kopuły do licznych żyrandoli. Wisiały one tak nisko, że zwiedzający mogli odnosić wrażenie, iż co wyższe osoby zawadzą o nie głowami. W rzeczywistości była to kolejna iluzja stworzona przez ogrom tego miejsca. Każdy ze wspomnianych żyrandoli znajdował się co najmniej cztery metry od posadzki.

Hagia Sophia, jak każda z wielkich świątyń, służyła dwóm celom. Pierwszym było okazanie Bogu, że nie ma takich granic, których człowiek nie pokona, by oddać cześć swojemu Stwórcy. Drugim natomiast było przytłoczenie wyznawców, zaaplikowanie im swoistej terapii szokowej – oto stawali bowiem przed ogromem, przy którym musieli czuć się mali. Tłamszono ich ego,

pokazywano, że w obliczu Boga są niczym więcej niż pyłem marnym... zaledwie atomem w ręce Pantokratora.

Dopóki człowiek nie stanie się niczym, Bóg nic zeń nie uczyni. Takie słowa wyrzekł Marcin Luter w szesnastym stuleciu, wyrażając na głos koncept, który kiełkował w głowach budowniczych obiektów sakralnych już u zarania dziejów.

Langdon zerknął na Sinskey i Brüdera, którzy także spoglądali w górę i dopiero teraz opuszczali głowy.

– Jezu... – mruknął agent.

– Tak! – rzucił natychmiast podekscytowany Mirsat. – Allah i Mahomet też!

Langdon śmiał się pod nosem, gdy przewodnik prowadził Brüdera w kierunku głównego ołtarza, za którym gigantyczną postać Matki Boskiej z Dzieciątkiem otaczały dwa równie wielkie kręgi z wykaligrafowanymi imionami Mahometa i Allaha.

– To muzeum – wyjaśnił Mirsat – w próbie przypomnienia zwiedzającym, jak różnie wykorzystywano sakralną przestrzeń tego miejsca, pokazuje symbolikę zarazem chrześcijańską z czasów, gdy Hagia Sophia była bazyliką obrządku wschodniego, i islamską z okresu, gdy przekształcono ją w meczet. – Uśmiechnął się z dumą. – Mimo tarć, do jakich dochodzi między tymi wyznaniami, uważamy, że ich symbole doskonale ze sobą współistnieją. Wiem, że i pan tak uważa, profesorze.

Langdon przytaknął z wigorem, przypominając, że wszystkie elementy chrześcijańskich zdobień zostały pobielone, gdy świątynię przekształcano w meczet. Ich odtworzenie i umieszczenie obok symboli islamu dało olśniewający efekt, może dlatego, że różniły się tak bardzo stylem i wrażliwością.

W tradycji chrześcijańskiej skupiano się na literalnym przedstawieniu Boga i świętych, islam natomiast preferował kaligrafię i geometryczne wzornictwo odzwierciedlające idealną harmonię boskiego świata. Według muzułmanów tylko Bóg mógł tworzyć życie, człowiek zatem nie powinien go naśladować – czy to malując, czy rzeźbiąc wizerunki istot nadprzyrodzonych, ludzi bądź zwierząt.

Langdon przypomniał sobie, jak próbował kiedyś przybliżyć ten koncept swoim studentom.

– Muzułmański Michał Anioł nigdy nie namalowałby postaci Boga Ojca na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. Umieściłby tam natomiast jego pięknie wykaligrafowane imię. Namalowanie oblicza Boga byłoby bowiem traktowane jak bluźnierstwo. – Musiał też wyjaśnić powody tej różnicy w podejściu. – Chrześcijaństwo i islam są logocentryczne – tłumaczył studentom – co znaczy, że koncentrują się na Słowie. W chrześcijańskiej tradycji, jak pisze święty Jan: „...słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas". Z tego też powodu religia dopuszcza przedstawianie Słowa w ludzkiej postaci. W tradycji islamu jednak takie przeobrażenie Słowa w ciało nigdy nie miało miejsca i dlatego musi być przedstawiane jako ciąg liter, czyli w większości przypadków kaligrafowanych imion świętych tego wyznania.

Jeden ze studentów podsumował jego wykład o skomplikowanej historii zabawną puentą: „Chrześcijanie lubią twarze, muzułmanie słowa".

– Widzicie przed sobą – mówił tymczasem Mirsat, wskazując na przeogromną świątynię – unikalną mieszaninę chrześcijaństwa

i islamu.

Zwrócił uwagę gości na połączenie symboli obu religii w gigantycznej absydzie, gdzie najczytelniejszym elementem była Maryja z Dzieciątkiem Jezus spoglądająca prosto na *mihrab* – półkolistą niszę, która w każdym meczecie wskazuje położenie Mekki. W jej pobliżu spiralne schody prowadziły na ambonę, przypominającą te, z których księża prawią kazania podczas odprawiania mszy. Tak naprawdę był to jednak *minbar*, święta platforma, z której imam prowadzi piątkowe nabożeństwa. Podobnie było z konstrukcją przywodzącą na myśl tradycyjne kościelne chóry – tutaj nazywała się ona *müezzin mahfili* i to z niej klęczący muezini odpowiadali śpiewem na modlitwy imamów.

– Meczety i katedry są zadziwiająco podobne do siebie – perorował Mirsat. – Tradycje Wschodu i Zachodu wcale nie są tak różne, jak sądzicie!

– Panie Mirsat – odezwał się zniecierpliwiony Brüder – my naprawdę chcielibyśmy obejrzeć grób Dandola.

Przewodnik wyglądał na lekko speszonego, jakby pośpiech był czymś niestosownym w tej budowli.

– Tak – dodał Langdon. – Przepraszamy, ale mamy naprawdę napięty harmonogram.

– Zatem dobrze – stwierdził Mirsat, wskazując na wysoki balkon po prawej. – Chodźmy na górę, obejrzyjmy grobowiec.

– Na górę? – Robert nie krył zdziwienia. – Doża nie został pochowany w kryptach? – Jak przez mgłę pamiętał grobowiec, lecz za nic nie potrafił sobie przypomnieć, w której części budynku

to było. Wydawało mu się jednak, że panowały tam ciemności jak w podziemiach.

Przewodnik także się zdziwił.

– Nie, profesorze. Grób z całą pewnością znajduje się na górze.

O co im u licha chodzi? zastanawiał się Mirsat.

Gdy Langdon spytał o miejsce pochówku Enrica Dandola, uznał, że to zmyłka. Nikt nie chce oglądać tego grobu. Pomyślał więc, że profesorowi chodzi o enigmatyczny skarb znajdujący się tuż obok – tak zwaną Mozaikę Deesis, czyli starożytnego Chrystusa Pantokratora, który jest jednym z najbardziej tajemniczych arcydzieł tej budowli.

Langdon bada tę mozaikę, ale nie chce, by ktokolwiek o tym wiedział, doszedł do wniosku przewodnik, zakładając naiwnie, że profesor pisze książkę na ten temat.

Teraz jednak poczuł niepewność. Przecież Langdon musiał wiedzieć, że mozaika znajduje się na piętrze, dlaczego więc wyglądał na tak zaskoczonego?

A może on naprawdę zamierza obejrzeć grób Dandola?

Wciąż zdziwiony poprowadził gości w kierunku klatki schodowej, mijając dwie słynne urny – mieszczące po niemal tysiąc pięćset litrów giganty wykute w okresie helleńskim z jednego kawałka marmuru.

Wspinając się po stopniach, poczuł nagle niepokój. Towarzysze Langdona nie wyglądali na akademików. Mężczyzna niemal na pewno był żołnierzem, miał kupę mięśni i chodził wyprostowany jakby kij połknął, do tego ten czarny strój... Natomiast ta siwowłosa kobieta – ją widział już wcześniej. Może w telewizji?

Zaczynał podejrzewać, że cel wizyty tych ludzi jest zupełnie inny. Czego tu jednak szukali?

– Jeszcze tylko jeden ciąg – rzucił radośnie, gdy dotarli na półpiętro. – Na górze znajdziemy grób Enrica Dandola oraz rzecz jasna... – zamilkł na moment, rzucając Langdonowi porozumiewawcze spojrzenie – słynną Mozaikę Deesis.

Naukowiec nawet nie mrugnął okiem.

Wyglądało więc na to, że mozaika w ogóle go nie interesuje. Wszyscy troje koniecznie chcieli obejrzeć miejsce pochówku Dandola!

Rozdział 89

Gdy Mirsat prowadził ich w górę, Langdon mógłby przysiąc, że Sinskey i Brüder wyglądają na zaniepokojonych. Sam musiał przyznać, że wchodzenie na piętro nie miało sensu. Wciąż widział oczyma wyobraźni zrobione w podziemiach nagranie Zobrista, a także film dokumentalny o eksploracji zalanych poziomów dawnej świątyni.

Powinniśmy schodzić w dół!

Niestety, skoro tam właśnie znajdował się grób Dandola, nie mieli wyjścia – musieli podążać za wskazówkami pozostawionymi przez szalonego miliardera.

Uklęknijcie w zdobnym muzejonie świętej wiedzy i tam, uszy swe do ziemi przyłożywszy, wsłuchajcie się w kropel kapiących dzwony.

Gdy dotarli na piętro, Mirsat poprowadził ich skrajem balkonu, z którego roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na sanktuarium. Langdon jednak nie spoglądał na dół, skupiając całą uwagę na tym, co znajdowało się przed nim.

Przewodnik znów zaczął opowiadać o słynnej mozaice, co sprawiło, że Robert po prostu się wyłączył.

Widział już cel tej podróży.

Grób Dandola.

Wyglądał tak, jak go zapamiętał: prostopadłościenny blok białego marmuru osadzony w kamiennej posadzce i otoczony słupkami, na których rozwieszono łańcuchy.

Langdon ruszył przodem, by przyjrzeć się inskrypcji.

HENRICUS DANDOLO

Gdy pozostali dołączyli do niego, zaczął działać. Przeszedł nad łańcuchem i stanął tuż przed grobowcem.

Mirsat zaprotestował głośno, lecz Robert nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, opadł szybko na kolana, jakby zamierzał modlić się u stóp zdradzieckiego doży.

Potem, wywołując kolejne lamenty przewodnika, oparł dłonie o blok marmuru. Pochylając się nad podłogą, pomyślał, że wygląda, jakby bił pokłony w kierunku Mekki. To zachowanie tak zaskoczyło Mirsata, że zamilkł i w świątyni znów zapanowała niezmącona cisza.

Zaczerpnąwszy tchu, Robert odwrócił głowę w prawo i przyłożył lewe ucho do ściany grobowca. Poczuł chłód kamienia na skórze.

Dźwięki, które usłyszał, były tak wyraźne, że nie dało się ich pomylić z niczym innym.

Mój Boże!

Wydawać się mogło, że gdzieś pod spodem rozgrywa się scena z zakończenia *Piekła* Dantego.

Odwrócił powoli głowę, by spojrzeć na Brüdera i Sinskey.

– Słyszę to – wyszeptał. – Słyszę odgłosy kapania wody.

Agent przeskoczył nad łańcuchem i dołączył do niego, przyklękając i również nasłuchując. Po chwili skinął zdecydowanie głową.

Teraz, gdy usłyszeli wodę ściekającą gdzieś w dół, pozostało odpowiedzieć na jedno pytanie.

Dokąd mogła płynąć?

Langdon znów ujrzał oczyma wyobraźni na wpół zalaną jaskinię skąpaną w niesamowitym czerwonawym blasku... która była gdzieś tam, pod nimi.

aby w głąb zatopionego pałacu wyruszyć...
Tamże, w mrokach, bestia chtoniczna się ukrywa,
w krwistych wodach zanurzona...
w lagunie, w której nie przejrzały się gwiazdy.

Kiedy Langdon wstał i cofnął się za łańcuch, Mirsat zmierzył go zaniepokojonym spojrzeniem, z którego można było wywnioskować, że czuje się urażony. Robert stanął tuż przed nim, a był wyższy od tureckiego przewodnika o co najmniej trzydzieści centymetrów.

– Wybacz – powiedział. – To naprawdę wyjątkowa sytuacja. Nie ma zbyt wiele czasu, dlatego muszę zadać ci kilka niezwykle ważnych pytań na temat tej budowli.

Mirsat skinął głową.

– Dobrze.

– Jeśli przyłożysz ucho do grobowca, usłyszysz szmer wody. Musimy wiedzieć, dokąd ona spływa.

Przewodnik pokręcił głową.

– W Hagia Sophia wszędzie słychać szmer wody płynącej pod podłogą. – Wszyscy zesztywnieli. – Zwłaszcza gdy pada deszcz – dodał Turek. – Kompleks ma prawie dziesięć tysięcy metrów kwadratowych dachów i odprowadzenie wody z tak dużej powierzchni trwa nawet kilka dni, a czasami zanim ten proces dobiegnie końca, pojawia się kolejna ulewa. Przywykliśmy już do szmeru ściekającej wody. Może tego nie wiecie, ale Hagia Sophia stoi na ogromnych jaskiniach pełnych wody. Był taki film dokumentalny, w którym...

– Tak, tak – przerwał mu Langdon. – Chcemy tylko wiedzieć, czy ta woda spływa do jakiegoś konkretnego miejsca.

– To chyba oczywiste – stwierdził Mirsat. – Spływa do tego samego miejsca co cała reszta, czyli do rezerwuarów kanalizacji miejskiej.

– Nie rozumiesz – rzucił Brüder, wycofując się za łańcuch. – Nie interesuje nas kanalizacja. Szukamy wielkiej podziemnej komnaty, najlepiej z kolumnami.

Przewodnik się ożywił.

– Tak właśnie wyglądają starożytne rezerwuary. To wielkie sale pełne kolumn. Są naprawdę niesamowite. Zbudowano je w szóstym wieku, aby gromadzić wodę pitną dla miasta. Dzisiaj jest w nich niespełna metr wody, ale...

– Gdzie one są?! – wrzasnął Brüder, a jego głos odbił się wielokrotnym echem od ścian dawnej świątyni.

– Rezerwuary? – zapytał wystraszony Mirsat. – Jedną przecznicę stąd, na wschód od muzeum. – Wskazał kierunek. – Noszą nazwę Yerebatan Sarayi.

Sarayi? pomyślał Langdon.

Topkapi Sarayi – taki napis zdobił drogowskaz, który mijali, jadąc tutaj.

– Czy *sarayi* znaczy pałac?

Przewodnik skinął głową.

– Owszem. Rezerwuar nazwano Yerebatan Sarayi, co znaczy „zatopiony pałac”.

Rozdział 90

Deszcz lał strumieniami, gdy doktor Elizabeth Sinskey wypadła z muzeum, pędząc przed Langdonem, Brüderem i nie rozumiejącym nic przewodnikiem, Mirsatem.

„Aby w głąb zatopionego pałacu wyruszyć” – rozbrzmiewały jej w głowie zapamiętane słowa.

Miejskie rezerwuary – zwane Yerebatan Sarayi – znajdowały się nieco na północ, od strony Błękitnego Meczetu.

Mirsat wskazał im drogę.

Elizabeth nie miała wyjścia, musiała mu powiedzieć, kim są i że starają się zapobiec kryzysowi zdrowotnemu, którego źródło może się znajdować w zatopionym pałacu.

– Tędy! – zawołał przewodnik, prowadząc ich przez pogrążony w mroku park. Za ich plecami majaczył masyw Kościoła Mądrości Bożej, a przed sobą mieli połyskujące od deszczu bajkowe minarety Błękitnego Meczetu.

Biegnący obok Elizabeth Sinskey agent Brüder wrzeszczał do telefonu komórkowego, przekazując najświeższe informacje zespołowi IWO. Wyznaczył nowe miejsce spotkania przy wejściu do podziemnych rezerwuarów.

– Wygląda na to, że celem Zobrista są zbiorniki wody pitnej – sapał w słuchawkę. – Potrzebuję planów wszystkich kanałów prowadzących do tego miejsca i wychodzących z niego. Zarządzimy pełną izolację rezerwuarów z powodu skażenia. Trzeba zablokować kanały, fizycznie i chemicznie, z próżniowymi...

– Chwileczkę! – przekrzyczał go Mirsat. – Nie zrozumieliście mnie. Te zbiorniki nie dostarczają już wody pitnej miastu.

Brüder odsunął komórkę od ucha, wybałuszając na niego oczy.

– Co takiego?

– W dawnych czasach gromadzono tam wodę potrzebną dla miasta – wyjaśnił przewodnik. – Ale to już przeszłość. Teraz jesteśmy nowocześniejsi.

Agent zatrzymał się pod osłoną najbliższego drzewa, pozostali dołączyli do niego.

– Jesteś pewien, że dzisiaj nikt już nie pije wody z tego źródła? – zapytała dyrektorka Światowej Organizacji Zdrowia.

– Całkowicie pewien – pokiwał głową. – Woda zostaje tam, pod ziemią, aż wyparuje albo przesączy się przez glebę.

Sinskey, Langdon i Brüder wymienili niepewne spojrzenia. Elizabeth nie wiedziała, czy cieszyć się z tego faktu czy smucić. Dlaczego Zobrist chce skazić wodę, z którą nikt nie będzie miał kontaktu?

– Gdy zmodernizowano system wodociągowy miasta, a zrobiono to wiele dziesięcioleci temu – tłumaczył dalej przewodnik – zrezygnowano z użytkowania tych zbiorników. Teraz to wielkie podziemne jezioro i co najwyżej atrakcja turystyczna.

Sinskey obróciła się do niego.

Atrakcja turystyczna?

– To znaczy... ludzie tam schodzą? Mają dostęp do tych zbiorników?

– Oczywiście – odparł. – Każdego dnia odwiedza je wiele tysięcy osób. Te groty są niesamowite. Nad powierzchnią wody rozstawiono pomosty... jest nawet kawiarenka. Wprawdzie brakuje tam dobrej wentylacji, przez co powietrze jest stęchłe i panuje spora wilgoć, ale to jakoś nie odstrasza turystów.

Sinskey skupiła wzrok na Brüderze i natychmiast zrozumiała, że wyszkolony agent myśli o tym samym co ona. Patogen rozwijał się w mrocznej wilgotnej przestrzeni ze stojącą woda, a na domiar złego były jeszcze te pomosty ciągnące się tuż nad powierzchnią, po których ludzie kręcili się przez cały dzień.

– Stworzył bioaerozol – oświadczył Brüder.

Sinskey skinęła głową, spuszczając ramiona.

– To znaczy? – dopytywał się Langdon.

– To znaczy, że zaraza przenosi się drogą powietrzną.

Robert zamilkł, a Sinskey zrozumiała po jego minie, że zaczyna pojmować skalę problemu.

Od początku uważała ten scenariusz za realny, lecz gdy padła sugestia, że Zobrist umieścił patogen w podziemnych zbiornikach, miała przez chwilę nadzieję, że mimo wszystko zdecydował się na czynnik przenoszony drogą wodną. Tego rodzaju organizmy są wprawdzie o wiele odporniejsze, ale trudniej się nimi zarazić.

Natomiast zarazki przenoszone drogą powietrzną rozprzestrzeniają się błyskawicznie.

– Zatem najprawdopodobniej mamy do czynienia z wirusem – mruknął Brüder.

Tak, poparła go w myślach Sinskey.

Wirus był najszybciej rozprzestrzeniającym się patogenem, jaki Zobrist mógł wybrać.

Uwolnienie takiego wirusa pod wodą było nietypowym posunięciem, jednakże Sinskey zdawała sobie sprawę, że istnieje wiele organizmów, które dojrzewają w wodzie, by potem w jakiejś formie egzystować w powietrzu – komary, pleśń, bakterie wywołujące chorobę legionistów... a nawet ludzie. Sinskey wyobraziła sobie wirusy przy dnie zbiornika, potem unoszące się z mikrodrobinkami wilgoci na poziom pomostów.

Mirsat tymczasem spoglądał z widoczną obawą na drugą stronę zakorkowanej ulicy. Elizabeth podążyła wzrokiem w tym samym kierunku i zobaczyła niski budynek z czerwonej i białej cegły, którego jedyne drzwi były otwarte na oścież, odsłaniając coś, co przypominało klatkę schodową. Tłum wytwornie ubranych ludzi czekał pod parasolami, a odźwierny, sprawdzając zaproszenia, wpuszczał kolejnych gości.

Czyżby był tam jakiś podziemny klub nocny?

Sinskey dostrzegła złote litery zdobiące fronton budynku i nagle poczuła ucisk w piersi. Teraz znała już przyczynę zaniepokojenia Mirsata. Chyba że był to zbieg okoliczności i patrzyła właśnie na założony w pięćset dwudziestym trzecim roku zespół zwany Rezerwuarem.

– Zatopiony pałac – mamrotał przewodnik. – Zdaje się... że tej nocy będzie tam koncert.

Sinskey nie wierzyła własnym uszom.

– Koncert w zbiornikach na wodę?

– To ogromna zamknięta przestrzeń – wyjaśnił. – Często wykorzystywana do organizowania masowych imprez.

Brüderowi to wystarczyło. Pobiegł w kierunku budynku, przeciskając się między samochodami wypełniającymi szczelnie aleję Alemdar. Sinskey i pozostali ruszyli za nim.

Gdy dotarli w pobliże wejścia, drzwi zablokowała im gromada melomanów czekających na swoją kolej – były tam trzy kobiety w burkach, para turystów trzymających się za ręce i mężczyzna w smokingu. Ludzie parli do wejścia, by schronić się przed deszczem.

Elizabeth słyszała sączące się z dołu melodyjne dźwięki muzyki klasycznej.

Berlioz, odgadła po kolejnej idiosynkratycznej frazie.

Czyjkolwiek był to utwór, brzmiał bardzo obco na ulicy Stambułu.

Zbliżyli się do drzwi i poczuła na twarzy ciąg wilgotnego powietrza rozgrzanego w głębi podziemi i teraz uciekającego z jaskiń. Przeciąg niósł ze sobą nie tylko dźwięki skrzypiec, ale i trudną do pomylenia z czymkolwiek woń stęchlizny i ludzkiego potu.

Jego powiew sprawił, że ożyły złe przeczucia Sinskey.

Kiedy grupka rozszczebiotanych osób opuściła podziemia, odźwierny wpuścił do środka kolejną partię oczekujących.

Brüder natychmiast ruszył za nimi, jednakże mężczyzna stojący przy drzwiach powstrzymał go, wyciągając rękę.

– Chwileczkę. Na dole jest maksymalna liczba gości. Zaraz ktoś znowu wyjdzie.

Agent byłby przedarł się siłą, gdyby Elizabeth nie położyła mu dłoni na ramieniu i nie odciągnęła na bok.

– Poczekaj – rozkazała. – Zespół jest w drodze, a sam i tak nie przeszukasz wszystkiego. – Wskazała na tabliczkę umocowaną do ściany. – Rezerwuar jest ogromny.

Z zamieszczonej informacji wynikało, że podziemne pieczary są większe od niejednej katedry – miały długość dwóch stadionów piłkarskich – a ich sklepienie, liczące dziesięć tysięcy metrów kwadratowych, wspierał las trzystu trzydziestu sześciu marmurowych kolumn.

– Spójrzcie tam – rzucił stojący kilka kroków dalej Langdon. – Nie uwierzycie w to, co zobaczycie.

Sinskey odwróciła głowę. Amerykanin wskazywał na plakat reklamujący koncert.

Wielki Boże!

Elizabeth trafnie rozpoznała styl granej muzyki – romantyzm – jednakże wykonywany utwór nie był wcale dziełem Berlioza. Chodziło o innego, choć równie znanego kompozytora tamtej epoki – Franciszka Liszta.

Tej nocy, głęboko pod powierzchnią ziemi, Stambulska Państwowa Orkiestra Symfoniczna wykonywała najbardziej znane dzieło Liszta: *Symfonię Dantejską* inspirowaną w całości zejściem i powrotem poety z *Piekła*.

– Te koncerty trwają już od tygodnia – dodał Robert, doczytując treść napisów. – Są darmowe. Ufundowane przez anonimowego sponsora.

Elizaberth wiedziała, kto za wszystko zapłacił. Bertrand Zobrist nie tylko uwielbiał sztukę, ale i umiał wykorzystać ją

bezwzględnie do osiągnięcia celu. Tydzień darmowych koncertów zwabi do skażonych podziemi tysiące turystów... aby nawdychali się wirusów, a potem roznieśli je po całym świecie.

Odźwierny odezwał się nagle do Brüdera:

– Mamy miejsce na kilka osób.

Agent odwrócił się do Sinskey.

– Proszę powiadomić władze. Bez względu na to, co zastaniemy na dole, będziemy potrzebowali wsparcia. Gdy pojawią się tutaj moi ludzie, proszę im powiedzieć, by skontaktowali się ze mną drogą radiową. Zejdę na dół i postaram się zlokalizować pojemnik.

– Bez choćby maski z filtrem? – zdziwiła się kobieta. – Nie wiemy, czy pojemnik jest wciąż szczelny.

Agent skrzywił się, wyczuwając na uniesionej ręce silny prąd powietrza.

– Nie chcę dramatyzować, ale jeśli wirus został już uwolniony, możemy założyć, że całe miasto zostało zarażone.

Sinskey obawiała się tego samego, lecz nie chciała nic mówić przy Langdonie i Mirsacie.

– Poza tym – dodał Brüder – widziałem już, jak tłum reaguje na wejście moich ludzi w kombinezonach ochronnych. Doszłoby do paniki, ludzie tratowaliby się na śmierć.

Sinskey uznała, że może zdać się na jego doświadczenie – w końcu był świetnym specjalistą z bogatym doświadczeniem zdobytym w podobnych sytuacjach.

– Na razie możemy jedynie sprawdzić – przekonywał agent – czy na dole jest bezpiecznie. Plan działania opracujemy później.

– Dobrze – zgodziła się Elizabeth.

– Mamy jeszcze jeden problem – wtrącił Langdon. – Co ze Sienną?

– A co ma być? – zapytał Brüder.

– Dotarła już do Stambułu, a z tego co wiem, zna kilka języków, zatem może mówić także po turecku.

– I co z tego?

– Sienna wie o zatopionym pałacu – wyjaśnił Robert. – A zatopiony pałac po turecku to... – wskazał ręką napis zdobiący ścianę – Yerebatan Sarayi.

– To prawda – przyznała zaniepokojona Sinskey. – Mogła to rozgryźć od razu i nie tracić czasu na świątynię...

Brüder spojrzał w stronę wejścia i zaklął pod nosem.

– Nawet jeśli dostała się na dół i próbuje rozszczelnić pojemnik, zanim go zabezpieczymy, z pewnością nie ma nad nami wielkiej przewagi. To ogromny teren, a ona nie wie, czego szukać. Poza tym przy takich tłumach raczej nie może nurkować, nie robiąc przy tym sensacji.

Odźwierny znów się odezwał.

– Wchodzi pan czy nie?

Brüder obrzucił spojrzeniem najbliższą okolicę i na widok kolejnej grupki chętnych melomanów skinął głową, potwierdzając gotowość wejścia do środka.

– Idę z panem – zaofiarował się Langdon, ruszając za nim.

Brüder odwrócił się na pięcie.

– Nie ma mowy.

Langdon nie zamierzał jednak odpuścić.

– Sienna Brooks wodziła mnie za nos od samego rana. Poza tym, jak pan słusznie zauważył, wszyscy możemy już być

zarażeni. Pomogę panu bez względu na to, co pan powie.

Brüder spoglądał na niego przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

Gdy Langdon minął drzwi i zaczął schodzić po stromych stopniach za agentem, poczuł na twarzy gorący powiew bijący z głębi rezerwuaru. Wilgotne powietrze niosło dźwięki *Symfonii Dantejskiej* Liszta oraz znajomy, lecz trudny do opisania zapach tłumu zgromadzonego w zamkniętej przestrzeni.

Langdon poczuł się nagle tak, jakby otoczył go znienacka widmowy całun, jakby jego ciało ścisnęła niewidzialna dłoń wynurzająca się z podziemi.

Muzyka.

Składający się z setki głosów chór śpiewał właśnie znane mu fragmenty pieśni, artykułując wyraźnie każdą sylabę ponurego tekstu Dantego.

– *Lasciate ogne speranza* – dobiegało z dołu – *voi ch'entrare*.

Te kilka słów – najsłynniejszy wers *Piekła* Dantego – tryskało z czeluści pod schodami niczym złowieszczy odór śmierci.

Chór, tym razem z towarzyszeniem trąbek i rogów, raz jeszcze wyśpiewał ostrzeżenie.

– *Lasciate ogne speranza voi ch'entrare.*

„Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją!"

Rozdział 91

Skąpana w czerwonym blasku podziemna jaskinia drżała od piekielnej muzyki – przenikliwych głosów, harmonijnego zawodzenia smyczków, głuchego warkotu werbli, brzmiących w zamkniętej przestrzeni jak echo sejsmicznych wstrząsów.

Gdziekolwiek Langdon spojrzał, tam podłoże podziemi zakrywała woda – mroczna, nieruchoma, gładka – przypominająca taflę czarnego lodu na zamrożonych stawach Nowej Anglii.

Laguna, w której nie przejrzały się gwiazdy.

Z tej to wody wyrastały niekończące się rzędy grubych doryckich kolumn, z których każda wznosiła się na dziesięć metrów, by wesprzeć kamienne sklepienie. Każdą podświetlono czerwonym reflektorem, tworząc surrealistyczny las błyszczących pni ciągnących się w dal jak szeregi odbić w lustrach.

Langdon i Brüder zatrzymali się u podnóża schodów oczarowani roztaczającym się przed nimi widokiem. Jaskinie zdawały się emanować rdzawoczerwony blask, na którego widok Langdon odruchowo wstrzymywał oddech.

Atmosfera na dole była gęstsza, niż się spodziewał.

W oddali po lewej dostrzegł tłum ludzi. Koncert miał miejsce w głębi, mniej więcej w połowie drogi do tylnej ściany jaskini, a słuchających go ludzi rozmieszczono na szerokich platformach. Kilkaset osób zasiadło w koncentrycznych kręgach otaczających orkiestrę, setka z okładem stała na obrzeżach. Kolejni melomani, opierając ręce na grubych poręczach, ustawiali się na pobliskich pomostach, skąd mogli słuchać muzyki i równocześnie wpatrywać się w powierzchnię czarnej wody.

W poszukiwaniu blondynki z kucykiem Langdon obrzucił wzrokiem mrowie zgromadzonych tu ludzi, jednakże nigdzie jej nie dostrzegł. Widział za to pełno mężczyzn w smokingach, kobiet w sukniach, bisztach, burkach, a także zwykłych turystów w szortach i koszulkach. Był tu cały przekrój społeczny – melomani zebrani w karmazynowym świetle przypominali Langdonowi uczestników jakiegoś okultystycznego obrzędu.

Jeśli Sienna tu jest, nie uda mi się jej wypatrzyć.

W tej samej chwili minął ich postawny kaszlący mężczyzna zmierzający w kierunku schodów. Brüder obrócił się na pięcie, mierząc go uważnym spojrzeniem. Langdon też poczuł delikatne drapanie w gardle, ale powiedział sobie, że to tylko złudzenie.

Moment później agent ruszył wolno w stronę pomostu, cały czas zastanawiając się nad dostępnymi opcjami. Mieli przed sobą istny labirynt. Pojedynczy pomost rozwidlał się na trzy odnogi, a każda z nich dzieliła się dalej, tworząc pajęczynę wiszących tuż nad wodą przecinających się wzajemnie przejść, które wiły się wokół kolumn i niknęły w odległym mroku.

Langdon przypomniał sobie złowieszcze wersy pierwszej pieśni arcydzieła Dantego. *Straciwszy z oczu szlak niemylnej drogi,*

w głębi ciemnego znalazłem się lasu....

Spojrzał przez poręcz prosto w toń. Miała około metra głębokości i była zadziwiająco przezroczysta. Dostrzegał wyłożone kafelkami dno, częściowo tylko przykryte przez muł.

Brüder także zerknął w dół, mruknął coś pod nosem, a potem znów przeniósł spojrzenie w głąb zbiornika.

– Widział pan coś, co przypominałoby zakątek sfilmowany przez Zobrista?

Wszystko go tutaj przypomina, pomyślał Robert, wodząc wzrokiem po otaczających ich ociekających wodą stromych ścianach. Wskazał palcem na najbardziej oddaloną część jaskini, znajdującą się na prawo od platform z widownią i orkiestrą.

– Domyślam się, że musiał kręcić gdzieś tam.

Agent skinął głową.

– Też tak przypuszczałem.

Pośpieszyli w tamtym kierunku, wybierając prawą odnogę rozgałęzienia i oddalając się od zgromadzonych tłumów, by wejść głębiej w trzewia zatopionego pałacu.

Po drodze Langdon zrozumiał, że ukrycie się tutaj na noc nie sprawiłoby mu większej trudności. Dzięki temu Zobrist mógł bez przeszkód nakręcić swój filmik. A zresztą jako fundator tygodnia koncertowego mógł mieć kilka dodatkowych żądań, takich na przykład jak umożliwienie mu prywatnej wizyty w rezerwuarze.

Jakie to ma teraz znaczenie?

Brüder przyśpieszył kroku, jakby nieświadomie synchronizował tempo marszu z rytmem symfonii rozbrzmiewającej właśnie kaskadami coraz cichszych półtonów.

Dante i Wergiliusz zstępują do piekieł...

Langdon przyglądał się uważnie stromym, pokrytym mchem ścianom po prawej, próbując zauważyć podobieństwa do scenerii, którą widział wcześniej na ekranie. Na kolejnym rozwidleniu znów skręcili w prawo, jeszcze bardziej oddalając się od tłumu. Kierowali się teraz prosto na najdalszy zakątek jaskini. Robert obejrzał się przez ramię, zdziwiony odległością, jaką zdążyli już przebyć.

Co jakiś czas mijali grupki zwiedzających podziemia turystów, ale gdy dotarli do głębszych rejonów rezerwuaru, liczba spotykanych ludzi zmalała do zera.

Brüder i Langdon zostali sami.

– Wszędzie to samo – narzekał agent. – Od czego mamy zacząć?

Robert podzielał jego frustrację. Doskonale pamiętał nagranie, lecz jak dotąd nie trafił na miejsce, które choć z grubsza przypominałoby scenerię z filmiku Zobrista.

Przyglądał się uważnie mijanym po drodze podświetlanym tabliczkom informacyjnym umieszczonym na pomostach. Na jednej z nich wyczytał, że rezerwuar może pomieścić prawie sto milionów litrów wody. Druga zwracała uwagę zwiedzających na niepasującą do innych kolumnę, którą podczas budowy zrabowano z pobliskiej świątyni. Na jeszcze innej widać było szkic starożytnej płaskorzeźby, którą woda zatarła z czasem: symbol łzawiącego oka opłakującego wszystkich niewolników, którzy ponieśli śmierć podczas budowy rezerwuaru.

Co ciekawe, obok symbolu znajdowało się pojedyncze słowo, które sprawiło, że Langdon zatrzymał się w pół kroku.

Brüder także przystanął, a potem zawrócił.

– Co się stało?

Robert pokazał mu, co znalazł.

Na tabliczce obok charakterystycznej strzałki znajdowało się imię najstraszniejszej z Gorgon.

MEDUZA ⇨

Agent przeczytał napis i wzruszył ramionami.

– I co z tego?

Serce Langdona waliło jak oszalałe. Wiedział bowiem, że Meduza była nie tylko nieustraszonym duchem z wężami zamiast włosów, ale również prominentną postacią greckiego panteonu podziemnych bóstw... zwanych chtonicznymi bestiami.

...w głąb zatopionego pałacu wyruszyć...
Tamże, w mrokach, bestia chtoniczna się ukrywa...

To drogowskaz, uświadomił sobie Robert, sprintem pokonując pomost. Agent z trudem nadążał za zygzakującym w ciemności profesorem, który kluczył, szukając kolejnych strzałek prowadzących do Meduzy. W końcu dotarli obaj do ślepego zaułka mieszczącego się opodal krańca prawej ściany rezerwuaru.

A tam ukazał im się niesamowity widok.

Z wody wystawał kolosalny blok marmuru – głowa Meduzy z wijącymi się wężami zamiast włosów. Niesamowitość tej sceny podkreślał fakt, że głowa została umieszczona karkiem do góry.

Odwrócona jak grzesznicy, zdał sobie sprawę Langdon, przywołując z pamięci *Mapę Piekieł* Botticellego i zakopywane głową w dół cienie z Malebolge.

Zdyszany Brüder stanął przy poręczy, spoglądając na odwróconą głowę Meduzy z widocznym zakłopotaniem.

Langdon podejrzewał, że rzeźba ta, służąca teraz za cokół jednej z kolumn, została zrabowana z innego miejsca i wykorzystana w charakterze taniego budulca. A umieszczono ją do góry nogami, ponieważ starożytny przesąd mówił, że tym sposobem zostanie pozbawiona złych mocy. Mimo to Robert nie potrafił się otrząsnąć z niepokojących myśli.

Inferno Dantego. Finał. Środek Ziemi. Miejsce, gdzie zmienia się grawitacja. Gdzie góra staje się dołem.

Patrząc na czerwonawą mgiełkę otaczającą odwróconą rzeźbę, poczuł nagłe mrowienie na skórze. Większość wężowatych włosów Meduzy znajdowała się pod wodą, lecz oczy bestii wciąż było widać nad powierzchnią. Spoglądały one gdzieś w lewo, na lagunę.

Przejęty Langdon wychylił się za barierkę i odwrócił, by spojrzeć tam gdzie rzeźba, prosto na jakże znajomy zakątek zatopionego pałacu.

W jednej chwili go rozpoznał.

To było to. Punkt zero Zobrista.

Rozdział 92

Agent Brüder prześlizgnął się dyskretnie pod poręczą i opadł do sięgającej mu po pierś wody. Gdy grube ubranie nasiąkło, poczuł, jak mięśnie tężeją mu w reakcji na przenikliwy chłód. Dno jaskini było śliskie, ale zdołał ustać. Zamarł na moment, nie spuszczając oczu z koncentrycznych kręgów rozchodzących się po powierzchni wody.

Wstrzymał też na chwilę oddech.

Poruszaj się powoli, napomniał się w myślach. Nie mąć wody.

Stojący nad nim Langdon rozglądał się uważnie po pobliskich pomostach.

– Wszystko w porządku – wyszeptał. – Nikt nie zauważył.

Brüder odwrócił się, stając twarzą w twarz z Meduzą, którą wyraźnie oświetlał czerwony reflektor. Teraz, gdy agent znalazł się w wodzie, rzeźba wyglądała na jeszcze większą.

– Proszę iść tam, gdzie patrzy Meduza – szeptał dalej Langdon. – Zobrist był maniakiem symboli i dramatyzmu... Nie zdziwiłbym się, gdyby pozostawił swoje dzieło w polu widzenia Meduzy.

Wielkie umysły myślą podobnie.

Brüder musiał w głębi ducha przyznać, że cieszy się z nieustępliwości Amerykanina. Dzięki doświadczeniu naukowca niemal od razu trafili do tego odległego zakątka rezerwuaru.

Przy dobiegających z oddali dźwiękach *Symfonii Dantejskiej* Brüder wyciągnął z kieszeni wodoodporną latarkę i zanurzywszy ją, nacisnął włącznik. Jasny promień halogenowego światła przeszył czarną toń, oświetlając dno jaskini.

Tylko spokojnie, napomniał się ponownie agent. Nie zmąć wody.

Bez słowa zaczął przesuwać się wolno w głąb laguny, omiatając dno latarką niczym saper przeczesujący pole minowe.

Stojący przy barierce Langdon czuł narastający ucisk w krtani. Powietrze w rezerwuarze pomimo dużej wilgotności pachniało stęchlizną i nie zawierało – przynajmniej jego zdaniem – zbyt wiele tlenu. Patrząc za oddalającym się w głąb laguny agentem, powtarzał sobie w myślach, że wszystko będzie dobrze.

Zdążyliśmy na czas.

Pojemnik jest szczelny.

Zespół Brüdera zajmie się jego zabezpieczeniem.

Mimo to wciąż był podenerwowany. Jako człowiek cierpiący od dzieciństwa na klaustrofobię zdawał sobie sprawę, że pobyt w podziemiach wiąże się z nieuniknionymi stanami lękowymi.

Chodzi o te tysiące ton skały, które wiszą nad moją głową... wspierając się tylko na zmurszałych filarach.

Odegnał od siebie tę myśl i znów zerknął przez ramię, sprawdzając, czy nie zwrócili na siebie czyjejś uwagi.

Wszyscy słuchacze spoglądali w przeciwną stronę, na orkiestrę. Nikt nie mógł dostrzec brodzącego ostrożnie Brüdera. Zwłaszcza że agent oddalił się, przeczesując sam skraj jaskini.

Uspokojony Langdon przeniósł spojrzenie na szefa zespołu IWO, który omiatał dno zanurzoną w wodzie latarką.

Spoglądając na niego, Robert dostrzegł nagle jakiś ruch po lewej – z wody tuż przed Brüderem uniósł się złowieszczy czarny kształt. Langdon odskoczył od poręczy, wytrzeszczając oczy, jakby się spodziewał, że lada moment ujrzy wynurzającego się z wody lewiatana.

Brüder zatrzymał się w pół kroku – chyba zobaczył to samo.

Na pobliskiej ścianie majaczył dziesięciometrowy rozchwiany obrys. Widmowa sylwetka wyglądała niemal identycznie jak postać z ptasim dziobem z nagrania Zobrista.

To tylko cień, zrozumiał Robert, robiąc głęboki wydech. Cień Brüdera.

Pod wodą musiał znajdować się reflektor, dzięki któremu Zobrist uzyskał ten ciekawy efekt na swoim nagraniu.

– To gdzieś tam! – zawołał Langdon. – Jest pan już blisko!

Agent skinął głową i znów ruszył ostrożnie przed siebie. Amerykanin także przysunął się do poręczy. Po kilku chwilach raz jeszcze zerknął w stronę tłumu i orkiestry, sprawdzając, czy nikt nie zauważył brodzącego Brüdera.

Kiedy znów zwracał spojrzenie na lagunę, uchwycił kątem oka jakiś błysk. Coś odbijało światło u jego stóp.

Opuściwszy głowę, dostrzegł niewielką kałużę czerwonej cieczy.

Krew.

Co ciekawe, stał nad nią.

Czyżbym krwawił?

Nie czuł bólu, a mimo to natychmiast zaczął się obmacywać, sprawdzając, czy nie ma na skórze ran albo innych efektów

działania patogenu. Wytarł nos, obejrzał paznokcie, pomacał uszy.

Nie znalazłszy źródła krwawienia, powiódł wzrokiem dookoła, potwierdzając raz jeszcze, że jest sam na pomoście.

Spojrzał ponownie na kałużę i tym razem dostrzegł też strużkę sączącą się po deskach. To z niej pochodziła krew zbierająca się w zagłębieniu przy jego stopach i najwyraźniej spływająca z bardziej oddalonego miejsca.

Ktoś jest ranny, uzmysłowił sobie Langdon, zerkając pośpiesznie na Brüdera, który docierał właśnie do środka laguny.

Ruszył pomostem, podążając śladem płynącej krwi. Im bliżej był ślepego końca, tym więcej widział czerwieni.

Co u licha?

Dotarł właśnie do miejsca, gdzie krew płynęła szerokim strumieniem. Pobiegł wzdłuż strugi krwi i moment później dotarł do skalnej ściany, przy której kończył się pomost.

Ślepy zaułek.

W półmroku dostrzegł sporą, połyskującą czerwienią kałużę. Wszystko wskazywało na to, że zarżnięto tu kogoś. I to dosłownie.

Dopiero gdy przyjrzał się cieczy skapującej do wody w dole, zdał sobie sprawę, że jego początkowa ocena była mylna.

To nie krew.

Czerwone reflektory oświetlające rezerwuar w połączeniu z rdzawą barwą pomostów stworzyły iluzję. Zwykła woda wyglądała w tych warunkach jak krew.

To tylko woda...

Jednakże zamiast ulgi ogarnął go jeszcze większy strach. Przyglądając się kałuży, zauważył bowiem mniejsze rozpryski i odciski butów.

Ktoś wyszedł w tym miejscu z wody.

Odwrócił się, by poinformować o tym Brüdera, lecz agent był już daleko, a muzycy zaczynali właśnie uderzać w bębny. Efekt był ogłuszający. Oszołomiony Langdon poczuł nagle czyjąś obecność.

Nie jestem tu sam.

Odwrócił się bardzo powoli do ściany, przy której kończył się pomost. Jakieś trzy metry dalej, w mrocznym załomie, dostrzegł zaokrąglony kształt, coś jakby głaz okryty czarnym płaszczem, z którego wciąż ściekała woda. Nieruchomy głaz.

Chociaż nie, poruszył się.

Kształt wydłużał się, jego górna część wzniosła się, jakby coś rozwijało się albo wstawało.

To ktoś ubrany w czarną burkę.

Tradycyjny islamski strój nie pozwalał dostrzec ani skrawka gołej skóry, ale gdy postać odwróciła zasłoniętą woalem głowę, Langdon ujrzał parę oczu wpatrujących się w niego uważnie z wąskiego rozcięcia.

Rozpoznał je w jednej chwili.

Sienna Brooks wyskoczyła z kryjówki. Uderzyła z rozpędu w Roberta, a gdy padł na pomost, pognała dalej.

Rozdział 93

Brodzący w wodzie Brüder zatrzymał się nagle. Snop halogenowego światła jego latarki omiótł właśnie coś błyszczącego. Metal znajdujący się na dnie zbiornika.

Wstrzymując oddech, zrobił następny ostrożny krok, dbając o to, by nie zmącić wody. Dzięki gładkiej jak lustro powierzchni bez trudu zobaczył przyśrubowaną do dna prostokątną płytkę z tytanu.

Tabliczka Zobrista.

Woda była tak czysta, że bez trudu odczytał jutrzejszą datę i towarzyszący jej napis.

TUTAJ
ŚWIAT ZMIENIŁ SIĘ NA ZAWSZE

Jest dobrze, pomyślał Brüder. Mamy jeszcze kilka godzin, by powstrzymać zarazę.

Przypominając sobie treść nagrania, skierował latarkę w lewo, gdzie powinien znajdować się pojemnik. Halogen podświetlił wyłącznie czarne wody.

Nic tu nie ma.

Skierował latarkę jeszcze bardziej na lewo, w miejsce, gdzie na nagraniu znajdował się przezroczysty plastikowy worek.

Nadal nic.

Ale... to na pewno właściwe miejsce!

Agent zacisnął zęby, podchodząc jeszcze o krok, aby dokładniej przeczesać teren.

Nie było żadnego pojemnika. Tylko plakietka.

Przez krótką chwilę miał nadzieję, że zaraza, jak większość zdarzeń, których świadkiem był dzisiaj, okazała się zwykłą iluzją.

Czyżby to było zwykłe oszustwo?

Zobrist chciał nas tylko nastraszyć?

I wtedy to zobaczył.

Na lewo od tabliczki, w mule, leżała linka, na której zakotwiczono pojemnik. Skręcona na dnie przypominała martwego robaka. Na jej końcu widać było uchwyt, z którego sterczało kilka strzępków.

Brüder się pochylił, aby się przyjrzeć resztce przezroczystego pojemnika. Wyglądała jak flak po pękniętym balonie.

Prawda docierała do niego powoli.

Spóźniliśmy się.

Wyobraził sobie, jak rozpuszczalny pojemnik zaczyna pękać, po czym rozpada się na strzępy, a jego zawartość przenika do wody i bulgocząc, dociera do powierzchni laguny.

Zgasił latarkę drżącym palcem. Stojąc przez dłuższą chwilę w ciemnościach, próbował zebrać myśli.

Myśli, które szybko ewoluowały w kierunku modlitwy.

Pomóż nam, Boże.

– Czy może pan powtórzyć, agencie Brüder!? – wrzeszczała Sinskey do krótkofalówki. Zeszła już do połowy schodów wiodących do rezerwuaru, próbując złapać lepszy zasięg. – Nie zrozumiałam!

Owiewało ją gorące powietrze zasysane z dołu przez otwarte drzwi. Reszta zespołu IWO dotarła już na miejsce. Żołnierze przebierali się za budynkiem, aby nie wywoływać paniki widokiem kombinezonów ochronnych, dopóki Brüder nie zda pełnego raportu.

– ...erwany pojemnik... – z głośnika dobiegały urywane słowa – ...i ...wypuszczony.

Co takiego?!

Sinskey, ruszając biegiem w dół schodów, modliła się tylko o jedno: by słuch ją mylił.

– Proszę powtórzyć! – rozkazała, docierając na dolny poziom, gdzie dźwięki muzyki były o wiele głośniejsze.

Tym razem głos Brüdera był wyraźniejszy.

– Powtarzam... zawartość pojemnika wydostała się...

Sinskey rzuciła się przed siebie, wbiegając w wejście prowadzące do właściwego zbiornika. Jak to możliwe?

– Pojemnik rozpuścił się – zagrzmiał niespodziewanie Brüder. – Patogen jest już w wodzie!

Zimne poty oblały doktor Sinskey, gdy spojrzała na rozciągający się przed jej oczami mroczny świat podziemi. Przez czerwonawą mgiełkę dostrzegła rozległą powierzchnię wody, z której sterczały setki kolumn. Przede wszystkim jednak widziała wokół siebie ludzi.

Setki osób.

Spoglądając na nieświadomy niczego tłum zwabiony w podziemną pułapkę Zobrista, zareagowała instynktownie.

– Agencie Brüder, proszę natychmiast wracać. Musimy niezwłocznie rozpocząć ewakuację ludzi.

Jego odpowiedź była natychmiastowa.

– Absolutnie nie! Zamknijcie drzwi! Nikt nie może stąd wyjść!

Jako szefowa Światowej Organizacji Zdrowia przywykła do tego, że bez szemrania wykonywano każdy jej rozkaz, i dlatego nie od razu dotarł do niej sens słów Brüdera. Zamknąć drzwi?

– Doktor Sinskey – wrzeszczał, próbując przekrzyczeć muzykę. – Słyszy mnie pani? Zamknijcie te cholerne drzwi!

Powtarzał to zupełnie niepotrzebnie. Sinskey wiedziała, że agent ma rację. W obliczu pandemii kwarantanna była jedynym sensownym rozwiązaniem.

Uniosła rękę i ścisnęła instynktownie amulet z lazurytu.

Poświęcić nielicznych dla ocalenia większości...

Podjąwszy decyzję, uniosła krótkofalówkę do ust.

– Potwierdzam, agencie Brüder. Zaraz wydam rozkaz zamknięcia drzwi.

Właśnie się odwracała, by nie mieć tych ludzi przed sobą podczas wydawania następnych poleceń, gdy kątem oka dostrzegła poruszenie w tłumie.

Jakaś kobieta w burce biegła zatłoczonym pomostem. Odtrącała każdego, kto stawał jej na drodze. Wyglądało na to, że kieruje się prosto na Sinskey i... wyjście.

Ktoś ją ściga, zrozumiała Elizabeth, dostrzegłszy też mężczyznę biegnącego za uciekinierką.

Nagle zamarła.

To przecież Langdon!

Przeniosła wzrok na kobietę w burce, która przedzierała się przez tłum, wołając coś po turecku. Sinskey nie znała tego języka, ale sądząc po panicznej reakcji tłumu, słowa te były odpowiednikiem okrzyku: „pożar!" w zatłoczonym teatrze.

Moment później biegła już nie tylko kobieta w burce i goniący ją Langdon – większość słuchaczy rzuciła się w kierunku schodów.

Sinskey odwróciła się plecami do szarżującego tłumu, krzycząc do swoich ludzi znajdujących się wciąż na górze.

– Zamknąć drzwi! Odciąć rezerwuar! Natychmiast!

Zanim Langdon zdążył dobiec do podnóża schodów, Elizabeth pokonała ponad połowę stopni. Pędziła w górę, krzycząc ile sił w płucach, by zamknięto drzwi. Sienna Brooks deptała jej po piętach mimo plączącej jej się pod nogami ciężkiej burki.

Znajdujący się nieco za nimi Langdon czuł na plecach oddech spanikowanego tłumu.

– Zamknąć wyjście! – wrzasnęła raz jeszcze Sinskey.

Robert dzięki długim nogom pokonywał po trzy stopnie naraz, szybko doganiając Siennę. Słyszał dobiegający z góry zgrzyt zamykanych drzwi.

Spóźniłem się...

Sienna mijała właśnie Sinskey. Złapała starszą od siebie kobietę za ramię, by przepchnąć się na wąskich schodach. Elizabeth padła na kolana, jej ukochany amulet uderzył o beton i rozpadł się na dwie połowy.

Langdon zwalczył chęć zatrzymania się i udzielenia pomocy upadającej kobiecie. Zamiast tego przyśpieszył, gnając ze zdwojoną energią w stronę górnego pomostu.

Sienna znajdowała się już tak blisko, zdawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, by ją pochwycić, ale właśnie wypadła na podest przy drzwiach, które wciąż jeszcze nie zamknęły się całkowicie. Widząc to, lekarka rzuciła się w wąski prześwit, a że była niezwykle drobna, zmieściła się, choć z pewnym trudem.

Już prawie przecisnęła się za wrota, gdy nagle poła jej burki zaczepiła o zasuwę, zatrzymując ją dosłownie o centymetry od wolności. Kiedy rzucała się jak ryba w sieci, Robert wyciągnął rękę i chwycił burkę. Szarpnął za nią mocno, próbując wciągnąć Siennę do środka, ale kobieta wierzgnęła jeszcze raz i nagle... trzymał w dłoni tylko mokrą szmatę.

Wrota zamknęły się na burce, omal nie miażdżąc Langdonowi dłoni. Gruby materiał uniemożliwiał jednak zatrzaśnięcie ich do końca.

Przez wąską szczelinę Langdon widział, jak Sienna Brooks mknie przez zatłoczoną ulicę. Jej kompletnie łysa głowa lśniła w świetle latarni. Miała na sobie ten sam sweter i niebieskie dżinsy, które nosiła przez cały dzień. Roberta na ten widok ogarnęło poczucie zdrady.

Ustąpiło jednak w mgnieniu oka. Poczuł, jak ogromna siła uderza go w plecy i wtłacza w gigantyczne drzwi.

Tłum dotarł na górę schodów.

Klatkę schodową wypełniały okrzyki przerażenia i zdziwienia, nawet dobiegająca z dołu cichnąca muzyka brzmiała teraz jak kakofonia przypadkowych dźwięków. Langdon czuł, jak nacisk na jego plecy wzmaga się z każdą sekundą. Tłum dosłownie wprasował go w drzwi.

Wrota puściły nagle i Robert został wypchnięty w noc niczym korek z otwieranego szampana. Przebiegł przez chodnik i niemal runął jak długi. Ludzie wydostający się za nim z podziemi zachowywali się jak mrówki uciekające z posypanego trutką mrowiska.

Członkowie zespołu IWO, słysząc hałas, wybiegli zza rogu. Ich nagłe pojawienie się na ulicy w pełnych kombinezonach ochronnych tylko spotęgowało panikę.

Langdon odwrócił się i spojrzał na ulicę tam, gdzie ostatnio widział uciekającą Siennę. Nie zobaczył nic poza ogólnym chaosem.

Moment później daleko po lewej wychwycił w blasku latarni jasny punkt, który mógł być jej łysą głową. Uciekała zatłoczonym chodnikiem, by zaraz skręcić w pierwszą przecznicę.

Langdon obejrzał się, szukając wzrokiem Sinskey, policji albo chociaż któregoś z agentów.

Nie było jednak nikogo, kto mógłby mu pomóc.

Zdał sobie sprawę, że może liczyć wyłącznie na siebie.

Niewiele myśląc, rzucił się w pogoń za Sienną.

Dużo niżej, w najgłębszym miejscu rezerwuaru, agent Brüder stał wciąż w sięgającej mu po pierś wodzie. Z mroku docierały do niego odbijające się echem dźwięki pandemonium. Turyści i muzycy walczyli ze sobą, przepychając się w kierunku wyjścia.

Nie zamknięto drzwi, pomyślał Brüder, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji. Nie zdołaliśmy zneutralizować źródła zarazy.

Rozdział 94

Robert Langdon nie był dobrym biegaczem, aczkolwiek kilka lat intensywnego pływania poprawiło jego kondycję, a dzięki długim nogom pokonywał dystans szybciej niż ludzie niższego wzrostu. Dotarł do rogu w ciągu kilku sekund, skręcił i znalazł się u wylotu szerokiej alei. Pośpiesznie przeczesał wzrokiem oba chodniki.

Ona musi gdzieś tu być!

Deszcz przestał padać, zatem Robert miał doskonały widok na niemal całą długość dobrze oświetlonej ulicy. Nie było na niej miejsc, w których można by się ukryć.

A mimo to Sienna rozpłynęła się jak we mgle.

Langdon zatrzymał się, oparł dłonie o biodra i dysząc ciężko, lustrował lśniącą po deszczu ulicę. Jedynym pojazdem, jaki zobaczył, był znajdujący się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej nowoczesny stambulski *otobüs*. Pojazd ruszał właśnie z przystanku.

Czy Sienna wskoczyła do niego?

Jego zdaniem byłoby to zbyt ryzykowne. Czy naprawdę pozwoliłaby się zamknąć w tak niewielkiej przestrzeni, wiedząc,

że wszyscy wokół jej szukają? Gdyby jednak sądziła, że nikt nie zauważył, w którą stronę uciekła, a do tego autobus właśnie by ruszał, zwiększając jej szanse...

Wtedy byłoby to niewykluczone.

Przyczepiona w górnej części autobusu tablica informacyjna wyświetlała tylko jedno słowo: GALATA.

Langdon pobiegł chodnikiem w kierunku człowieka, który stał pod markizą jakiejś restauracji. Mężczyzna miał na sobie ozdobną, wyszywaną cekinami tunikę i biały turban.

– Przepraszam – wysapał Robert, zatrzymując się przed nim. – Mówi pan po angielsku?

– Oczywiście – odparł Turek, zaskoczony natarczywością w głosie nieznajomego.

– Czy Galata to jakieś miejsce?

– Galata? – zapytał tamten. – Most Galata? Wieża Galata? Port Galata?

Langdon wskazał na oddalający się autobus.

– Galata! Dokąd jedzie ten autobus?

Facet w turbanie zerknął na pojazd, po czym zastanawiał się chwilę.

– Chodzi o most – odparł.

Robert jęknął, raz jeszcze omiatając wzrokiem ulice, ale nigdzie nie dostrzegł śladu Sienny. Ze wszystkich stron słychać było wycie policyjnych syren. Kilka radiowozów przemknęło aleją, kierując się ku rezerwuarowi.

– Co się dzieje? – zapytał mężczyzna w turbanie. – Czy coś się stało?

Langdon raz jeszcze popatrzył na oddalający się autobus. Zdawał sobie sprawę, że strzela w ciemno, ale nie miał innego wyjścia.

– Tak – odpowiedział. – Zdarzył się nagły wypadek, a ja potrzebuję pańskiej pomocy. – Skinął głową w kierunku krawężnika, gdzie podstawiono właśnie srebrnego bentleya. – To pański samochód?

– Tak, ale...

– Musi mnie pan podwieźć – powiedział Robert stanowczo. – Wiem, że się nie znamy, ale proszę mi wierzyć, doszło właśnie do prawdziwej katastrofy. To sprawa życia lub śmierci.

Mężczyzna w turbanie spoglądał mu przez chwilę prosto w oczy, jakby chciał dostrzec przez nie dno duszy. W końcu skinął głową.

– Proszę wsiadać.

Gdy bentley ruszył, Langdon musiał chwycić się fotela. Turek był doświadczonym kierowcą, a zabawa w kotka i myszkę z uciekającym autobusem bardzo mu się spodobała.

Wystarczyło pokonanie trzech przecznic, by bentley dogonił *otobüs*. Langdon pochylił się do przodu, by lepiej widzieć tylną szybę jadącego przed nimi pojazdu. Światła wewnątrz były przygaszone, widział więc jedynie zarysy sylwetek nielicznych pasażerów.

– Proszę go nie wyprzedzać – zwrócił się do kierowcy. – Ma pan tu jakiś telefon?

Turek wyjął z kieszeni komórkę i podał ją pasażerowi, który podziękował wylewnie, by zaraz sobie uświadomić, że nie wie, z kim miałby się skontaktować. Nie miał przecież numeru do

Sinskey ani do Brüdera, a dodzwonienie się do siedziby Światowej Organizacji Zdrowia w Genewie zajęłoby całą wieczność.

– Jak się połączę z miejscową policją? – zapytał.

– Proszę wcisnąć jeden-pięć-pięć – odparł kierowca. – Połączy się pan z najbliższym posterunkiem w Stambule.

Langdon wybrał trzycyfrowy numer i czekał. Wydawało mu się, że przez nieskończoność nikt nie odbiera. W końcu usłyszał nagranie po turecku i angielsku, informujące, że z powodu licznych zgłoszeń dzwoniący jest proszony o cierpliwość. To kazało mu się zastanowić, czy aby powodem tych wszystkich zgłoszeń nie są wydarzenia w rezerwuarze.

W zatopionym pałacu działy się zapewne dantejskie sceny. Przypomniał sobie Brüdera brodzącego w wodzie. Ciekawiło go, co agent odkrył, chociaż miał paskudne podejrzenie, że nie było to nic dobrego.

Sienna weszła do wody moment przed nim.

Czerwone światła jadącego przed nimi autobusu rozbłysły intensywniej, zanim pojazd zjechał do zatoczki pobliskiego przystanku. Turek wykonał podobny manewr, zatrzymując bentleya przy krawężniku, dzięki czemu Robert miał doskonały widok na wsiadających i wysiadających ludzi. Amerykanin, siedząc z nosem przy szybie, przyglądał się uważnie każdej osobie, która opuszczała autobus.

Proszę, proszę, obym się nie mylił.

I wtedy ją zobaczył.

Siedziała w tylnej części autobusu, plecami do niego. Widział wąskie ramiona, a między nimi gładką bladą łysinę.

To musi być Sienna.

Gdy autobus ruszył, światła w kabinie znowu przygasły. Zanim to jednak nastąpiło, osoba, którą Langdon obserwował, obejrzała się, zerkając przez tylną szybę.

Robert pochylił się mocniej, znikając za deską rozdzielczą bentleya.

Ciekawe, czy mnie zauważyła?

Mężczyzna w turbanie także włączył się do ruchu, jadąc w ślad za autobusem.

Ulica biegła teraz w dół, w kierunku wody. Langdon widział w oddali światła mostu przerzuconego nad szerokim akwenem. Wszystkie pasy ruchu na nim wyglądały na kompletnie zakorkowane. Szczerze mówiąc, wszędzie wokół widział stojące samochody.

– Bazar Egipski – wyjaśnił kierowca. – Jest bardzo popularny w deszczowe noce.

Wskazał na nabrzeże, na którym w cieniu jednego z najbardziej spektakularnych meczetów Stambułu – zwanego Nowym Meczetem, jeśli Langdon czegoś nie mylił – znajdował się długi niski budynek. Bazar Egipski wydawał się większy od amerykańskich centrów handlowych; nawet z tej odległości Robert widział tłumy przelewające się przez jego łukowate bramy.

– *Alo?!* – w samochodzie odezwał się jakiś cienki głosik. – *Acil durum! Alo?*

Langdon zerknął w dół, na trzymany w dłoni telefon. Policja.

– Halo! – zawołał, przykładając aparat do ucha. – Nazywam się Robert Langdon. Pracuję dla Światowej Organizacji Zdrowia. Macie poważny problem w rezerwuarze, a ja ścigam osobę, która

odpowiada za jego wywołanie. To kobieta znajdująca się w autobusie, który stoi teraz przy Bazarze Egipskim, a jedzie do...

– Chwileczkę – przerwał mu policjant. – Połączę pana z oficerem dyżurnym.

– Nie, zaraz! – zawołał Langdon, ale już rozległ się sygnał.

Kierowca bentleya spojrzał na niego z przerażeniem.

– Problem w rezerwuarze?

Langdon chciał mu wyjaśnić, o co chodzi, ale nagle twarz Turka poczerwieniała, jakby stał się demonem.

Światła hamowania!

Kierowca zdążył je zauważyć i zatrzymał się dosłownie milimetry od zderzaka autobusu. Gdy zapaliło się światło w kabinie, Langdon zobaczył Siennę wyraźnie. Stała przy tylnych drzwiach, pociągając regularnie za linkę na znak, że chce wysiąść.

Zauważyła mnie, pomyślał Langdon. Bez wątpienia widziała też korek na moście i uznała, że nie może sobie pozwolić na uwięźnięcie w nim na długie godziny.

Langdon otworzył szybko drzwi, ale Sienna już wybiegała z autobusu, gnając w mrok. Robert rzucił komórkę na kolana kierowcy.

– Proszę powiedzieć policji, co się stało! Niech otoczą cały teren!

Wylękniony mężczyzna w turbanie skinął tylko głową.

– I dziękuję za wszystko! – zawołał Langdon, odbiegając. – *Teşekkürler!*

Pomknął w dół wzgórza, ścigając Siennę, która pędziła prosto w tłum kłębiący się wokół Bazaru Egipskiego.

Rozdział 95

Trzystuletni stambulski Bazar Egipski jest jednym z największych zadaszonych targowisk świata. Zbudowany na planie litery L rozległy kompleks składa się z osiemdziesięciu czterech komór podzielonych na setki stoisk, przy których miejscowi i przyjezdni kupcy targują się zawzięcie, oferując oszałamiającą gamę jadalnych cudów z każdego zakątka naszego globu – są tam przyprawy, owoce, zioła oraz wszechobecne tureckie łakocie będące specjalnością Stambułu.

Wejście na bazar – masywny portal z gotyckim łukiem – mieści się u zbiegu ulic Çiçek Pazari i Tahmis. Dobrze poinformowane źródła twierdziły, że przechodzi tamtędy nawet do trzystu tysięcy gości dziennie.

Biegnący w kierunku zatłoczonego wejścia Langdon miał nieodparte wrażenie, że wszyscy oni postanowili zajrzeć na targowisko o tej właśnie porze. Mimo to parł przed siebie, nie spuszczając wzroku z pleców Sienny. Miał ją niespełna dwadzieścia metrów przed sobą, pędziła prosto ku wejściu i nic nie wskazywało na to, by zamierzała się zatrzymać.

Moment później wpadła pod łuk portyku, wbijając się z impetem w gęstwinę ciał. Rozpychając się i wijąc, torowała sobie drogę do wnętrza bazaru. W chwili, gdy mijała jego progi, pozwoliła sobie na zerknięcie przez ramię. Wtedy Langdon dostrzegł w jej oczach strach... to była uciekająca w panice dziewczynka, która straciła nad wszystkim kontrolę.

– Sienna! – zawołał.

Ale ona zanurkowała w tłum i już jej nie było.

Langdon skoczył za nią, przepychając się, roztrącając ludzi i wyciągając szyję, dopóki nie zobaczył, że zaczęła uciekać zachodnim holem.

Wzdłuż drogi, którą pokonywał, piętrzyły się stosy koszy z egzotycznymi przyprawami – indyjskie curry, irański szafran, chińska herbata... Oszałamiające barwy tworzyły wokół Roberta żółto-brązowo-złoty tunel. Z każdym krokiem wyczuwał nowy zapach: ostrą woń grzybów, gorzkawy odór korzeni, piżmowy aromat olejków – unosiły się one w powietrzu wypełnionym ogłuszającym chórem wszystkich języków świata. Człowiek wchodzący na bazar chłonął jego uroki wszystkimi zmysłami przy akompaniamencie nigdy nie milknącego chóru ludzkich głosów.

A ludzi były tutaj tysiące.

Langdon znów wpadł w szpony klaustrofobii. Niewiele brakowało, a natychmiast by się wycofał. Na szczęście zdołał zebrać się w sobie i zmusił do marszu w głąb bazaru. Widział Siennę przed sobą. Przepychała się nieugięcie przez zbity tłum. Zamierzała doprowadzić tę sprawę do końca bez względu na to, jakie będą skutki jej uporu.

Robert przez krótki moment zastanawiał się, dlaczego ją ściga.

Żeby sprawiedliwości stało się zadość?

Zważywszy na to, co zrobiła, nie mógł sobie nawet wyobrazić, jaka czeka ją kara.

Żeby zapobiec pandemii?

To co się stało, na pewno się nie odstanie.

Przepychając się przez mrowie obcych mu ludzi, nagle zrozumiał, dlaczego tak bardzo zależy mu na dopadnięciu Sienny Brooks.

Chcę odpowiedzi.

Znajdująca się niespełna dziesięć metrów od niego kobieta parła w kierunku drzwi znajdujących się na końcu zachodniego skrzydła bazaru. Znów zerknęła przez ramię. W jej oczach pojawił się lęk, gdy zauważyła, jak blisko jest Langdon. Moment później potknęła się i upadła.

Głowa poleciała jej w przód, trafiając w bark idącego przed nią mężczyzny. Osuwając się, wyciągnęła rękę, by znaleźć oparcie. W zasięgu jej palców znajdowała się tylko beczka pełna orzechów. Zacisnęła dłoń na krawędzi, lecz impet upadku był tak duży, że przewróciła naczynie na siebie, rozsypując lawinę orzechów.

Langdon potrzebował trzech kroków, by znaleźć się w miejscu, w którym upadła. Spojrzał na podłogę, ale zobaczył jedynie kołyszącą się beczkę i rozsypane orzechy. Sienny nie było.

Sprzedawca wydzierał się jak szaleniec.

Gdzie się podziała?!

Robert obrócił się wokół własnej osi, lecz Sienna zniknęła jak kamfora. Gdy jego wzrok spoczął na odległym o piętnaście metrów wyjściu, zrozumiał, że jej upadek nie był przypadkowy.

Pognał do drzwi i wypadł na plac, także wypełniony szczelnie ludźmi. Przeczesał wzrokiem teren wokół siebie, ale nic to nie dało.

Przed nim, za wielopasmową autostradą, znajdował się most Galata prowadzący na drugą stronę wód Złotego Rogu. Bliźniacze wieże minaretów Nowego Meczetu miał po prawej, wznosiły się wysoko nad placem. Po lewej natomiast rozciągała się spora wolna od zabudowy przestrzeń, na której oczywiście roiło się od ludzi.

Dźwięki klaksonów zwróciły jego uwagę na autostradę oddzielającą plac od cieśniny. Dostrzegł Siennę, znajdującą się teraz ponad sto metrów od niego. Przebiegła przez jezdnię, tylko o włos unikając zmiażdżenia przez dwie ciężarówki. Gnała ku morzu.

Na lewo od Roberta, na wybrzeżu Złotego Rogu, znajdowało się coś na kształt centrum transportowego, były tam promy, autobusy, taksówki i łodzie.

Robert popędził przez plac w kierunku autostrady. Dotarłszy do barierek ochronnych, odczekał chwilę, zanim je przeskoczył, synchronizując swój ruch ze światłami nadjeżdżającego samochodu. Udało mu się przebiec przez pierwszą dwupasmówkę z wielu, jakie miał przed sobą. Przez kolejne piętnaście sekund, oślepiany przez reflektory nadjeżdżających samochodów i ogłuszany ich przeraźliwymi klaksonami, szamotał się po szosie, biegając i odskakując, ale w końcu dotarł na przeciwległy skraj autostrady i przetoczywszy się przez barierkę, wylądował na trawiastym brzegu.

Wprawdzie nadal widział Siennę, ale była już naprawdę daleko, przebiegała między postojem taksówek a przystankiem

autobusowym, kierując się na przystań, przy której jeśli Langdon dobrze widział, kręciły się najróżniejsze jednostki – od turystycznych barek, przez wodne taksówki i prywatne łodzie rybackie, po motorówki. Za mroczną taflą wody połyskiwały światła zachodniej części Złotego Rogu. Robert pojął, że jeśli pozwoli jej dotrzeć na drugi brzeg, Sienna zniknie na dobre i nikt już nigdy o niej nie usłyszy.

Gdy zdołał w końcu dotrzeć na nabrzeże, skręcił w lewo i pobiegł dalej promenadą, zwracając na siebie uwagę wystrojonych turystów, którzy czekali karnie w kolejkach, by wejść na pokłady cudacznie przystrojonych barek – były na nich nawet kopuły, fałszywe złocenia i mrugające neony. Statki te, prócz nocnej panoramy miasta, oferowały także wykwintne kolacje.

Las Vegas na Bosforze, jęknął Langdon, mijając przystań.

Dostrzegł Siennę w oddali. Już nie uciekała, targowała się teraz z właścicielem jakiejś motorówki.

Tylko nie wpuszczaj jej na pokład!

Kiedy podbiegł bliżej, zobaczył, że Sienna usiłuje przekonać młodego mężczyznę stojącego za sterem smukłej motorówki, która była gotowa do odbicia od brzegu. Sternik uśmiechał się do niej, lecz zdecydowanie potrząsał głową. Choć Sienna nie przestawała gestykulować, właściciel łodzi uznał rozmowę za skończoną i bezceremonialnie odwrócił się do niej plecami.

W końcu Sienna zerknęła przez ramię. Na jej twarzy widać było ogromną desperację. Motorówka u jej stóp włączyła bliźniacze silniki i tworząc wielkie bulgoczące wiry na wodzie, odbiła od nabrzeża.

W tym momencie Sienna skoczyła. Podbiegła po prostu do skraju pomostu i rzuciła się w dół. Wylądowała z hukiem na rufie łodzi. Sternik, wyczuwszy to, odwrócił się z niedowierzaniem. Zdławił obroty silników, unieruchamiając motorówkę znajdującą się prawie dwadzieścia metrów od brzegu. Wrzeszcząc głośno, ruszył w kierunku niechcianej pasażerki.

Gdy podszedł wystarczająco blisko, Sienna zwinnie usunęła mu się z drogi, chwytając jednocześnie za nadgarstek jego wyciągniętej ręki i umiejętnym ruchem posłała o wiele od niej cięższego mężczyznę za burtę. Turek wywinął kozła i wylądował głową w wodzie. Chwilę później wypłynął na powierzchnię, plując i młócąc wściekle rękami. Słowa, które padały z jego ust, z pewnością były tureckimi wyzwiskami.

Sienna z całkowicie obojętną miną rzuciła mu koło ratunkowe, po czym natychmiast dodała gazu.

Silniki zaryczały, popychając motorówkę w głąb cieśniny.

Langdon zatrzymał się na przystani i łapczywie chwytając powietrze, śledził wzrokiem smukły kadłub łodzi rozpływającej się powoli w mroku. Przenosząc wzrok na horyzont, zrozumiał, że Sienna zyskała nie tylko możliwość dotarcia na drugi brzeg, ale również dostęp do niezliczonych szlaków wodnych łączących Morze Czarne ze Śródziemnym.

Uciekła.

Tuż obok niego z wody wygramolił się wściekły właściciel motorówki i klnąc głośno, pognał w głąb lądu, by powiadomić policję.

Robert poczuł się nagle bardzo samotny. Stał na brzegu sam jak palec, wpatrując się w połykane przez mrok światła pozycyjne

łodzi.

Moment później oba silniki raptownie umilkły.

Langdon wpatrzył się w ciemność uważniej.

Wyłączyła je?

Światła przestały maleć w oddali, kołysały się teraz łagodnie na niskiej fali Złotego Rogu. Z niewiadomego powodu Sienna przestała uciekać.

Czyżby skończyło jej się paliwo?

Przyłożył dłonie do ucha, aby lepiej słyszeć. Z oddali docierał do niego cichutki warkot – silniki wciąż pracowały, lecz na wolnych obrotach.

Co ona wyprawia, skoro ma paliwo?

Czekał.

Dziesięć sekund. Piętnaście. Trzydzieści.

Nagle, bez ostrzeżenia, silniki ożyły, z początku pracowały opornie, by po chwili znów zawyć z pełną mocą. Ku zdziwieniu Roberta łódź zataczała teraz szeroki łuk, by zawrócić w stronę nabrzeża.

Ona wraca!

Gdy motorówka pojawiła się w polu widzenia, zauważył, że Sienna stoi za sterem ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni. Trzydzieści metrów od brzegu zmniejszyła obroty silników, wprowadzając łódź na miejsce, z którego przed momentem odpłynęła. Tam wyłączyła oba silniki.

Zapadła cisza.

Langdon spoglądał na Siennę z niedowierzaniem.

Ona nie podniosła jednak głowy.

Zamiast tego ukryła twarz w dłoniach. Po chwili zaczęła się trząść; zwieszone ramiona drgały jej spazmatycznie. Gdy w końcu spojrzała na Langdona, oczy miała pełne łez.

– Robercie – załkała – nie chcę już uciekać. Nie mam dokąd pójść.

Rozdział 96

Patogen się wydostał.

Elizabeth Sinskey stała u podnóża schodów, mierząc wzrokiem opustoszałą jaskinię. Nałożona na twarz maska respiratora nie pozwalała jej głębiej odetchnąć. Mimo że wcześniej była wystawiona na działanie patogenu, czuła się obecnie pewniej, mając na sobie hermetyczny kombinezon ochronny, w którym wróciła do skażonego miejsca razem z zespołem IWO.
W napompowanych białych strojach z przezroczystymi kaskami wyglądali jak astronauci wchodzący na pokład obcego statku.

Sinskey zdawała sobie sprawę, że na ulicy przy wejściu stoją setki przerażonych melomanów i muzyków. Wielu z nich trzeba było udzielić pomocy medycznej z powodu obrażeń odniesionych na schodach. Reszta gości zdążyła uciec z okolic rezerwuaru. Ona sama miała szczęście, że wyszła z tej sytuacji tylko z otarciem na kolanie i złamanym amuletem.

Jedna forma zarazy przenosi się szybciej od wirusa, pomyślała. Strach.

Wrota na górze w końcu zamknięto, uszczelniając je starannie i obstawiając uzbrojonymi strażnikami. Sinskey spodziewała się

konfliktu z lokalną policją, jednakże stróże prawa spuścili z tonu, ledwie zobaczyli ludzi z IWO w kombinezonach ochronnych i wysłuchali ostrzeżenia o wirusie.

Dano nam wolną rękę, pomyślała, spoglądając na las kolumn wyrastających z podziemnej laguny. Nikt tu nie zejdzie z własnej woli...

Za jej plecami dwaj agenci właśnie rozwijali arkusz folii poliuretanowej, którym następnie dodatkowo uszczelnili przejście. Dwaj inni po znalezieniu odpowiednio szerokiego pomostu rozkładali na nim sprzęt elektroniczny, zupełnie jak technicy zabierający się do obejrzenia miejsca zbrodni.

Z tym właśnie mamy do czynienia, uznała. Z miejscem zbrodni.

Przypomniała sobie kobietę w burce, która wybiegła z rezerwuaru. Wszystko wskazywało na to, że Sienna Brooks zaryzykowała własne życie, by nie dopuścić do zniweczenia szalonego planu Zobrista. Zeszła na dół i rozerwała pojemnik...

Langdon pognał za nią w mrok nocy i od tamtej pory słuch po nich zaginął.

Mam nadzieję, profesorze, że nic się panu nie stało, westchnęła w myślach.

Ociekający wodą agent Brüder stał na pomoście, spoglądając tępo na odwróconą głowę Meduzy. Zastanawiał się, co można jeszcze zrobić.

Członków zespołu IWO szkolono w taki sposób, by do sytuacji kryzysowych podchodzili w skali makro, wyzbywając się etycznych czy też osobistych obaw. Ich zadaniem było ocalenie jak największej liczby ludzi. Do tej pory nie przejmował się więc takimi duperelami jak własne zdrowie i życie.

Brodziłem w tym syfie, dopiero teraz zbeształ się w myślach za podjęcie zbyt pochopnej decyzji, chociaż tak naprawdę nie miał wielkiego wyboru. Potrzebowaliśmy jednak natychmiastowej oceny sytuacji...

Moment później skupił się na ważniejszym temacie, jakim było wdrożenie planu B. Niestety w razie skażenia druga opcja zawsze wyglądała tak samo: zwiększało się teren objęty kwarantanną. Walka z chorobami zakaźnymi przypomina gaszenie pożaru lasu: czasami trzeba się wycofać i poddać na jakimś odcinku, by potem odnieść bezapelacyjne zwycięstwo.

W tym momencie Brüder wciąż miał nadzieję, że szkody nie są zbyt duże. Wyglądało na to, że Sienna rozerwała pojemnik kilka minut przed tym, zanim rozpętało się pandemonium. A to mogło oznaczać, że zdecydowana większość ewakuowanych nie zdążyła się zetknąć z patogenem.

Tylko Langdon i Sienna byli wystarczająco blisko, pomyślał. Stali tuż przy punkcie zero, a teraz biegają po mieście.

Borykał się też z innym problemem – z niekonsekwencją, na którą zwrócił uwagę. Przebywając w wodzie, nie znalazł szczątków rozerwanego pojemnika, co było bardzo dziwne.

Powinny pływać na powierzchni albo leżeć na dnie, skoro Sienna rozerwała go, kopnęła czy co tam z nim zrobiła.

Nie znalazł jednak ani śladu rozpuszczalnego tworzywa. Jak gdyby rozpuściło się całkowicie. Brüder wątpił, że kobieta zdołała wynieść pojemnik, gdyż w tym stanie pękłby przy pierwszym mocniejszym dotyku.

W takim razie gdzie go umieściła?

Miał dziwne przeczucie, że przeoczył jakiś szczegół. Mimo to postanowił skupić się na planie B, co wymagało odpowiedzi na jedno kluczowe pytanie.

Jaki jest promień skażenia?

Domyślał się, że pozna odpowiedź w ciągu najbliższych kilku minut. Jego ludzie już rozkładali czujniki, aby sprawdzić stężenie wirusa w różnej odległości od punktu zero. Urządzenia te działały na zasadzie reakcji łańcuchowej polimerazy i mogły wykryć obecność nawet pojedynczych wirusów.

W tym cała nasza nadzieja, uznał agent IWO.

Dzięki temu, że woda w zbiorniku była stojąca i że od uwolnienia patogenu nie minęło wiele czasu, skażony teren nie powinien być rozległy, a neutralizację da się przeprowadzić metodami chemicznymi i zwykłym wypompowaniem wody z rezerwuaru.

– Gotowi? – zapytał przez megafon jeden z techników.

Agenci rozstawieni nad laguną unosili kolejno kciuki.

– Pobierzcie próbki – skrzeknął megafon.

Analitycy przyklęknęli przy czujnikach, aby je włączyć. Każde z urządzeń dokonało analizy składu powietrza wokół miejsca, w którym je ustawiono – to znaczy na coraz większych półokręgach otaczających plakietkę umieszczoną na dnie przez Zobrista.

W jaskini zapanowała kompletna cisza. Wszyscy czekali, modląc się, by zapłonęły wyłącznie zielone diody.

I wtedy się zaczęło.

Urządzenie stojące najbliżej Brüdera zamigało na czerwono. Agent zesztywniał, przenosząc wzrok na kolejny czujnik.

Na nim także zapaliła się czerwona dioda.

Nie...

W półmroku rozległy się zduszone pomruki. Brüder patrzył z przerażeniem, jak zapalają się kolejne czerwone światełka, nie tylko nad laguną, ale i przy wejściu.

O, Boże... pomyślał.

Morze migającej czerwieni nie pozostawiało jednak wątpliwości.

Promień skażenia był ogromny.

Wirusy znajdowały się w całej jaskini.

Rozdział 97

Robert Langdon spoglądał z góry na skradzioną motorówkę i kulącą się na niej Siennę Brooks. Wciąż nie mógł zrozumieć, co tu się naprawdę wydarzyło.

– Wiem, że mną gardzisz – szlochała, spoglądając na niego przez łzy.

– Gardzę tobą?! – zawołał. – Nie mam nawet pojęcia, kim jesteś! Okłamywałaś mnie od samego początku!

– Wiem – mruknęła. – Wybacz. Ja naprawdę chciałam dobrze.

– I dlatego uwolniłaś zarazę?

– Nie, Robercie, ty nic nie rozumiesz...

– To akurat rozumiem – wpadł jej w słowo Langdon. – Wiem, że wskoczyłaś tam do wody, by rozerwać rozpuszczalny pojemnik! Chciałaś uwolnić wirusa Zobrista, zanim ktokolwiek zdąży go zneutralizować!

– Rozpuszczalny pojemnik? – W oczach Sienny pojawiło się zdziwienie. – Nie wiem, o czym mówisz, Robercie. Zeszłam do rezerwuaru, by powstrzymać wirusa Bertranda... ukraść go i zniknąć na zawsze... aby nikt nie mógł go zbadać, a już zwłaszcza doktor Sinskey i ta jej cała organizacja.

– Chciałaś go ukraść? Dlaczego miałabyś ukrywać śmiertelnie niebezpiecznego wirusa przed Światową Organizacją Zdrowia?

Sienna zaczerpnęła głęboko tchu.

– Nie wiesz jeszcze tylu rzeczy, dlatego to wszystko wydaje ci się pokręcone. Przylecieliśmy za późno, Robercie. Nie mieliśmy szans na wykonanie naszej misji.

– Mieliśmy szanse, i to spore! Wirus miał być uwolniony dopiero jutro! Taką datę ustalił Zobrist i gdybyś nie wskoczyła tam do wody...

– Ja nie uwolniłam wirusa! – wydarła się Sienna. – Weszłam do wody, by go odszukać, ale było już za późno. Niczego nie znalazłam...

– Nie wierzę ci! – przerwał jej Langdon.

– Wiem. I wcale nie mam o to pretensji. – Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej zmiętą ulotkę. – Może dzięki temu mi uwierzysz. – Rzuciła kartkę Langdonowi. – Znalazłam ją tuż przed tym, zanim weszłam do wody.

Złapał papier i natychmiast go rozłożył. Był to program darmowych koncertów *Symfonii Dantejskiej*.

– Spójrz na daty – poradziła.

Sprawdził je, i to dwukrotnie, zdziwiony tym, co zobaczył. Nie wiedzieć czemu żywił przekonanie, że dzisiejszy koncert był premierowy, a kolejne będą się odbywać w następne dni tygodnia, aby jak najwięcej ludzi przyszło do skażonej jaskini. Program ukazywał jednak zupełnie inną rzeczywistość.

– Dzisiaj odbył się ostatni koncert? – zapytał Langdon, odrywając wzrok od ulotki. – Orkiestra grała tam przez cały miniony tydzień?

Skinęła głową.

– Byłam równie zaskoczona jak ty... – przerwała, robiąc smutną minę. – Wirus został wypuszczony tydzień temu.

– To nie może być prawda – upierał się Robert. – Wszystko miało się wydarzyć dopiero jutro. Zobrist umieścił nawet tabliczkę upamiętniającą jego dzieło.

– Tak, wiem, widziałam ją w wodzie.

– Zatem wiesz, że wspomina o dniu jutrzejszym.

Sienna westchnęła.

– Robercie, znałam Bertranda lepiej, niż ci się wydaje. Był naukowcem, najbardziej zależało mu na wynikach. Data na plakietce dotyczy czegoś innego, nie uwolnienia wirusa.

– Ciekawe, co to może...

Sienna spojrzała na niego z dołu.

– To data skażenia globalnego. Matematycznie wyliczony moment, w którym wirus rozprzestrzeni się na całej Ziemi.... I zarazi każdego człowieka.

Ta perspektywa sprawiła, że Langdon zadrżał, aczkolwiek wciąż podejrzewał, że Sienna go okłamuje. W jej wersji czaiła się ogromna luka, a z dotychczasowego doświadczenia wiedział, że doktor Brooks umie łgać jak z nut.

– Jedna sprawa, Sienno – rzucił, nie spuszczając z niej oka. – Dlaczego nikt jeszcze nie zachorował, skoro wirus jest już na całym świecie?

Sienna spuściła wzrok, jakby nie mogła spojrzeć mu w twarz.

– Dlaczego ludzie jeszcze nie umierają? – dopytywał Robert. – Przecież niektórzy zostali zarażeni już przed tygodniem.

Odwróciła powoli głowę.

– Dlatego... – zaczęła, ale słowa uwięzły jej w krtani. – Bertrand nie stworzył nowej dżumy. – Oczy znów zapełniły jej się łzami. – To coś znacznie niebezpieczniejszego.

Rozdział 98

Pomimo tlenu podawanego przez respirator Elizabeth Sinskey czuła się oszołomiona. Odkąd aparatura Brüdera uzmysłowiła jej brutalną prawdę, minęło już pięć minut.

Dawno straciliśmy szansę na opanowanie zarazy.

Pojemnik rozpuścił się już jakiś tydzień temu, zapewne wtedy gdy rozpoczynała się seria darmowych koncertów, co miało miejsce równo siedem dni przed przybyciem zespołu IWO. Te kilka skrawków, które znaleziono przy uchwycie linki, nie uległo całkowitemu rozpuszczeniu tylko dlatego, że pokryto je substancją klejącą, aby pojemnik nie zerwał się przed wypuszczeniem zawartości.

Skażenie nastąpiło tydzień temu!

Teraz, gdy członkowie zespołu IWO nie mieli możliwości zabezpieczenia patogenu, pozostało im zebrać próbki i zbadać je w tymczasowym laboratorium rozłożonym w głębi rezerwuaru. Trzeba było dokonać stosownych analiz, sklasyfikować wirusa, a nade wszystko ustalić, jak można go neutralizować.

Na razie udało się ustalić tylko jedno: zakażenie następowało drogą powietrzną, co akurat nikogo nie zaskoczyło.

Zawartość rozpuszczalnego pojemnika wypłynęła na powierzchnię, gdzie aerozol zawierający wirusy zmieszał się z wilgotnym powietrzem.

W tak niewielkiej przestrzeni nie musiało ich być wiele, pomyślała Sinskey.

Wirus – w odróżnieniu od bakterii i chemicznych patogenów – mógł rozprzestrzeniać się z zadziwiającą szybkością i skutecznością. Będąc swego rodzaju pasożytem, wirus po dostaniu się do organizmu przylega do komórek nosiciela, co nazywa się adsorpcją. Następnie dochodzi do przeniknięcia w głąb komórki kwasu nukleinowego, co zmusza ją do namnażania kolejnych wirusów. Gdy pojawi się odpowiednia liczba tak stworzonych kopii, zabijają one komórkę, w której się rozwijały, po czym wyruszają na poszukiwanie kolejnych, które mogłyby zainfekować.

Zakażony osobnik wydycha je lub wykasłuje, wydalając część wirusów poza organizm. Zawiesina unosi się w powietrzu, a kiedy zostanie wchłonięta przez następnego osobnika, dojdzie w nim do podobnego procesu namnażania.

Liczba wirusów rośnie w postępie geometrycznym... Sinskey przypomniała sobie wykres przyrostu ludności przedstawiany przez Zobrista. Ten szaleniec wykorzystuje mnożące się w tempie wykładniczym wirusy do zwalczenia mnożących się równie szybko ludzi.

Pozostawało palące pytanie: jak ten wirus się zachowa?

Precyzyjniej mówiąc: jak zaatakuje?

Wirus Ebola zmniejsza krzepliwość krwi, co wywołuje niemożliwe do powstrzymania krwotoki. Hantawirus uszkadza płuca. Onkowirusy z kolei, a jest ich całe mnóstwo, wywołują

nowotwory. HIV atakuje system odpornościowy, powodując chorobę znaną jako AIDS. W środowisku medycznym krąży przekonanie, że ludzkość wyginie, jeśli HIV zmutuje kiedyś i zacznie przenosić się drogą kropelkową.

Czy to właśnie zafundował nam Zobrist?

Elizabeth wiedziała, że trzeba będzie poczekać, by poznać zamiary szalonego miliardera... na razie żaden z okolicznych szpitali nie doniósł o przyjęciu pacjentów wykazujących niezwykłe objawy.

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, Sinskey ruszyła w kierunku laboratorium. Po drodze dostrzegła Brüdera stojącego przy schodach, gdzie komórki łapały słaby zasięg. Właśnie rozmawiał z kimś przyciszonym głosem.

Gdy podeszła bliżej, kończył rozmowę.

– Dobrze, rozumiem – oświadczył z miną świadczącą o tym, że jest mocno wystraszony, a nawet przerażony. – Powtórzę jeszcze raz: to musi pozostać tajne. Ściśle tajne. Daj mi znać, jeśli dowiesz się czegoś więcej. Dzięki. – Odłożył aparat.

– Co się dzieje? – zapytała Sinskey.

Brüder westchnął ciężko.

– Rozmawiałem z przyjacielem. To jeden z najlepszych wirusologów CDC w Atlancie.

– Powiadomiłeś CDC bez mojej wiedzy? – żachnęła się.

– Nie było czasu na konsultacje – odparł. – Mój rozmówca zachowa dyskrecję, a nam potrzebne są znacznie dokładniejsze dane niż te, które możemy uzyskać w laboratorium polowym.

Sinskey zerknęła na garstkę agentów, którzy pobierali próbki wody i poddawali je natychmiast analizie w przenośnej

aparaturze.

Ma rację, przyznała niechętnie w duchu.

– Mój przyjaciel – kontynuował tymczasem Brüder – ma do dyspozycji w pełni wyposażone laboratorium mikrobiologiczne, które potwierdziło istnienie niezwykle zakaźnego, nieznanego wcześniej patogenu.

– Moment! – przerwała mu Sinskey. – Jakim cudem dostarczyłeś mu próbki?

– Nie musiałem – odparł Brüder. – To wynik uzyskany z badania jego własnej krwi.

Elizabeth potrzebowała tylko chwili, by zrozumieć, co to oznacza.

Skażenie osiągnęło poziom globalny.

Rozdział 99

Langdon szedł wolno, mając wrażenie, że nie porusza nogami, jak gdyby przeżywał niezwykle żywy koszmar na jawie.

Co może być niebezpieczniejszego od dżumy?

Sienna nie odezwała się do niego od powrotu na nabrzeże, skinęła tylko ręką, by poszedł za nią. Poprowadziła go żwirową ścieżką, oddalając się od przystani, wody i ludzi.

Chociaż przestała już płakać, Langdon wiedział, że wciąż zmaga się z przepełniającymi ją emocjami. Słyszał wycie syren w oddali, lecz ona zdawała się nie zwracać na nic uwagi. Wbiła wzrok w ziemię, jakby hipnotyzował ją rytmiczny chrzęst rozgniatanego podeszwami żwiru.

Gdy weszli do niewielkiego parku, zaprowadziła go między najbardziej rozłożyste drzewa, pod którymi mogli ukryć się przed całym światem. Tam też usiedli na ławce stojącej naprzeciw wody. Po drugiej stronie cieśniny widać było wieżę Galata wznoszącą się nad cichymi rezydencjami, którymi upstrzone było całe zbocze wzgórza. Świat wydawał się stąd spokojnym miejscem, choć Robert wiedział, że to tylko pozory, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło w rezerwuarze. Podejrzewał, że Sinskey i zespół IWO

zrozumieli już, że przybyli do Stambułu za późno, by powstrzymać zarazę.

Siedząca obok niego Sienna wpatrywała się w wody cieśniny.

– Nie mam wiele czasu, Robercie – powiedziała. – Policja ustali w końcu, dokąd uciekłam. Zanim jednak do tego dojdzie, chcę, byś poznał prawdę... Całą prawdę.

Langdon skinął głową.

Sienna otarła oczy i zmieniła pozycję na ławce, by patrzeć prosto na niego.

– Bertrand Zobrist... – zaczęła – był moją pierwszą miłością. Został też moim mentorem.

– Tyle już wiedziałem – mruknął Langdon.

Zdziwiła się, ale nie przestała mówić, jakby się obawiała, że nie zdoła dokończyć.

– Spotkałam go w czasach, kiedy byłam bardzo łatwowierna, nic więc dziwnego, że dałam się oczarować jego ideom i intelektowi. Bertrand wierzył, podobnie jak ja, że nasz gatunek znajduje się na skraju katastrofy... że czeka nas straszliwy koniec, który zbliża się szybciej, niż przypuszczamy.

Langdon nie skomentował tych słów.

– Całe moje dzieciństwo – kontynuowała Sienna – składało się z prób ratowania świata. Nieustannie mówiono mi jednak: „I tak nie ocalisz świata, nie poświęcaj osobistego szczęścia dla celu, którego nigdy nie zdołasz osiągnąć”... – przerwała, z trudem powstrzymując łzy. – A potem spotkałam Bertranda, przystojnego, błyskotliwego mężczyznę, który nie tylko twierdził, że możemy ocalić ludzkość, lecz uważał, że jest to nasz moralny obowiązek. Wprowadził mnie do kręgu podobnie myślących ludzi

... ludzi o nieprzeciętnym intelekcie i zdolnościach... ludzi, którzy naprawdę mogli zmienić przyszłość. Po raz pierwszy w życiu nie czułam się samotna.

Langdon uśmiechnął się współczująco, wyczuwając ból w jej głosie.

– Popełniłam wiele straszliwych czynów – ciągnęła Sienna spokojnie, choć widać było, że zaczyna tracić kontrolę nad sobą. – Czynów, nad którymi nie potrafię przejść do porządku dziennego... – Uciekła spojrzeniem i nerwowo przesunęła dłonią po łysinie, biorąc się znów w garść. – Robiłam to, ponieważ wierzyłam, że możemy być lepsi, niż jesteśmy dzisiaj... że możemy zrobić coś, co zapobiegnie zbliżającemu się kataklizmowi.

– Bertrand też w to wierzył? – zapytał Robert.

– Całkowicie. Bezgranicznie wierzył w ludzkość. Był transhumanistą, który uważał, że żyjemy u progu wspaniałej nowej ery „postczłowieka", ery prawdziwej transformacji. Posiadał umysł futurysty, sięgał wzrokiem dalej niż ktokolwiek, kogo bym znała. Rozumiał, na czym polega potęga technologii, i wierzył w to, że na przestrzeni kilku zaledwie pokoleń człowiek stanie się zupełnie inną istotą. Genetyczne ulepszenia sprawią, że będziemy zdrowsi, mądrzejsi, silniejsi i bardziej uczuciowi... – znowu zamilkła. – Był tylko jeden problem. Bertrand był święcie przekonany, że nie zdołamy dotrwać do chwili, gdy to wszystko się ziści.

– Z powodu przeludnienia ... – wtrącił Langdon.

Przytaknęła.

– Katastrofa maltuzjańska. Bertrand zwykł mówić, że czuje się jak święty Jerzy walczący z chtoniczną bestią.

– Chodziło mu o Meduzę? – wtrącił Langdon.

– Tak, ale w sensie metaforycznym. Meduza jak cała reszta bóstw chtonicznych żyła w podziemiach, ponieważ była związana bezpośrednio z Matką Ziemią. Alegorycznie rzecz ujmując, istoty chtoniczne zawsze były symbolami...

– Płodności – przerwał jej Robert, dziwiąc się, że nie wpadł na to wcześniej. Przeludnienie wynika przecież z nadmiernej płodności.

– Owszem – potwierdziła Sienna. – Bertrand używał terminu „bestia chtoniczna" do opisania naszej płodności. Jego zdaniem nadprodukcja potomstwa była jak bestia przesłaniająca horyzont... Bestia, którą należy zniszczyć już teraz, zanim nas całkowicie pochłonie.

Męskość człowieka powodem jego zagłady, pomyślał Robert. Tym jest „chtoniczna bestia".

– I jak zamierzał pokonać ową... bestię?

– Musisz zrozumieć jedno... – rzuciła obronnym tonem. – To nie jest taka prosta kwestia. Selekcja zawsze nastręcza wielu problemów. Człowiek obcinający kończynę trzylatkowi będzie dla nas kryminalistą... chyba że mowa o lekarzu, który ratuje dziecko przed gangreną. Czasami mniejsze zło jest jedynym sensownym wyborem. – Łzy znów napłynęły jej do oczu. – Wiem, że Bertrand miał szczytne cele... jednakże jego metody... – Znów uciekła spojrzeniem, wyraźnie była na krawędzi załamania.

– Sienno... – Langdon przemówił do niej przyjaznym tonem. – Muszę zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Musisz mi wytłumaczyć, co zrobił Zobrist. Czym skaził świat?

Kiedy znowu na niego popatrzyła, ujrzał w jej posmutniałych oczach głęboki strach.

– Stworzył wirusa – wyszeptała. – Bardzo specyficznego wirusa.

Robert wstrzymał oddech.

– Jakiego?

– Bertrand stworzył coś, co nazywa się wirusem wektorowym. Krótko mówiąc, jest to wirus, którego zadaniem jest umieszczenie określonej informacji genetycznej w każdej zaatakowanej przez niego komórce... – Zamilkła na moment, by zdążył przyswoić sobie tę informację. – Wirus wektorowy zamiast zabijać komórki nosiciela, umieszcza w nich określoną sekwencję DNA, która zmienia całkowicie ich genom.

Robert próbował się w tym połapać.

Wirus zmieniający ludzkie DNA?

– Podstępność tego wirusa polega na tym – tłumaczyła dalej Sienna – że człowiek nie zdaje sobie sprawy z zachodzących w jego komórkach przemian. Nikt nie zachoruje. Nie wystąpią żadne widoczne symptomy.

Langdon poczuł, że krew zaczyna pulsować mu szybciej w żyłach.

– Co te zmiany powodują?

Sienna przymknęła na moment oczy.

– Robercie – wyszeptała – w chwili, gdy wirus został uwolniony z pojemnika w rezerwuarze, rozpoczęła się reakcja łańcuchowa. Zaraził się każdy, kto schodził na dół i oddychał skażonym powietrzem. Ci ludzie stali się nosicielami wirusa... nieświadomymi wspólnikami Bertranda... i przenieśli jego dzieło na innych. Przy niezwykle szybkim namnażaniu wirusa proces

ten przypominał pożar wyjątkowo suchego lasu. Skażenie postępowało błyskawicznie. W tej chwili wszyscy jesteśmy nosicielami, także ty i ja.

Langdon zerwał się z ławki.

– Co ten wirus w nas zmienia? – powtórzył pytanie.

Sienna nie odpowiadała przez dłuższą chwilę.

– Wirus powoduje, że stajemy się... bezpłodni. – Poruszyła się niezręcznie. – Bertrand wysterylizował ludzkość.

Te słowa poruszyły Roberta.

Wirus, który pozbawia ludzi płodności?

Zdawał sobie sprawę, że w przyrodzie istnieją wirusy powodujące bezpłodność, ale zaraźliwy patogen o takiej szybkości namnażania wydawał mu się czymś fantastycznym, należącym raczej do dystopijnej, orwellowskiej wizji przyszłości.

– Bertrand bardzo często mówił o takim wirusie – dodała Sienna zniżonym głosem – nie przypuszczałam jednak, że kiedyś spróbuje go stworzyć, nie mówiąc już o tym, że jego prace zakończą się sukcesem. Gdy dostałam list, w którym chwali się swoimi dokonaniami, byłam w szoku. Zrobiłam wiele, by go odszukać. Zamierzałam błagać, by zniszczył wirusa. Niestety spóźniłam się jak i wy.

– Chwileczkę – przerwał jej Langdon, w końcu odzyskując głos. – Jeśli wirus wysterylizuje nas wszystkich, nie będzie następnych pokoleń i ludzkość zacznie wymierać w przyśpieszonym tempie.

– Zgadza się – przyznała. – Jednakże Bertrand nie zamierzał wyniszczyć ludzkości. Wręcz przeciwnie. I dlatego stworzył wirusa uaktywniającego się losowo. Inferno wejdzie w skład genomu każdej istoty ludzkiej, począwszy od tego pokolenia, lecz nie

uaktywni się u wszystkich. Innymi słowy, choć wszyscy jesteśmy zarażeni, tylko część z nas stanie się bezpłodna.

– Jaka... część? – Robert usłyszał swój głos, nie wierząc, że właśnie zadał to pytanie.

– Zapewne słyszałeś, że Bertrand miał fioła na punkcie czarnej śmierci, zarazy, która wybiła jedną trzecią populacji Europy. Wierzył również, że natura wie, jak radzić sobie z zagrożeniami. Z tego powodu był bardzo poruszony, gdy prowadząc wyliczenia, odkrył, że stosunek jeden do trzech, identyczny jak w wypadku dżumy, jest najoptymalniejszy także przy zmniejszaniu przeludnienia.

To potworne, pomyślał Langdon.

– Czarna śmierć przerzedziła trzódkę, umożliwiając nadejście odrodzenia – dodała – a Bertrand stworzył Inferno, które ma stać się współczesnym katalizatorem globalnej odnowy, swoistą czarną śmiercią transhumanizmu. Jedyna różnica polega na tym, że zarażeni, zamiast umierać, nie będą mogli się rozmnażać. Jeśli założymy, że wirus Bertranda działa, jedna trzecia ludzkości jest już bezpłodna... i tak pozostanie po wsze czasy. Można to porównać do genów recesywnych, które nawet przekazane potomstwu, nie zawsze się ujawniają. – Ręce Sienny drżały, gdy kontynuowała: – W liście skierowanym do mnie Bertrand głosił z dumą, że jego zdaniem Inferno będzie bardzo eleganckim i humanitarnym rozwiązaniem problemu. – W kącikach jej oczu znów pojawiły się łzy. Otarła je szybko wierzchem dłoni. – Muszę przyznać, że to naprawdę łagodna metoda, zwłaszcza w zestawieniu z dżumą. Nie będzie szpitali przepełnionych chorymi i umierającymi ani ciał gnijących na ulicach. Nikt nie

będzie rozpaczał po utracie bliskich. Po prostu nagle przestanie się rodzić tyle dzieci. Mniejsza liczba urodzin przełoży się po jakimś czasie na spadek ogólnej liczby ludzi zamieszkujących Ziemię... – Umilkła. – Jednakże efekty mogą być o wiele donioślejsze niż w wypadku dżumy, która dokonała jednorazowej korekty, powstrzymując ekspansję człowieka tylko na chwilę. Inferno gwarantuje długoterminowe rozwiązanie... można nawet powiedzieć, że permanentne... transhumanistyczne. Bertrand był genetykiem i dosłownie wykorzenił problem.

– To genetyczny terroryzm – wyszeptał Langdon. – Zobrist dokonał zmiany tego, kim jesteśmy i zawsze byliśmy, i to u samych podstaw.

– On widział to inaczej. W swoim mniemaniu naprawił wielką pomyłkę w ewolucji człowieka... czyli naszą nadmierną płodność. Byliśmy gatunkiem, który pomimo rozumu nie potrafił kontrolować własnej liczebności. Nie zmieniły tego antykoncepcja, edukacja seksualna ani nawet rządowe zakazy. Dzieci wciąż się rodziły... czy tego chcieliśmy czy nie. Wiesz, że niedawno ogłoszono wyniki badań wskazujące, że niemal połowa ciąż w Stanach była nieplanowana? A w wypadku krajów Trzeciego Świata nawet ponad siedemdziesiąt procent!

Langdon znał te statystyki od jakiegoś czasu, lecz dopiero dzisiaj zaczął rozumieć wynikające z nich implikacje. Jako gatunek ludzie przypominali króliki przewiezione na pewne wyspy Pacyfiku, gdzie rozmnażały się swobodnie, niszcząc przy okazji ekosystem i doprowadzając do własnego wyginięcia.

Bertrand Zobrist przeprojektował rodzaj ludzki... próbując nas ratować... zmniejszył naszą płodność.

Robert zaczerpnął głęboko tchu i spojrzał w kierunku Bosforu. Z oddali dobiegało coraz głośniejsze wycie policyjnych syren. Radiowozy kierowały się w stronę przystani, co oznaczało, że nie zostało im zbyt wiele czasu.

– Najgorsze w tym wszystkim nie jest to – odezwała się ponownie Sienna – że Inferno sterylizuje ludzi, ale że *może* to zrobić. Przenoszony drogą powietrzną wirus wektorowy to absolutny przełom. Bertrand wyniósł nas z mroków średniowiecza inżynierii genetycznej, wskazując równocześnie jasną przyszłość. Jednym ruchem zapoczątkował ewolucyjny proces, dając ludzkości szanse na przedefiniowanie wszystkiego. Pandora wydostała się z puszki i nic już jej tam nie wsadzi z powrotem. Bertrand stworzył klucze umożliwiające zmodyfikowanie rodzaju ludzkiego... ale niech nas Bóg broni, jeśli wpadną one w niepowołane ręce. Ta technologia nie powinna była nigdy powstać. Natychmiast po przeczytaniu spaliłam list, w którym wyjaśniał, jak doszedł do tego rozwiązania. Potem poprzysięgłam sobie, że znajdę tego wirusa i zniszczę go za wszelką cenę.

– Nie rozumiem – odezwał się Langdon, nie kryjąc oburzenia. – Skoro chciałaś zniszczenia wirusa, dlaczego nie współpracowałaś z doktor Sinskey i Światową Organizacją Zdrowia? Mogłaś wezwać na pomoc CDC albo kogokolwiek innego!

– Chyba żartujesz! Agencje rządowe są ostatnimi organizacjami na Ziemi, które powinny mieć dostęp do tej technologii! Sam pomyśl, Robercie. Wszystkie ważne wynalazki w historii ludzkości, od zwykłego ognia po rozszczepienie atomu, zostały przekształcone w broń i niemal zawsze zrobił to jakiś rząd. Jak myślisz, skąd bierze się broń biologiczna? Wszystko zaczyna się od

badań prowadzonych w takich właśnie instytucjach, jak te, które wymieniłeś przed chwilą. Technologia Bertranda, czyli użycie pandemicznego wirusa w charakterze wektora genetycznego, to najpotężniejsza broń, jaką kiedykolwiek stworzono. Otwiera drogę do potwornych wynaturzeń. Dzięki niej można tworzyć wybiórczą broń biologiczną. Wyobraź sobie patogeny atakujące wyłącznie ludzi mających konkretne markery. To może doprowadzić do czystek etnicznych na poziomie genetycznym!

– Rozumiem twoje obawy, Sienno, naprawdę, zgodzisz się chyba jednak, że ta technologia może być także użyta w dobrej sprawie. Jesteśmy świadkami powstawania medycyny genetycznej. Przecież to idealny sposób na globalne szczepionki...

– Z moich doświadczeń niestety wynika, że po rządzących powinniśmy spodziewać się najgorszego...

Langdon usłyszał pomruk nadlatującego śmigłowca. Spojrzał przez listowie w stronę Bazaru Egipskiego i zobaczył, że maszyna z włączonym szperaczem przelatuje właśnie nad wzgórzem, kierując się na przystań.

Sienna sprężyła się natychmiast.

– Muszę już iść – powiedziała, wstając i zerkając na zachód i widoczny w oddali most Atatürka. – Myślę, że uda mi się przejść po nim pieszo, a stamtąd...

– Nigdzie nie pójdziesz – oświadczył zdecydowanym tonem Robert.

– Wróciłam do ciebie, bo uznałam, że jestem ci winna wyjaśnienie. Teraz wiesz już wszystko.

– Nie, Sienno – odparł. – Wróciłaś, ponieważ uciekałaś przez całe życie, a teraz w końcu zrozumiałaś, że nie masz już gdzie

uciekać.

Skuliła się pod jego spojrzeniem.

– Jaki mam wybór? – zapytała, zerkając bojaźliwie na helikopter. – Jeśli mnie złapią, trafię do więzienia.

– Nie zrobiłaś niczego złego – zaprotestował. – To nie ty stworzyłaś wirusa... i nie ty go uwolniłaś.

– To prawda, ale też postarałam się, żeby doktor Sinskey go nie znalazła. Jeśli nie skończę w tureckim więzieniu, poślą mnie przed jakiś międzynarodowy trybunał i oskarżą o terroryzm biologiczny.

Kiedy dudnienie helikoptera zrobiło się jeszcze głośniejsze, Langdon przeniósł wzrok na przystań. Maszyna wisiała w miejscu, burząc wodę, podczas gdy reflektor przeszukiwał kolejne łodzie.

Sienna była już gotowa do ucieczki.

– Posłuchaj mnie – spróbował po raz ostatni. – Wiem, że wiele przeszłaś, wiem też, że jesteś wystraszona, ale postaraj się spojrzeć na to wszystko z szerszej perspektywy. Bertrand stworzył wirusa. Ty starałaś się go powstrzymać.

– Zawiodłam.

– Owszem, ale teraz, kiedy wirus został uwolniony, naukowcy i lekarze muszą zrozumieć, jak działa. Jesteś jedyną osoba, która wie coś na ten temat. Może istnieje jakiś sposób na jego neutralizację... albo usunięcie. – Langdon przewiercał ją wzrokiem. – Sienno, świat potrzebuje twojej wiedzy. Nie możesz ot tak zniknąć.

Sienna Brooks zaczęła drżeć, jakby smutek i niepewność przelały się przez zapory, którymi odgradzała je od sumienia.

– Robercie, ja... ja nie wiem, co robić. Ja już nawet nie wiem, kim jestem. Spójrz na mnie. – Wskazała palcem na kompletnie łysą głowę. – Zmieniłam się w potwora. Jak mam stanąć...

Langdon zrobił krok i wziął ją w ramiona. Czuł teraz jej drżenie, czuł jej kruchość na swojej piersi.

– Sienno – wyszeptał jej w ucho. – Wiem, że chcesz uciec, ale nie pozwolę ci na to. Prędzej czy później musisz komuś zaufać.

– Nie potrafię... – łkała. – Nie wiem, czy zdołam.

Robert przytulił ją mocniej.

– Zacznijmy od czegoś prostszego. Od pierwszego kroku. Zaufaj mi.

Rozdział 100

W pozbawionym okien kadłubie samolotu rozległ się ostry szczęk metalu uderzającego w metal. Słysząc go, Zarządca podskoczył w fotelu. Ktoś tłukł kolbą pistoletu w boczny właz, żądając wpuszczenia na pokład.

– Wszyscy zostają na miejscach – rozkazał pilot transportowca, kierując się do wyjścia. – To turecka policja. Radiowóz podjechał właśnie pod hangar.

Zarządca i Ferris spojrzeli po sobie.

Sądząc po nerwowości pracowników Światowej Organizacji Zdrowia, operacja zabezpieczenia wirusa zakończyła się niepowodzeniem.

Zobrist zrealizował swój plan, pomyślał Zarządca. A moja firma mu w tym pomogła...

Na zewnątrz ktoś zaczął wydzierać się po turecku.

Zarządca zerwał się na równe nogi.

– Nie otwieraj tych drzwi! – zawołał do pilota. Ten zatrzymał się, mierząc go zdziwionym spojrzeniem.

– Niby dlaczego?

– Światowa Organizacja Zdrowia jest organizacją międzynarodową – wyjaśnił niski mężczyzna – zatem ten samolot jest niezależnym terytorium!

Pilot pokręcił głową.

– Szanowny panie, znajdujemy się na tureckim lotnisku i dopóki nie opuścimy przestrzeni powietrznej tego kraju, podlegamy prawu, które w nim obowiązuje. – Skończywszy mówić, podszedł do wyjścia i otworzył właz.

Na pokład weszło dwóch mundurowych. W ich ciemnych oczach próżno było szukać wyrozumiałości.

– Kto dowodzi tą maszyną? – zapytał jeden z nich.

– Ja – odparł pilot.

Funkcjonariusz podał mu jakieś papiery.

– Nakaz aresztowania. Ci dwaj pasażerowie pójdą z nami.

Pilot najpierw zajrzał w dokumenty, potem zerknął w kierunku Zarządcy i Ferrisa.

– Proszę zadzwonić do doktor Sinskey – zażądał szef Konsorcjum. – To międzynarodowa misja ratunkowa.

Policjant zmierzył go rozbawionym wzrokiem, uśmiechając się przy tym pogardliwie.

– Doktor Elizabeth Sinskey? Szefowa Światowej Organizacji Zdrowia? To ona zażądała, abyśmy was aresztowali.

– Niemożliwe – obruszył się Zarządca. – Pan Ferris i ja przylecieliśmy do Turcji, aby pomóc doktor Sinskey.

– Wygląda na to, że niezbyt dobrze się spisaliście – wtrącił drugi funkcjonariusz. – Doktor Sinskey skontaktowała się z nami i oskarżyła was obu o współudział w zamachu bioterrorystycznym, którego dokonano na tureckiej ziemi. – Wyjął

kajdanki. – Obaj udacie się na komendę główną celem złożenia wyjaśnień.

– Domagam się adwokata! – wrzasnął Zarządca.

Trzydzieści sekund później on i Ferris zostali skuci, zmuszeni do wyjścia i wrzuceni na tylne siedzenie czarnego sedana. Wóz ruszył natychmiast i pognał w kierunku najodleglejszej części lotniska, gdzie przystanął na chwilę wystarczającą, by przeciąć i odciągnąć na boki siatkę płotu, tym samym robiąc przejazd na drugą stronę. Opuściwszy teren lotniska, samochód skręcił w szutrową drogę, minął złomowisko i zatrzymał się przed starym budynkiem biurowym.

Dwaj mundurowi wysiedli i przeczesali wzrokiem okolicę. Gdy się upewnili, że nikt ich nie śledził, najpierw pozbyli się mundurów, a potem wyciągnęli Ferrisa i Zarządcę z radiowozu, uwalniając ich przy okazji z kajdanek.

Szef Konsorcjum rozcierał nadgarstki, wiedząc już, że nie zniósłby dobrze niewoli.

– Kluczyki są pod dywanikiem – poinformował go jeden z fałszywych policjantów, wskazując zaparkowaną opodal białą furgonetkę. – Na tylnym siedzeniu znajdziecie torbę ze wszystkim, co zamówiliście. Są tam dokumenty, gotówka, telefony na kartę, ubrania oraz kilka dodatków, które mogą się wam spodobać.

– Dziękuję – odparł Zarządca. – Jesteście wspaniali.

– Raczej doskonale wyszkoleni, sir.

Po tych słowach obaj Turcy wsiedli do czarnego sedana i odjechali.

Sinskey nigdy by mnie nie wypuściła, pomyślał Zarządca.

Wiedząc o tym, powiadomił przed wylotem do Stambułu lokalną komórkę Konsorcjum i zaznaczył, że on i Ferris mogą potrzebować ewakuacji.

– Sądzi pan, że ona będzie nas ścigać? – zapytał go Ferris.

– Sinskey? – Szef Konsorcjum skinął głową. – To chyba oczywiste. Chociaż w tej akurat chwili ma na głowie kilka ważniejszych spraw.

Po wejściu do furgonetki Zarządca grzebał przez chwilę w torbie, kompletując dokumenty dla nich obu. Wyjął też czapkę baseballową, w której znajdowała się niewielka butelka whisky.

Ci chłopcy są naprawdę nieźli!

Zerknął raz jeszcze na bursztynową zawartość butelki, ale szybko uznał, że z piciem powinien zaczekać do jutra. Moment później przypomniał sobie rozpuszczalny pojemnik Zobrista i zrozumiał, że jutra może nie być.

Złamałem podstawową zasadę, pomyślał. Wydałem klienta.

Poczuł się dziwnie, wiedząc, że nazajutrz świat dowie się o kataklizmie, w którym jego firma odegrała znaczącą rolę.

Bez nas nie doszłoby do tej tragedii.

Po raz pierwszy w życiu nie mógł się zasłonić niewiedzą. Otworzył pośpiesznie butelkę.

Korzystaj póki możesz, pomyślał. Tak czy inaczej twoje dni są policzone.

Pociągnął długi łyk alkoholu, rozkoszując się gorącem spływającym w głąb przełyku.

Nagle ciemności rozświetliły niebieskie światła policyjnych radiowozów.

Zarządca rozejrzał się nerwowo wkoło, a potem opadł na fotel i znieruchomiał.

Nie było drogi ucieczki.

Gdy uzbrojeni tureccy policjanci podchodzili do furgonetki z odbezpieczonymi karabinami w dłoniach, dopił resztę whisky i spokojnie uniósł ręce w górę.

Tym razem nie byli to jego ludzie, o czym doskonale wiedział.

Rozdział 101

Szwajcarski konsulat w Stambule mieści się w smukłym ultranowoczesnym wieżowcu zwanym One Levent Plaza. Wklęsła, pokryta błękitnym szkłem fasada tego budynku przypomina futurystyczny monolit ustawiony pośrodku starożytnej metropolii.

Od chwili, gdy Sinskey opuściła podziemia rezerwuaru, by stworzyć tymczasowe stanowisko dowodzenia w biurach konsulatu, minęła niemal godzina. Lokalne media zachłystywały się doniesieniami o panice, jaka wybuchła podczas ostatniego wykonania *Symfonii Dantejskiej* Liszta. Nie podawano na razie żadnych szczegółów, lecz pojawienie się międzynarodowego zespołu medycznego w kombinezonach ochronnych rodziło wiele spekulacji.

Sinskey, wyglądając przez okno na rozświetlone miasto, czuła się niesłychanie samotna. Sięgnęła odruchowo do amuletu, ale jej dłoń nie miała czego chwycić. Przełamana laska Eskulapa leżała na blacie biurka.

Szefowa Światowej Organizacji Zdrowia zakończyła przed momentem organizowanie całego ciągu spotkań, które rozpoczną się już za kilka godzin w Genewie. Specjaliści z rozmaitych

agencji byli w drodze, a ona sama miała wylecieć niebawem, aby się z nimi spotkać. Na szczęście któryś z pracowników nocnej zmiany zrobił jej kubek prawdziwej, mocnej tureckiej kawy. Osuszyła go błyskawicznie.

Przez uchylone drzwi zajrzał do gabinetu jeden z dyplomatów.

– Przepraszam, przyszedł pan Robert Langdon.

– Dziękuję – odparła. – Proszę go wpuścić.

Dwadzieścia minut temu Amerykanin skontaktował się z Sinskey telefonicznie, wyjaśniając, że Sienna Brooks zdołała go zmylić i uciekła motorówką, kierując się na otwarte morze. Sinskey słyszała już tę wiadomość od lokalnych władz, które wciąż przeszukiwały okolicę, jednakże na razie bez większych rezultatów.

Gdy postawny naukowiec stanął w drzwiach, z trudem go rozpoznała. Garnitur miał brudny, ciemne włosy potargane, a w jego oczach widać było tylko smutek.

– Wszystko w porządku, profesorze? – zapytała, wstając.

Langdon uśmiechnął się blado.

– Miewałem spokojniejsze noce.

– Proszę usiąść – wskazała mu fotel.

– Zaraza Zobrista – zaczął bez zbędnych wstępów. – Myślę, że została uwolniona już przed tygodniem.

Sinskey przytaknęła.

– Owszem, doszliśmy do podobnych wniosków. Wprawdzie nie zanotowano na razie żadnych przypadków zachorowań, ale udało nam się wyodrębnić próbki wirusa i poddajemy je właśnie szczegółowym analizom. Niestety odkrycie, czym on jest i co tak naprawdę powoduje, może nam zająć nawet kilka tygodni.

– To wirus wektorowy – oznajmił Robert.

Sinskey przechyliła głowę; zaskoczył ją choćby tym, że znał ten specjalistyczny termin.

– Słucham?

– Zobrist stworzył wirusa przenoszonego drogą powietrzną, który może modyfikować ludzkie DNA.

Sinskey zerwała się na równe nogi, wywracając przy okazji krzesło.

To przecież niemożliwe!

– Skąd pan to może wiedzieć?

– Sienna mi powiedziała – odparł, zniżając głos. – Jakieś pół godziny temu.

Elizabeth spojrzała na niego uważnie, opierając dłonie o blat.

– Przecież panu uciekła – rzuciła nieufnie.

– Owszem, wskoczyła na motorówkę i odpłynęła w siną dal. Mogła zniknąć na zawsze, ale nie zrobiła tego. Zawróciła, wiedząc, co jej grozi. Chce nam pomóc w zażegnaniu kryzysu...

Z ust Elizabeth wyrwało się chrapliwe parsknięcie.

– Proszę wybaczyć, że nie ufam słowom panny Brooks, zwłaszcza że opowiada wierutne bzdury.

– A ja jej wierzę – rzekł butnie Langdon. – Na pani miejscu potraktowałbym serio jej informacje na temat wirusa wektorowego.

Sinskey poczuła nagle ogromne zmęczenie, mocując się intelektualnie z tym, co właśnie usłyszała. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Zmieniający DNA wirus wektorowy?

Choć brzmiało to nieprawdopodobnie i przerażająco, musiała przyznać, że jest to na swój sposób logiczne. Zobrist był genetykiem, wiedział więc, że najmniejsza mutacja jednego genu może doprowadzić do katastrofalnych efektów dla całego organizmu – pojawiają się nowotwory, organy przestają prawidłowo funkcjonować, dochodzi do zmian we krwi. Nawet tak odrażające schorzenia jak mukowiscydoza – sprawiająca, że pacjent tonie w produkowanym przez własny organizm śluzie – były skutkiem maleńkiej zmiany w allelu genu na chromosomie siódmym.

Specjaliści zaczynali leczyć choroby genetyczne, wstrzykując pacjentom nieszkodliwe wirusy wektorowe, zaprogramowane w ten sposób, by podróżując przez organizm chorego, zastępowały uszkodzone fragmenty DNA poprawnymi sekwencjami. Ta niewątpliwie nowatorska gałąź medycyny, jak każda dziedzina nauki, miała jednak swoje ciemne strony. Efekty działania wirusów wektorowych mogły być zbawienne lub niszczycielskie... wszystko zależało wyłącznie od intencji ich twórcy. A ten mógł zaprogramować wirusa tak, by zdrowe fragmenty genomu były zastępowane uszkodzonymi, co prowadziłoby do wyniszczenia całego organizmu. Gdyby jeszcze udało się stworzyć wirusa, który nie tylko jest wysoce patogenny, ale też rozprzestrzenia się drogą powietrzną...

Sinskey wzdrygnęła się na tę myśl. Jaki koszmar zgotował nam Zobrist? Co uczynił, by przetrzebić ludzkość?

Zdawała sobie sprawę z tego, że znalezienie wszystkich odpowiedzi potrwa kilka tygodni. Genom człowieka to istny labirynt chemicznych kombinacji. Dokładne przejrzenie go w celu

wytropienia mutacji wprowadzonej przez Zobrista będzie przypominało przysłowiowe szukanie igły w stogu siana... przy założeniu, że szukający nie wie nawet, na jakiej planecie znajduje się ów stóg.

– Doktor Sinskey? – Głęboki głos Langdona wyrwał ją z zamyślenia.

Odwróciła się od okna.

– Słyszała pani, co powiedziałem? – zapytał, siedząc spokojnie na krześle. – Sienna chce zniszczyć tego wirusa, podobnie jak my.

– W to akurat wątpię.

Langdon westchnął ciężko i także wstał.

– Myślę, że powinna mnie pani wysłuchać. Na krótko przed śmiercią Zobrist napisał do Sienny list, w którym wyjaśnił szczegółowo, co zrobił. Zaznaczył bardzo wyraźnie, jakie zadanie do spełnienia ma jego wirus... jak nas zaatakuje... i co z tego wyniknie.

Sinskey zamarła.

Jest jakiś list?!

– Sienna przeraziła się, gdy przeczytała opis jego dzieła. Chciała go powstrzymać. Uznała, że wirus jest zbyt niebezpieczny, by ktokolwiek mógł go dostać w swoje ręce, nawet Światowa Organizacja Zdrowia. Rozumie pani? Sienna zamierzała zniszczyć wirusa... nie uwolnić go.

– Jest jakiś list? – zapytała Sinskey na głos, skupiając się na tym temacie. – Szczegółowy opis wirusa?

– Tak twierdzi Sienna.

– Musimy go dostać! Dzięki niemu zaoszczędzimy sobie miesięcy pracy. Musimy jak najszybciej zrozumieć, jak działa

wirus Zobrista, ponieważ tylko wtedy będziemy w stanie nad nim zapanować!...

Langdon pokręcił głową.

– Nie słucha mnie pani uważnie. Siennę ten list przeraził. Spaliła go niemal natychmiast. Chciała się upewnić, że nikt...

Sinskey walnęła dłonią w blat.

– Zniszczyła jedyny dokument, dzięki któremu moglibyśmy zażegnać ten kryzys? I pan chce, abym jej zaufała?

– Wiem, że proszę o wiele, zważywszy na to, czego się ostatnio dopuściła, ale zamiast ją potępiać, powinna pani raczej pomyśleć o tym, że Sienna ma niesamowitą zdolność zapamiętywania wszystkiego, co zobaczy... – Robert zamilkł na moment. – Co by było, gdyby zdołała odtworzyć z pamięci wystarczająco wiele, by pomóc wam w badaniach?

Sinskey przymknęła oczy, a potem skinęła lekko głową.

– A co pan mi radzi, profesorze?

Langdon wskazał na pusty kubek.

– Po pierwsze, żeby zamówiła pani więcej kawy... i wysłuchała jedynego warunku stawianego przez Siennę.

Puls Sinskey przyśpieszył, gdy odruchowo zerknęła na telefon.

– Wie pan, jak się z nią skontaktować?

– Tak.

– Jaki to warunek?

Powiedział jej. Potrzebowała chwili, by rozważyć propozycję.

– Moim zdaniem, tak właśnie powinna pani postąpić – dodał Robert. – Zresztą nie ma pani nic do stracenia.

– Zrobię to, jeśli wszystko, co powie, okaże się prawdą. – Sinskey pchnęła telefon w jego kierunku. – Proszę do niej

zadzwonić.

Ku jej zdziwieniu Langdon zignorował aparat. Zamiast tego podszedł do drzwi, oznajmiając, że za moment wróci. Zaskoczona Sinskey wyszła na korytarz, skąd obserwowała, jak profesor przemierza sprężystym krokiem poczekalnię konsulatu, popycha szklane drzwi i wychodzi do holu z windami. Przez moment myślała, że opuści budynek, ale nie, nie wsiadł do żadnej kabiny, tylko wszedł do damskiej toalety.

Chwilę później pojawił się ponownie, tym razem w towarzystwie kobiety wyglądającej na mniej więcej trzydzieści lat. Sinskey potrzebowała dłuższej chwili, by uwierzyć, że naprawdę ma przed sobą Siennę Brooks. Piękna blondynka z końskim ogonem, którą widziała wcześniej tego dnia, zmieniła się nie do poznania. Teraz jej głowa była kompletnie łysa, jakby ją ktoś przed momentem ogolił.

Na jej oczach weszli oboje do gabinetu i bez słowa usiedli przed biurkiem.

Sienna zaczęła wyrzucać z siebie prędko słowa.

– Wiem, że mamy wiele spraw do omówienia, ale proszę, by pozwoliła mi pani coś powiedzieć, zanim zaczniemy.

Sinskey wychwyciła w jej głosie nutkę smutku.

– Słucham.

Doktor Brooks rzekła łamiącym się głosem:

– Stoi pani na czele Światowej Organizacji Zdrowia. Wie pani lepiej niż ktokolwiek, że nasz gatunek stoi na skraju zagłady... Utraciliśmy kontrolę nad własną populacją. Bertrand Zobrist od dawna usiłował wciągać znaczące osobistości świata nauki i polityki do dyskusji na temat zbliżającego się kryzysu.

Odwiedził w tym celu niezliczone organizacje, które jego zdaniem mogły mieć jakiś wpływ: był w Instytucie Worldwatch, w Klubie Rzymskim, Radzie Spraw Zagranicznych i ciele o nazwie Population Matters... nigdzie jednak nie spotkał osoby, która podjęłaby temat realnych rozwiązań. Wszyscy upierali się przy propagowaniu edukacji seksualnej, wspieraniu mniej dzietnych rodzin, zdarzył się nawet ktoś, kto bredził o kolonizacji Księżyca! Nie dziwi mnie więc, że Bertrand w końcu oszalał. – Elizabeth Sinskey patrzyła na nią obojętnie, w żaden sposób nie reagując na powyższy wywód, Sienna zaczerpnęła więc tchu, by dodać: – Bertrand przyszedł także do pani. Błagał, by pani przyznała, że znaleźliśmy się na skraju... błagał o zapoczątkowanie dialogu. Pani natomiast, zamiast wysłuchać, co ma do powiedzenia, wyzwała go od szaleńców i umieściła na liście poszukiwanych terrorystów. Dlatego po waszym spotkaniu jakby zapadł się pod ziemię. – Sienna przemawiała z coraz większą pasją. – Targnął się na swoje życie, ponieważ ludzie tacy jak pani odmawiali przyznania, że katastrofalna sytuacja, ku której zmierzaliśmy, wymaga radykalnych rozwiązań. Bertrand mówił prawdę... i za to skazaliście go na ostracyzm. – Sienna przetarła oczy i spojrzała na kobietę siedzącą po drugiej stronie biurka. – Może mi pani wierzyć, wiem, jak smakuje samotność... jednakże o wiele gorszy jest ten jej rodzaj, który wynika z niezrozumienia przez innych. Tacy ludzie bardzo łatwo tracą kontakt z rzeczywistością. – Umilkła. W gabinecie przez dłuższą chwilę panowała pełna napięcia cisza. – To wszystko, co miałam do powiedzenia – zakończyła szeptem.

Sinskey przyjrzała jej się z uwagą, po czym zajęła miejsce za biurkiem.

– Ma pani rację, panno Brooks – powiedziała, siląc się na spokój. – Wcześniej nie chciałam słuchać... – Złożywszy dłonie na blacie, popatrzyła Siennie w oczy. – Drugi raz nie popełnię tego samego błędu.

Rozdział 102

Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy zegar znajdujący się w holu konsulatu wybił pierwszą.

Leżący na biurku notatnik doktor Sinskey wypełnił się szczelnie odręcznymi zapiskami, pytaniami i wykresami. Szefowa Światowej Organizacji Zdrowia nie poruszyła się ani razu ani nie wypowiedziała słowa przez ponad pięć minut. Stała tylko przy oknie, spoglądając w ciemność.

Za jej plecami siedzieli Sienna i Langdon, oni także czekali w milczeniu, trzymając kubki z turecką kawą, której aromat, zmieszany z zapachem pistacji, wypełniał gabinet.

Jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli, było ciche brzęczenie jarzeniówek ukrytych w podwieszanym suficie.

Sienna czuła bicie własnego serca. Zastanawiała się, o czym Sinskey myśli, poznawszy wszystkie szczegóły.

Wirus Bertranda wysterylizował sporą część ludzkości. Jedna trzecia populacji będzie bezpłodna.

Składając wyjaśnienia, widziała, jak na twarzy starszej kobiety pojawiają się kolejne emocje. Były czytelne, choć Elizabeth starała się nad sobą panować. Najpierw – nie bez oporów – przyjęła do

wiadomości, że Zobrist naprawdę stworzył wirusa wektorowego przenoszonego drogą powietrzną. Potem poczuła ulotną nadzieję, słysząc, że Inferno nie powstało po to, by zabijać ludzi. Następnie stopniowo wpadała w objęcia strachu wywołanego świadomością, że spory odsetek ludzkości utraci szanse na posiadanie potomstwa. Było jasne, że ta część prawdy o dziele Zobrista dotknęła ją bardziej niż reszta.

Sienna czuła wyłącznie ulgę. Podzieliła się z szefową Światowej Organizacji Zdrowia całą wiedzą, jaką posiadła, czytając list Bertranda.

Nie mam już żadnych tajemnic.

– Elizabeth? – odezwał się Langdon.

Sinskey ocknęła się wolno z zamyślenia. Gdy spojrzała na nich ponownie, wyglądała o wiele mizerniej niż przed chwilą.

– Sienno – zaczęła obojętnym tonem – informacje, które nam przekazałaś, będą bardzo pomocne w przygotowaniu strategii opanowania bieżącego kryzysu. Doceniam twoją szczerość. Jak zapewne wiesz, mówiło się już od jakiegoś czasu, choć tylko teoretycznie, o użyciu wirusów wektorowych do masowych szczepień immunologicznych, uważaliśmy jednak, że od ich zastosowania w praktyce dzielą nas jeszcze długie lata. – Wróciła za biurko, gdzie opadła na krzesło. – Wybaczcie... – poprosiła, kręcąc głową. – To dla mnie wciąż czyste science fiction.

I nic dziwnego, pomyślała Sienna.

Każdy epokowy przełom w medycynie był tak traktowany – wynalezienie penicyliny, zastosowanie anestezji czy promieni rentgenowskich bądź też pierwsza obserwacja podziału komórek dokonana za pomocą mikroskopu.

Doktor Sinskey zerknęła na notatki.

– Za kilka godzin w Genewie dostanę się w krzyżowy ogień pytań. Jestem pewna, że pierwsze z nich będzie dotyczyć tego, czy proces jest odwracalny.

Sienna nie miała co do tego wątpliwości.

– Domyślam się – kontynuowała Elizabeth – że natychmiast padnie też propozycja, abyśmy zbadali tego wirusa i po zrozumieniu mechanizmu jego działania stworzyli własną wersję, która przeprogramowałaby nasze DNA, przywracając je do pierwotnego stanu. – We wzroku Sinskey nie było zbyt wiele optymizmu, gdy spoglądała na Siennę. – Nie wiem, czy to w ogóle możliwe, ale chciałabym poznać pani zdanie na ten temat.

Moje zdanie?

Sienna zerknęła na Langdona. On skinął tylko głową, przesyłając czytelną wiadomość:

Zrobiłaś już tak wiele. Mów, co myślisz. Powiedz, jak twoim zdaniem wygląda prawda.

Sienna odchrząknęła, przeniosła wzrok na Sinskey i przemówiła spokojnym, silnym głosem.

– Świat inżynierii genetycznej jest mi znany, żyłam w nim przez wiele lat u boku Bertranda. Jak pani zapewne wiadomo, ludzki genom ma niezwykle skomplikowaną strukturę... jest jak domek z kart. Im więcej poprawek będziemy wprowadzać, tym większe ryzyko, że całość się zawali. Uważam, że każda próba cofnięcia zmian powodowanych przez wirusa może okazać się niezwykle niebezpieczna. Bertrand był genialnym genetykiem i wizjonerem. Wyprzedzał nas o całe lata. Mając to na względzie, wolałabym, aby nikt nie grzebał na ślepo w genomie człowieka. Gdyby nawet

udało się stworzyć coś, co dawałoby szanse na cofnięcie zmian, można by przypadkiem zainfekować całą ludzkość czymś nieporównywalnie groźniejszym.

– Ma pani rację – przyznała Sinskey, nie okazując najmniejszego zdziwienia. – Oczywiście trzeba spojrzeć na tę sprawę z szerszej perspektywy. Być może dojdziemy nawet do wniosku, że nie powinniśmy przeciwdziałać tej zmianie.

Zaskoczyła Siennę tym stwierdzeniem.

– Słucham?

– Panno Brooks, mogłam się nie zgadzać z metodami Zobrista, ale to wcale nie znaczy, że jego oceny były mylne. Nasza planeta stoi w obliczu poważnego kryzysu wywołanego przeludnieniem. Jeśli zneutralizujemy wirusa Bertranda, nie mając żadnego innego planu, wrócimy do punktu wyjścia. – Zdumienie Sienny musiało być widoczne, ponieważ Sinskey zachichotała i zaraz dodała: – Nie spodziewała się pani po mnie takiej odpowiedzi?

Brooks pokręciła głową.

– Sama już nie wiem, czego powinnam się spodziewać.

– Zatem zadziwię panią raz jeszcze – ciągnęła Elizabeth. – Jak już wspomniałam wcześniej, za kilka godzin dojdzie w Genewie do spotkania szefów wszystkich liczących się międzynarodowych agencji. Tematem będzie bieżący kryzys oraz nasze plany przeciwdziałania. Nie przypominam sobie, aby za mojej kadencji doszło do szczytu na tak wysokim szczeblu. – Spojrzała młodej lekarce prosto w oczy. – Chciałabym, aby zasiadła pani przy stole.

– Ja? – Sienna wzdrygnęła się. – Nie jestem genetykiem. Powiedziałam pani wszystko, co wiem. – Wskazała na notatnik Sinskey. – Nie mam nic więcej do dodania.

– Nieprawda – do rozmowy włączył się Langdon. – Każda poważna debata na temat wirusa będzie wymagała kontekstu. Doktor Sinskey i jej zespół muszą opracować moralne podstawy, którymi będą się kierować, reagując na powstałe zagrożenie. Jeśli dobrze rozumiem, możesz wiele wnieść do tego dialogu.

– Obawiam się, że moje przekonania stoją w poważnej sprzeczności z ideałami Światowej Organizacji Zdrowia.

– Masz rację – przyznał Robert. – Dlatego tym bardziej powinnaś być tam obecna. Reprezentujesz zupełnie inne podejście do tematu przeludnienia. Będziesz mogła przedstawiać argumenty drugiej strony. Pomożesz im zrozumieć tok myślenia wizjonerów w rodzaju Zobrista, geniuszy, którzy są tak bardzo przekonani o swoich racjach, że biorą sprawy w swoje ręce.

– Bertrand nie był pierwszy.

– Owszem – zgodziła się z nią Sinskey – ale zapewne też nie ostatni. Światowa Organizacja Zdrowia co miesiąc trafia na laboratoria, w których naukowcy pracują w szarej strefie nauki, od manipulacji przy komórkach macierzystych człowieka poczynając, a kończąc na hodowaniu chimer... czyli mieszańców nie występujących w naturze. To niepokojące. Nauka rozwija się w takim tempie, że nikt już nie wie, co jest możliwe i dopuszczalne.

Sienna była tego świadoma. Całkiem niedawno dwaj bardzo znani wirusolodzy – Fouchier i Kawaoka – stworzyli wysoce patogenną mutację wirusa H5N1. Pomimo czysto naukowych intencji tego eksperymentu ich twór posiadał zdolności, które wywołały panikę w agencjach zajmujących się ochroną zdrowia i doprowadziły do strasznego wrzenia w Internecie.

– Obawiam się, że będzie coraz gorzej – stwierdziła Sinskey. – Stoimy u progu stworzenia technologii, o jakich nawet nam się nie śniło.

– To samo dotyczy nowych filozofii – dodała Sienna. – Ruch transhumanistyczny wyjdzie w końcu z cienia i stanie się częścią mainstreamu. Jedną z jego podstawowych doktryn jest przekonanie, że człowiek ma moralny obowiązek uczestnictwa we własnym procesie ewolucyjnym... przez co rozumie się używanie technologii do udoskonalania gatunku i wykreowania lepszego człowieka: zdrowszego, silniejszego i skuteczniej wykorzystującego pojemność mózgu. To wszystko jest już w zasięgu ręki.

– Nie sądzi pani, że byłoby to sprzeczne z procesem naturalnej ewolucji?

– Nie – odparła Sienna bez wahania. – Już od tysięcy lat ludzie ewoluują dzięki przeróżnym technologiom. Na początku pocierali o siebie kijki, aby rozpalić ogień, potem rozwijali rolnictwo, by się wyżywić, wreszcie tworzyli szczepionki, żeby pokonać choroby, a teraz wymyślają genetyczne narzędzia, które pomogą nam przetrwać w zmieniającej się rzeczywistości... – przerwała na moment. – Uważam, że inżynieria genetyczna jest tylko kolejnym krokiem na długiej drodze postępu.

Głęboko zamyślona Sinskey milczała.

– Zatem pani zdaniem powinniśmy witać te nowe narzędzia z otwartymi ramionami? – zapytała po chwili.

– Jeśli tego nie zrobimy – odparła Sienna – nie będziemy zasługiwali na przeżycie, podobnie jak jaskiniowiec, który zamarzł na śmierć, ponieważ bał się skrzesać ogień.

Jej słowa zawisły w powietrzu. Dopiero Langdon przerwał przedłużającą się ciszę.

– Nie chcę wydać się staroświecki – powiedział – ale jako osoba wychowana na teoriach Darwina nie widzę powodu, by człowiek musiał przyśpieszać proces naturalnej ewolucji.

– Robercie – odparła Sienna z przekonaniem w głosie – inżynieria genetyczna wcale nie przyśpiesza naturalnych procesów. Tak to wygląda w naturze! Nie zapominaj, że Zobrist był efektem naturalnej ewolucji. Jego niezwykły intelekt powstał dzięki procesom opisanym przez Darwina. Wizjonerskie spojrzenie Bertranda na genetykę nie było sprawką boskiej interwencji... lecz odkryć naukowych człowieka, którego mózg i intelekt rozwija się nieprzerwanie.

Langdon w milczeniu przetrawiał tę kwestię.

– Jako darwinista – dodała Sienna – musisz wiedzieć, że natura zawsze znajdowała sposób, by trzymać ludzkość w ryzach. Zsyłała na nas zarazy, głód, powodzie. Pozwól zatem, że zadam ci pytanie: czy możliwe jest, że tym razem postanowiła załatwić sprawę inaczej? Zamiast zsyłać potworne katastrofy i cierpienie, stworzyła naukowca, który opracował nowatorską metodę zredukowania ludzkiej populacji. Nie plagę. Nie hekatombę. Po prostu zmodyfikowany gatunek, który bardziej współgra ze środowiskiem, w którym ma żyć...

– Sienno – przerwała jej Sinskey. – Zrobiło się późno. Musimy już iść. Ale na koniec chciałabym wyjaśnić jeszcze jedno. Powtarzasz cały wieczór, że Bertrand nie był złym człowiekiem... że kochał ludzkość i poczynił te drastyczne kroki, by ją ratować przed unicestwieniem.

Doktor Brooks skinęła głową.

– Cel uświęca środki – powiedziała, cytując najbardziej znanego z florenckich teoretyków polityki.

– Skoro uważasz, że cel uświęca środki – kontynuowała Elizabeth – zapewne sądzisz też, że dobro ludzkości jednak usprawiedliwia wypuszczenie tego wirusa...

W pokoju zapadła pełna napięcia cisza.

Sienna pochyliła się w stronę biurka.

– Doktor Sinskey, powiedziałam pani wyraźnie, że działania Bertranda były nierozważne i bardzo niebezpieczne. Gdybym mogła go powstrzymać, uczyniłabym to w okamgnieniu. Musi mi pani uwierzyć.

Elizabeth Sinskey wyciągnęła ręce, by ująć dłonie siedzącej naprzeciw niej kobiety.

– Wierzę ci, Sienno. Wierzę w każde słowo, które od ciebie usłyszałam.

Rozdział 103

Powietrze na lotnisku imienia Atatürka było o świcie bardzo zimne i poznaczone pasemkami mgły, które snuły się nad betonową płytą prywatnego terminalu.

Langdon, Sienna i doktor Sinskey podjechali limuzyną, a przed wejściem czekał na nich pracownik Światowej Organizacji Zdrowia, który pomógł im wysiąść z samochodu.

– Możemy startować, kiedy tylko pani zechce – poinformował szefową, wprowadzając całą trójkę do hali odlotów.

– A co z lotem pana Langdona? – zapytała Elizabeth.

– Prywatny samolot zabierze go do Florencji. Tymczasowe dokumenty czekają na pokładzie.

Sinskey skinęła z zadowoleniem głową.

– A reszta spraw, o których wspomniałam?

– Wszystkie są w toku. Przesyłka zostanie wysłana najszybciej jak się da.

Podziękowała swojemu podwładnemu, a ten natychmiast ruszył w kierunku samolotu. Potem spojrzała na Langdona.

– Na pewno nie chce pan lecieć z nami? – Uśmiechnęła się do niego, odgarniając długie siwe włosy za ucho.

– Zważywszy na temat rozmów – odparł żartobliwym tonem – historyk sztuki nie miałby wam wiele do zaoferowania.

– Niech pan nie będzie taki skromny – rzuciła Sinskey. – Ma pan nam więcej do zaoferowania, niż pan sądzi. Na pewno nie mniej niż... – Wskazała na Siennę stojącą piętnaście metrów dalej, przy dużym oknie, za którym widać było wielki kadłub samolotu.

– Dziękuję, że obdarzyła ją pani zaufaniem – dodał Robert, zniżając głos. – Wydaje mi się, że rzadko ją to do tej pory spotykało.

– Podejrzewam, że panna Brooks i ja możemy się wiele od siebie nauczyć. – Sinskey wyciągnęła do niego rękę. – Powodzenia, profesorze.

– Wzajemnie – odparł ściskając jej dłoń. – Zwłaszcza w Genewie.

– Będziemy potrzebować szczęścia – przyznała, po czym dodała: – Dam wam teraz chwilkę. Proszę ją odesłać na pokład, gdy skończycie.

Ruszyła w głąb terminalu, lecz po przejściu zaledwie paru kroków zatrzymała się, sięgnęła z roztargnieniem do kieszeni i wyjęła obie połowy pękniętego amuletu.

– Proszę się nie poddawać z tą laską Eskulapa! – zawołał za nią Langdon. – Da się ją jeszcze naprawić!

– Dziękuję – odparła, machając ręką. – Mam nadzieję, że nie tylko ją naprawimy.

Sienna Brooks stała przy oknie, spoglądając na światła pasa startowego, które z powodu nisko wiszącej mgły sprawiały upiorne wrażenie. Na szczycie oddalonej wieży kontrolnej

zauważyła powiewającą dumnie turecką flagę – czerwoną płachtę oznaczoną starożytnymi symbolami półksiężyca i gwiazdy, będącymi ostatnimi pozostałościami Imperium Osmańskiego.

– O czym tak rozmyślasz? – usłyszała znajomy głęboki głos.

Nie odwróciła się.

– Nadchodzi burza.

– Wiem – odparł lakonicznie Langdon.

Po dłuższej chwili milczenia spojrzała na niego.

– Chciałabym, żebyś poleciał z nami do Genewy.

– Miło, że to mówisz – odparł – ale będziecie miały pełne ręce roboty z przekonaniem tych ludzi do waszej wizji przyszłości. Taki stary akademik jak ja byłby dla ciebie niepotrzebnym obciążeniem.

Spojrzała na niego taksująco.

– Uważasz, że jesteś dla mnie za stary?

Langdon wybuchnął śmiechem.

– Sienna, ja naprawdę jestem dla ciebie za stary!

Zawstydzona poruszyła się niezręcznie.

– Cóż... Przynajmniej wiesz, gdzie mnie znaleźć. – Zmusiła się do dziewczęcego wzruszenia ramionami. – To znaczy... gdybyś chciał mnie jeszcze zobaczyć.

Uśmiechnął się do niej.

– Byłoby miło.

Poczuła się nieco lepiej, a mimo to znów milczeli przez dłuższą chwilę. Żadne z nich nie wiedziało, jak powinno wyglądać to pożegnanie.

Gdy Sienna spoglądała na amerykańskiego profesora, poczuła nagle coś, czego się po sobie nie spodziewała. Wspięła się

niespodziewanie na palce i pocałowała go prosto w usta. Odrywając się od niego, znów miała łzy w oczach.

– Będzie mi cię brakowało – wyszeptała.

Langdon uśmiechnął się czule, a potem objął ją ramieniem.

– Mnie ciebie też.

Długo stali w uścisku, którego żadne nie chciało zakończyć. W końcu Robert przemówił.

– Jest takie stare powiedzenie... często przypisywane Dantemu... „Zapamiętaj ten dzień... on jest bowiem początkiem wieczności".

– Dziękuje, Robercie – wyszeptała przez łzy. – Wreszcie czuję, że mam po co żyć.

Langdon przytulił ją mocniej.

– Zawsze mówiłaś, że chcesz ocalić świat. To może być szansa na spełnienie twoich marzeń.

Uśmiechnęła się blado i odwróciła. Idąc samotnie w stronę transportowca, rozmyślała nad wszystkim, co się wydarzyło... i co mogło się wydarzyć... i co jeszcze się wydarzy w każdej z możliwych przyszłości.

Zapamiętaj ten dzień, powtórzyła w myślach, on jest bowiem początkiem wieczności...

Wchodząc na pokład samolotu, modliła się, by Dante miał rację.

Rozdział 104

Blednące popołudniowe słońce opadało nad piazza del Duomo, odbijając się od białych płytek, którymi wyłożono ściany Dzwonnicy Giotta, i rzucając długie cienie na najwspanialszy florencki kościół Santa Maria del Fiore.

Robert Langdon wszedł do środka już po rozpoczęciu pogrzebu Ignazia Busoniego. Siadając na pierwszym wolnym miejscu, pomyślał, że jego przyjaciel zasłużył na ceremonię w miejscu, o które dbał przez tyle lat.

W odróżnieniu od murów wnętrze katedry było surowe, puste i mroczne. Mimo to ascetyczna świątynia wydawała się promienieć. Tego dnia zjechali do niej ludzie z całych Włoch, byli przedstawiciele rządu, przyjaciele zmarłego, koledzy po fachu. Stawili się tłumnie, by złożyć hołd jowialnemu wielkoludowi, którego przezywali pieszczotliwie Il Duomino.

Media podały, że Ignazio odszedł z tego świata, robiąc to, co uwielbiał najbardziej, czyli przechadzając się nocą wokół katedry.

Charakter ceremonii był zadziwiająco lekki, przyjaciele i rodzina wypowiadali się w humorystycznym tonie. Jeden z kolegów powiedział na przykład, że Busoni uwielbiał sztukę

renesansu równie mocno jak spaghetti bolognese i karmelowe *budino*.

Po mszy, gdy żałobnicy wspominali wydarzenia z życia zmarłego, Langdon skorzystał z okazji i obszedł katedrę, podziwiając dzieła, które jego przyjaciel ukochał za życia... *Sąd Ostateczny* Vasariego na kopule, witraże Donatellego i Ghibertiego, zegar Uccella i jakże często niezauważane mozaikowe posadzki.

W pewnym momencie ujrzał przed sobą znajome oblicze, należące do Dantego Alighieri. Uwieczniony na fresku Michelina poeta stoi u stóp Czyśćca, a w wyciągniętych rękach trzyma swoje arcydzieło, *Boską komedię*, jakby chciał ją złożyć w darze.

Langdon zastanawiał się, co pomyślałby Dante, gdyby wiedział, jak wielki wpływ na świat wywarł jego poemat po tylu stuleciach, we Florencji, której nawet nie umiałby sobie wyobrazić.

Znalazł życie wieczne, pomyślał Robert, przypominając sobie, jak postrzegali sławę starożytni greccy filozofowie. „Nie umrzesz, dopóki będą wspominać twoje nazwisko".

Wczesnym wieczorem Langdon przeszedł na drugą stronę piazza Sant'Elisabetta, wracając do eleganckiego florenckiego hotelu Brunelleschi. Po dotarciu do pokoju poczuł ulgę na widok sporej paczki, która tam na niego czekała.

W końcu dotarła.

Przesyłka, o którą prosiłem Sinskey.

Pośpiesznie rozciął taśmę i ostrożnie wyjął zawartość opakowaną starannie wieloma warstwami folii bąbelkowej.

Ku jego zaskoczeniu w pudle znajdowało się także kilka dodatkowych przedmiotów. Elizabeth Sinskey użyła swoich

wpływów i odzyskała znacznie więcej, niż prosił. Miał znów swoje ubranie: koszulę, spodnie khaki i podniszczoną marynarkę – wszystko wyprane i wyprasowane. Znalazły się nawet jego mokasyny, a ktoś zadał sobie trud, by je wyczyścić. W pudle nie zabrakło także jego portfela.

Najbardziej jednak ucieszył się z ostatniego przedmiotu, który wziął do ręki. Aż westchnął, zrozumiawszy, że w końcu go odzyskał.

Zegarek z Myszką Miki z limitowanej kolekcji.

Natychmiast umieścił go na nadgarstku. Ucisk twardego skórzanego paska dawał mu poczucie absolutnego bezpieczeństwa. Chwilę później, gdy włożył własne ubranie, profesor Robert Langdon mógł powiedzieć, że znów jest sobą.

Wyszedł na zewnątrz, niosąc owinięty folią przedmiot w pożyczonej od konsjerża hotelowej torbie. W ten wyjątkowo gorący wieczór spacer wzdłuż via dei Calzaiuoli w kierunku widocznych w oddali wież Palazzo Vecchio wydawał mu się raczej snem niż jawą.

Gdy dotarł na miejsce, zameldował się na wartowni, gdzie jego nazwisko figurowało na liście gości Marty Alvarez. Skierowano go do Sali Pięciuset, w której wciąż roiło się od turystów. Przyszedł na miejsce spotkania o czasie, spodziewając się, że administratorka będzie już na niego czekała przy wejściu, jednakże nigdzie nie było jej widać.

Zatrzymał przechodzącą opodal przewodniczkę.

– *Scusi!* – zawołał. – *Dove posso trovare Marta Alvarez?*

Kobieta wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu.

– *Signora Alvarez?* Nie ma jej! Urodziła dziecko! *Catalina! Molto bella!*

Langdon ucieszył się, słysząc dobrą nowinę.

– Ach... *Che bello* – odparł. – *Stupendo!*

Gdy przewodniczka oddaliła się pośpiesznie, Langdon zaczął się zastanawiać, co zrobić z przyniesionym zawiniątkiem.

Szybko podjął decyzję, po czym przeszedł na drugi kraniec Sali Pięciuset, mijając fresk Vasariego, i wspiąwszy się po schodach na piętro, wkroczył do muzeum, trzymając się z dala od umundurowanych strażników.

Wreszcie stanął przed wąskim *andito*. W przejściu było ciemno, a dostępu do niego broniła lina z zawieszoną tabliczką: CHIUSO/ZAMKNIĘTE.

Robert rozejrzał się uważnie, a potem przemknął pod linką do pogrążonego w półmroku pomieszczenia. Sięgnął do torby i wyjąwszy z niej zawiniątko, zaczął je odwijać z wielu warstw zabezpieczającej folii.

Kiedy pozbył się ostatniego kawałka tworzywa, znów mógł spojrzeć w oczy maski pośmiertnej Dantego. Kruchy gipsowy odlew spoczywał wciąż w zamykanym woreczku foliowym. Ludzie Sinskey zabrali ją ze schowka na weneckim dworcu kolejowym, stosując się do wszystkich jego wskazówek. Maska nie została uszkodzona – szczerze mówiąc, wyglądała jak przed wiekami... no, może z wyjątkiem tekstu wypisanego elegancką spiralą na odwrocie.

Langdon zerknął na zabytkową gablotę.

Nikt nie powinien zauważyć napisu, jeśli ją tam odłożę.

Ostrożnie wyjął maskę z woreczka, by zaraz jeszcze ostrożniej zawiesić ją na kołku umieszczonym w gablocie. Odlew opadł na pasujące doń idealnie wgniecenie w czerwonym atłasie.

Robert zamknął gablotę i stał przed nią jeszcze przez chwilę, spoglądając na blade oblicze Dantego ledwie widoczne w panujących tutaj ciemnościach.

Nareszcie wróciłeś do domu...

Na koniec Langdon usunął dyskretnie słupki z linką i zawieszoną na niej tabliczką. Przechodząc przez pobliską salę, zatrzymał się na moment przy młodej przewodniczce.

– *Signorina?* – zagadnął. – Światła nad maską pośmiertną Dantego są zgaszone. Niewiele widać w takich warunkach.

– Przykro mi – odpowiedziała – ale tamta ekspozycja jest zamknięta. Nie mamy już maski Dantego.

– To dziwne. – Robert udał zaskoczenie. – Właśnie ją podziwiałem.

Na twarzy kobiety pojawiło się zaskoczenie.

Gdy przewodniczka pobiegła do *andito*, Langdon wymknął się dyskretnie z muzeum.

Epilog

Nocny samolot Alitalii ciął rozświetlone księżycowym blaskiem niebo nad Zatoką Biskajską, kierując się na zachód i leżący tam Boston.

Lecący na jego pokładzie Robert Langdon czytał kieszonkowe wydanie *Boskiej komedii*. Rytm poematu spisanego w *terza rima,* współgrający z basowym pomrukiem odrzutowych silników, wprowadził profesora w niemal hipnotyczny stan. Słowa Dantego zdawały się spływać z kart książki, po czym rezonowały w głębi duszy, jakby zostały napisane specjalnie, aby mógł chłonąć je właśnie w tej chwili.

Langdon uświadomił sobie, że dzieło Dantego nie traktowało wcale o piekielnych mękach, chodziło w nim raczej o potęgę ducha pozwalającą ludziom przetrwać najgorsze tragedie.

Za oknem wznosił się księżyc w pełni, jasny i lśniący, tłumiący pozostałe ciała niebieskie. Robert spoglądał w przestrzeń, rozmyślając o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku dni.

Najmroczniejsze czeluście piekieł zarezerwowane są dla tych, którzy zachowują neutralność w czasach moralnego kryzysu.

Znaczenie tych słów było dla niego jasne jak nigdy: gdy grozi niebezpieczeństwo, nie ma większego grzechu niż zaniechanie.

Wiedział, że sam zgrzeszył, jak miliony innych. Ludzie tłumnie wypierali prawdę o sytuacji na świecie. Przypominało to globalną pandemię. Robert obiecał sobie, że nigdy o tym nie zapomni.

Gdy jego samolot mknął na zachód, krążył myślami wokół obu dzielnych kobiet, które docierały właśnie do Genewy, by stawić czoło przyszłości i zająć się ustanowieniem porządku nowego, jakże odmienionego świata.

Za oknem daleko nad horyzontem pojawiła się ława chmur. Wkrótce przesłoniły tarczę księżyca, całkowicie dławiąc poświatę.

Langdon usiadł wygodniej, uznając, że najwyższa pora na sen.

Gasząc lampkę nad głową, po raz ostatni wyjrzał na zewnątrz. Tam, w mroku nocy, powstawał nowy świat. Pod niebem, które było lśniącym kobiercem utkanym z gwiazd.

Inferno

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Tego autora

Dedykacja

Podziękowania

Motto

FAKTY

PROLOG

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76

Rozdział 77

Rozdział 78

Rozdział 79

Rozdział 80

Rozdział 81

Rozdział 82

Rozdział 83

Rozdział 84

Rozdział 85

Rozdział 86

Rozdział 87

Rozdział 88

Rozdział 89

Rozdział 90

Rozdział 91

Rozdział 92

Rozdział 93

Rozdział 94

Rozdział 95

Rozdział 96

Rozdział 97

Rozdział 98

Rozdział 99

Rozdział 100

Rozdział 101

Rozdział 102

Rozdział 103

Rozdział 104

Epilog

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: INFERNO
Copyright © Dan Brown 2013

Copyright © 2013 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2013 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Fragmenty *Boskiej komedii* Dantego Alighieri w przekładzie Edwarda Porębowicza, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2009.

Wyimek z *Rozważań nad pierwszym dziesięcioksięgiem historii Rzymu Liwiusza* w przekładzie Krzysztofa Żaboklickiego, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2009.

Cytat z *Prawa ludności* T. R. Malthusa, tłum. K. Stein, Gebethner i Wolff, Warszawa-Kraków 1925.

Urywek *Odysei* Homera w przekładzie Lucjana Siemieńskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Kraków 1992.

Cytaty z Biblii za Biblią Tysiąclecia, wyd. V, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych; oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2008.

Ilustracje na okładce: Bread and Butter/Getty Images/Flash Press Media i Imagno/Getty Images/Flash Press Media.
Projekt graficzny frontu okładki: Micheal J. Windsor/Doubleday Books.
Wykonanie okładki: Dt Studio s.c.
Graph „Special Report: How Our Economy is Killing the Earth" (New Scientist, 10/16/08)

Copyright © Reed Business Information – UK. All rights reserved.
Distributed by Tribune Media Services.

Redakcja: Urszula Gardner
Korekta: Aneta Iwan, Mariusz Kulan
Konsultacja historyka sztuki: dr Dorota Głazek

ISBN: 978-83-7508-852-6

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
pl. Grunwaldzki 8-10; 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2013

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl